

Czwarty tom bestsellerowej serii *Czerwona Królowa*

VICTORIA
AVEYARD



WOJENNA
BURZA

ZA ZWYCIĘSTWO TRZEBA ZAPŁACIĆ
NAJWYŻSZĄ CENĘ

moondrive

VICTORIA
AVEYARD

WOJENNA
BURZA

tłumaczenie
Joanna Dziubińska
Maria Borzobohata-Sawicka

moondrive

Kraków 2018

Moim rodzicom, moim przyjaciołom, mnie i Tobie



ROZDZIAŁ 1

MARE

Przez długą chwilę toniemy w ciszy.

Corvium jest senne, pełne ludzi, ale jakieś puste.

„Dziel i rządź”.

Następstwa są jasne, granice wyraźnie zaznaczone. Zarówno Farley, jak i Davidson intensywnie się we mnie wpatrują, a ja odwzajemniam ich spojrzenia.

Cał pewnie nie ma bladego pojęcia, że Szkarłatna Gwardia i Montfort absolutnie nie zamierzają pozwolić mu, by zatrzymał tron, który sobie wywalczy. Podejrzewam, że bardziej przejmuje się koroną niż tym, co myślą sobie Czerwoni. I podejrzewam też, że nie powinnam już dłużej nazywać go Calem.

„Tyberiasz. Calore. Król Tyberiasz. Tyberiasz Siódmy”.

Z takim imieniem się urodził, to imię nosił, gdy go poznałam.

Nazwał mnie wtedy złodziejką. To było moje imię.

Chciałabym móc zapomnieć ostatnią godzinę. Odrobinę cofnąć się w czasie. Zatoczyć. Przewrócić. Jeszcze przez sekundę cieszyć się istnieniem w tym dziwnie błogim miejscu, w którym jedyną rzeczą, jaką czułam, był ból zmęczonych mięśni i kości. Pustka po adrenalinie, którą wyzwoliła bitwa. Pewność jego miłości i wsparcia. I mimo że mam złamane serce, nie znajduję w sobie nienawiści do niego z powodu wyboru, którego dokonał. Wściekłość przyjdzie później.

Przez moment widzę troskę na twarzy Farley. To do niej nie pasuje. Niewzruszona determinacja lub płonąca furia są u Diany Farley bardziej naturalnymi emocjami. Wyczuwa mój uporczywy wzrok i blizna na jej twarzy drga.

– Przekażę decyzję Cala Dowódtwu – mówi niskim, wyważonym tonem, przerywając ciche napięcie. – Tylko Dowódtwu. Ada dostarczy wiadomość.

Premier Montfortu kiwa głową, zgadzając się.

– Dobrze. Możliwe, że generałowie Dobosz i Łabędź są już świadomi rozwoju zdarzeń. Monitorowali posunięcia królowej Lerolan, odkąd zaczęła mieszać się w sprawę.

– Anabel Lerolan była na dworze Mavena wystarczająco długo, przynajmniej kilka tygodni – odpowiadam. Jakimś cudem nie drży mi głos. Słowa wydobywają się ze mnie miarowym tonem, pełne mocy. Muszę sprawiać wrażenie silnej, nawet jeśli teraz tego nie czuję. To kłamstwo, ale dobre kłamstwo. – Pewnie ma więcej informacji, niż ja kiedykolwiek wam przekazałam.

– Prawdopodobnie – odpowiada Davidson, z zamyśleniem kiwając głową. Przymruża powieki i spogląda za mury, na ziemię w dole. Nie rozgląda się, tylko koncentruje.

Przed nami roztacza się wielkie pole. Droga nie będzie prosta. Nawet dziecko by się tego domyśliło.

– I dlatego muszę wracać na górę – dodaje, niemal przeproszającym tonem.

Jak gdybym mogła być na niego zła za to, że ma obowiązki.

– Oczy i uszy otwarte, jasne?

– Oczy i uszy otwarte. – Farley i ja odpowiadamy jednym głosem, zaskakując siebie nawzajem.

Davidson odwraca się i wychodzi z zaułka. Słońce lśni na jego błyszczących srebrnych włosach. Oporządził się po bitwie, zmywając z siebie pot oraz popiół i zmieniając poplamiony krwią mundur na świeży. Wszystko po to, by zaprezentować swoje zwyczajowe spokojne, opanowane, codzienne oblicze. Mądra decyzja. Srebrni poświęcają tyle swojej energii wyglądowi zewnętrznemu, fałszywej dumie z widoczną gołym okiem siłą i władzą. A w szczególności król Samos i rodzina w wieży nad nami. Przy Volvo, Evangeline, Ptolemejuszu i syczącej królowej Viper Davidsona łatwo przeoczyć. Gdyby chciał, mógłby się

wtopić w ścianę. „Nawet nie zauważą, jak nadchodzi. Nawet nie zauważą, jak my wszyscy nadchodzimy”.

Wciągam w płuca niepewny oddech i przełykam, wymuszając kolejną myśl. „Cał też nie”.

„Tyberiasz”, poprawiam samą siebie. Jedna pięść się zaciska, paznokcie wżynają się w ciało z satysfakcjonującym ukłuciem. „Mów na niego »Tyberiasz«”.

Czarne ściany Corvium po zakończonym oblężeniu wydają się dziwnie ciche i nagie. Odwracam wzrok od oddalającego się Davidsona i patrzę na przedpiersia otaczające wewnętrzną część fortecy. Przeszywająca zimmem strategiczna zamieć dawno minęła, ciemność się rozproszyła i wszystko wydaje się teraz jakies mniejsze. Mniej imponujące. Kiedyś Czerwoni żołnierze przemaszerowywali przez to miasto, większość w drodze ku nieuniknionej śmierci w okopie. Teraz Czerwoni patrolują mury, ulice, bramy. Czerwoni siedzą wraz ze Srebrnymi królami i rozmawiają o wojnie. Kilku wojskowych ze szkarłatnymi chustami chodzi tam i z powrotem, rzucając na boki nerwowe spojrzenia i trzymając w gotowości wysłużoną broń. Szkarłatna Gwardia nie da się wziąć z zaskoczenia, choć nie mają zbyt wielu powodów, by tak się denerwować. A przynajmniej nie teraz. Armie Mavena się wycofały. I nawet Volvo Samos nie jest na tyle śmiały, by przypuścić atak od wewnątrz Corvium. Nie wtedy, kiedy potrzebuje Gwardii, Montfortu i nas. I nie przy Calu – „Tyberiaszu, głupia” – i całej tej jego pustej gadce na temat równości. Volvo potrzebuje go tak samo jak nas. Potrzebuje jego nazwiska, jego korony i przeklętej ręki w przeklętym małżeństwie z jego przeklętą córką.

Robię się cała czerwona. Jestem zażenowana kielkującą we mnie zazdrością. Jego strata powinna być najmniejszym z moich problemów. Jego strata nie powinna boleć tak bardzo jak możliwość śmierci, przegrania tej wojny, utraty wszystkiego, o co walczyliśmy. Ale boli. Mogę jedynie spróbować jakoś to ścierpieć.

„Dlaczego powiedział »tak«?”

Odrzuciłam jego ofertę. Tak jak jego. Rozdzierała mnie kolejna zdrada – zdrada Cala, ale także moja. „Kocham cię” to obietnica, którą oboje złożyliśmy i oboje

złamaliśmy. Powinna oznaczać: „Wybieram cię ponad wszystko. Pragnę cię bardziej. Bezwzględnie cię potrzebuję. Nie mogę bez ciebie żyć. Zrobię wszystko, by nasze drogi nigdy się nie rozeszły”.

Ale on tego nie zrobił. I nie zrobi.

Znaczę dla niego mniej niż jego korona, a on znaczy mniej niż moja walka.

I mniej, o wiele mniej niż mój lęk przed kolejną klatką. „Kochanka”, zasugerował, proponując mi niemożliwą koronę. Zrobiłby ze mnie królową, gdyby Evangeline dało się odsunąć na bok. Po raz kolejny. Wiem już, jak wygląda świat z perspektywy prawej ręki króla. Nie tęsknię do tamtego życia. Choć Cal to nie Maven, tron pozostaje ten sam. Zmienia ludzi, mąci im w głowach.

Jakie dziwne byłoby to życie. Cal ze swoją koroną, królową Samos i mną. Nie mogę nic na to poradzić, że część mnie żałuje, że się nie zgodziłam. To byłoby proste. Miałabym szansę odpuścić, zrobić krok wstecz, wygrać – i cieszyć się światem, o którym nawet mi się nie śniło. Mogłabym zapewnić swojej rodzinie najlepsze możliwe życie. Zapewnić nam bezpieczeństwo. I zostać z nim. Stać u boku Cala, Czerwona dziewczyna ze Srebrnym królem u swojego ramienia. Miałabym moc, by zmienić świat. Zabić Mavena. Nigdy więcej nie mieć koszmarów, żyć bez strachu.

Ostro zagryzam wargę, by zdusić w sobie to pragnienie. Ma w sobie coś nieodpartego i prawie rozumiem jego wybór. Nawet rozdzieleni pasujemy do siebie.

Farley zaczyna się wiercić, czym przykuwa moją uwagę. Wzdycha, opierając się plecami o mur zaułka, i krzyżuje ręce na piersi. W przeciwieństwie do Davidsona nie zdjęła jeszcze zakrwawionego munduru. Nie jest tak obrzydliwy jak mój, nie ma na nim błota ani brudu. Oczywiście jest poplamiony srebrną krwią, która po zaschnięciu wygląda na czarną. Minęło zaledwie kilka miesięcy, odkąd Farley urodziła Clare, i z dumą nosi dodatkowy ciężar, który pozostał jej wokół bioder. Wszelkie współczucie, które może miała względem mnie, zniknęło, zastąpione przez gniew błyszczący w jej niebieskich oczach. Nie jest jednak skierowany do mnie. Generał spogląda do góry, na wieżę nad nami. Tam, gdzie

rada Srebrnych i Czerwonych decyduje o naszym losie.

– Widziałam go tam. – Nie czeka, aż zapytam kogo. – Srebrne włosy, gruby kark, idiotyczna zbroja. I jakimś cudem nadal oddycha, choć władował kulę w serce Shade'a.

Mocniej wbijam w siebie paznokcie na myśl o Ptolemejuszu Samosie. Księciu Rowów. Zabójcy mojego brata. Podobnie jak Farley czuję nagły gniew. I równie silne poczucie wstydu.

– Tak.

– Bo dogadałaś się z jego siostrą. Twoja wolność za jego życie.

– Za moją zemstę – dopowiadam pod nosem. – I owszem, dałam Evangeline swoje słowo.

Farley szczyrzy do mnie zęby z wyraźnym obrzydzeniem.

– Dałaś słowo Srebrnej. Ta obietnica jest warta mniej niż garść prochu.

– Ale to nadal obietnica.

Farley wydaje z siebie niskie gardłowe warknięcie. Prostuje szerokie barki i odwraca się tak, by w pełni widzieć wieżę. Zastanawiam się, jak bardzo musi się hamować, by nie pomaszerować na górę i nie wydlubać Ptolemeuszowi oczu z czaszki. Nie powstrzymałabym jej, gdyby postanowiła to zrobić. Znalazłabym sobie krzesło i się przyglądała.

Nieco rozluźniam pięść i odpuszczam ból. Po cichu robię krok w stronę Farley. Przez chwilę się waham, ale w końcu kładę jej dłoń na ramieniu.

– To ja złożyłam tę obietnicę. Nie ty. Ani nikt inny.

Farley nieco się uspokaja, jej opryskliwa mina zamienia się w ironiczny uśmiech. Staje do mnie twarzą w twarz, a pod światło jej niebieskie oczy przybierają jasny, jaskrawy odcień.

– Raczej bardziej nadajesz się do polityki niż do wojny, Mare Barrow.

Rzucam jej smutny uśmiech.

– To jedno i to samo. – Chyba w końcu przyswoiłam tę trudną lekcję. – Myślisz, że możesz to zrobić? Zabić go?

Kiedyś spodziewałabym się, że Farley się oburzy i rzuci mi pogardliwe spojrzenie, słysząc sugestię, że mogłoby być inaczej. To twarda kobieta, o jeszcze twardszej zewnętrznej skorupie. Jest taka, jaka musi być. Ale coś – może Shade, a na pewno Clara oraz więź, jaka nas teraz łączy – pozwala mi zajrzeć pod to zazwyczaj niewzruszone i pewne siebie oblicze. Generał nieco się waha, a jej butny uśmiech blednie.

– Nie wiem – mamrocze. – Ale nigdy nie będę w stanie spojrzeć na siebie ani Clare, jeśli nie spróbuję.

– Ja też nie będę mogła na nią spojrzeć, jeśli pozwolę, byś zginęła, próbując. – Mocniej zaciskam dłoń na jej ramieniu. – Proszę, nie zrób niczego głupiego.

Jej uśmiech wraca z pełną siłą, jak za przyciśnięciem guzika. Farley nawet puszcza mi oko.

– A od kiedy to ja jestem głupia, Mare Barrow?

Gdy odwzajemniam jej spojrzenie, czuję dreszcze przebiegające po bliznach na moim karku, o których prawie całkiem zapomniałam. Ten ból wydaje się niewielki w porównaniu z innymi rzeczami.

– Po prostu zastanawiam się, kiedy to wszystko się skończy – mruczę pod nosem, licząc, że mnie zrozumie.

Farley kręci głową.

– Nie mogę odpowiedzieć na pytanie, na które istnieje zbyt wiele odpowiedzi.

– Chodzi mi o... Shade'a. Ptolemeusza. Zabijesz go i co dalej? Evangeline zabije ciebie? Ja zabiję Evangeline? I tak dalej, bez końca?

Śmierć nie jest mi obca, ale w pewien dziwny sposób to wydaje się zupełnie czymś innym. Zaplanowane morderstwa. Mam wrażenie, że to w stylu Mavena, nie naszym. Mimo że Ptolemeusz trafił na czarną listę Farley, znacznie wcześniej, w czasach, gdy udawałam Mareenę Tytaniusz, znalazł się tam z powodu Gwardii. Z powodu naszej wspólnej sprawy, czegoś większego niż ślepa i krwawa zemsta.

Farley robi wielkie oczy. Poblýskuje w nich energia i niedowierzenie.

– Mam dać mu żyć?

– Oczywiście, że nie – odpowiadam z oburzeniem. – Nie wiem, czego chcę. Nie wiem, o czym mówię. – Słowa wypadają ze mnie jedno po drugim. – Ale nadal mogę się zastanawiać, Farley. Wiem, co pragnienie zemsty i furia potrafią zrobić z człowiekiem, z ludźmi wokół ciebie. I nie chcę, żeby Clara wychowywała się bez matki.

Farley gwałtownie się ode mnie odwraca, by ukryć twarz. Nie jest jednak na tyle szybka, żebym nie dostrzegła łez, które napłynęły jej do oczu. Nie spływają po policzkach. Szarpnięciem ramienia generał odrzuca moją rękę.

Drażę temat. Nie mam innego wyjścia. Ona musi to usłyszeć.

– Clara już straciła Shade’a, a gdyby miała wybierać pomiędzy zemstą za ojca a życiem matki... wiem, co by wybrała.

– A skoro już mowa o wyborach – cedzi przez zęby Farley, wciąż na mnie nie patrząc. – Jestem dumna z tego, którego dokonałaś.

– Nie zmieniaj tematu...

– Czy ty mnie słyszałaś, dziewczuszko od błyskawic? – Pociąga nosem i odwraca się do mnie, siląc się na uśmiech, przez co widzę jej zaczerwienioną, pokrytą plamami twarz. – Powiedziałam, że jestem z ciebie dumna. Zapisz to sobie. Wyryj w pamięci. Pewnie więcej tego nie usłyszysz.

Choć nie jest mi do śmiechu, wyduszam z siebie ponury rechot.

– Niech ci będzie. A dokładnie z czego dumna?

– Cóż, pomijając twoje nienaganne wyczucie stylu – strzepuje mi z ramion zabarwiony krwią pył – i oczywiście miłe i spokojne usposobienie...

Znów rechoczę.

– ... jestem z ciebie dumna, bo wiem, jak to jest stracić kogoś, kogo kochasz. – Tym razem to ona chwyta mnie za ramię, pewnie po to, żebym nie uciekła od rozmowy, na którą raczej nie jestem gotowa.

„Mare, wybierz mnie”. Te słowa padły zaledwie godzinę temu. Prześladowują mnie z taką łatwością.

– Miałam wrażenie, że to zdrada – szepczę.

Wlepiam wzrok w podbródek Farley, żebym nie musiała patrzeć jej w oczy. Blizna przy lewym kąciku ust jest głęboka i nieco ciągnie wargi do boku. Czyste cięcie nożem. Nie miała jej, kiedy się poznałyśmy, przy świetle niebieskiej świecy, w starym wozie Willa Pukawki.

– Z jego strony? Oczywiście...

– Nie. Nie z jego strony.

Przez niebo przepływa chmura, rzucając nam na twarze ruchome cienie. Letni wiatr nagle staje się dziwnie chłodny. Aż przeszywa mnie dreszcz. Niemal instynktownie myślę o tym, jaka szkoda, że nie ma tu Cala i jego ciepła. Nigdy nie pozwalał, żebym marzła. Na tę myśl czuję ucisk w żołądku i nagłe mdłości, bo uświadamiam sobie, z czego oboje zrezygnowaliśmy.

– Złożył mi pewne obietnice – ciągnę – ale ja jemu też. Złamałam je. A on ma do spełnienia jeszcze kilka innych. Złożonych sobie, swojemu zmarłemu ojcu. Kochał koronę, zanim pokochał mnie, choć może nie do końca zdaje sobie z tego sprawę. I ostatecznie uważa, że postępuje słusznie, robi coś dobrego dla nas wszystkich. Jak mogę mieć o to do niego pretensje?

Zmuszam się, by spojrzeć Farley w oczy. Generał nie ma dla mnie odpowiedzi, a przynajmniej nie taką, jaką chciałabym usłyszeć. Przygryza wargę, powstrzymując się od powiedzenia, co naprawdę o tym myśli. Mało skutecznie.

Parska prześmiewczo, sądząc chyba, że zachowuje się łagodniej niż normalnie. Ale jest kąśliwa jak zwykle.

– Nie przepraszaj za niego ani za to, jaki jest.

– Nie przepraszam.

– Ale tak to brzmi. – Wzdycha z poirytowaniem. – Inny król to nadal król. Może i jest idiotą, ale tyle na pewno wie.

– Zapewne dla mnie to też mogło być dobre wyjście. Dla wszystkich Czerwonych. Kto wie, co zdołałaby osiągnąć Czerwona królowa.

– Bardzo mało, Mare. Jeśli w ogóle cokolwiek – odpowiada Farley z dziwną pewnością. – Zmiana, która a nuż wyniknęłaby z przyjęcia przez ciebie korony,

byłaby za wolna i za słaba. – Jej głos łagodnieje. – I zbyt łatwa do cofnięcia. Nie utrzymałaby się. To, co byśmy osiągnęli, umarłoby razem z tobą. Nie zrozum mnie źle, ale świat, który chcemy zbudować, musi przetrwać dłużej niż my.

„Dla tych, którzy przyjdą po nas”.

Farley wpatruje mi się w oczy z niemal nadludzką koncentracją. Clara ma oczy Shade’a, nie Farley. Koloru miodu, nie oceanu. Ciekawe, jakie jeszcze cechy odziedziczyła po ojcu lub matce.

Wiatr porusza świeżo przystrzyżonymi włosami generała, ciemnozłotymi w cieniu chmur. Mimo tylu blizn nadal jest młoda, to kolejne dziecko wojny i zniszczeń. Widziała więcej niż ja, zrobiła więcej niż ja. Więcej poświęciła i wycierpiała. Jej matka, jej siostra, mój brat i jego miłość. Kobieta, na którą pragnęła wyrosnąć, gdy była małą dziewczynką. To wszystko przepadło. Jeśli ona może brnąć do przodu, nadal wierząc w to, co robimy, to ja też. Bo choć często bierzemy się za łby, ufam Farley. Jej słowa są nieoczekiwanym, ale potrzebnym mi pocieszeniem. Już i tak zbyt długo biję się z myślami i użalam nad sobą, aż zaczynam mieć tego dość.

– To prawda. – Coś we mnie pęka i dziwne marzenie o przyjęciu propozycji. Cała spada w mroczną przepaść, z której nie ma powrotu.

Nie będę Czerwoną królową.

Farley mocno ściska mnie za ramię, prawie robiąc mi krzywdę. Mimo pomocy Uzdrowicieli nadal jestem obolała, a ona nadal ma potwornie mocny uścisk.

– A zresztą – dorzuca – to nie ty siedziałabyś na tronie. Królowa Lerolan i król Rowów wyrazili się jasno. To będzie ona, ta mała Samos.

Parskam zdumiona, myśląc o tym. Evangeline Samos jasno dała do zrozumienia, jakie są jej intencje, kiedy wszyscy byliśmy w sali obrad. Jestem zaskoczona, że Farley tego nie zauważyła.

– O ile Evangeline temu nie zaradzi.

– Hmm? – Przymruża oczy w skupieniu, a ja wzruszam ramionami.

– Widziałaś, co tam zrobiła, jak cię prowokowała.

Przez głowę przebiega mi wciąż świeże wspomnienie tego, jak Evangeline potraktowała Czerwoną służącą na oczach wszystkich, jak rozbiła kielich z winem, dla zabawy zmuszając biedną dziewczynę, by posprzątała bałagan. Zrobiła to, by rozjuszyć każdego na sali, w którego żyłach płynie czerwona krew. Nietrudno zrozumieć, co nią powodowało albo co chciała osiągnąć.

– Ona nie chce być częścią tego sojuszu. Nie, kiedy oznacza to, że musi poślubić... Tyberiasza.

Przynajmniej raz Farley wygląda na zaskoczoną. Szybko mruga powiekami, zbita z tropu. Ale jest zaintrygowana.

– Myślałam, że dostała to, czego od początku chciała. Dobra, nie będę udawać, że choć trochę rozumiem zachowanie Srebrnych, ale mimo wszystko...

– Evangeline ma teraz tytuł księżniczki, który zawdzięcza tylko sobie. To wszystko, czego pragnęła. Nie musi go osiągać przez małżeństwo. Jedynie temu miał służyć ten związek. Jemu też – dodaję, czując ukłucie w sercu. – Wymianie władzy. Władzy, którą ona już ma lub – głos nieco mi słabnie – której już nie potrzebuje.

Wracam myślami do czasu, który spędziłam z Evangeline w Pałacu Białego Ognia. Poczula ulgę, gdy Maven ożenił się z Iris Cygnet zamiast z nią. I nie tylko dlatego, że Maven to potwór. Wydawało mi się, że... jest ktoś inny, na kim jej zależało. Bardziej niż na koronie Calore.

„Elane Haven”. Pamiętam, że gdy jej dom zbuntował się przeciw Mavenowi, ten nazwał ją dziwką Evangeline. Nie zauważyłam jej wśród zgromadzonych w wieży, ale dom Haven popiera dom Samos i jest z nimi związany sojuszem. To Cieniści, którzy potrafią zniknąć, kiedy mają na to ochotę. Elane mogła być tam cały czas, a ja nawet jej nie zauważyłam.

– Myślisz, że spróbowałaby zniweczyć dzieło ojca? Gdyby mogła? – Farley wygląda teraz jak kot, który złapał na kolację bardzo grubą mysz. – Gdyby ktoś jej... pomógł?

Cal nie zrezygnował z korony dla miłości. A co w takiej sytuacji zrobiłaby

Evangeline?

Coś mi podpowiada, że by mogła. Wszystkie jej manipulacje, potajemne stawianie oporu, igranie z ogniem.

– Możliwe. – Te słowa teraz nabierają dla nas nowego znaczenia. Nowej wagi. – Ma własne motywy. I wydaje mi się, że to daje jej pewną przewagę.

Usta Farley prawie przybierają kształt prawdziwego uśmiechu. Mimo tego wszystkiego, czego się dowiedziałam, czuję nagły przypływ nadziei. Farley szturcha mnie w ramię, a jej uśmiech się rozszerza.

– No, Barrow, znów to sobie zapisz. Jestem z ciebie cholernie dumna.

– Od czasu do czasu jednak się przydaję.

Farley parska śmiechem i zaczyna iść, dając mi znak, że bym ruszyła za nią. Widzę ulicę za zaułkiem, bruk błyszczący od topniejących w świetle letniego słońca resztek śniegu. Waham się, nie chcę opuszczać swojej bezpiecznej kryjówki. Świat za tą wąską przestrzenią wciąż wydaje się zbyt wielki. W oddali wyłania się wewnętrzny dziedziniec Corvium, na którego środku stoi wieża rządowa. Oddychając niepewnie, zmuszam się do wykonania kroku. Boli. Tak jak następny.

– Nie musisz wracać na górę – burczy Farley, idąc koło mnie. Wlepia wzrok w wieżę. – Powiadomię cię, jak wygląda sytuacja. Davidson i ja damy sobie radę.

Nie wiem, czy jestem w stanie znieść powrót na salę obrad i siedzenie tam, podczas gdy Tyberiasz będzie deptał wszystko, co wspólnie osiągnęliśmy. Ale muszę. Zauważam rzeczy, które inni przeocząją. Wiem o rzeczach, o których inni nie wiedzą. Muszę tam wrócić. Dla naszego wspólnego celu.

I dla niego.

Nie mogę zaprzeczyć temu, jak bardzo pragnę wrócić tam dla niego.

– Chcę wiedzieć wszystko to co ty – szepczę do Farley. – O wszystkim, co zaplanował Davidson. Nie mam zamiaru władować się na kolejną minę.

Szybko się zgadza. Niemal za szybko.

– Jasne.

– Możesz mnie wykorzystać. W dowolny sposób. Ale pod jednym warunkiem.

– Mów.

Spowalням krok, a Farley dopasowuje się do niego.

– On ma przeżyć. Gdy dobrniemy do końca.

Przechyla głowę na bok jak zdezorientowany pies.

– Rozłamcie jego koronę, zniszczcie mu tron, rozerwijcie na strzępy jego królestwo. – Wpatruję się w nią z całą siłą, na jaką jestem w stanie się zdobyć. Błyskawica w mojej krwi zaczyna się burzyć, błagając, bym dała jej ujście. – Ale Tyberiasz przeżyje.

Farley zasysa powietrze i prostuje się, prezentując swój imponujący wzrost. Mam wrażenie, jakby widziała przeze mnie na wylot. Przez moje niedoskonałe serce. Ale nie odpuszczam. Zasłużyłam sobie, by o to prosić.

Odpowiada mi niepewnym tonem.

– Nie mogę ci tego obiecać. Ale się postaram. Na pewno się postaram, Mare.

Przynajmniej mnie nie okłamuje.

Czuję się tak, jakby ktoś przeciął mnie na pół, rozerwał. W mojej głowie wisi oczywiste pytanie. Kolejny wybór, którego może będę musiała dokonać. „Jego życie czy nasze zwycięstwo?” Nie wiem, którą możliwość wybiorę, jeśli nastanie taka konieczność. Którą stronę zdradzę. Ta świadomość jest jak nóż wbijający się we mnie głęboko, tak że krwawię w miejscu, którego nikt nie widzi.

Podajrzewam, że właśnie o to chodziło jasnowidzowi. Jon mówił niewiele, ale wszystko, co powiedział, miało konkretne znaczenie. Choć bardzo nie chcę, chyba muszę zaakceptować los, który przewidział.

„Powstać”.

„Sama przeciwko wszystkiemu”.

Widzę pod stopami kamienie brukowe zmieniające się z każdym krokiem. Wiatr znów się wzmacnia, tym razem wiejąc z zachodu. Niesie ze sobą niemożliwy do pomylenia ostry zapach krwi. Wzbiera we mnie fala wymiotów, gdy wszystko sobie przypominam. Oblężenie. Ciała. Krew w obu kolorach. Trzask swoich łamanych nadgarstków w uścisku Twardoskórego. Pękające karki, miażdżone

zębra, eksplodujące ciała, lśniące organy i przebijające się przez skórę kości. W walce łatwo się odciąć od takich okropieństw. To wręcz konieczne. Zginęłabym, gdybym pozwoliła, by zawładnął mną lęk. Ale walka się skończyła. Serce zaczyna mi bić trzy razy szybciej, a po plecach spływa zimny pot. Choć przeżyliśmy i wygraliśmy, strach przed przegraną zrobił we mnie wielką wyrwę.

Nadal je czuję. Nerwy, elektryczne nici, którymi błyskawica przeszła każdą moją ofiarę. Cienkie żarzące się gałęzie, każda inna, ale też taka sama. Zbyt wielu martwych, by ich zliczyć. W czerwonych i niebieskich mundurach, Nortańczycy, Lakelandczycy. Wszyscy Srebrni.

„Mam nadzieję”.

Nagle do głowy wpada mi pewna potworna myśl. Maven już wcześniej wykorzystywał Czerwonych jako mięso armatnie lub ludzkie tarcze. Nawet nie przyszło mi to do głowy. Ani mnie, ani żadnemu z naszych – a może nikt się tym nie przejął. Davidson, Cal, a nawet Farley, jeśli uznała, że skutek był wart poniesionych kosztów.

– Hej – mruczy do mnie, chwytając mnie za nadgarstek.

Zrywam się przestraszona, czując dotyk jej skóry i palców zaciskających się jak kajdany. Gwałtownie wyrywam się z uścisku, wydając z siebie dziwne warknięcie. Czerwienieję zawstydzona, że nadal reaguję w ten sposób.

Farley cofa się z uniesionymi rękami, robiąc wielkie oczy. Ale nie ma w nich strachu ani osądu. Nawet politowania. Czy ja widzę wyrozumiałość?

– Przepraszam – mówi szybko. – Zapomniałam o nadgarstkach.

Ledwie zauważalnie kiwam głową i wpycham dłonie do kieszeni, żeby ukryć fioletowe iskry na koniuszkach palców.

– Nie szkodzi. To nawet nie...

– Wiem, Mare. Tak się dzieje, kiedy zwalniamy. Ciało zaczyna więcej przyswajać. Czasem to po prostu zbyt wiele, nie trzeba się wstydzić. – Farley skinieniem głowy pokazuje w stronę przeciwną do wieży. – To też nie wstyd, żeby zrobić sobie przerwę. Koszary są...

– Czy tam byli Czerwoni? – Pokazuję dłonią w stronę pola bitwy i przerwanych murów Corvium. – Czy Maven i Lakelandczycy posłali ze swoimi Czerwonych żołnierzy?

Farley mruga, szczerze zaskoczona moim pytaniem.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odpowiada w końcu i słyszę pobrzmiewający w jej głosie dyskomfort.

Ona też nie wie. Nie chce wiedzieć i ja też nie. Nie mogę tego znieść.

Odwracam się na pięcie, przynajmniej raz zmuszając ją, by to ona biegła za mną. Znowu zapada cisza, po części wypełniona złością i wstydem. Pograżam się w niej, torturując samą siebie. Aby pamiętać to obrzydzenie i ten ból. Przyjdą kolejne bitwy. Umrze jeszcze więcej ludzi, bez względu na kolor krwi. To wojna. To rewolucja. Następni także zginą w walce. Zapomnieć oznacza znowu skazać ich na straszny los, tak jak tych, którzy przyjdą po nas.

Gdy wchodzę na stopnie wieży rządowej, wkładam dłonie do kieszeni i zaciskam je w pięści. Czuję ukłucie sztyftu kolczyka, a czerwony kamień wydaje się ciepły w mojej dłoni. Powinnam wyrzucić go przez okno. Jeśli jest coś, o czym powinnam zapomnieć, to właśnie o tym.

Ale kolczyk zostaje.

Razem z Farley znowu wkraczamy na salę obrad. Wzrok nieco mi się rozmazuje, ale staram się szybko wrócić do robienia tego, co umiem. Obserwowania. Zapamiętywania. Szukania dziur w wypowiedzanych zdaniach, doszukiwania się sekretów i kłamstw w tym, czego nie wyrażają. To cel i jednocześnie sposób na rozproszenie uwagi. I wtedy zdaję sobie sprawę, dlaczego tak się rwałam, by tu wrócić, mimo że miałam wszelkie prawo, by stąd uciec.

Nie dlatego, że to ważne. Nie dlatego, że pewnie się na coś przydam.

Ale dlatego, że jestem samolubna, słaba i przestraszona. Nie mogę być ze sobą sama. Nie teraz, jeszcze nie.

Siadam więc, słucham i obserwuję.

I mimo tych wszystkich zajęć czuję jego spojrzenie.

ROZDZIAŁ 2

EVANGELINE

Byłoby tak łatwo ją zabić.

Na szyi Anabel Lerolan wrzeczona w kolorze różowego złota przeplatają się z czerwonymi, czarnymi i pomarańczowymi klejnotami. Jeden ruch i mogłabym przeciąć żyłę tej Niweczniczki. Pozwolić, by wraz z krwią rozlał się cały ten jej spiszek. Zakończyć jej życie i te zaręczyny na oczach wszystkich tu zebranych. Mojej matki, ojca, Cała – nie wspominając o Czerwonych przestępcach i dziwadłach z zagranicy, z którymi najwyraźniej jesteście teraz sprzymierzeni. Ale nie Barrow. Ona jeszcze nie wróciła. Pewnie nadal gdzieś wypłakuje sobie oczy, że straciła swojego księcia.

Oczywiście oznaczałoby to kolejną wojnę, rujnąjącą sojusz, który i tak pokrywa już pajęczyna pęknięć. Czy mogłabym zrobić coś takiego – oddać swoją lojalność w zamian za szczęście? Czuję wstyd, zadając to pytanie, nawet jeśli tylko w myślach.

Starsza kobieta musi czuć moje spojrzenie. Na moment na mnie zerka i na jej ustach pojawia się uśmiešek wyższości, gdy opiera się wygodnie na krześle tronowym, odziana w olśniewające czerwień, czerń i pomarańcz.

To barwy rodu Calore, nie tylko domu Lerolan. Jej lojalność jest wręcz irytująco wyraźna.

Cała drżąc, spuszcza wzrok i skupiam się na swoich dłoniach. Jeden z paznokci jest paskudnie pęknięty. Złamany w walce. Robiąc wdech, formuję pazur z jednego z tytanowych pierścionków i naciągam go na czubek palca. Wygląda teraz jak ptasi szpon. Stukam nim o ramię krzesła, nawet jeśli tylko po to,

by zirytować matkę. Zerka na mnie z ukosa, co jest jedynym dowodem jej pogardy.

Fantazjuję o zabiciu Anabel odrobinę za długo i tracę orientację co do przebiegu obrad i tego, co knuje każda ze stron. Jesteśmy mniej liczni, w naradzie uczestniczą tylko przedstawiciele naszych naprędce zjednoczonych frakcji. Generałowie, lordowie, kapitanowie i monarchowie. Przemawia przywódca Montfortu, potem ojciec, potem Anabel i znów od nowa. Wszyscy powściągliwym tonem, wymuszając sztuczne uśmiechy i puste obietnice.

Żałuję, że nie ma tu Elane. Powinnam była wziąć ją ze sobą. Prosiła mnie, bym pozwoliła jej jechać. Szczerze mówiąc, nawet błagała. Elane zawsze chce być blisko mnie, nawet w obliczu zagrożenia. Staram się nie myśleć o naszych ostatnich wspólnych chwilach, jej ciele w moich objęciach. Jest chudsza niż ja, ale ma takie miękkie ciało. Ptolemeusz stał przed moimi drzwiami i pilnował, by nikt nam nie przeszkodził.

– Pozwól mi ze sobą jechać – szepnęła mi do ucha kilkanaście, a może kilkaset razy.

Ale jej ojciec tego zabronił, i mój też.

„Wystarczy, Evangeline”.

Teraz przeklinam samą siebie. Nigdy by się nie dowiedzieli przy całym tym zamieszaniu. Elane jest przecież Cienistą, a niewidzialną dziewczynę łatwo przemycić. Toli by nam pomógł. Nie zabroniłby żonie, by mu towarzyszyła, nie, gdybym poprosiła go o pomoc. Ale nie mogłam. Najpierw należało zwyciężyć bitwę – bitwę, w której wygrana nie była dla mnie taka oczywista. A nie miałam zamiaru podejmować tego ryzyka razem z nią. Elane Haven jest utalentowana, ale to nie wojowniczką. A w zarzewiu walki tylko by mnie dekoncentrowała i przysparzała powodów do zmartwień. Wtedy nie mogłam sobie pozwolić ani na jedno, ani na drugie. Ale teraz...

„Przestań”.

Zaciskam palce na ramionach krzesła tronowego, pragnąc roztrzaskać na strzępy kawałek żelaza. W Grani liczne metalowe galerie stanowią dla mnie łatwą

formę terapii. Mogłam niszczyć w spokoju. Wyładować świeży gniew na stale zmieniających kształty posągach, nie musząc się martwić o to, co pomyślą inni. Zastanawiam się, czy tu, w Corvium, znajdę podobne ustronne miejsce. Perspektywa takiej ulgi pomaga mi nie zwariować. Drapię po krześle pazurowatym pierścieniem tak cicho, że słyszy to tylko matka. Nie może mnie za to zrugać, a przynajmniej nie na oczach tej dziwnej rady. Jeśli mam być na świeczniku, to przynajmniej mogę coś z tego uszczknąć.

W końcu odwracam myśli od kruchej szyi Anabel i nieobecności Elane. Jeśli zamierzam znaleźć sposób, jak wyplątać się z tego, co zaplanował dla mnie ojciec, to muszę przynajmniej uważać.

– Ich armia jest w odwrocie. Nie możemy dać królowi Mavenowi czasu na reorganizację – mówi chłodno.

Za jego plecami przez wysokie okna wieży widać, jak słońce zaczyna schodzić za chmury wiszące nad zachodnim horyzontem. Nad obróconymi w proch polami wciąż unosi się dym.

– Wylizuje rany.

– Chłopak wkracza już do Duszni – odpowiada szybko królowa Anabel.

„Chłopak”. Mówi o Mawenie, jakby nie był jej wnukiem. Podejrzewam, że nie będzie się już do tego przyznawać. Nie po tym, jak pomógł zabić jej syna, króla Tyberiasza. Maven nie jest jej rodziną, tylko Elara i nikt inny.

Anabel nachyla się do przodu, podpierając się na łokciach, i składa razem pomarszczone dłonie. Jej stara obrączka, wysłużona, ale błyszcząca, połyskuje na palcu. Kiedy zaskoczyła nas w Grani i oznajmiła, że zamierza wesprzeć wnuka, nie miała na sobie ani grama metalu. Wiedziała, co mogą z nim zrobić Żeleźcy tacy jak my. Teraz nosi ją bez skrępowania, wręcz rzucając nam wyzwanie, byśmy spróbowali wykorzystać przeciw niej jej koronę lub biżuterię. Każdy element stroju Anabel to przekalkulowany wybór. Nie jest też bezbronna. Była wojowniczką, zanim została królową, oficerem na froncie wojny z Lakelandią. Jest Niwecznikiem, ma śmiercionośny dotyk, potrafi nim unicestwiać i wysadzać –

zarówno przedmioty, jak i ludzi.

Gdyby nie to, do czego próbuje mnie zmusić, przynajmniej szanowałabym jej determinację.

– O tej porze większość jego wojsk będzie za Wodospadami Dziewiczymi i po drugiej stronie granicy – dorzucą. – Teraz są już w Lakelandii.

– Lakelandzka armia też poniosła spore straty i jest równie podatna na atak. Powinniśmy uderzyć, póki możemy, nawet jeśli tylko po to, żeby rozprawić się z niedobitkami. – Ojciec przenosi wzrok z Anabel na jednego ze Srebrnych arystokratów. – Flota domu Laris może być gotowa w ciągu godziny, czyż nie?

Wielmożny generał Laris prostuje się pod spojrzeniem ojca. Jego piersiówka jest pusta i teraz delektuje się już tylko stanem zwycięskiego zamroczenia. Laris odchrząkuje. Czuję bijący od niego alkohol, choć siedzę po drugiej stronie sali.

– Oczywiście, Wasza Królewska Mość. Proszę tylko wydać rozkaz.

Przerywa mu czyjś niski głos:

– Będę temu przeciwny.

Pierwsze słowa Cala, odkąd zakończył kłótnię z Mare Barrow, są zdecydowanie nie byle jakie. Tak jak jego babcia, jest ubrany w czerń z czerwonymi dodatkami – już dawno pozbył się munduru, który miał na sobie podczas walk. Poprawia się na krześle tronowym obok Anabel, przyjmując przydzielone mu role: króla i jej zabawki. Jego wuj, Julian z domu Jacos, znajduje się po lewej stronie siostrzeńca, a królowa Lerolan po jego prawej. W obstawie szlachejnych i wpływowych krewnych Cal tworzy spójny wizerunek. Szlachetny król godny naszego wsparcia.

Nienawidzę go za to.

Cal mógł zakończyć moją niedolę, zerwać nasze zaręczyny, odmówić mojej ręki w małżeństwie, którą zaproponował mu ojciec. Ale dla korony odtrącił Mare. Dla korony wtrącił mnie do klatki.

– Co? – Ojciec mówi tylko tyle. Nie jest zbyt rozmowny i nie znosi pytań. Już samo to, że je zadaje, jest niepokojące.

Aż cała nieruchomieję.

Cal ściąga ramiona, prezentując imponującą sylwetkę. Wspiera podbródek na knykciach, marszcząc brwi w zamyśleniu. Wydaje się większy, starszy, mądrzejszy. Jest poważną konkurencją dla króla Rowów.

– Powiedziałem, że będę przeciwny wysłaniu floty powietrznej czy jakiegokolwiek odłamu naszej koalicji w pogoni na wrogie terytorium – odpowiada Cal miarowym tonem.

Muszę przyznać, że nawet bez korony ma w sobie coś z monarchy. Coś, co wymusza uwagę, jeśli nie szacunek. Nic w tym zaskakującego, skoro uczył się tego całe życie, a zawsze był wzorowym uczniem. Jego babka ściąga usta w wąski, ale szczery uśmiech. Jest z niego dumna.

– Dusznia właściwie wciąż jest polem minowym, a mamy bardzo niewiele informacji wywiadowczych, dzięki którym przedostalibyśmy się na drugą stronę Polany. To może być pułapka. Nie zaryzykuję życia swoich żołnierzy.

– Wojna na każdym etapie jest ryzykowna – odzywa się Ptolemeusz, który siedzi po drugiej stronie ojca. Napręża się tak jak Cal, prostuje na tronie tak bardzo, jak tylko może.

Zachodzące słońce nadaje włosom Toliego rudawe zabarwienie, przez co jego wygładzone srebrne loki błyszczą nad książęcą koroną. To samo światło zalewa Calą kolorami jego domu, podczas gdy za jego plecami ciągną się czarne cienie. Dziwnie mierzą się wzrokiem, jak to mężczyźni mają w zwyczaju. „We wszystkim rywalizują”, myślę sobie z kpiną.

– Wnikliwa uwaga, książę Ptolemeuszu – odpowiada Anabel oschłym tonem. – Ale Jego Królewska Mość król Norty doskonale wie, jaka jest wojna. I zgadzam się z jego oceną.

„Już nazywa go królem”. Nie tylko ja zauważam jej dobór słów.

Cal spuszcza wzrok, zaskoczony. Szybko wraca do siebie, zaciskając zęby ze zdecydowaniem. Już dokonano wyboru. „Teraz już nie możesz się cofnąć, Calore”.

Premier Montfortu Davidson kiwa głową z miejsca przy swoim stole. Bez

generał Szkarłatnej Gwardii i Mare Barrow łątno nie zwracać na niego uwagi. Prawie całkiem o nim zapomniałam.

– Popieram – mówi. Nawet jego głos jest nijaki, bez modulacji czy akcentu. – Nasze armie potrzebują czasu, żeby się zregenerować, a ta koalicja, by znaleźć... – Na moment urywa, żeby pomyśleć.

Nadal nie jestem w stanie rozszyfrować jego miny, co potwornie mnie irytuje. Zastanawiam się, czy Szeptacz byłby w stanie przebić się przez ochronne tarcze otaczające jego umysł.

– ... równowagę.

Matka nie jest równie opanowana jak ojciec i przeszywa Nowego przywódcę czarnym spojrzeniem. Jej wąż naśladuje jej zachowanie i mruga, rozglądając się na boki.

– Czyli nie ma żadnych szpiegów ani informacji wywiadowczych z drugiej strony granicy? Proszę wybaczyć, ale odniosłam wrażenie, że Szkarłatna Gwardia – wymawia tę nazwę z obrzydzeniem – ma złożoną siatkę szpiegowską zarówno w Norcie, jak i w Lakelandii. Z pewnością można by ją wykorzystać, chyba że Czerwoni przeceniają siebie i swoją „siłę”. – Jej słowa ociekają pogardą jak kły trucizną.

– Nasi agenci są na swoich pozycjach, Wasza Wysokość.

Czerwona generał, blondynka z zarozumiałym uśmiechem, który nie schodzi jej z twarzy, wkracza na salę, ciągnąc za sobą Mare. Obie przechodzą od głównych drzwi, znajdujących się na obrzeżach pomieszczenia, na jego drugą stronę, aby usiąść z Davidsonem. Poruszają się szybko i po cichu, jak gdyby w jakiś sposób były w stanie uniknąć ściągnięcia na siebie uwagi wszystkich obecnych.

Gwardzistka siada na krześle, a Mare patrzy przed siebie i ze wszystkich obecnych wybiera właśnie mnie, by zatrzymać wzrok. Ku mojemu zaskoczeniu czuję pod jej spojrzeniem nieznaną emocję. „Czy to wstyd? Nie, to niemożliwe”. Moje policzki stają się gorące. Mam nadzieję, że nie robię się srebrna na twarzy, nieważne, czy ze złości, czy z zażenowania. Te wszystkie emocje kotłują się we

mnie nie bez powodu. Odwracam wzrok i spoglądam na Cala, nawet jeśli tylko po to, aby rozproszyć uwagę jedyną osobą, która jest bardziej godna pożałowania niż ja.

Widać, że stara się wyglądać na niewzruszonego jej obecnością. Ale Cal nie jest swoim bratem. W przeciwieństwie do Mavena ma niewielką wprawę w maskowaniu emocji. Spod jego skóry przebija srebrny rumieniec, oblewający mu policzki, szyję, a nawet brzegi uszu. Temperatura w pomieszczeniu nieco się podnosi i drga od emocji. „Co za głupiec – drwię w duchu. – Podjąłeś decyzję, Calore. Podpisałeś wyrok na nas oboje. Mógłbyś przynajmniej udawać, że nad sobą panujesz. Jeśli ktoś ma tu stracić rozum z powodu złamanego serca, to jestem to ja”.

Prawie spodziewam się, że zacznie żałośnie miauczeć jak zagubiony kociak. On jednak zaczyna gwałtownie mrugać powiekami i odrywa wzrok od dziewczuszki od błyskawic. Zaciska dłoń na ramieniu krzesła, a bransoleta krzesząca iskry jaśnieje na czerwono w świetle zachodzącego słońca. Cal bierze się w garść. Bransoleta przygasa tak samo jak jego emocje.

Mare jest jak kamień w porównaniu z Calem. Sztywna, nieugięta, pozbawiona uczuć. Nie puści ani iskry. Tylko dalej się na mnie gapi. Działa mi to na nerwy, ale nie stanowi wyzwania. Jej oczy są dziwnie pozbawione zwyczajowej złości. Oczywiście nie ma w nich nic życzliwego, ale nie przepełnia ich też obrzydzenie. Podejrzewam, że dziewczuszka od błyskawic nie ma teraz zbyt wielu powodów, aby mnie nienawidzić. Czuję ucisk w piersi – czy ona wie, że to nie był mój wybór? „Na pewno wie”.

– Dobrze, że wróciłaś, panno Barrow – mówię do niej, i to szczerze.

Zawsze skutecznie rozprasza uwagę książąt Calore.

Nie odpowiada, tylko krzyżuje ręce na piersi.

Jej towarzyszka, generał Szkarłatnej Gwardii, nie jest taka skora do milczenia. Niestety. Spogląda z grymasem niezadowolenia na moją matkę, igrając z losem.

– Obecnie nasi agenci zmieniają pozycje, śledząc armię króla Mavena podczas

odwrotu. Poinformowano nas, że jego oddziały w szybkim tempie maszerują w stronę Detraonu. Maven wraz z kilkoma generałami wsiadł na statek na jeziorze Eris, który najprawdopodobniej również zmierza do stolicy Lakelandii. Krążą pogłoski o rychłym pogrzebie lakelandzkiego króla. Nasi wrogowie mają też znacznie więcej uzdrowicieli niż my. Ci, którzy przeżyli bitwę, zregenerują siły przed kolejnym starciem szybciej od nas.

Anabel robi kwaśną minę, rzucając ojcu ostre spojrzenie.

– Tak, dom Skonos nadal pozostaje podzielony na dwa obozy. Większość Uzdrowicieli opowiada się po stronie uzurpatora.

„Jak gdyby to była nasza wina. Zrobiliśmy, co mogliśmy. Przekonaliśmy, kogo się dało”.

– Nie wspominając o tym, że Lakelandczycy mają własne domy Uzdrowicieli.

Machając ręką, z wąskim uśmiechem na ustach Davidson przechyla głowę. W kącikach jego oczu formują się zmarszczki zdradzające wiek. Podejrzewam, że ma około czterdziestu lat, ale trudno powiedzieć na pewno.

Zbliża palce do skroni, w geście dziwnego salutu lub obietnicy.

– Zaradzi temu Montfort. Mam zamiar złożyć wnioski o użyczenie nam Uzdrowicieli, zarówno Srebrnych, jak i Żarliwych.

– Wniosek? – pyta ojciec szyderczo.

Pozostali Srebrni są równie zmieszani, a ja odwracam się do Toliego i pochwytyuję jego spojrzenie. Marszczy brew. Nie wie, co Davidson ma na myśli. Czuję niepokój w żołądku, aż przygryzam wargę, by się uspokoić. Zwykle jedno z nas dostarcza to, czego brakuje drugiemu. Ale w tym wypadku oboje jesteśmy zagubieni. „Ojciec też”. Choć jestem na niego ogromnie zła, nic nie przeraża mnie bardziej. Ojciec nie ochroni nas przed tym, czego nie rozumie.

Mare także nie wie, o czym mowa, i z konsternacją marszczy nos. „Co za ludzie”, złorzeczę do siebie. Zastanawiam się, czy uśmiechająca się szyderczo kobieta z blizną wie, o co Davidsonowi chodzi.

Premier wydaje z siebie cichy rechot. „Staruch dobrze się przy tym bawi”.

Spuszcza wzrok, a jego ciemne rzęsy muskają policzki. Gdyby chciał, mógłby być przystojny.

– Jak wszyscy wiecie, nie jestem królem. – Znów podnosi wzrok i spogląda najpierw na ojca, potem na Cal, a na końcu na Anabel. – Służę z woli swojego narodu, a mój naród ma innych wybranych w głosowaniu polityków, którzy reprezentują jego interesy. Muszą dojść do porozumienia. Kiedy wrócę do Montfortu, by poprosić o dodatkowe wsparcie wojsk...

– „Wrócę”? – powtarza Cal, przerywając Davidsonowi. – Kiedy zamierzałeś nam powiedzieć?

Po chwili Davidson wzrusza ramionami.

– Teraz.

Mare wykrzywia usta. Nie wiem, czy próbuje zapanować nad grymasem, czy nad uśmiechem zadowolenia. Pewnie to drugie.

Nie tylko ja to zauważam. Cal spogląda to na nią, to na premiera, ze wzbierającą podejrzliwością.

– A co będziemy robić pod twoją nieobecność, premierze? – dopytuje. – Czekać? Czy walczyć jedną ręką?

– Wasza Wysokość mi schlebia, uważając Montfort za tak ważnego sprzymierzeńca – odpowiada Davidson, uśmiechając się od ucha do ucha. – Przykro mi, ale prawo mojego kraju musi być przestrzegane, nawet podczas wojny. Nie zdradzę zasad Montfortu i będę bronił praw swoich rodaków. Koniec końców, wielu z nich pomoże wam odzyskać wasz kraj. – Ostrzeżenie w jego słowach staje się równie jasne, jak uśmiech przyklejony do twarzy.

Ojciec jest w tym lepszy niż Cal. On też przybiera pusty uśmiech.

– Nigdy nie zażądaliśmy od władcy, by odwrócił się od własnych ludzi.

– Oczywiście, że nie – odpowiada oschle Czerwona z blizną.

Ojciec przyjmuje tę zniewagę ze spokojem, ale tylko dla dobra koalicji. Podejrzewam, że gdyby nie nasz sojusz, zabiłby ją, by udzielić wszystkim lekcji dobrych manier.

Cal stara się zachować spokój i nie tracić głowy.

– Jak długo cię nie będzie, premierze?

– To zależy od mojego rządu, ale spodziewam się przewlekłej debaty – odpowiada Davidson.

Królowa Anabel klaszcze z rozbawieniem. Śmieje się, przez co zmarszczki na jej twarzy się pogłębiają.

– Bardzo interesujące. A co twój rząd uznaje za przewlekłą debatę, premierze?

Czuję się tak, jakbym oglądała sztukę graną przez kiepskich aktorów. Żaden z nich – ojciec, Anabel, Davidson – nie ufa ani jednemu słowu z ust pozostałych.

– Lata. – Davidson wzdycha z tym samym wymuszonym rozbawieniem co ona. – Demokracja to zabawna rzecz. Choć żadne z was jeszcze o tym nie wie.

Ostatni cios ma boleć, i boli. Uśmiech Anabel robi się mroźny. Królowa stuka dłonią o blat stołu, co jest kolejnym ostrzeżeniem. Dzięki swojej umiejętności potrafi z łatwością zabijać. Tak jak reszta z nas. Wszyscy jesteśmy śmiertelnie niebezpieczni, wszyscy mamy swoje ukryte motywy. Nie wiem, ile jeszcze będę w stanie to wytrzymać.

– Z chęcią sama się przekonam.

Temperatura wzrasta, zanim słowa opuszczają usta Mare. Tylko ona nie spogląda na Cala. On przeszywa ją rozpalonym wzrokiem, jednocześnie przygryzając wargę. Mare pozostaje niewzruszona, jej mina niczego nie zdradza. Chyba pobierała lekcje u Davidsona.

Szybko zasłania usta dłonią, tłumiąc spontaniczny śmiech. Mare Barrow ma diabelny talent wyprowadzania z równowagi mężczyzn z rodu Calore. Zastanawiam się, czy ona to sobie planuje. Nie śpi po nocach i obmyśla, jak najlepiej namieszać w głowie Mavenowi lub rozproszyć uwagę Cala.

„Ale czy na pewno? Byłaby w stanie?”

Instynktownie próbuję zdusić w sobie iskrę nadziei, która wybucha w mojej piersi. Po chwili pozwalam jej jednak rozkwitnąć.

„Zrobiła to Mavenowi. Dostarczała mu zajęć. Zaburzała jego równowagę.

Trzymała go z dala od ciebie. Dlaczego nie miałyby zrobić tego samego z Calem?”

– W takim razie będziesz świetnym wysłannikiem Norty. – Udaję znudzoną, niezainteresowaną. Niezbyt chętną. Nie chcę, aby ktokolwiek zdał sobie sprawę, że rzucam daleko kość, bo wiem, że szczeniak za nią pobiegnie.

Mare gwałtownie na mnie spogląda, jej brwi unoszą się o centymetr. „No dalej, Mare”. Dobrze, że nikt z tutaj obecnych nie potrafi czytać w moich myślach.

– Absolutnie nie, Evangeline – odpowiada szybko Cal, cedząc słowa przez zaciśnięte zęby. – Proszę nie uznać tego za brak szacunku, premierze, ale nie wiemy na tyle dużo na temat waszego kraju...

Mrugam i patrzę na swojego narzeczonego, lekko przechylając głowę. Srebrne włosy ześlizgują się po łuskowej zbroi zasłaniającej mój obojczyk. Elektryzuje mnie moc, jaką teraz mam, choćby była niewielka.

– Ale czy istnieje lepszy sposób, by go poznać? Mare zostanie dobrze przyjęta, jak bohaterka. Montfort to kraj Nowych. Jej obecność pomoże naszej sprawie, prawda, premierze?

Davidson wlepia we mnie swoje puste oczy. Mam wrażenie, że przeszywa mnie nimi na wylot. „Patrz, ile chcesz, Czerwony”.

– Niewątpliwie.

– Ufasz, że doniesie nam o wszystkim, czego się tam dowie? Bez koloryzowania i pomijania faktów? – Anabel prycha z niedowierzaniem. – Pamiętaj, księżniczko Evangeline, że Czerwona dziewczyna nie ma powodów, by być lojalna wobec kogokolwiek ze srebrną krwią.

Cal i Mare w tym samym momencie opuszczają wzrok, jak gdyby oboje powstrzymywali się od tego, by na siebie spojrzeć.

Wzruszam ramionami.

– W takim razie wyślijcie z nią Srebrnego. Na przykład lorda Jacosa.

Starszy, chudy mężczyzna w żółtych szatach robi złękioną minę na dźwięk swojego nazwiska. Wygląda na umęczonego, jak sfatygowany kawałek materiału.

– Jeśli dobrze pamiętam, jesteś uczonym, prawda?

– Zgadza się – odmrucuje.

Mare podrywa głowę. Jej policzki są czerwone, ale reszta jej ciała wydaje się opanowana.

– Wyślijcie z nami, kogo tylko chcecie. Pojadę do Montfortu i żaden król nie ma prawa mnie powstrzymać. Choć może spróbować.

„Doskonale”. Calore nieruchomieje na swoim miejscu. Jego babka przysuwa się bliżej. Siedząc przy nim, wydaje się od niego o wiele mniejsza, jednak ich podobieństwo nadal jest wyraźne. Te same oczy w kolorze brązu, szerokie ramiona, prosty nos. To samo żołnierskie serce. I koniec końców ta sama ambicja. Obserwuję go, gdy przemawia, obawiając się jego odpowiedzi.

– A więc lord Jacos i Mare Barrow będą reprezentować prawdziwego króla Norty wraz...

Z bransolety Cala podnoszą się iskry, rodząc mały czerwony płomień. Powoli przemieszcza się po jego knykciach.

– Prawdziwy król będzie reprezentował samego siebie – mówi Cal, z rozpalonymi oczami.

Mare zaciska zęby. Muszę użyć całej swojej siły, by spokojnie usiedzieć na krześle, ale w środku tańczę i skaczę. „To była łatwizna”.

– Tyberiaszu – syczy Anabel.

Ale on nie zaszczycą jej odpowiedzią, a ona nie może na niego naciskać. „Sama to sobie zrobiłaś, starucho. Mianowałaś go królem. Teraz musisz się podporządkować”.

– Przyznaję: po wujku Julianie i swojej matce mam w sobie pewną wrodzoną ciekawość – wyjaśnia Cal. Łagodnieje, gdy wspomina matkę.

Cóż, niewiele o niej wiem. Coriane Jacos nie była podwładną, którą dobrze znosiła królowa Elara.

– Chcę odwiedzić Wolną Republikę i przekonać się, czy wszystkie opowieści o niej są prawdziwe. – Głos Cala się obniża. Spogląda na Mare z taką intensywnością, jak gdyby siłą woli próbował zmusić ją, by odwzajemniła jego

spojrzenie, ale ona tego nie robi. – Chcę to zobaczyć na własne oczy.

Davidson odpowiada skinieniem głowy i z błyskiem w oku. Jego bezpłciowa maska nieco się osuwa, ale tylko na sekundę.

– Wasza Królewska Mość będzie bardzo mile widziana.

– Świetnie. – Cal strzepuje ogień z palców, zanim postuka nimi o stół. – W takim razie ustalone.

Jego babka ściąga usta, jakby zjadła coś kwaśnego.

– Ustalone? Musisz wbić swoją flagę w Delphie, ogłosić swoją stolicę. Musisz zdobyć terytorium, zdobyć zasoby, zjednać sobie ludzi, skłonić więcej wysokich domów do przejścia na twoją stronę...

Cal nie daje się zniechęcić.

– Rzeczywiście potrzebuję zasobów, babciu. Żołnierzy. Montfort ich ma.

– Oczywiście masz rację – odpowiada ojciec gromkim tonem, który wznieca w moim sercu dawny lęk.

„Czy jest na mnie zły, że to sprowokowałam? Czy może jest zadowolony?” Przekonałam się, co znaczy rozgniewać Volvo Samosa, kiedy jeszcze byłam dzieckiem. Stajesz się wtedy duchem. Ignorowanym, niechcianym. Do czasu, aż zasłużysz sobie z powrotem na jego miłość dzięki osiągnięciom i inteligencji.

Spoglądam na ojca kątem oka. Król Rowów siedzi wyprostowany na krześle tronowym, blady i doskonały. Pod jego misternie przystrzyżoną brodą zauważam cień zadowolonego uśmiešku. Wypuszczam z płuc krótkie, ciche westchnienie ulgi.

– Prośba wystosowana przez samego prawowitego króla Norty może zrobić wrażenie na rządzie Montfortu – ciągnie ojciec. – I dodatkowo wzmocni nasz sojusz. Jedynym słusznym krokiem będzie więc, jeśli wyślę i swojego emisariusza, by reprezentował królestwo Rowów.

„Tylko nie Toliego!”, krzyczę w swojej głowie. Mare Barrow obiecała go nie zabić, ale nie ufam jej słowu, zwłaszcza przy tak sposobnych okolicznościach. Już to widzę. To nie byłby nieszczęśliwy wypadek. A poza tym Elane, jego posłuszna

żona, musiałaby mu towarzyszyć. Jeśli ojciec wyśle Toliego, mój brat wróci z tej wyprawy jako trup.

– Evangeline pojedzie z wami.

W okamgnieniu ulgę, którą czuję, wypierają mdłości.

Nie wiem, czy kazać podać sobie kolejny kieliszek wina, czy wymiotować na podłogę. W mojej głowie przekrzykują się głosy, z których każdy mówi to samo.

„Sama jesteś sobie winna, ty głupia dziewczyno”.

ROZDZIAŁ 3

MARE

Mój śmiech niesie się echem po wschodnich murach i nad ciemnymi polami. Zginam się wpół, podpierając o gładkie przedpiersie i próbując złapać oddech. Nie mogę nad sobą zapanować. Obezwładnia mnie prawdziwy śmiech, pochodzący głęboko z wnętrza brzucha. Dźwięk jest pusty, ostry i trochę obcy, bo tak dawno się nie śmiałam. Szczypią mnie blizny na karku, ale nie potrafię się powstrzymać. Śmieję się, aż zaczynają mnie boleć żebra. Muszę usiąść i oprzeć plecy o zimny kamień. I tak nie przestaję, i nawet kiedy przygryzam zaciśnięte wargi, nadal co chwila wymyka mi się parsknięcie.

Słyszają mnie tylko patrolujący żołnierze, ale wątpię, żeby zwracali uwagę na dziewczynę śmiejącą się samotnie w ciemności. Zasłużyłam sobie na to, by móc się śmiać, płakać albo krzyczeć, kiedy tylko będę mieć ochotę. Jakaś część mnie chce robić wszystkie te rzeczy. Śmiech ostatecznie wygrywa.

Zachowuję się jak wariatka, a może nawet nią jestem. Mam wymówkę po tym, co się dziś wydarzyło. Ludzie nadal znoszą ciała z przeciwnej strony Corvium. Cal wybrał swoją koronę zamiast wszystkiego, o co walczyliśmy. Oboje mamy świeże rany, których nie może uleczyć żaden Uzdrowiciel. Rany, o których muszę zapomnieć, żeby nie zwariować. Jedyne, co mogę, to schować twarz w dłoniach, zacisnąć zęby i walczyć z piekielnym, idiotycznym śmiechem.

„To jakieś kompletne szaleństwo”.

Evangeline, Cal i ja pojedziemy razem do Montfortu. Genialny żart.

Dokładnie tyle przekazałam w wiadomości do Kilorna, który nadal jest bezpieczny w Piedmoncie. Chciałby dowiedzieć się wszystkiego, co tylko mogę

przekazać dalej. Po tym, jak przekonałam go, żeby został, jedyną rzeczą, którą mogę zrobić, to przynajmniej na bieżąco go informować. I oczywiście chcę, by był poinformowany. Chcę, żeby ktoś śmiał się ze mną i przeklinał to, co się wydarzy.

Po raz kolejny wydaję z siebie mroczny rechot, przechylam głowę w tył i opieram ją o kamień. Gwiazdy nade mną są jak białe ziarenka, przytłumione przez światła Corvium oraz wschodzący księżyc. Gwiazdy zdają się z góry obserwować fortecę. Dumam o tym, czy bogowie Iris Cygnet śmieją się razem ze mną. Jeśli w ogóle istnieją.

Zastanawiam się, czy Jon też się śmieje.

Na myśl o nim zamarza mi krew w żyłach, zabijając resztki maniakalnego śmiechu. Ten przeklęty przepowiadający przyszłość Nowy gdzieś się chowa po tym, jak się nam wymknął. Tylko po co uciekł? By siedzieć na wzgórzu i nas obserwować? Przerzucać swoimi czerwonymi oczami w prawo i w lewo, podczas gdy my będziemy się nawzajem wybijać? Czy to jakiś mistrz gry rozstawiający nas według swoich upodobań i rozgrywający nami przyszłość, którą przewidział? Gdyby istniały na to choć małe szanse, spróbowałabym go znaleźć. Zmusić go, by uchronił nas przed tragicznym losem. Ale to absurd. Przewidzi, że nadchodzę. Znajdę Jona, tylko jeśli będzie chciał być znaleziony.

Z frustracją drapię się po twarzy i głowie, pozwalając paznokciom poharatać skórę. Ich ostry dotyk powoli przywraca mnie do rzeczywistości. Podobnie jak chłód. Kamienie przedpiersia wraz z zapadaniem zmroku tracą swoje ciepło. Tkanina mojego munduru jest cienka i wkrótce zacznym drzeć, a ostre i twarde krawędzie muru nie stanowią najwygodniejszego oparcia. Mimo to się nie ruszam.

Opuszczenie tego miejsca oznacza sen, ale także zejście na dół. Do pozostałych, do koszar. Nawet jeśli przykleję do ust uśmiech i będę biec, nie ominie mnie spotkanie z Czerwonymi, Nowymi i Srebrnymi. A na pewno z Julianem. Potrafię sobie wręcz wyobrazić, jak siedzi na mojej pryczy, czekając z kolejnym wykładem. Nie wiem jednak, co mógłby mi powiedzieć.

Myślę, że stanie po stronie Cala. Gdy to wszystko dobiegnie końca. Kiedy stanie się jasne, że nie pozwolimy mu zachować miejsca na tronie. Srebrni są

lojalni wobec krwi. A Julian jest lojalny wobec swojej nieżyjącej siostry. Cal jest ostatnią częścią, która po niej została. Julian nie odwróci się od tego, choć tyle mnie uczył o rewolucji i historii. Nie zostawi Cala samego.

„Tyberiasza. Nazywaj. Go. Tyberiaszem”.

Nawet myślenie o jego imieniu boli. Jego prawdziwym imieniem. Jego przyszłości. Tyberiasz Calore Siódmy, król Norty. Płomień Północy. Wyobrażam go sobie na tronie brata, bezpiecznego w klatce z Cichego Kamienia. A może wyciągnie monstrum z diamentowego szkła, na którym siedział jego ojciec? Zniszczy każdy ślad Mavena, usunie go z kart historii. Odbuduje pałac ojca. Królestwo Norty wróci do stanu z przeszłości. Poza królem Samosem w Rowach wszystko będzie tak jak w dniu, w którym stanęłam na arenie.

Tym samym sprawię, że wszystko, co wydarzyło się od tamtego dnia, wydarzyło się na próżno.

Nie pozwolę, by do tego doszło.

I na szczęście nie będę musiała robić tego sama.

Światło księżycy pada na czarny kamień, tak że złote akcenty na każdej wieży i podpiersiu błyszczą na srebrno. W dole widzę patrole, strażników ubranych na czerwono i zielono, czuwających na warcie. Szkarłatna Gwardia i Montfort. Ich odpowiedniki, Srebrni w barwach swoich domów, pojawiają się rzadziej i trzymają się w grupkach. Dom Laris na żółto, Haven na czarno, Iral na czerwono i niebiesko, Lerolan na czerwono i pomarańczowo. Bez domu Samos. Dzięki ambicji Volvo i sprzyjającym okolicznościom stali się teraz rodziną królewską. Nie ma potrzeby marnować ich czasu na coś tak banalnego jak nocny obchód.

Zastanawiam się, co myśli o tym Maven. Tak bardzo fiksował na punkcie Tyberiasza, że mogę sobie tylko wyobrazić ciężar kolejnego króla rywala w postaci Volvo. Wszystko kręciło się wokół jego brata, mimo że Maven pozornie miał to, czego chciał. Koronę, tron, mnie. Nadal czuł jego cień. Sprawka Elary. Powykrzywiła go i uformowała stosownie do swoich potrzeb, niektóre jego cechy wyrzucając, inne wzmacniając. Jego obsesja pomogła napędzić jego pragnienie

władzy i wzmocniła jej własną żądzę. Czy król Volvo stanie się kolejnym celem Mavena? A może jego najciemniejsze i najbardziej niebezpieczne pragnienia ograniczają się do nas? Zabić Tyberiasza, zabrać mnie?

Czas pokaże. Kiedy znów uderzy, a wiem, że to na pewno się stanie.

Mam jedynie nadzieję, że będziemy gotowi.

Oddziały Davidsona, Szkarłatna Gwardia i nasza rozprzestrzeniająca się siatka szpiegowska – damy radę. Musimy.

Ale to nie znaczy, że nie możemy się przygotować.

*

– Kiedy wyjeżdżamy?

Choć nie miałam ochoty na interakcję z innymi, udało mi się dowiedzieć, jak dojść do kwatery Davidsona. Zajął dużej wielkości połączone gabinety w sektorze administracyjnym, które teraz wypełniają dowódcy montforckiej armii oraz przedstawiciele Szkarłatnej Gwardii, chociaż Farley nie ma wśród nich. Oficerowie przyjmują moje pojawienie się ze spokojem i przepuszczają głębiej osobę, którą wciąż nazywają dziewczuszką od błyskawic. Większość jest zajęta pakowaniem. Głównie dokumentów, teczek, wykresów. Nie zabierają niczego, co należy do kogoś z tu obecnych. Wszystko to są dane, którymi zajmą się ludzie inteligentniejsi niż ja. Prawdopodobnie to pozostałości po Srebrnych oficerach, którzy jako ostatni korzystali z tego miejsca.

Ada, jedna z moich Nowych rekrutek, znajduje się w centrum całej tej aktywności. Przegląda każdą kartkę pozostawioną przez obce oddziały. Zapamiętuje wszystkie treści, wykorzystując swój dar doskonałej pamięci. Pochwytyuję jej wzrok, gdy ją mijam, i witamy się skinieniem głowy. Kiedy wrócimy do Montfortu, Ada zostanie na rozkaz Farley wysłana do Dowództwa. Podejrzewam, że nie zobaczymy się przez bardzo długi czas.

Davidson podnosi wzrok znad pustego biurka. W kącikach jego lekko skośnych oczu pojawiają się zmarszczki – jedyna oznaka uśmiechu. Mimo ostrego,

bezwzględnego światła gabinetu jest przystojny jak zawsze. Dystyngowany. Onieśmielający. Rządzący monarcha, nawet jeśli nie z tytułu. Kiedy przywołuje mnie skinieniem ręki, ciężko przełykam ślinę, przypominając sobie, jak wyglądał podczas oblężenia. Zakrwawiony, wyczerpany, przestraszony. I zdeterminowany. Tak jak reszta z nas. To mnie trochę uspokaja.

– Dobrze się tam spisałaś, Barrow – mówi. Odrzucając głowę, wskazuje w niezbyt konkretnym kierunku wieży rządowej.

Prycham, mrugając powiekami w odpowiedzi.

– Chodzi ci o to, że trzymałam język za zębami?

Ktoś przy oknie zaczyna się śmiać. Odwracam wzrok i widzę Tytona, który opiera się o szybę ze skrzyżowanymi rękami. Jak zwykle, pasemko włosów opada mu na jedno oko. Też ma na sobie czysty mundur w kolorze leśnej zieleni, choć nieco za krótki przy nadgarstkach i kostkach. Nie ma żadnych insygniów, które świadczyłyby o tym, że jest Elektrykonem jak ja. Bo to nie jego mundur. Kiedy ostatnio go widziałam, był od stóp do głów umazany srebrną krwią. Bębni palcami o ramię, prezentując je niczym broń, którą naprawdę są.

– A to w ogóle możliwe? – pyta niskim tonem, nie spoglądając na mnie.

Davidson przygląda mi się i lekko kręci głową.

– Właściwie to jestem zadowolony z tego, co powiedziałaś pozostałym, Mare. Na temat wyjazdu wraz ze mną do domu.

– Tak jak mówiłam, ciekawi mnie...

Premier wystawia rękę, przerywając mi w pół zdania.

– Daruj sobie. Podejrzewam, że lord Jacos jest jedyną osobą, która robi cokolwiek z powodu zaciekawienia.

„Cóż, nie myli się”.

– Czego tak naprawdę chcesz z Montfortu?

Stojący przy oknie Tyton w końcu uracza mnie spojrzeniem, a w jego oczach odbija się światło.

Unoszę podbródek.

– Tylko to, co obiecałeś.

– Relokację? – Przynajmniej raz Davidson wygląda na naprawdę zaskoczony. – Chcesz...

– Chcę, żeby moja rodzina była bezpieczna. – Mój głos ani na moment nie drgnie. Stosuję w swojej postawie nieco z tego, czego na temat etykiety uczyła mnie nieżyjąca Srebrna.

„Plecy prosto, ramiona równo. Utrzymaj kontakt wzrokowy”.

– Toczymy prawdziwą wojnę – mówię. – Norta, Piedmont, Lakelandia i twoja republika także. Nigdzie nie jest bezpiecznie, z żadnej strony. Ale wy jesteście najdalej i wydajecie się najsilniejsi, a przynajmniej najlepiej chronieni. Myślę, że powinnam sama odwiedzić tam swoją rodzinę. Zanim wrócę, by dokończyć to, co zaczęli więksi ode mnie.

– Ta obietnica była dla Nowych, panno Barrow – odpowiada cicho Davidson.

Panujący wokół nas ruch niemal zagłusza jego słowa.

Czuję ucisk w żołądku, ale przybieram nieprzejednaną minę.

– Nie wydaje mi się, premierze.

Rozciąga usta w jeden ze swoich mdłych uśmiechów, kryjąc się za zwyczajową maską.

– Naprawdę uważasz, że jestem tak okrutny? – Dziwny żart, ale Davidson jest dziwnym człowiekiem. Przelotnie pokazuje w uśmiechu równe zęby. – Oczywiście, twoja rodzina jest mile widziana. Montfort z dumą przyjmie ich jako swoich obywateli. Pozwól, Ibarem – dodaje, wołając mi przez ramię.

Z jednego z pokoi przybiega mężczyzna i na jego widok aż podskakuje zląkniona. Wygląda kropka w kropkę jak Rash i Tahir, Nowe bliźniaki. Gdybym nie wiedziała, że Tahir nadal jest w Piedmoncie, a Rash stacjonuje w Archeonie i obaj przekazują między sobą informacje, pomyślałabym, że to któryś z nich. „Trojaczki”, szybko zdaję sobie sprawę i usta wypełnia mi gorycz. Nie lubię niespodzianek.

Tak jak jego bracia Ibarem ma ciemnobrązową skórę, czarne włosy i starannie

przystrzyżoną brodę. Ledwie zauważam bliznę na jego podbródku, skrytą pod zarostem: pojedynczą szramę zgrubiałej tkanki. Nie tak dawno temu został, podobnie jak Rash i Tahir, naznaczony blizną, by Srebrny lord był w stanie odróżnić go od pozostałych.

– Miło mi poznać – mamroczę, przymrużając oczy, gdy spoglądam na Davidsona.

Wyczuwa mój dyskomfort.

– No tak, poznaj brata Rasha i Tahira.

– Wcale niepodobni – odpowiadam oschle.

Ibarem unosi usta w nieznacznym uśmiechu i wita mnie skinieniem głowy.

– To dla mnie zaszczyt, panno Barrow. – Następnie odwraca się do premiera z wyczekującą miną. – W czym mogę pomóc?

Davidson spogląda mu w oczy.

– Skontaktuj się z Tahirem. Niech poinformuje rodzinę Barrowów, że jutro przyjedzie po nich córka. Zostaną przesiedleni do Montfortu.

– Tak jest – odpowiada. Jego oczy na moment zachodzą mgłą, kiedy nadaje wiadomość ze swojej głowy do umysłu brata. – Przekazane, panie premierze. Tahir przesyła gratulacje i pozdrowienia, panno Barrow.

Mam jedynie nadzieję, że rodzice przyjmą tę propozycję. Nie, żeby mieli powody, by tego nie robić. Gisa chce się przenieść, a mama pojedzie za nią wszędzie. Bree i Tramy pojedą za mamą. Ale co do ojca nie mam pewności. Nie, jeśli będzie wiedział, że z nimi nie zostaną. „Proszę, pojedź. Pozwól mi to sobie ofiarować”.

– Podziękuj mu w moim imieniu – odburkuję, wciąż nieco zakłopotana jego obecnością.

– Przekazane – mówi Ibarem. – Tahir odpowiada, że nie ma za co.

– Dziękuję wam obojgu – wtrąca się Davidson i ma ku temu powody.

Bracia rozmawiają ze sobą z oszałamiającą prędkością, choć kiedy przebywają w jednym pomieszczeniu, jest jeszcze gorzej. Ibarem kiwa głową i odwraca się na

pięcie, by wrócić do swoich zadań.

– Czy istnieją kolejni, o których chciałbyś mi powiedzieć? – syczę, nachylając się nad biurkiem i wyszczerzając zęby.

Przyjmuje moją irytację ze spokojem.

– Nie, choć chciałbym mieć więcej takich jak on do swojej dyspozycji. – Wzdycha. – Śmieszni są ci bracia. – Zwykle Żarliwi mają swych odpowiedników wśród Srebrnych, ale nigdy nie widziałem nikogo o podobnych zdolnościach, kto nie byłby naszej krwi.

– Jego mózg wydaje się inny – mruczy Tyton.

Rzucam mu ostre spojrzenie.

– Niepokoi mnie to, w jaki sposób to mówisz.

Tyton jedynie wzrusza ramionami.

Odwracam się do Davidsona, nadal poirytowana, ale nie potrafię ignorować tego, co właśnie mi ofiarował.

– Dziękuję, że to robisz. Wiem, że rządysz krajem i dla ciebie może to nie mieć większej wartości, ale dla mnie to bardzo wiele znaczy.

– Oczywiście, że ma – odpowiada. – I mam nadzieję, że wkrótce będziemy mogli zrobić to samo dla innych rodzin podobnych do twojej. Mój rząd obecnie debatuje nad tym, w jaki sposób zmierzyć się z sytuacją, która szybko przeradza się w kryzys migracyjny, jak również nad tym, jak relokować wysiedlonych Czerwonych i Nowych. Ale ty, za to, co zrobiłaś i co nadal robisz, stanowisz dla nas wyjątek.

– A co ja właściwie takiego zrobiłam? – Słowa wymykają mi się, zanim zdążę się ugryźć w język. Czuję ciepło, które rozlewa mi się po policzkach.

– Zrobiłaś pęknięcia w czymś nie do przebicia. – Davidson mówi takim tonem, jak gdyby stwierdzał coś oczywistego. – Wgięcia w zbroi. Doszczelniłaś pokrywę słoika, panno Barrow. Teraz ją ściągniemy. – Jego uśmiech jest szczery, szeroki i biały. Kojarzy mi się z kotem. – Nie bez znaczenia jest też to, że dzięki tobie Republikę odwiedzi pretendent do tronu Norty.

Na te słowa przeszywa mnie dreszcz. „Czy to jest groźba?” Chwytam blat i nachylam się nad biurkiem.

– Masz mi dać słowo, że nic mu się nie stanie – mówię niskim, ostrzegawczym tonem.

Davidson ani na moment nie wstrzymuje odpowiedzi.

– Daję słowo – odpowiada tym samym głosem. – Nie zrobię nic, by spadł mu choć włos z głowy. Ani ja, ani nikt inny, póki Calore jest w moim kraju. Masz moją solenną obietnicę. Nie działam w ten sposób.

– Cieszę się – odpowiadam. – Bo to byłby idiotycznie głupi ruch pozbyć się buforu pomiędzy naszym sojuszem a Mavenem Calore. – A nie jesteś głupim człowiekiem, prawda, premierze?

Koci uśmiech się poszerza. Premier kiwa głową.

– Mały księżę tylko skorzysta na tej wizycie. – Davidson unosi jedną idealnie zaczesaną siwą brew. – Zobaczycie królestwo bez króla.

„Niech zobaczy, że to możliwe. Że korona i tron nie są jego obowiązkiem. Nie musi być królem ani księciem. Nie, jeśli tego nie chce”.

„Ale myślę, że on chce”.

– Tak. – To jedyne, co jestem w stanie powiedzieć. I wszystko, na co mogę mieć nadzieję. W końcu czy nie poznałam Tyberiasza w ciemnej tawernie, kiedy udawał kogoś innego, by móc zobaczyć, jak naprawdę wygląda świat? Zobaczycie, co powinno się zmienić.

Davidson odchyła się na krześle, dając znak, że spotkanie skończone.

– Możesz uważać swoją prośbę za spełnioną – mówi. – I masz szczęście, że i tak musimy najpierw wrócić do Piedmontu, bo inaczej nie byłbym taki skory, by transportować stamtąd stado twoich krewnych.

Prawie puszcza mi oko.

Prawie się uśmiecham.

W pół drogi do baraków zdaję sobie sprawę, że ktoś idzie za mną przez miastofortecę. Kroki pobrzmiwające na krętej ulicy wydają się bliskie, zwinne i miarowe. Fluorescencyjne światła rzucają dwa cienie – mój i kogoś innego. Napinam mięśnie z niepokojem, ale nie ze strachem. W Corvium roi się od żołnierzy koalicji, a jeśli którykolwiek z nich jest na tyle głupi, by próbować zrobić mi krzywdę, to proszę bardzo, może spróbować. Potrafię się bronić. Czuję biegnące pod skórą iskry, gotowe, by wystrzelić. Gotowe działać.

Odwracam się gwałtownie, licząc, że wezmę tego, kto się za mną skrada, z zaskoczenia. Nic z tego.

Evangeline zatrzymuje się spokojnie, krzyżuje na piersi swoje ciemne ramiona, unosi idealne brwi. Nadal jest ubrana w wystawną zbroję, która bardziej pasuje na dwór królewski niż na pole walki. Nie ma jednak korony. Kiedyś to było jej hobby: mierzyć korony i diademy z wszelkich kruszców, jakie tylko wpadły jej w ręce. Ale teraz, kiedy ma pełne prawo włożyć którąś z nich, jej głowa jest goła.

– Śledziłam cię przez dwa sektory miasta, Barrow, a ty nic – mówi, odrzucając głowę w tył. – A podobno byłaś złodziejką.

Znów uruchamia mi się nieopanowany rechot i nie mogę nic na to poradzić, ale uśmiecham się pod nosem, robiąc głośny wydech. Jej kąśliwa uwaga jest czymś znajomym, a wszystko, co znajome, przynosi mi teraz otuchę.

– Nie zmieniasz się, Evangeline.

Jej uśmiech błyska jak nóż.

– Oczywiście, że nie. Po co zmieniać ideał?

– No to nie będę cię odrywać od twojego idealnego życia, Wasza Wysokość – odpowiadam. Nadal uśmiechając się zadziornie, schodzę jej z drogi. Sprawdzam jej blef.

Evangeline Samos nie szukała mnie po to, by trochę sobie ze mną popyskować. To, jak się zachowywała podczas narady, sprawiło, że jej motywy są dla mnie jasne.

Evangeline mruga kilka razy, a jej buta nieco słabnie.

– Mare – mówi teraz łagodniejszym tonem. Proszącym. Duma nie pozwoli jej jednak błagać. Ten przekłety Srebrny kręgosłup. Nie wie, jak się ugiąć. Nikt jej tego nie nauczył i nikt nie pozwoli jej spróbować.

Mimo wszystkiego, co między nami zaszło, czuję w sercu odrobinę litości. Evangeline wychowano na Srebrnym dworze, urodziła się, by spiskować i awansować, nauczyła się walczyć z tą samą zaciętością, z jaką strzeże swojego umysłu. Ale jej maska nie jest taka doskonała, zwłaszcza w porównaniu z maską Mavena. Po wielu miesiącach interpretowania każdego cienia w jego spojrzeniu myśli Evangeline odzwierciedlone w jej oczach są dla mnie banalnie proste do odczytania. Biję od niej cierpienie. Tęsknota. Sprawia wrażenie drapieżnika w klatce, który nie ma szansy na ucieczkę. Część mnie chce ją tam pozostawić. By zdała sobie sprawę, o jakim życiu kiedyś marzyła. Chcę wierzyć, że nie jestem taka okrutna. I nie jestem też taka głupia. Evangeline Samos będzie bardzo wpływowym sojusznikiem i jeśli muszę ją sobie zjednać tym, czego ode mnie chce, to trudno.

– Jeżeli szukasz współczucia, to idź dalej – mówię pod nosem, pokazując raz jeszcze na pustą ulicę.

To słaba groźba, a mimo to Evangeline się obrusza. Jej oczy, już i tak czarne, ciemniej jeszcze bardziej. Docinka działa, popycha pod ścianę, zmusza do mówienia.

– Nie potrzebuję twojego współczucia – warczy w odpowiedzi. Ostre jak igły krawędzie jej zbroi wyostrzają się wraz z jej gniewem. – Zresztą wiem, że na to nie zasługuję.

– Zdecydowanie nie – pryham. – Czyli chcesz pomocy? Wymówki, żeby nie jechać do Montfortu z resztą naszej wesołej wycieczki?

Twarz Evangeline wykrzywia się z kolejnym cierpkim uśmiechem.

– Nie jestem na tyle głupia, żeby być ci cokolwiek winna. Nie, chodzi mi o wymianę.

Kontroluję swoją mimikę i wpatruję się jej prosto w oczy. Staram się zachowywać z godną Davidsona spokojną, nieprzeniknioną pustką.

– Tak sądziłam.

– Dobrze wiedzieć, że nie jesteś taka tępa, jak mówią ludzie.

– No to z czym przychodzisz? – pytam, chcąc przyspieszyć sprawę.

Już jutro wyjeżdżamy do Piedmontu, a potem do Montfortu. Nie mamy tego luksusu, by bez ograniczeń oddać się naszym zwyczajowym utarczkom.

– Czego chcesz?

Słowa grzęzną jej w gardle. Przejeżdża zębami po wargach, zdrapując odrobinę fioletowego barwnika. W bezlitosnym świetle ulicznym jej makijaż wydaje się ostry, bardziej przypomina barwy wojenne. Pewnie tak jest. Fioletowe cienie pod jej policzkami miały nadać jej rysom niemożliwą ostrość, ale w ciemności wyglądają niezdrowo. Nawet połyskujący biały puder na jej skórze, wygładzający srebrną cerę, jest niedoskonały. „Ślady łez”. Próbowwała je zamaskować, ale nadal widać dowody. Nierówny kolor i strużka czarnego tuszu z rzęs i tak ją zdradziły. Jej fasada piękna i śmiertelnej wspaniałości ma głębokie pęknięcia.

– Ale to łatwe, prawda? – odpowiadam sobie na własne pytanie i podchodzę krok bliżej.

Evangeline prawie odskakuje.

– Tyle czasu, tyle intryg. Masz Tyberiasza. Masz trzecią szansę, by wyjść za króla Calore. Zostać królową Norty, osiągnąć wszystko, na co kiedykolwiek pracowałaś.

Evangeline ciężko przełyka – najprawdopodobniej niegrzeczną odpowiedź. Nie mamy zbyt wiele wprawy w zachowywaniu się wobec siebie z kulturą.

– Chcesz się z tego wyplątać – szepczę. – Nie chcesz przyjąć roli, do której zostałaś przeznaczona. Skąd ta nagła zmiana? Czemu chcesz odrzucić coś, czego kiedyś tak bardzo pragnęłaś?

Evangeline puszcza hamulce.

– Nie muszę przed tobą tłumaczyć ani siebie, ani swoich powodów.

– Twój powód ma rude włosy i nazywa się Elane Haven.

Zamiera, zaciska pięści, a łuski jej zbroi prężą się w reakcji na nagłe emocje

swojej władczyni.

– Nie waż się o niej mówić – warczy, ujawniając swój słaby punkt, który łatwo będziemy mogli później wykorzystać.

Podchodzi do mnie. Jest wyższa ode mnie o dobre kilka centymetrów i teraz stara się wykorzystać tę niewielką przewagę. Gdy trzyma ręce na biodrach, przeszywa mnie wzrokiem i stoi idealnie wyprostowana plecami do ulicznej lampy, całkowicie zasnuwa mnie cieniem.

Patrzę na nią, mrugając powiekami, i przechylam głowę na bok.

– Czyli chcesz do niej wrócić. I co, myślisz, że jestem w stanie powstrzymać Tyberiasza przed tym, by się z tobą ożenił?

– Nie schlebiaj sobie – odpala, przewracając oczami. – Potrafisz skutecznie odwrócić uwagę królów Calore, ale nie mam złudzeń. Cal nie zerwie naszych zaręczyn. Maven może by tak zrobił. Z pewnością wpłynęłaś na jego decyzję, aby mnie odrzucić.

– Jak gdybyś kiedykolwiek naprawdę zamierzała wyjść za Mavena – mówię powoli.

Widziałam więcej, niż jej się zdaje, kiedy byłam na dworze Mavena. Jej rodzina zbyt dobrze przyjęła monumentalny afront. Powstanie królestwa Rowów zostało zaplanowane na długo, zanim ja podsunęłam Mavenowi jakikolwiek pomysł.

Evangeline wzrusza ramionami.

– Po śmierci Elary i tak nie miałam zamiaru zostać jego królową. Przepraszam: po tym, jak ją zabiłaś – dorzucą szybko. – Ona przynajmniej trzymała go na krótkiej smyczy. Teraz nie potrafi tego zrobić chyba nikt z żyjących, nawet ty.

Kiwam głową, przyznając jej rację. Nikt nie panuje nad Mavenem Calore.

Choć nie ma wątpliwości, że próbowałam. Żółć podchodzi mi do gardła, gdy wspominam swoje próby manipulowania młodocianym królem, wykorzystywania jego słabości wobec mnie. A potem Maven przehandlował dom Samos za pokój, za Lakelandię, za niebezpieczną i prawdopodobnie dwa razy bardziej przebiegłą

księżniczkę niż Evangeline. Zastanawiam się, czy znalazł w Iris Cygnet, cichej, wyrachowanej Wodniaczce, równą sobie partnerkę.

Próbuję go sobie teraz wyobrazić, jak ucieka z Corvium do Lakelandii. Jego blada twarz nad czarno-czerwonym mundurem, iskrząca cichą furią. Ucieka do obcego królestwa, na obcy dwór, gdzie nie chroni go Cichy Kamień. Nie ma czym się poszczycić, przynosi tylko zwłoki króla Lakelandii. Trochę mnie to pociesza, że poniósł taką spektakularną porażkę. Może królowa Lakelandii od razu go zabije, aby ukarać go za to, że poświęcił życie jej męża podczas oblężenia.

Nie potrafiłam utopić Mavena, kiedy miałam szansę. Może ona to zrobi.

– Nad Calem też nie panujesz. Nie na tyle, żebym mogła osiągnąć to, czego pragnę. – Evangeline atakuje, jej słowa są jak obracający się w ciele nóż. – On ze mnie nie zrezygnuje dla ciebie, nie, jeśli od tego będzie zależeć korona. Wybacz, Barrow. Abdykacja jest wbrew jego naturze.

– Znam jego naturę – odgryzam się, czując jej cios równie mocno, jak ona odczuwa mój. Jeśli moje życie będzie płynąć w ten sposób i ktoś co chwila będzie celować w tę ranę, to wątpię, żebym kiedykolwiek miała czas się pozbierać.

– On dokonał wyboru – mówi Evangeline. Zarówno po to, by mnie zranić, jak i po to, by coś udowodnić. – Kiedy odzyska Nortę, a na pewno ją odzyska, wyjdę za niego. Scementuję sojusz, zapewnię Rowom przetrwanie. Będę kontynuować dziedzictwo Volvo Samosa i jego królów ze stali. – Patrzy mi za plecy, na ciemną uliczkę.

Sąsiednią alejką, niespełna dziesięć metrów od nas, przechodzi patrol. Głosy żołnierzy są niskie i miarowe, tak samo jak ich kroki. Szkarłatna Gwardia, oceniając po mundurach w kolorze rdzy. Większość z nich szyje się z czerwonych mundurów armii Norty i zdziera ich insygnia. Wątpię, żeby Evangeline to zauważyła. Jej oczy zachodzą mgłą, myśli o czymś bardzo odległym. O czymś, co wcale jej się nie podoba, oceniając po jej zaciśniętej szczęce.

– A jeśli za niego nie wyjdiesz? – dopytuję, przywołując ją z powrotem do tu i teraz.

Łatwe, oczywiste pytanie. Jej oczy robią się wielkie, usta otwierają z zaskoczenia.

– To niemożliwe – prychna. – Nie ma jak tego obejść. Musiałabym uciec do Tiraksu lub Cironu, lub jeszcze gdzie indziej, gdzie diabeł mówi dobranoc, żeby nie znalazł mnie tam ojciec – dorzuca, śmiejąc się ponuro na tę myśl. – Nawet to będzie za mało. Znajdzie mnie, gdziekolwiek bym pojechała, zaciągnie mnie do domu i zrobi ze mnie odpowiedni użytek. Jedyna droga, jaką widzę, jedyna możliwość, którą mam, jest bardzo prosta.

„Oczywiście, że tak, Evangeline”.

Nasze cele są takie same, choć motywacje bardzo się różnią. Daję jej mówić, wyciągając z niej dokładnie to, co chcę usłyszeć. Będzie łatwiej, jeśli pomyśli, że to wszystko jej własny pomysł.

– Jeśli Cal poniesie klęskę, nie dojdzie do małżeństwa. – Evangeline patrzy przeze mnie na wylot. Z trudem wymawia te słowa. To zdrada jej domu, jej kolorów, jej ojca, jej krwi. Rani ją to aż do szpiku kości. – Jeśli nie będzie królem Norty, mój ojciec mnie na niego nie zmarnuje. A jeśli przegra wojnę o koronę, jeśli wszyscy przegramy, ojciec będzie zbyt zajęty utrzymaniem własnego tronu, żeby sprzedawać mnie komuś innemu. A przynajmniej komuś bardzo daleko.

„Daleko od Elane”. Znaczenie jej słów jest dla mnie jasne.

– Chcesz, abym uniemożliwiła Calowi odzyskanie jego królestwa?

Evangeline rzuca mi szyderczy uśmiech i robi krok w tył.

– Sporo się nauczyłaś na dworach Srebrnych, Mare Barrow. Jesteś mądrzejsza, niż się wydaje. Odtąd nie będę cię już lekceważyć i lepiej, żebyś ty przestała lekceważyć mnie. – Gdy mówi, jej zbroja zaczyna się ruszać i zmieniając kształt, oplata jej nogi i ręce. Łuski kurczą się i przemieszczają. Jak robactwo pod kontrolą jej matki, każda z nich jest jak błyszcząca kropka czerni i srebra. Evangeline zmienia ubranie na coś solidniejszego, z mniejszym rozmachem. Prawdziwą zbroję, przeznaczoną do walki. – Kiedy mówię, że chcę, żebyś powstrzymała Cala, mam na myśli twoje małe towarzystwo. Choć nie wiem, czy Szkarłatną Gwardię

i Montfort można uznać za „małe”. Ostatecznie nie mają chyba zamiaru wesprzeć kolejnego Srebrnego królestwa. Nie bez poważnych konsekwencji.

– Aha. – Czuję lekki zawód. Wolałabym, aby nie dostrzegła tej karty.

– No tak, nie trzeba być politycznym geniuszem, żeby wiedzieć, że koalicja Czerwonych i Srebrnych nie obędzie się bez zdrady. Jestem przekonana, że wszyscy władcy wiedzą, że lepiej sobie nie ufać. – Oczy Evangeline błyskają, gdy odwraca się ode mnie, by odejść. – Może z wyjątkiem jednego aspirującego króla – rzuca przez ramię.

Wiem o tym aż nazbyt dobrze. Tyberiasz jest ufny jak mały szczeniak, łatwo daje sobą wodzić tym, których kocha. Mnie, swojej babce, a przede wszystkim swojemu nieżyjącemu ojcu. To z jego powodu próbuje przejąć koronę: by wypełnić niedotrzymane przyrzeczenie. Choć jego pewność siebie, jego odwaga i zawzięta koncentracja przydają mu siły, sprawiają też, że poza polem bitwy jest ślepy. Potrafi przewidzieć nadciągające wojska, ale nie zauważyć knujących przeciw niemu ludzi. Nie chce lub nie potrafi dostrzec otaczających go intryg. Tak było wcześniej i tak będzie teraz.

– Zdecydowanie nie jest jak Maven – mamroczę pod nosem, nawet jeśli tylko do siebie.

Odpowiedź Evangeline odbija się echem od kamiennych murów Corvium.

– Zdecydowanie nie.

W jej głosie słyszę to, co sama czuję.

Ulgę. I żal.

ROZDZIAŁ 4

IRIS

Wody zatoki, ożywcze i odświeżające, opływają moje nagie kostki. Przed świtem jest zimno, ale ledwie czuję chłód. Znajduję ucieczkę w tym prostym wrażeniu. Znam te wody równie dobrze, jak własną twarz. Czuję je dalej niż moje stopy: pulsowanie najdelikatniejszego prądu, najmniejsze fale rzeki karmiącej zatokę i zatoki karmiącej jezioro. Przybywające światło świtu rozlewa się po gładkiej powierzchni. Lustrzane odbicie zniekształcają smugi błękitu i pastelowego różu. Ten spokój pozwala mi zapomnieć, kim jestem, ale nie na długo. Jestem Iris Cygnet, urodzona księżniczką, uczyniona królową. Nie mam tego luksusu, by móc zapomnieć o czymkolwiek, bez względu na to, jak bardzo bym tego pragnęła.

Czekamy razem – moja matka, siostra i ja – wpatrując się w skupieniu w południowy horyzont. Mgła wisi nisko nad wąskim wpływem Zatoki Clear, zasłaniając półwysep usiany wieżami strażniczymi oraz znajdujące się dalej Eris. Kilka latarni mruga przez mgłę niczym nisko wiszące gwiazdy. Kiedy mgła unosi się wraz z wiatrem dmącym od jeziora, widać coraz więcej wież. Wysokich, kamiennych budowli ulepszanych i przebudowywanych setki razy przez setki lat. Wieże widziały więcej wojen i zniszczenia, niż potrafią powiedzieć historycy. Jak na tak bliską świtu godzinę w zbyt wielu z nich pali się światło. Latarnie pozostaną tak jednak cały dzień, pochodnie rozpalone, reflektory włączone. Flagi łopoczące na wietrze wyglądają inaczej od zwyczajowych lakelandzkich sztandarów. Każda wieża wywiesiła kobaltową flagę przeciętą czarną wstęgą. By uczcić pamięć poległych w Corvium, by ich opłakiwać.

By pożegnać się z naszym królem.

Wiele godzin poprzedniej nocy upłynęło mi na płaczu. Nie powinnam mieć już

więcej łez, ale wciąż napływają nowe. Moja siostra Tiora lepiej nad sobą panuje. Unosi podbródek, jej diadem lśni nad brwiami. To warkocz ciemnych szafirów i gagatów, wiszący nisko na jej czole. Choć jestem teraz królową, moja korona wygląda skromniej: to zaledwie cienki sznur niebieskich diamentów, rozdzielonych czerwonymi klejnotami symbolizującymi Nortę.

Mamy taką samą zimną skórę w kolorze brązu, taką samą twarz, wysokie kości policzkowe i ostro zarysowane brwi, ale jej ciemne mahoniowe oczy odziedziczyła po matce. Ja mam szare, po ojcu. Tiora ma dwadzieścia trzy lata i jest cztery lata starsza ode mnie. To następczyni tronu Lakelandii. Kiedyś mówiłam, że urodziła się ponura i milcząca, nie lubiąca płakać, niezdolna do śmiechu. Jej poważne usposobienie służy jej dobrze jako następczyni matki. Ma znacznie większą wprawę w kontrolowaniu swoich emocji niż ja, choć robię, co w mojej mocy, by na wzór jezior zachować spokój. Tiora uporczywie patrzy przed siebie, plecy ma proste od dumy, której nie potrafi złamać nawet pogrzeb. Mimo jej stoickiej natury nawet ona płacze za naszym zmarłym ojcem. Jej łzy są mniej widoczne, szybko skapują do wód zatoki obmywających nam stopy. Jest Wodniaczką jak reszta naszej rodziny i wykorzystuje swoją umiejętność, by ronić łzy bez śladu. Zrobiłabym to samo, gdybym miała siłę, ale teraz nie jestem w stanie niczego z siebie wykrzesać.

W przeciwieństwie do naszej matki Cenry, panującej królowej Lakelandii.

Jej łzy utrzymują się w powietrzu, tworząc chmurę kryształowych kropeł, które pochwytyują i rozpraszają światło dnia. Kropla po kropli chmura rośnie, rzucając blade tęcze na jej brązową skórę. Diamenty zrodzone ze złamanego serca.

Stoi dalej niż my, po kolana w wodzie, jej żałobna suknia unosi się za nią na powierzchni. Podobnie jak Tiora i ja, matka jest ubrana niemal całkiem na czarno, pomijając drobne akcenty naszej królewskiej barwy. Jej suknię zrobiono z kunsztownych warstw cienkiego jedwabiu, ale nie ma żadnego kształtu, wisi na niej, jakby należała do kogoś innego. Podczas gdy Tiora i ja dopilnowałyśmy, by przygotować odpowiednie stroje, dobrać odpowiednią biżuterię i suknie, matka zupełnie tego zaniechała. Wygląda zwyczajnie, a jej rozpuszczone włosy

przypominają kruczoczną burzę. Nie ma bransolet, nie ma kolczyków ani korony. Tylko jej postawa świadczy o tym, że jest królową. I to wystarczy. Mam ochotę chwycić się jej spódnicy, tak jak to robiłam, gdy byłam dzieckiem. Mogłabym się jej trzymać i nigdy nie puścić. Nigdy więcej nie wyjechać z domu. Nigdy nie wrócić na sypiący się dwór króla, który sam jest w rozsypce.

Myśl o moim mężu sprawia, że staję się zimna. I stanowcza.

Łzy na moich policzkach wysychają.

Maven Calore to dziecko bawiące się naładowaną bronią. Dopiero się przekonamy, czy umie strzelać. Mam jednak dla niego pewne cele, osoby, w których stronę chętnie go skieruję. Oczywiście w stronę Srebrnego, który zabił mojego ojca. Jakiegoś lorda spośród Iralów. Poderżnął mu gardło. Zaatakował od tyłu jak pies, bez honoru. Ale Iral służył innemu królowi. Samosowi. Volvo. Kolejny, któremu obce są honor i godność. Zbuntował się z powodu tak błahego jak korona, by móc nazywać się monarchą jakiegoś nic nieznaczącego zakątka świata. Nie jest w tym sam. Popierają go inne rody z Norty, gotowe wymienić Mavena na innego brata Calore, wygnańca. Przed śmiercią ojca nie miałyby dla mnie znaczenia, gdyby Maven nagle stracił koronę lub życie. Gdyby utrzymano pokój pomiędzy Nortą a Lakelandią, jaką czyniłoby mi to różnicę? Ale nie teraz. Orrec Cygnet zginął. Mój ojciec zmarł z powodu ludzi takich jak Volvo Samos i Tyberiasz Calore. Czego bym nie zrobiła, by utopić ich wszystkich za pomocą swojego gniewu?!

„Czego nie zrobię?!”

Z mgły wyłaniają się powoli płynące łodzie. Są znajome, ich dzioby srebrne i niebieskie. Każda z nich ma jeden pokład. Takie barki buduje się nie do walk na wojnie, ale dla prędkości i ciszy, i sterowania wolą mocarnych Wodniaków. Ich kadłuby są specjalnie żłobione, by wychwytywały najdelikatniejsze wywołane prądy wody, tak jak teraz.

Wysłanie łodzi było moim pomysłem. Nie mogłam znieść myśli o tym, że wojska wleką ze sobą ciało ojca podczas długiego marszu z Mouru, który Nortańczycy nazywają Duszną. Musiałyby pokonać po drodze wiele miast,

a wiadomość o jego śmierci wyprzedzałaby pojawienie się tego makabrycznego orszaku. Nie, chciałam, aby wrócił do domu, żebyśmy pierwsze mogły się pożegnać.

I żebyśmy nie oszalała.

Wodniacy w lakelandzkim odcieniu niebieskiego, nasi kuzyni z linii Cygnetów, tłoczą się na pokładzie płynącej przodem barki. Ich ciemne twarze przysłania cień żalu, są w żałobie tak jak my. Ojciec był bardzo kochany w naszym rodzie, choć pochodził z jego mniej znaczącej gałęzi. To matka ma królewski tytuł, pochodzi z długiej, nieprzerwanej linii monarchów. Z tego powodu nie wolno jej przekraczać granic naszego kraju, z wyjątkiem najpoważniejszych wypadków. Tiorze nie wolno wyjeżdżać w ogóle, nawet w czasie wojny, aby zachować linię następców tronu.

Przynajmniej nigdy nie podziela losów ojca i nie umrą na polu bitwy. Ani mojego. I nie będą żyć z dala od domu.

Mojego męża nietrudno zauważyć na tle ciemnoniebieskich mundurów. Pilnuje go czterech wartowników, ich płomienne szaty zostały zastąpione mundurami bojowymi. Nadal mają jednak na sobie maski wyłożone klejnotami, równie piękne, co przerażające. Maven jest ubrany w zwyczajową czerń i zdecydowanie wyróżnia się w tłumie, choć nie ma na sobie orderów, korony ani żadnych insygniów królewskich. Żaden monarcha nie jest na tyle głupi, by wkraczając na pole walki, robić z siebie ruchomy cel. Nie sądzę jednak, by w ogóle walczył. Maven nie jest wojownikiem – a przynajmniej nie na wojnie. Przy swoich i moich żołnierzach wydaje się taki mały. Słaby. Takie odniosłam wrażenie, kiedy się poznaliśmy, mierząc się wzrokiem z przeciwnych stron pawilonu na środku pola minowego. Wciąż jest nastolatkiem, ledwie przestał być dzieckiem. Jest o rok młodszy ode mnie. Mimo to wie, jak wykorzystać swój wygląd. Manipuluje tym, co sądzą o nim ludzie. W jego kraju, wśród ludu karmionego jego kłamstwami i pozorowaną niewinnością, przynosi to rezultaty. Czerwoni i Srebrni poza jego dworem łykają bez zastanowienia historie o jego bracie, złotym księciu uwiedzionym przez szpiega i nakłonionym do morderstwa. Soczysta bajeczka, urocza plotka, której poddani mogą się uchwycić. W połączeniu z osiągniętym przez Mavena pokojem

pomiędzy naszymi krajami obecny król zyskał na popularności. I stawia go to w dziwnym położeniu. Jest królem mającym poparcie poddanych, ale nie najbliższych sobie ludzi. Nie arystokracji, która teraz pada mu do stóp. Pozostają przy nim, bo muszą zachować królestwo, które stało się kruche.

Kolejny powód jest taki, choć bardzo nie chcę tego przyznać, że Maven to wytrawny intrygant. Dobrze żongluje arystokratami, nastawiając różne domy przeciw sobie i jednocześnie trzymając resztę narodu w żelaznym uścisku.

Królewski dwór Norty to dwór węży, których jest tam teraz więcej niż kiedykolwiek.

Intrygi Mavena nigdy jednak na mnie nie podziałają. Dobrze wiem, że nie mogę go lekceważyć. Zwłaszcza teraz, kiedy jego obsesją zdaje się posiadanie władzy. Jego umysł jest rozszczępiony jak jego kraj. A przez to jest jeszcze bardziej niebezpieczny.

Pierwsza barka sunie do brzegu, zanurzona na tyle płytko, by mogła się zatrzymać ledwie kilka metrów od matki. Wodniacy pierwsi zeskakują do wody. Zatoka usuwa się od ich stóp i kuzyni idą po suchym dnie. Robią to nie dla siebie, tylko dla Mavena.

Jest tuż za nimi. Zeskakuje z barki, chce dostać się na suchy ląd tak szybko, jak to tylko możliwe. Płomienni, tacy jak on, nie przepadają za wodą. Mój mążonek z podejrzliwością patrzy na płynne ściany wydzielonej dla niego ścieżki. Nie spodziewam się żadnych wyrazów współczucia, gdy mijają mnie w obstawie wartowników, i ich nie otrzymuję. Nawet na mnie nie zerka. Jak na kogoś nazywanego Płomieniem Północy jest wyjątkowo lodowaty.

Kuzyni Cygneci pozostają przy łodzi i puszczają wolno wody zatoki. Napływają i pęcznieją, zanim się wzbiorą, niczym stwór podnoszący łeb. Albo rodzic wyciągający rękę do dziecka.

Żołnierze unoszą deskę na pokładzie, ukazując znajomy widok.

Nie jestem dzieckiem, widziałam już zwłoki. Mój kraj prowadził wojnę przez ponad sto lat, a jako młodsza córka, drugie dziecko, mogę swobodnie przemierzać

linię frontu. Uczono mnie walczyć, nie rządzić. Moim obowiązkiem jest wspierać siostrę, tak jak ojciec wspierał matkę – kiedy tylko będzie potrzebować.

Tiora przełyka niespodziewany szloch. Biorę ją za rękę.

– Nieruchoma jak jeziora, Ti – szepczę do niej.

W odpowiedzi ściska moją dłoń. Jej rysy zastygają w formie nic niewyrażającej maski.

Gdy Wodniacy z rodu Cygnetów unoszą ręce, woda, odzwierciedlając ich ruchy, się uwypukla. Żołnierze powoli kładą na nią deskę z leżącym ciałem owiniętym białym prześcieradłem. Dryfuje na powierzchni, obniżając się powoli do naszego poziomu.

Matka robi kilka kroków do przodu, wchodząc głębiej w zatokę. Zatrzymuje się, kiedy jej nadgarstki przykrywa woda, i wyczuwam drobny ruch jej obracających się palców. Ciało ojca sunie po powierzchni w jej stronę, jak gdyby ciągnięte za niewidzialne sznurki. Nasi kuzyni maszerują po obu stronach króla, osłaniając go nawet po śmierci. Dwóch z nich płacze.

Kiedy matka sięga po prześcieradło, walczę z odruchem, aby mocno zacisnąć powieki. Chcę zachować wspomnienia o ojcu, których nie zatruje widok jego zwłok. Ale pewnego dnia bym tego żałowała. Oddychając powoli, koncentruję się na tym, by zachować spokój. Woda burzy się wokół moich kostek, delikatny wirujący prąd odzwierciedla nudności, które czuję w żołądku. Skupiam się na nim, kreśląc w głowie powolne okręgi, by nie wylało się ze mnie najgorsze cierpienie. Trzymam zęby zaciśnięte, podbródek uniesiony. Łzy nie wracają.

Jego twarz jest dziwna, wyzuta zarówno z koloru, jak i z życia. Jego gładka brązowa skóra, ledwie pomarszczona mimo wieku, ma blady, niezdrowy odcień. Chciałabym, żeby był tylko chory, nie martwy. Matka ujmuje jego twarz w obie dłonie i wpatruje się w niego z siłą, której nie pojmuję. Jej łzy nadal wiszą w powietrzu jak rój połyskujących insektów. Po dłuższej chwili całuje ojca w zamknięte powieki, zagłębiając palce w jego długich stalowosiwych włosach. Następnie składa nad jego twarzą dłonie, tworząc czarkę. Łzy zbierają się w jej

środku. Na koniec matka otwiera dłonie.

Prawie spodziewam się, że ojciec się wzdrygnie. Jednak ani drgnie. Już nie może.

Następnie Tiora nabiera w dłonie wody z zatoki i strużką obmywa jego twarz. Zawsze była bardziej związana z matką, czego wymaga jej pozycja. Mimo to nie rozpacza mniej. Jej opanowanie nieco słabnie i podnosi dłoń, by zasłonić twarz.

Świat zdaje się kurczyć, kiedy idę przez wodę. Moje kończyny wydają mi się opieszale i obce. Matka stoi po drugiej stronie z dłonią nad prześcieradłem zakrywającym resztę ciała. Mierzy mnie wzrokiem, z obliczem nieruchomym i pustym. Znam tę minę. Sama ją przyjmuję, kiedy muszę zamaskować burzę kotłujących się we mnie emocji. Przybrałam ją w dzień swojego ślubu. Ale wtedy ukrywałam strach, nie ból.

Nie tak jak teraz.

Robię to co Tiora i oblewam twarz ojca wodą. Krople spływają po jego orlim nosie i po kościach policzkowych, zbierając się we włosach pod głową. Odgarniam posiwiąłe pasemko i nagle pragnę odciąć jedno dla siebie. W Archeonie mam małą świątynię – właściwie to kapliczkę – pełną świeczek i starych wizerunków bezimiennych bogów. Choć ciasny, ten mały zakątek pałacu jest jedynym miejscem, w którym czuję się sobą. Chciałabym móc go tam zatrzymać.

To życzenie niemożliwe do spełnienia.

Kiedy się cofam, matka znów podchodzi bliżej. Kładzie dłoń na desce, wnętrzem do dołu. Tiora i ja wykonujemy ten sam gest. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłam i wolałabym nie musieć. Ale tak nakazali bogowie. „Powróć”, mówią. Do tego, kim jesteś, do swojej zdolności. Pochowaj Strażnika Zieleni. Złóż Twardoskórego w grobowcu z marmuru i granitu. Utop Wodniaka.

„Jeśli będę żyć, kiedy Maven umrze, to czy będę mogła spalić jego ciało?”

Napieramy na deskę, obniżając ją naszymi dłońmi i umiejętnościami, używając mięśni i siły prądu, aby zatopić ciało. Nawet na mieliźnie woda zniekształca jego twarz. Po mojej lewej wstaje świt, słońce powoli wznosi się nad niskimi

wzgórzami. Odbijając się od tafli wody, na moment mnie oślepia.

Zaciskam powieki i wspominam ojca takim, jaki był.

Wraca w objęcia wody.

*

Detraon to miasto kanałów, wykutych w skalistym podłożu przez Wodniaków przy zachodnim brzegu Zatoki Clear. Starożytne miasto, które kiedyś się tu znajdowało, zostało zniszczone przez powódzie ponad tysiąc lat temu. Ogromne połacie szczątków i pozostałości nadal zalegają w dole rzeki duszonej przez butwiejące ruiny innych czasów. Po dziś dzień pył z przeżeranego rdzą żelaza sprawia, że ziemia jest tu czerwona, a Żeleźcy koszą te tereny jak rolnicy zboże. Kiedy wody ustąpiły, miejsce to nadal stanowiło idealną lokalizację na naszą stolicę – w pobliżu jeziora Eris, z łatwym dostępem do jeziora Neron, z którym łączy je wąska cieśnina, oraz pozostałych jezior znajdujących się dalej. Z Detraonu przez naturalne, ale też stworzone przez Wodniaków trakty wodne możemy szybko dotrzeć do niemal każdego zakątka naszego królestwa. Od Hudu na północy po sporne ziemie ciągnące się wzdłuż rzeki Wielkiej na zachodzie, aż do rzeki Ohius na południu. Żaden lord wśród Wodniaków nie mógł się temu oprzeć, więc tu się osiedliliśmy, czerpiąc naszą siłę i bezpieczeństwo z wody.

Kanały w łatwy sposób dzielą miasto na dzielnice, które otaczają centralne świątynie. Większość Czerwonych mieszka na południowym wschodzie, jak najdalej od wspaniałych brzegów, podczas gdy dzielnice pałacowa i szlachecka znajdują się tuż nad zatoką, z widokiem na wody, które tak bardzo kochamy. Dzielnica Topieli, jak jest powszechnie zwana, zajmuje północny wschód, gdzie w bliskiej odległości żyją co zamożniejsi Czerwoni i mniej znaczący Srebrni. To głównie kupcy, przedsiębiorcy, niżsi rangą oficerowie, biedni studenci z uczelni w dzielnicy szlacheckiej. Ale także przydatni i niezbędni Czerwoni. Wykwalifikowani rzemieślnicy – zwykle niezależni. Służący, którzy są na tyle bogaci lub istotni, by mieszkać w domach Srebrnych, a nie własnych. Sprawowanie nadzoru nad miastem nie jest moją mocną stroną, więc lepiej, kiedy zajmuje się

tym Tiora, ale staram się być zaznajomiona z takimi kwestiami. Nawet jeśli mnie nudzą, muszę się przynajmniej orientować. Ignorancja to ciężar, którego nie mam zamiaru dźwigać.

Dziś nie korzystamy z kanałów, ponieważ pałac znajduje się blisko brzegu zatoki. „I dobrze”, myślę, bo miło się przejść znajomą trasą. Wzdłuż turkusowo-złoty ścian szlacheckiej dzielnicy ciągną się arkady, tak płynne i gładkie, że mogą być tylko dziełem Srebrnych. Zza murów wystają rodzinne rezydencje, które znam na pamięć. Ich okna są szeroko otwarte, by do środka wpadło światło poranka, a barwy dynastii dumnie powiewają na wietrze. Czerwona jak krew flaga linii Renarde'ów, jaszczurka dla niedoścignionej starożytnej linii Sielle – wymieniam każdego w swoich myślach. Ich synowie i córki walczyli o nowy sojusz. „Ilu umarło wraz z moim ojcem? Ilu z nich znałam?”

Wygląda na to, że dzień będzie piękny – słońce wschodzi na niemal bezchmurne niebo. Wiatr ciągnący znad Eris nie ustępuje i przeczesuje moje włosy swoimi lekkimi palcami. Spodziewam się, że ze wschodu dojdzie mnie zapach zniszczenia, destrukcji, porażki. Czuję jednak tylko woń wód jeziora oraz mokrej letniej zieleni. Żadnych śladów armii, kulawym krokiem zmierzającej w naszą stronę, której krew została przelana na murach Corvium.

Nasza eskorta się rozprzestrzenia, Lakelandczycy o przenikliwym spojrzeniu łączą się w dwójki z kontyngentem Mavena. Większość arystokratów nadal jest z armią i posuwa się tak szybko, jak tylko pozwoli im reszta. Jednak on nadal ma ze sobą swoich wartowników. Trzymają się blisko, podobnie jak dwóch wysokiej rangi generałów, z których każdy dysponuje doradcami i strażnikami. Wielmożny generał z domu Greco ma siwe włosy, jest zwodniczo smukły jak na Siłacza, ale jaskrawy żółto-niebieski herb na jego ramieniu nie pozostawia wątpliwości. Tiora dopilnowała, żebym nauczyła się rozróżniać wszystkie wielkie linie Norty, które oni nazywają domami, i teraz znam je jak własne. Drugi, wielmożny generał Macanthos – niebiesko-szary – o włosach w piaskowym kolorze i rozbieganych oczach, jest wręcz za młody na swoje stanowisko. Podejrzewam, że ledwie co awansował i zastąpił członka rodziny, który niedawno umarł.

Maven ma na tyle rozsądku, by okazać mojej matce szacunek w jej własnym kraju, i idzie kilka kroków za nią. Robię to, czego się ode mnie oczekuje, i idę równo z nim. Nie dotykamy się. Nawet nie splatamy niewinnie ramion ani dłoni. To jego inicjatywa, nie moja. Nie chce mnie dotknąć, nie od czasu, kiedy wymknęła mu się Mare Barrow. Naszym ostatnim fizycznym kontaktem był chłodny pocałunek pod zbierającą się burzą.

W skrytości serca jestem za to wdzięczna. Znam swoje obowiązki jako Srebrna i jako królowa. To także jego obowiązek, ciężar, który musimy nieść wspólnie. Jeśli jednak on nie podniesie tematu potomków, to ja też nie mam takiego zamiaru. Po pierwsze, skończyłam dopiero dziewiętnaście lat. Owszem, jestem dorosła, ale mam jeszcze mnóstwo czasu. A po drugie, jeśli Maven poniesie klęskę, jeśli jego brat odzyska koronę, nie będę miała powodu, aby przy nim zostać. Nie mając dzieci, łatwiej mi będzie wrócić do domu. Nie chcę, żeby przy Norcie trzymała mnie jakakolwiek kotwica, jeśli nie jest to konieczne.

Nasze suknie ciągną się za nami, pozostawiając mokre ślady na szerokim trakcie prowadzącym wzdłuż nabrzeża. Promienie słońca odbijają się od białych kamieni. Rozglądam się, sycąc atmosferą letniego dnia w swojej stolicy. Chciałabym móc się tu zatrzymać tak jak kiedyś. Przysiąc na murku oddzielającym trakt od zatoki. Potrenować swoją umiejętność z leniwą uwagą. Może nawet namówić Tiorę na małe siostrzane zawody. Ale nie czas na to. Nie wiem, jak długo tu zostaniemy ani jak długo pobędę z pozostałymi członkami rodziny. Mogę jedynie próbować przeciągnąć te chwile. Zapamiętać je. Wytatuować w swojej pamięci, tak jak na moich plecach wytatuowane są kłębiące się fale.

– Jestem pierwszym królem Norty, który od stu lat postawił stopę w tym kraju.

Głos Mavena jest niski i chłodny, jak groźba mroźnej zimy wiosną. Po tylu tygodniach spędzonych na jego dworze zaczynam się uczyć jego nastrojów, uczyć się jego, tak jak uczyłam się o jego kraju. Król Norty nie jest życzliwym człowiekiem i choć moje przeżycie stanowi niezbędny element naszego sojuszu, mój komfort pewnie nie. Staram się pozostać w jego łaskach i jak na razie wydaje

mi się to dość proste. Nie traktuje mnie źle. Właściwie trudno mówić o jakimkolwiek traktowaniu. Trzymanie się z dala od niego w przepastnych przestrzeniach Pałacu Białego Ognia nie wymaga wysiłku.

– Od więcej niż stu lat, jeśli pamięć mnie nie myli – odpowiadam, ukrywając zaskoczenie, że się do mnie odezwał. – Tyberiasz Drugi był ostatnim królem z rodu Calore, który przybył tu z oficjalną wizytą. Zanim jeszcze twoi i moi przodkowie rozpoczęli wojnę.

Syczy, słysząc to imię. „Tyberiasz”. Konflikty między rodzeństwem nie są mi obce. Jest wiele rzeczy, których zazdrozczę Tiorze. Nigdy jednak nie doświadczyłam niczego takiego jak głęboka i wszechobejmująca zazdrość, którą Maven żywi do swojego wygnanego brata. Przeszywa go do szpiku kości. Każde o nim wspomnienie, nawet w oficjalnych rozmowach, prowokuje go jak dźgnięcie nożem. Podejrzewam, że imiona dziedziczone po przodkach to dla niego kolejna rzecz, która wywołuje zazdrość. Kolejna cecha prawdziwego króla, której nigdy nie będzie miał.

Może dlatego z taką zapalczywością próbuje zdobyć Mare Barrow. Plotki wydają się prawdziwe. Widziałam zresztą na własne oczy. Nie jest tylko Nową o ogromnej mocy, dziwną Czerwoną z umiejętnościami przypominającymi nasze – wygnany książę ją kocha. Czerwoną dziewczynę. Po tym, jak ją poznałam, mogę prawie zrozumieć dlaczego. Walczyła nawet wówczas, gdy była w niewoli. Stawiała opór. Jest zagadką, którą z przyjemnością złożyłabym w całość. I wygląda na to, że jest trofeum, o które mogą walczyć. Mare Barrow nie może się równać z koroną, ale przynajmniej zazdrośni chłopcy mają powód, by szarpać się jak psy o kość.

– Chętnie oprowadzę Waszą Królewską Mość po stolicy – mówię dalej. Choć nie mam ochoty spędzać z Mavenem więcej czasu niż to konieczne, mogłabym dłużej pobyc w mieście. – Tutejsze świątynie słyną ze swej świetności na cały kraj. Twoja obecność bez wątpienia zaszczyci bogów.

Karmienie jego ego nie jest takie proste jak przy arystokratkach i dworzanach. Maven ściąga usta.

– Staram się koncentrować na rzeczach, które naprawdę istnieją, Iris. Takich jak wojna, którą oboje próbujemy wygrać.

„Jak sobie chcesz”. Przeczytałem odpowiedź z chłodną obojętnością. Niewierzący nie są moim problemem. Nie mogę otworzyć im oczu i nie jest to moje zadanie. Niech spotka bogów w chwili śmierci i zobaczy, jak bardzo się mylił, zanim wkroczy do piekła, które sam sobie stworzył. Będą go topić przez całą wieczność. Taka jest kara dla Płomiennych w życiu po śmierci. Tak jak ogień byłby moim potępieniem.

– Oczywiście. – Schylam głowę, czując na skroni zimne klejnoty. – Kiedy armia tu dotrze, uda się do Cytadeli Jezior na rekonwalescencję i dozbrojenie. Powinniśmy się tam z nimi spotkać.

– Racja – odpowiada, kiwając głową.

– Trzeba się także zastanowić nad Piedmontem – dodaje.

Nie było mnie w Norcie, kiedy arystokraci lojalni wobec księcia Brackena zwrócili się do Mavena o pomoc. Nasze kraje nadal były wtedy w stanie wojny. Jednak raporty szpiegowskie nie pozostawiały wątpliwości.

Na policzku Mavena podskakuje mięsień.

– Książę Bracken nie stanie do walki z Montfortem tak długo, jak długo ci dranie przetrzymują jego dzieci jako zakładników. – Mówi tak, jakbym była głupia.

Panuję nad sobą i pochylam głowę.

– Oczywiście – odpowiadam. – A gdyby zawrzeć sojusz w tajemnicy? Montfort straciłby swoją bazę na południu i wszystkie zasoby, które odstąpił im Bracken, a na dodatek zyskaliby poważnego wroga. Kolejne Srebrne królestwo, z którym musieliby się zmierzyć.

Jego kroki niosą się po kamieniach głośnym, miarowym echem. Słyszę, jak oddycha, wypuszcza z płuc ciche, szmerzące westchnienia, gdy czekam na odpowiedź. Mimo że jesteśmy prawie tego samego wzrostu i prawdopodobnie ważę tyle samo co on, jeśli nie więcej, przy Mawenie czuję się mała. Mała i bezbronna. Ptak sprzymierzony z kotem. Nie podoba mi się to uczucie.

– Próba odzyskania dzieci Brackena jest skazana na niepowodzenie. Nie wiemy, gdzie je przetrzymują ani jak dobrze są strzeżone. Mogą się znajdować na drugim końcu kontynentu. Równie dobrze mogą już nie żyć – mamrocze Maven. – Powinniśmy się skoncentrować na moim bracie. Kiedy się go pozbędziemy, nasi wrogowie nie będą mieć nikogo, za kim mogliby stanąć.

Staram się nie wyglądać na zawiedzioną, ale i tak czuję, jak opadają mi ramiona. Potrzebujemy Piedmontu. Wiem, że tak jest. Pozostawienie ich Montfortowi to błąd, który może się skończyć naszą klęską lub śmiercią. Próbuje więc raz jeszcze.

– Księżę Bracken ma związane ręce. Nie da rady zaryzykować poszukiwań dzieci, nawet gdyby wiedział, gdzie przebywają – mówię pod nosem. – Szanse porażki są zbyt wielkie. Ale może ktoś mógłby go wyręczyć.

– Proponujesz, że sama się tym zajmiesz, Iris? – syczy Maven, mierząc mnie wzrokiem znad czubka nosa.

Najeżam się, słysząc ten naiwny pomysł.

– Jestem królową i księżniczką, a nie aportującym psem.

– Oczywiście, że nie jesteś psem, moja droga. – Maven rzuca mi ironiczny uśmiezek, ani na moment się nie zatrzymując. – Psy są posłuszne.

Zamiast odbić piłeczkę, odpowiadam na ewidentny przytyk westchnieniem.

– Pewnie masz rację, królu. – Moja ostatnia karta w tej rozgrywce jest naprawdę mocna. – Ostatecznie masz doświadczenie w przetrzymywaniu zakładników.

Roznieca to ogień w Mawenie, a że stoimy blisko, natychmiast zaczynam się pocić. Przypomnienie mu o Mare – i o tym, jak ją stracił – to łatwa metoda na podsycenie jego złości.

– Jeśli uda się odnaleźć dzieci – warczy – to może rzeczywiście da się coś zaaranżować.

Tylko tyle udaje mi się wyciągnąć z króla Calore. Uznaję tę rozmowę za zakończoną sukcesem.

Mury przechodzą z wypolerowanych złociń i turkusowej farby w lśniący marmur, wyznaczając koniec sektora szlacheckiego i początek pałacu. Arkady nadal wskazują nam drogę, ale są zastawione kratami i strzeżone przez lakelandzkich wartowników w mundurach w morskim kolorze. Kolejni patrolują górną krawędź muru, spoglądając na swoją królową, gdy ich mijają. Krok matki nieco przyspiesza. Bardzo chce się dostać do środka i skryć przed wzrokiem ciekawskich. „Chce być z nami sama”. Tiora podąża za nią, nie po to, żeby być blisko, ale żeby trzymać się z dala od Mavena. On ją niepokoi, tak jak niepokoi większość ludzi. Ma to pewnie związek z intensywnością jego elektryzujących oczu. Nie pasuje do kogoś tak młodego. Wydaje się wręcz sztuczna. Wymuszona.

Przy takiej matce to niewykluczone.

Gdyby żyła, nie zostałaby wpuszczona do Detraonu, nie mówiąc już o tym, że nie dopuszczono by jej w pobliże rodziny królewskiej. W Lakelandii kontrolujący umysły Szeptacze, Srebrni jej rodzaju, nie cieszą się zaufaniem. Poza tym już nie istnieją. Linia Servonów została zgładzona dawno temu i ze słuszych powodów. Jeśli chodzi o Nortę, mam wrażenie, że dom Merandus może niedługo spotkać ten sam los. Nie miałam sposobności porozmawiać z Szeptaczem, odkąd przybyłam do Pałacu Białego Ognia, a po śmierci krewnego Mavena, na naszym ślubie, mój mąż trzyma resztę rodziny matki w bezpiecznej odległości, jeśli w ogóle jeszcze żyją.

Royelle, nasz pałac, zajmuje znaczną część swojego sektora. Ma kanały i akwedukty, tryskające wodą fontanny i wodospady. Niektóre spadają łukiem nad traktem i wpadają do zatoki, inne biegną pod pieszymi ścieżkami. Zimą większość z nich zamarza, dekorując drogę lodowymi rzeźbami, których nie byłaby w stanie stworzyć ludzka ręka. Podczas świąt kapłani odczytują wiadomości, które bogowie przekazują nam przez lód. Zwykle mówią do nas zagadkami, kreśląc słowa na ziemi i jeziorach. Odczytać mogą je tylko wybrańcy, a jeszcze mniej osób potrafi je zrozumieć.

Płomienny król musi mieć dużo odwagi, aby wkroczyć do bastionu Lakelandczyków, a Maven robi to bez mrugnięcia okiem. Ktoś mógłby pomyśleć, że nie jest zdolny do odczuwania strachu. Że matka usunęła z jego głowy coś tak

słabego. Ale to nieprawda. Widzę strach we wszystkim, co robi. Głównie strach przed bratem. Strach, że ta jakaś Barrow na zawsze wymknęła mu się z rąk. I jak każdy inny człowiek w naszym świecie śmiertelnie boi się utraty władzy. Właśnie dlatego tu jest. Dlatego się ze mną ożenił. Zrobi wszystko, by utrzymać koronę.

Co za determinacja. To zarówno jego największa zaleta, jak i jego największa słabość.

Docieramy do ogromnych bram otwierających się nad zatoką, z obu stron obstawionych strażnikami i wodospadami. Żołnierze kłaniają się matce, gdy ich mijają, i nawet woda zaczyna nieco drgać, szarpana jej ogromną mocą. Za bramą znajduje się mój ulubiony dziedziniec: szeroki wypielegnowany gąszcz niebieskich kwiatów wszelkiego rodzaju. Róże, lilie, hortensje, tulipany, hibiskus – płatki w kolorach od bladoniebieskiego po nasycone indygo. A przynajmniej powinny być niebieskie. Ale tak jak flagi i jak moja rodzina kwiaty są w żałobie.

Ich płatki są czarne.

– Wasza Królewska Mość, czy mogę prosić o zezwolenie córce na wizytę w naszej kaplicy? Zgodnie z naszą tradycją?

Pierwszy raz od rana słyszę głos matki. Mówi zwięźle i posługuje się językiem Norty, więc Maven nie ma wymówki, by powiedzieć, że nie zrozumiał jej prośby. Matka ma lepszy akcent, prawie niewyczuwalny. Cenra Cygnet to mądra kobieta, z uchem do języków i smykałką do dyplomacji.

Przystaje i odwraca się do Mavena, okazując grzeczność. Stanie do króla plecami, gdy go o coś prosisz, w niczym nie pomaga. „Nawet jeśli prośba dotyczy mnie, jej córki, żyjącej istoty, która ma własną wolę – myślę, czując, jak robi mi się kwaśno w ustach. – Ale właściwie to nie. On stoi od ciebie wyżej. Jesteś teraz jego poddaną, nie jej. Będziesz robić, co ci rozkaże. Przynajmniej na zewnątrz”.

Nie mam zamiaru być królową na smyczy.

Na szczęście przed moją matką Maven okazuje mniej pogardy w kwestii religii. Uśmiecha się do niej nieznacznie i niemal niezauważalnie kłania. Przy matce, jej siwych włosach i kurzych łapkach, wygląda na młodszego. Nowego.

Niedoświadczonego. Ale jest wręcz odwrotnie.

– Musimy uszanować tradycję – odpowiada. – Nawet w chaosie obecnych czasów. Ani Norta, ani Lakelandia nie mogą zapomnieć o swojej tożsamości. Koniec końców właśnie to może nas ocalić, Wasza Królewska Mość.

Jest dobrym mówcą. Jego słowa są gładkie jak syrop.

Matka obnaża zęby w uśmiechu, którego nie odzwierciedlają jej oczy.

– To prawda. Chodź, Iris – dodaje, kiwając na mnie dłonią.

Gdybym nie potrafiła nad sobą panować, chwyciłabym ją za rękę i zaczęłabym biec. Ale panuję nad sobą bardziej niż trzeba, dlatego zachowuję miarowość kroków. Idę niemal za wolno, gdy udaję się za matką i siostrą ścieżką prowadzącą przez klomby czarnych kwiatów do prywatnej komnaty królowej w Royelle.

Odosobniona świątynia, połączona z królewskimi apartamentami, jest prosta, wciśnięta pomiędzy salony i sypialnie. Tradycję wyrażają zwyczajowe atrybuty. W centrum małej komnaty szemrząca fontanna tryska wodą. Wyniszczone twarze o niewyróżniających się rysach, jednocześnie obce i znajome, spoglądają na nas z sufitu i ze ścian. Nasi bogowie nie mają imion ani hierarchii. Ich błogosławieństwa są przypadkowe, słowa oszczędne, kary niemożliwe do przewidzenia. Ale istnieją we wszystkich rzeczach. Są zawsze odczuwalni. Szukam swojej ulubionej bogini o pustych szarych oczach, którą wyróżniają jedynie delikatnie wygięte usta, co może być tylko skazą w kamieniu. Zdaje się znacząco uśmiechać. Daje mi pocieszenie, nawet teraz, w dniu pogrzebu ojca. Mam wrażenie, że mówi mi, że wszystko będzie w porządku.

Pomieszczenie nie jest tak dużych rozmiarów jak druga pałacowa świątynia, której używamy podczas uroczystości dworskich, ani tak okazałe jak ogromne świątynie w centrum Detraonu. Nie ma tu złotych ołtarzy ani wysadzanych kosztownych ksiąg zawierających boskie prawa. Nasi bogowie wymagają niewiele więcej ponad wiarę, by dać nam znać o swoim istnieniu.

Kładę dłoń na znajomym oknie i czekam. Wschodzące słońce przesącza się słabo przez grube diamentowe szkło, którego szyby są ułożone jak wodny wir.

Dopiero kiedy drzwi świątyni się za nami zamykają i zostajemy same w towarzystwie bogów, wypuszczam z płuc ciche westchnienie ulgi. Zanim przyzwyczaję oczy do przytłumionego światła, matka ujmuje moją twarz w ciepłe dłonie, na co odruchowo się wzdrygam.

– Nie musisz wracać – szepcze.

Nigdy nie słyszałam, by o coś błagała. To dla mnie obcy dźwięk.

– Co? – Nie jestem w stanie wydusić z siebie więcej.

– Proszę cię, córeczko. – Zręcznie przechodzi na język lakelandzki, z którym czuje się znacznie swobodniej. Jej oczy się zwężają, wydają się ciemniejsze w mroku ciasnego pokoju. To głębokie studnie, z których nigdy bym się nie wydostała, gdybym raz w nie wpadła. – Przymierze przetrwa, nawet jeśli ty nie będziesz go wiązać.

Nie puszczać mojej twarzy, przejeżdża kciukami po moich kościach policzkowych. Przez chwilę się nie wyrywam. Widzę nadzieję kwitnącą w jej oczach i zaciskam powieki. Powoli kładę dłonie na jej dłoniach i odciągam je od swojej twarzy.

– Wiemy, że to nie jest prawda – odpowiadam matce, zmuszając się do tego, by na nią spojrzeć.

Matka z zaciekłością zaciska zęby. Królowa nie jest przyzwyczajona do tego, by ktoś jej zaprzeczał.

– Nie mów mi, co wiem, a czego nie.

Ale ja też jestem królową.

– Czy bogowie powiedzieli ci co innego? – pytam. – Mówisz w ich imieniu?

Błuznierstwo. Możesz słyszeć bogów w swoim sercu, ale tylko kapłani są naznaczeni do tego, by głosić ich słowa.

Nawet królowa Lakelandii podlega takim ograniczeniom. Odwraca wzrok, zawstydzona, nim spojrzy na Tiorę. Moja siostra nic nie mówi i wygląda tak posepnie jak jeszcze nigdy, co w jej wypadku jest wyczynem.

– Mówisz w imieniu korony? – Nie ustępuję, budując dystans między nami.

„Matka musi zrozumieć”. – Czy to pomoże naszemu krajowi?

Znów cisza. Matka nie chce odpowiedzieć. Robi surową minę, prostuje plecy. Spodziewam się, że zaraz zamieni się w kamień. „Nie okłamie cię”.

– Czy może mówisz w swoim imieniu, matko? Jako kobieta w żałobie. Właśnie straciłaś męża i nie chcesz stracić mnie...

– Nie zaprzeczę, że pragnę mieć cię na miejscu – odpowiada stanowczo, a ja rozpoznaję w jej głosie ton władcy. Ten, którego używa podczas audiencji na dworze królewskim. – Tu będziesz bezpieczna. Chroniona przed potworami takimi jak on.

– Poradzę sobie z Mavenem. Radzę sobie z nim od miesiący. Wiesz o tym. – Podobnie jak ona spoglądam na Tiorę, szukając jakiegoś wsparcia.

Jej twarz się nie zmienia, moja siostra zachowuje neutralność. Obserwuje w ciszy i szacuje sytuację, tak jak powinna to robić przyszła królowa.

– Owszem, czytałam listy. – Matka lekceważąco macha ręką.

Czy jej palce zawsze były takie chude, takie pomarszczone, takie stare? Jestem zaskoczona tym widokiem. „Tyle siwizny”, myślę w duchu, kiedy ona chodzi tam i z powrotem. Jej włosy połyskują w przytłumionym świetle. „Nie pamiętam, żeby tej siwizny było aż tyle”.

– Otrzymałam zarówno oficjalną korespondencję, jak i tajemne raporty, które nadawałaś, Iris – mówi matka. – Ani jedno, ani drugie nie napawa mnie poczuciem pewności. A widząc go teraz... – W zamyśleniu wydaje z siebie niepewne westchnienie. Podchodzi do przeciwległego okna i śledzi wiry z diamentowego szkła. – Ten chłopiec to same ostrza i pustka. Nie ma w sobie duszy. Zabił własnego ojca i to samo chciał uczynić z wygnanym bratem. Cokolwiek zrobiła z nim ta diablica, jego matka, skazało to króla Norty na życie pełne cierpienia. Nie skazę cię na to samo. Nie pozwolę ci zmarnować życia u jego boku. To tylko kwestia czasu, nim rozszarpie go jego własny dwór lub on rozszarpie swoich poddanych.

Podzielam jej lęk, ale nie ma co uzalać się nad wyborami, które już się

dokonały. Nad drzwiami, które już zostały otwarte. Nad ścieżkami, na które już weszliśmy.

– Gdybyś tylko powiedziała mi o tym wcześniej – pryham. – Dałabym mu umrzeć, kiedy Czerwoni przypuścili atak podczas naszego ślubu. Ojciec nadal by żył.

– Tak – mamrocze matka. Przygląda się szybko, jakby była dziełem sztuki, żeby nie musieć spoglądać na swoje córki.

– I gdyby Maven zginął... – Zniżam ton głosu, starając się mówić z taką mocą jak ona. Jak matka. Jak Tiora. Urodzona królowa.

Powoli podchodzę do matki i kładę dłonie na jej wąskich ramionach. Zawsze była chudsza ode mnie.

– Musielibyśmy prowadzić wojnę na dwóch frontach. Przeciwko nowemu królowi Norty i Czerwonej rebelii, która wydaje się wrzeć na całym świecie.

„W moim własnym kraju”, przeklinam w myślach. Czerwona rebelia miała początek w granicach Lakelandii, pod naszym nosem. Pozwoliliśmy się rozprzestrzenić ich zgniliźnie.

Matka trzepoce rzęsami, ciemnymi na tle jej brązowych policzków. Przykrywa moją dłoń swoją.

– Ale będę miała was obie. Nadal będziemy razem.

– Na jak długo? – pyta moja siostra.

Tiora jest wyższa od nas i mierzy nas znad czubka łukowatego nosa. Krzyżuje ramiona, wzbudzając szelest czarno-niebieskiego jedwabiu. W odizolowanej małej świątyni wygląda posągowo, góruje nad nami obok samych bogów.

– Kto powiedział, że ta ścieżka nie spowoduje jeszcze więcej śmierci? – mówi. – Że ciała nas trzech nie zmarnieją na dnie zatoki? Sądzicie, że Szkarłatna Gwardia pozwoli nam przeżyć, jeśli dokona przewrotu w królestwie? Bo ja nie.

– Ja też nie – mamroczę pod nosem, opierając czoło o ramię matki. – Mamo? Jej ciało napręża się pod moim dotykiem, mięśnie twardnieją.

– To się da zrobić – mówi kategorycznie. – Rozsupłać ten węzeł. Nadal możesz

z nami zostać, ale to musi być twój wybór, *monamora*.

„Moja kochana”.

Gdybym mogła prosić o coś matkę, poprosiłabym o to, aby podjęła decyzję za mnie. Żeby zrobiła to, co robiła dla mnie tysiące razy. „Założ to, zjedz tamto, mów, co ci każe”. Wtedy zazdrościłam jej tej mądrości, tego, jak ona lub mój ojciec brali za mnie odpowiedzialność. Teraz chętnie bym z niej zrezygnowała. Zawierzyła swój los ludziom, którym ufam. Gdybym tylko nadal była dzieckiem, a to wszystko było tylko snem...

Oglądam się przez ramię i szukam wzrokiem swojej siostry. Patrzy na mnie, marszcząc brwi, i nie podsuwa żadnego rozwiązania.

– Zostałabym, gdybym mogła. – Próbuję mówić jak królowa, ale moje słowa brzmią niepewnie. – Wiesz o tym. I wiesz głęboko w środku, że to, o co mnie prosisz, jest niemożliwe. Zdrada korony. Co nam zawsze powtarzałaś?

Tiora odpowiada, a matka wykrzywia usta.

– Obowiązek ponad wszystko. Honor na wieki.

Na to wspomnienie robi mi się cieplej w środku. To, co mnie czeka, nie jest proste, ale właśnie tak muszę postąpić. A przynajmniej mam w tym pewien cel.

– Moim obowiązkiem, tak samo jak waszym, jest chronienie Lakelandii. Moje małżeństwo z Mavenem może nie spowoduje, że wygramy wojnę, ale daje nam szansę. Stawia mur pomiędzy nami a wilkami u bram. Jeśli chodzi o mój honor: nie mogę mówić, że go mam, póki nie pomszczę ojca.

– Zgoda – odpowiada szorstko Tiora.

– Zgoda – szepcze matka, jej głos jest jak cień.

Patrzę jej przez ramię na twarz uśmiechającej się bogini. Czerpię siłę z jej uśmiechu, jej pewności siebie. Dodaje mi otuchy.

– Maven i jego królestwo są jak tarcza, ale też jak miecz. Musimy go wykorzystać, mimo że stanowi zagrożenie dla nas wszystkich.

– Zwłaszcza dla ciebie – dopowiada matka.

– Zwłaszcza dla mnie.

– Nie powinnam była się na to zgodzić – syczy. – To był pomysł ojca.

– Wiem. I był dobry. Nie mam do niego pretensji.

„Nie mam do niego pretensji”. Ile nocy spędziłam sama w Pałacu Białego Ognia, nie śpiąc i wmawiając sobie, że nie mam żalu? Nie czuję złości, że zostałam sprzedana jak domowe zwierzę albo ar ziemi? Wtedy, tak jak teraz, było to kłamstwo. Jednak moja złość na takie rzeczy umarła wraz z ojcem.

– Kiedy to wszystko się skończy... – mówi matka.

– Jeśli wygramy... – przerywa jej Tiora.

– Kiedy wygramy – rzuca matka, odwracając się na piętach. Jej oczy pobłyskują, przez moment odbijając migoczące światło.

Stojąca na środku świątyni fontanna zaczyna płynąć wolniej, równomiernie tryskająca woda leniwie pokonuje swoją trasę.

– Kiedy twój ojciec skąpie się we krwi swoich morderców, kiedy Szkarłatna Gwardia zostanie wytępiona jak stado przerośniętych szczurów.

Woda przestaje płynąć, zawieszona przez zapalczywość matki.

– Nie będzie powodu, byś pozostała w Norcie. I jeszcze mniej powodów, by pozwolić rozchwianemu, nienadającemu się na króla chłopcu zasiadać na tronie Archeonu. Zwłaszcza takiemu, który lekkomyślnie przelewa krew swoich ludzi i naszą.

– Zgoda – szepczemy z siostrą jednym głosem.

Matka jednostajnym ruchem odwraca głowę ku zastygłej fontannie i kształtuje wodę zgodnie ze swoją wolą. Tworzy z niej łuk. Na wodę padają promienie światła i rozproszone przez nią przyjmują najróżniejsze kolory. Matka nawet nie drgnie ani nie mrugnie mimo rażącej jasności.

– Lakelandia pozbędzie się tych bezbożnych narodów. Podbijemy Nortę. I Rowy też. Już i tak skaczą sobie do gardeł i poświęcają własnych ludzi w imię małostkowych sporów. Nie minie wiele czasu, nim braknie im sił. A wtedy nie znajdą schronienia przed furią linii Cygnetów.

Zawsze byłam dumna ze swojej matki, nawet jako dziecko. To wspaniała

kobieta, uosobienie obowiązku i honoru. Przenikliwa, nieugięta. Matka całego swojego królestwa tak samo jak swoich dzieci. Teraz wiem, jak mało ją znałam. Determinacja pod jej zewnętrznym spokojem ma siłę burzy. I co to będzie za burza?

– Niech zmierzą się z powodzią – mówię, przytaczając dawną karę.

Taką, na jaką kiedyś skazywaliśmy zdrajców i wrogów wszelkiego rodzaju.

– A co z Czerwonymi? Tymi z umiejętnościami w górskim kraju? Mają szpiegów, którzy biegają po naszym królestwie. – Tiora marszczy brew, a wtedy jej skórę przecina kanion.

Mam ochotę wygładzić jej niekończące się zmartwienia, ale ma rację.

Trzeba brać pod uwagę takich ludzi jak Mare Barrow. Oni też są częścią zdarzeń. Ich też chcemy zwalczyć.

– Wykorzystamy Mavena przeciw nim – oznajmiam Tiorze. – Ma obsesję na punkcie Nowych, a w szczególności dziewczyny od błyskawic. Jeśli trzeba, pogna za nimi na kraj świata i poświęci na to całą swoją siłę.

Matka kiwa głową z ponurą aprobatą.

– A Piedmont?

– Zrobiłam tak, jak powiedziałaś. – Powoli się prostuję, dumna z siebie. – Ziarno zostało zasiane. Maven potrzebuje Brackena tak samo jak my. Spróbuje uratować dzieci. Jeśli uda nam się przeciągnąć Brackena na naszą stronę, użyć jego armii zamiast naszych...

Moja siostra kończy za mnie.

– Ochronimy Lakelandię. I uderzymy z pełną siłą. Może nawet damy radę nakłonić Brackena, aby zwrócił się przeciw Mavenowi.

– Tak – odpowiadam. – Jeśli będziemy mieć szczęście, powybijają się nawzajem, jeszcze zanim pokażemy nasze prawdziwe oblicze.

Tiora cmoka.

– Nie stawiałabym na szczęście, jeśli stawką jest twoje życie, *petasorre*.

„Siostrzyczko”. Choć wypowiada to słowo z miłością i nie ma zamiaru mnie

urazić, czuję się niezręcznie. Nie dlatego, że jest następczynią tronu, pierworodnym dzieckiem, córką, która ma przejąć władzę. Ale dlatego, że pokazuje, jak bardzo jej na mnie zależy i ile jest w stanie dla mnie poświęcić. Ale ja nie chcę tego ani od niej, ani od swojej matki. Moja rodzina poświęciła już wystarczająco dużo.

– To ty musisz uratować dzieci Brackena – mówi matka posępnym i zimnym głosem. Wyraz jej oczu pasuje do tego tonu. – Córka Cygnetów. Maven wyśle swoich Srebrnych, ale sam nie pojedzie. Nie ma potrzebnych do tego umiejętności ani wytrzymałości. Ale jeśli wyruszysz z jego ludźmi, jeśli wrócisz do księcia Brackena, niosąc na rękach jego dzieci...

Z trudem przełykam ślinę. „Nie jestem aportującym psem”. Oznajmiłam to Mavenowi zaledwie kilka minut temu i prawie odpowiadam to samo swojej matce królowej.

– To zbyt niebezpieczne – ripostuje szybko Tiora, prawie stając między nami.

Matka nie ustępuje, bezkompromisowa jak zawsze.

– Nie możesz opuścić granic kraju, Ti. A jeśli mamy przeciągnąć Brackena wyłącznie na naszą stronę, to my musimy mu pomóc. To jedyny sposób na Piedmont. – Zaciska zęby. – Czy może wolałabyś, żeby zrobił to Maven i zaskarbił sobie oddanego sprzymierzeńca? Ten chłopak jest wystarczająco niebezpieczny nawet w pojedynkę. Nie dawaj mu do ręki kolejnego miecza.

Mimo że rani to moją dumę, widzę sens w słowach matki. Jeśli to Maven będzie dowodził akcją poszukiwawczą, to bez wątplenia zyska sobie lojalność Brackena. Nie można do tego dopuścić.

– Oczywiście, że nie – odpowiadam powoli. – To jakimś cudem muszę być ja.

Tiora przyznaje nam rację. Wydaje się kulić w sobie.

– Każę swoim dyplomatom nawiązać kontakt. Tak dyskretnie jak tylko się da. Czego jeszcze potrzebujesz?

Kiwam głową, czując odrętwienie w palcach dłoni. „Uratować dzieci Brackena”. Nawet nie wiem, od czego zacząć.

Sekundy ciągną się w nieskończoność i coraz trudniej ignorować upływ czasu.

„Jeśli zostaniemy tu dłużej, Nortañczycy zaczną coś podejrzewać – myślę sobie, przygryzając wargę. – W szczególności Maven, jeśli już czegoś nie podejrzewa”. Moje nogi zamieniają się w ołów, gdy odsuwam się od matki, a dłonie nagle stają się zimne bez jej ciepła.

Mijam fontannę, przejeżdżam po wygiętej w łuk wodzie palcami, mocząc ich koniuszki. Skrapiam oczy i rozmazuję ciemny makijaż na rzęsach. Sztuczne łyzy spływają mi po policzkach, ciemne jak pogrążone w żałobie kwiaty.

– Módl się, Ti – mówię siostrze. – Ufaj bogom, jeśli nie chcesz ufać szczęściu.

– Moje zaufanie do nich jest niezachwiane – odpowiada mechanicznie, bez zwłoki. – Będę się modlić za nas wszystkie.

Przystaję przy drzwiach z jedną dłonią na klamce.

– Tak jak ja. – Otwieram drzwi, sprawiając, że bańka wokół nas pryska.

To mogły być nasze ostatnie sekundy bezpieczeństwa na nadchodzące lata.

– Czy to się uda? – mamroczę do siebie pod nosem.

Jakimś cudem matka słyszy moje słowa. Gdy podnosi wzrok, nie mogę uciec spod jej spojrzenia, wychodząc.

– Wiedzą to tylko bogowie.

ROZDZIAŁ 5

MARE

Odrzutowce transportowe, cięższe niż zwykle, wydają się ślamazarne w powietrzu. Kołyszę się z zamkniętymi oczami, przytrzymywana przez pasy bezpieczeństwa. Ruch maszyny w połączeniu z kojącym szumem elektryczności sprawia, że tkwię w półśnie. Silniki warkoczą cicho mimo dodatkowego ładunku. Luki są po brzegi wypełnione dobrodziejstwami z Corvium. Amunicją, pistoletami, ładunkami wybuchowymi, bronią wszelkiego rodzaju. Mundurami wojskowymi, racjami pokarmowymi, paliwem, bateriami. Wieziemy nawet sznurówki. Połowa leci teraz do Piedmontu, a reszta, w kolejnym transportowcu, wraca w góry Davidsona.

Montfort i Szkarłatna Gwardia niczego nie marnują. Podobnie zrobili tuż po ataku na Pałac Białego Ognia: zgarnęli stamtąd wszystko, co się dało mimo ograniczonego czasu. Głównie pieniądze, które przyniesiono ze skarbcza, kiedy stało się jasne, że Maven zdołał się nam wymknąć. To samo zdarzyło się w Piedmoncie. Dlatego właśnie południowa baza wydaje się taka pusta – w kwaterach i budynkach administracyjnych kiedyś odbywały się wielkie narady wojenne. Żadnych obrazów, żadnych rzeźb, żadnej eleganckiej zastawy ani sztucców. Żadnych zbytków, których wymagają wielcy Srebrni. Nic ponad to, co niezbędne. Resztę rozmontowano, sprzedano, wykorzystano w innych celach. Wojny nie są tanie.

Dlatego za nami sypie się Corvium. Bo Corvium do niczego się nam już nie przyda.

Davidson uznał, że pozostawienie tam garnizonu żołnierzy będzie nierozsądnym marnotrawstwem. Fortecę zbudowano po to, by wysyłać stąd wojska

do Duszni, żeby walczyły z Lakelandczykami. Skoro wojna się zakończyła, miasto nie spełnia już swojej funkcji. Nie musi strzec rzeki, nie jest punktem strategicznym w walkach. To tylko jedna z wielu dróg prowadzących do Lakelandii. Corvium stało się co najwyżej rozrywką. I choć to my przejęliśmy miasto, znajdowało się głęboko na terytorium Mavena i zbyt blisko granicy. Lakelandia mogła natrzeć na nas bez ostrzeżenia albo Maven mógł wrócić ze zdwojoną siłą. Możliwe, że znów byśmy wygrali, ale zginęliby kolejni ludzie. Umarliby za kamienie na środku pustkowiec.

Srebrni byli przeciwni. Oczywiście. To chyba dla nich kwestia honoru sprzeciwić się wszystkiemu, co zaproponuje ktoś o czerwonej krwi. Anabel opowiadała się za utrzymaniem pozorów.

– Tylu straciło życie, tylu przelało krew, by zdobyć te mury, a wy chcecie porzucić miasto? Wyjdziemy na głupców! – mówiła zbulwersowana, przeszywając wzrokiem obecnych na sali obrad. Spojrzała na Davidsona, jakby miał dwie głowy. – Pierwsze zwycięstwo Cala, jego flaga wzniesiona...

– Nigdzie nie widzę jego flagi – przerwała jej Farley.

Anabel jednak ją zignorowała. Mówiła dalej, sprawiając wrażenie, jak gdyby lada moment miała obrócić w proch stół pod swoimi palcami. Cal siedział cicho przy jej boku i rozpalonym wzrokiem wpatrywał się w swoje dłonie.

– Opuszczenie miasta zostanie uznane za słabość – oznajmiła stara królowa.

– Bardzo niewiele mnie obchodzi, jakie coś będzie sprawiać wrażenie, Wasza Królewska Mość. Interesuje mnie tylko stan rzeczywisty – odpowiedział Davidson. – Proszę śmiało zostawić własny oddział żołnierzy, by pilnował Corvium, nie zostanie tu jednak żaden żołnierz Montfortu ani Szkarłatnej Gwardii.

Na te słowa Anabel wykrzywiła usta, ale wszelkie riposty ugrzęzły jej w gardle. Nie miała zamiaru marnować w taki sposób własnych oddziałów. Wsunęła się głębiej na siedzisko krzesła i odwróciła od Davidsona, przenosząc wzrok na Volvo Samosa. Ten jednak również nie chciał poświęcić swoich ludzi. Nie powiedział ani słowa.

– Jeśli mamy opuścić miasto, to zostawimy po sobie kupę gruzu. – Tyberiasz zacisnął pięść na stole.

Wyraźnie pamiętam, że jego knykcie były białe jak kość. Pod paznokciami wciąż tkwiły brud i pewnie krew. Skupiłam się na jego rękach, żebym nie musiała patrzeć na twarz. Zbyt łatwo odczytać jego emocje, a nie chcę mieć z nimi już nic wspólnego.

– Zbierzemy specjalne kontyngenty z każdej armii – powiedział. – Niweczników z domu Lerolan, Nowych Grawitronów i Bombardierów. Wszystkich, którzy potrafią niszczyć. Wyczyśćcie miasto z wszelkich zasobów, obróćcie je w proch, a potem spłuczcie wszystko, co pozostanie. Nie pozostawcie niczego, co mogliby wykorzystać Maven i Lakelandczycy.

Nie podniósł wzroku, kiedy mówił, nie był bowiem w stanie wytrzymać mojego spojrzenia. Musiało mu być ciężko wydać rozkaz, by zniszczyć jedno z jego własnych miast. Miejsce, które znał, miejsce, którego bronił jego ojciec, a wcześniej dziadek. Tyberiasz ceni sobie powinność tak samo jak tradycję, jest przesiąknięty tymi ideałami aż do szpiku kości. Jednak nie współczułam mu wtedy i nie współczuję teraz, kiedy spieszymy w stronę Piedmontu.

Corvium było jedynie bramą do Czerwonego cmentarzyska. Cieszę się, że już nie istnieje.

Mimo to czuję niepokój. Corvium nadal płonie pod moimi powiekami, jego ściany się walą, rozszarpywane przez gwałtowne eksplozje, budynki są rozrywane zmanipulowanymi siłami grawitacji, metalowe bramy wykręcane. Dym gna ulicami. Ella, która tak jak ja jest Elektrykonem, wykorzystwała swoją burzę, by powalić centralną wieżę, i rozłupała kamień niebieską błyskawicą. Wodniacy z Montfortu, Nowi o wielkiej sile, wykorzystali pobliskie strumienie, a nawet rzekę, żeby spłukać gruzu do odległego jeziora. Nic nie przetrwało. Część miasta nawet zatonała, wpadając do tuneli pod spodem. Resztę pozostawiono jako ostrzeżenie: głazy, których nie sfatygowały tysiące lat, a potrafiły to zrobić pojedyncze godziny.

„Ile miast spotka ten sam los?”

Najpierw myślę o Palach.

Nie byłam w miejscu, w którym się wychowałam, od prawie roku. Nie, odkąd miałam na imię Mareena i stojąc na pokładzie królewskiego statku, podziwiałam brzegi rzeki Capital, z duchem u swojego boku. Elara jeszcze wtedy żyła, podobnie jak król. Zmusili mnie do tego, bym patrzyła, kiedy mijaliśmy moją wioskę, której mieszkańcy zebrali się przy brzegu, mimo że groziły za to chłosta lub więzienie. Między nimi stała moja rodzina. Skupiłam się na ich twarzach, nie na miejscu. Pale nigdy nie były moim domem. Oni są.

Czyby mnie to obeszło, gdyby wioska zniknęła? Gdyby nikomu nie stała się krzywda, gdyby zniknęły tylko domy na palach, targ, szkoła, arena – gdyby to wszystko zostało zniszczone? Spalone, zalane albo zwyczajnie przestało istnieć?

Trudno mi powiedzieć.

Ale zdecydowanie istnieją miejsca, które powinny podzielić los Corvium. Wymieniam nazwy tych, które pragnę zniszczyć.

„Szare Miasto, Wesołe Miasto, Nowe Miasto. I wszystkie im podobne”.

Slumsy techników przypominają mi o Cameron. Śpi naprzeciwko mnie przypięta uprzęą. Głowa jej się kiwa, jej chrapanie jest niemal nie do odróżnienia od dźwięku silników odrzutowca. Spod kołnierza wystaje tatuaż. Czarny tusz na ciemnobrązowej skórze. Została naznaczona wykonywanym zawodem, a raczej więzieniem dawno temu. Widziałam miasto techników tylko z daleka i na to wspomnienie nadal chce mi się rzygać. Nie mogę sobie wyobrazić, jak mogło wyglądać dzieciństwo w takim miejscu, całe życie w dymie.

Czerwone slumsy muszą zniknąć.

Ich mury też muszą spłonąć.

*

Łądujemy na terenie bazy w Piedmoncie w środku przedpołudniowej ulewy. Już po trzech krokach po pasie startowym jestem cała przemoczona i spieszę się do czekających na nas pojazdów transportowych. Farley z łatwością mnie przegania,

chce jak najszybciej pojechać do Clary. Nie jest w stanie myśleć o niczym innym, wymija pułkownika oraz resztę jego żołnierzy, którzy ruszają nam na powitanie. Żeby dorównać jej kroku, muszę zacząć za nią biec. Staram się nie patrzeć na drugi odrzutowiec, należący do Srebrnych. Słyszę ich przez deszcz, jak wysiadają na wybrukowane lądowisko w swoich okazałych strojach. Deszcz przyciemnia ich kolory, mącąc pomarańcz domu Lerolan, żółć Jacosów, czerwień Calore i srebro Samosów. Evangeline mądrze zrezygnowała ze swojej zbroi. Metalowe ubrania nie są zbyt bezpieczne podczas burzy.

Król Volvo i reszta jego Srebrnych całe szczęście nie przylecieli z nami. Są w drodze do królestwa Rowów, o ile już tam nie dotarli. Tylko Srebrni ruszający jutro do Montfortu zatrzymali się z nami w Piedmoncie. Anabel, Julian, różni strażnicy i doradcy – a także Evangeline i oczywiście Tyberiasz.

Gdy dochodzę do transportera i wsiamam do jego suchego wnętrza, spoglądam na niego przelotnie i dostrzegam jego posępną minę. Tyberiasz się wyróżnia, tylko on jest zaznajomiony z piedmoncką bazą. Pewnie Anabel przywiozła mu więcej dworskich ubrań. To jedyne wytłumaczenie dla jego długiej peleryny, wypolerowanych butów i wytwornego stroju. Z daleka nie widzę, czy ma na sobie koronę. Mimo królewskich szat nikt nie pomyliłby go z Mavenem. Kolory Tyberiasza są odwrócone. Peleryna jest krwistoczerwona, podobnie jak jego ubrania, wykończone czarnymi i srebrnymi detalami. Żarzy się w strugach deszczu, jasny jak płomień. I wpatruje się we mnie, marszcząc brwi i nie poruszając się, mimo że nad nami zaczyna się burza.

Czuję strzał pierwszego pioruna, zanim jeszcze przetnie niebo. Ella wstrzymywała go, by odrzutowce mogły wylądować. Pewnie teraz go uwolniła.

Odwracam się od okna transportowca i opieram o szybę. Kiedy szybko odjeżdżamy, ja też coś w sobie uwalniam.

*

Dom szeregowy przydzielony mojej rodzinie wygląda tak samo jak kilka dni temu, kiedy wyjechałam, tylko że jest cały mokry. Wiatr chłłoszcze deszczem po

szybach, topiąc rośliny w skrzynkach na parapecie. Tramy'emu się to nie spodoba. Ma fioła na punkcie tych kwiatów.

„W Montforcie będzie mógł ich mieć, ile tylko zapragnie. Obsadzi nimi cały ogród i przez resztę życia będzie patrzył, jak rosną”.

Farley wyskakuje z auta, zanim całkiem się zatrzyma, rozbryzgując wodę w kałuży. Ja z kilku powodów się waham.

Oczywiście muszę porozmawiać z rodziną o Montforcie. I mam nadzieję, że zgodzą się tam zostać, nawet kiedy znów wyjadę. Powinniśmy się już do tego przyzwyczaić, ale rozłąka z nimi wcale nie staje się łatwiejsza. Jednak oni nie mogą powstrzymać mnie, a ja ich, jeśli zdecydują się zostać. Na tę myśl przechodzi mnie dreszcz. Świadomość, że są bezpieczni, to moje ostatnie źródło wewnętrznego spokoju.

Ale ta nieunikniona dyskusja wydaje się bajką w porównaniu z tym, co jeszcze muszę im wyznać.

Cał wybrał koronę. Nie mnie. Nie nas.

Wypowiedzenie tych słów na głos sprawia, że staje się to prawdziwe

Kałuża, przy której zatrzymał się transporter, jest głębsza, niż się spodziewałam, tak że gdy w nią wskakuję, do płytkich butów wpada woda, posyłając mi po nogach zimne dreszcze. Jestem wdzięczna za coś, co odwraca moją uwagę. Idę za Farley po schodach w stronę otwierających się drzwi.

Do środka wciąga mnie kłębowisko Barrowów. Mama, Gisa, Tramy i Bree kręcą się wokół mnie. Mój stary dobry przyjaciel Kilorn szybko mocno mnie przytula. Na jego widok czuję nagłą ulgę. Nie był gotowy do walki w Corvium, więc dobrze, że zgodził się z nami nie lecieć.

Tata trzyma się z tyłu i czeka, aż będzie mógł na spokojnie mnie uściskać. Chyba trochę to potrwa, bo mama najwyraźniej w ogóle nie ma zamiaru mnie puścić. Obejmuje mnie za szyję i przyciąga do siebie. Jej ubrania pachną świeżością i czystością, jak poranna rosa z mydłem. Nie to, co w domu w Palach. Mój status w armii, jakikolwiek by był, zapewnia im luksusy, jakich wcześniej

nigdy nie zaznali. Już sam szeregowiec, była kwatera oficerska, można uznać za wystawny w porównaniu z naszym dawnym domem na palach. Choć jest oszczędnie urządzone, wszystkie podstawowe sprzęty są starannie wykonane i bardzo zadbane.

Farley nie widzi nikogo poza Clarą. Ledwie przekraczam próg, a ona już tuli dziewczynkę do piersi, pozwalając jej oprzeć głowę na swoim ramieniu. Ziewając, Clara marszczy nosek i próbuje wrócić do przerwanej drzemki. Kiedy Farley upewnia się, że nikt nie patrzy, schyla kark i przytyka nos do porośniętej brązowymi włosami główki córki. Zamyka oczy i wdycha jej zapach.

W międzyczasie mama obsypuje moją skroń kolejnym tuzinem całusów, uśmiechając się szeroko.

– Wróciłaś do domu – szepcze.

– Czyli naprawdę to zrobili – mówi tata. – Corvium przestało istnieć.

Wyplątuje się z ramion mamy, by porządnie go uściskać. Nadal jesteśmy nieprzyzwyczajeni do tego typu dotyku, kiedy ojciec nie siedzi skulony na wózku inwalidzkim. Mimo długich miesięcy rekonwalescencji z pomocą Sary Skonos oraz Uzdrowicieli i pielęgniarek montforckiej armii nie da się cofnąć minionych lat. Ból nie zniknął, jest zakorzeniony w jego mózgu. I chyba tak powinno zostać. Zapomnienie nie wydaje się w porządku.

Opiera się o mnie, nie tak ciężko jak kiedyś, a ja prowadzę go do salonu. Uśmiechamy się do siebie gorzko – to porozumiewawczy znak, który znamy tylko my. Tata rozumie, co to znaczy zobaczyć śmierć, a potem wrócić do domu. Próbuje sobie wyobrazić, kim kiedyś był, osobę pod zmarszczkami i siwiejącym zarostem, schowaną gdzieś w środku. W domu mieliśmy kilka zdjęć. Nie wiem, ile trafiło do azyłu na wyspie Klin, potem do kolejnej bazy w Lakelandii, a na koniec tu. Jedno z nich szczególnie dobrze utkwilo mi w pamięci. Stara fotografia, podniszczona na brzegach, obraz wyblakły i rozmyty. Matka i ojciec zrobili ją sobie dawno temu, na długo zanim urodził się Bree. Byli nastolatkami, dzieciakami z Pali jak kiedyś ja. Tata nie mógł mieć chyba jeszcze osiemnastu lat. Jeszcze nie został wzięty do wojska, a mama była tylko czeladniczką. Tata bardzo przypominał z wyglądu Bree,

mojego starszego brata. Ten sam uśmiech, usta niemal zbyt szeroko rozciągnięte, z obu stron obstawione dołeczkami. Gęste proste brwi i wysokie czoło. Trochę przyduże uszy. Staram się nie myśleć o tym, że kiedyś moi bracia zestarzeją się jak ojciec, dotkną ich te same bóle i problemy. Mogę sprawić, by nie podzielili losu taty – albo Shade’a.

Bree pada ciężko na fotel obok nas i krzyżuje nagie stopy na zwykłym dywanie. Marszczę nos. Mężczyźni nie mają ładnych stóp.

– Żegnaj, kupo gruzu – mówi Bree, przeklinając Corvium.

Tramy kiwa głową na zgodę. Jego ciemnobrązowa broda robi się coraz gęstsza.

– Nie będę tęsknił.

Obaj zostali powołani do wojska jak ojciec. Obaj na tyle dobrze znają fortecę, by nienawidzić wspomnień o niej. Puszczają sobie uśmieszki, jakby wygrali jakąś grę.

Tata jest mniej skłonny do świętowania. Ostrożnie siada na drugim fotelu i prostuje odrośniętą nogę.

– Srebrni zbudują kolejną. Tak działają. Nie zmieniają się. – Oczy mu błyszczą, gdy na mnie spogląda.

Czuję ucisk w żołądku, bo zdaję sobie sprawę, co próbuje mi powiedzieć. Aż robię się czerwona.

– Prawda?

Zawstydzona, odwracam się i zaczynam szybko szukać wzrokiem Gisy. Moja siostra wzdycha, opuszczając ramiona i nieznacznie kiwając głową. Bawi się rękawem bluzki, unikając mojego wzroku.

– Czyli już słyszeliście – mówię monotonnym, pozbawionym emocji głosem.

– Nie wszystko – odpowiada Gisa. Spogląda z ukosa na Kilorna.

Mogę się założyć, że przekazał wszystkim co mniej bolesne szczegóły po otrzymaniu mojej wczorajszej wiadomości. Ze zdenerwowania Gisa owija sobie pasemko włosów wokół palców. Ciemnorude pukle połyskują.

– Ale wystarczająco dużo, żebyśmy się domyślili. Coś o innej królowej, nowym

królu i Montforcie oczywiście. Zawsze ten Montfort.

Kilorn ściąga usta. Przeczesuje dłonią swoje falowane blond włosy z tym samym dyskomfortem co Gisa. Dostrzegam w nim złość. Lekko w nim wrze, sprawiając, że w jego zielonych oczach coś się zapala.

– Nie mogę uwierzyć, że się zgodził.

Cóż, ja też.

– Tchórz – warczy Kilorn. Zaciska pięść. – Tchórz i idiota. Marnotrawny, zepsuty, rozwydrzony drań. Powinienem przestawić mu szczękę.

– Pomogę ci – mamrocze Gisa.

Nikt ich nie łaje. Nawet ja, choć Kilorn zdecydowanie się tego spodziewa. Zerka na mnie, zaskoczony moim milczeniem. Patrzą mu w oczy, próbując coś przekazać bez wypowiedzania jakichkolwiek imion. „Shade oddał życie za naszą sprawę, a Tyberiasz nie potrafi nawet oddać korony”.

Zastanawiam się, czy Kilorn wie, że moje serce jest złamane na pół. Na pewno wie.

„Czy tak właśnie się czuł, kiedy go odepchnęłam? Gdy powiedziałam mu, że nie czuję tego, co on? Że nie mogę dać mu tego, czego chce?”

Jego spojrzenie łagodnieje wraz z przychodzącą do niego litością. Mam nadzieję, że nie wie, jakie to uczucie. „Po prostu nie umiesz mnie tak pokochać i już”, powiedział kiedyś. Teraz chciałabym, żeby to nie była prawda. Chciałabym móc nas uratować od tej agonii.

Na szczęście mama kładzie mi dłoń na ramieniu i delikatnie prowadzi mnie w stronę kanapy. Nic nie mówi o księciu Calore, a ostre spojrzenie, które rzuca wszystkim zebranym, daje jasny komunikat. „Wystarczy”.

– Dostaliśmy twoją wiadomość – mówi zbyt głośno i pogodnie, ale stara się zmienić temat. – Od tego Nowego z brodą...

– Tahira – podpowiada jej Gisa, kiedy siada obok mnie.

Kilorn staje za kanapą.

– Postanowiłaś, że mamy się przesiedlić. – Choć siostra tego właśnie pragnęła,

mojej uwadze nie umyka ostra nuta w jej głosie. Spogląda na mnie, mrugając powiekami i unosząc brew.

Głośno wzdycham.

– Nie podejmę za was decyzji, ale jeśli pojedziecie, to znajdzie się miejsce dla wszystkich. Premier powiedział, że zostanieie przyjęci z otwartymi ramionami.

– A pozostali? – pyta Tramy. Przymruża oczy, przysiadając na oparciu fotela Bree. – Nie jesteśmy jedynymi, których tu ewakuowano.

Dostaje łokciem w bok i zgina się wóół, a Bree parska śmiechem.

– Myślisz o tej urzędniczce? Jak jej tam? Tej z kręconymi włosami?

– Wcale nie – odpowiada ponuro Tramy, a jego złote policzki robią się czerwone, co widać nawet mimo brody.

Bree próbuje pokazać palcem jego rumieńce, ale dostaje po rękach. Moi bracia mają niezaprzeczalny talent do zachowywania się jak dzieci. Kiedyś mnie to irytowało, teraz już nie. To ich normalne reakcje, przynoszą mi ulgę.

– Trochę to zajmie. – Mogę jedynie wzruszyć ramionami. – Ale dla nas...

Gisa głośno prychna i odrzuca głowę do tyłu z wyraźną irytacją.

– Dla ciebie, Mare. Nie jesteśmy na tyle głupi, żeby myśleć, że to nam przywódca republiki chce wyświadczyć tę przysługę. Co dostanie w zamian? – Zwinnymi palcami chwyta moją dłoń i mocno ją ściska. – Co on od ciebie za to dostanie?

– Davidson nie jest Srebrnym – odpowiadam. – Chętnie dam mu to, czego chce.

– A kiedy będziesz mogła przestać z siebie dawać? – odpowiada gniewnie. – Kiedy umrzesz? Kiedy skończysz jak Shade?

Na dźwięk tego imienia w pokoju zapada milczenie. Stojąca przy drzwiach Farley odwraca głowę, chowając się w cieniu.

Wlepiam wzrok w Gisę, studiując śliczną twarz swojej siostry. Ma teraz piętnaście lat, dorasta. Jej twarz była kiedyś okrągłjsza, piegi mniej liczne. I nie miała takich zmartwień jak teraz. Tylko zwykłe rzeczy. Wcześniej wszyscy polegaliśmy na małej Gisie. Jej umiejętnościach, jej talencie. Jej zdolności do

tego, by uratować naszą rodzinę. Ale już nie. Nie żałuje utraty tego ciężaru. Ale widzę, że się o mnie troszczy. Nie chce, by ten ciężar przeszedł na moje ramiona.

Za późno.

– Giso – mówi mama niskim, ostrzegawczym tonem.

Staram się zebrać w sobie i cofam dłoń. Moje plecy robią się jak stal.

– Musimy zawnioskować o przyznanie nam większej armii i potrzebujemy zgody rządu premiera Davidsona, jeśli chcemy dodatkowych żołnierzy. Pomogę zaprezentować naszą koalicję, pokazać, kim jesteśmy. Przedstawić przekonujące argumenty przemawiające za wojną przeciwko Norcie i Lakelandii.

Moja siostra tego nie kupuje.

– Potrafisz być przekonująca, ale nie aż tak.

– Może masz rację, ale jestem łącznikiem czterech frontów – odpowiadam, krążąc wokół prawdy. – Szkarłatnej Gwardii, dworów Srebrnych, Nowych i Czerwonych. – Przynajmniej nie kłamię. – I mam sporą wprawę w robieniu przedstawienia.

Farley trzyma dziecko jedną ręką, a drugą podpira na biodrze. Stuka palcami o kaburę, w której znajduje się jej nieodłączny pistolet.

– Mare nieźle umie odwrócić uwagę. Tam, gdzie pojedzie ona, tam ruszy i Cal. Nawet teraz, kiedy próbuje odzyskać swój tron. Jedzie z nami do Montfortu, tak samo jak jego nowa narzeczona.

Słyszę, jak za moimi plecami Kilorn wciąga powietrze przez zęby.

Gisa jest równie zniesmaczona.

– Tylko oni przejmowałiby się aranżowaniem małżeństw w środku wojny.

– Żeby zawrzeć kolejny sojusz, prawda? – mówi Kilorn z goryczą. – Maven już tak zrobił. Zaklepał sobie Lakelandię. Cal musi zrobić to samo. Kim ona jest? To jakaś dziewczyna z Piedmontu? Chce ostatecznie przypieczętować naszą obecność w tym kraju?

– To nie ma znaczenia, kim ona jest. – Zaciskam pięść, którą trzymam na kolanie, zdając sobie sprawę, że mam szczęście, że to Evangeline.

Dziewczyna, która nie chce mieć z Tyberiaszem nic wspólnego. Kolejny uszczerbek w jego płonącej zbroi.

– I ty po prostu na to pozwolisz? – Kilorn wychodzi zza sofy i zaczyna krążyć po pokoju, sadząc równe kroki swoimi długimi nogami. – Nie, jeszcze gorzej: masz zamiar pomóc? Pomóc Calowi walczyć o koronę, której nikt nie powinien mieć? Po wszystkim, co do tej pory zrobiliśmy? – Jest tak zdenerwowany, że mało nie splunie na podłogę.

Zachowuję nieruchomy, niewzruszony wyraz twarzy i pozwalam mu upuścić pary. Nie potrafię sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek był tak mną rozczarowany. Zły – owszem, ale nie do tego stopnia. Jego pierś gwałtownie unosi się i opada, gdy czeka na moje wytłumaczenie.

Farley mnie wyręcza.

– Montfort i Szkarłatna Gwardia nie będą prowadzić dwóch wojen – mówi miarowym tonem, podkreślając każde słowo. Przekazując komunikat. – Musimy się rozprawić z naszymi wrogami po kolei. Rozumiecie?

Moja rodzina jak na komendę nieruchomieje, ich oczy ciemnieją. Zwłaszcza ojca. W zamyśleniu przejeżdża kciukiem po żuchwie i zaciska usta w cienką linię. Kilorn jest mniej powściągliwy. W jego oczach iskrzy zielony ogień.

– Aha – mamrocze, prawie się uśmiechając. – Rozumiem.

Bree mruga powiekami.

– Yyy, ja nie.

– Nikogo to nie dziwi – rzuca Tramy pod nosem.

Nachylam się do przodu, chcąc wszystko im wyjaśnić.

– Nie oddamy tronu Srebrnemu królowi. A przynajmniej nie na długo. Bracia Calore toczą wojnę i tracą swoje wojska. Kiedy kurz opadnie...

Tata klepie się po kolanie. Mojej uwadze nie umyka drzenie jego palców. Też je czuję.

– Łatwiej będzie uporać się ze zwycięzcą.

– Koniec z królami – szepcze Farley. – Koniec z królestwami.

Nie mam pojęcia, jak mógłby wyglądać taki świat. Ale to może wkrótce nastąpić, jeśli Montfort jest taki, jak mi obiecywano.

Gdybym tylko jeszcze wierzyła w obietnice.

*

Nawet nie kryjemy się z tym, że wymykamy się z domu. Mama i tata chrapią jak dwie lokomotywy, a moje rodzeństwo wie, że nie ma sensu mnie powstrzymywać. Deszcz nie odpuszcza, ale Kilornowi i mnie to nie przeszkadza. Idziemy ulicą, wzdłuż której ciągną się domy szeregowy, nic nie mówiąc. Jedyne dźwięki wydają nasze stopy rozchlapujące kałuże przy akompaniamencie odległych grzmotów. Ledwie czuję burzę, która przemieszcza się już w stronę wybrzeża. Nie jest zimno, a liczne latarnie bazy rozświetlają mrok. Nie mamy żadnego prawdziwego celu. Żadnego kierunku, po prostu idziemy przed siebie.

– To tchórz – mamrocze Kilorn. Kopie pojedynczy kamyk, który leci po ulicy, mącąc wodę w kałużach.

– Już mówiłeś – odpowiadam. – I nie tylko to.

– Bo naprawdę tak myślę.

– Zasłużył sobie.

Milczenie spada na nas jak ciężka kurtyna. Oboje wiemy, że wkraczamy na niepewny grunt. Moje miłosne zawirowania nie należą do jego ulubionych tematów, a nie chcę przysparzać swojemu najlepszemu przyjacielowi więcej bólu niż dotychczas.

– Nie musimy rozmawiać o...

Przerywa mi, kładąc dłoń na moim ramieniu. Jego dotyk jest stanowczy, ale przyjazny. Granice między nami są wyraźnie wyznaczone, a Kilorn za bardzo mnie ceni, by je przekroczyć. Możliwe nawet, że nie czuje już tego, co wcześniej. W ostatnich miesiącach tak bardzo się zmieniłam. Możliwe, że dziewczyna, o której kiedyś myślał, że ją kocha, już nie istnieje. Też wiem, jak to jest – kochać kogoś, kto tak naprawdę nie istnieje.

– Przepraszam – mówi. – Wiem, ile on dla ciebie znaczy.

– Znaczył – odburkuję, próbując się mu wyrwać.

Ale Kilorn zaciska dłoń.

– Nie, nie pomyliłem się. On nadal coś dla ciebie znaczy, nawet jeśli nie chcesz tego przyznać.

Nie warto z nim dyskutować.

– W porządku. Masz rację – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Jest na tyle ciemno, że może Kilorn nie zauważy, jak moja twarz robi się purpurowa.

– Poprosiłam o coś premiera – mamroczę. „Kilorn zrozumie. Musi zrozumieć”. – Poprosiłam, żeby go nie zabijał. Kiedy nadejdzie pora, kiedy się przeciw niemu obrócimy. Czy to słabość?

Kilorn robi rozczarowaną minę. Ostre uliczne lampy oświetlają go od tyłu, tworząc nad jego głową aureolę. Jest przystojnym chłopakiem – jeśli nie powinno się go już uważać za mężczyznę. Gdyby tylko moje serce wybrało jego zamiast kogoś innego.

– Ja tak nie uważam – odpowiada. – Miłość można chyba wykorzystać, manipulować nią. Może być kartą przetargową. Ale nie nazwałbym słabością tego, że kogoś kochasz. Myślę, że to życie bez miłości, jakiegokolwiek miłości, jest słabością. I najgorszym rodzajem ciemności.

Powoli przełykam ślinę. Łzy nie wydają się już takie nieuniknione.

– Kiedy zrobiłeś się taki mądry?

Kilorn uśmiecha się szeroko, chowając dłonie w kieszeniach.

– Teraz czytam książki.

– Mają obrazki?

Parska śmiechem i znów zaczyna iść.

– Miła jesteś.

Zrównuję z nim krok.

– Co mówiłeś? – odpowiadam, spoglądając na jego smukłą sylwetkę.

Jego włosy są teraz kompletnie przemoczone, ciemniejsze przez wodę. Prawie brązowe. Gdybym przymrużyła oczy, Kilorn wyglądałby jak Shade. Nagle ogarnia mnie tak wielka tęsknota za bratem, że ledwie jestem w stanie oddychać.

„Nie stracę nikogo więcej, tak jak straciłam Shade’a”. To pusta obietnica, bez żadnych gwarancji. Potrzebuję jednak jakiejś nadziei. Choćby najmniejszej.

– Pojedziesz ze mną do Montfortu? – Słowa wypadają ze mnie i już nie mogę ich cofnąć.

To samolubna prośba. Kilorn nie musi wszędzie za mną jeździć. I to nie moja rola, by czegokolwiek od niego żądać. Ale nie chcę znów go zostawić.

Uśmiech, który posyła mi w odpowiedzi, rozwiewa wszelkie moje obawy.

– A wolno mi? Myślałem, że to jakaś misja.

– To prawda. Ale damę swoje pozwolenie.

– Bo jest bezpieczna – odpowiada, patrząc na mnie z ukosa.

Ściągam wargi, próbując wymyślić odpowiedź, którą może zaakceptować. „Tak, jest bezpieczna. A przynajmniej na tyle bezpieczna, na ile to możliwe”. Nie ma nic złego w tym, że nie chcę narażać go na niebezpieczeństwo.

Kilorn ociera się o moje ramię.

– Rozumiem – ciągnie. – Słuchaj, nie kręć mnie napaści na miasta ani inwazje z odrzutowców. Wiem, jakie są moje ograniczenia i jak wypadam na waszym tle.

– To, że nie potrafisz zabić kogoś pstryknięciem palców, nie czyni cię w żaden sposób gorszym – odpalam oburzona, czując, jak prawie przeszywa mnie przez to prąd. Chciałabym wymienić wszystkie wspaniałe cechy Kilorna. Wszystkie ważne zalety, które w sobie ma.

Chłopak robi kwaśną minę.

– Nawet mi nie przypominaj.

Chwytam go za ramię, a moje paznokcie wbijają się w mokrą tkaninę. Kilorn się nie zatrzymuje.

– Mówię poważnie. Pojedziesz czy nie?

– Sprawdzę w kalendarzu.

Szturcham go łokciem w bok, na co on podskakuje i robi minę cierpiętника.

– Przestań. Wiesz, jaki jestem delikatny.

Na wszelki wypadek przywalam mu jeszcze raz i oboje zaczynamy się śmiać.

Idziemy dalej w ciszy. Tym razem nie jest tak krępująco. Moje zwyczajowe troski odpływają, a przynajmniej na jakiś czas dają mi spokój. Kilorn też jest moim domem, tak samo jak moja rodzina. Jest moją odskocznią, kryjówką, w której możemy istnieć bez żadnych konsekwencji. Nic przed, nic po.

Na końcu ulicy z deszczu zdaje się wyłaniać jakaś postać, zrzucająca z siebie krople mroku i jasności. Rozpoznaję ją, zanim moje ciało zdąży zareagować.

„Julian”.

Tyczkowaty Srebrny waha się, kiedy nas widzi, ale tylko przez chwilę. Wystarczy mi to jednak, bym wiedziała. „Zdecydował, po czyjej jest stronie, i nie jest to moja strona”.

Czuję przepływający przeze mnie chłód, od dłoni aż po stopy. „Nawet on!”

Kiedy podchodzi bliżej, Kilorn szturcha mnie łokciem.

– Mogę wrócić do domu – szepcze.

Rzucam przyjacielowi przelotne spojrzenie i czerpię od niego siłę.

– Proszę, nie idź.

Z zaniepokojeniem ściąga brwi, ale szybko kiwa głową.

Mój dawny nauczyciel mimo rzęsiatego deszczu jest ubrany w długie szaty. Strzepuje krople z ubrań w kolorze spłowiałej żółci. Niewiele to jednak pomaga. Deszcz nadal rżęsiście leje, prostując delikatne fale jego miejscami posiwiałych włosów.

– Miałem nadzieję, że zastanę cię w domu! – woła, przebijając się przez szum deszczu. – Właściwie to stwierdziłem, że nie uda się nam porozmawiać i będę musiał wrócić rano! Zamiast stać na zewnątrz i to w takiej piekielnej ulewie! – Kręci głową jak pies i odgarnia włosy z oczu.

– Powiedz to, co masz mi do powiedzenia, Julianie. – Krzyżuję ręce.

Wraz z nadejściem nocy spada temperatura. Mogę się przeziębnić nawet tu,

w dusznym i parnym Piedmoncie.

Julian nie odpowiada. Spogląda tylko na Kilorna, unosząc pytająco brew.

– On jest w porządku – odpowiadam, zanim wygłosi swoją wątpliwość. – Mów, zanim wszyscy się tu utopimy.

Mój ton staje się ostrzejszy, podobnie jak Juliana. Nie jest głupi. Robi zawiedzioną minę, wyczuwając moje rozczarowanie.

– Wiem, że możesz się czuć porzucona – zaczyna, dobierając słowa z wręcz irytującą ostrożnością.

Odruchowo przyjmuję pozycję obronną.

– Trzymaj się historii. Nie pozwolę, żebyś strzelał mi wykłady na temat tego, co wolno mi czuć.

Julian tylko mruga, przyjmując moją odpowiedź z opanowaniem. Znów milknie – na tyle długo, by po jego prostym nosie spłynęła kropla deszczu. Robi to, by mnie ocenić, zmierzyć, przeanalizować. Po raz pierwszy jego opanowanie sprawia, że mam ochotę chwycić go za ramiona i wytrzepać z niego jakieś impulsywne słowa.

– No dobrze – mówi w końcu niskim, zranionym tonem. – W takim razie dla dobra historii lub tego, co wkrótce stanie się historią, nadal będę towarzyszył siostrzeńcowi podczas waszej podróży na zachód. Chciałbym zobaczyć na własne oczy Wolną Republikę Montfortu i sądzę, że mogę się przydać Calowi. – Julian chce zrobić krok w moją stronę, ale ostatecznie uznaje, że to zły pomysł. Zachowuje dystans.

– Czy w tej niejasnej historii Tyberiasz ma jakiś cel, o którym nie wiem? – kpię, a moje słowa wydają się ostrzejsze niż zwykle.

Julian wygląda na rozdartego – przynajmniej to jest dla mnie jasne. Ledwie potrafi spojrzeć mi w oczy. Deszcz przykleja mu włosy do czoła, zlepia rzęsy, obłapuje go swoimi cienkimi palcami. W jakiś sposób go to wygładza, jakby krople zmywały z niego miniony czas. Wydaje się młodszy, niż kiedy poznałam go prawie rok temu. Mniej pewny siebie. Pełen zmartwień i powątpiewania.

– Nie – przyznaje. – Choć zwykle zachęcam siostrzeńca, żeby pogłębiał swoją wiedzę na wszelkie możliwe sposoby, są pewne rzeczy, od których wolałbym go odwieść. Lepiej, żeby nie na wszystko znał odpowiedź.

Unoszę brew.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Julian się krzywi.

– Rozumiem, że wspomniał o swoich nadziejach względem Mavena. Zanim...

Zanim wybrał koronę zamiast mnie.

– Tak – szepczę bez siły.

– Uważa, że może istnieje jakiś sposób, by uzdrowić brata, wygoić rany zadane przez Elarę Merandus. – Julian powoli kręci głową. – Ale nie da się ułożyć układanki, w której brakuje elementów. Ani z powrotem poskładać w całość roztrzaskanej szyby.

Żołądek wykręca mi się na myśl o tym, co już wiem. Co widziałam na własne oczy.

– To niemożliwe.

Julian kiwa głową.

– Niemożliwe i beznadziejne. Skazane na porażkę wysiłki, które tylko złamią chłopcu serce.

– Dlaczego sądzisz, że nadal obchodzi mnie jego serce? – pryham, czując gorzki smak fałszu.

Julian ostrożnie robi krok do przodu.

– Nie bądź dla niego zbyt surowa.

– Jak śmiesz mówić mi coś takiego? – odgryzam się bez zastanowienia.

– Mare, czy pamiętasz, co znalazłaś w tamtych książkach? – pyta, ciałem owijając się szatami. Jego głos przyjmuje błagalną nutę. – Pamiętasz tamte słowa?

Przechodzą mnie ciarki, i to nie z powodu deszczu.

– „Nie wybrani przez boga, tylko przez niego przekłęci”.

– Właśnie – odpowiada Julian, energicznie kiwając przy tym głową.

Przypomina mi się, jak kiedyś mnie uczył, i szykuję się na wykład.

– To nie jest nowy koncept, Mare. W pewnym stopniu mężczyźni i kobiety czują się w ten sposób od tysięcy lat. Wybrani lub przekłęci, skazani na fatum. Jest tak pewnie, odkąd tylko ludzie byli w stanie odczuwać zmysłami i na długo zanim pojawili się Srebrni, Czerwoni lub jakiegokolwiek umiejętności. Czy wiedziałaś, że królowie, politycy i władcy wszelkiego rodzaju sądzili, że zostali wskazani przez bogów? Wyświęceni do tego, by zajmować swoje miejsce na świecie. Wielu uważało się za wybranych, choć oczywiście niektórzy postrzegali ten obowiązek jako przekleństwo.

Kilorn prycha na to z oburzeniem. Ja jestem mniej subtelna i przewracam oczami. Kiedy się poruszam, rusza się też kołnierz mojej koszuli, posyłając mi po plecach strużkę zimnej deszczówki. Zaciskam pięści, żeby powstrzymać się od wzdrygnięcia.

– Chcesz powiedzieć, że twój bratanek jest obarczony tą koroną? – kpię.

Julian przestaje być taki potulny i trochę mam do siebie żal, że jestem wobec niego nieczuła. Kręci głową, patrząc na mnie, jakbym była dzieckiem, które trzeba skarcić.

– Musiał wybrać pomiędzy kobietą, którą kocha, a tym, co uważa za słuszne. Zrobił to, myśląc, że nie ma innej drogi, bo tak wpajano mu od dzieciństwa. Jak inaczej to nazwać?

– Ja to nazywam łatwą decyzją – warczy Kilorn.

Mocno przygryzam wnętrze policzka, próbując powstrzymać całą salwę wrednych komentarzy.

– Naprawdę przyszedłeś tutaj, żeby bronić tego, co on zrobił? Bo nie mam ochoty tego słuchać.

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiada Julian. – Tylko żeby wytłumaczyć, jeśli to możliwe.

Przewraca mi się w żołądku na myśl, że ze wszystkich możliwych ludzi to Julian próbuje mi wyjaśnić uczucia swojego siostrzeńca. Przy swej skłonności do

wnikliwych analiz i rozmyślań. Czy będzie w stanie zredukować je do prostego zdania? Równania, które wykaże, że korona i ja nie są sobie równe w oczach księcia? Po prostu nie mogę tego znieść.

– Oszczędź sobie, Julianie – mówię zaciekle. – Wracaj do swojego króla. Stój u jego boku. – Patrzę mu prosto w oczy, żeby wiedział, że nie kłamię. – I chroń go od niebezpieczeństw.

Doskonale rozumie, co próbuję powiedzieć. Nie mogę zrobić więcej.

Julian Jacos kłania mi się nisko. Dworskim zwyczajem rozkłada szerzej szaty. Przez sekundę mam wrażenie, że moglibyśmy być z powrotem w Summerton, tylko on i ja w pokoju pełnym książek. W tamtym czasie żyłam w ciągłym strachu, musiałam udawać, że jestem kimś innym. Julian był dla mnie wtedy jedną z niewielu osób, przy których czułam się swobodnie. Wraz z Calem i Mavenem. Tylko oni dawali mi azyl. Braci Calore już nie ma. Juliana chyba też zaraz stracę.

– Będę, Mare – odpowiada. – Jeśli trzeba, oddam za niego życie.

– Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie.

– Ja też.

Nasze słowa są wzajemnym ostrzeżeniem. A głos Juliana brzmi tak, jakby się ze mną żegnał.

*

Bree ma zamknięte oczy przez cały lot. Nie, żeby spać. Po prostu nie znosi latania – do tego stopnia, że nie jest w stanie spojrzeć na swoje stopy, a co dopiero przez okno. Nawet nie reaguje na zaczepki Tramy’ego i Gisy. Siedzą po obu jego stronach, zadowoleni, że mogą się z nim podroczyć. Gisa nachyla się nad Bree i teatralnym szeptem zaczyna opowiadać coś Tramy’emu o katastrofach lotniczych i awariach silników. Nie przyłączam się. Prawie przeżyłam taką katastrofę, a przynajmniej coś w tym stylu. Ale nie będę im psuć zabawy. Ostatnimi czasy mamy tak mało powodów do śmiechu. Bree siedzi nieruchomo na swoim miejscu, mocno krzyżując ramiona i zaciskając powieki. W końcu jego głowa opada

w przód, podbródek dotyka piersi i resztę podróży przesypia.

To niemałe osiągnięcie z jego strony, biorąc pod uwagę, że droga z bazy w Piedmoncie do Wolnej Republiki Montfortu to jeden z najdłuższych lotów, jakie kiedykolwiek odbyłam. Przynajmniej sześć godzin. Zbyt długa podróż dla transportera odrzutowego, znajdujemy się więc w większej maszynie, bardziej przypominającej Panterę. Na szczęście to nie ten sam odrzutowiec. W zeszłym roku Pantera została rozszarpana na strzępy przez kontyngent wojowników z domu Samos oraz furię samego Mavena.

Spoglądam w stronę kadłuba na zarysowane sylwetki dwóch pilotów. Ludzie z Montfortu. Nie znam żadnego z nich. Kilorn stoi za ich plecami i obserwuje, jak operują sterami.

Mama nie przepada za lataniem tak jak Bree, a tata tylko obraca głową, z czołem przyklejonym do szyby, i obserwuje rozpościerające się pod nami ziemie. Reszta montforckiej eskorty – Davidson i jego doradcy – przeznaczają podróż na sen. Farley też śpi, z twarzą dociśniętą do siedzenia. Wybrała miejsce, przy którym nie ma okna. Od latania nadal robi się jej niedobrze.

Jest jedyną reprezentantką Szkarłatnej Gwardii. Nawet we śnie otula Clare ramionami i kołysze w rytm ruchów odrzutowca. Pułkownik pozostał w bazie i prawdopodobnie jest z tego powodu przeszczęśliwy. Pod nieobecność Farley jest najwyższym rangą przedstawicielem Szkarłatnej Gwardii w jednostce. Może postępować z Dowództwem, jak mu się podoba, podczas gdy jego córka będzie przekazywać organizacji najnowsze informacje.

Na ziemi bujne zielone tereny Piedmontu, przeplatające się z błotnistymi potokami i łagodnymi wzgórzami, miarowo przechodzą w taras zalewowy rzeki Wielkiej. Na obu brzegach znajdują się ziemie sporne, ich granice są dziwne i cały czas się zmieniają. Wiem o nich niewiele oprócz oczywistych rzeczy. Lakelandia, Piedmont, Preria, a nawet Tiraks, położony dalej na południu, walczą o ten pas błota, bagien, pagórków i drzew. Głównie po to, by mieć kontrolę nad rzeką. Taką mam nadzieję. Srebrni i tak przez większość czasu walczą o nic i przelewają krew o garść piachu. Patrolują także te ziemie, ale nie tak uważnie jak Nortę

i Lakelandię.

Lecimy dalej, kierując się na zachód, nad łąkami oraz łagodnymi wzgórzami Prerii. Część terenów to pola uprawne. Zboże wschodzące złotymi falami sąsiaduje z niekończącymi się rzędami kukurydzy. Reszta sprawia wrażenie otwartych terenów, na których od czasu do czasu znajdzie się las lub jezioro. Preria nie ma znanych mi królów, królowych ani książąt. Ich wielmożni panowie rządzą prawem siły, nie krwi. Kiedy ojciec umiera, syn nie zawsze zajmuje jego miejsce. To kolejny kraj, którego – jak sądziłam – nigdy nie zobaczę, ale oto proszę, przyglądam się mu z góry.

To nigdy nie przemija – dziwne uczucie związane z tym, kim kiedyś byłam, a kim jestem teraz. Dziewczyna z Palów tonących w błocie, tkwiąca w tamtej norze aż do nieuchronnego poboru do wojska. Moja przyszłość była wtedy taka pusta, ale czy było mi łatwiej niż teraz? Czuję się oderwana od tamtego życia, które zdarzyło się miliony mil i tysiące lat temu.

Julian nie leci naszym odrzutowcem, ale gdyby tu był, kuśiłoby mnie, żeby zapytać go o kraje pod nami. Znajduje się w drugim odrzutowcu wojskowym, należącym do domu Laris, oznaczonym żółtymi pasami, w którym lecą pozostali przedstawiciele rodów Calore i Samos, jak również ich strażnicy. Nie wspominając o bagażach. Najwyraźniej pretendent do tronu i księżniczka potrzebują sporo ciuchów. Podążają za nami, więc widać ich przez okna po lewej stronie maszyny, metalowe skrzydła połyskują, gdy ścigamy się ze słońcem.

Ella mówiła, że pochodzi z Prerii, ziem przed Montfortem. Pustynnego Wzgórza. Ziem Plądrowników. Jeszcze więcej terminów, których tak naprawdę nie rozumiem. Nie ma jej tu, więc nie może mi nic więcej wyjaśnić. Została w bazie w Piedmoncie z Rafe'em. Tyton jest jedynym Elektrykonem, który z nami leci. Poza mną, oczywiście. Urodził się w Montforcie. Podejrzewam, że ma tam rodzinę, którą odwiedzi, oraz przyjaciół. Siedzi w tylnej części maszyny rozłożony na dwóch pustych miejscach, z nosem zagłębionym w sfatygowanej książce. Kiedy na niego spoglądam, wyczuwa to i przez ułamek sekundy spogląda mi w oczy. Zastanawiam się, czy czuje delikatne pulsowanie elektryczności w mojej głowie.

„Czy wie, co oznacza każdy elektryczny impuls? Czy umie rozróżnić napływ strachu od ekscytacji?

Czy ja też kiedyś się tego nauczę?”

Mało wiem o zasięgu swoich umiejętności. Tak samo jest ze wszystkimi Nowymi, których dotąd poznałam i którym pomagałam trenować. Ale może w Montforcie jest inaczej. Może oni wiedzą lepiej, kim jesteśmy i ile potrafimy osiągnąć.

Zaraz potem ktoś szturcha mnie w ramię, wrywając mnie z niespokojnego snu. Tata pokazuje na zaokrąglone okienko między nami, wbudowane w zakrzywiony kadłub maszyny za naszymi plecami.

– Nigdy nie sądziłem, że zobaczę coś takiego – mówi, stukając w grube szkło.

– Co? – pytam, próbując się obrócić.

Tata rozpiną sprzączkę moich pasów, żebym miała swobodę ruchu i mogła popatrzeć na to co on.

Widziałam już wcześniej góry. W Kniei, z Polany. Zielone połacie przechodzące w jesienny ogień, a potem zimową nagość. W Rowach, gdzie na horyzoncie odcinają się pogarbione granie, unoszące się i opadające jak liściaste fale. W Piedmoncie, głęboko na prowincji, zbocza widziane z okien odrzutowców, mieniące się w błękitach i fioletach. Wszystkie z nich były częścią Allacji, długiego pasma pradawnych gór, ciągnących się od Norty aż do środka Piedmontu. Nigdy jednak nie widziałam gór takich jak teraz. Nie sądzę nawet, żeby w ogóle można je było nazwać górami.

Z wrażenia opada mi szczęka i wlepiam wzrok w horyzont, gdy odrzutowiec odbija na północ. Płaskie ziemie Prerii gwałtownie się kończą, ich zachodnią granicę brutalnie wyznacza ściana ogromnego i stromeego łańcucha górskiego, największego, jaki w życiu widziałam. Zbocza wznoszą się jak ostrza noży, spiczaste i wysokie rzędy poszarpanych gigantycznych zębów. Niektóre szczyty są nagie, pozbawione drzew. Jak gdyby nic nie mogło tam rosnąć. Kilka gór w oddali pokrywa biel. „Śnieg”. Mimo że jest lato.

Niepewnie wciągam powietrze w płuca. „Co to za kraj, do którego przybyliśmy? Czy Srebrni i Żarliwi panują w sposób tak kompletny, z wystarczającą siłą, by zbudować państwo takie jak to?” Góry budzą we mnie lęk, ale i lekkie podekscytowanie. Nawet z powietrza ten kraj wydaje się inny. Wolna Republika Montfortu sprawia, że czuję pod skórą delikatny niepokój i ekscytację.

Tata przykłada dłoń do szyby. Obrysowuje palcami kształt górskiego łańcucha, śledzi szczyty.

– Piękne – mówi pod nosem tak cicho, że tylko ja to słyszę. – Mam nadzieję, że to miejsce będzie dla nas dobre.

„Stwarzanie nadziei, gdy w rzeczywistości jej nie ma, to okrucieństwo”.

Mój ojciec powiedział kiedyś coś podobnego, gdy byliśmy w naszym dawnym domu na palach. Siedział na krześle, bez nogi. Kiedyś myślałam, że jest załamany. Teraz wiem lepiej. Tata jest w równie dobrym stanie, jak my wszyscy, i zawsze tak było. Chciał nas tylko ochronić przed bólem wywoływanym pragnieniem tego, czego nie mogliśmy mieć. Przyszłości, która nigdy nie będzie dla nas możliwa. Nasz los potoczył się inaczej. I wygląda na to, że mój ojciec zmienił się razem z nim. Może mieć nadzieję.

Głęboko wzdycham, bo zdaję sobie sprawę z tego samego. Nawet po Mawenie, długich miesiącach spędzonych w niewoli, po śmierci i zniszczeniu, które widziałam lub do których przyłożyłam rękę. Moje złamane serce, które wciąż krwawi. Niekończący się strach o ludzi, których kocham, i tych, których chcę ocalić. To wszystko pozostaje, nieustający ciężar. Ale nie pozwolę, by mnie utopił.

Ja też wciąż mogę mieć nadzieję.

ROZDZIAŁ 6

EVANGELINE

Tutejsze powietrze jest dziwne. Rzadkie. Podejrzenie czyste, jak gdyby niepołączone z resztą świata.

Czuję to na krawędziach swojego żelaza, swojego srebra, chromu. I oczywiście metaliczną cierpkość odrzutowców i ich silników wciąż rozgrzanych po locie. Uczucie, które dają, jest obezwładniające, nawet po ośmiu godzinach lotu transportowcem wojskowym domu Laris. Tyle metalowych powłok, rur i śrub. Podczas lotu spędziłam o wiele za dużo godzin na liczeniu nitowań i śledzeniu stalowych łączeń. Gdybym rozerwała tu, tu i tu, mogłabym posłać Cala, Anabel lub kogo bym tylko zechciała na spotkanie ze śmiercią. Nawet siebie. Przez większość podróży siedziałam obok lorda z domu Haven, którego chrapanie było głośnie jak grzmot. Wskoczenie z odrzutowca momentami wydawało mi się przyjemniejsze.

Mimo pory roku powietrze jest chłodniejsze, niż się spodziewałam, i pod prześwitującym szalem, którym zasłoniłam ramiona, wychodzi mi gęsia skórka. Postanowiłam się ubrać jak księżniczka, choć teraz muszę cierpieć zimno. To moja pierwsza państwowa wizyta jako przedstawicielki Rowów oraz przyszłej królowej Norty. Jeśli ta przeklęta przyszłość ostatecznie się ziści, muszę odpowiednio się prezentować, wyglądać imponująco i onieśmielająco aż po pomalowane paznokcie u stóp. Muszę być przygotowana. Znajduję się daleko poza granicami kraju, który rozumiem. Znów nabieram powietrza, ale mój wdech jest zaskakująco płytki. Nawet oddychanie jest tutaj nową czynnością.

Jeszcze nie pora na zachód słońca, ale góry są bardzo wysokie i światło już zaczyna słabnąć. Po lądowisku umiejscowionym głęboko w dolinie ciągną się długie cienie. Czuję się tak, jak gdybym mogła dotknąć nieba. Jakbym mogła

przejechać po chmurach błyszczącymi od kosztowności szponami i sprawić, że niebo zacznie krwawić czerwonym światłem gwiazd. Jednak trzymam ręce przy sobie, moje pierścienie i bransolety są ukryte w fałdach sukni i pod rękawami. To tylko dekoracje. Ładne, bezużyteczne, milczące rzeczy. Moi rodzice chcieliby, żebym była dokładnie taka sama.

Przeciwny koniec pasa startowego kończy się stromym klifem. Postrzępione granie oprawiają linię horyzontu jak okno. Cal stoi plecami do słońca i patrzy na wschód, na zapadający w odcieniach mglistego fioletu wieczór. Łańcuch górski rzuca swoje cienie i cały świat zdaje się pogrążyć w ciemności, która jest dziełem Montfortu.

Cal nie jest sam. U jego boku stoi wuj, niemożliwie stary lord Jacos. Notuje coś w notatniku, porusza się z podekscytowaniem, z nerwową energią małego ptaszka. Dwaj strażnicy, jeden w pomarańczowych i czerwonych barwach domu Lerolan oraz drugi, w żółci domu Laris, obstawiają ich z obu stron, utrzymując stosowną odległość. Wygnany książę stoi nieruchomo, patrząc przed siebie, a wiatr podrywa jego szkarłatną pelerynę. Odwrócenie kolorów domów było sprytną decyzją. Dzięki temu odcina się od wszystkiego, co reprezentuje sobą król Maven.

Wzdrygam się na wspomnienie tej białej twarzy, tych niebieskich oczu, tego, jak każdą część niego zdawał się trawić nieokiełznany pożar. W Mawenie jest tylko głód.

Cal nie odwraca się, dopóki Mare nie wysiądzie z odrzutowca wraz ze swoją rodziną i nie zostanie odprowadzona do oczekującej ich montforckiej eskorty. Głosy Barrowów odbijają się echem od kamiennych ścian wysokiej górskiej doliny. Ta rodzina jest dość... głośna. A jak na kogoś tak niskiego i drobnego Mare ma zaskakująco wysokich braci. Na widok jej siostry czuję ucisk w żołądku. Dziewczyna ma rude włosy. Ciemniejsze niż u Elane i pozbawione ich lśniącego blasku. Jej skóra nie jest promienna – pewnie z powodu braku umiejętności lub wewnętrznego uroku. Nie jest też blada ani powabna. Jej twarz jest zwyczajnie ładna, bardziej złotawa, przeciętna. „Pospolita. Czerwona”. Elane jest niepowtarzalna, jeśli chodzi zarówno o wygląd, jak i o umysł. W moich oczach nie

ma nikogo, kto mógłby jej dorównać. Mimo to córka Barrowów przypomina mi o dziewczynie, której pragnę najbardziej i której nigdy naprawdę nie będę mogła mieć.

Elane tu nie ma, tak samo jak mojego brata. Taka jest cena za jego bezpieczeństwo. Za jego życie. Generał Farley na pewno go zabije, jeśli tylko będzie miała ku temu okazję, a ja nie mam zamiaru jej tego ułatwiać. Nawet jeżeli będę przez to cierpieć.

Cal odwraca się i patrzy, jak eskorta wyprowadza Mare i jej rodzinę z lotniska. Wykrzywiam usta, obserwując ten idiotyczny obrazek. Ona stoi tuż przed nim, a mimo to on odpycha ją obiema rękami. Dla czegoś tak kruchego i niepewnego jak korona. Mimo to zazdroszczę mu. Gdyby chciał, mógłby ją wybrać. Szkoda, że ja nie miałam takiej szansy.

– Uważasz, że mój wnuk jest głupcem, prawda?

Gdy się odwracam, widzę, że obserwuje mnie Anabel Lerolan. Trzyma swoje śmiercionośne palce splecione z przodu, a na jej głowie połyskuje tiara z różowego złota. Tak jak pozostali dołożyła starań, by godnie się prezentować.

Zaciskając zęby, kłaniam się jej płytko, ale z doskonałym dygnięciem.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz, Wasza Królewska Mość. – Nawet nie staram się brzmieć przekonująco. Nie sądzę, żeby mogło to przynieść coś dobrego. Albo złego.

Nic nie wyniknie z tego, co ona o mnie myśli. I tak kontroluje moje życie.

– Jesteś przywiązana do dziewczyny z domu Haven, tak? Córki Jeralda. – Anabel robi śmiały krok w moją stronę.

Mam ochotę wyciąć jej Elane z głowy.

– Jeśli się nie mylę, jest przeznaczona twojemu bratu i podobnie jak ty zostanie królową.

W jej słowach wije się groźba jak jeden z węży mojej matki.

Wymuszam z siebie śmiech.

– Moje przelotne romanse to nie twoja sprawa.

Stuka jednym z palców o pomarszczony knykieć. Ściąga usta i zmarszczki wokół nich się pogłębiają.

– Wręcz przeciwnie. Zwłaszcza kiedy kłamiesz, żeby odwrócić uwagę od Elane Haven. Przelotny romans? Chyba kpisz, Evangeline. Doskonale widać, że jesteś w niej zadurzona. – Przymruża powieki. – Najwyraźniej mamy ze sobą więcej wspólnego, niż ci się wydaje.

Uśmiecham się do niej z wyższością, obnażając zęby, jakbym chciała warczeć.

– Znam stare dworskie plotki tak jak każdy. Mówisz o królewskich kochankach. Twój mąż kochał się w mężczyźnie imieniem Robert. Uważasz, że to nas jakoś łączy?

– Wyszłam za króla z rodu Calore i trwałam przy jego boku, choć kochał kogo innego. Wydaje mi się, że wiem, jak to – macha przede mną dwoma palcami – może funkcjonować. I dam ci radę: działa to najlepiej, kiedy wszystkie strony się na to zgadzają i wszystkie o wszystkim wiedzą. Czy ci się to podoba czy nie, ty i mój wnuk musicie być sojusznikami w każdej sprawie. To najlepszy sposób na to, by przetrwać razem.

– Chcesz powiedzieć: „przetrwać w jego cieniu” – burczę opryskliwie, nie potrafiąc się pohamować.

Anabel patrzy na mnie, mrugając powiekami, jej twarz przybiera skonsternowany wyraz, który rzadko na niej widuję. Po chwili uśmiecha się i skłania głowę.

– Królowe też rzucają cienie.

Jej zachowanie zmienia się w okamgnieniu.

– Ach, premierze. – Odwraca się w moją lewą stronę ku mężczyźnie za moimi plecami.

Robię to samo i widzę, jak Davidson do nas podchodzi. Wita nas obie skinieniem głowy, ani na moment nie spuszczając z nas wzroku. Jego skośne oczy, dziwnie złotawe, raz lądują na Anabel, a raz na mnie. To jedyna część niego, która wygląda na żywą. Reszta, począwszy od zastygłej nijakiej twarzy, a skończywszy

na nieruchomych palcach u rąk, wydaje się nienaturalnie powściągliwa.

– Wasza Królewska Mość, Wasza Księżęca Mość – mówi Davidson, raz jeszcze pochylając głowę.

Za nim widzę montforckich strażników ubranych na zielono, jak również innych oficerów i żołnierzy z insygniami. Jest ich kilkudziesięciu. Niektórzy towarzyszyli mu w Piedmoncie, ale większość czekała tu na jego przybycie.

„Czy zawsze miał przy swoim boku taką obstawę? Tyle broni?” Czuję załadowane kule. Przeliczam je z przyzwyczajenia i zagęszczam żelazo w swojej sukni, zakrywając najdelikatniejsze organy.

Premier szerokim gestem pokazuje na otaczający nas krajobraz.

– Chciałbym odprowadzić was obie do naszej stolicy i jako pierwszy powitać w Wolnej Republice Montfortu.

Choć dokłada starań, by nie okazywać żadnych emocji, wyczuwam w nim pewną dumę. Dumę z własnego domu, kraju. Przynajmniej to potrafię zrozumieć.

Anabel mierzy go wzrokiem, który wbiłby w ziemię każdego wysoko urodzonego Srebrnego, kobiety i mężczyzn o potwornej mocy i jeszcze potworniejszej arogancji. Premier nawet się nie wzdrygnie.

– To – Anabel pociąga nosem, rozglądając się po nagich klifach, którymi jesteśmy otoczeni – jest ta twoja Republika?

– To – odpowiada Davidson – jest prywatny pas startowy.

Obracam pierścionek na palcu, próbując skierować uwagę na paciorek klejnotów, by nie wybuchnąć śmiechem.

Gdzieś na peryferiach mojej świadomości błyszczą guziki. Ciężka stal, dobrze obrobiona i ukształtowana jak płomień. Zbliżają się, przyszyte do ubrań mojego narzeczonego. Staje przy moim boku, dając słabe, ale stabilne ciepło.

Cal nic do mnie nie mówi i to mi odpowiada. Tak naprawdę nie rozmawialiśmy od miesięcy. Od czasu, kiedy uciekł z Kościńca. Wcześniej, kiedy po raz pierwszy został moim narzeczoną, nasze rozmowy były nieczęste i nudne. Cal potrafi myśleć tylko o bitwach i Mare Barrow. Żaden z tych tematów szczególnie mnie nie

pociąga.

Spoglądam na niego ukradkiem i widzę, że jego babka zajęła się również jego wyglądem. Zniknęły przydługie włosy i nierówny zarost. Policzki są gładkie, czarne włosy starannie uczesane i lśniące, odgarnięte z czoła. Cal wygląda tak, jakby właśnie wyszedł z Pałacu Białego Ognia, gotowy do swojej koronacji, a nie wysiadł z odrzutowca wojskowego po sześciogodzinnym locie, mając za sobą niedawną obronę twierdzy. Ale jego oczy są bez życia i nie ma na głowie korony. Albo Anabel nie zdołała jakiegś dla niego zdobyć, albo odmówił jej założenia. Podejrzewam to drugie.

– Prywatny pas startowy? – pyta Cal, spoglądając z góry na Davidsona.

Premier wydaje się niewzruszony różnicą wzrostu. Może właściwe mężczyznom zainteresowanie rozmiarem zwyczajnie go nie dotyczy.

– Tak – odpowiada Davidson. – To najwyżej położone lotnisko w kraju, z najłatwiejszym dostępem do Ascendentu. Lepsze niż pola na równinach czy w dolinach w głębi gór. Uznałem, że najlepiej będzie wylądować tutaj, choć wschodni dojazd Jastrzębim Szlakiem oferuje przepiękne widoki.

– Kiedy zakończy się wojna, chętnie się tam wybiorę – odpowiada Cal, starając się być uprzejmy. Niewiele to pomaga w ukryciu jego oczywistego braku zainteresowania.

Davidson zdaje się tym nie przejmować.

– Oczywiście. Gdy skończy się wojna – powtarza z błyskiem w oku.

– Nie chcielibyśmy, żebyś się przez nas spóźnił na wystąpienie przed rządem. – Anabel bierze Cala pod rękę, niczym hołubiąca swego wnuka babcia. Opiera się o niego bardziej, niż potrzebuje.

Scenka na pokaz.

– Nie martwiłbym się o to – odpowiada Davidson z jednym ze swoich rozlazłych uśmiechów. – Moje przemówienie przed zgromadzeniem rządu Montfortu odbędzie się rano. Wtedy przedstawię naszą sprawę.

Cal nagle się prostuje.

– Jutro rano? Ależ premierze, wiesz podobnie jak ja, że czas...

– Zgromadzenie zbiera się rano. Mam nadzieję, że dziś wieczorem zjemy wspólny posiłek – oznajmia spokojnie Davidson.

– Premierze... – powtarza Cal przez zaciśnięte zęby.

Ale Nowy jest nieugięty i stanowczy, choć jednocześnie przymilny jak to tylko możliwe.

– Moi koledzy już i tak zgodzili się na specjalną sesję poza sezonem obrad. Zapewniam, robię, co w mojej mocy i co leży w granicach prawa mojego kraju.

„Prawa”. Czy oni w ogóle mogą funkcjonować w państwie takim jak to? Bez tronu, bez korony, nikogo, kto podjąłby ostateczną decyzję, podczas gdy reszta będzie się sprzeczać o szczegóły? Jak Montfort może liczyć na przetrwanie? Jak mogą liczyć na to, że czegoś dokonają, skoro tyle rzeczy ciągnie ich w różnych kierunkach?

Ale jeśli Montfort nie będzie mógł poczynić kroku, jeśli Davidson nie zyska dla Cala więcej oddziałów, to ta wojna może się skończyć tak, jak chciałam. I to szybciej niż sądziłam.

– A więc do Ascendentu, tak? – pytam, licząc na to, że schronimy się gdzieś przed chłodem.

Ponieważ Anabel zajęła już Cala, oferuję swoje ramię Davidsonowi. Przyjmuje je z lekkim skłonieniem, a jego dłoń na moim nadgarstku jest lekka jak piórko.

– Tędy, Wasza Książęca Mość – odpowiada.

Z zaskoczeniem odkrywam, że dotyk Nowego nie jest tak obrzydliwy jak dotyk mojego narzeczonego. Davidson rusza marszowym krokiem w stronę traktu prowadzącego do Ascendentu.

Miasto znajduje się wysoko na wschodniej ścianie masywnego pasma górskiego i roztacza się z niego widok na niższe szczyty i granice kraju. Na horyzoncie majaczy Preria, której granice słyną jako tereny Płądrowników, wędrownych hord Srebrnych nienależących do żadnego narodu, napadających na wszystkich wkraczających na ich ziemię. Reszta to puste równiny, oszpecone

szczątkami tego, co kiedyś było miastem. Nie znam jego nazwy.

Ascendent wydaje się zrodzony z samych gór, wbudowany w zbocza i doliny, rozpięty nad wartkimi strumykami i większymi rzekami, które obrały drogę na wschód przez kręte kaniony. Transportery pojawiają się i znikają z pola widzenia, wjeżdżając do skalnych tuneli. Pewnie pod powierzchnią tuneli jest więcej, wykutych w skalnych sercach tych gór.

Znaczną część budynków Ascendentu zbudowano z kamienia – granitu, marmuru i kwarcu – pociętego i oszlifowanego w gładkie płyty w kolorze bieli i szarości. Sosny, niektóre wyższe niż wieże, rosną pomiędzy budynkami, ich igły mają taką samą ciemnozieloną barwę jak montforcka flaga. Zachód słońca i góry naprzemiennie zalewają miasto głębokim różem i ciemniejącym fioletem, światłem i cieniem. Nad nami, daleko na zachodzie, pod niebem dumnie stoją ośnieżone szczyty, które nagle wydają się zbyt wielkie i zbyt bliskie. Na zmierzającym niebie widać kilka pierwszych słabych gwiazd. Są znajome, tworzą wzory, które rozpoznaję.

Nigdy nie widziałam miasta takiego jak to i nieco mnie to martwi. Nie lubię niespodzianek i nie lubię, gdy coś robi na mnie wrażenie. To oznacza, że mam do czynienia z czymś lepszym od siebie, swojej rodziny i ojczyzny.

Ale Ascendentowi, Montfortowi i Davidsonowi się to udało.

Nie mogę nic poradzić, że jestem zachwycona tym dziwnym, pięknym miejscem.

Od miasta dzieli nas nieco ponad kilometr, ale liczne schody sprawiają, że trasa wydaje się dłuższa. Myślę, że premier chce się popisać, więc zamiast podstawić nam jakieś pojazdy, zmusza nas do spaceru i poznania Detraonu.

Gdybym była na dworze księcia Calore z innym arystokratą u swojego ramienia, nie przejmowałabym się prowadzeniem rozmowy. Dom Samos cieszy się poważaniem. Ale tu? Tu muszę na nie zasłużyć. Wzdycham, zaciskam zęby i spoglądam na Davidsona, idącego obok mnie.

– Rozumiem, że zostałeś wybrany na swoje stanowisko, premierze. – To

słowo jest dla mnie obce, czuję je w ustach jak gładki kamień.

Davidsonowi wymyka się lekki rechot, małe pęknięcie w jego nieprzeniknionej masce.

– Zgadza się. Dwa lata temu. Głosował naród. A w roku trzecim, nadchodzącej wiosny, zrobimy to po raz kolejny.

– Kto dokładnie głosował?

Zaciska wargi.

– Ludzie wszelkiej maści, jeśli o to pytasz. Czerwoni, Srebrni, Żarliwi. Głosowanie nie zależy od koloru krwi.

– Czyli jednak macie tu Srebrnych.

Mówili o tym już wcześniej, ale wątpię, by jacykolwiek Srebrni zniżyli się do mieszkania wraz z Czerwonymi, a co dopiero dali jednemu z nich sobą rządzić. Nawet Nowym. Nadal mnie to zastanawia. „Po co mieszkać tu jak równy, skoro gdzie indziej można mieszkać jak bóg?”

– I oni się na to godzą? – prychem z oburzeniem, nie próbując się nawet powstrzymać.

Robię to tylko przy rodzicach, ale ich tu nie ma – rzucili mnie na pożarcie tym czerwonokrwistym wilkom.

– Chcesz powiedzieć: „godzą się na naszą równą egzystencję”. – Głos premiera staje się ostrzejszy, jego syk niesie się przez górskie powietrze.

Spoglądamy sobie prosto w oczy, jego złote w moje grafitowe. Idziemy dalej, pewnie stąpając po licznych stopniach. On chce, żebym przeprosiła. Nie robię tego.

W końcu docieramy na marmurowy taras, z którego roztacza się widok na okazały ogród w pełnym rozkwicie. Nieznajome kwiaty, fioletowe, pomarańczowe i bładoniebieskie, wiją się przed nami, dzikie i pachnące. Kilka metrów dalej przez ogród przechodzą Mare Barrow i jej rodzina, prowadzeni przez własną montforcką eskortę.

Podczas gdy reszta grupy spaceruje po ogrodzie, Davidson przysuwa się do mnie, jego usta niemal muskają moje ucho. Opieram się pokusie, by przeciąć go na

pół.

– Proszę mi wybaczyć moją bezpośredniość, Wasza Książęca Mość – szepcze – ale twoją kochanką jest kobieta, zgadza się? I nie wolno ci się z nią pobrać.

„Przysięgam, że utnę języki całej delegacji. Czy żaden sekret nie jest już święty?”

– Nie rozumiem – warczę, zaciskając szczękę.

– Ależ tak. Ona jest żoną twojego brata. Część układu, prawda?

Ściskam dłonie na kamiennej poręczy. Jej chłodna gładkość nie pomaga mi się uspokoić. Gdy wbijam palce, ostre, ozdobione klejnotami czubki moich szponów robią w balustradzie głębokie rysy. Davidson mówi dalej, jego słowa są jak wrzawa, niskie, szybkie i niemożliwe do zignorowania.

– Gdyby wszystko było tak, jak sobie tego życzysz, gdybyś nie była tylko kartą przetargową w przepychankach o koronę, czy mogłabyś się z nią ożenić? Czy w najlepszych okolicznościach Srebrni z Norty pozwoliliby ci zrobić to, czego pragniesz?

Odwracam się do niego, obnażając zęby. Premier stoi zdecydowanie zbyt blisko. Nawet nie drgnie, nie mówiąc o cofnięciu się choćby o krok. Widzę drobne niedoskonałości na jego skórze. Zmarszczki, blizny, nawet pory. Gdybym tylko zechciała, mogłabym wydrapać mu oczy.

– Małżeństwo nie ma nic wspólnego z pożądaniem – odburkuję. – Małżeństwo ma dać następców tronu i nic więcej.

Z powodów, których nie mogę pojąć, jego złote oczy łagodnieją. Widzę w nich politowanie. Widzę żal. Nie potrafię tego znieść.

– A więc nie możesz dostać, czego pragniesz, z powodu tego, kim jesteś. To wybór, którego sama nie dokonałaś, część ciebie, której nie możesz zmienić. I nie chcesz zmienić.

– Ja...

– Możesz patrzeć z wyższością na mój kraj – mamrocze Davidson i widzę przebłysk jego charakteru, który skrzętnie trzyma w ukryciu. – Kwestionuj to, jacy

jesteśmy. Może odpowiedzi ci się spodobają. – Następnie nieco się odsuwa i z powrotem przyjmuje postawę polityka. Zwykłego mężczyzny o zwykłej atrakcyjności. – Oczywiście mam nadzieję, że dołączysz do nas na kolację dziś wieczorem. Mój mąż Carmadon bardzo się stara przygotować dla nas wspaniały posiłek.

„Co? – Robię wielkie oczy. – Nie, na pewno się przesłyszałam”. Krew napływa mi do policzków, które szarzeją z gorąca. Nie zaprzeczę, że serce podskoczyło mi w piersi, adrenalina buzuje w ciele, ale w ułamku sekundy zupełnie znika. „Nie ma sensu marzyć o niemożliwych rzeczach”.

Jednak premier lekko potakuje.

Nie przesłyszałam się, a on się nie przejęzyczył.

– To kolejna drobnostka, na którą pozwalamy w Montforcie, Wasza Książęca Mość.

Bezceremonialnie puszcza moje ramię i przyspiesza kroku, żeby zostawić mnie samą z myślami. Czuję, jak serce łomocze mi w piersi. „Czy on kłamie? Czy to, co powiedział, jest w ogóle możliwe?” Ku mojemu osłupieniu do oczu napływają mi kłujące łzy i z trudem oddycham.

– Dyplomacja nigdy nie była twoją mocną stroną.

Cał groźnie patrzy mi przez ramię. Jego babka stoi nieco dalej i rozmawia szeptem z jednym z arystokratów z domu Iral.

Odwracam głowę, na moment chowając się za kurtyną srebrnych włosów. Tylko na tyle, by odzyskać choć namiastkę opanowania. Na szczęście Cał jest zajęty rozglądaniem się za Mare i śledzeniem każdego jej ruchu z godną pożałowania tęsknotą.

– Więc dlaczego mnie wybrałeś? – odpowiadam w końcu złośliwie, licząc na to, że Cał odczuje każdy gram mojej wściekłości i bólu. – Dlaczego chcesz zrobić królową z kogoś takiego jak ja, skoro będę tylko kamieniem w twoim bucie?

– Udawanie idiotki też średnio ci idzie, Evangeline. Wiesz, na czym to polega.

– Wiem, że miałeś wybór, Calore. Dwie drogi. I wybrałeś tę, która prowadzi

prosto przeze mnie.

– Wybór! – Prycha. – Wy, dziewczyny, uwielbiacie to słowo.

Przewracam oczami.

– Cóż, tobie jest chyba całkiem obce. Skoro winisz wszystkich i wszystko za decyzję, którą sam podjąłeś.

– Decyzję, którą musiałem podjąć. – Odwraca się do mnie, jego oczy iskrzą złością. – Bo co? Myślisz, że Anabel, twój ojciec i reszta tak czy inaczej zawarliby sojusz z Czerwonymi? Niczego przy tym nie dostając? Myślisz, że nie znaleźliby kogoś innego, kogo mogliby poprzeć, kogoś gorszego? Przynajmniej skoro jestem to ja, mogę...

Robię krok w jego stronę, tak że stajemy pierś w pierś. Prostuję ramiona, gotowa do starcia. Czuję, jak pod moją skórą tężeją całe lata treningów.

– Co? Wszystko naprawić? Myślisz, że kiedy walki dobiegną końca, będziesz mógł siąść na swoim nowym tronie, machać głupimi płomieniami i zmienić to, jak działa świat? – Mierzę go kpiącym spojrzeniem od stóp do głów, wyobrażając sobie, że przecinam go na pół. – Nie rozśmieszaj mnie, Tyberiaszu Calore. Jesteś marionetką tak samo jak ja, tylko że ty przynajmniej miałeś szansę odciąć swoje sznurki.

– A ty nie?

– Gdybym miała, to bym tak zrobiła – szepczę i wydaje mi się, że odpowiadam szczerze. „Gdyby Elane tu była, gdyby istniał jakiś sposób, byśmy mogły tu zostać...”

– Kiedy... kiedy nadejdzie pora i będziemy musieli się pobrać... – Jąka się, gdy ma wypowiedzieć te słowa. Jąkanie nie jest w stylu Calore. – Postaram się uprościć sprawy na tyle, na ile się da. Wizyty państwowe, spotkania. Ty i Elane będziecie mogły robić, co chcecie.

Przebiega mnie dreszcz.

– O ile dotrzymam postanowień tego układu.

Ta perspektywa jest obrzydliwa dla nas obojga i równocześnie odwracamy

wzrok.

– Nie zrobię niczego bez twojej zgody – mamrocze Cal.

Choć mnie tym nie zaskoczył, czuję w sercu nagłą ulgę.

– Odciełabym ci coś, gdybyś tylko spróbował.

Cal odpowiada śmiechem, który jest niewiele głośniejszy od westchnienia.

– Co za bagno – szepcze, jak gdyby tylko do siebie.

Wciągam w płuca niepewny wdech.

– Nadal możesz ją wybrać.

Słowa wiszą w powietrzu, torturując nas oboje.

Cal nie odpowiada i wlepia wzrok w ziemię. W ogrodzie Mare stoi do niego plecami i trzyma się blisko siostry. Mimo różnych kolorów włosów widzę podobieństwo między nimi. Poruszają się w ten sam sposób. Ostrożnie, cicho, celowo, jak myszy. Jej siostra zrywa po drodze bladozielony kwiat o jaskrawych płatkach i wpina go sobie we włosy. Wysoki Czerwony chłopak, ten, którego Mare z uporem wszędzie za sobą targa, robi to samo. Kwiatek za jego uchem wygląda idiotycznie i siostry pękają ze śmiechu. Dźwięk niesie się echem, brzmi w naszych uszach jak drwina.

„Są Czerwoni. Są gorsi. I są szczęśliwi. Jak to możliwe?”

– Przestań się nad sobą użalać, Calore – cedzę przez zaciśnięte zęby. Ta rada dotyczy nas obojga. – Sam wykułeś sobie tę koronę, więc teraz ją noś. Albo nie.

ROZDZIAŁ 7

IRIS

Brzegi rzeki Ohius są wysokie. Wiosna była deszczowa i gospodarstwa na południu Lakelandii wielokrotnie stały w obliczu powodzi. Tiora bawiła tu, na niestabilnych ziemiach granicznych, zaledwie kilka tygodni temu, aby pomóc ocalić plony, jak również trochę się pouśmiechać i pomachać. Jej nieczęsty wąski uśmiech zyskał nam tu trochę sympatyków, choć niewystarczająco dużo. Raporty przesyłane do pałacu donoszą, że Czerwoni wciąż uciekają i przechodzą przez wzgórza do Rowów na wschodzie. Są głupi, jeśli uważają, że tamtejszy Srebrny król zapewni im lepsze życie. Mądrzejsi przekraczają Ohius i przechodzą na ziemie sporne, gdzie nie rządzi żaden król ani żadna królowa. Muszą się jednak liczyć z niebezpieczeństwami takiej podróży i być gotowi zmierzyć się z najróżniejszymi Czerwonymi i Srebrnymi mieszkającymi pomiędzy Lakelandią a północą Piedmontu.

Z urwiska nad rzeką rozciąga się piękny widok na dolinę. To dobre miejsce na czekanie. Spoglądam na południe, na lasy błyszczące złotem w słabnącym świetle. Dzisiejszy dzień był łatwy i upłynął na podróży przez pola kukurydzy i zboża. A Maven okazał się na tyle łaskawy, że pojechał własnym transportem, dając mi tym samym długie godziny spokoju. Podróż była niemal wytchnieniem, nawet jeśli oznaczała opuszczenie matki i siostry. Zostały w stolicy. Nie potrafię powiedzieć, kiedy znów je zobaczę. „Jeśli w ogóle”.

Mimo przyjemnego wietrzyku Maven postanawia zaczekać w swoim pojeździe. Na razie. Z pewnością spróbuje zrobić wielkie wejście, kiedy pojawią się Piedmontczycy.

– Spóźnia się – mówi starsza kobieta przy moim boku.

Mimo okoliczności czuję, że lekko się uśmiecham.

– Cierpliwości, Jidanso.

– Och, jakże role się odwróciły, Wasza Królewska Mość. – Moja towarzyszka chichocze, a zmarszczki na jej twarzy się pogłębiają. – Ileż to razy ja udzielałam ci takiej rady. Zwykle w kwestii jedzenia.

Na moment odrywam wzrok od bacznie obserwowanego przeze mnie horyzontu, by na nią spojrzeć.

– W tej kwestii nic się nie zmieniło.

Jej ochryply śmiech nabiera głębi, niosąc się echem po rzece.

Jidansa z linii Merin jest przyjaciółką naszej rodziny, odkąd tylko pamiętam, bliska jak ciotka i troskliwa jak piastunka. Używała swojej umiejętności Psychika, by zabawiać mnie i Ti, gdy byłyśmy malutkie, i siłą umysłu żonglowała naszymi butami lub zabawkami. Mimo pomarszczonej twarzy, siwych włosów i statecznego charakteru jest budzącą postrach przeciwniczką i niebywale utalentowanym Psychikiem, jednym z najlepszych w naszym kraju.

Poprosiłabym ją, by wróciła ze mną do Norty, ale nie jestem bez serca. Wiem, że by się zgodziła, więc tym bardziej nie powinnam czynić takich próśb. Większość jej rodziny zginęła podczas wojny. Życie w otoczeniu Nortańczyków byłoby karą, na którą nie zasługuje.

Jej obecność dodaje mi otuchy. Nawet w Lakelandii wciąż czuję się nieswojo przy Mavenie.

Reszta mojej eskorty obstawia mnie dookoła, zachowując stosowną odległość. Wartownicy Mavena powinni sprawić, że będę się czuć bezpieczna, ale pod ich błyszczącymi od klejnotów spojrzeniami nigdy tego nie zaznam. Zabiliby mnie, gdyby mój mąż sobie zażyczył. A przynajmniej by spróbowali.

Krzyżuję przed sobą ramiona, dotykając swojej niebieskiej kurtki podróżnej. Choć mam się spotkać z księciem Piedmontu, panującym władcą tego kraju, mój strój wygląda bardzo przeciętnie. Mam nadzieję, że nie przywiązuje on tak wielkiej wagi do wyglądu jak większość Srebrnych, których poznałam.

Nie muszę czekać o wiele dłużej, aby się o tym przekonać.

Z naszego punktu orientacyjnego widać konwój przemierzający ziemie sporne. Teren ten wygląda niemal tak samo jak lasy południowej Lakelandii. Nie ma tu murów, bram, dróg, które wyznaczałyby tę część granicy. Nasze patrole są na razie dobrze ukryte i otrzymały instrukcję, by pozwolić piedmonckiemu księciu przekroczyć ją bez zakłóceń.

Konwój jest mały, nawet w porównaniu z naszą skromną grupą sześciu pojazdów i około pięćdziesięciu strażników. Zauważam dwa transportery, szybkie i zwinne maszyny przedzierające się przez przerzedzone drzewa na krawędzi lasu. Pokrywa je kamuflaż w niezdrowym odcieniu zieleni, pasującym do krajobrazu. Gdy podjeżdżają bliżej, zauważam żółte, białe i fioletowe gwiazdy po bokach.

„Bracken”.

Słyszę za sobą szcęk metalu – ze swojego pojazdu wysiada Maven. W kilku krokach pokonuje połąć uklepanej trawy i zatrzymuje się przy mnie. Powoli składa dłonie. Jego biała skóra w tym świetle wydaje się bardziej złotawa. Prawie przypomina ludzką.

– Nie przyszłoby mi na myśl, że księżę Bracken to taki ufny człowiek. Co za głupiec – mówi, pokazując na mały konwój nadciągającego monarchy.

– Desperacja z większości ludzi robi głupców.

Maven parska śmiechem. Powoli, niemal leniwie, mierzy mnie wzrokiem.

– Nie z ciebie.

„Nie, nie ze mnie”.

Muszę ostrożnie snuć tę nić. Na wzór Mavena składam dłonie razem, przydając sobie siły. Determinacji. Nieugiętości.

Dzieci Brackena wiele miesięcy temu zostały porwane i uwięzione, a potem wykorzystane jako karta przetargowa. Z każdą chwilą ich nieobecności Piedmont coraz bardziej się wykrwawia. Montfort już i tak kosztuje ich miliony i zabiera wszystko, na czym tylko położy ręce. Broń, odrzutowce, zapasy żywności. Baza militarna w Nizinie Brzeżnej została kompletnie ogołociona, a większość jej

wyposażenia odesłano w góry. Montfort to szarańcza, która pochłania wszystko, co spotka na swojej drodze. Zasoby księcia Brackena są właściwie na wyczerpaniu.

Transportery zatrzymują się kilka metrów przed nami, w bezpiecznej odległości od naszego konwoju. Kiedy się otwierają, wysiada z nich kilkunastu strażników odzianych w imponującą ciemną purpurę obszytą na złoto. Mają przy sobie miecze i pistolety, choć kilku zdaje się woleć młoty bojowe i topory.

Bracken nie jest uzbrojony.

Jest wysoki, ma czarną skórę, gładką cerę, pełne usta i oczy jak dwa wypolerowane gagaty. Podczas gdy Maven potrzebuje peleryny, orderów i korony, Bracken zdaje się aż tak bardzo nie przejmować tym, jak się prezentuje. Jego ubrania są doskonale skrojone, ciemna purpura obrębiona złotem, tak jak u jego strażników, nie widzę jednak korony, futer, klejnotów. Ten człowiek przyjechał tu z misją, a nie po to, by chełpić się swoim bogactwem.

Księżę góruje nad nami wzrostem i ma muskulaturę Siłacza, choć wiem na pewno, że Bracken jest Mimikiem. Gdyby mnie dotknął, byłby w stanie wykorzystać moje wodniackie umiejętności, choć tylko przez pewien czas i z mniejszą siłą. Może przejąć dar dowolnego Srebrnego. Możliwe, że Nowych też.

– Żałuję, że nasze pierwsze spotkanie nie odbywa się w przyjemniejszych okolicznościach – mówi niskim, dudniącym głosem. Zgodnie z obyczajem kłania się nam, choć niezbyt głęboko, mierząc wzrokiem naszą obstawę. Co prawda, rządzi Piedmontem, ale jego kraj nie może się równać z naszymi.

– My także, Wasza Wysokość – odpowiadam, podobnie pochylając głowę.

Maven naśladuje moje ruchy, ale wykonuje wszystko zbyt pośpiesznie. Jak gdyby chciał mieć to jak najprędzej za sobą.

– Co dla nas masz?

Krzywię się, słysząc ten brak taktu. Instynktownie otwieram usta, gotowa załagodzić wyboistości tej ryzykownej rozmowy. Jednak ku mojemu zaskoczeniu Bracken się uśmiecha.

– Ja też nie lubię tracić czasu – odpowiada i jego mina robi się nieco bardziej surowa.

Jeden z jego strażników, który dotąd stał za plecami swojego władcy, podchodzi do nas z oprawioną w skórę teczką.

– Nie wtedy, kiedy stawką jest życie moich dzieci.

– To informacje twojego wywiadu na temat Montfortu? – pytam, spoglądając na dokumenty, które strażnik podaje księciu. – Szybko je zebrałeś.

– Księżę od miesiący szuka swoich dzieci oraz ludzi, którzy wspomogliby go w jego staraniach – cedzi Maven. – Pamiętam twoich emisariuszy, księżęta Aleksandreta i Darejusza. Przykro mi, że nie mogłem... im pomóc.

Prawie parskam śmiechem. Jeden z książąt zginął w pałacu w Archeonie podczas nieudanej próby obalenia Mavena. Drugi, z tego, co wiem, również nie żyje.

Bracken zbywa te przeprosiny machnięciem swojej wielkiej ręki.

– Wiedzieli, jakie jest ryzyko, tak jak wszyscy, którzy mi służą. Straciłem wielu ludzi podczas poszukiwań syna i córki. – W jego słowach pobrzmiewa prawdziwy smutek podszyty gniewem.

– Miejmy nadzieję, że nie stracisz kolejnych – mówię pod nosem, myśląc o sobie. I o tym, co powiedziała matka. „To musisz być ty”.

Maven unosi podbródek i przerzuca wzrok pomiędzy Brackeniem a jego teczką. Musi być pełna informacji na temat Montfortu, jego tajemniczych miast, gór i armii. Informacji, które są nam potrzebne.

– Jesteśmy gotowi zrobić to, czego ty nie możesz – oświadcza Brackenowi Maven. Mój małżonek to zdolny aktor, który zabarwia swoje słowa stosowną dawką współczucia. Jeśli nadarzy się okazja, może przeciągnąć księcia Piedmontu na swoją stronę, zanim w ogóle będę mieć szansę cokolwiek działać. – Rozumiem, że podczas gdy Montfort przetrzymuje twoje dzieci, masz związane ręce. Akcja ratunkowa mogłaby zagrozić ich życiu.

– Dokładnie tak. – Bracken szybko kiwa głową. Spija słowa z ust Mavena. –

Nawet zbieranie informacji z pomocą szpiegów jest wielkim ryzykiem.

Król Norty unosi brew.

– Czego się dowiedzieli?

– Udało się nam ustalić, że dzieci są przetrzymywane w stolicy kraju, Ascendencie – wyjaśnia książę. Podaje nam teczkę. – Miasto znajduje się głęboko w górach, chronione przez dolinę. Nasze mapy miasta są stare, ale można na nich polegać.

Przejmuję teczkę, zanim zrobi to któryś z wartowników, i szacuję jej ciężar. Jest ciężka, warta swojej wagi w złocie.

– Udało ci się dowiedzieć, gdzie dokładnie są przetrzymywane? – pytam, chcąc jak najszybciej zasiąść do dokumentów i przejść do działania.

– Tak sędzę. Ogromnym kosztem.

Krzyżuję ręce, przytulając pękaty folder do swojej piersi.

– Nie zmarnuję tego.

Piedmoncki książę mierzy mnie wzrokiem, jest zaskoczony moimi słowami, ale nie próbuje mnie lekceważyć. Maven bardziej się stara ukryć swoją reakcję. Nie rusza się, a jego mina się nie zmienia. Temperatura nie wzrasta nawet o jeden stopień. Ale mimo to wyczuwam jego podejrzliwość. I ostrzeżenie. Jest na tyle bystry, by w obecności księcia trzymać język za zębami, skoro nie może mnie powstrzymać od snucia mojej sieci.

– Sama poprowadzę ekspedycję poszukiwawczą – proponuję i przeszywam Brackena swoim najbardziej zdeterminowanym spojrzeniem.

Nawet nie mrugnie okiem, nieruchomy niczym posąg, tylko mierzy mnie wzrokiem, próbuje ocenić. Proste ubranie było z mojej strony dobrym wyborem. Wyglądam bardziej jak wojowniczką niż jak królowa.

– Wykorzystam niewielką jednostkę żołnierzy Norty i Lakelandii, żebyśmy zdołali niezauważeni przedrzeć się przez granicę. Proszę mi zaufać, już od wczoraj ciężko nad tym pracujemy.

Choć aż przechodzą mnie przez to ciarki, kładę dłoń na ramieniu Mavena. Jego

ciało pod rękawem jest zimne. Niczego nie zauważam, ale czuję w nim delikatne drżenie. Uśmiecham się szerzej.

– Maven opracował doskonały plan.

Mój małżonek przykrywa moją dłoń swoją. Jego palce są zimne jak lód, a groźba jasna jak słońce.

– Zgadza się – mówi Maven, a jego usta układają się w dziki uśmiech, pasujący do mojego.

Bracken dostrzega tylko naszą propozycję i szansę ratunku dla swoich dzieci. Nie dziwię mu się. Mogę sobie jedynie wyobrazić, co zrobiłaby moja matka, gdybyśmy znalazły się z Tiorą w podobnej sytuacji.

Książę wypuszcza z płuc długie westchnienie ulgi.

– To wspaniale – odpowiada, raz jeszcze pochylając przed nami głowę. – W zamian mogę poprzysiąc wam utrzymanie sojuszu, który łączy nas od lat. Odkąd te Nowe dziwadła postanowiły we wszystko się wmieszać. – Przyjmuje kamienne oblicze. – Ale koniec z tym. Dziś historia zmienia bieg.

Czuję jego słowa z tą samą mocą co prąd rzeki w dole. Niezłomny. Nie do powstrzymania.

– Dziś historia zmienia bieg – powtarzam do siebie, zaciskając dłonie na skórzanej teczce.

*

Tym razem Maven wsiada za mną do mojego transportera, przez co mam ochotę kopniakiem posłać go z powrotem na trawę. W zamian odsuwam się na siedzeniu jak najdalej od niego. Na moich kolanach znajdują się informacje wywiadowcze od Brackena. Maven siada obok, nie spuszczając ze mnie wzroku. Jego opanowanie sprawia, że prawie zaczynam się pocić ze zdenerwowania.

Czekam, aż coś powie, odwzajemniając jego lodowate spojrzenie. W głębi duszy przeklinam to, że tu za mną przyszedł. Chcę się zapoznać z dokumentami i zacząć uzupełniać luki w swoim planie, ale nie mogę tego zrobić, czując na sobie

jego lekceważące spojrzenie. A on o tym wie. Podoba mu się to, zawsze lubował się w przeszkadzaniu innym. Myślę, że to jego sposób na uporanie się z demonami: stworzyć ludziom ich własne.

Dopiero kiedy pojazdy ruszają i z dużą prędkością oddalają się od terenów granicznych, Maven otwiera usta.

– Co ty właściwie robisz? – pyta gładkim i wyczutym z emocji głosem.

To jego ulubiona taktyka: nie dawać żadnych wskazówek co do swoich emocji. Tak by na próżno patrzyło mu się w oczy czy badało jego twarz w poszukiwaniu jakichkolwiek uczuć, próbowało go rozszyfrować jak każdą inną osobę. Jest na to zbyt doświadczony.

Odpowiadam prosto, wysoko unosząc głowę:

– Zdobywam dla nas Piedmont.

„Nas”.

Maven wydaje z siebie głębokie gardłowe mruknięcie, po czym rozsiada się wygodnie, przygotowując do długiej podróży.

– Bardzo dobrze. – Po tych słowach nie mówi już nic więcej.

ROZDZIAŁ 8

MARE

Montforcka eskorta prowadzi nas do kompleksu pałacowego położonego na wysokiej grani. Rozpościera się z niej widok na centralną dolinę, do której zboczy tuli się reszta Ascendentu. Jak okiem sięgnąć ciemnozielone flagi kołyszą się na miłym wieczornym wietrze, każda z nich z figurą białego trójkąta. „Góra”, zdaje sobie sprawę i od razu robi mi się głupio, że wcześniej nie wpadłam na to, co oznacza ten symbol. Widnieje też na ich mundurach.

Moje ubrania są zwykłe, nie mam na sobie nawet munduru, tylko przypadkowe ciuchy ze składów w Corvium i Piedmoncie. Zapewne należały do jakiejś Srebrnej, bo kurtka, spodnie, buty i koszula są porządnie wykonane. Za nami idzie Farley w swojej wersji munduru, z Clarą na biodrze. Jest cała ubrana na czerwono, a przy kołnierzu ma trzy metalowe trójkąty. Symbol generała Dowództwa.

Srebrni są ubrani bardziej sztywnie, ale po ludziach ich pokroju nie spodziewam się niczego innego. Na tle białych pasaży Ascendentu, prowadzących po całym mieście, wyglądają jak tęcza wyraźnych jaskrawych kolorów. Trudno przeoczyć Cala w tej czerwonej pelerynie, choć naprawdę próbuję. Idzie z Evangeline i trochę mam nadzieję, że dziewczyna zepchnie go z któregoś z bardziej zdradliwych tarasów lub ze schodów.

Trzymam się blisko ojca i wsłuchuję w jego oddech. W Ascendencie jest wiele schodów, a on jest starym człowiekiem z odrośniętą nogą, nie wspominając o niedawno wyleczonym płucu. Rzadkie powietrze na pewno mu nie służy.

Ojciec uważnie patrzy pod nogi. Jego czerwona twarz to jedyna oznaka tego, ile wysiłku wymaga od niego spacer. Mama obstawia go od lewej strony, myśląc

o tym samym co ja. Trzyma ręce za jego plecami, rozczapierzając palce, żeby go podtrzymać, gdyby się zachwiał.

Wezwałabym jakąś pomoc, na przykład Siłacza albo chociaż Bree lub Tramy'ego, gdyby tata tylko poprosił. Ale wiem, że tego nie zrobi. Idzie dzielnie przed siebie, raz czy dwa razy dotykając mojej ręki. Jest wdzięczny za moją obecność i równie wdzięczny za to, że się nie mieszam.

Schody wreszcie się kończą. Droga prowadzi dalej przez zwieńczoną łukiem bramę z kamienia, na której wyrzeźbiono pnie drzew i liście. Za nią znajduje się centralny plac, wybrukowany spiralną szachownicą z zielonego granitu i mlecznego piaskowca. Wzdłuż arkad okalających to miejsce rosną sosny, niektóre z nich równie wysokie i grube, jak wieże. Dobiega mnie przemożna pieśń ptaków, szczebioczących pod fioletowym niebem.

Idący za mną Kilorn zaczyna cicho gwizdać. Patrzy za drzewa, na długi budynek z kolumnami, wbudowany w głąb i w górę stromego zbocza. To dziwna kombinacja gładkich kamieni, jak z dna rzeczno, połączonych z lakierowanym drewnem i marmurowymi dekoracjami. Liczne skrzydła budynku są ozdobione balkonami, niektóre zapełniono dzikimi kwiatami. Wszystkie są zwrócone w stronę doliny, by można z nich było podziwiać panoramę Ascendentu.

To musi być dom premiera. Bezsprzecznie pałac, choć tak się nie nazywa. Czuję się nieswojo, ale reszta mojej rodziny jest zachwycona. Odwiedziłam wystarczająco dużo pałaców, by wiedzieć, że nie należy ufać temu, co znajduje się za wspaniałym pięknem i lśniącymi oknami.

Wokół budowli nie ma murów ani bram. Można odnieść wrażenie, że stolica też nie jest nimi otoczona. A przynajmniej nie takimi, bym była w stanie je zauważyć. Montfort jest na tyle silny, że nie potrzebuje murów. Albo na tyle głupi, żeby ich nie budować. Sądząc jednak po Davidsonie, uważam, że druga możliwość jest mało prawdopodobna.

Farley musi myśleć to samo. Rozgląda się po arkadach, sosnach, pałacu, każdej rzeczy ze szczególną uwagą. Następnie odwraca się do Srebrnych idących za nami, starających się nie dać po sobie poznać, że są pod wrażeniem domu Davidsona.

Premier ruchem ręki nakazuje nam iść do przodu, coraz głębiej w serce swojego kraju.

*

Podobnie jak w Piedmoncie moja rodzina dostaje znacznie lepsze lokum niż to, do jakiego przywykliśmy. Apartamenty w domu Davidsona są bardzo rozległe – na tyle, że każde z nas otrzymuje własną sypialnię. Kilorn i Gisa zwiedzają dom, zaglądając do różnych pomieszczeń. Bree nie ma aż takiej ochoty się ruszać i zajął jedną z aksamitnych kanap w długim salonie. Słyszę teraz, stojąc na naszym tarasie, jak pochrapuje. To przejściowe lokum, do czasu, aż w mieście znajdzie się dla nas jakiś dom na stałe.

Wszyscy zostawiają mnie samą – albo nieświadomie, albo celowo. Tak czy inaczej, nie przeszkadza mi to.

W dole migocze Ascendent, konstelacja na zboczach gór. Czuję w nim elektryczność, odległą i stałą, mrugającą poprzez liczne światła. Miasto wygląda jak odbicie nieba nad nami. Gwiazdy wydają się tu niemożliwie wyraźne, na wyciągnięcie ręki. „To dobre miejsce, by ich tu zostawić. Lepszego nie mogłam sobie wymarzyć”.

Na całej długości balkonu w doniczkach i skrzynkach kwitną kwiaty we wszystkich możliwych kolorach. Te przede mną są fioletowe i mają dziwne płatki, kształtem przypominające ogon.

– Te kwiatki nazywają się słoniki.

Tramy podchodzi do mnie i opiera łokieć o poręcz. Nachyla się, by popatrzeć na miasto w dole. Mimo lata noc przynosi ze sobą przenikliwy chłód. Pewnie drzę, bo Tramy podaje mi szal.

Gdy otulam się dzierganą tkaniną, mój brat ściąga brwi.

– Nie wiem, co to „słonik”.

To słowo chyba z czymś mi się kojarzy, ale kręcę głową i wzruszam ramionami.

– Ja też nie. Możliwe, że to jakieś zwierzę. Julian pewnie by wiedział. – Wypowiadam jego imię bez zastanowienia i prawie się krzywię. Piersć ściska mi nagły ból.

– Możesz zapytać go przy kolacji – mówi mój brat, w zamyśleniu gładząc palcami swoją szorstką brodę.

Znów wzruszam ramionami, próbując zapomnieć, że wspomniałam o Julianie Jacosie.

– Musisz się ogolić – drocę się. Raz jeszcze wciągam w płuca słodkie powietrze. – I sam zapytaj dziś Juliana.

– Nie.

Coś w jego głosie zwraca moją uwagę, jakiś niski ton stanowczości. Śmiałości. Tramy nigdy nie odmawia żadnemu z nas. Zbyt przywykł do chodzenia krok w krok za Bree lub łagodzenia rodzinnych problemów. Zawsze dąży do rozwiązywania konfliktów, nie jest z tych, którzy mocno się przy czymś upierają.

Spoglądam na niego, czekając na wytłumaczenie.

Mój brat zaciska szczękę, jego ciemnobrązowe oczy wpatrują się w moje. Tak jak ja ma oczy po mamie.

– To nie miejsce dla nas.

„Nas”.

Od razu wiem, co to znaczy. „My dalej już nie idziemy”. Rodzina Barrowów to nie politycy ani żołnierze. Nie ma powodu, bym ściągała na nich zainteresowanie lub niebezpieczeństwo, z którymi się stykam. Ale perspektywa, że będę sama, bez nich... Mój lęk jest niezmierny, samolubny i nagły.

– Ale może być – odpowiadam zbyt pośpiesznie, zaciskając dłoń na jego nadgarstku.

Tramy szybko przykrywa moją dłoń swoją.

– To powinno być wasze miejsce. Was wszystkich. Jesteście moją rodziną...

Słyszę skrzypienie drzwi tarasowych, które po chwili zamykają się za Gisą i Kilornem. Moja siostra patrzy na nas błyszczącymi oczami.

– Ilu ludzi ma władzę, której mieć nie powinni, tylko dlatego że daje im ją rodzina? – pyta.

Ma na myśli Srebrnych. Monarchów i arystokratów, którzy przekazują władzę swoim dzieciom bez względu na to, jak bardzo nie nadają się one do rządzenia. Obsesja na punkcie krwi i dynastii jest powodem, dla którego Maven w ogóle znalazł się na tronie. Chory młodociany król panujący nad krajem, chociaż nie jest w stanie zapanować nawet nad własnym umysłem.

– To co innego – mamrocze w odpowiedzi, mimo że odpowiedź jest nieprzekonująca. – Nie jesteście tacy jak oni.

Gisa podchodzi do mnie i poprawia mi szal. Troszczy się o mnie, jakby była moją starszą siostrą, choć jest na odwrót. Nadal ma za uchem kwiatek, blade jak świt. Powoli dotykam płatków i przeciągam między palcami pasmo jej włosów. Kwiatek jej pasuje. „A Montfort?”

– Tak jak powiedział Tramy – kwituje – twoje spotkania, twoje narady, wojna, którą prowadzisz, to nie dla nas. Nie chcemy tego. – Patrzy mi prosto w oczy.

Teraz jesteśmy tego samego wzrostu, ale mam nadzieję, że moja siostra jeszcze urośnie. Zasługuje na to, by widzieć świat z lepszej perspektywy niż ja.

– Okej – szepczę, przyciągając ją do siebie. – Okej.

– Oni też tak uważają – mamrocze mi do ucha.

„Mama. A nawet tata”.

Coś we mnie puszcza, uwalniając ogromny ciężar. Tylko czy jest to kotwica ciągnąca mnie na dno, czy ta, która mnie stabilizuje? Możliwe, że taka i taka. Kim się stanę, jeśli los moich rodziców i rodzeństwa nie będzie wisiał na włosku?

„Tym, kim muszę”.

Z głową wspartą o ramię Gisy trudno mi nie spoglądać na Kilorna, który stoi za nią. Jego twarz jest posepna jak burzowa chmura, gdy na nas patrzy. Spotykamy się wzrokiem i widzę determinację w oczach swojego przyjaciela. Niedawno dołączył do Szkarłatnej Gwardii i nie wykorzysta okazji, by złamać złożoną przysięgę. Nawet po to, by tu zostać, z jedyną rodziną, jaką kiedykolwiek miał.

– A teraz – mówi Gisa, odrywając się ode mnie – musimy cię wyszykować na tę koszmarną kolację.

*

Miesiące spędzone w rebelianckich bazach jedynie wyostrzyły oko mojej siostry, znajdującej się na kolorach, tkaninach i modzie. W jakiś sposób udaje jej się wykombinować kilka różnych strojów do wyboru, wszystkie swobodne, ale eleganckie, w najróżniejszych stylach. Żadne tam wysadzane klejnotami szkaradztwa jak u Srebrnych z Norty, oczywiście, ale nadal pasujące na spotkanie przy stole z królami i przywódcami. Muszę przyznać, że lubię się ubierać w ten sposób. Gładzić palcami bawełnę i jedwab. Decydować, co zrobić z włosami. To dobry sposób na rozproszenie uwagi. I konieczny.

Tyberiasz na pewno będzie siedział ze mną przy stole, patrząc na wszystkich wilkiem, odziany w swoje karmazynowe szaty. Bocząc się, bo ja byłam wierna swoim zasadom, podczas gdy on na nie splunął. Niech zobaczy, od czego i od kogo odwrócił się plecami. Na tę myśl czuję chorobliwą, ale satysfakcjonującą przyjemność.

Choć Gisa wybrałaby dla mnie jeden z bardziej skomplikowanych strojów, w końcu decydujemy się na suknię, która podoba się nam obu. Prostą, w kolorze śliwkowej czerwieni, z długimi rękawami i powłóczystą spódnicą. Żadnej biżuterii prócz moich kolczyków. Różowy dla Bree, czerwony dla Tramy'ego. Fioletowy dla Shade'a, zielony dla Kilorna. Ostatni czerwony kamień, szkarłatny jak świeża krew, jest schowany w moich rzeczach. Nie założę kolczyka, który dał mi Tyberiasz, ale nie mogę go też wyrzucić. Nie używam go, ale też o nim nie zapominam.

Gisa szybko doszywa po złotym warkoczu, misternym kawałku przygotowanego wcześniej ozdobnego haftu, do mankietu każdego z rękawów. Nie wiem, skąd wzięła igłę i nitkę. Może dostała je w pałacu. Zwinne palce siostry z równą wprawą upinają moje włosy w kolorze brązowego złota w coś na kształt korony. Nie widać spod niej siwych końcówek, mimo że mam ich teraz znacznie

więcej. Wysięk ostatnich dni z pewnością miał na mnie wpływ, a nie lubię patrzeć na to w lustrze. Jestem blada, mam zapadnięte policzki i cienie pod oczami, które wyglądają jak sińce. Mam też blizny wszelkiego rodzaju: tę wypaloną przez Mavena, nieprawidłowo wygojone rany, ślady po własnej błyskawicy. Ale mnie nie pokonały. Jeszcze nie.

*

Pałac premiera jest ogromny, ale jego plan bardzo prosty, zejście na dół, na salony, zajmuje mi więc niewiele czasu. Ostatecznie idę po prostu za aromatami jedzenia i daję się im prowadzić przez kolejne wielkie pokoje i galerie. Mijam jadalnię wielkości sali balowej, zdominowaną przez stół na jakieś czterdzieści osób, w której znajduje się też ogromny kamienny kominek. Jednak stół jest pusty, a w palenisku nie strzela ogień.

– Panna Barrow, zgadza się?

Odwracam się w stronę, z której dobiega życzliwy głos, i widzę jeszcze życzliwszą twarz. Mężczyzna kiwa na mnie ręką z jednych z wielu łukowych drzwi prowadzących na kolejny taras. Jest całkowicie łysy, ma czarną jak atrament cerę o lekko fioletowym odcieniu, a jego biały uśmiech wisi jak sierp księżyca nad jeszcze bielszym jedwabnym garniturem.

– Tak – odpowiadam spokojnie.

Mężczyzna uśmiecha się szerzej.

– Świetnie. Będziemy jeść tutaj, pod gwiazdami. Pomyślałem, że skoro to wasza pierwsza wizyta, tak będzie najlepiej.

Pokazuje, żebym poszła za nim, więc przechodzę na drugą stronę wielkiej jadalni. Zwinnym ruchem bierze mnie pod ramię i wyprowadza na chłodne powietrze. Zapach jedzenia się wzmacnia, na co do ust napływa mi ślinka.

– Jaka spięta. – Chichocze, poruszając nieco ręką, by pokazać kontrast z moimi zbitymi mięśniami. – Jestem Carmadon i przygotowałem dzisiejszą kolację. Więc jeśli będziesz mieć jakieś zażalenia, zachowaj je dla siebie.

Przygryzam usta, próbując ukryć uśmiech.

– Będę pamiętać.

W odpowiedzi Carmadon delikatnie stuka się palcem w nos.

Drobne żyłki w jego oczach, oplatające białą gałkę, są szare. „Ma Srebrną krew”. Przełykam z trudem, czując nagłą gulę w gardle.

– Powiesz mi, jaką umiejętność posiadasz, Carmadonie?

Odpowiada uśmiechem.

– Czy to nie oczywiste? – Pokazuje na liczne zielone rośliny i kwiaty na balkonach i w oknach. – Jestem jedynie skromnym Strażnikiem Zieleni, panno Barrow.

Dla zachowania pozorów wymuszam z siebie uśmiech. „Skromnym”. Widziałam zwłoki, którym z ust i oczu wystawały korzenie. Nie ma czegoś takiego, jak skromny czy nieszkodliwy Srebrny. Oni wszyscy potrafią zabijać. Ale przecież my chyba też. Jak każdy człowiek na ziemi.

Idziemy przez taras w stronę aromatu, delikatnego światła i szmeru sztucznych rozmów. Ta część pałacu wystaje nad krawędź zbocza i roztacza się stąd niczym nieprzesłonięty widok na sosny, dolinę i zaśnieżone szczyty w oddali. Wydają się lśnić pod światłem wschodzącego księżyca.

Staram się nie wyglądać na podekscytowaną, zainteresowaną, a nawet złą. W ogóle nie zdradzać emocji. Mimo to czuję, jak podskakuje mi serce i uderza adrenalina na widok znajomej sylwetki Tyberiasza Calore. Znow podziwia widoki, jakby nie był w stanie spojrzeć na nikogo z otaczających go ludzi. Jestem tym zdegustowana. „Od kiedy taki z siebie tchórz, Tyberiaszu?”

Farley chodzi tam i z powrotem kilka metrów od nas, nadal ubrana w mundur Dowództwa. Włosy ma świeżo umyte i widać, jak błyszczą w świetle lamp rozwieszonych nad tarasowym stołem. Wita mnie skinieniem, zanim przejdzie do swojego miejsca.

Evangeline i Anabel siedzą już u szczytu stołu, naprzeciw siebie. Pewnie zamierzają otoczyć Cala z obu stron, żeby nikt nie miał wątpliwości, jakie są

ważne. Podczas gdy Anabel wydaje się czuć komfortowo w sukni, którą miała na sobie wcześniej, z ciężkiego czerwopomarańczowego jedwabiu, Evangeline chowa nos w kołnierzu z czarnego lisiego futra. Obserwuje mnie, gdy podchodzę do stołu, a jej oczy błyszczą jak dwie odległe gwiazdy. Kiedy siadam na ukos od niej i jak najdalej od wygnanego księcia, jej usta przyjmują kształt, który można by uznać za uśmiech.

Carmadon zdaje się nie zauważać lub kompletnie nie przejmować tym, że jego goście najchętniej by się wzajemnie powybijali. Siada z gracją naprzeciw mnie, po prawej stronie krzesła, na którym, jak mniemam, za moment spocznie Davidson. Z cienia wyłania się służąca i zaczyna wypełniać winem misternie zdobione kieliszki.

Obserwuję ją przez przymrużone oczy. Służąca ma czerwoną krew, co oceniam po rumianych policzkach. Nie jest ani młoda, ani stara, uśmiecha się przy pracy. Nigdy nie widziałam, żeby Czerwona służąca tak się uśmiechała. Chyba że jej kazano.

– Służącym się tu płaci, i to uczciwie – mówi Farley, siadając obok naszego gospodarza. – Już sprawdziłam.

Carmadon obraca winem w kieliszku.

– Sprawdzaj, co ci się tylko podoba, generał Farley. Jeśli o mnie chodzi, możesz nawet zaglądać za zasłony. W moim domu nie ma niewolników – oznajmia, a jego głos przyjmuje poważny ton.

– Nie zostaliśmy sobie stosownie przedstawieni – mówię, przypominając sobie o manierach. – Masz na imię Carmadon, ale...

– Oczywiście, przepraszam, gdzie ja mam głowę, panno Barrow. Premier Davidson to mój mąż. Bardzo spóźniony mąż. Przeprosiłbym za to, że wystygnie nam obiad, gdy będziemy na niego czekać – gestem dłoni wskazuje na stół w pobliżu, na którym znajduje się nasze pierwsze danie – ale jego punktualność nie jest ani moją winą, ani moim problemem.

Jego słowa są ostre, ale zachowanie przyjazne i szczerze. Podczas gdy trudno

odczytać emocje Davidsona, jego mąż jest jak otwarta księga. Tak samo jak Evangeline.

Gapi się na mężczyznę z tak nieskrywaną zazdrością, że mam obawy, iż za chwilę zrobi się zielona. I nic dziwnego. Takie życie i takie małżeństwo w naszym kraju są niemożliwością. Są zakazane. Uważa się je za marnotrawstwo szlachetnej krwi. „Ale nie tu”.

Krzyżuję dłonie na kolanach, próbując się nie wiercić mimo nerwowej atmosfery panującej wokół stołu. Anabel jak dotąd się nie odezwała – albo dlatego, że nie aprobuje Carmadona, albo dlatego, że nie aprobuje jedzenia przy Czerwonych. Niewykluczone, że jedno i drugie.

Farley nieznacznie kiwa głową w podziękowaniu, gdy Carmadon wypełnia jej kieliszek ciężkim, prawie czarnym winem. Generał upija wielki łyk.

Ja pozostaję przy wodzie z lodem, do której dorzucono kilka plasterków cytryny. Na pewno nie mam ochoty na szum w głowie i rozbiegane myśli, kiedy w pobliżu znajduje się Tyberiasz Calore. Zerkam na niego, gdy wchodzi do środka, i omiatam wzrokiem jego znajome ramiona, rozstawione szeroko pod czerwoną peleryną. W ciepłym świetle tarasu wygląda bardziej ogniście.

Kiedy się odwraca, spuszczam wzrok. Tylko nasłuchuję, jak się zbliża, a jego obecność zagęszcza powietrze. Krzesło z kutego żelaza szura o kamienny taras, ruchy Cala są nieznośnie powolne i przemyślane. Niemal podskakuję, gdy zdaję sobie sprawę, gdzie dokładnie postanowił usiąść.

Jego ramię tylko przez sekundę trąca moje i po chwili otacza mnie ciepło Cala. Jestem na siebie zła o to, jak mi z tym dobrze, zwłaszcza przy chłodzie gór.

W końcu ośmielam się podnieść wzrok i zauważam, że Carmadon przechylił głowę i wsparł podbródek na pięści. Wydaje się wielce rozbawiony. Siedząca przy jego boku Farley ma taką minę, jakby za chwilę miała zwymiotować. I nie muszę patrzeć na Anabel, żeby wiedzieć, że jest niezadowolona.

Składam razem dłonie pod blatem stołu i splatam palce tak mocno, że bieleją mi knykcie. Nie ze strachu, ale ze złości. Tyberiasz nachyla się ku mnie, opierając

łokieć na ramieniu krzesła od mojej strony. Mógłby mi szepnąć coś do ucha, gdyby chciał. Zaciskam zęby, walcząc z chęcią, by splunąć.

Po drugiej stronie stołu Evangeline prawie do siebie mruczy. Przejeżdża po futrze dłonią ozdobioną błyszczącymi pierścieniami w kształcie szponów.

– Z ilu dań składa się ten posiłek, wielmożny Carmadonie?

Mąż Davidsona nie odrywa ode mnie wzroku. Na jego ustach drga coś na kształt ironicznego uśmiechu.

– Z sześciu.

Krzywiąc się, Farley wychyla resztę wina.

Carmadon uśmiecha się szeroko i wzywa stojącą w cieniu służbę.

– Dane i wielmożny Julian będą musieli nas dogonić – mówi i pstryknięciem palców oznajmia służącym, by zaserwowali pierwsze danie. – Mam nadzieję, że będzie wam smakowało. Bardzo się starałem przygotować same montforckie specjały.

Obsługa jest sprawna i szybka, równie skuteczna, ale nie tak spięta, jak w pałacach Srebrnych królów. Na stole lądują przed nami małe talerze z eleganckiej porcelany. Spoglądam na różowy kawałek ryby wielkości mojego kciuka, na którym ułożono kremowy twarożek i szparag.

– Świeży łosoś z rzeki Calum na zachodzie – tłumaczy Carmadon, zanim włoży sobie wszystko do ust.

Farley szybko robi to co on.

– Calum ma swoje ujście w oceanie na zachodnim wybrzeżu – ciągnie.

Próbuję sobie wyobrazić, o czym mówi, ale moja znajomość geografii tego kraju jest w najlepszym wypadku kiepska. Wiem o istnieniu oceanu graniczącego z zachodnim skrajem kontynentu, ale to wszystko, co jestem w stanie sobie przypomnieć.

– Mój wuj Julian chętnie dowie się więcej na temat waszego kraju – odpowiada Tyberiasz. Mówi powoli, z przekonaniem. Postarza go to o dziesięć lat. – Podejrzewam, że to właśnie jego pytania zatrzymały premiera.

– Może. Mój Dane bardzo się szczeni swoją biblioteką.

Julian pewnie podzieliłby ten zachwyty. Zastanawiam się, czy premier próbuje ukuć nowe relacje, a może nawet zrobić sojusznika z przyjaznego Srebrnego. Ale możliwe też, że Davidson czerpie przyjemność ze spędzania czasu z innym uczonym i z chęcią opowiada o Montforcie.

Po łososiu dostajemy gorącą zupę warzywną, która paruje w chłodnym powietrzu, a następnie sałatkę ze świeżych warzyw i z leśnych borówek rosnących na tej górze. Carmadon zdaje się nie przejmować tym, że nikt prócz niego się nie odzywa. Wypełnia ciszę własną gadaniną, z wyraźną przyjemnością opisując każdy detal posiłku, który przygotował. Składniki sosu do sałatki, najlepsza pora na zbieranie borówek, jak długo należy gotować warzywa, rozmiar jego prywatnego ogrodu i tak dalej. Wątpię, żeby Evangeline, Tyberiasz albo Anabel kiedykolwiek ugotowali jakąś potrawę, i zastanawiam się, czy Farley jadła choć raz w życiu coś, czego nie ukradła lub co nie pochodziło z racji pokarmowych.

Bardzo się staram grzecznie zachowywać, choć niewiele mam do powiedzenia. Zwłaszcza że Tyberiasz jest tak blisko i wacha wszystko, co dostanie na talerzach. Od czasu do czasu przelotnie zerkam na jego twarz. Ma zaciśniętą szczękę, jego gardło pracuje. Nigdy wcześniej nie był tak gładko ogolony jak dziś. Gdyby nie moja duma, pogładziłabym palcami miękką skórę jego policzków.

Tym razem pochwytyje mój wzrok, zanim zdążę się odwrócić.

Instykt podpowiada mi, żebym zaczęła mrugać, by przerwać to spojrzenie. Wlepiła wzrok w talerz, wstała od stołu i wyszła. Ale nie ustępuję. Jeśli pretendent do tronu chce mnie zdenerwować, wprawić w zakłopotanie, to proszę bardzo. Też tak potrafię. Prostuję ramiona i plecy, a co najważniejsze, pamiętam, by oddychać. Tyberiasz to tylko kolejny Srebrny, który będzie robił z moich ludzi niewolników, bez względu na to, co sam twierdzi. Jest przeszkodą i tarczą. Delikatna równowaga musi zostać zachowana.

Pierwszy mruga, powracając do jedzenia.

Robię to samo.

Boli mnie przebywanie obok niego – przy osobie, której kiedyś tak ufałam. Przy ciele, które tak dobrze znam. Jeden wybór, jedno słowo i wszystko wyglądałoby inaczej. Spędzilibyśmy ten posiłek, wymieniając spojrzenia, komunikując się w nasz własny sposób na temat Evangeline, Anabel albo nieobecności Davidsona. Albo w ogóle by ich tu nie było. Bylibyśmy sami na tym tarasie, pod gwiazdami, w zupełnie innym kraju. Carmadon jest Srebrny, jego mąż to Nowy Czerwony. Ich służący nie są niewolnikami. Nie poznałam Montfortu dobrze, ale nietrudno zauważyć, że to miejsce wydaje się inne. A my moglibyśmy być w nim sobą. Gdyby on tylko nam pozwolił.

Tyberiasz nadal nie ma na głowie korony, ale i tak ją w nim widzę. W jego ramionach, oczach, powolnym, stanowczym zachowaniu. Jest królem, na ile to tylko możliwe. Do krwi. Do szpiku kości.

Kiedy służący zbierają talerze po sałatkach, Carmadon zerka w stronę drzwi, jak gdyby spodziewał się zobaczyć w nich Davidsona. Nieco marszczy brew, gdy nikt się nie pojawia, ale gestem dłoni daje znak, by przyniesiono kolejne danie.

– To szczególny montforcki przysmak – mówi ze sztucznym uśmiechem.

Na talerzu, który pojawia się przede mną, leży wyjątkowo gruby i soczysty stek, a wraz z nim pieczone na złoto ziemniaki, grzyby, cebulki oraz zielenina podduszona w sosie. Jednym słowem pychota.

– Stek? – prycha Anabel, nachylając się do stołu z nieżyczliwym uśmiechem. – Możesz mi wierzyć, wielmożny Carmadonie: w naszym kraju mamy steki.

Gospodarz kiwa swoim czarnym palcem.

– Wręcz przeciwnie. Wy macie bydło. To jest bizon.

– Co to takiego „bizon”? – pytam, nie mogąc się doczekać, by spróbować.

Nóż szczęka o talerz, gdy Carmadon odkrawa sobie kawałek.

– Inny gatunek, choć podobny do bydła, które znacie. Znacznie większy, smaczniejszy. Znacznie silniejszy i wytrzymalszy, ma rogi i kosmatą sierść oraz wystarczająco dużo mięśni, by przewrócić pojazd transportowy, jeśli mu się zachce. Większość z tutejszych żyje dziko, choć istnieje też kilka farm. Pasą się

w Rajskiej Dolinie, na wzgórzach oraz równinach. Niesrogie są im nawet tęgie zimy, które zabiłyby człowieka czy inne zwierzę. Zapewniam, nikt nie pomyliłby bizona ze zwykłą krową.

Patrzę z fascynacją, jak jego ostrze przecina to nietypowe mięso. Po daniu rozlewają się czerwone soki, tworząc smużki na białej porcelanie.

– Bizony i krowy to ciekawe zwierzęta. Takie podobne. Dwie gałęzie tego samego drzewa, choć zupełnie od siebie różne. I chociaż stanowią dwa oddzielne gatunki, potrafią żyć obok siebie w pełnej zgodzie. Zbierać się w stada, a nawet łączyć w pary.

Tyberiasz zaczyna kaszleć, prawie dławiąc się kawałkiem jedzenia.

Robię się cała czerwona.

Evangeline zasłania dłonią rozszerzone w uśmiechu usta.

Farley dokańcza butelkę wina.

– Powiedziałem coś nie tak? – Carmadon zerka na twarze swoich gości. Dokładnie wie, co powiedział i co to oznacza.

Zanim zdąży to zrobić którekolwiek z nas, Anabel wchodzi mu w słowo, próbując oszczędzić wnukowi zażenowania. Patrzy na pałac znad krawędzi swojego kieliszka.

– Spóźnienie twego męża jest bardzo niegrzeczne.

Uśmiechnięty Carmadon odpowiada bez zwłoki:

– W pełni się zgadzam. Dopilnuję, by szybko tego pożałował.

Mięso bizona jest chude i rzeczywiście smakuje lepiej niż wołowina. Przestaję dbać o maniery, widząc, jak nasz gospodarz bez skrępowania je ziemniaki palcami. Zjedzenie połowy steku i wszystkich przypieczonych cebulek zajmuje mi ledwie minutę. Jestem tak skupiona na czyszczeniu swojego talerza, nabijaniu na widelec jednego doskonałego kęsa za drugim, że prawie nie zauważam, jak za naszymi plecami znów otwierają się drzwi.

– Bardzo przepraszam – mówi Davidson, idąc w naszą stronę równym, ale szybkim krokiem.

Julian idzie w krok za nim. Gdy widzę ich obok siebie, uderza mnie nagle, jak bardzo są podobni. Z usposobienia, nie z wyglądu. Obaj mają w sobie intelektualny głód. Ale w innych kwestiach nie mogliby bardziej się od siebie różnić. Julian jest za chudy, jego siwiejące włosy są rzadkie i strzępiaste, jego brązowe oczy – kaprawe. Davidson to okaz zdrowia, siwe włosy ma starannie przystrzyżone i błyszczące i mimo swojego wieku – smukłą, umięśnioną sylwetkę.

– Co nas ominęło? – pyta, siadając przy swoim mężu.

Julian niezręcznie rozgląda się wokół stołu i zajmuje jedyne wolne miejsce. To, na którym miał usiąść Tyberiasz, gdyby nie obrał sobie za cel doprowadzenia mnie do szału.

Carmadon pociąga nosem.

– Omówienie menu, zwyczajów reprodukcyjnych bizonów oraz twojej niepunktualności.

Śmiech premiera jest dźwięczny i szczery. Albo nie czuje potrzeby, by przed nami grać, albo w swoim domu gra doskonale.

– Czyli standardowe rozmowy przy kolacji.

Julian, siedzący przy przeciwnym końcu stołu, nachyla się w przód z potulną miną.

– Obawiam się, że to moja wina.

– Biblioteka? – pyta jego siostrzeniec z porozumiewawczym uśmiechem. – Słyszeliśmy.

Aż coś kłuje mnie w sercu, gdy słyszę to ciepło w jego głosie. Kocha swojego wujka, a wszelkie oznaki tego, że Tyberiasz jest dobrym człowiekiem pomimo wszystkich swoich złych wyborów, zwyczajnie mnie ranią.

Julianowi unosi się kącik ust.

– Chyba nietrudno mnie rozgryźć.

– Wolę przewidywalność – mamroczę. Ale na tyle głośno, by usłyszeli mnie wszyscy przy stole.

Farley uśmiecha się zadziornie, patrząc w swój talerz. Tyberiasz marszczy brwi

i odwraca się do mnie. Otwiera usta, jak gdyby miał zamiar powiedzieć coś lekkomyślnego i głupiego.

Jego babka go uprzedza, próbując ocalić wnuka przed samym sobą.

– A co czyni tę bibliotekę taką... interesującą? – pyta z ewidentną pogardą.

Nie mogę się powstrzymać.

– Pewnie książki.

Farley parska śmiechem, a Julian próbuje zasłonić rozbawioną minę serwetką. Reszta towarzystwa bardziej nad sobą panuje. Ale na dźwięk niskiego rechotu Tyberiasza krew zamarza mi w żyłach. Spoglądam na niego i widzę, że się śmieje. Jego oczy marszczą się w kącikach, gdy na mnie spogląda. Dociera do mnie, że na moment zapomniał, gdzie jesteśmy – i kim jesteśmy. Jego śmiech natychmiast milknie, a twarz przyjmuje bardziej neutralny wyraz.

– Zgadza się – podchwytuje Julian, chcąc odwrócić naszą uwagę. – Kolekcja książek jest bardzo obszerna. I dotyczą nie tylko nauki, ale również historii. Obawiam się, że straciliśmy poczucie czasu. – Kiwa głową i upija wina. Następnie nachyla lampkę w stronę Davidsona. – A przynajmniej premier chciał mi zrobić przyjemność.

Davidson w odpowiedzi unosi kieliszek. Na jego nadgarstku tyka zegarek.

– Zawsze z przyjemnością dzielę się książkami. Wiedza jest jak przyływ, który podnosi wszystkie łodzie.

– Powinieneś zobaczyć zbiory w Vale – dorzuca Carmadon. – Albo na górze Horn.

– Nie zamierzamy zostać tu na tyle długo, by mieć czas na zwiedzanie – oznajmia z lekceważeniem Anabel. Powoli odkłada sztucce na talerz z niedojedzonym posiłkiem. Chce pokazać, jak bardzo ma już tego wszystkiego dość.

Evangeline podnosi głowę. Jak kot przygląda się starszej królowej. Analizuje ją.

– Zgadzam się – mówi. – Im szybciej wrócimy, tym lepiej.

Chce chyba powiedzieć: „im szybciej ja do kogoś wrócę”.

– Cóż, to raczej nie zależy od nas. Proszę wybaczyć – wtrąca Farley, nachylając się nad stołem.

Anabel prawie wypadają oczy z orbit, gdy widzi, jak Czerwona rebeliantka bierze jej porzucony talerz i zgarnia resztki na swój. Generał pewnymi ruchami kroi dodatkowy kawałek bizona, nóż z łatwością zagłębia się w mięso. Widziałam, jak z ludzkim ciałem robi gorsze rzeczy.

– To zależy od montforckiego rządu – dodaje Farley – i tego, czy zdecyduje się dać nam więcej żołnierzy. Mam rację, premierze?

– W rzeczy samej – odpowiada Davidson. – Wojny nie da się wygrać dzięki samym znajomym twarzom. Bez względu na to, jak jaskrawa jest flaga, jak wysokie standardy. – Przenosi wzrok z Tyberiasza na mnie. Sens jego wypowiedzi jest jasny. – Potrzebujemy kilku armii.

Tyberiasz kiwa głową.

– I uzyskamy je. Jeśli nie od Montfortu, to skąd się tylko da. Wysokie Domy Norty mogą dać się przekonać.

– Dom Samos próbował. – Evangeline znajomym ruchem nadgarstków sygnalizuje, że chce więcej wina. – Przeciągnęliśmy na swoją stronę, kogo mogliśmy, ale reszta? Nie liczyłabym na nich.

Tyberiasz blednie.

– Myślisz, że pozostaną lojalni wobec Mavena, skoro...

– Skoro mogą wybrać ciebie? – prychna księżniczka z domu Samos, rzucając narzeczonemu władcze spojrzenie. – Mój drogi Tyberiaszu, oni mogli cię wybrać już miesiące temu. Ale w oczach wielu z nich wciąż jesteś zdrajcą.

Farley marszczy brew.

– Czy wasi arystokraci są na tyle głupi, by nadal myśleć, że Tyberiasz zabił własnego ojca?

Kręcę głową z nożem w dłoni.

– Jej chodzi o to, że on trzyma z nami. Jest sprzymierzony z Czerwonymi. –

Zagłębiam ostrze w reszcie mięsa na talerzu. Kroję z zawziętością, czując w ustach gorycz. – Rozpaczliwie stara się znaleźć jakąś równowagę pomiędzy jednymi a drugimi.

– To właśnie mam nadzieję osiągnąć – oznajmia Tyberiasz zaskakująco łagodnym głosem.

Odrywam wzrok od mięsa i znów spoglądam na Cala. Jego oczy, które teraz wpatrują się w moje, są szeroko rozwarte i obrzydliwie łagodne. Staram się uodpornić na jego uroki.

– W dziwny sposób to okazujesz – odpowiadam kąśliwie.

– Wystarczy! – Anabel szybko karci nas oboje.

Zaciskam zęby i przenoszę spojrzenie na babkę Tyberiasza, która teraz przeszywa mnie wzrokiem. Piorunuję ją z równym zacietrzewieniem.

– To właśnie siła Mavena, jedna z wielu – stwierdzam. – Dzieli z taką łatwością, nawet się nie starając. Postępuje tak z przyjaciółmi i z wrogami.

U szczytu stołu Davidson składa palce wskazujące w piramidę. Przygląda mi się znad dłoni z pełną koncentracją.

– Mów dalej.

– Tak jak powiedziała Evangeline, pewne arystokratyczne rodziny nigdy go nie porzucą, bo on nie zmieni obecnego porządku rzeczy. A Maven jest dobry w rządzeniu, zjednywaniu sobie poddanych przy jednoczesnym zaspokajaniu potrzeb arystokracji. Zakończenie wojny lakelandzkiej zaskarbiło mu wielu zwolenników wśród ludu – zauważam, przypominając sobie, jak nawet Czerwoni wiwatowali na jego widok, kiedy jeździł po kraju. Na tę myśl nadal wywraca mi się w żołądku. – On manipuluje tą miłością tak samo jak strachem. Kiedy byłam jego więźniem, trzymał na dworze dużo dzieci, dziedziców różnych domów. Byli zakładnikami pod każdym względem, tylko nie z nazwy. Łatwo w ten sposób kontrolować innych: zabierając im to, co dla nich najdroższe.

Przekonałam się o tym na własnej skórze.

– A jakby tego było mało – dodaję, próbując przełknąć gulę w gardle –

zachowania Mavena Calore nie da się przewidzieć. Do ucha wciąż szepcze mu matka. Pociąga za sznurki, choć leży martwa w grobie.

Czuję przy swoim boku niskie drganie ciepła. Tyberiasz wpatruje się w talerz, jakby chciał wypalić w nim dziurę. Z policzków odpłynęła mu cała krew i jest biały jak ściana.

Nadal przesywając mnie wzrokiem i obserwując, jak pożeram ostatnie kawałki steku, Anabel wykrzywia usta.

– Księżę Bracken w Piedmoncie jest pod naszą kontrolą – mówi. – Da nam wszystko, czego chcemy.

„Bracken”. Kolejna intryga Montfortu. Panujący książę Piedmontu będzie tańczył, jak mu zagramy, tak długo, jak długo Montfort przetrzymuje w niewoli jego syna i córkę. Zastanawiam się, gdzie są, kim są. „Czy są mali? Czy to tylko dzieci? Czy są w tym wszystkim niewinni?”

Temperatura zaczyna rosnać, nieznacznie, ale równomiernie. Tyberiasz cały się napręża. Przeszywa babkę nieprzejednanym spojrzeniem.

– Nie chcę żołnierzy, którzy nie zgodzili się na to, by dla mnie walczyć. Zwłaszcza Srebrnych Brackena. Nie można im ufać. Jemu też nie.

– Mamy jego dzieci. To powinno wystarczyć.

– Montfort ma jego dzieci – odpowiada Tyberiasz niskim tonem.

Kiedy byliśmy w bazie, łatwo było ignorować cenę, którą ktoś zapłacił. Złe czyny popełnione w dobrej wierze. Spoglądam na Davidsona, który zerka na zegarek. „To jest wojna”, powiedział kiedyś, próbując usprawiedliwić to, co musi zostać zrobione.

– Jeśli je oddamy, to czy będziemy w stanie przekonać Piedmont, by się nie mieszał? – pytam. – Zachował neutralność?

Premier obraca w dłoniach pusty kieliszek, dając grawerowanemu szkłu pochwycić łagodne światło lamp. Mam wrażenie, że dostrzegam u niego żal.

– Bardzo w to wątpię.

– Czy one tu są? – Anabel zadaje to pytanie ze spokojem tak wymuszonym, że

nie zdziwiłabym się, gdyby na szyi zaraz wyskoczyła jej jakaś żyła. – Dzieci Brackena?

Davidson nie odpowiada, rusza się tylko po dolewkę wina.

Stara królowa stuka palcem o blat, jej oczy błyszczą.

– Ach. Więc tu są. – Jej uśmiech się poszerza. – Mocna karta przetargowa. Możemy zażądać od Brackena większej liczby żołnierzy. Może nawet całej jego armii.

Spoglądam na swoją serwetkę, ubrudzoną tłuszczem z palców i szminką startą z ust. „Oni mogą być w tym pałacu. Teraz na nas patrzeć. Dzieci w oknie, uwięzione za zamkniętymi drzwiami”. Czy są na tyle silne, by potrzebować Uciszaczy, a nawet łańcuchów takich jak te, które kiedyś nosiłam? Znam to więzienie. Dotykam nadgarstków, sprawdzając swoją skórę. Ciało zamiast kajdan. Prąd zamiast ciszy.

Tyberiasz nagle uderza pięścią w stół, tak że talerze i kieliszki podskakują. Ja też podskakuję z zaskoczenia.

– Nie zrobimy niczego podobnego – oznajmia zaciekle. – Nasze siły wystarczą.

Jego babka patrzy na niego, marszcząc czoło, czym pogłębia zmarszczki na twarzy.

– Potrzebujesz żołnierzy, by wygrać, Tyberiaszu.

– Koniec dyskusji na temat Brackena – mówi jedynie. W definitywnym geście przekrawa ostatni kawałek steku na pół, mocno dociskając nóż.

Anabel obnaża zęby ze złości, ale nic nie odpowiada. Tyberiasz jest jej wnukiem, ale dzięki jej własnym staraniom jest także jej królem. Przekroczyła już granice tego, jak powinna się odzywać do swojego władcy.

– Czyli jutro musimy błagać – mamroczę. – To nasza ostatnia szansa.

Z frustracją daję znak, by znów napełniono mi kieliszek, i nie marnuję czasu, aby opróżnić jego zawartość. Czerwona słodycz koi mnie na tyle, że niemal jestem w stanie zignorować parę wpatrujących się we mnie oczu. Brązowych oczu.

– Można to tak określić – odpowiada Davidson, z nieobecny wzrokiem.

Spogląda najpierw na swój zegarek, a potem na męża.

Ich spojrzenia mówią więcej niż słowa. Budzi to moją zazdrość i raz jeszcze żałuję, że sytuacja nie wygląda inaczej.

– Jaką mamy szansę? – Tyberiasz jest bezceremonialny i rzeczowy. Uczono go, że tak powinien zachowywać się król.

– Na przekazanie do waszej dyspozycji wszystkich naszych żołnierzy? – Davidson kręci głową. – Żadnej. Mamy własne granice, których należy strzec. Ale połowę? Trochę więcej? Istnieją szanse, że szala przeważy się na naszą korzyść. Jeśli.

„Jeśli. Nienawidzę tego słowa”.

Przygotowuję się na resztę tego zdania, nagle czując większe podenerwowanie niż zwykle. Czuję się tak, jakby taras w każdej chwili mógł się pode mną zawalić. A wtedy wszyscy spadniemy do doliny.

Twarz Farley wyraża ten sam strach. Trzyma swój nóż w dłoni, nieufnie patrząc na naszego sojusznika.

– Jeśli co?

Zanim Davidson odpowie, rozlegają się dzwony. I choć reszta z nas podskakuje, złęknona hałasem, on się nie rusza. Jest do tego przyzwyczajony.

„Albo się tego spodziewał”.

To nie jest delikatne bicie zegara oznaczające pełną godzinę. Dzwony mają niski i głęboki ton, ich dźwięk odbija się od zbocza góry i niesie echem przez cały Ascendent, budząc kolejne w całym mieście. Zgiełk zalewa miasto jak fala i biegnie w dół jednego zbocza, aż sięgnie drugiej strony doliny. Wraz z hałasem zapalają się światła. Jasne i ostre. Reflektory. Lampy bezpieczeństwa. Alarm, który włącza się chwilę później, to mechaniczna syrena. Swoim zawodzeniem niszczy spokój górskiej doliny.

Tyberiasz zrywa się na równe nogi, peleryna zasłania mu ramiona. Uwalnia jedną rękę i rozczapierza palce. Bransoletka krzesząca iskry połyskuje pod jego rękawem. W każdej chwili może wzniecić ogień. Evangeline i Anabel też są

w gotowości, obie śmiertelnie niebezpieczne. Nie wyglądają na przestraszone, są raczej gotowe, by się bronić.

Czuję, jak wzbiera we mnie błyskawica, i myślę o swojej rodzinie w pałacu za nami. „Niebezpiecznie. Nawet tutaj”. Ale nie ma czasu na kolejne rozterki.

Farley też wstaje i mocno opiera się o blat stołu. Przeszywa Davidsona wzrokiem.

– Jeśli co?! – wrzeszczy, przebijając się przez hałas.

Premier podnosi wzrok, dziwnie spokojny pośród tego zgiełku. Cała się napręgam i zaciskam pięści przy bokach.

– Jeśli Montfort ma walczyć za was – mówi, spoglądając na Tyberiasza – wy musicie walczyć za nas.

Carmadon nie wydaje się przestraszony wyciem alarmu. Zerka tylko w stronę pałacu i wzdycha z irytacją.

– Płądrownicy – oznajmia, robiąc kwaśną minę. – Za każdym razem, kiedy urządzam przyjęcie.

– Wiesz, że to nieprawda. – Davidson uśmiecha się szeroko, ani na moment nie odwracając głowy. Cały czas wyzywająco patrzy na Tyberiasza.

– Ale takie mam odczucie – odpowiada Carmadon, wydymając usta.

W świetle miejskich reflektorów oczy Davidsona błyszczą na złoto. Tyberiasza na czerwono.

– Nazywają cię Płomieniem Północy, Wasza Królewska Mość. Pokaż nam ogień. – Wtedy premier spogląda na mnie. – A ty pokaż nam burzę.

ROZDZIAŁ 9

MARE

– Mówiłam: żadnych niespodzianek – syczę do Davidsona, drepcząc mu po piętach, gdy prowadzi nas przez pałac.

Farley maszeruje obok niego, z dłonią na pistolecie przypiętym do biodra, jak gdyby spodziewała się, że Plądrownicy zaczną wyskakiwać na nas z szaf.

Srebrni członkowie naszej delegacji są równie podenerwowani. Anabel trzyma swoich ludzi w szyku. Wielokrotnie każe Tyberiaszowi zwolnić i wciąga go za ochronny mur z ciał strażników domu Lerolan. Evangeline ukrywa strach za ironicznym uśmiechem. Ma własną eskortę – zdaje mi się, że to jej krewni z domu Samos. Kiedy pokonujemy kręte korytarze montforckiego pałacu, jej sukienka szybko przekształca się w złożoną z łusek zbroję.

Premier obraca się przez ramię, gdy mówię, i rzuca mi miażdżące spojrzenie. Dzwony i syreny niosą się po korytarzu dziwnym echem i mieszają z jego słowami.

– Nie jestem w stanie kontrolować zachcianek Plądrowników, Mare, i nie układam ich harmonogramu najazdów.

Podtrzymuję jego spojrzenie i przyspieszam kroku, czując złość pulsującą mi w żyłach.

– Na pewno nie? – Nie zaskoczyłoby mnie, gdyby tak było. Przekonałam się na własnej skórze, że królowie potrafią zrobić swojemu ludowi o wiele gorsze rzeczy, by zachować władzę.

Davidson ma nieprzejednane oblicze i zaciska usta w wyraźną linię. Na jego szerokich kościach policzkowych pojawia się niespodziewany rumieniec. Jego głos zamienia się w szept.

– Owszem, otrzymaliśmy pewne sygnały. Wiedzieliśmy, że nadciągają, i mieliśmy na tyle czasu, by wzmocnić obronę na obrzeżach miasta. Ale nie życzę sobie sugestii, że przelałbym krew swoich ludzi, zaryzykował ich życie, by zyskać... co? Efekt dramatyczny? – syczy tonem niebezpiecznym jak nóż. – Prawda, stwarza to okazję dla Szkarłatnej Gwardii i króla Calore, by dotrzymali swojej obietnicy i by czegoś dowiedli, nim staniemy przed moim rządem i zaczniemy o cokolwiek prosić. Ale wcale się nie cieszę na tę wymianę – warczy na mnie. – Wolałbym siedzieć sobie na tarasie i beztrosko upijać się z mężem, obserwując, jak dzieci, które mają zbyt dużo władzy, skaczą na siebie z pazurami, niż robić to, co teraz.

Dostałam po głowie, ale przynajmniej czuję ulgę. Davidson patrzy na mnie nienawistnym wzrokiem, w jego złotych oczach płonie ogień. Zwykle jest taki spokojny, opanowany, nie można go przejrzeć. Jego siła leży nie tylko w jego umiejętności czy charyzmie, ale także w wyćwiczonym opanowaniu, które tylko kilka osób potrafi przeniknąć. Nie teraz. Już sama sugestia jakiegokolwiek zdrady, nawet najmniejszej, ze strony jego kraju, całkowicie go rozsierdza. Rozumiem tego rodzaju lojalność. Szanuję ją. Prawie potrafię jej zaufać.

– Więc co zrobimy? – pytam, jak na razie usatysfakcjonowana.

Premier zwalnia krok, a po chwili zatrzymuje się i odwraca plecami do ściany. Żeby widzieć nas wszystkich. Stajemy jak wryci i tłoczmy się razem, Srebrni i Czerwoni, w szerokim korytarzu, czekając na odpowiedź. Nawet królowa Anabel patrzy na Davidsona z pełną uwagą.

– Patrole zauważyły, że Płądrownicy przekroczyli naszą granicę jakąś godzinę temu – mówi. – Zwykle kierują się do miast na równinie lub do samej stolicy.

Myślę o swoich rodzicach, rodzeństwie i Kilornie. Albo mimo hałasu śpią, albo zastanawiają się, co się dzieje. Nie chcę walczyć, nie, jeśli to oznacza, że będę musiała opuścić ich w niebezpieczeństwie. Zerkam na Farley kątem oka i widzę u niej taki sam lęk. W kołysce na górze śpi też Clara.

Davidson robi, co może, żeby nas uspokoić.

– Alarmy mają charakter ostrzegawczy i nasi obywatele o tym wiedzą – tłumaczy. – Ascendent jest świetnie chroniony przed tego typu najazdami. Już same góry są tak skuteczną zaporą, że większość hord kieruje się na równiny lub do osad w niskich partiach wschodnich zboczy. Musieliby się najpierw wspiąć w naszą paszczę, żeby w ogóle zbliżyć się do miasta.

– Czy Plądrownicy są w takim razie wyjątkowo głupi? – pyta Farley, starając się zlekceważyć własne obawy. Nie ściąga ręki z broni.

Davidson lekko unosi kącik ust i chyba słyszę, jak Carmadon mówi „tak”, próbując zamaskować to kaszlem.

– Nie – odpowiada premier. – Ale liczą się dla nich pozory. Atak na stolicę Montfortu to dla nich pewien nawyk. Dzięki temu zdobywają szacunek zarówno wśród swoich ludzi, jak i wśród możnowładców Prerii.

Tyberiasz podnosi głowę i powoli występuje przed jednego ze swoich strażników. Po tym, jak spięte ma ramiona, widzę, że nie pasuje mu ta obstawa. Spokojnie stoi tylko na pierwszej linii frontu. Tyberiasz Calore nie ma zwyczaju prosić innych o zrobienie czegoś, czego sam nie robi, o zmierzenie się z niebezpieczeństwem, z którym sam się nie zmierzy.

– A kim oni właściwie są?

– Wszyscy pytaliście o Srebrnych w Montforcie – odpowiada Davidson, a jego głos jest na tyle donośny, że przebija się przez wycie syren. – Zastanawiacie się, jak mogą żyć w ten sposób. Jak dziesiątki lat temu zmieniliśmy porządek rzeczy. Niektórzy Srebrni przystali na wolność i demokrację. Powinienem powiedzieć „wielu”. Właściwie większość. – Napina szczękę. – Wiedzieli, jak powinien wyglądać świat. Albo zobaczyli świat za naszymi granicami i postanowili, że lepiej zostać i się dopasować.

Jego wzrok ląduje na Evangeline. Z jakiegoś powodu dziewczyna się czerwieni, prawie odwraca twarz.

– Niektórzy jednak nie. Starzy Srebrni, monarchowie, arystokraci, którzy nie mogli znieść naszego nowego kraju. Uciekli lub przedostali się na ziemię

graniczne. Północ, południe, zachód. Na wschodzie, na pustych wzgórzach pomiędzy naszymi górami a Prerią, stworzyli hordy. Próbują zająć dla siebie terytorium i objąć nad nim władzę. Cały czas walczą, atakując nas i siebie nawzajem. Żyją jak pijawki żywiące się tym, co znajdują. Niczego nie hodują ani nie uprawiają, niczego nie budują. Niewiele ich łączy poza złością i umierającą dumą. Atakują transportery, gospodarstwa, miasta zarówno w Prerii, jak i w Montforcie. Koncentrują się głównie na skupiskach Czerwonych, zwykle na małych wioskach. Na tych, którzy nie mogą się obronić przed Srebrnym szturmem. Przemieszczają się, atakują i znów przemieszczają. Dlatego nazywamy ich Plądrownikami.

Carmadon głośno cmoka. Przejeżdża dłonią po swojej fioleto-woczarnej głowie.

– Cóż za niski upadek moich Srebrnych pobratymców. I to wszystko z powodu dumy.

– I tego, co uważają za władzę – dorzucą Davidson. Jego wzrok ląduje na Tyberiaszu, który prostuje się, zaciskając szczękę. – Za to, co ich zdaniem im się należy. Wolą wszystko stracić, niż żyć pod rządami tych, których mają za gorszych od siebie.

– Idioci – rzucam.

– W historii nie brakuje takich ludzi – odzywa się Julian. – Opornych na zmiany.

– Ale na ich tle ci, którzy chcą się zmienić, wychodzą na bohaterów, prawda? – odpowiadam, dając słowom wybrzmieć.

Tyberiasz nie łyka przynęty.

– Gdzie mają zamiar uderzyć? – pyta, nie odrywając wzroku od Davidsona.

Premier uśmiecha się ponuro.

– Otrzymałaliśmy wiadomość z jednego z miasteczek na równinie. Plądrownicy są blisko – mówi. – Wychodzi na to, Wasza Wysokość, że jednak zobaczysz Jastrzębi Szlak.

*

Żadne miejsce nie może się obejść bez zbrojowni.

Strażnicy Davidsona już tam są i kompletują wyposażenie w długim pomieszczeniu wypełnionym bronią i sprzętem taktycznym. Nie wkładają zielonych mundurów, do których przywykłam, tylko czarne przylegające kombinezony i wysokie buty. Dobre do walki z nocnymi najeźdźcami. Podobny strój nosiłam podczas treningów – kostium w fioletowe i srebrne pasy, które oznaczały, że pochodzę z domu Tytanos i jestem tak Srebrna, że bardziej się nie da. Jedno wielkie kłamstwo.

Przy drzwiach Anabel kładzie dłoń na ramieniu Cala. Patrzy na niego błagalnie, ale on mija ją i zdecydowanym, choć łagodnym ruchem odrzuca jej rękę. Kobieta chwyta rąbek jego czerwonej peleryny, której gruba ozdobna tkanina prześlizguje się jej przez palce, gdy wnuk odchodzi.

– Muszę to zrobić. – Słyszę jego cichy głos. – Premier ma rację: muszę za nich walczyć, jeśli oni mają walczyć za mnie.

Nikt więcej się nie odzywa i cisza robi się ciężka jak deszczowa chmura. Słyszać tylko szelest ubrań. Moja sukienka przypomina kałużę u kostek, gdy szybko ją ściągam i wkładam na bieliznę czarny kombinezon. Gdy się przebieram, mój wzrok ląduje na znajomych muskułach.

Tyberiasz stoi bez koszuli, odwrócony plecami, w kombinezonie naciągniętym do pasa. Śledząc linię jego kręgosłupa, zauważam blizny na gładkiej, wyrzeźbionej skórze. Są stare, starsze niż moje. Zdobyte podczas treningów w pałacu i na froncie wojny, która już dobiegła końca. Mimo że dotyk Uzdrowiciela z łatwością by im zaradził, Tyberiasz zachowuje blizny, kolekcjonuje je, tak jak inni kolekcjonują medale lub odznaczenia.

„Czy zdobędzie dziś więcej blizn? Czy Davidson dotrzyma obietnicy?”

Część mnie zadaje sobie pytanie, czy to przypadkiem nie zasadzka na prawdziwego króla z rodu Calore. Zamach pod przykrywką prawdziwego zagrożenia. Ale nawet jeśli Davidson skłamał co do tego, że nie robi Tyberiaszowi krzywdy, nie jest idiotą. Zlikwidowanie starszego z braci Calore jedynie nas osłabi,

zniszczy tarczę pomiędzy Montfortem, Szkarłatną Gwardią a Mavenem.

Gapię się, nie potrafiąc oderwać wzroku. Blizny może są stare, ale prawie fioletowy, przypominający siniak ślad w miejscu, gdzie jego szyja zbiega się z ramieniem, już nie. Jest nowy. Zaledwie sprzed kilku dni. „To ja”, myślę, wracając do wspomnień, które są bliskie i jednocześnie bardzo odległe.

Ktoś szturcha mnie w ramię, wrywając z rozmyślań o Tyberiaszu Calore, zdradliwych jak ruchome piaski.

– Czekaj – mówi szorstko Farley, jakby to było ostrzeżenie. Nie pozbyła się swojego ciemnoczerwonego munduru Dowództwa. Patrzy na mnie, rozszerzając swoje niebieskie oczy. – Pomogę ci.

Zasuwa mi na plecach kombinezon, który ciasno opina moje ciało. Przez chwilę zmagam się z grubą tkaniną stroju, gdy próbuję podwinąć za długie rękawy. Wszystko, byleby nie myśleć o wygnanym księciu, który właśnie sam wsuwa rękawy kombinezonu.

– Nie było nic w twoim rozmiarze, Barrow?

Niski głos Tytona doskonale odwraca moją uwagę. Staje obok nas i opiera się plecami o ścianę, wystawiając do przodu jedną nogę. Jego kombinezon jest taki sam jak mój, ale lepiej leży na jego szczupłej sylwetce. Bez insygniów piorunów. Bez żadnych oznaczeń. Bez żadnych wskazówek, jak niebezpieczny jest ten Nowy. Mając go, Davidson nie musi aranżować żadnych „wypadków”, żeby pozbyć się przeciwników. Wystarczy mu tylko Tyton. Ta myśl, choć mrozi krew w moich żyłach, jest pewnym pocieszeniem. To na pewno nie zasadzka. Nie musi być.

Wkładam buty, uśmiechając się zadziornie.

– Pogadam z krawcem, kiedy wrócimy.

Po przeciwnej stronie pomieszczenia Tyberiasz podwija sobie rękawy kombinezonu, odsłaniając bransoletę krzeszącą ogień. Stojąca obok Evangeline wygląda prawie na znudzoną. Zrzucając swoje futra, prezentuje wszystkim pełną zbroję, która zakrywa ją od stóp aż po koniuszki palców dłoni. Zauważa, że na nią patrzę i podtrzymuje moje spojrzenie.

Nie spodziewam się, że zechce nadstawić karku dla kogoś innego niż Elane Haven, a mimo to czuję się bezpieczniejsza, mając ją w pobliżu. Już dwa razy mnie uratowała. I nadal stanowią dla niej pewną wartość. Nasz układ wciąż obowiązuje.

„Tyberiasz nie może zdobyć tronu”.

Po przebraniu się przechodzimy na tyły zbrojowni, gdzie znajdują się długie rzędy stojaków z bronią. Farley obładowuje się amunicją, przypina sobie pistolet na biodro, a na plecy zarzuca karabin maszynowy. Założę się, że noże ma już pochowane. Ja nie biorę broni, ale Tyton zgarnia pas, pistolet i kaburę z wieszaka, i mi je podaje.

– Nie, dzięki – mruczę niechętnie. Nie lubię pistoletów ani kul. Nie ufam im. I ich nie potrzebuję. Nie mogę ich kontrolować w taki sam sposób, w jaki panuje nad swoją błyskawicą.

– Niektórzy Płądrownicy to Uciszacze – wyjaśnia niskim tonem.

Już na samą myśl wywraca mi się wszystko w środku. Wiem aż nazbyt dobrze, jak to jest być pod wpływem Cichego Kamienia. Nie jest to uczucie, za którym bym tęskniła.

Nie uprzedzając mnie, Tyton zakłada mi pas wokół talii i szybko zapina wszystkie sprzączki. Pistolet w kaburze wydaje mi się ciężki i obcy.

– Jeśli stracisz swoją umiejętność, dobrze mieć plan B.

Temperatura w zbrojowni nagle wzrasta, czujemy falę ciepła, która może oznaczać tylko jedno. Podnoszę wzrok dokładnie w chwili, w której mijają nas Tyberiasz. Zachowuje dystans i z uporem wpatruje się w podłogę. Próbuje mnie ignorować.

Równie dobrze mógłby nieść ze sobą transparent.

– Pilnuj rąk, Tytonie – warczy przez ramię. – Ona gryzie.

Tyton prychnął śmiechem pod nosem. Nie musi odpowiadać i nawet nie próbuje. To tylko jeszcze bardziej złości Tyberiasza.

Przynajmniej raz nie przejmuję się tym, jaka robię się czerwona. Odsuwam się od Tytona, który nadal się śmieje.

Tyberiasz patrzy na mnie, gdy do niego podbiegam, a w jego brązowych oczach płonie coś więcej niż zwyczajowy ogień. Przez ręce i nogi przebiega mi elektryczny impuls. Hamuję go i wykorzystuję, by dodać sobie determinacji.

– Nie bądź takim zaborczym dupkiem – rzucam i szturcham Tyberiasza łokciem w bok, zanim pójde dalej. Mam wrażenie, że walnęłam w ścianę. – Skoro nazywasz siebie królem, to zachowuj się jak król.

Słyszę za plecami, jak Tyberiasz wydaje z siebie coś pomiędzy warknięciem a westchnieniem frustracji.

Nie odpowiadam, nie oglądam się za siebie i nie zatrzymuję, aż wraz z morzem żołnierzy wyleję się na centralny plac, na który zawitaliśmy kilka godzin temu. Stoją na nim liczne równo rozstawione ciemnozielone pojazdy transportowe. Davidson czeka przy pierwszym z nich, prowadzącym konwój, z Carmadonem u swojego boku. Szybko się obejmują, stykają czołami i całują, po czym Carmadon odchodzi na bok. Żadne z nich nie wydaje się przejmować nadciągającym starciem. Albo musi się to często zdarzać, albo są bardzo dobrzy w ukrywaniu swojego strachu. Możliwe, że jedno i drugie.

Po pałacowych balkonach, z których dobrze widać gromadzących się żołnierzy, poruszają się cienie. To służba i goście. Przymrużam oczy, próbując dostrzec swoją rodzinę wśród niewyraźnych sylwetek. Włosy Gisy powinny się wyróżniać, ale najpierw zauważam tatę. Stoi zgarbiony nad balustradą i wychyla się, by popatrzeć. Kiedy mnie widzi, bardzo nieznacznie schyla głowę. Chcę do niego pomachać, ale wydaje mi się to głupie. A kiedy odpalają silniki pojazdów i ich warkot rozchodzi się wśród sosen, wiem, że wołanie do nich też jest bez sensu.

Znajduję Farley przy pierwszym pojeździe, przy którym czeka wraz z Davidsonem. Wchodzi do środka, wspinając się na wysokie zawieszenie. Te transportery różnią się od naszych. Koła są znacznie większe, prawie mojego wzrostu, z bardzo wysokim bieżnikiem na oponach, na których pewnie łatwiej jeździ się po skalistym górskim terenie. Naczepę wzmocnioną stalą i wzbogaconą w liczne uchwyty, podpórki pod stopy oraz zwisające z góry pasy, w oczywistym celu.

Tyton wskakuje na górę i siada na końcu pierwszego pojazdu. Przypina się do ramy obok innego montforckiego żołnierza. Pasy obejmują ich w talii i dają na tyle swobody, żeby mogli się nachylić, ale nie wylecieli z transportera. Pozostali żołnierze różnej krwi robią to samo na całej długości maszyn. Nie widzę ich oznaczeń, nie mogę więc wiedzieć na pewno, ale zakładam, że to najlepsi z najlepszych i mają zarówno kule, jak i umiejętności.

Premier Davidson przytrzymuje drzwi, czekając, aż wsiądę do środka. Jakiś głód i dzikość sprawiają, że robię coś odwrotnego.

Siadam na naczepie, po prawej stronie Tytona, i zapinam sobie pas. Chłopak uśmiecha się półgębkiem, co jest jedynym znakiem, że zauważył mój wybór.

Pojazd za nami przeznaczono dla Tyberiasza i Evangeline, których strażnicy w rozpoznawalnych barwach obstawiają transporter z obu stron. Widzę, że Evangeline się zatrzymuje, zanim wsiądzie do środka. Nie spogląda na mnie, patrzy na pałac. Na Carmadona w białym garniturze odbijającym światło reflektorów, czekającego przy głównym wejściu z ramionami skrzyżowanymi na piersi. Anabel stoi kilka kroków od niego. Na granicy bycia nieuprzejmą. Unosi podbródek, gdy widzi Tyberiasza przemierzającego plac długimi krokami.

Bez swoich barw wydaje się taki jak reszta. Żołnierz z rozkazami do wykonania. Pasuje mu to. Właśnie za kogoś takiego się uważa. Kolejną osobę pod rozkazami ojca, wypełniającą wolę nieboszczyka. Znów spotykamy się wzrokiem i coś w nas obojgu się zapala.

Mimo wszystko jego obecność daje mi poczucie bezpieczeństwa. Pozbawia mnie wszystkich lęków o samą siebie.

Pozostają mi tylko te o swoich bliskich.

O Farley, o moją rodzinę.

I mimo wszystko, zawsze, o niego.

*

Zagrożona wioska wzywająca posiłki znajduje się na równinie po drugiej

stronie góry. Nie ma czasu na to, by zjechać po zboczu i dotrzeć do niej krętymi drogami prowadzącymi przez dolinę. Jedziemy więc górą.

Powyżej pałacu znajdują się drogi prowadzące w wysoki sosnowy las. Z rykiem silników tniemy po stromym zboczu pod tak gęstymi konarami, że zasłaniają gwiazdy. Nachylam się do przodu w obawie, że uderzy mnie jakaś nisko wisząca gałąź. Wkrótce drzewa się przerzedzają, a droga pod nami robi się skalista. Czuję ucisk w głowie i zatyka mi uszy jak podczas startu odrzutowca. Tu i ówdzie na szlaku leży śnieg, początkowo tylko w szczelinach, ale dalej zakrywa już całą koronę. Moja nieosłonięta twarz robi się czerwona z zimna, ale kombinezony dobrze chronią przed chłodem. Mimo to szczękam zębami i zastanawiam się, co mi strzeliło do głowy, żeby jechać na pace zamiast w środku.

W górze widzimy szczyt – biały nóż na tle nieba usianego jasnymi gwiazdami. Wychylam się do tyłu na tyle, na ile starczy mi odwagi. Ten widok sprawia, że czuję się mała.

Zmiana równowagi oznacza, że zaczynamy jazdę w dół. Opony aut rozbryzgują za sobą śnieg, a potem kamyki i ziemię, wzburzając chmurę pyłu, która ciągnie się za transporterami zjeżdżającymi ze wschodniego zbocza. Kiedy dojeżdżamy do krawędzi drzew, robi mi się niedobrze. Za lasem, nad czubkami sosen widać ciągnącą się równinę, nieskończoną i ciemną jak ocean. Mam wrażenie, że patrzę na tysiące kilometrów w przód. Aż do Lakelandii, do Norty. Do Mavena i tego, co dla nas szykuje. Niedługo nastąpi kolejny atak, tylko gdzie? Na kogo? Nikt z nas jeszcze tego nie wie.

Gdy wjeżdżamy między drzewa, pojazdy podskakują na korzeniach i głązach. Po tej stronie góry nie ma dróg, tylko wyznaczone szlaki prowadzące pod tunelami z gałęzi. Szczękam zębami na każdym wyboju, a pasy bezpieczeństwa zdecydowanie robią mi sińce na biodrach.

– Przywołaj ją! – krzyczy Tyton, przysuwając się do mnie, żebym usłyszała go mimo ryku silników i wycia wiatru. – Bądź gotowa!

Kiwam głową i zbieram się w sobie. Łatwo mi przywołać szum elektryczności. Upewniam się, że nie wysysam jej z naszych silników, lecz pobieram z błyskawicy,

którą tylko ja potrafię wezwać. Fioletowa i niebezpieczna siła niesie się gromem pod moją skórą.

Ogromne sosny robią się coraz rzadsze i przez ich igły przebija się światło gwiazd. Nie z góry, a z przodu. W dali. Przed nami.

Wydaję z siebie pisk i napieram ciałem na naczepę transportera, gdy ten niespodziewanie ze ślizgiem skręca ostro w lewo, na twardą drogę prowadzącą wzdłuż krawędzi klifu. Przez jedną przerażającą chwilę mam wrażenie, że spadniemy w czarną przepaść pod nami. Ale pojazd mocno trzyma się drogi, opony przywierają do podłoża. Kolejne transportery wykonują taki sam gwałtowny manewr.

– Spokojnie – mówi Tyton, mierząc wzrokiem moje ciało.

Fioletowe iskry tańczą mi po skórze, reagując na mój strach. Niegroźnie się wypalają, przez chwilę migocząc w ciemności.

– Nie dało się tego jakoś lepiej zrobić? – mamroczę.

Tyton ledwie wzrusza ramionami.

Nad drogą, w równych odstępach, stoją łuki z ciosanego kamienia, na przemian z marmuru i piaskowca. Każdy z nich jest zwieńczony parą wyrzeźbionych skrzydeł, których pióra wyryte głęboko w skale otaczają jasne lampy oświetlające drogę.

– Jastrzębi Szlak – szepczę.

Stosowna nazwa dla drogi znajdującej się na wysokości podniebnych szlaków jastrzębi i orłów. W świetle dnia pewnie zapiera dech.

Droga, niebezpieczna i pełna ostrych zakrętów, prowadzi zygzakiem po przypominającym klif zboczu góry. To pewnie najkrótsza trasa prowadząca na równiny i chyba najbardziej szalona. Ale kierowcy transporterów mają niebywałe umiejętności i pokonują zdradzieckie serpentyny z wielką precyzją. Może to Jedwabieści albo ich Nowe odpowiedniki, których zręczność przenosi się na prowadzone przez nich maszyny. Staram się mieć na baczności, kiedy pokonujemy Jastrzębi Szlak, i wypatrywać wrogich Srebrnych ukrytych za skałami lub

powykręcanyimi pniami drzew. Zaczynam widzieć światła na równinie. Na horyzoncie wyłaniają się nieliczne wioski, o których wspomniał Davidson. Wydają się spokojne i nietknięte. Ale otwarte na atak.

Bierzemy kolejny ostry zakręt, gdy nagle noc zostaje przecięta odgłosem przypominającym krzyk. Wokół nas rozlega się dźwięk rozrywanego metalu, pękającego na złączach. Podnoszę głowę i widzę transporter koziółkujący w powietrzu, wylatujący ze swojego miejsca w połowie konwoju. Wszystko wydaje się zwalniać, gdy przymrużając oczy, patrzę na pojazd obracający się w górze. Żołnierze Montfortu na naczepie szarpią się z pasami bezpieczeństwa, licząc, że wygrają z grawitacją. Jeden z nich, Siłacz, chwytą się krawędzi drogi, ale nawierzchnia kruszy się pod jego palcami. Transport spada dalej, obracając się wokół własnej osi. Niemożliwe, żeby to był wypadek. Tor lotu jest zbyt idealny.

Transporter nas zmiążdży.

Ledwie zdążę schować głowę, kiedy czuję pod sobą mocne szarpnięcie, hamulce mojego transportera piszczą, próbując w porę zatrzymać pojazd. Spod opon leci dym.

Droga podskakuje, kiedy pojazd ląduje na niej z hukiem, a my w niego wjeżdżamy. Tyton chwytą mnie za plecy kombinezonu i podrywa, podczas gdy ja unoszę dłonie nad pasami i używając swojego prądu, przecinam gruby splot tkaniny. Rzucamy się naprzód na moment, zanim w nasz tył uderzy transporter Tyberiasza i Evangeline, zakleszczając nas.

Wszędzie słyszymy pisk hamulców i huk rozbijanych maszyn, które jedna po drugiej wjeżdżają w siebie, w dziwnej reakcji łańcuchowej zgniecionych silników i palonych opon. Tylko ostatnie transportery w konwoju, od szóstego dalej, zostają uratowane przed katastrofą. Udaje im się wyhamować na czas i ocalić sprzęt.

Rozglądam się na wszystkie strony, nie wiedząc, co robić. Transport, który zwałił się przed nami, leży na dachu jak przewrócony żółw. Davidson zdążył już wsiąść i klęczy przy żołnierzach przygniecionych przez maszynę. Farley jest wraz z nim, z bronią w ręku. Pada na kolano, rozglądając się po klifach nad nami.

– Żeleźcy! – wrzeszczy Davidson, dając ręką znak, gdzie jest potrzebna pomoc. Odwraca dłoń i tworzy przejrzystą błękitną tarczę wzdłuż niebezpiecznej krawędzi Jastrzębiego Szlaku.

W jakiś sposób Evangeline natychmiast znajduje się przy jego boku, jej dłonie tańczą. Z sykiem unosi ciężki pojazd znad drogi, odsłaniając powyginane kończyny i spłaszczony czaszki, z których tkanka mózgowa wypływa jak sok z pękniętych winogron. Davidson nie zwleka i natychmiast zaczyna wyciągać żywych z unoszącego się w powietrzu pojazdu.

Po chwili Evangeline powoli opuszcza transporter. Ruchem palców zrywa jedno z drzwi, umożliwiając ucieczkę uwięzionym w środku. Żołnierze są zakrwawieni i dezorientowani, ale żywi.

– Z drogi! – wrzeszczy Evangeline, każąc im oddalić się od maszyny. Gdy już znajdują się w bezpiecznej odległości, Srebrna łączy dłonie z głośnym klaśnięciem.

Pojazd robi to, co mu każe, i zgniata się w zbitą poszarpaną kulę wielkości swoich drzwi. Evangeline z hukiem upuszcza ją na ziemię. Tylko szkło i opony lecą w różne strony, bo nie działają na nie metaliczne zdolności Evangeline. Jedna z opon zaczyna się turlać w dół drogi.

Dociera do mnie, że stoję na rozbitym z obu stron transporterze. Evangeline odwraca się, jej zbroja odbija światło gwiazd. Mimo że koło mnie siedzi Tyton, czuję się na widoku. Jak łatwy cel.

– Sprowadzić tu Uzdrowicieli! – krzyczę, oglądając się na konwój porozbijanych pojazdów pod łukami. – I dajcie tu więcej światła!

Nad nami coś się roznieca, wysoki snop jasny jak słońce. Bez wątplenia robota Cienistych, manipulatorów światła. Daje ostry blask, przez co mrok dookoła wydaje się jeszcze mroczniejszy. Przymrużam oczy i zaciskam pięść, krzesząc nieco elektryczności z knykci. Tak samo jak Farley rozglądam się po półkach skalnych, które otaczają nas z każdej strony. Jeśli Plądrownicy znajdują się nad nami, to stracimy dużą przewagę.

Tyberiasz już o tym wie.

– Patrzeć do góry, obserwować klify! – krzyczy, odwrócony plecami do swojego transportu. On także trzyma pistolet w dłoni, podczas gdy wokół palców drugiej obracają się płomienie. Nie, żeby żołnierze potrzebowali takich rozkazów. Każdy, kto ma pistolet, trzyma go w ręce, z palcem na spuście. Trzeba nam tylko celu.

Ale Jastrzębi Szlak jest niepokojąco cichy, jeśli nie brać pod uwagę echa wykrzykiwanych rozkazów.

Kilkunastu montforckich żołnierzy – sylwetki w czarnych kombinezonach – biegnie po krętej drodze. Zatrzymują się przy każdym z pojazdów i używając swoich umiejętności, starają się rozłączyć rozbite maszyny. Żeleźcy i Siłacze albo ich Nowe wersje.

Evangeline i jej krewni próbują oddzielić nasze pojazdy.

– Możesz to naprawić?! – wołam do niej.

Evangeline tylko prycha i sprawia, że powyginane metalowe części się od siebie odlepiają.

– Jestem Żeleźcem, nie mechanikiem – rzuca w odpowiedzi, przechodząc bokiem pomiędzy pojazdami.

Nagle żałuję, że nie ma tu Cameron z jej pasem narzędzi. Jest jednak bezpieczna daleko stąd, w bazie w Piedmoncie, gdzie przebywa wraz ze swoim bratem. Zagryzam wargę, intensywnie myśląc. To oczywista pułapka, przez którą staliśmy się łatwym celem na zboczach góry. Albo po prostu tu utknęliśmy, żeby Płądrownicy mogli najechać znajdujące się w dole wioski, jeśli nie miasto za nami.

Tyberiasz myśli o tym samym. Podchodzi szybko do skraju drogi i wpatruje się w mrok.

– Możecie ostrzec przez radio wasze wioski?!

– Dawno zrobione! – odkrzykuje Davidson. Klęczy nad jednym z rannych żołnierzy i przytrzymuje go za ramię, podczas gdy Uzdrowiciel pracuje nad jego złamaną nogą.

Stojąca przy boku premiera łączniczka nadaje coś przez radio.

Tyberiasz marszczy czoło i odwraca się od klifu, by znów spojrzeć na miejsce kolizji.

– Wyślij też komunikat do miasta. Wezwijcie drugi oddział. I transportowce odrzutowe, jeśli da się je tu w porę sprowadzić.

Davidson ledwie kiwa głową. Mam wrażenie, że to też już zrobił, ale nic nie mówi, bo koncentruje się wyłącznie na leżącym przy nim żołnierzu. Uzdrowiciele, których jest z pół tuzina, pracują sumiennie na całej długości konwoju, zajmując się wszystkimi rannymi.

– A co z nami? Nie możemy tu długo zostać. – Zsuwam się z pojazdu i miękko ląduję na ziemi. Czuję się lepiej z gruntem pod nogami. – Coś wyrzuciło tamten pojazd w powietrze.

Tyton, wciąż na naczepie, wspiera ręce na biodrach. Patrzy na krętą drogę za nami, na miejsce, z którego wyrzuciło transporter.

– To mogła być mała mina. Jeśli zdetonowano ją w odpowiednim momencie, mogła wysadzić samochód w powietrze.

– Ruch był zbyt precyzyjny – warczy Tyberiasz. Chodzi wzdłuż drogi tam i z powrotem, cały spięty.

Jego strażnicy z domu Lerolan chodzą za nim odrobinę za blisko, prawie depcząc mu po piętach.

– Zbyt skoordynowany. Ktoś tu z nami jest. Musimy zjechać na dół, zanim znów zaatakuje. Jesteśmy teraz łatwym celem.

– I to na skraju klifu – dorzuca Evangeline. Z frustracją kopie w swój transporter, robiąc pokaźne wgniecenie w już i tak pofalowanej masce. – Możemy przestawić działające pojazdy na przód kawalkady. Załadować je na tyle, na ile się da.

Tyberiasz kręci głową.

– To nie wystarczy.

– Ale to już coś – odpalam mu.

– Jesteśmy na wysokości zaledwie kilkuset metrów. Część regimentu może

zacząć zbiegać na dół – mówi Davidson, pomagając jednemu z żołnierzy pokuśtykać na początek kawalkady.

W krok za nim idzie łączniczka, nadal nadająca przez radio.

– Placówka w Złotym Gaju ma transportery – informuje premier. – To niedaleko od podnóża góry.

Kłęcząca na ziemi Farley obraca się, nie opuszczając broni.

– Chcesz, żebyśmy się rozdzielili?

– Nie na długo – odpowiada Davidson.

Generał blednie i staje na nogi.

– Ale wystarczająco długo, jeśli...

– Jeśli? – powtarza premier.

– Jeśli to jest pułapka. Zmyłka. Dostałeś wiadomość z wiosek, że Płądrownicy są blisko. A gdzie atak? – Pokazuje dłonią na czarny horyzont. – Nie ma. A przynajmniej nie tam.

Davidson marszczy czoło, spoglądając w stronę wiosek.

– Jeszcze nie.

– Możliwe, że w ogóle nie zamierzali zaatakować. Chcieli wywabić nas z miasta – mówi Farley. – Złapać nas na klifach. Sam powiedziałeś, że walczą o dumę, a miasto jest zbyt dobrze strzeżone. To piekielnie dobry sposób, żeby wyciągnąć strategiczne cele na otwartą przestrzeń.

Premier podchodzi do niej z posępną i srogą miną. Następnie kładzie dłoń na jej ramieniu i lekko ściska. To przyjacielski, może nawet przeproszający gest.

– Nie zostawię tu swoich ludzi samych, bo przypuszczalnie jesteśmy w niebezpieczeństwie. Nie mogę tak postąpić, pani generał. Wiem, że rozumiesz moje położenie. – Wzdycha.

Spodziewam się, że Farley bardziej się postawi, ale ona spuszcza podbródek i prawie kiwa głową. Przygryza wargę i nie mówi nic więcej.

Usatysfakcjonowany Davidson odwraca się przez ramię.

– Kapitanowie Highcloud i Viya do mnie! – woła.

Dwaj oficerowie w czarnych kombinezonach wychodzą naprzód, gotowi przyjąć rozkazy.

– Sprowadźcie swoje jednostki na dół. Szybki marsz, bez przystanków. Widzimy się w Żółtym Gaju.

Salutują w odpowiedzi i odwracają się, by zebrać swoich żołnierzy. Kiedy dwie jednostki ustawiają się w szyku na początku kawalkady, Tyberiasz się krzywi. Szybko podbiega do premiera i chwyta go za ramię. Nie, żeby grozić, lecz żeby prosić.

Wiem, jak wygląda przestraszony Tyberiasz Calore, a teraz także go widzę.

– Przynajmniej zostaw Grawitronów – próbuje przekonać Davidsona. – Na wypadek gdyby ten ktoś chciał strącić nas z góry.

Po chwili zastanowienia Davidson zgrzyta zębami.

– W porządku – odpowiada. – I jeśli to nie problem, Wasza Wysokość... – dodaje, odwracając się do Evangeline. – Te transportowce same stąd nie wyjadą. Proszę współpracować z Grawitronami, skoro zostaną. Ułatwią robotę.

Evangeline przeszywa go wściekłym spojrzeniem, poirytowana, nieprzyzwyczajona do tego, by ktokolwiek prócz ojca wydawał jej rozkazy. Mimo to z westchnieniem odchodzi, by wziąć się do pracy.

– A ja? – pytam, stając pomiędzy Tyberiaszem a Davidsonem.

Obaj robią zaskoczone miny, jakby zapomnieli, że w ogóle tu jestem.

– Zachowaj czujność – poleca mi Davidson ze wzruszeniem ramion. – Chyba że jesteś w stanie podnosić wraki z ziemi, na razie na niewiele się przydasz.

„Bardzo pomocne”, odpyskuję w duchu. Ale to na siebie jestem zła. Moja umiejętność służy do niszczenia. Teraz nie ma żadnego zastosowania. Chwilowo okazuję się bezużyteczna.

Tak samo jak Tyberiasz.

Przygląda się Davidsonowi, odchodzącemu wraz ze swoją łączniczką. Zostawia nas samych, odwróconych plecami do zmiażdżonej karoserii, która przed chwilą była moim transporterem. Nadal buzują we mnie adrenalina i elektryczność. Muszę

się oprzeć o metal, splatając palce, by przestały drgać.

– Nie podoba mi się to – mamrocze Tyberiasz.

Prycham, szurając po bruku nowymi butami.

– Jesteśmy uwięzieni na klifie z połową żołnierzy, zniszczonymi transporterami i o krok od ataku Plądrowników, a na dodatek nie dokończyłam kolacji. Co ci się tu nie podoba?

Mimo okoliczności, w których się znajdujemy, uśmiecha się do mnie znajomo, z ukosa. Krzyżuję ręce na piersiach, licząc na to, że w słabym świetle nie dostrzeże, jak się rumienię. Patrzy na mnie, skupionymi oczami w kolorze rozżarzonego brązu, śledząc nimi kształt mojej twarzy. Kąciki jego ust powoli opadają, a uśmiech blednie, gdy przypomina sobie nasze decyzje. Nasze wybory. Mimo to nadal na mnie patrzy, a ja czuję wzrastający we mnie ogień. Wściekłość, pragnienie i żal w równych proporcjach.

– Nie patrz tak na mnie, Tyberiaszu.

– Nie mów do mnie „Tyberiaszu” – odpala, spuszczaając wzrok.

Gorzko się śmieję.

– Takie imię sobie wybrałeś.

Nie znajduje na to odpowiedzi, więc popadamy w niezręczne milczenie. Od czasu do czasu po zboczu echem niesie się krzyk lub metaliczny szczęk, jedyny dźwięk w ciemnej pustce.

Na krętej drodze nad nami Evangeline, jej krewni oraz Grawitroni powoli przerzucają działające transportery na przód, a wraki na tył. Davidson musiał jej chyba powiedzieć, żeby zachowała wszystkie wraki, które może, bo inaczej zmiażdżyłaby je na proch, a potem pozwoliłaby reszcie przetoczyć się w dół.

– Przepraszam za swoje zachowanie w zbrojowni – mówi Tyberiasz po dłuższym milczeniu. Nadal wpatruje się w ziemię, z głową w cieniu, ale i tak widzę chłodny rumieniec na jego policzkach. – Nie powinienem był tego mówić.

– Nie przejmuję się tym, co powiedziałaś. Przejmuję się tym, jaki to miało cel – odpowiadam, kręcąc głową. – Nie jestem twoja.

– Myślę, że każdy, kto ma oczy, to widzi.

– A ty widzisz? – pytam ostro.

Wypuszcza powietrze z płuc, jak gdyby szykował się do starcia. Odwraca jednak głowę i spogląda na mnie. Jaśniejące światła Jastrzębiego Szlaku rzucają rozmyte cienie na jego twarz, podkreślając kości policzkowe. Wygląda przez to na starego i zmęczonego, króla panującego od wielu lat, nie od kilku dni.

– Tak, Mare – mówi w końcu niskim tonem. – Ale pamiętaj, że to nie tylko moja wina.

– Co? – pytam z niedowierzaniem.

– Ty też wybrałaś coś zamiast mnie. – Wzdycha. – Wiele rzeczy.

Szkarłatną Gwardię. Czerwony świt. Nadzieję na lepszą przyszłość dla ludzi, których kocham. Przygryzam wargę. Nie mam czemu zaprzeczyć. Tyberiasz się nie myli.

– Jeśli skończyliście rozmawiać – mówi głośno Tyton, nachylając się ze swojego punktu obserwacyjnego na górze transportera – to może zainteresuje was, że między drzewami stoją jacyś ludzie.

Robię świszczący wdech i cała się naprężam. Tyberiasz szybko dotyka mojej ręki, ostrzegając mnie.

– Tylko się nie przestrasz – odzywa się. – Podejrzewam, że mają nas na muszce.

Słyszymy szcęk metalu, a ja podrywam się pod palcami Tyberiasza. Zacieśnia uścisk. Ale to tylko nasz transporter się porusza.

– Ilu? – pytam przez zęby, starając się, jak mogę, by zamaskować strach.

Tyton spogląda na mnie z góry swoimi błyszczącymi oczami. Jego białe włosy lśnią w sztucznym świetle rozjaśniającym Jastrzębi Szlak.

– Czterech, po dwóch na stronę. W sporej odległości, ale czuję ich mózgi. – Tyberiasz marszczy czoło i z obrzydzeniem wykrzywia usta. – Jakieś czterdzieści pięć metrów stąd.

Spoglądam za Tyberiasza, a on za mnie i oboje z wysiłkiem przyglądamy się

zacienionym sosnom. Nie widzę nic poza naszym oświetlonym obszarem. Żadnego błysku oczu ani stalowej lufy. Niczego.

Nikogo też nie czuję. Moja umiejętność nie jest nawet w połowie tak silna ani skupiona jak u Tytona.

Farley pochwytuje moje spojrzenie i podchodzi z jedną dłonią na biodrze i z pistoletem w drugiej.

– Wyglądacie, jakbyście zobaczyli ducha – mówi, rozglądając się na prawo i lewo. – Snajperzy między drzewami? – ciągnie takim tonem, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie.

– Widziałas ich? – szepcze Tyton.

– Nie – odpowiada, kręcąc głową. – Ale sama bym tak zrobiła.

– Możesz ich załatwić, prawda? – pytam, szturchając but Tytona.

Pamiętam, jak Elektrykoni opowiadali mi o jego umiejętności. Piorun mózgowy. Tyton potrafi wpłynąć na impuls elektryczny w ludzkim ciele, małą iskierkę w naszych mózgach. Może zabić i nikt nawet się nie zorientuje. Bez śladu.

Tyton marszczy swoje ciemne brwi, ostro kontrastujące z jego ufarbowanymi włosami.

– Z tej odległości może się udać. Ale mogę załatwić po jednym naraz – oznajmia. – I tylko jeśli to Płądrownicy.

Tyberiasz robi niezadowoloną minę.

– A kto inny miałby tam siedzieć?

– Nie podoba mi się zabijanie bez powodu, Calore – odpowiada Tyton. – I mieszkałem w tych górach całe swoje życie.

– Czyli będziesz czekał, aż kogoś zastrzelą? – Księżę zmienia pozycję i prostuje barki, żebym z jednej strony była osłonięta.

Tyton nie daje się przekonać. Kiedy mówi, wzmaga się wiatr, z którym niesie się silny, wyraźnie słodki zapach jedliny.

– Zaczekam, aż księżniczka Żeleziec powie mi, czy mają karabiny snajperskie.

Z jednej strony zgadzam się z Tyberiaszem. Jesteśmy tu łatwym celem, a kto

inny mógłby się chować między drzewami i obserwować, jak próbujemy zaradzić sytuacji? Ale z drugiej strony rozumiem też Tytona. Wiem, jak to jest porazić kogoś błyskawicą, czuć, jak jego nerwy wypalają się i umierają. To trochę jak własna śmierć, koniec, którego nigdy nie można zapomnieć.

– Zawołajcie Evangeline – mamroczę. – I powiadomcie Davidsona. Musimy mieć pewność.

Tyberiasz wzdycha z niezadowoleniem, ale więcej nie dyskutuje. Odpycha się od transportera i idzie po swoją narzeczoną.

Wiatr się wzmaga i zawiewa mi włosy na twarz. Czuję na skórze sosnowe igły, delikatne jak ludzkie palce. Próbuje złapać którąś z nich, ale wymykają mi się wraz z silniejszym podmuchem.

Nagle, nie wiadomo skąd, na moich oczach wyrasta przed nami młode drzewo. Przebija jednego z żołnierzy na wylot, zanim którekolwiek z nas zdoła zareagować.

Atak, którego się spodziewaliśmy, to nie salwa kul, a eksplozja igieł bijących w nas wraz z nagłym silnym wiatrem. Tyton dostaje w głowę i spada z rozbitego transportera. Przewraca się na drogę i uderza głową o asfalt. Podnosi się na kolano, ale zaraz upada, tracąc równowagę. Zasłaniam ręką oczy i przyklękam, podczas gdy igły smagają moją nagą skórę. W miejscach, gdzie padają, natychmiast rosną żywe wijące się korzenie i pnie. Jastrzębi Szlak pęka, a transportery podnoszą się, uniesione przez las, który rośnie na naszych oczach. Zaczynam się kołysać wraz z drogą, z trudem próbuję ustać na nogach, podpierając się o rozbity pojazd za plecami.

Tyberiasz reaguje bez chwili namysłu. Rzuca ognistą kulę, którą z równą szybkością wypala wyrastające wokół nas sosny. Popiół wzbija się w narastającym wietrze, zasłaniając latarnie wzdłuż drogi i sprawiając, że zaczynają mi łzawić oczy.

Powietrze drży od odgłosów miażdżonego metalu i roztrzaskiwanego szkła. Evangeline i jej ekipa mają dość marnowania czasu. Spłaszczają wraki stojące im na drodze i zamieniają je w zbitki żelaza i stali. Transportery, które nadal działają,

budzą się do życia z rykiem silników i ruszają przed siebie, zmagając się z pulsującymi korzeniami i strzelającymi gałęziami. Evangeline skacze w kłębach dymu na wrak pojazdu. Rozlegają się strzały, ale kule padają na boki, odrzucone przez jej umiejętność.

Nagle na obu końcach Jastrzębiego Szlaku pojawiają się niebieskie tarcze – wysokie i w kontraście z dymem i popiołem wyglądające jak niebo. Davidson kontroluje je obie uniesioną przed siebie pięścią. Słychać więcej strzałów, które odbijają się od tarczy. Nie mogą się przez nią przebić. Kule nas nie dosięgną.

– Tyton! – krzyczę, szukając Elektrykona. – Tyton, zabij ich!

Chłopak chwiejnie dźwiga się na nogi, przechyla głowę to na jeden, to na drugi bok. Próbuje pozbierać się do kupy. Wspiera się o transporter i dopiero wtedy udaje mu się wyprostować.

– Daj mi chwilę! – odkrzykuje, znów kręcąc głową.

Nadal nie widzę Płądrowników, ukrytych na drzewach. Na pewno są wśród nich Strażnicy Zieleni. Płomienie Tyberiasza rozprzestrzeniają się po sosnach na drodze, wijąc się jak wąż próbujący pochłonąć każde nowo wyrosłe drzewo. Jego strażnicy z domu Lerolan biegną od pnia do pnia i kładą na nich dłonie. Drzewa eksplodują od ich dotyku, zamieniając się w chmury kory i ognia.

– Do transporterów! – krzyczy Davidson, przebijając się przez chaos. Nadal utrzymuje tarczę chroniącą nas od gradu kul. – Musimy zjechać z tej góry!

Wciągam powietrze przez zęby, szykując się na to, co nastąpi. „Skoncentruj się”. W ciemności nie widzę chmur zbierających się nad naszymi głowami, ale je czuję. Ciężkie burzowe kłęby, narastające na moje wezwanie, gotowe do uderzenia.

Ktoś wciąga Tytona na nadjeżdżający transporter i przypina go pasami. Stojący na drodze Tyberiasz kieruje swój pożar poprzez śmiertcionośny las, który próbuje odciąć nas na klifie albo z niego zepchnąć. Reszta naszego oddziału robi, co może, by ominąć drzewa lub je zniszczyć i stworzyć przejazd dla pojazdów. To nasza szansa na ucieczkę.

Serce łomocze mi o żebra, adrenalina krąży w żyłach. Burzy się we mnie krew,

aż mam wrażenie, że za moment mnie rozsadzi. Robię jeszcze jeden wdech, głębszy niż poprzedni, i unoszę dłoń płasko do góry. Nad nami zrywa się burza, bliźniacze błyskawice biją w drzewa po obu stronach Jastrzębiego Szlaku. Sosny rozłamują się z trzaskiem, żar płonie. Pnie chwieją się i uginają, nim padną w zarośla. Spomiędzy gałęzi tryska ogień. Najpierw mały, po chwili kolosalny. Podsycany siłą księcia Calore.

Gdy ostrzał z lewej na moment ustaje, Davidson zdąża opuścić jedną tarczę i wdrapać się na transporter za Evangeline. Sześć pojazdów wypełniają po brzegi znajomi i nieznajomi żołnierze. W czarnych kombinezonach wyglądają jak robaki gnieźdzące się na kamieniu na środku wzburzonej rzeki.

Z boku transportera Evangeline wychyla się Tyton, uczepony jednym ramieniem o zwisające pasy. Gdy mijają Tyberiasza, który nadal walczy, Tyton wyciąga wolną rękę. Księżę przyjmuje ją bez wahania i z łatwością wskakuje na pojazd. Ja jestem następna.

Łąduję z łoskotem pomiędzy Tyberiaszem a Tytonem. Evangeline staje nad naszą trójką. Przymocowuje swoje metalowe buty do pokładu transportera, co pozwala jej zachować stabilność, mimo że nabieramy prędkości. Zaciska dłoń w pięść i zrzuca nam z drogi ostatnią rozbitą maszynę, która z impetem uderza o zbocze urwiska. Powietrze przeszywa kłujący deszcz szkła.

Davidson opuszcza ostatnią tarczę i przenosi ją z linii drzew na czoło kawalkady. W tym ułamku sekundy nasz konwój zasypuje kolejna burza pocisków. Kilka z nich uderza niebezpiecznie blisko, trafiając w metal tuż przy mojej głowie. Adrenalina pożera mój strach. Koncentruję się na tym, by nie spaść z transportera, i zaciskam palce na prowizorycznych uchwytach, przytulając ciało do zimnej stali. Wraz z nami biegną płomienie, osłaniając transport od strony urwiska. Tyberiasz panuje nad tym kłębowiskiem ognia i pali na popiół wszystko, co stanie nam na drodze. Pokonujemy ostre zakręty z zawrotną prędkością.

– Wróg między drzewami – warczy Tyton przez zaciśnięte zęby. Patrzy w ciemność, przymrużając powieki, jego oczy to teraz tylko szparki.

Wiem, co robi, mimo że sama tak nie potrafię. Tyton nawiązuje kontakt

z mózgami, czuje je tak, jak ja czuję burzę. Mruga raz, drugi. Zabija wszystkich w swoim zasięgu za pomocą elektrycznej eksplozji pod ich czaszkami. Wyobrażam sobie, jak Płądrownicy padają na leśne runo, ich ciała potwornie drżą, aż w końcu całkiem nieruchomieją.

Spuszczam między sosny deszcz piorunów, który łamie pnie i gałęzie. Oślepiające błyski na moment oświetlają las, dzięki czemu widzimy sylwetki padających drzew i uciekających ludzi. Jest ich przynajmniej tuzin.

W końcu ostre zakręty i urwisko się kończą. Ostatnie półtora kilometra Jastrzębiego Szlaku wiedzie po równym terenie. Silniki transporterów ryczą pod nami, połykając prosty odcinek w szalonym wyścigu do podnóża góry. Biegnie z nami dwóch niebezpiecznych strażników – ogień i burza.

Wyczuwam obecność większej liczby silników. Nie mają tej samej mocy co nasze transportowce, ale są równie szybkie i mkną w naszą stronę z zawrotną prędkością.

Spomiędzy drzew z rykiem wypada pierwszy motocykl, oślepiając nas światłem pojedynczego reflektora. Płądrownik, który na nim siedzi, jest mały i chudy jak patyk. Ma na sobie zbroję i gogle. Niezły z niego wariat, bo wjeżdża motocyklem na wielki głaz i wyskakuje w powietrze nad naszymi głowami.

Stojąca nade mną Evangeline podrywa ręce w górę. Motocykl rozpada się na jej żądanie, szprychy i rury odskakują w różne strony.

Ale nie jest tu jedynym Żeleźcem.

Płądrownik zostaje na swoim siedzeniu i maszyna pod nim składa się z powrotem w całość, a on może kontynuować skok nad transporterem. Po drodze czymś w nas rzuca. Stal błyska w przytłumionym świetle jak pocisk.

W naszą stronę lecą noże, które gładko przebijają się przez wiatr. Tyberiasz, Tyton i ja jednocześnie schylamy głowy. Jedno z ostrzy zahacza o moje ramię. Najbardziej cierpi na tym kombinezon, ale i tak czuję piekący ból. Mocno zagryzam wargę, dusząc w sobie głośnie skamlenie.

Płądrownik na motocyklu ląduje z impetem po drugiej stronie drogi, na moment

tracąc przyczepność na suchej ziemi, i szykuje się do kolejnego przelotu. Zanim jednak zdąży, miazdzy swój pojazd o cienką niebieską ścianę i pada do tyłu cały we krwi.

Davidson przemieszcza tarcze wraz z naszym ruchem, próbując zablokować kolejne motocykle, które wyskakują spomiędzy drzew. Niektórzy Płądrownicy spadają z maszyn, telepiąc się od wstrząsów, zlikwidowani przez Tytona. Naszym celem jest wydostać się na równinę, otwartą przestrzeń. Dojechać do bazy, gdzie otrzymamy wsparcie i w której będziemy bezpieczni. Nowi z Montfortu bronią konwoju, odpierając atak Płądrowników, jak tylko potrafią. Ogień Tyberiasza rozprzestrzenia się między drzewami, popiół dryfuje w powietrzu jak śnieg, pokrywając nas warstwą szarości. Puszczam po niebie błyskawicę. Już same jej dźwięk i siła powinny sprawić, że Płądrownicy skryją się z powrotem między drzewami.

W ciemności trudno się im dobrze przyjrzeć, ale nie wyglądają jak Srebrni, z którymi miałam do czynienia. Przywykłam do ich pięknych szat, wypolerowanej zbroi i błyszczących klejnotów. Nie mają nawet żadnych mundurów. Ci Srebrni są inni, ich ubrania to szmaty, ich broń to głównie złom. Na myśl przychodzi mi Szkarłatna Gwardia w swoich pozszywanych czerwonych uniformach, których jedyną wspólną cechą jest kolor. Mają też ten sam cel.

Motocykle znikają w tłących się w dymie zaroślach. Ich przednie światła podskakują i znikają z pola widzenia. Próbuję dosięgnąć silników, zanim wymkną się poza mój zasięg, ale kolejny grzmot, niskie dudnienie pulsujące w pobliżu, sprawia, że nieruchomieję.

Czuje, jak rozchodzi mi się po zębach.

Z popiołu wyskakują potwory, ich kosmate łby są ogromne, rogi opuszczone, kopyta łomoczą o ziemię. Prychając i rycząc, wypadają na nas dziesiątkami, w zwartej grupie. Dziki pęd uderza w konwój i przewraca jeden transporter za drugim, nawet pod ostrzałem kul, uderzeniem płomieni i noży. Potwory są zbyt silne, zbyt dziwne. Ich sierść jest gęsta, mięśnie zbite, kości mocne jak żywa zbroja. Widzę, jak jedna z bestii dostaje kulę w czoło, a mimo to dalej biegnie na

oślepi i rogami rozrywa metal jak papier. Ledwie mam siłę, by krzyknąć.

Nasz transporter przewraca się pod nami i zostaje zepchnięty z drogi przez tę potworną szarżę. Przewracamy się wraz z nim, czuję w ustach smak krwi. Ktoś przytrzymuje mnie przy ziemi, kładąc mi dłoń na karku. Przez włosy widzę przelatujący nad nami transporter. Na jego tle stoi Evangeline, z rozpostartymi rękoma i zaciśniętymi pięściami. Zamachuje się i posługując się transporterem jak taranem, napiera na pędzące na nas stado przerażających stworów. Zawracają i przypuszczają kolejny atak. Ich oczy są wielkie i wściekłe – bestie wyraźnie są pod kontrolą Srebrnych Żywiaków.

Podnoszę się na nogi, korzystając z pomocy Tyberiasza. Kilka metrów dalej klęcząca na kolanie Farley próbuje ostrzelać naszych napastników. Nie przynosi to jednak żadnego skutku – zwierzęta ani na moment nie zwalniają.

Zaciskając zęby, rzucam przed siebie fioletowobiałą błyskawicę. Bestie podrywają się z przerażenia na tylne nogi – to wciąż zwierzęta, bez względu na to, kto je kontroluje. Kilka próbuje przebiec przez piorun. Rżą z bólu i padają na ziemię, wyglądają jak stosy telepiącej się sierści i miotających się rogów.

Staram się ignorować okropny dźwięk i przymrużając oczy, wpatruję się w półmrok, czekam, aż mój strach zostanie wyparty przez instynkt. Poruszam się bez namysłu, natychmiast wykonując każdy krok i ruch rąk. Jestem tak skupiona, że prawie nie zauważam, jak ukradkiem na ramionach osiada mi poczucie wielkiego ciężaru. Początkowo nacisk jest delikatny, łatwy do pomylenia ze zmęczeniem.

Ale mój piorun słabnie, nie jest tak jasny jak jeszcze przed chwilą. Nie tak łatwo go kontrolować. Zaczyna mrugać i rzucać słabe iskry, kiedy odpieram atak kolejnego Plądrownika. Mężczyzna upada, ale szybko się podnosi, wystawiając w moją stronę zaciśnięte pięści.

Siła jego umiejętności posyła mnie na kolana i gasi we mnie całą elektryczność. Jestem jak zdmuchnięta świeca, która sama z siebie nie zapłonie.

Nie mogę oddychać. Nie mogę myśleć.

Nie mogę walczyć.

„Cisza”, krzyczy głos w mojej głowie. Znajomy ból i znajomy strach znów biorą mnie w kleszcze, sprawiając, że zginam się wół.

Uderzam w zimną ziemię beużytecznymi dłońmi. Cicho dyszę, ledwie potrafię się ruszyć, a co dopiero bronić. Jestem oszołomiona strachem i na moment tracę wzrok. Znów czuję na sobie kajdany – Cichy Kamień na nadgarstkach i kostkach – które czynią mnie zamkniętym za kratami więźniem. Przywiązują mnie łańcuchem do fałszywego króla i skazują na powolną, wyniszczającą śmierć.

Srebrny idzie w moją stronę, a jego kroki dudnią mi w uszach. Słyszę świst metalu, gdy wyjmuje nóż z zamiarem przecięcia mi nim po gardle. Ostrze błyska w świetle, odbijając czerwone płomienie. Plądrownik uśmiecha się do mnie szeroko, widzę jego bladą twarz, gdy łapie mnie za włosy i odchyła mi głowę do tyłu. Chcę z nim walczyć. Powinnam sięgnąć po broń, którą nadal mam przypiętą do biodra, ale moje kończyny nie chcą się poruszyć. Nawet rytm serca wydaje się ocięzają. Nie mogę wydobyć z siebie głosu.

Połączenie miażdżącej ciszy i strachu sprawia, że zastygam w bezruchu. Mogę jedynie patrzeć. Ostrze dotyka skóry, zadając mi ból już samym swoim zimnem.

Plądrownik nachyla się nade mną i muska mnie tłustymi włosami, przytrzymywanymi przez chustę przewiazaną przez czoło. Nie jestem w stanie dostrzec, jakiego koloru jest tkanina i czy cokolwiek oznacza. W tej chwili to zupełnie beużyteczne informacje.

Wtedy jego głowa eksploduje. Kawalki kości i rozszarpanych tkanek lecą do przodu. Wraz z nimi tryska krew, która mnie zalewa. Gromka siła elektryczności wraca natychmiast, gdy mój napastnik pada na ziemię. Niewiele myśląc, zaczynam wyczołgiwać się spod ciała Uciszacza. Nie zważam na to, że jego ciepła krew i odłamki zębów dostają mi się we włosy.

Ktoś łapie mnie pod rękę i ciągnie po ziemi. Pozwalam na to, nadal ogarnięta szokiem, sparaliżowana strachem, nie potrafię zrobić wiele więcej, jak kopać słabo w ziemię. W oddali Farley patrzy na mnie z morderczą miną i z wciąż

wzniesionym pistoletem, wymierzonym w już martwego mężczyznę.

– To ja. – Słyszę niski głos, gdy ktoś kładzie mnie na ziemi kilka metrów dalej. A raczej mnie upuszcza. Tyberiasz robi krok w tył, jego rozszerzone oczy prawie jarzą się w słabym świetle. Patrzy na mnie, ciężko dysząc.

„Wstawaj – mówię do siebie. – Podnieś się na nogi”.

Gdybym tylko mogła. Gdyby tylko tak łatwo było wymazać wspomnienie Cichego Kamienia. Powoli łączę dłonie i delikatnie nimi pocieram, przywołując iskry. Muszę je zobaczyć. Muszę wiedzieć, że mi ich nie odebrano.

Wtedy dotykam gardła i czuję na nim lepkość własnej krwi.

Tyberiasz patrzy na mnie w milczeniu, nie mrugając powiekami.

Gapię się na niego, aż się odwróci i niechętnie mnie zostawi. Kiedy nieco oprzytomnieję, zauważam, że jestem osłonięta. Zostawił mnie przy jednym z transporterów, który zasłania mnie jak tarcza. Dookoła żołnierze Montfortu zmieniają szyk. Davidson chodzi między nimi, a po jego twarzy ścieka krew. Wygląda na obrzydzonego samym sobą i Płądrownikami.

Choć cała drzę, stoję na nogi, wspierając się o wrak transportera. Bitwa nadal trwa, a monstrualnych rozmiarów bestie prychną i stukają kopytami, rozdarte pomiędzy własną naturą a kontrolującymi je Srebrnymi.

Przed nimi powstaje sieć z białych piorunów, która wygląda jak odgradzający je płot. Na ten widok odrzucają głowy do tyłu, do granic przestraszone. Znam to uczucie.

– Biedactwa – mamrocze Tyton, zatrzymując się przy mnie. Patrzy na bestie dziwnie zbolałym wzrokiem.

Kiedy jedno ze zwierząt próbuje się przebić przez zagrodę, Tyton mruga i po chwili masywne cielsko pada na ziemię.

Płądrownicy wracają, podejmując kolejną próbę. Ich motory warczą i wyskakują zza przeredzonych drzew. Evangeline i jej krewni walczą z Żeleźcami, siłując się o kontrolowanie maszyn.

Z jedną dłonią na piersi, zagłębiając paznokcie w swoim kombinezonie, próbuję

przejąć kontrolę nad maszyną, która przeskakuje nad drogą. Z intensywnością w oczach śledzę linie elektryczności prowadzące do silnika. Zbieram w sobie całą determinację i sprawiam, że jedna po drugiej gasną – nagła eksplozja i cisza.

Plądrownik odwraca się z zaskoczoną miną, gdy jego maszyna pada na ziemię. Ciężko dysząc, robię to samo z następną. Motocykle gasną jeden za drugim, czy jadą po ziemi, czy spadają z nieba.

Do Plądrowników doskakują nasi żołnierze. Pewnie dostali rozkazy, by brać w niewolę, nie zabijać. Sam Davidson zamyka jednego z napastników w klatce ze swoich tarcz. Pojmany na próżno okłada pięściami swoje niebieskie więzienie.

Evangeline dopada któregoś z mniejszych Żeleźców wśród Plądrowników i powala go na ziemię, wzbijając kurz. Przeciwnik próbuje się z nią pojedynkować, operując dwoma sztyletami, które raz zamieniają się w miecz, raz w bat. Evangeline jest szybsza i bardziej niebezpieczna. Miecze Plądrownika nie mogą się równać z jej nożami, które przebijają jego skórę. Jej umiejętność jest zbyt silna, by był w stanie z nią wygrać. Evangeline Samos nie podlega Davidsonowi, dlatego nie okazuje żadnego miłosierdzia. Rozrywa Plądrownika na strzępy, a ten wykrwawia się na srebrno w świetle gwiazd.

Krew i popiół sprawiają, że podnóże góry pachnie i smakuje jak śmierć. I tak nabieram w płuca wstrętne powietrze, próbując wyrównać oddech.

Pozostali Plądrownicy wiedzą, że walka jest przegrana, i warkoty ich silników stopniowo robią się coraz cichsze, gdy uciekają w las. Wraz z nimi znika ich wpływowa siła i stado zwierząt także się uspokaja. Odwracają się i uciekają między drzewa, pozostawiając za sobą zwłoki i udeptane podszycie.

– To są właśnie te bizona? – dyszę, spoglądając na Davidsona.

Ponuro kiwa głową, a ja przetykam ironię. Nadal czuję w żołądku stek, który teraz ciąży mi jak kamień.

W oddali, gdzieś na prowadzącej równiną drodze, wyłania się para reflektorów. Zaciskam pięść, szykując się na kolejną falę uderzenia.

Tyton kładzie dłoń na moim ramieniu i spogląda na mnie z błyskiem w oku.

– To transportery ze Złotego Gaju. Nasze posiłki.

Zalewa mnie fala ulgi i rozluźniam ramiona, wypuszczając z płuc wstrzymywany oddech. Ruch posyła nagły ból przez ranę na plecach. Syczę, krzywiąc się, i przykładam dłoń, by ocenić jej rozmiar. Jest długa, ale niezbyt głęboka.

Kilka metrów ode mnie Tyberiasz przygląda się, jak sprawdzam obrażenia. Zrywa się, gdy napotykam jego wzrok, i odwraca na pięcie.

– Zawołam ci Uzdrowiciela! – woła, odbiegając.

– Może skończyłabyś jęczeć nad tą małą ranką, bo mnie też przydałaby się pomoc. – Farley leży na ziemi i macha do mnie, mocno zaciskając zęby.

Broń obok niej otaczają łuski po nabojach. Jeden z nich uratował mi życie.

Przechyla się na bok, uważając, by nie poruszyć prawej nogi.

Bo jej kolano... wygląda fatalnie.

Na moment rozmazuje mi się wzrok. Widziałam wiele różnych obrażeń, ale widok jej wykręconego kolana i znajdującej się nie na swoim miejscu dolnej części nogi sprawia, że chce mi się wymiotować. Natychmiast zapominam o bólu, krwi na ramieniu, a nawet dotyku Uciszacza i szybko przy niej klękam.

– Nie ruszaj się – mówię.

– Co ty nie powiesz – warczy w odpowiedzi, mocno ściskając moją dłoń.

ROZDZIAŁ 10

IRIS

Góry, które strzegą miasta w dolinie przed oblężeniem lub najazdem armii, są strome i zdradliwe. Gęste sosny tworzą niebezpieczną przeszkodę dla każdego transportera, który odważyłby się zjechać ze strzeżonych dróg. I już samo wyniesienie terenu odstrasza każdego, kto chciałby spróbować się wdrapać w szczęki miasta. Montfortczycy myślą, że są bezpieczni w swojej fortecy z urwisk i nieba. Nie widzą zagrożenia, bo żadna armia nie mogłaby przymaszerować pod ich drzwi. Ale często słabymi czyni nas to, co jest źródłem naszej siły.

Montfort nie jest w tej kwestii wyjątkiem.

Lądujemy od strony wschodniej granicy, głęboko na terenie Prerii. Nasz odrzutowiec transportowy jest nieoznaczony, pomalowany dla kamuflażu na złoto Prerii. Dobrze się wtapia w wysokie trawy, falujące w świetle poranka. Nikt nie zauważa naszego pojawienia się na odległych równinach. Lecieliśmy ostrożnie – najpierw przez dzikie tereny Lakelandii – aż znaleźliśmy się nad otwartym i pustym krajobrazem. Władcy Prerii są zbyt rozproszeni, a ich ziemie zbyt rozległe, by dokładnie je patrolować. Zresztą są zajęci swoimi sprawami. Nie wiedzą, że przekroczyliśmy granice ich ziem. Nikt nie wie, że tu jesteśmy.

Oczywiście z wyjątkiem Płądrowników.

Ich udział jest niezbędny, żebyśmy mogli wywabić z Ascendentu większą część wojsk. Jeśli nam się uda, wśród nich znajdzie się Tyberiasz Calore. Zgodnie z tym, co mówi Maven, jego brat nigdy nie przepuści okazji do walki. „Lubi się popisać”, dodał, krzywiąc się na samą myśl, kiedy omawialiśmy nasz plan. Nie znam wygnanego księcia. Nigdy nie miałam przyjemności z Tyberiaszem Calore. Ale

Lakelandia nie jest ślepyim krajem. Nasi szpiedzy gromadzili informacje na temat księcia oraz jego rodziny. W końcu przez ponad wiek byli naszymi wrogami. Z raportów wyłonił się dość przewidywalny władca. Wychowany na wojskowego przywódcę jak jego ojciec. Gnębiony przez poczucie obowiązku i stawiane mu oczekiwania. Ukształtowany na osobę, która ceni koronę ponad wszystko inne. To akurat cecha, która łączy obu braci, no i słabość do pewnej Czerwonej dziewczyny.

Muszę przyznać Mavenowi rację. Jeśli Tyberiasz naprawdę przyjechał tutaj, by negocjować z Montfortem i wzmocnić przymierze, z pewnością spróbuje pokazać swoją wartość i zyskać lojalność. Czy istnieje na to lepszy sposób, niż walczyć w ich obronie?

Plądrownicy spotykają się z nami w umówionym miejscu – na wzniesieniu, z którego rozciąga się pełen widok na otaczające tereny. Zasłaniają się chustami i maskami, siedzą na zionących dymem starych motocyklach, oczy ukrywają za goglami. Wszyscy są Srebrni. Wypędzeni z własnej ziemi, kiedy padły królestwa w górach. Odarci z przysługującego im od urodzenia prawa, by rządzić tym terenem. Przeważają nad nami liczebnie, ale się ich nie boję. Urodziłam się wojowniczką i wychowywali mnie najsilniejsi Wodniacy w królestwie. A na dodatek mam pięciu strażników, którzy są tacy sami jak ja – silni, szlachetni i przydatni.

Jidansa wciąż mi towarzyszy i mnie chroni. Ostrożnie ustawia się pomiędzy mną a Plądrownikami, którzy stają zbyt blisko.

Trzymam głowę spuszczoną, twarz w cieniu. Plądrownicy to odizolowany szczep i pewnie nie poznaliby z wyglądu księżniczki Lakelandii ani królowej Norty, ale tak jest lepiej. Daję mówić innym w moim imieniu i ustalać szczegóły naszego układu.

Naszą sześćoosobową grupę łatwo przetransportować na motocyklach na koniec równiny. Nikt nie zna tych ziem lepiej niż Plądrownicy i nie musimy nawet posługiwać się Cienistymi z rodu Haven, żeby ukryć swoją podróż. Jeszcze nie.

Szczyty w oddali z każdą sekundą stają się bliższe. Bardziej przypominają mi mur niż góry. Czuję strach, który próbuje mną zawładnąć, ale mu na to nie

pozwalam. W zamian przymrużam oczy i jeszcze bardziej koncentruję się na czekającym nas zadaniu, nie pozostawiając zbyt wiele miejsca na cokolwiek innego.

Każda godzina zlewa się z następną, a ja wykorzystuję ten czas, by jeszcze raz przeanalizować nasz plan. Zastanowić się nad pokonaniem każdej przeszkody.

„Przekroczyć granicę”.

Tę czynność wykonujemy z łatwością. Plądrownicy doskonale znają teren, tak jak słabe punkty Montfortu. Podążają wzdłuż strumienia przez gęsty sosnowy las i dopiero gdy zaczynamy się wspinać u podnóża gór, zdaję sobie sprawę, że jesteśmy po drugiej stronie niewidzialnej granicy dzielącej Prerię i Montfort.

„Zapłacić za przejazd”.

Sznur kosztowności jest mój. Szafiry, srebro i diamenty. Oddaję je, podczas gdy ktoś trzyma mnie na muszce. Nasz Cienisty z domu Haven, młody, barczysty wartownik pożyczony od mojego męża monarchy, przekazuje coś o wiele cenniejszego. Jego dom jest podzielony, rozdarty przez wewnętrzną wojnę, która wybuchła w Norcie. Głowa jego domu walczy po stronie Tyberiasza, ale większość krewnych pozostaje po stronie Mavena. To godne podziwu, zachować lojalność wobec kraju wbrew rodzinie. Nawet jeśli tym królem jest Maven Calore.

Nie ma na sobie maski wartownika – tymczasowo porzucił stworzoną z czarnych klejnotów tradycję. Wygląda bez niej jak człowiek. Niebieskie oczy, rude włosy połyskujące w świetle słońca. Wartownik Haven podaje Plądrownikom położenie punktu zrzutu zapasów, kilkanaście kilometrów na północ. Skrzynki jedzenia, monety, baterie, jak również broń i amunicja, w ramach wynagrodzenia za ich starania. Plądrownicy nie marnują czasu i zostawiają nas na wschodnim zboczu tak wysoko, jak tylko mogli podjechać. Nie widzę ich twarzy. Ale przynajmniej jeden z nich ma blond włosy – kilka pasem wystaje spod okalającej jego głowę chusty.

„Wejść na górę”.

Wodospady są dość proste. Przypominają poruszające się drabiny, więc

wykorzystuję wodę, by podciągnąć nas na kilka urwisk. Ostatecznie tracę rachubę, na ile. Z łatwością idziemy pod prąd wzdłuż strumienia. Dzięki moim umiejętnościom oraz mocy drugiego Wodniaka, Laerona z domu Osanos w Norcie, całej naszej szóstce udaje się dostać do górskiej doliny, gdy na niebie zaczynają się wyłaniać gwiazdy. Mimo to droga nie należy do łatwych. Powietrze rzędzie i mój oddech robi się płytki, przez co z każdym centymetrem podejścia muszę wkładać w kroki więcej wysiłku. Ale intensywny wysiłek nie jest mi obcy. Od dziecka poddawano mnie treningom w Cytadeli Jezior.

Mężczyzna z domu Haven ma wolne ręce, a jego palce od czasu do czasu drżą. Okrywa nas płaszczem niewidzialności, pozwalając przejść pomiędzy sosnami bez zwracania na siebie uwagi. To dziwne spojrzenie na własne stopy i nie zobaczyć nic prócz leśnego poszycia. Przynajmniej nie muszę patrzeć na Rydała, Siłacza z domu Rhambos. W trakcie drogi pod górę jego masywne ciało zniekształcały dwa ciała, przewieszane przez jego ramiona jak plecak. To następny element mojego planu. I to krwawy.

Po raz kolejny odpycham dreszcz strachu.

Zaczęliśmy podejście na północ od stolicy, więc teraz musimy się skierować na południe, by dotrzeć do rzeki. Bliżej ujścia, w dolinie, w której leży Ascendent, zbudowano na niej tamę z jeziorem. Gdy docieramy do cichych i pustych brzegów wody, czuję, jakby część mojego zmęczenia zniknęła. Nasza szóstka schodzi pod powierzchnię, dzięki czemu nie pozostawiamy za sobą żadnych śladów.

Koncentruję się na nurcie, tworząc wzdłuż dna płynący kanał. Laeron robi to, co zaplanowaliśmy. Wokół naszych głów tworzą się bąble wody, więc możemy oddychać. To stara sztuczka Wodniaków, coś, co mogłoby zrobić dziecko. W ten sposób przekraczamy wodę w sekrecie, podążając wraz z nurtem przez wijącą się dolinę. Jest niemal całkowicie ciemno, ale ufam wodzie. Ostatnie kilometry mijają w absolutnej ciszy, w której jedynym odgłosem są mój własny oddech i dudnienie serca.

Jeziro w Ascendencie jest głębokie i pełne ryb. Raz czy dwa w drodze do brzegu odskakuję zląkniona, czując, jak w ciemności ocierają się o mnie łuski. Szybko się z tego otrząsam i skupiam na kolejnym kroku w swoim planie. Kilka rezydencji nad jeziorem ma prywatne przystanie, które wykorzystujemy jako osłonę. Pierwsza wypływam na powierzchnię, początkowo wyłaniając tylko oczy. Po wielu godzinach w dziczy i pod wodą oślepiają mnie nawet przytłumione światła miasta. Nie mrugam ani się nie wzdygam. Zmuszam wzrok do szybkiego przystosowania. Mamy harmonogram, którego musimy się trzymać.

Jeszcze nie słyhać żadnych alarmów. Żadnych sygnałów ostrzeżenia. „Dobrze”.

Gdy wychodzimy z wody, wartownik Haven znów czyni nas niewidzialnymi, ale nawet on nie potrafi ukryć mokrych śladów stóp, które po sobie zostawiamy. Tym musimy się zająć Laeron i ja. Kilkoma ruchami, wykorzystując nasze umiejętności, ściągamy z nas całą wodę. Łączę powstałe w ten sposób kałuże i posyłam unoszące się w powietrzu plamy do najbliższej rośliny lub do rowu. Nie pozostawiamy za sobą śladu.

W czasie lotu do Prerii uczyłam się na pamięć topografii Ascendentu, korzystając z map, które otrzymaliśmy od Brackena. Niepokoi mnie to, że tak spora część mojego planu zależy od pracy kogoś innego. Muszę ufać informacjom, które mi przekazano, choć nawet najmniejsza pomyłka może się równać porażce. Mimo że stolica Montfortu to myląca płatanina uliczek i schodów rozpiętych po obu stronach doliny, udało mi się znaleźć trasę od jeziora do miejsca, w którym przetrzymywane są dzieci Brackena.

Według piedmonckich szpiegów jest to nie pałac, a obserwatorium.

Kryjąc się w mroku zaułka, spoglądam do góry na strome szczyty, ku budynkowi nakrytemu kopułą wysoko na zboczu.

Miękną mi kolana na myśl o wspięciu się na kolejne kilkaset metrów. Mimo to nic nie mówię i ruszam przed siebie, spowalniając oddech do cichego, miarowego rytmu. Wdech przez nos, wydech przez usta, równo z krokami.

Siłacz bez problemu pokonuje kolejne stopnie mimo dodatkowego „obciążenia”. A wartownik Haven jest wyszkolony lepiej niż którekolwiek z nas i prezentuje szczytową formę. To samo można powiedzieć o Laeronie. Niechętnie ufam Nortańczykom, a co dopiero trzem we własnej drużynie, ale nic nie mogłam na to poradzić. Ze względów politycznych w grupie była wymagana równa reprezentacja.

Jidansa jest moją jedyną towarzyszką, którą darzę pełnym zaufaniem. Trzeci Lakelandczyk w naszej ekipie działa mi na nerwy. Nie znoszę Niro z linii Eskariol, ale potrzebujemy go oraz jego talentów. Jest Uzdrowicielem Ciał, ale bardzo dziwnym. Człowiek obdarzony umiejętnością ratowania życia nie powinien czerpać tyle przyjemności z odbierania go.

Słyszę jego krótkie wdechy i wydechy, kiedy idziemy pod górę. Choć cieszę się, że mamy ze sobą Uzdrowiciela tak utalentowanego jak on, wolałabym, żeby go tu nie było. Niro za bardzo delektuje się tym, co będzie musiał zrobić, nim noc dobiegnie końca.

– Jeśli dopisze nam szczęście, nie zorientują się aż do południa – szepcze. – Doskonale wykonam zadanie. – Jego głos jest gładki, jedwabisty. Wywodzi się z długiej linii dyplomatów, równie wprawionych w zawieraniu sojuszy politycznych, co w naprawianiu złamanych kości.

– Cicho – odpowiadam mu półgłosem.

W jakiś sposób duch jego obecności okazuje się chłodniejszy niż górskie powietrze.

Ascendent nie jest zupełnie niestrzeżony. Wzdłuż drogi stoją posterunki i przechodzą patrole, choć widzę ich znacznie mniej, niż widziałam w Lakelandii lub stolicy Norty. Naiwni Montfortczycy uważają, że tajemniczość zapewni im bezpieczeństwo.

Zerkam przez ramię na drugą stronę doliny. Czuję, jak mój czarny warkocz się porusza, ale go nie dostrzegam. Na tej samej wysokości, ale po przeciwnej stronie stoi pałac, zapewne należący do premiera, jak również inne posiadłości i budynki

rządowe. Odbija białą poświatę gwiazd, a na wielu jego balkonach palą się lampy.

„Mare Barrow tam jest. Dziewczyna od błyskawic o niesamowitej woli przetrwania”.

Gdy byliśmy razem w Archeonie, uważałam ją za coś rozkosznie osobliwego. Czerwona dziewczyna na smyczy Srebrnego króla, który wydaje się przez nią uwięziony tak samo jak ona przez niego. Nie będę udawać, że rozumiem, co takiego fascynuje Mavena w tej dziewczynie, ale podejrzewam, że to sprawka jego matki. Nikt, kto ma taką przytomność umysłu, nie poddałby się takiej obsesji. To też nie miłość. Nikt zdolny do miłości nie zachowuje się tak jak on.

Nigdy nie zakładałam, że wyjdę za mąż z miłości. Nie jestem na tyle naiwna, by snuć takie fantazje. Moi rodzice z czasem nauczyli się wzajemnie kochać i szanować, więc liczyłam na przynajmniej tyle. Oczywiście przy Mavenu takie nadzieje to mrzonki. Niewiele miałam okazji, by zajrzeć do jego serca, ale to, co widziałam, wystarczy, bym miała pewność, że jego serce jest martwe.

Gdyby dzieci Brackena nie były naszym celem, gdybym naprawdę miała nadzieję na to, że utrzymam koronę Norty, może i rozważyłabym zabicie Mare Barrow. Nie z przekory, ale po to, aby przywrócić Mavenu jasność myślenia. Teraz ta Czerwona jest jego motywacją, marchewką na kiju. Ale jest też jego słabością. Mnie potrzebna jest jego słabość. Potrzebuję jego dekoncentracji.

Jak powiedziała matka, Mavena Calore czeka powódź.

Tak jak ich wszystkich.

*

Kontyngent wojskowy wyruszył dziesięć minut temu, ich transportery parły pod górę. Nadal słyszę echo niosące się w dół zbocza, rozbrzmiewające po ulicach i zaułkach stolicy Montfortu. Wszystko zgodnie z planem. Mrugam powiekami, nadal osłonięta przez niemożliwy do przeniknięcia z zewnątrz cień.

Strażnicy przed obserwatorium porzucili swoje stanowiska, aby pomóc w mieście, i pozostawili mierną obstawę dwóch wartowników. Nocą ich zielone

mundury wydają się czarne. Stoją na tle kolumn z wypolerowanego kamienia księżycowego podtrzymujących kopułę z witrażowego szkła.

Bez Piewcy lub Szeptacza, który usunąłby wspomnienia obu strażników, musimy spróbować przemknąć się obok nich. Nie jest to trudne, ale i tak wstrzymuję oddech, gdy przechodzimy pomiędzy kolumnami obserwatorium. Strażnicy strzegą wejścia, stojąc spokojnie i nieruchomo, przyzwyczajeni do rozlegających się alarmów. Z tego, co słyszałam, ataki Plądrowników są dość powszechne, choć nie stanowią dużego zagrożenia dla stolicy.

– Na równinie – mówi jeden, kierując twarz ku swojej towarzysze.

Kobieta kręci głową.

– Raczej na zboczach. W zeszłym miesiącu najechali równiny dwa razy.

Strażnik uśmiecha się, wkładając ręce do kieszeni.

– Założę się o dziesięć miedziaków, że na równinie.

– Nie znudziło ci się jeszcze przegrywanie ze mną pieniędzy?

Gdy się śmieją, szczerząc zęby, kładę dłoń na zamku w drzwiach. Drugą ręką otwieram manierkę przypiętą do mojego pasa. Pod wpływem mocy wartownika z domu Haven nie widzę, co robię, więc muszę polegać na dotyku. Działam przez to nieco wolniej.

Woda obmywa mi nadgarstek i całuje moją skórę, nim wpłynie pomiędzy palce i do dziurki od klucza. Dopasowuje się do mechanizmu, doskonale wypełniając otwór wraz z moim wydechem. Poprzez wodę naciskam na zapadki zamka i dotykam każdej z nich, tworząc własny klucz.

Szturcham Jidansę stopą. Odwzajemnia sygnał.

Kilka metrów dalej, dzięki jej umiejętności, pęka gałąź, która pada na brukowy kamień. Doskonale maskuje szcęk zamka.

– Plądrownicy w mieście? – pyta strażniczka, której śmiech zastępuje panika.

– Nie założę się – odpowiada mężczyzna.

Biegna, żeby sprawdzić, a my możemy wemknąć się do środka niezauważeni i bez wzbudzania podejrzeń.

Z obawy przed kamerami bezpieczeństwa wartownik Haven nie podnosi swojej niewidzialnej osłony, gdy wchodzimy do środka.

– Tu Laeron – szepcze Wodniak z Norty.

Zgłaszamy się po kolei, skoro nie możemy się zobaczyć.

– Jidansa.

– Rydal.

– Niro.

– Iris.

– Delos – mówi wartownik z domu Haven.

Uśmiechając się, zamykam za nami drzwi.

„Przeniknąć do więzienia w obserwatorium. Zrobione”.

Nie pozwalam sobie na to, by odetchnąć z ulgą. Będzie na to czas dopiero wtedy, gdy bezpiecznie wrócę do domu, a wraz ze mną dzieci Brackena. Ale nawet wówczas będzie za wcześnie. Jak powiedziałaaby matka, nie ma co spać, gdy są wojny do wygrania. A bez dwóch zdań jesteśmy w stanie wojny.

Kroki Jidansy dają delikatne echo, gdy obchodzimy pomieszczenie. Jej poszukiwania trwają kilka długich minut – na tyle długich, żebyśmy zaczęli się denerwować. Napięcie rośnie z każdą upływającą sekundą, aż w końcu Jidansa wraca. Słyszę uśmiech w jej głosie.

– Są naprawdę głupi – mówi. – Żadnych kamer. Ani jednej.

– Jak to możliwe? – mamrocze Laeron.

Zaciskam zęby.

– Może nie chcą dokumentować tego, że dzieci tu są – odpowiadam, podrzucając jedyną odpowiedź, jaka przychodzi mi do głowy. To nie powinno mnie szokować: podczas wojny robi się straszne rzeczy, nawet Srebrnym. Sama się o tym przekonałam. – Albo tego, co im robią.

Ta świadomość spuszcza na nas kurtynę przerażenia, choć nie pierwszy raz je dziś czujemy.

Unoszę podbródek, wygładzając niewidzialne włosy i zakrywając nimi uszy.

– Możesz przestać, wartowniku.

– Tak jest, Wasza Wysokość.

Słyszę, jak Haven mi się kłania, i po chwili już to widzę.

Nagle wszyscy stajemy się widzialni, jak gdyby ktoś odsłonił okno. Większość patrzy na swoje kończyny, przygląda samym sobie, tylko Niro gapi się na mnie. Wygląda na bledszego w rozmytym świetle, które przedostaje się do środka przez szklaną kopułę, sypiąc na jego twarz cętki w kolorze niezdrowej zieleni. Nie wiem, czy rzuca mi wyzwanie, czy jest rozbawiony. Żadna z tych możliwości mi się nie podoba.

– Tędy – mówię grupie, skupiając się na naszym celu.

Wszyscy ustawiają się za mną, nawet Niro. Cieszę się, że mam przy boku Jidansę. I wartownika. Jestem królową Norty, a on ślubował chronić mnie tak samo jak Mavena.

Obchodzimy masywny teleskop skierowany w stronę kopuły, wykonany z mosiężnych rur i szklanych soczewek. „Marnotrawstwo”, myślę sobie. Gwiazdy są poza zasięgiem ludzi, nawet Srebrnych. To królestwo bogów i tylko bogów. Nie potrafimy ogarnąć ich rozumem. Po co marnować czas, zasoby i energię?

Z centralnej sali z kolistym sklepieniem można wejść do kilku mniejszych pomieszczeń, ale je pomijamy. Idę za to na drugą stronę i szukam szczelin w marmurze podłogi. Gdy żadnych nie zauważam, znów odpinam manierkę. Kiwam głową do Laerona, by zrobił to samo.

Woda rozlewa się pod naszymi stopami, wnikając do najmniejszych rowków. Pokrywa marmur, zbiera się w szczelinach i pomiędzy płytami kamieni.

– Tu – mówi Laeron, robiąc kilka kroków w stronę ściany.

Jego woda zbiera się jak wielka kropla. Gdy podchodzę bliżej, przymrużam oczy i widzę maleńkie bąbelki powietrza przebijające się przez kałużę.

Pod spodem znajduje się pomieszczenie.

Jidansa ruchem palców szybko podnosi kamienną płytę. Ze środka wyziera ciemność, ale nie jest całkowicie czarna. W komnacie pod obserwatorium, gdzieś

głęboko w środku, tli się światło. Wystarczająco mocne, żeby je teraz dostrzec, ale nie na tyle, by przeświecało spod marmurowej kłapy.

Na dół prowadzą schody.

Rydalek wchodzi pierwszy, zgodnie z naszym planem, a za nim Niro, z dłonią na pistolecie przypiętym do pasa, na wypadek gdyby Rydalek natrafił na przeciwników. Wartownik idzie za nim. Zauważam, że jego dłonie zaczynają czernieć i zbierać cień jak snujący się dym. Idę tuż za nim, Jidansa przy mnie, a Laeron na końcu.

„To będzie proste”, mówię sobie. I mam rację.

Korytarz pod obserwatorium ciągnie się poza granice budynku. Nie ma tu strażników ani kamer. Tylko słabe światła i echo naszych kroków.

Zastanawiam się, czy to miejsce wybudowano specjalnie dla dzieci księcia Brackena. Jednak wątpię. Kamień jest stary, ściany świeżo pomalowane na ciepły maślany kolor. Ma dziwnie kojący wpływ, który nie kojarzy mi się z więzieniem.

Montfortczycy naprawdę są dziwni.

Gdy przechodzimy niespełna sto metrów, korytarz się poszerza, tworząc pewnego rodzaju salę audiencyjną z rzędem okien wzdłuż ściany. Staję przed nimi nieruchomo i patrzę na mrugające miasto. Szyby muszą być grube, bo nie słyszę żadnych syren alarmowych, choć wciąż widzę światła migające w całym Ascendencie.

Wymieniam z Jidansą zdezorientowane spojrzenia. Wygląda na równie zdziwioną jak ja. Wzrusza ramionami i podbródkiem wskazuje na prawo, gdzie znajdują się jedyne w komnacie drzwi.

Są całkiem niepozorne i z tego, co widzę, nie ma na nich żadnych zabezpieczeń.

Gdy przykładam dłoń do zamka, by włożyć do niego klucz, zdaję sobie sprawę dlaczego.

– Cichy Kamień – syczę, odskakując jak oparzona. Nawet odległy ból wywoływany przez tłumiącą umiejętności broń, powoduje u mnie dreszcze. – Co za dranie!

Jidansa wydaje z siebie gardłowy odgłos dezaprobaty.

– Biedne dzieci. Minęło tyle miesięcy.

Inni dzielają jej odczucia.

Z wyjątkiem jednej osoby.

– Dla nich źle, dla nas dobrze – mówi Niro bez krztyny współczucia.

Odwracam się do niego i obrzucam go pogardliwym spojrzeniem.

– Co to ma niby znaczyć? – warczę.

– Cichy Kamień sprawi, że dzieci będą apatyczne i senne. Nikt nie zauważy, kiedy tych dwoje rano się nie poruszy – odpowiada, wskazując na zakrytą zwalistą masę na plecach Rydała. Trąca palcami w ludzkie ciało, niewiele sobie z tego robiąc.

Może i ma rację, ale patrzę na niego z urazą.

– Wypuście je – nakazuję, pstrykając palcami. – Wartowniku, proszę się tym zająć. A ty, Niro, przygotuj się, by je uzdrowić. Będą tego potrzebować.

Wiem, co robi z człowiekiem więzienie z Cichego Kamienia. Widziałam to na własne oczy w przypadku Mare Barrow. Jej zapadnięte policzki i pozbawione życia oczy. To, jak wystawały jej kości, jej chłodną skórę o niezdrowym odcieniu. Ale była uparta jak diabeł, żywiła się furją, by nie oszaleć, miała cel, którego mogła się trzymać, choć był głupi, skazany na porażkę. Dzieci księcia Brackena są małe. Mają tylko dziesięć i osiem lat. Srebrne, polegające na swoich umiejętnościach, nieposiadające żadnych wspomnień życia bez nich. Nie chcę wiedzieć, co zrobił z nimi Cichy Kamień, ale nie mam wyboru.

Muszę odważnie spojrzeć w twarz okropieństwem wojny. Mój ojciec to potrafił. Moja matka i siostra potrafią. Jeśli chcę wygrać, muszę patrzeć.

Wygrać i wrócić do domu.

Laeron otwiera drzwi, posługując się własną manierką, by stworzyć wodny klucz. Próbuje się oprzeć Cichemu Kamieniowi, dlatego zajmuje mu to nieco więcej czasu.

W końcu otwiera drzwi i cofa się, pozwalając mi wejść pierwszej. Przeszywa

mnie dreszcz, ale wchodzę do środka, szykując się na doznanie Cichego Kamienia. Jest bardziej jednorodne, niż gdy walczy się z Uciszaczem. Ich umiejętność pulsuje z rytmem ich serc i koncentracją. Kamień jest stały. Nieustępliwy. Ciężko przełykam, próbując ścierpieć to okropne, nienaturalne wrażenie.

Mimo że mam za sobą wsparcie, czekające w bezpiecznym korytarzu, czuję się bardzo bezbronna, jak noworodek na skraju urwiska.

Dzieci śpią twardo, każde na ładnie pościelonym łóżku. Patrzą dookoła, spodziewając się, że gdzieś z cienia wyłoni się jakiś strażnik, ale widzę tylko meble i zasłonięte okna. Tak jak w korytarzu, wychodzą na sosny i miasto w dolinie. Kolejna tortura. Patrzeć na świat, którego nie możesz dotknąć.

– Pomóżcie mi je stąd wynieść – mamroczę, chcąc jak najszybciej opuścić pokój.

Wyciągam rękę ku ciemnowłosej dziewczynce w łóżku bliżej siebie i gładzę dłonią jej twarz. Córka Brackena porusza się pod moim dotykiem, ale się nie budzi. W słabym świetle jej skóra wygląda jak wypolerowany gagat.

– Obudź się, Charlotto – mamroczę. Serce zaczyna mi bić dwa razy szybciej. „Musimy uciekać”.

Wartownik z domu Haven nie podchodzi tak łagodnie do księcia Michaela. Wsuwa mu rękę pod ramię, a drugą pod kolana i podnosi. Podobnie jak siostra chłopiec budzi się powoli. Jest oszołomiony, niemrawy. Cichy Kamień zasiał w nich ogromne spustoszenie.

– Kto...? – mamrocze chłopiec. Jego powieki przelotnie otwierają się i zamykają.

Jego siostra zaczyna się poddawać mojemu delikatnemu potrząsaniu za jej ramiona.

– Czy to pora na spacer? – pyta wysokim, lekko chropawym głosem. – Nie będziemy sprawiać kłopotów.

– Tak – odpowiadam szybko, wykorzystując okazję. – Pójdziemy na spacer z dala od Kamienia. Ale musicie być bardzo cicho i robić dokładnie to, co

mówimy.

Nie jest to kłamstwo, a przynajmniej trochę pobudza dzieci. Charlotta zarzuca mi nawet ręce na szyję, dzięki czemu mogę ją podnieść. Jest lżejsza, niż się spodziewałam, bardziej przypomina ptaka niż dziewczynkę. Pachnie świeżością i czystością. Gdyby nie Cichy Kamień, powiedziałabym, że dzieci dobrze tu traktowano.

Michael wtula się w wartownika Havena.

– Jesteś nowy – mówi do niego.

Wychodzę na korytarz najszybciej, jak mogę, i wciągam w płuca uzdrawiający wdech. Dzieci wypuszczają wstrzymywane powietrze, Charlotta rozluźnia się w moich ramionach.

– Pamiętajcie, macie robić, co każemy – mamroczę, odwracając oczy od tego, co przygotowali Rydal i Niro.

Chłopiec kiwa głową, nie mówiąc ani słowa, ale dziewczynka spogląda na mnie przenikliwym wzrokiem, którego nie spodziewałabym się po dziecku.

– Czy wy nas ratujecie?

Nie widzę powodu, by kłamać. Dzieci powinny wiedzieć. Bo mogę ponieść porażkę. Mogę doprowadzić do tego, że przeze mnie zginą. Mogę umrzeć, próbując to zrobić.

– Tak – mówię w końcu.

– Niech je obejrzę. – Niro nie marnuje czasu i świeci dzieciom latarką w twarze, co nawet u mnie wzbudza strach.

– Cicho – szepczę, gdy Michael zaczyna jęczeć.

Uporczywie wpatruję się w Niro znad głowy dziewczynki, ale on mnie ignoruje i skupia całą swoją uwagę na dzieciach Brackena. Przerzuca wzrok to na jedno, to na drugie, jakby był jakąś tykającą maszyną, jednocześnie zapamiętuje ich rysy.

Kiedy zabiera się do tobołu na ziemi, nie zdążam wystarczająco szybko odwrócić oczu. Widzę je. Dwa małe Czerwone ciała.

Dzieci oddychają. Są pod wpływem zbyt silnych środków usypiających, by

mogły same się obudzić. Ale nadal oddychają.

Ciało musi być żywe, żeby Niro mógł wykonać swoją robotę.

Wartownik Haven pochwytuje moje spojrzenie i odwraca się tak samo jak ja, stając plecami do Uzdrowiciela Ciał i Czerwonych dzieci. Nie możemy pozwolić Michaelowi i Charlotcie zobaczyć, co dla nich robimy. I sami też nie chcemy patrzeć.

„Słabość – szepcze coś we mnie, gdy wzdrygam się, słysząc świst sztyletu wyciąganego z pochwy. – Miej oczy otwarte, Iris Cygnet”.

– Co za mistrzostwo – mówi do siebie Niro drapieźnym i pełnym rozkoszy głosem.

Przez większość czasu pracuje w ciszy.

Ale nie cały czas.

ROZDZIAŁ 11

MARE

Mimo wyczerpania ledwie zmrużyłam oko. Do Ascendentu wróciliśmy prawie o świcie, a po drodze pracowali nad nami Uzdrowiciele. Zostało nam tylko kilka godzin do planowanego przez Davidsona wystąpienia przed rządem Montfortu. Próbowałam spać, ale kiedy opadła adrenalina po napaści Plądrowników, zaczęłam się denerwować nadciągającym spotkaniem. Resztę czasu spędziłam, gapiąc się na krawędzie zasłon i obserwując, jak rozjaśnia się poranna szarówka. Teraz ledwie jestem w stanie usiedzieć spokojnie, czekając na dolnym tarasie i poprawiając rąbek sukienki. To długa kreacja z błyszczącego cekinami materiału, ze złotym paskiem w talii i bufiastymi rękawami zebranych w nadgarstkach. Spod linii dekoltu wystaje skraj znamienia, które zrobił mi Maven. Włosy zaplotłam w warkocz, by nie opadały na twarz. Z dumą prezentuję blizny, które pną się od szyi. To mój pomysł, nie Gisy. Chcę pokazać politykom z Montfortu, ile już poświęciłam. I na tyle, na ile to możliwe, chcę wyglądać jak dziewczyna od błyskawic, nawet jeśli ta osoba nie istnieje. Mogę czerpać od niej siłę, tak jak czerpię siłę od Mareeny. Może to fałszywe wersje mnie, ale stanowią też część kogoś prawdziwego, nawet jeśli bardzo małą.

Wschód słońca w górach wygląda inaczej. Rozprzestrzenia się za mną, posyłając postrzępione promienie światła przecinane wierzchołkami gór. Ciemność powoli i miarowo odpływa z doliny, uciekając wraz z poranną mgłą osnuwającą zbocza miasta. Ascendent zdaje się budzić wraz ze światłem, po mieście rozchodzi się cichy szum aktywności.

Królowa Anabel nie należy do tych, którzy mają w zwyczaju się spóźniać, a w szczególności na coś tak ważnego jak dzisiejsze spotkanie. Wychodzi z pałacu

z wnukiem i grupą strażników przy boku. Julian trzyma się nieco z tyłu, chowa skrzyżowane ręce pod długimi złotymi szatami. Gdy spotykamy się wzrokiem, schyla głowę na powitanie. Odwzajemniam gest. Mogę się nie zgadzać z tym, że poparł swojego siostrzeńca, ale rozumiem jego wybór. Rozumiem, że rodzina jest najważniejsza.

W swoich rodowych barwach, czerwieni i płomiennym oranżu, Anabel bardziej przypomina wartowniczkę strzegącą króla niż jego babkę. Jest równie niebezpieczna. Nie ma na sobie sukni – włożyła brokatowy płaszcz z pasującą tuniką oraz czarne legginsy, których rąbki ozdobiono połyskującym brązem przypominającym kawałki zbroi. Anabel Lerolan jest gotowa do bitwy, której nie toczy się na otwartym polu. Uśmiecha się do mnie, stając po drugiej stronie tarasu, ale jej oczy pozostają poważne.

– Wasza Wysokość – mówię, witając ją skinieniem głowy. – Tyberiaszu – dorzucam, przelotnie na niego spoglądając.

Uśmiecha się pod nosem z sarkazmem, rozbawiony tym, że nie chcę nazywać go w żaden inny sposób. Nie posługuję się jego przezwiskiem ani tytułem.

– Dzień dobry – odpowiada. Jest przystojny jak zawsze. Może nawet bardziej niż zwykle. Bitwa z Płądrownikami wisi nad nim i niemal czuję zapach popiołu, który całą noc próbował z siebie zmyć.

„Może nie powinnaś go sobie wyobrażać pod prysznicem”, upominam samą siebie.

Świt służy ognistemu księciu, ubranemu w szkarłatną pelerynę i komplet z czarnego jedwabiu pod spodem. Na gładko zaczesanych czarnych włosach spoczywa korona. Założę się, że zrobiona przez Żeleźcę. Kolejne dzieło Evangeline. Pasuje mu. Żadnych klejnotów, żadnych misternych zdobień. Tylko zwykła obręcz z surowego żelaza uformowana w warkocz płomieni. Przyglądam się tej małej rzeczy, którą on tak bardzo kocha.

Choć między nami nadal panuje napięcie, nie czuję takiej złości jak wczoraj. Nasza rozmowa na górze, choć krótka, podziałała uspokajająco. Żałuję, że nie

mieliśmy więcej czasu, by dojść do jakiegoś porozumienia.

„Ale jakie porozumienie mogłoby to być?”

Choć się staram, nie potrafię całkiem zdusić nadziei, która wciąż tli się w moim sercu. Wciąż pragnę, aby Cal mnie wybrał. I nadal bym mu wybaczyła, gdyby przyznał się do błędu. Ta nadzieja wciąż nie chce umrzeć, chociaż wydaje się taka głupia.

Najbardziej zdumiewa mnie jednak pojawienie się Farley. Nie dlatego, że jej noga jest zupełnie zdrowa. Tego się akurat spodziewałam. Gdy wychodzi za prezentującym się nienagannie premierem Davidsonem, z początku jej nie poznaję. Zniknął sfatygowany mundur, jej ciemnoczerwony kombinezon usiany starymi plamami i dziurami powstałymi w walce. Ten galowy mundur bardziej pasowałby do Tyberiasza lub Mavena. Ale nie do Farley.

Mrugam powiekami, patrząc, jak poprawia rękawy dopasowanego szkarłatnego płaszcza doskonale opinającego jej sylwetkę. Do kołnierza przyszyto generalskie insygnia, trzy żelazne kwadraty. Na piersi znajdują się inne odznaczenia – medale i wstęgi. Wątpię, żeby były prawdziwe, ale Farley wygląda z nimi imponująco. Najwyraźniej Davidson i Carmadon pomogli się jej przygotować na to spotkanie, tak by jej prezencją dodać Szkarłatnej Gwardii autorytetu. A w połączeniu z widokiem blizny w kącie ust oraz stalowego spojrzenia jej niebieskich oczu trudno sobie wyobrazić, że jakiś polityk mógłby jej czegoś odmówić.

– Pani generał – mówię do niej z przekąsem. – Ładne ciuszki.

– Uważaj, Barrow, bo też ci każe coś takiego włożyć – burczy, znów pociągając za rękawy. – Ledwie mogę się w tym ruszać.

Doskonale dopasowana marynarka ciasno opina jej ramiona. Nie daje jednak zbyt wiele swobody, do której Farley jest przyzwyczajona. Dla ruchów potrzebnych w walce.

Spoglądam na jej biodra opięte przez równie dopasowane spodnie, których nogawki są zatknięte w buty.

– Bez broni?

– Nawet mi nie przypominaj – odpowiada Farley z gniewnym spojrzeniem.

Nikt się nie dziwi, że Evangeline Samos przychodzi jako ostatnia. Wyłania się zza wielkich dębowych drzwi w otoczeniu krewnych z domu Samos, ubranych w pasujące szare płaszcze z czarną lamówką. Suknia Evangeline jest oślepiająco biała, ale na rękawach i ciągnącym się za nią trenie przechodzi w atramentową czerń. Kiedy się do nas zbliża, zdaję sobie sprawę, że jedwab jej sukienki nie jest ufarbowany, lecz zdobiony kawałkami wyjątkowego migoczącego metalu, który doskonale zmienia barwę od perłowej bieli, przez szarą stal, do czarnego żelaza. Podchodzi do nas zdecydowanym krokiem, pozwalając sukni się rozłożyć i szeleszcząc o zielone i białe płyty posadzki.

– Gdybyśmy tylko mogli odtworzyć to wejście w Kongresie Zgromadzonych – mówi Davidson pod nosem do mnie i do Farley. Przygląda się Evangeline.

Dziewczyna prostuje ramiona, a jej determinacja pobrzmiwa w każdym kroku.

Premier trzyma się swojego zwykłego, ale doskonałego wizerunku: jest ubrany w ciemnozielony garnitur ozdobiony białymi powlekanymi guzikami. Jego siwe włosy lśnią, zaczesane gładko do tyłu.

– Idziemy? – zachęca, pokazując na arkady odchodzące od pałacu.

Nasz korowód barw schodzi za nim po krętych stopniach w stronę miasta.

Szkoda, że spacer nie trwa dłużej, ale Kongres Zgromadzonych, budynek, w którym zbiera się cały rząd Montfortu, by uzgadniać sprawy takie jak ta, nie jest daleko – zaledwie kilkaset metrów w dół zbiega, na tarasach pod pałacem premiera. Znów nie widzę żadnych murów, które otaczałyby tak ważne miejsce. Gmach zwieńczony kopułą okalają jedynie krużganki z białego kamienia oraz werandy, z których roztacza się widok na Ascendent i dolinę. Słońce stale się wznosi i odbija od kopuły z zielonego szkła, znajdującej się kilkadziesiąt metrów nad nami. Szkło ma zbyt wiele skaz, by mogło być dziełem Srebrnych, ale jego niedoskonałości pochwytyujące światło czynią je tym piękniejszym. Osiki o srebrnej korze i złotych liściach, rosnące w równych odległościach od siebie, otaczają budowlę niczym żywe kolumny. One z pewnością są dziełem Srebrnych. Zapewne

Strażników Zieleni.

Między drzewami stoją żołnierze, ubrani w ciemnozielone mundury. Dumni, nieustępliwi. Idziemy długim, wyłożonym marmurem pasażem ku szeroko otwartym drzwiom Kongresu.

Robię głęboki wdech, szykując się na to, co nas czeka. To nie powinno być trudne. Montfort nie jest naszym wrogiem. A nasz cel jest jasny. Uzyskać maksymalne militarne wsparcie. Obalić szalonego króla i jego sprzymierzeńców, którzy chcą utrzymać władzę kosztem życia Czerwonych i Nowych. Wolna Republika Montfortu powinna z łatwością wydać na to zgodę. Czy nie opowiadają się za równością?

„Tak mi przynajmniej powiedziano”.

Zaciskając zęby, chwytam Farley za rękę. Na sekundę ściskam jej szorstkie palce. Bez chwili zawahania Farley odwzajemnia gest.

W holu wejściowym stoją kolumny obwieszane białym i zielonym jedwabiem zebranych srebrnymi i czerwonymi wstęgami. Barwy Montfortu i obu rodzajów krwi. Światło słońca przebija się przez świetliki, wypełniając przestrzeń eteryczną poświatą. Znajdują się tu wejścia do różnych sal, prowadzące pod wspartymi filarami łukami lub przez drzwi z polerowanego dębowego drewna. Mijamy grupki zebranych osób, które przyglądają się nam z ciekawością. Kobiet i mężczyzn, Czerwonych i Srebrnych, o obliczach w różnych odcieniach, od porcelanowego po granatową czerń. Próbuję czuć się w swojej skórze jak w zbroi, chroniona przed ich wzrokiem.

Widzę przed sobą Tyberiasza, który idzie z uniesioną głową, z babką uwieszoną u prawej ręki i z Evangeline u lewej. Dziewczyna stara się iść do rytmu jego długich kroków. Nie podąża za nią żadna córka domu Samos. Tren jej sukni zmusza Farley i mnie, by zachować pewną odległość. Nie, żebym miała coś przeciwko temu.

Za naszymi plecami idzie Julian. Słyszę, jak mamrocze pod nosem, rozglądając się na boki. Jestem zaskoczona, że nie robi notatek.

„Kongres Zgromadzonych” to stosowna nazwa. Kiedy zbliżamy się do wejścia, słyszę cichy szmer setek głosów. Szybko narasta, aż zagłuszy go dudnienie pulsu w moich uszach.

Ogromne drzwi pomalowane na biało i zielono otwierają się na naoliwionych zawiasach, jak gdyby kłaniały się premierowi Davidsonowi w pas. Premier wkracza na salę pośród burzy oklasków, która rozprzestrzenia się po amfiteatrze, jakim jest Kongres Zgromadzonych.

Na licznych miejscach osadzonych wokół sali gnieźdzą się setki osób, większość z nich ubrana jak Davidson w garnitury w najróżniejszych odcieniach zieleni i bieli. Niektórzy z nich są wojskowymi, co jasno sygnalizują mundury galowe i insygnia. Gdy wchodzimy na salę, wszyscy wstają i klaszczą w geście uznania dla... nas? Czy dla premiera?

„Nie wiem”.

Niektórzy nie klaszczą, ale nadal stoją. Albo z szacunku, albo zgodnie z tradycją.

Stopnie prowadzące w dół amfiteatru, do orchestry, są płytkie. Mogłabym po nich zbiec z zamkniętymi oczami. Skupiam się na tym, jak idę, i na długiej spódnicy mojej migoczącej sukni.

Davidson dochodzi na sam dół sali i siada w środku, wciąż otoczony z obu stron stojącymi politykami. Czeka tam na nas puste krzesła, każde z nich oznaczone udrapowaną tkaniną w odpowiednim kolorze. Pomarańczową dla Anabel, srebrną dla Evangeline, fioletową dla mnie, szkarłatną dla Farley i tak dalej. Podczas gdy Davidson wita się ze zgromadzonymi i ściska im dłonie ze szczerem, charyzmatycznym uśmiechem, my zajmujemy miejsca.

Chyba nigdy się nie przyzwyczaję do takich pokazówek.

Nie to, co Evangeline. Siada obok mnie i zgrabnymi ruchami poprawia tkaninę sukni. Unosi brew z władczością, przez co wygląda jak żywy obraz. Urodziła się dla takich chwil, a jeśli się nimi stresuje, to nigdy nie daje tego po sobie poznać.

– Zabij ten strach, dziewczuszko od błyskawic – mruczy do mnie, rzucając mi

porażające spojrzenie. – To nie jest przecież twój pierwszy raz.

– Racja – odszeptuję, przypominając sobie Mavena, jego tron i wszystkie podłe rzeczy, które powiedziałam, będąc u jego boku. W porównaniu z tamtym przeżyciem to będzie bułka z masłem. Nie zmiażdży mi serca.

Davidson nie siada, tylko patrzy, jak pozostali zebrani jednocześnie zajmują miejsca, wydając przy tym jeden gromki odgłos.

Składa razem ręce i pochyla głowę. Pasemko siwych włosów spada mu na oczy.

– Zanim zaczniemy, upamiętnijmy chwilą ciszy tych, którzy wczoraj polegli, broniąc naszych rodaków przed napaścią Płądrowników. Cześć ich pamięci.

W całym amfiteatrze politycy i oficerowie potakują, po czym schylają głowy. Niektórzy zamykają oczy. Nie wiem, co jest bardziej stosowne, więc robię to, co premier – splatam palce i spuszczam wzrok.

Mam wrażenie, że mija cała wieczność, nim Davidson znów uniesie głowę.

– Rodacy – zaczyna, a jego głos z łatwością niesie się po amfiteatrze.

Pewnie tę salę specjalnie zbudowano tak, by zmaksymalizować akustykę.

– Chciałbym wam podziękować. Zarówno za to, że zgodziliście się odbyć tę nadzwyczajną sesję w Kongresie Zgromadzonych, jak i za to, że w ogóle przyszliście.

Na moment milknie i szczerzy zęby w odpowiedzi na uprzejmy śmiech, który niesie się wśród zebranych. Mdły żart przynosi dodatkowy efekt. Od razu poznaję, którzy z przybyłych to zwolennicy premiera, dzięki temu, jak bardzo się śmieją. Kilku polityków jest niewzruszonych. Ku mojemu zaskoczeniu są zarówno Czerwoni, jak i Srebrni, sądząc po kolorycie ich cery.

Davidson mówi dalej, jednocześnie chodząc tam i z powrotem.

– Jak nam wiadomo, nasz kraj jest młody, zbudowany przez ostatnie dwie dekady naszymi własnymi rękami. Jestem tu dopiero trzecim premierem, a wielu z was spędza na stanowisku pierwszą kadencję. Wspólnie reprezentujemy wolę naszego zróżnicowanego narodu oraz jego interesy, jak również działamy razem,

by zapewnić wszystkim bezpieczeństwo. W minionych miesiącach zrobiłem to, co uznałem za konieczne, by podtrzymać *status quo* naszego kraju i zagwarantować mu rozwój. – Jego twarz jest poważna, zmarszczki na czole się pogłębiają. – Latarnia wolności. Nadzieja. Światło w otaczającej nas ciemności. Montfort to jedyny na tym kontynencie kraj, w którym nie rządzi kolor krwi, a Czerwoni, Srebrni i Żarliwi pracują wspólnie, ramię w ramię, by zbudować lepszą przyszłość dla wszystkich naszych dzieci.

Bieleją mi knykcie, tak mocno zaciskam dłonie. Kraj, o którym mówi Davidson, i to, co reprezentuje – czy to naprawdę możliwe? Jeszcze rok temu Mare Barrow, stojąca po kolana w błocie w Palach, by w to nie uwierzyła. Bo niby jak? Krępowało mnie zarówno to, czego mnie nauczono, jak i świat, który znałam. Moje życie ograniczało się do pracy lub poboru. Oba te wyjścia na swój sposób były jak wyrok śmierci. Tysiące, miliony Czerwonych przede mną przeżyły ten sam scenariusz. Nie było sensu marzyć o tym, że życie może wyglądać inaczej. To tylko bardziej złamałoby już i tak złamane serce.

„Stwarzanie nadziei, gdy w rzeczywistości jej nie ma, to okrucieństwo”. Mój ojciec powiedział kiedyś coś podobnego. I nawet on nie powtórzyłby tego po raz drugi. Nie teraz, kiedy zobaczyliśmy, że jest nadzieja.

I to miejsce – ten krok ku lepszemu światu – też jest w jakiś sposób możliwe.

Mam je przed oczami. Czerwoni reprezentanci o czerwonych policzkach, siedzący obok Srebrnych. Wywodzący się z Nowych przywódca, który chodzi pośrodku sali. Farley, o krwi czerwonej niczym świt, siedząca bardzo blisko Srebrnego króla. I nawet ja. Ja też tu jestem. Mój głos się liczy. Moja nadzieja się liczy.

Zerkam za Evangeline na prawowitego króla Norty. Przyjechał tu za mną, ponieważ nadal mnie kocha, Czerwoną dziewczynę. I dlatego, że chce zobaczyć świat na własne oczy.

Mam nadzieję, że widzi tutaj to co ja. A jeśli rzeczywiście przejmie tron, a my nie będziemy w stanie go powstrzymać, to liczę na to, że dotrą do niego słowa premiera.

Spogląda na swoje dłonie, które zaciska na oparciach krzesła. Jego knykcie są równie białe, jak moje.

– A mimo to nie możemy powiedzieć, że jesteśmy wolni, nie możemy twierdzić, że jesteśmy jakimkolwiek światłem, jeśli pozwolimy, by za naszymi granicami działały się takie okropieństwa – kontynuuje Davidson. Podchodzi do miejsc znajdujących się niżej i po kolei patrzy na każdego z polityków. – Jeśli możemy spojrzeć na horyzont i wiedzieć, że gdzieś tam Czerwoni żyją jak niewolnicy, że Nowi są mordowani, istnienia miażdżone pod stopami Srebrnych panów...

Srebrni monarchowie z naszej delegacji ani drgną. Ale też w żaden sposób nie zaprzeczają temu, co mówi premier. Anabel, Tyberiasz i Evangeline patrzą przed siebie z niewzruszonymi minami.

Davidson kończy okrażenie i wraca na swoje początkowe miejsce.

– Rok temu złożyłem wniosek o to, bym mógł się zaangażować. Wykorzystać ułamek naszej armii, aby pomóc Szkarłatnej Gwardii w infiltrowaniu Norty, Lakelandii i Piedmontu, królestw zbudowanych na podwalinach tyranii. Było to ryzykowne. Naraziło to nasz naród, który do tego czasu rozwijał się w sekrecie. Ale łaskawie się zgodziliście. – Składa palce w piramidę, lekko kłaniając się zgromadzonym. – I oto staję przed wami ponownie. Proszę o więcej żołnierzy, więcej pieniędzy, możliwość pokonania zbrodniczych reżimów i prawo do tego, by móc spojrzeć sobie w twarz. Żebyśmy mogli powiedzieć naszym potomkom, że nie staliśmy z boku i nie przyglądaliśmy się, jak dzieci takie jak oni skazywano na śmierć lub nędzę. To nasz obowiązek, by nie odwracać oczu i walczyć, jeśli tylko możemy.

Jeden z reprezentantów wstaje. Srebrny o cienkich blond włosach i bladej cerze, w szatach w kolorze szmaragdowej zieleni. Jego paznokcie są dziwnie długie i wypolerowane na wysoki połysk.

– Mówisz o obaleniu reżimu, premierze. A mimo to widzę przy twoim boku młodego mężczyznę Srebrnej krwi z koroną na głowie. Nie dostrzegłem na tej sali

żadnych innych koron. A tak jak ja doskonale wiesz, jakie korony musieliśmy zniszczyć, by utworzyć nasze państwo. Ile musieliśmy spalić, by powstać z popiołów.

Polityk dotyka swojej skroni. To jasne, co próbuje zakomunikować. Jedną z koron, którą należało zniszczyć, była jego własna. Zaciskam zęby, zwalczając w sobie chęć, by spojrzeć na Tyberiasza. Chcę do niego krzyknąć: „Widzisz?! To da się zrobić!”.

Davidson głęboko schyla głowę.

– Słuszna uwaga, reprezentancie Radisie. Wolna Republika to kraj stworzony z wojny, poświęcenia, a przede wszystkim z możliwości. Zanim powstaliśmy, te góry stanowiły zlepek drobnych królestw, które walczyły o dominację. Nie było tu żadnej jedności. Łatwo więc wślizgnęliśmy się w szczeliny i rozłamaliśmy to, co już się łamało. – Milknie, ale oczy mu płoną. – Widzę teraz podobną możliwość w Srebrnych królestwach na wschodzie. Przestrzeń, by coś zmienić w Norcie. Odmienić sytuację na lepsze.

Wtedy wstaje kolejny polityk, Czerwona kobieta o gładkiej cerze w miedzianym odcieniu i krótko przystrzyżonych czarnych włosach, ubrana w białą suknię przepasaną oliwkową szarfą.

– Czy Wasza Wysokość się zgadza? – pyta, wlepiając wzrok w Tyberiasza.

Tyberiasz przez moment się waha, zaskoczony jej bezpośredniością. Nie umie przemawiać z taką łatwością jak jego brat.

– W Norcie trwa wojna domowa – odpowiada niepewnym głosem. – Ponad jedna trzecia kraju odłączyła się, poprzysięgając lojalność królestwu Rowów, w którym władą ojciec mojej narzeczonej. – Zaciskając szczękę, wskazuje na Evangeline, która siedzi obok niego.

Dziewczyna nie reaguje.

– Reszta, lojalna wobec mnie, obiecała pomóc mi odzyskać tron ojca i usunąć z niego mojego brata. – W jego karku napina się mięsień. – Który zabił, by na nim zasiąść.

Tyberiasz powoli spuszcza wzrok. Widzę, jak jego pierś gwałtownie faluje pod fałdami czerwonej peleryny. Myśl o Mawenie wciąż rani nas oboje. Tyberiasza nawet bardziej niż mnie. Byłam tam, kiedy Maven i Elara zmusili go, by zamordował swojego ojca, dawnego króla. Wyraźnie widzę wspomnienie tej strasznej chwili wymalowane na jego ponurej twarzy.

Reprezentantka nie jest usatysfakcjonowana tą odpowiedzią. Przechyla głowę, składając razem długie palce.

– Z raportów wynika, że król Maven jest kochany przez swój lud. A przynajmniej przez tych, którzy wciąż są wobec niego lojalni – dorzuca. – Ciekawe, że Czerwona populacja Norty się do nich zalicza.

Czuję na skórze delikatne drganie ciepłego powietrza. Nie jest silne, ale wystarczy, bym pojęła dyskomfort Tyberiasza. Zaciskam dłonie w pięści i ubiegam go z odpowiedzią.

– Król Maven to doskonały manipulant – odpowiadam kobiecie. – Z łatwością wykorzystuje swój wizerunek młodocianego króla zmuszonego do objęcia władzy i nabiera na to każdego, kto go dobrze nie zna.

„A czasem nawet tych, którzy go znają”. Przede wszystkim Tyberiasza. Powiedział mi kiedyś, że szuka Nowych Szeptaczy, silniejszych niż królowa Elara, którzy może będą w stanie naprawić w jego bracie to, co ona zepsuła. Niemożliwe do spełnienia życzenie, okropne marzenie. Widziałam Mawena bez jej intryg. Królowa już nie żyje, ale on nadal jest potworem, jakiego z niego zrobiła.

Reprezentantka spogląda na mnie, więc zaczynam mówić dalej:

– Zapewnił sobie przymierze z Lakelandią, tym samym kończąc wojnę, na którą wysyłano ludzi mojej krwi. Zniósł ograniczenia, jakie jego ojciec na nich nałożył. Nietrudno zrozumieć, dlaczego zyskał poparcie. Łatwo wkraść się w łaski ludzi, których się karmi. – Wypowiadając te słowa, myślę o sobie i swojej rodzinie. O Palach. O Cameron i slumsach techników pełnych uwięzionych w nich Czerwonych. Gdzie byśmy byli, gdyby ktoś nie przebił się przez otaczający nas mur? Gdyby nie pokazał nam, jak naprawdę powinien wyglądać świat? –

Zwłaszcza jeśli kontrolujesz to, co się im serwuje, zarówno na stole, jak i na ekranie.

Kobieta uśmiecha się do mnie, pokazując przerwę między zębami.

– Jesteś cierniem w jego boku, Mare Barrow. I jego dobrodziejstwem. Widzieliśmy nagrania z czasów, kiedy byłaś jego więźniem. Twoje słowa też przysporzyły mu zwolenników.

Żar, który teraz czuję, nie pochodzi od Tyberiasza. Wynika z zażenowania. Oblewa mi twarz, rozpala policzki.

– Tak. I bardzo się tego wstydzę – odpowiadam bez ogródek.

Siedząca po mojej lewej Farley zaciska dłoń w pięść. Nachyla się do przodu.

– Nie można jej winić za to, co powiedziała, mając lufę przy skroni.

Czerwona reprezentantka napręża mięśnie.

– Oczywiście, że nie. Mimo to twoja twarz i twój głos zostały wielokrotnie wykorzystane, panno Barrow. Nie przydasz się do tego, by spróbować przeciągnąć ludzi z powrotem na swoją stronę. I proszę mi wybaczyć, ale trudno mi zaufać temu, co teraz mówisz i w czyim imieniu przemawiasz.

– Więc rozmawiaj ze mną – warczy Farley, a jej głos niesie się po Kongresie.

Moje rumieńce gasi chłód ulgi. Spoglądam na generała z uczuciem takiej wdzięczności jak nigdy wcześniej. Trzyma swój temperament na wodzy i wykorzystuje go jako paliwo.

– Jestem generałem w Szkarłatnej Gwardii, wysokiej rangi oficerem Dowództwa. Moja organizacja od lat działała w cieniu, od zamarzniętych brzegów Hudu po niziny Piedmontu i wszędzie pomiędzy. Osiągnęłam bardzo wiele przy niewielkim nakładzie środków. Proszę sobie wyobrazić, co możemy zrobić, mając więcej.

Po drugiej stronie sali kolejny reprezentant Montfortu podnosi dłoń migoczącą od złotych pierścieni. To Czerwony o przebiegłym uśmiechu.

– Wiele? Proszę mi wybaczyć, pani generał, ale zanim zaczęłaś współpracować z nami, twoja Szkarłatna Gwardia stanowiła jedynie przestępczą szajkę złożoną

z przemytników, złodziei, a nawet morderców.

Farley tylko prycha.

– Robiliśmy, co musieliśmy. Premier mówi o przedostawaniu się przez szczeliny: to my je wywołaliśmy. I pomogliśmy tysiącom osób uciec przed niebezpieczeństwem. Czerwonym potrzebującym naszej pomocy. Nowym też. Wasz własny premier pochodzi z Norty, zgadza się? – Wskazuje na Davidsona, który podtrzymuje jej wzrok. – O mały włos poniósłby śmierć za to, jaki się urodził. Codziennie ratujemy ludzi takich jak on.

Przebiegły mężczyzna wzrusza ramionami.

– Chodzi nam o to, że nie zrobisz tego sama, pani generał – mówi. – I choć walczysz w słusznej sprawie, trzeba uzgodnić pewne kwestie. Jesteście grupą bez kraju i bez obywateli, przed którymi odpowiadacie. Wasze metody wykraczają poza zwyczajowe działania wojenne. My musimy myśleć o naszych rodakach.

– Szkarłatna Gwardia odpowiada wobec wszystkich – stwierdza chłodno Farley. – Nieznacznie odwraca głowę, tak by blizna przy jej ustach odbiła światło z kopuły nad naszymi głowami. – Zwłaszcza przed tymi, którzy myślą, że nikt ich nie słucha. My słuchamy, działamy i nie przestaniemy walczyć. Aż do ostatniego tchu Szkarłatna Gwardia będzie robić, co w jej mocy, by zmienić obecny stan rzeczy. Z waszą pomocą lub bez niej.

Nadal przemierzający salę Davidson przechodzi obok generał. Rzuca jej spojrzenie, którego nie potrafię rozszyfrować, i zaciska usta w linię bez wyrazu. Nie potrafię stwierdzić, czy jest zadowolony, czy wściekły.

Srebrny reprezentant, który nazywa się Radis, znów wstaje, by coś powiedzieć. Nie wydaje się mieć więcej niż trzydzieści pięć lat, ale z pewnością pamięta, jak wyglądał ten kraj przed Montfortem. Mierzy nas wszystkich wzrokiem.

– Czyli waszym celem jest wesprzeć kolejnego Srebrnego monarchę i pomóc mu zasiąść na tronie.

Po mojej prawej Evangeline uśmiecha się i widzę, że nałożyła sobie na kły srebrne korony. Wydają mi się przerażające. To część komunikatu, tak samo jak

reszta jej stroju. Wyszarpie zębami serce każdego, kto stanie jej na drodze. W tym i nam.

– Właściwie to dwóm – rzuca, a jej głos niesie się po amfiteatrze. – Mój ojciec, król Rowów, także musi zostać uznany za prawowitego władcę.

Tyberiaszowi drga kącik ust, a Anabel ściąga wargi. Tak jak wcześniej, w Corvium, Evangeline robi, co w jej mocy, by udaremnić wszelki postęp, jaki może poczynić jej narzeczony.

Radis posyła jej szyderczy uśmiech, a w jego szarych oczach pojawia się błysk.

– Ale jak nam powiedziałaś, premierze – ciągnie – Wolna Republika powstała na gruzach takich królestw. Wiemy, jakie są i czym się stają. – Jego wzrok przenosi się z Evangeline na Tyberiasza. – Bez względu na to, jak szlachetni, jak szczerzy, jak honorowi są król czy królowa.

Pozbawiona wyrazu maska Davidsona lekko się osuwa, zdradzając kryjącą się za nią zaniepokojoną minę. Delikatnie kiwa głową, przyznając słusność Radisowi. Pozostali reprezentanci szepczą do siebie, zastanawiając się nad wadą naszego sojuszu. Oczywiście Davidson i Gwardia mają dłuższą historię i nie zamierzają wydawać więcej królów i królowych, ale nie możemy powiedzieć tego wprost w obecności Srebrnych.

Kłamstwo przychodzi mi łatwo, bo nie jest całkiem nieprawdziwe.

– Pamiętam twoje słowa, premierze – mówię szybko, podnosząc się z krzesła. – Przed drugą bitwą o Corvium, kiedy byliśmy w Piedmoncie.

Davidson odwraca się do mnie, unosząc brwi.

– „Centymetry z kilometrów” – wyjaśniam, dokładnie wymawiając każdą literę.

Skupiam na sobie całą uwagę Kongresu, przez co przeszywa mnie dreszcz. Muszą się zgodzić. Potrzebujemy ich wsparcia, jeśli chcemy, żeby rządy Mavena się skończyły i żeby Tyberiasz przejął koronę, którą pozostawi po sobie jego brat.

– Zmiana może być szybka lub wolna. Ale ruch zawsze powinien się odbywać do przodu. Wiem, że niektórzy z was patrzą na króla Tyberiasza, królową Anabel

i księżniczkę Evangeline i zastanawiają się, czym się różnią od poprzednich władców. Jak przelanie własnej krwi, by dać im tron, może być lepsze niż zachowanie życia i pozostawienie Mavena przy władzy.

Radis spogląda na mnie znad czubka swojego długiego nosa.

– Ponieważ twierdzisz, że Maven Calore jest potworem. Nieobliczalnym chłopcem, którego nie da się kontrolować.

Odchylam głowę w tył, przerzucając warkocz na plecy. Podobnie jak Farley daję swoim bliźnim opowiedzieć moją historię. „M” na moim obojczyku pali pod spojrzeniami setek oczu.

– Bo Maven Calore bez żadnej dyskusji jest gorszą opcją – mówię, kierując słowa do całej sali. – Nie tylko powstrzyma kraj od postępu, ale też doprowadzi do jego zacofania. Nie ma żadnego szacunku wobec życia Czerwonych, a nawet Srebrnych. Ani w głowie mu równość. Nie obchodzi go nic prócz zemsty i pragnienia bycia kochanym. W przeciwieństwie do Tyberiasza i króla Volvo w Rowach, w przeciwieństwie do wszystkich żyjących obecnie Srebrnych monarchów jest gotów zrobić, co tylko może, by zachować swoją koronę.

Radis powoli siada. Białą dłonią daje mi znak, żebym mówiła dalej. Nie, żebym potrzebowała jego pozwolenia. Mimo to czuję przyływ dumy.

– Tak – ciągnę. – W innych okolicznościach byłoby lepiej, gdybyście tu zostali, chronieni przez góry, odcięci od świata. Jeśli potraficie w spokoju ignorować okropieństwa wyrządzane przez Nortę i jej sojuszników...

Niektórzy reprezentanci wiercą się na swoich miejscach.

– Ale nie tym razem. Nie, kiedy Maven ma po swojej stronie Lakelandię. Możecie długo debatować nad tym, czy udzielić nam pomocy, ale dzwony już zabiły. Wcześniej zagłosowaliście, żeby nam pomóc. Wasi żołnierze byli obecni przy tym, jak uratowano mnie z Pałacu Białego Ognia. Wasza armia pomogła nam obronić mury Corvium. A Maven Calore nigdy nie zapomni tego, co zrobiliście. Nigdy nie zapomni tego, co mu ukradliście.

„Jesteś taka jak Thomas – powiedział mi kiedyś Maven. Jego słowa nadal

dźwięczą mi w głowie. – Jesteś jedyną osobą, na której mi zależy, jedyną, która przypomina mi, że żyję. Że nie jestem pusty. Że nie jestem samotny”.

Był wtedy potworem, trzymał mnie uwięzioną w swoim pałacu i w mojej własnej skórze. Zastanawiam się, jaką bestią jest teraz, nie mając niczego i nikogo, tylko roztrzaskane odłamki w swojej głowie.

Zaciskam zęby, próbując sobie wyobrazić jego kolejny ruch. Nie w nadchodzących dniach, ale w miesiącach. Latach.

– Pewnego dnia jego armie staną u waszych drzwi. Nortańczycy, Lakelandczycy. – Mam ich przed oczami: Wysokie Domy w swoich barwach, Lakelandia w swoich nasyconych błękitach. – Przyjdą, zasłaniając się tarczą Czerwonych żołnierzy, których będziecie musieli zabić. Może wygracie, ale wielu waszych umrze razem z nimi. Nie jestem w stanie powiedzieć ilu. Ale zapewniam was, że będzie ich więcej.

Czerwona kobieta o czarnych włosach podnosi rękę. Spogląda na mnie tak, jakbym nie istniała, i zwraca się do Farley, która wciąż siedzi na krześle.

– Czy pani generał się zgadza? – pyta, po czym wskazuje na Tyberiasza. – Czy ten Srebrny król będzie lepszy od tego, który już jest na tronie?

Farley prychna i przewraca oczami.

– Nie przepadam za Tyberiaszem Calore – odpowiada.

Nie mogę tego powstrzymać i krzywię się, z sykiem wypuszczając powietrze z płuc. „No co ty, Farley?”

Ale to nie wszystko, co ma do powiedzenia.

– Możesz mi więc wierzyć, gdy powiem, że tak.

Reprezentantka kiwa głową, zadowolona z takiej odpowiedzi. Nie ona jedna. Wielu polityków w całej sali, zarówno Srebrnych, jak i Czerwonych, szepcze do siebie nawzajem.

– A więc, Wasza Wysokość? – dodaje kobieta, zwracając się do Tyberiasza.

Tyberiasz poprawia się na krześle. Anabel przelotnie dotyka palcami jego ramienia. Mam wystarczająco dużo doświadczenia ze Srebrnymi matkami, by

wiedzieć, że królową Anabel uznano by za zbyt kochającą, zbyt łagodną wobec swojego wnuka.

Siadam, kiedy on wstaje i wychodzi na środek. Davidson w końcu zajmuje swoje miejsce, pozwala Tyberiaszowi stać samemu. Calore wygląda wspaniale na tle białego marmuru i granitu, z zieloną kopułą nad głową. Czerwień jego peleryny jest jak żywy ogień, pokos świeżej krwi.

Tyberiasz podnosi podbródek.

– Spędziłem na wygnaniu ponad rok, zdradzony przez swojego brata. Ale zostałem też zdradzony przez... – Milknie i przetyka słowa. – Przez swojego ojca. Wychował mnie na takiego króla, jakimi byli moi poprzednicy. Nieugiętego, nieskorego do zmian. Przywiązanego do przeszłości. W pułapce niekończącej się wojny, wiernego tradycji.

Po raz pierwszy widzę, jak Evangeline się wzdryga, jej zasłonięte szponami palce zaciskają się na oparciu krzesła.

Prawowity król przemawia dalej:

– Prawda jest taka, że Norta była rozłamana na dwie części, na długo zanim zamordowano mojego ojca. Srebrni możnowładcy i ich Czerwoni podwładni. Wiedziałem, że to złe, tak jak gdzieś głęboko w środku wiemy o tym wszyscy. Ale władza króla jest ograniczona. Myślałem, że zmiana fundamentów, praca nad społecznymi bolączkami są poza moją mocą. Sądziłem, że obecny stan rzeczy, choć niesprawiedliwy, jest lepszy niż wywołanie chaosu w kraju. – W jego głosie pobrzmiewa determinacja. – Ale się myliłem. Nauczyło mnie tego wielu ludzi. Zaliczasz się do nich, premierze – mówi, zerkając na Davidsona. – Tak jak wy wszyscy. Wasz kraj, choć może się nam wydawać dziwny, jest dowodem na to, że da się wyznaczyć inne granice. Można utrzymać innego rodzaju równowagę. Jako król Norty mam zamiar widzieć to, czego wcześniej nie mogłem. I zrobić wszystko, co w mojej mocy, by zmniejszyć przepaść pomiędzy Czerwonymi a Srebrnymi. Zaleczyć rany. Zmienić to, co tego wymaga.

Słyszałam już wcześniej, jak elokwentnie przemawia. Zrobił to w Corvium,

mówiąc mniej więcej to samo. Przysiągł, że wraz z nami zmieni świat. Zlikwiduje podział pomiędzy Czerwonymi a Srebrnymi. Wtedy wzbudziło to moją dumę, ale nie teraz. Wiem, co oznaczają jego słowa i jak daleko sięgają jego obietnice. Zwłaszcza kiedy stawką jest korona.

Mimo to wydaję z siebie cichy jęk, kiedy Tyberiasz pada na środku sali na kolano. Jego peleryna o intensywnej krwawej barwie zaściela biały marmur.

Po sali roznosi się szmer, kiedy prawowity król schyla głowę.

– Nikogo nie proszę, aby walczył za mnie, proszę, byście walczyli wraz ze mną – mówi powoli.

Czarnowłosa kobieta odzywa się jako pierwsza, przechylając głowę na bok.

– Wiemy, że nie należysz do tych, którzy wysyłają zastępców w swoim imieniu – odpowiada. – Tak jak wczoraj w nocy. Moja córka, kapitan Viya, walczyła razem z tobą na Jastrzębim Szlaku.

Tyberiasz nadal klęczy, nic nie mówiąc. Kiwa tylko głową, a z nerwów podskakuje mu mięsień w policzku.

Radis daje znak Davidsonowi, wyciągając przed siebie dłoń. Wraz z jego gestem po Kongresie zaczyna krążyć delikatna bryza. Jest Wietrzycem.

– Głosujmy, premierze.

Davidson potakuje. Rozgląda się po obliczach polityków. Zastanawiam się, co wyczytuje z ich twarzy. Po dłuższej chwili wypuszcza powietrze z płuc.

– Zgoda, reprezentancie.

– Głosuję na tak – mówi Radis zdecydowanym tonem i siada.

Tyberiasz szybko mruga, próbując zamaskować swoje zaskoczenie. Czuję to samo.

Zaskoczenie tylko rośnie wraz z każdym kolejnym „tak”. „Trzydzieści. Trzydzieści pięć. Czterdzieści”.

Między politykami rozlega się też kilka „nie”, które poskramiają moją nadzieję. Jednak głosy sprzeciwu szybko nikną wśród poparcia, którego tak bardzo potrzebujemy.

W końcu Davidson uśmiecha się i wstaje z krzesła. Podchodzi do Tyberiasza i delikatnie dotyka jego ramienia, dając mu znak, by powstał.

– Masz swoją armię.

ROZDZIAŁ 12

EVANGELINE

Choć Montfort jest piękny, bardzo się cieszę, że tak szybko stąd wyjeżdżamy. Co więcej, jadę do domu, do Grani, do Ptolemejusza i do Elane. Tak się cieszę, że ledwie zauważam, że muszę się sama spakować.

To mądre posunięcie. Nawet Czerwoni o tym wiedzą. Rowy są bliżej Montfortu niż baza w Piedmoncie, nie wspominając już o tym, że nie jesteśmy otoczeni terytorium Brackena. A nasze królestwo jest silne i dobrze strzeżone. Maven nie zaatakuje nas na naszej ziemi, a my będziemy mieć czas na przegrupowanie zasobów i armii.

Mimo to przez resztę popołudnia czuję się nieswojo. Ledwie jestem w stanie znieść szeroki uśmiech Cala, który ma na ustach, gdy wychodzimy na dziedziniec przed pałacem Davidsona. Czasem chciałabym, żeby miał w sobie choć odrobinę przebiegłości Mavena. Wtedy mógłby zrozumieć, co wydarzyło się rano w Kongresie Zgromadzonych. Ale nie, jest zbyt ufny, zbyt dobry i zbyt zadowolony ze swojej małej przemowy, żeby zdać sobie sprawę, jak działa Davidson.

Głosowanie było z góry przesądzone. Nie mogło być inaczej. Montfortcy politycy wiedzieli, o co poprosi Davidson i jak odpowiedzą. Armia została nam przydzielona, zanim w ogóle się tu pojawiliśmy. Wszystko inne, cała ta wizyta w mieście, była przedstawieniem, wabikiem.

„Tak właśnie bym zrobiła”.

Tak samo jak słowa Davidsona skierowane do mnie były innego rodzaju wabikiem. „To kolejna drobnostka, na którą pozwalamy w Montforcie”, powiedział

do mnie, kiedy tu przyjechaliśmy. Wie o Elane i świetnie zdaje sobie sprawę z tego, co powiedziec, żeby mną zachwiać. Żebym zaczęła się zastanawiać. Zaczęła rozważać, nawet jeśli tylko przez ułamek sekundy, porzucenie swojego życia i przeniesienie się tutaj.

Delikatnie mówiąc, premier jest doskonałym sprzedawcą.

Cal rusza na drugą stronę dziedzińca, by pożegnać się z Davidsonem i jego mężem Carmadonem. Patrząc na tę parę, czuję znajomą zazdrość, a potem mdłości. Odwracam się w inną stronę.

Ale natrafiam na kolejny pokaz uczuć. Kolejne mdłe pożegnanie, nim ta trupa błaznów wyruszy do Rowów.

Nie rozumiem, dlaczego Mare nie mogła się pożegnać w środku, żeby reszta z nas nie musiała oglądać tego przedstawienia. Jak gdyby była wyjątkowa w odczuwaniu swojego żalu. Jak gdyby Mare Barrow była jedyną osobą, która musiała kiedyś kogoś opuścić.

Po kolei przytula wszystkich członków swojej rodziny, a każdy uścisk jest dłuższy niż poprzedni. Jej matka płacze, jej ojciec płacze, jej bracia i siostra płaczą. Ona stara się nie rozplakać, ale kiepsko jej to wychodzi. Ich na wpół ukrywane chlipanie niesie się echem po pasie startowym nad urwiskiem i wszyscy musimy udawać, że wcale nie czekamy na płaczącą rodzinę.

To pewnie w stylu Czerwonych. Nie muszą się martwić tym, jakie konsekwencje może mieć okazywanie słabości, bo i tak są słabi. Ktoś powinien pogadać z Barrow na ten temat. Powinna się już nauczyć, jakie znaczenie ma utrzymywanie wizerunku.

Wysoki Czerwony chłopak, śniady jak Barrow, ale o blond włosach, stoi obok niej i ściska się z jej rodziną, jakby była jego własną. Pewnie dalej chodzi wszędzie tam, gdzie ona.

Cal kończy coś szeptać do Davidsona. Premier z nami nie wraca, a przynajmniej jeszcze nie. Teraz, skoro jego rząd zgodził się w pełni nam pomóc, ma dużo do załatwienia. Obiecuje jednak dołączyć do nas w Rowach za mniej

więcej tygodni. Nie sędę, żeby rozmawiali właśnie na ten temat. Cal jest zbyt zapalczywy, zbyt podenerwowany, ściska Davidsona zbyt mocno i nieustępliwie. Jego oczy pozostają jednak łagodne. Prosi premiera o coś małego i nieistotnego dla wszystkich prócz niego.

Kiedy księżę od niego odchodzi, mija Mare długimi, szybkimi krokami. Jej bracia odprowadzają go wzrokiem. Gdyby byli Płomiennymi z domu Calore, pewnie by go podpalili. Siostra wygląda na mniej wrogą, jest bardziej rozczarowana. Marszczy brew, patrząc na jego oddalającą się sylwetkę, i przegryza wargę. Bardziej przypomina Mare, kiedy tak robi, zwłaszcza gdy jej pochmurna mina zamienia się w kpiący uśmiech.

Cal zatrzymuje się po mojej prawej stronie, szeroko rozstawia nogi i krzyżuje ręce na piersi czarnego munduru.

– Potrzebujesz lepszej maski, Calore – rzucam opryskliwie.

Tylko się krzywi.

– A ona musi się trzymać harmonogramu – dodaję.

– Zostawia tu swoją rodzinę, Evangeline – odpowiada Cal poirytowanym tonem. – Kilka minut nas nie zbawi.

Wzdycham, spoglądając przy tym na paznokcie. Dziś nie włożyłam szponów. Nie potrzebuję ich w podróży powrotnej.

– Strasznie dużo tych ustępstw względem Barrow. Zastanawiam się, gdzie jest granica i co się stanie, kiedy niechybnie ją przekroczy.

Zamiast warknąć, tak jak się spodziewałam, Cal wydaje z siebie niski gardłowy rechot.

– Możesz truć wszystkich swoim nieszczęściem, ile tylko chcesz, księżniczko. Jedynie to ci pozostało.

Zaciskam zęby i zwijam dłoń w pięść. Teraz żałuję, że nie włożyłam szponów.

– Nie udawaj, że tylko ja jestem tutaj nieszczęśliwa – odpowiadam zdenerwowana.

To go ucisza, a brzegi jego uszu rumienia się na uporczywy szary kolor.

Mare nareszcie kończy pożegnania. Odwraca się do rodziny plecami, napinając ramiona. Ich twarze różnią się od siebie, ale mają wspólne cechy. Podobny koloryt, ciemne oczy i skórę o złotym odcieniu. Ciemnobrązowe włosy, z wyjątkiem siostry Mare i siwiejących rodziców. Wszyscy mają w sobie pewną surową prostotę, która płynie im we krwi. Jak gdyby oni zostali uformowani z gliny, a my z kamienia.

Czerwony chłopak idzie w krok za Mare, jakby ciągnięty na niewidzialnej smyczy. Ogląda się przez ramię, żeby po raz ostatni pomachać rodzinie, ale Mare tego nie robi. Przynajmniej to budzi mój szacunek. Jej zawzięty i czasem nierozważny nawyk, by za wszelką cenę brnąć do przodu.

Cal podnosi głowę, gdy Mare mija nas w drodze do odrzutowca. Wyciąga rękę i muska palcami jej ramię. Jego skóra wydaje się blada w kontraście z kurtką dziewczyny w rdzawym kolorze. Ale Mare się nie zatrzymuje i on też tego nie robi. Patrzy tylko na jej znikającą sylwetkę, a gardło pęcznieje mu od słów, na których wypowiedzenie nie może się zdobyć.

Część mnie chce pchnąć go w jej stronę ostrym nożem. Reszta chce wyciąć mu serce, skoro upiera się, że będzie ignorować jego głos i zadawać mi podobny ból.

– Idziemy, przyszły mężu? – warczę, służąc mu ramieniem. Ćwieki mojego metalicznego płaszcza leżą płasko i zachęcająco migoczą.

Cal mierzy mnie ponurym wzrokiem, zaciskając zęby i uśmiechając się do mnie sztucznie. Posłuszny w każdym calu, bierze moje ramię i kładzie swoją dłoń poniżej mojego nadgarstka. Jego skóra parzy ogniem, jest niemal za gorąca, by jej dotknąć. Czuję krople potu na karku i próbuję zdusić w sobie dreszcz obrzydzenia.

– Oczywiście, przyszła żono.

Nie wiem, jak kiedykolwiek mogłam tego chcieć.

Moje obrzydzenie zostaje szybko zagłuszone przez ekscytację, gdy wsiadamy na pokład odrzutowca. Od spotkania z bliskimi dzieli mnie tylko kilka godzin lotu. Prawda – spędzonych pomiędzy Calem i Mare oraz dramatycznymi westchnieniami i znaczącymi spojrzeniami, jakie będą sobie wzajemnie rzucać, ale

jakoś to zniosę. Ptolemeusz czeka.

Elane czeka.

Nawet oddalona o tysiące kilometrów, czuję jej kojącą obecność, która jest jak chłodny ręcznik na rozpalonej gorączką skórze. Biała cera, rude włosy, gwiazdy w jej oczach, księżyc w jej uśmiechu.

Kiedy miałam trzynaście lat, zmiażdżyłam Elane w pojedynku. Zrobiłam to dla aprobaty ojca. Płakałam potem przez tydzień, a przez kolejny miesiąc przepraszałam. Elane oczywiście zrozumiała. Wiemy, jakie są nasze rodziny i czego od nas żądają. A z upływem lat takie rzeczy stały się codziennymi oczekiwaniami. Walczyłyśmy każdego dnia, zadając sobie wzajemne rany i krzywdząc same siebie. Podczas treningów miałyśmy pod ręką Uzdrowicieli. Znieczuliłyśmy się na nieodpartą brutalność naszej codzienności. Teraz bym jej już tego nie zrobiła. Nie skrzywdziłabym jej na niczyje polecenie, nawet gdybyśmy miały pod ręką najlepszych Uzdrowicieli na świecie. Ani dla ojca, ani dla korony. „Gdyby tylko uczucia Calore wobec Mare były równie silne. Gdyby tylko kochał ją tak bardzo, jak ja Kocham Elane”.

Kiedy wchodzimy do podbrzusza odrzutowca, wzdłuż którego pod zakrzywionymi ścianami z oknami z grubego szkła ciągną się miękkie siedzenia z pasami bezpieczeństwa oraz przytwierdzone do pokładu stoliki, Cal odrywa się ode mnie. Siada obok babki na jednym z nielicznych siedzisk ze stolikiem.

– Bababel – słyszę, jak mamrocze na powitanie, używając tego idiotycznego i całkowicie niestosownego określenia.

Po raz pierwszy, odkąd pamiętam, Anabel wygląda na zmęczoną. Życzliwie uśmiecha się do wnuka, gdy ten siada obok niej.

Znajduję miejsce dla siebie – przy oknie i ze stolikiem w rogu, gdzie będę mogła spokojnie się zdrzemnąć. Nasz odrzutowiec jest o wiele wygodniejszy niż wojskowe transportowce, choć również został zarekwirowany z floty powietrznej Piedmontu. Białe jasne wnętrza ozdobiono żółtymi i fioletowymi gwiazdkami. Symbole i barwy księcia Brackena.

Nigdy nie spotkałam księcia, poznałam tylko jego różnych dyplomatów oraz oczywiście emisariuszy: księżęta Aleksandreta i Darejusza. Obaj już nie żyją. Widziałam, jak Aleksandret umarł w Archeonie zastrzelony podczas pierwszego zamachu na Mavena. Na to wspomnienie aż wywraca mi się w żołądku.

Wielmożny z domu Iral wstał, wymierzył broń, wystrzelił w stronę króla, który siedział nieco ponad pół metra ode mnie, po mojej lewej. Oczywiście spudłował, co zmusiło nas, byśmy zachowali się jak sprzymierzeńcy, których udawaliśmy.

„Powinien był umrzeć tamtego dnia. Żałuję, że nie umarł”.

Wciąż czuję metaliczną cierpkość jego krwi, wyglądającej na brukowym kamieniu jak rtęć, która lała się niczym rzeka u moich stóp.

Próba zamachu się nie powiodła. Zbuntowane domy zbiegły, skryły się na swoich ziemiach i w warowniach. Elane nie jest wojowniczką, wyjechała jeszcze przed atakiem. Ale dom Samos musiał utrzymać pozory. Nadal byłam zobowiązana stawić się na naradzie Mavena – i stać tam, bo ta kanalia odmówiła mi krzesła – i patrzeć, jak ten przesłuchuje siostrę mojej ukochanej. Patrzeć, jak jego krewny Merandus wyciąga z niej wspomnienia, zanim została stracona za zdradę.

Elane nigdy o tym nie mówi, a ja nie naciskam. Nie potrafię sobie wyobrazić, co bym zrobiła, gdyby Ptolemeusza czekał podobny los. Nie, to nieprawda. Potrafię sobie wyobrazić tysiące rzeczy. Milion różnych form przemocy i bólu. I żadna z nich nie wypełniłaby pustki. Więzy Srebrnej krwi, jeśli silne, są nie do zerwania. Jesteśmy do szpiku kości przesiąknięci lojalnością wobec nielicznych osób, które kochamy.

„Co w takim razie dla swoich dzieci zrobi Bracken?”

Nie zapytałam o nie ani o to, jak są traktowane w Montforcie. Łatwiej jest tego nie robić. Jedno zmartwienie mniej w świecie, który jest ich pełen.

Spędzane w milczeniu chwile prywatności przerywa mi huragan umięśnionych kończyn i krótko ściętych blond włosów. Generał Szkarłatnej Gwardii siada przy mnie ciężko, tak że pod moimi stopami drży pokład.

– Poruszasz się z gracją bizona – rzucam kąśliwie, licząc, że przegonię ją

z miejsca naprzeciw mnie.

Ale nawet nie reaguje. Przeszywa mnie tylko rozgniewanym spojrzeniem niebieskich jak galaktyka oczu. Następnie odwraca się do okna i opiera czoło o szybę, wydając z siebie ciche westchnienie. Nie płacze. Nie tak jak Barrow, która weszła na pokład, czkając i z czerwonymi od łez oczami.

Generał Farley nie okazuje podobnego smutku. Mimo to widzę cierpienie, które ogarnia ją jak fala. Jej twarz jest bez wyrazu, pusta, pozbawiona zwyczajowej zaciekłości i obrzydzenia, z jakimi patrzy na Srebrnych, w szczególności na mnie.

Wiem, że gdzieś ma małą, niedawno urodzoną córeczkę.

„Ale nie na pokładzie tej maszyny”.

Barrow idzie za Czerwoną i zajmuje miejsce obok niej, a ja fukam z irytacją. Przylecieliśmy tutaj dwoma odrzutowcami, żeby można było rozdzielić Czerwonych i Srebrnych, a także przewieźć łupy z Corvium. Żałuję, że teraz nie jest tak samo i w drodze do Rowów musimy siedzieć wspólnie.

– W samolocie jest około sześćdziesięciu innych miejsc – pry cham pod nosem.

Mare rzuca mi pogardliwe spojrzenie, po części wyrażające złość, ale i udrękę.

– Jeśli chcesz, możesz się przesiąść – odpowiada. – Ale wątpię, żebyś znalazła jakieś lepsze miejsce niż to. – Ruchem głowy pokazuje na resztę samolotu, wypełnianą się reprezentantami Cala i Szkarłatnej Gwardii.

Obniżam się na aksamitnym siedzeniu. Nie myli się. Nie mam ochoty spędzić podróży, przywdziewając dworską maskę, dzierżąc uśmiech jak tarczę, by wymieniać zawołowane groźby z innymi Srebrnymi. Nie mam też ochoty zamykać oczu przy Czerwonych, którzy chętnie poderznąliby mi gardło. Nie, o dziwo Mare Barrow jest moją bezpieczną przystanią. Nasz układ chroni nas obie.

Mare odwraca się do generała. Nie rozmawiają, a Diana Farley nie patrzy na Barrow. Uporczywie wpatruje się w szybę, którą mogłaby roztrzaskać w drobny mak swoją koncentracją. Wydaje się nie zauważyć, jak Mare bierze ją za rękę.

Nie rusza się, kiedy silniki odrzutowca idą w ruch. Mięśnie w jej szczęce się uwydatniają, gdy pociera o siebie zaciśniętymi zębami.

Dopiero kiedy startujemy i znajdujemy się w chmurach, pozostawiwszy góry za sobą, zamyka oczy.

Wydaje mi się, że słyszę, jak szepcze „do widzenia”.

*

Pierwsza schodzę po stopniach odrzutowca i zaciągam się łapczywie świeżym letnim zapachem domu. Czuję aromat ziemi i rzeki oraz liści i wilgotnego upału z domieszką odległej woni żelaza pod wzgórzami. Słońce świeci mocno na przymglonym, parnym niebie, tak że wszystko w dziwny sposób lśni. Zbocza odznaczają się w oddali bujną zielenią, kontrastującą z płaską, rozgrzaną czernią utwardzonego pasa startowego. Gdybym przyłożyła do niego dłoń, poparzyłabym sobie skórę. Fale ciepłego powietrza wznoszą się nad brukiem, sprawiając, że cały świat wokół mnie wygląda, jakby się trząsł. Ale całkiem możliwe, że to ja trzęsę się z pożądania. Staram się nad sobą panować i nie zerwać do biegu. Staram się jakoś stosownie zachowywać.

Mój związek z Elane Haven to teraz jawny sekret i to w dodatku mało znaczący w porównaniu z niezliczonymi sojuszami i zdradami, które zdają się splatać nasze istnienia.

Mały sekret, ale wstydlivy. Przeszkoda. Utrudnienie.

„W Norcie. W Rowach – mówi głos w mojej głowie. – Ale gdzie indziej już nie”.

Elane nie będzie tu na mnie czekać, żeby wszyscy ją zobaczyli. To nie w jej stylu. Mimo to serce mi łomocze i pulsuje całe ciało.

Ptolemeusz nie ma takich ograniczeń. Stoi na pasie startowym, pocąc się w letnim mundurze z szarego płótna, z umiarkowaną liczbą insygniów. Jedyne metalowy element miga na jego nadgarstku. Grubo pleciony sznur z żelaza, służący bardziej jako broń niż biżuteria. Ostrzeżenie, zwłaszcza przy kilkunastu strażnikach w barwach rodu Samos. Niektórzy z nich to nasi krewni, co można poznać po ich srebrnych włosach i czarnych oczach. Pozostali poprzysięgli wierność naszemu domowi, koronie mojego ojca, tak samo jak strażnicy Mavena. Nawet nie zwracam

uwagi na ich barwy. Nie ma to sensu.

– Eve – mówi Toli, rozpościerając przede mną ramiona.

Odwzajemniam gest i obejmuję go w pasie, pozwalając mięśniom całego ciała w końcu się rozluźnić. Ptolemeusz jest bezpieczny, czuję go w swoich objęciach. Jest cały. Prawdziwy. Żywy.

Teraz bardziej niż kiedykolwiek nie mam zamiaru brać tego za pewnik.

– Toli – szepczę w odpowiedzi, odrywając się od niego, by móc na niego spojrzeć.

W pochmurnych oczach brata pobłyskuje znajoma ulga. Nie znosimy rozłąki. To jak gdyby odłączyć miecz od tarczy.

– Przepraszam, że wyjechałam.

„Nie, nie porzuciłaś go. To oznaczałoby, że miałaś wybór. A nie miałaś”. Zaciskam palce na bicepsie brata. To ojciec wysłał mnie do Montfortu. Chciał w ten sposób przekazać wiadomość. Nie tylko naszej koalicji, ale i mnie. Jest moim królem i władcą mojego domu. Moim obowiązkiem jest słuchać jego rozkazów. Iść tam, gdzie każe, robić, co mówi, poślubić, kogo mi wybierze. Żyć tak, jak sobie życzy.

Nie widzę jednak innego sposobu, innej ścieżki niż ta, którą wyznacza.

– Wiesz, co tu się wyprawiało? – pyta Ptolemeusz, delikatnie mnie od siebie odsuwając. – Ojciec dostał szału na punkcie organizacji prawdziwego dworu. Srebro na wszystkich ścianach. I nie może się zdecydować na tron.

– A matka? – pytam ostrożnie.

Mimo upału Ptolemeusz bierze moją rękę i prowadzi mnie pod ramię do naszego transportera. Za nami ruszają pozostali, ale mało mnie interesują.

– Mniej więcej tak samo – odpowiada. – Naciska na wnuki. Co wieczór odprowadza Elane do mojej komnaty. Wydaje mi się nawet, że stoi pod drzwiami na straży.

Czuję żółć wzbierającą mi w gardle, ale ją przełykam.

– I? – Staram się powstrzymać drżenie w głosie.

Uścisk brata się zacieśnia.

– Robimy tak, jak uzgodniliśmy. – Wstrzymuje oddech. – Musimy, jeśli chcemy, aby ten układ przetrwał.

W mojej piersi szaleje gorąca zielona zazdrość.

Kiedyś sądziłam, że nie będę taka zazdrosna. Wiele miesięcy temu, kiedy nasza trójka podjęła tę decyzję. Kiedy postanowiliśmy dopełnić zaręczyn Elane z moim bratem. Na początku zaręczyny zwyczajnie miały ją chronić. Wyeliminować ją z kręgu zainteresowania innych domów do czasu, aż coś wymyślimy. Nic by nam z tego nie przyszło, gdyby wyszła za jakiegoś mizdrzącego się Strażnika Zieleni z domu Welle albo prostackiego Siłacza z domu Rhambos. W obu przypadkach byłaby poza moim zasięgiem i moją kontrolą. To piękna dziewczyna i utalentowana Cienista. Jej dom ma ogromną wartość. A Ptolemeusz jest następcą domu Samos. Stanowił dobrą partię – zrozumiałą, przewidywalną. Użyteczną na jakiś czas. Gdy nasza trójka uważała, że nie ma innych możliwości. Wciąż byłam wtedy narzeczoną Mavena, skazaną na królewski tron przy jego boku. A Ptolemeusz był jak jego prawa ręka, przebywał blisko dworu. Dzięki temu małżeństwu Elane też pozostałaby blisko.

Nie wiedzieliśmy, jakie intrygi uknuł ojciec. Nie do końca. Nie w szczegółach.

Gdybym wiedziała wtedy to, co wiem teraz... które z naszych decyzji by się zmieniły?

„Ptolemeusz byłby kawalerem. A Elane mogłaby swobodnie udawać się tam, gdzie ty, jej księżniczka. Mogłaby wyjść za kogoś, kogo byś jej wybrała. Nie byłaby przywiązana do twojego brata w innym królestwie, innym kraju, innej sypialni do końca życia”.

Ojciec mógł nas powstrzymać, ale tego nie zrobił. Pozwolił nam popełnić ten błąd. Założę się, że sprawiło mu to przyjemność, że zostałam rozdzielona z jedyną osobą, której pragnę bardziej niż jakiegokolwiek korony.

– Eve? – szepcze Ptolemeusz, nachylając się do mnie. Jest ode mnie wyższy o jakieś piętnaście centymetrów. I bardziej barczysty. Pierworodny syn, starszy ode

mnie o cztery lata. Syn Volvo Samosa, następca tronu Królestwa Rowów.

Kocham swojego brata, ale jego życie zawsze będzie prostsze niż moje. I wolno mi nim z tego powodu gardzić, choć po cichu i tylko trochę.

– Wszystko w porządku – cedzę przez zaciśnięte zęby. Dobrze, że nie mam na sobie zwyczajowych metalowych ozdób, bo obróciłyby się w proch. Kątem oka zauważam, że Toli poprawia bransolety opinające mu nadgarstki. – Wybraliśmy to. Musimy z tym żyć.

Znów odzywa się we mnie dziwny, odległy głos.

„Na pewno?”

We wspomnieniach widzę mignięcie białego i zielonego garnituru, dwóch mężczyzn o dłoniach w różnych kolorach, splecione palce. Przysłaniają mi wzrok, więc przez ostatnie kilka kroków polegam na Ptolemeuszu, który mnie prowadzi. Prawie musi mnie wnieść do transportera.

Wizja Davidsona i Carmadona zostaje zastąpiona inną. Mój brat i Elane w znajomej sypialni. Cień mojej przeklętej matki pod drzwiami. Jest tylko jeden sposób, by pozbyć się obrazu, który za moment wypali mi oczy.

Podczas gdy reszta przybyłych udaje się do nowo urządzonej sali tronowej, aby przywitać się z ojcem tak jak zasługuje na to król, robię coś odwrotnego. Znam Grań jak własną kieszeń, więc bez problemu udaje mi się wymknąć na dziedzińcu audiencyjnym i zniknąć wśród drzew i kwiatów. Ogród służących jest połączony z kuchnią, ledwie zauważam pracujących tam Czerwonych. Schylają głowy i kulą się w mojej obecności, bo doskonale wiedzą, jakie miewam nastroje. Obecnie czuję się jak chmura gradowa, ciemna i złowieszcza, która w każdej chwili może pęknąć.

Elane czeka w moim pokoju. Naszym pokoju, o jasnych oknach i rozsuniętych zasłonach. Siedzi na ławce przy oknie, opierając się o poduszkę i swobodnie kiwając nogą, która pod przezroczystą czarną suknią jest naga aż do uda. Nie odwraca się, aby na mnie spojrzeć, kiedy wchodzę do środka – daje mi czas, którego potrzebuję, by przyzwycząić się do jej obecności.

Śledzę wzrokiem jej nogę, nim przejdę do włosów, rudych i lśniących,

splývających po jej nagich ramionach. Wyglądają jak płynny ogień. Jej skóra jest opromieniona. To umiejętność Elane, jej sztuka. Manipuluje światłem, tak by podkreślić swoje najlepsze cechy. Nie potrzebuje makijażu ani biżuterii. Rzadko czuję się brzydka. Jestem piękna z natury i zamiaru. Ale po długim locie bez zwyczajowej zbroi złożonej z wystawnej sukni i makijażu czuję się przy niej mała. Niegodna. Próbuję zwalczyć w sobie odruch, by uciec do łazienki i trochę się podmalować.

W końcu Elane się odwraca i mogę spojrzeć na jej twarz. Znow dopada mnie wstyd, że przyszedłam do niej taka zaniedbana. Ale pożądanie szybko przegania wszystkie inne uczucia. Elane śmieje się, kiedy kopniakiem zamykam drzwi i idę do niej, by ująć jej twarz w dłonie. Jej skóra jest gładka i chłodna pod moimi palcami, doskonała jak alabaster. Nadal milczy i pozwala mi przyjrzeć się swoim rysom.

– Nie masz korony – mówi, podnosząc dłoń do mojej skroni.

– Nie potrzebuję jej. Wszyscy wiedzą, kim jestem.

Delikatnie muska palcami moje policzki, próbując odegnać moje smutki.

– Spałaś w drodze powrotnej?

Prycham i przejeżdżam kciukami po spodniej stronie jej szczęki.

– Chcesz mi powiedzieć, że wyglądam na zmęczoną?

Dalej gładzi mnie palcami po twarzy i szyi.

– Chcę powiedzieć, że możesz się przespać, jeśli chcesz.

– Spałam wystarczająco długo.

Uśmiecha się nieznacznie, na moment zanim ją pocałuję.

Czuję ból w sercu na myśl, że nie jest naprawdę moja.

*

Ktoś wali pięścią w drzwi. Nie w drzwi salonu, gdzie powinni czekać goście, ale mojej sypialni – naszej sypialni. Podrywam się do siadu i z wściekłością próbuję wyplatać z pościeli. Ruchem nadgarstka przyzywam nóż z komody po

drugiej stronie pokoju i szybko przecinam jedwab, który oplątuje mi nogi.

Elane nawet nie mrugnie, kiedy ostrze przebiega zaledwie dwa centymetry od jej nagiej skóry. Ziewa tylko i przewraca się na drugi bok, wtulając się w poduszkę.

– Co za brak wychowania – mruczy, odnosząc się zarówno do mnie, jak i do tego idioty, który postanowił nam przerwać.

– Mała wprawka, zanim rozprawię się z tym nieszczęśnikiem – odpowiadam, rozcinając ostatnie prześcieradło. – Ktokolwiek stoi za drzwiami, ma dziś pecha.

Wstaję naga, owijam się miękkim szlafrokiem, wciąż trzymając nóż w dłoni.

Pukanie nie ustaje, towarzyszy mu stłumiony głos. Rozpoznaję go i część mojego słusznego gniewu znika. Jednak nie urządzę nikomu karczemnej awantury. Z irytacją rzucam nożem w ścianę i ostrze grzęźnie w drewnie.

– Czego chcesz, Ptolemejuszu? – Wzdycham, otwierając drzwi sypialni.

Wygląda na równie rozchełstanego, jego włosy są rozczochrane, oczy rozpalone. Podejrzewam, że przerwano mu tak samo jak mnie. On i Wren Skonos lubią swoje popołudniowe schadzki.

– Mamy się stawić w sali tronowej – mówi stanowczym głosem. – Natychmiast.

– Ojciec się gniewa, że jeszcze nie ucałowałam jego stóp? Minęło tylko kilka minut.

– Minęły dwie godziny! – woła Elane, nawet nie podnosząc głowy. – Witaj, mężu – mówi, unosząc swoją filigranową dłoń. – Bądź tak miły i każ nam przynieść coś do jedzenia.

Poirytowana, mocniej opasuję się szlafrokiem.

– Na co mam się przygotować? Na publiczne biczowanie? Ojciec w końcu dotrzyma słowa i przybije nasze głowy do bramy? – drwię, śmiejąc się ponuro.

– O dziwo, nie chodzi o ciebie – odpowiada mój brat ostrym i oschłym głosem. – Doszło do ataku.

Szybko obracam się przez ramię. Elane leży na łóżku, częściowo zasłonięta pościelą. Teraz już nie promienieje, bo nie ma sensu się nad tym skupiać, skoro

odpływa w sen. Jest bezbronna, krucha. Narażona nawet na słowa.

– Chodźmy tam – mamroczę do brata i wyciągam go do salonu. Mogę ją chronić przynajmniej przed tym, jeśli przed innymi rzeczami nie potrafię.

Prowadzę go do jednej z kanap obitej tkaniną w chłodnym zielonym odcieniu, pasującym do pagórkowatych krajobrazów za oknem. Podłogi są wyłożone rzeczonymi kamieniami i przysłonięte miękkimi niebieskimi dywanami.

– Co się stało? Gdzie był atak? – Z jakiegoś powodu na myśl przychodzi mi Montfort i czuję ukłucie w sercu.

Ptolemeusz nie siada. Chodzi z miejsca w miejsce, z rękami wspartymi na biodrach. Ściągną w jego przedramionach się napinają.

– Piedmont.

Wymyka mi się prychnięcie.

– Maven to głupiec – mówię ze złością. – Niszczy tylko zasoby Brackena, nie nasze. Nie sądziłam, że jest takim idiotą...

– Maven nie uderzył w Brackena – przerywa mi brat. – To Bracken uderzył w nas. W bazę w Piedmoncie. Dwie godziny temu, ale dopiero teraz dostaliśmy wezwanie o pomoc.

– Co? – Mrugam powiekami, wpatrując się w niego ze szczerym zdziwieniem. Mocno zaciskam pod szyją kołnierz szlafroka. Jak gdyby jedwab mógł mnie przed czymkolwiek osłonić.

– Odciał bazę, najechał ją własną armią oraz siłami lojalnych wobec niego piedmonckich książąt. Odbiera ją sobie. Zabija wszystkich, na których się napatoczy. Czerwonych Nortńczyków, Srebrnych z Montfortu. Nowych. – Ptolemeusz szybkim krokiem podchodzi do okna i kładzie dłoń na szybie. Patrzy na wschód, na zasnutą parną mgłą popołudnie. – Podejrzewamy, że pomagają mu Maven i Lakelandia.

Spuszczam wzrok i spoglądam na swoje nagie stopy na dywanie.

– Ale jego dzieci. Montfort je zabije.

„Co za wymiana? Dzieci za koronę”. Zastanawiam się, czy mój ojciec

dokonałby takiego samego wyboru.

Ptolemeusz powoli kręci głową.

– Otrzymaliśmy też wiadomość z Montfortu. Dzieci... zniknęły. Zostały zastąpione zwłokami Czerwonych, ukształtowanych tak, by wyglądały jak księżniczka Charlotta i książę Michael. Ktoś się do nich przedostał i ich uwolnił – mówi niskim, gardłowym głosem. – Idioci z Montfortu nie wiedzą, jak to się stało. Jak ktoś mógł się przedrzeć przez ich wspaniałe góry i niepostrzeżenie stamtąd wymknąć.

Macham ręką, nawet się nad tym nie zastanawiając. To teraz bez znaczenia.

– Czyli z Piedmontem koniec?

Ptolemeusz napina szczękę.

– Piedmont jest teraz z Montfortem.

– Co możemy zrobić? – Wciągam w płuca długi wdech. W głowie mam gonitwę myśli.

W Piedmoncie pozostał garnizon, żołnierze ze Szkarłatnej Gwardii i z Montfortu. Czerwoni, Nowi i Srebrni – ludzie potrzebni w naszej armii. Zaciskam zęby, zastanawiając się, ilu mogło przetrwać.

Przynajmniej armia mojego ojca w całości powróciła do Rowów po zniszczeniu Corvium. Tak samo, jeśli chodzi o oddziały Anabel. Srebrna siła została zachowana, ale utrata bazy – i Piedmontu – będzie miała katastrofalne konsekwencje.

Cieężko przełykam ślinę, a mój głos trzęsie się, kiedy znów się odzywam.

– Co możemy zrobić, by przeciwstawić się Lakelandii, Norcie Mavena i Piedmontowi?

Mój brat posępnie, na widok czego przeszywa mnie głęboki dreszcz.

– Wkrótce się dowiemy.

ROZDZIAŁ 13

IRIS

Nigdy nie byłam tak daleko na południe.

W piedmonckiej bazie jest tak parno, że mam wrażenie, iż mogłabym walczyć samym powietrzem. Moje nagie ramiona mrowią od wilgoci, a maleńkie kropelki, które przemieszczają się po mojej skórze, są zbyt drobne, by można je było zobaczyć gołym okiem. Nieco się przeciągam i rysuję palcami maleńkie koła, wzburzając nadmierny żar, który wisi nad balkonem kwatery głównej bazy.

Po niebie nad mokradłami biegną burzowe chmury, ciągną za sobą szare cienie zacinającego deszczu. Raz czy dwa razy po niebie rozchodzi się piorun, a odległy grzmot dolatuje do nas po czterech czy pięciu sekundach. Lekki wiatr pachnie pożarami ugaszonymi przez przechodzący deszcz, a dym snuje się nad głównym wjazdem do bazy. Żołnierze Brackena wmaszerowali tu przez otwarte bramy, zanim wywrócili wszystko do góry nogami za pomocą ataku Zwinnych i Siłaczy, pokazując, do kogo należy ich kupiona lojalność. Do Mavena. I do mnie.

Król Norty kładzie swoje zbieleńsze dłonie na poręczu balkonu i wychyla się kilka centymetrów nad krawędź.

Jesteśmy na pierwszym piętrze. Jeśli wypchnę go za balustradę, przeżyje, choć złamie sobie kilka kości. Maven mruży powieki, jego ciemne brwi mierzwią się pod prostą koroną z żelaza i rubinów. Nie ma dziś peleryny. Jest zbyt gorąco. Nosi zwyczajowy czarny mundur rozpięty przy szyi, którego tkanina powiewa lekko na słabym wilgotnym wietrze. Ma na karku błyszczący pot. Nie z gorąca. Płomienny król powinien się czuć swobodnie w takiej temperaturze. Pot nie jest też wynikiem wyczerpania. Maven nie brał udziału w przejściu bazy. Ja też nie, choć

oba nasze narody użyczyły Brackenowi swoich Srebrnych żołnierzy. Czekaliśmy, aż sytuacja będzie jasna, a zwycięstwo przesądzone, zanim postanowiliśmy się tu pojawić.

Myślę, że Maven się denerwuje. Boi. I jest wściekły.

„Nie było jej tu”.

Przyglądam się mu w milczeniu, czekając, aż coś powie. Jego gardło porusza się pomiędzy rozpiętymi częściami kołnierzyka. Mimo odniesionego zwycięstwa wygląda na dziwnie bezbronnego.

– Ilu zdołało uciec? – pyta, nie spoglądając mi w oczy. Nadal wpatruje się w burzę.

Tłumię w sobie nagłe poirytowanie. Nie jestem jakimś tam porucznikiem, asystentem oficera, który ma stać z boku i podawać statystyki. Ale odpowiadam mu, dodając do tego wąski uśmiech.

– Stu zbiegło na bagna – mówię i muskam dłonią kwiaty kwitnące w skrzynkach wzdłuż balkonu.

Ziemia wokół nich jest nadal mokra, podlana przez przechodzące deszcze i szczególnie nadgorliwego ogrodnika. Za naszymi plecami więcej kwiatów pnie się po ceglanych ścianach i kolumnach budynku administracyjnego. Piedmontczycy kochają rośliny. Ten klimat najwyraźniej służy kwiatom, które rosną tu bujnie we wszystkich kolorach. Białe, żółte, fioletowe, różowe i trochę przynoszących mi pociechę niebieskich. Słońce nad nami nabiera siły i zaczynam żałować, że nie mam na sobie białej sukienki zamiast królewskiego błękitu. Tkanina jest przynajmniej na tyle lekka, że czuję wiatr na swojej skórze.

Maven zrywa pojedynczy kwiat w kolorze indyga, który rośnie obok niego.

– A kolejnych dwustu nie żyje. – To nie jest pytanie. Maven doskonale zna liczbę ofiar śmiertelnych.

– Próbuje ich teraz zidentyfikować.

Wzrusza ramionami.

– Wykorzystajcie więźniów. Może wykonają robotę za nas.

– Wątpię – odpowiadam. – Szkarłatna Gwardia i Montfortczycy są bardzo lojalni. Nie kiwną palcem, żeby nam pomóc.

Maven prostuje plecy, wydając z siebie długie, niskie westchnienie, i odpycha się od poręczy balkonu. Przymruża oczy, gdy w oddali znów rozbłyskuje piorun, tym razem bliższy. Z jego twarzy odpływają resztki krwi, kiedy dobiega nas huk grzmotu. „Czy myślisz teraz o dziewczynie od błyskawic?”

– Mam krewnych z domu Merandus, którzy to ocenią.

Zaciskam zęby.

– Wiesz, co sędzę o Szeptaczach – mówię za szybko i za ostro. „Jego matka była jedną z nich”, przypominam sobie i szykuję się na reprimendę.

Ale Maven nic nie odpowiada. Kładzie kwiat na balustradzie płatkami do góry i spogląda na swoje paznokcie. Są krótkie i obgryzione z niepokoju. Spodziewałabym się, że król będzie miał idealnie wypielęgnowane dłonie, pasujące do podłokietników tronu. Albo może starte przez treningi i w walce, tak jak z pewnością jest w przypadku jego brata. Niezaniedbane przez dziecinne, nerwowe nawyki.

– I chyba wiem, jak się czujesz, Mavlenie. – Słyszę własny głos. Ośmielam się wyciągnąć jedną ze swoich licznych kart na stół.

Znów nie odpowiada i domyślam się, że mam rację. Cokolwiek zrobiła jego matka, jakkolwiek Szeptacze przeczołgali się przez jego mózg, zostawiło to w nim głębokie ślady i blizny. Nie chce ryzykować kolejnych.

Wyczuwam pęknięcie w jego zbroi, dziurę w murze, którym się od wszystkich odgradza. „Może udałoby mi się prześlizgnąć na drugą stronę? Może udałoby mi się zawładnąć jakąś jego częścią, tak jak udało się to Mare Barrow? Czy byłabym w stanie utrzymać króla w ryzach?”

– Możemy usunąć ich z dworu, jeśli chcesz – mówię cicho. Próbuję przybrać łagodniejszą, bardziej troskliwą minę, jednocześnie przysuwając się bliżej niego. Nachylam się tak, by wystawał mi obojczyk, a sukienka zsunęła się, ukazując dekolt. – Zrzuć winę na mnie. Na moje lakelandzkie uprzedzenia. Powiedz, że

tymczasowo próbujesz zadowolić swoją nową żonę.

Czuję się tak, jakbym obracała wirem, starając się trzymać jego krawędzi. Pozostać w jego granicach, ale się nie utopić.

Maven unosi kącik ust. Ma zdecydowany profil – ostrą krawędź prostego nosa, dumną brew, wydatne kości policzkowe.

– Masz dziewiętnaście lat, prawda Iris?

Mrugam powiekami ze zmieszaniem.

– A co?

Maven uśmiecha się szeroko i porusza szybciej, niżbym się spodziewała. Przykłada dłoń do mojej twarzy. Wzdrygam się, gdy jego palce wędrują za moje ucho, a kciuk pod brodę. Wbija się nim w miękkie tkanki gardła. Jego skóra robi się gorąca, ale nie pali. Jesteśmy prawie takiego samego wzrostu, choć Maven ma nade mną ze dwa lub trzy centymetry przewagi, przez co muszę unieść wzrok ku jego oczom koloru burego nieba. Lodowatym, bezlitosnym, nieskończonym. Gdyby ktoś się nam przyglądał, uznalby, że wpatrujemy się w siebie jak para zakochanych nowożeńców.

– Jesteś w tym już już bardzo dobra – mówi, a ja czuję na twarzy jego zaskakująco chłodny oddech. – Ale ja też.

Robię krok w tył, chcąc wyrwać się z jego uścisku, ale Maven sam mnie puszcza, zanim zacznę stawiać opór. Wydaje się rozbawiony, przez co robi mi się niedobrze. Nie okazuję obrzydzenia. Jestem jedynie chłodna i obojętna. Unoszę brew i zagarniam lśniące czernią i idealnie gładkie włosy na ramię. Staram się być równie majestatyczna i nieustraszona, jak matka.

– Jeszcze raz dotkniesz mnie bez mojej zgody, a sprawdzimy, jak długo jesteś w stanie wstrzymać oddech pod wodą.

Maven powoli unosi kwiatek i jego palce zaciskają się wokół niego w pięść. Płatki opadają jeden po drugim, a on ruchem nadgarstka odpala bransoletę. Płatki spalają się na popiół, nim zdążą opaść na ziemię, znikają wśród nagłych wybuchów czerwonych płomieni i popiołu.

– Wybacz, moja droga – mówi, uśmiechając się. Kłamiąc. – Stres powodowany tą wojną rujnuje mi nerwy. Mam jedynie nadzieję, że mój brat w końcu przejrzy na oczy, a zdrajców po jego stronie dosięgnie sprawiedliwość, żebyśmy wreszcie mogli zaznać w naszych krajach trochę spokoju.

– Oczywiście. – Moje słowa są równie fałszywe, jak jego. Schylam głowę, ignorując wstyd, który przy tym czuję. – Pokój jest naszym wspólnym celem.

„Po tym, jak moja matka pożre twój kraj i wrzuci twój tron do oceanu. Po tym, jak damy królowi Samosowi wykrwawić się do ostatniej kropli i zabijemy każdego, kto miał związek ze śmiercią mojego ojca.

Po tym, jak odbierzemy ci koronę, Mavenie Calore, i utopimy ciebie oraz twojego brata”.

– Wasza Wysokość?

Odwracamy się i widzimy jednego z wartowników Mavena w czarnej lśniącej masce, stojącego w drzwiach balkonowych. Nisko się kłania, jego szaty wyglądają jak tkany ogień. Nie potrafię sobie nawet wyobrazić, jak gorąco musi mu być w tym stroju.

Maven przywołuje go otwartą dłonią. Jego głos jest jak kubeł lodowatej wody.

– O co chodzi?

– Zlokalizowaliśmy to, o co prosiłeś.

Widzę pod maską tylko oczy wartownika, które błyskają strachem.

– Jesteś pewien? – Król znów zaczyna się przyglądać swoim paznokciom, udając brak zainteresowania.

Moje za to tylko rośnie.

– Tak, Wasza Wysokość – odpowiada wartownik, kiwając głową.

Maven z cierpkim uśmiechem podnosi wzrok znad dłoni i odwraca się, by z powrotem oprzeć się o poręcz.

– W takim razie prowadź.

– Tak jest – odpowiada wartownik, znów kiwając głową.

– Dołączysz do mnie, Iris? – pyta Maven, wyciągając dłoń. Jego palce wiszą

w powietrzu jakiś centymetr od mojej ręki, kusząc mnie.

Wszelkie instynkty wojowniczkę podpowiadają mi, bym odmówiła. Ale wtedy otwarcie przyznałabym, że boję się Mavena Calore, i dałabym mu nad sobą władzę. Nie mogę na to pozwolić. A to, czego szuka w piedmonckiej bazie, cokolwiek to jest, może mieć znaczenie dla Lakelandii. Może to broń. Może ważne informacje.

– Czemu nie – odpowiadam z przesadzonym wzruszeniem ramion.

Ignoruję jego rękę i schodzę za wartownikiem z balkonu. Gdy się obracam, ukazuję głęboki dekolt na plecach, który odsłania wytatuowane na nich wiry wody.

Baza jest sporych rozmiarów, choć o połowę mniejsza niż cytadele, w których trzymamy w Lakelandii nasze floty i wojska. Gdziekolwiek się wybieramy, musi to być blisko, bo kontyngent wartowników Mavena nie przyprowadza ze sobą transportera. Szkoda. Mimo licznych drzew biegnących wzdłuż ulic bazy w cieniu nie jest tu o wiele chłodniej niż na skąpanych w słońcu ulicach. Przejeżdżam dłonią po szyi. Moje palce zostawiają po sobie krople wody, które spływają po nagich plecach, przynosząc chwilową ulgę.

Maven, z rękami w kieszeniach, prawie drepcze po piętach prowadzącemu nas wartownikowi. Niecierpliwi się. Chce tego, co wkrótce mamy zobaczyć.

Prowadzą nas na ulicę, wzdłuż której ciągną się domy szeregowe. Na początku miejsce wydaje się dziwnie pogodne. Czerwona cegła i czarne okiennice, brukowane chodniki, kwitnące kwiaty i kolumny przystrzyżonych drzew. Ale pustka jest niepokojąca, przywodzi na myśl dzielnicę w mieście, z której wysiedlono wszystkich mieszkańców. Ludzie, którzy tu mieszkali, albo zostali zabici, albo schwytani, albo uciekli na śmierdzące bagna. Możliwe, że zostawili za sobą coś wartościowego.

– To były domy oficerów – tłumaczy jeden z wartowników. – Przed okupacją.

Spoglądam na niego i unoszę brew.

– A potem?

– Korzystali z nich wrogowie. Czerwone szczury, zdrajcy, Nowe dziwadła – syczy zza maski.

Maven zatrzymuje się tak szybko, że jego skórzane buty zostawiają czarne ślady na chodniku. Odwraca się do wartownika, nadal nie odsłaniając dłoni. Jest od niego znacznie niższy, ale nie wygląda na zaniepokojonego tym faktem. Na jego twarzy właściwie nie malują się żadne emocje.

– Co powiedziałaś, wartowniku Rhambos?

„Siłacz”. Wartownik, gdyby zechciał, mógłby oderwać Mavenowi rękę. Ale jego brązowe oczy robią się wielkie i pełne strachu.

– Nic ważnego, Wasza Wysokość.

– To ja decyduję, co tu jest ważne – ucina Maven. – Co powiedziałaś?

– Odpowiedziałem na pytanie Jej Wysokości. – Przerzuca na mnie wzrok, błagając o pomoc, ale nie mogę jej udzielić: wartownicy znajdują się pod przywództwem Mavena. – Powiedziałem, że podczas montforckiej okupacji mieszkali tu Czerwoni. I Srebrni. I Nowi.

– Szczury. Zdrajcy. Dziwadła – dopowiada Maven, wciąż nie okazując żadnych emocji.

Prawie życzę sobie, by Maven wpadł w szal. Teraz jest o wiele bardziej przerażający. Król, którego emocji nie można odczytać, król, który niczego w sobie nie ma.

– Tak dokładnie brzmiały twoje słowa, zgadza się?

– Zgadza się, Wasza Wysokość.

Maven odwraca głowę w stronę innego wartownika, aż słyhać, jak strzela mu w karku.

– Wartowniczo Osanos, możesz wyjaśnić, dlaczego to był błąd?

Niebieskooka Wodniaczka zaczyna coś bełkotać, zaskoczona, że została wywołana do odpowiedzi. Próbuje szybko wziąć się w garść i odpowiedzieć prawidłowo.

– Ponieważ... – Milknie i widzę, jak pod szatami drżą jej palce. – Przykro mi, nie potrafię.

– Hmm – mruczy gardłowo Maven, a jego głos wibruje w wilgotnym

powietrzu. – Nikt nie wie.

„Szczерze nim gardzę”.

Cmokam językiem.

– Ponieważ wartownik Rhambos obraził Mare Barrow w twojej obecności.

Nagle żałuję tego, że chciałam, by Maven okazał złość zamiast pustki. Jego oczy robią się czarne, źrenice rozdymają z wściekłości. Usta lekko się rozchylają, ukazując przednie zęby, choć spodziewałabym się zobaczyć też kły. Wartownicy wokół nas naprężają się, a ja dumam, czy spróbowaliby go powstrzymać, gdyby mnie zaatakował. Nie sądzę. Podlegają mnie, ale Maven jest na pierwszym miejscu. „W tym małżeństwie zawsze będzie na pierwszym miejscu”.

– Moja żona ma taką bujną wyobraźnię – prycha, choć trafiłam w sedno.

A prawda bywa bolesna. Wiedziałam, że Maven ma obsesję na punkcie Mare, ale jego reakcja wskazuje na coś głębszego. Wewnętrzną wadę, którą wyrządził ktoś inny. Jego matka zrobiła mu to z powodów, których nie potrafię sobie uzmysłwić. Przebiła jego serce i umysł potwornym bólem, którym jest miłość do Mare Barrow.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi czuję wobec Mavena Calore odrobinę litości. To nie jego wina, że się taki stał. Nie do końca. Został rozłożony na kawałki rękami kogoś innego, a potem kiepsko złożony znowu w całość.

Jego złość mija jak burzowe chmury, pozostawiając za sobą groźbę drżącego pioruna. Wartownicy się rozluźniają. Maven ściąga ramiona i przeczesuje włosy dłonią.

– Twój błąd, wartowniku, tkwi w twojej pogardzie – mówi, posługując się lekceważącym chłopięcym tonem, którego używa, gdy chce zagnać kogoś w sidła. Rusza przed siebie, więc wszyscy znów zaczynamy iść, choć odnoszę wrażenie, że wartownicy trzymają się na dystans. – Owszem, jesteśmy w stanie wojny, a ci ludzie to nasi wrogowie. Ale to nadal ludzie. Wielu z nich to moi prawowici poddani i twoi rodacy. Kiedy zwyciężymy, powitamy ich z powrotem w królestwie Norty. Oczywiście z pewnymi wyjątkami – dodaje z porozumiewawczym

uśmieszkiem.

Kłamię z taką łatwością i wprawą, że mimo upału przeszywa mnie dreszcz.

– To tutaj, Wasza Wysokość – mówi w końcu jeden z wartowników, pokazując na dom szeregowy, który z początku wydaje się wyglądać dokładnie jak pozostałe.

Ale gdy baczniej się przyjrzę, zauważam, że kwiaty są bardziej wypielęgnowane. Jaskrawe bujne płatki i zielone liście wylewają się z donic pod oknami.

Maven wpatruje się w szyby, jak gdyby patrzył na zwłoki. Powoli wchodzi po stopniach prowadzących do drzwi.

– A jakie dziwadło tutaj mieszkało? – pyta w końcu.

Na początku wartownicy nie odpowiadają. Boją się, że to podchwytliwe pytanie.

Tylko Osanos jest na tyle odważna, żeby się odezwać.

– Mare Barrow.

Maven kiwa głową, na moment się zatrzymując. Następnie podnosi stopę i wali nią tuż obok gałki w drzwiach, wyłamując zamek i roztrzaskując drewnianą framugę. Gdy wkracza do domu, jego sylwetka przypomina słabnący cień.

Przez moment stoję na chodniku. „Zostań tu”. Wartownicy wahają się tak samo jak ja, nie palą się do tego, by podążyć za swoim władcą. Choć niczego nie chciałabym bardziej niż tego, by na Mavena wyskoczył z szafy jakiś zamachowiec i podciął mu gardło, wiem, że to zniszczyłoby nasze wszelkie szanse na wygranie wojny i zapewnienie Lakelandii ochrony przed jego bratem i jego sprzymierzeńcami z Rowów.

– Za nim – warczę, wchodząc na schody.

Wartownicy ruszają wraz ze mną, a ich zbroje brzęczą pod ognistymi pelerynami.

Skupiam się na ich odgłosach, gdy wchodzimy do przyćmionego, opuszczonego wnętrza. Ściany są dziwnie puste. Bracken wspominał, że jego baza i wiele skarbców zostały wyczyszczone z kosztowności. Sprzedane za zasoby

wojenne. Krzywię się na myśl o tym, że mój dom miałby się znaleźć na łasce takich sępów. Nasze kaplice i świątynie zbezczeszczone po to, by opłacić wojnę. „Nie, póki żyję. Nie, póki na tronie zasiada moja matka”.

Nie wchodzę do małego salonu ani nie szukam kuchni. Kroki Mavena niosą się echem po schodach, idę więc za nim na górę, a wraz ze mną wartownicy. Jeśli król chce być sam, to nam tego nie komunikuje.

Z impetem otwiera każde drzwi na piętrze i wtyka głowę do sypialni, szaf, łazienki. Raz czy dwa warczy pod nosem jak drapieżnik, któremu uciekła zwierzyna.

Waha się, zanim otworzy ostatnie drzwi.

Ostatecznie otwiera je delikatnie, jak gdyby wchodził do miejsca kultu.

Przez moment trzymam się z tyłu, dając mu pójść przodem.

W środku sypialni znajdują się dwa łóżka stojące po przeciwnych stronach okna. Najpierw zauważam dziwne rzeczy. Wzorzyste zasłony zostały równo pocięte, a część materiału usunięto.

– Siostra – mamrocze Maven, gładząc dłonią postrzępioną krawędź. – Szwaczka.

Kiedy przeciąga tkaninę pomiędzy palcami, z jego bransolety tryskają iskry. Zasłony zajmują się ogniem. Dziury wypalane przez płomień rozprzestrzeniają się po tkaninie jak choroba. Czuję w nozdrzach gryzący zapach dymu.

Maven to samo robi z tapetą, pod jego dotykiem pali się i odchodzi od ściany. Następnie przykłada do szyby swoją rozpaloną dłoń. Szkło pęka pod jej ogromną temperaturą i wybucha na zewnątrz, w świetle słońca. Pokój wydaje się wrzeć, jak wewnątrz rozgrzanego garnka. Powinnam stąd wyjść, ale chcę go zobaczyć. Mavena. Muszę wiedzieć, kim jest, jeśli chcę go pokonać.

Ignoruje pierwsze łóżko, skądś wiedząc, że nie należało do niej.

Siada na drugim, jak gdyby testował jego twardość. Wygładza dłońmi narzutę, a potem poduszkę. Gładzi miejsca, w których leżała jej głowa. Mam wrażenie, że lada moment się położy i zacznie wdychać zapach, który pozostał w pościeli.

Ale pochłania je jego ogień. Pierze i poszewki. Drewnianą ramę łóżka. Płomienie szybko przeskakują na drugi materac.

– Proszę, dajcie mi chwilę – szepcze tak cicho, że ledwie go słyszę przy głośnym skwierczeniu kontrolowanych płomieni.

Robimy, o co prosi nas Maven, i uciekamy przed lśniącym ogniem.

Wystarczy mu minuta. Ledwie zdążymy wyjść na ulicę, kiedy wyłania się przez frontowe drzwi, a za nim do życia budzi się piekielny pożar.

Nagle zauważam, że pocę się ze strachu, gdy szeregowiec za nami zamienia się w kupę gruzu.

Co w następnej kolejności spali Maven?

*

Warkot transporterów niesie się echem przed bunkier więzienny. To pewnie powracające patrole. Zastanawiam się, czy złapano kogoś na bagnach. Hałas przedostaje się przez wysoko osadzone okna w ścianach z betonowych płyt. Bunkier, który częściowo znajduje się pod ziemią, jest chłodny i przedzielony długim korytarzem, a po obu stronach ciągną się cele. Zgodnie z oficjalnym sprawozdaniem przetrzymujemy tu czterdziestu siedmiu więźniów, po dwóch lub trzech na celę. Wszyscy są Czerwonej krwi, ale pilnują ich Srebrni. Niektórzy z nich mogą być Nowi i cierpliwie czekają na szansę, by wykorzystać swoje umiejętności do ucieczki. Srebrni z Montfortu – zdrajcy krwi, jak nazywają ich wartownicy – są przetrzymywani gdzie indziej, pod pieczęcią Uciszaczy i naszych najsilniejszych strażników.

Maven leniwie uderza palcami o pręty, gdy przechodzimy wzdłuż cel. Więźniowie szybko się cofają lub stoją nieruchomo, okazując wobec króla Norty lęk lub krnąbrność. O dziwo Maven wydaje się bardzo rozluźniony w tym środowisku. Zdaje się ledwie zauważać przetrzymywanych.

Ja robię coś przeciwnego. Przeliczam Czerwonych, by sprawdzić, czy oficjalny raport się zgadza. Szukam oznak buntu lub determinacji, które mogłyby mieć

niepożądane rezultaty. Żałuję, że nie jestem w stanie odróżnić Czerwonych od Nowych. Czuję dyskomfort, przechodząc przed celami, bo mam świadomość, że w każdej z nich może się czaić wąż.

Z przeciwległego końca bunkra podchodzi do nas kontyngent Srebrnych oznaczonych żółcią, bielą i fioletem, wszyscy w złotych zbrojach i z bronią, która lepiej pasowałaby jako dekoracja sali bankietowej. Książę Bracken uśmiecha się szeroko, ale dzieci, które trzymają go za ręce, kulą się w sobie. Michael i Charlotta na przemian chowają twarze w pasiastych szatach ojca lub wpatrują się w swoje złote buty.

Czuję smutek, gdy pomyślę o tym, czego doświadczyły te dzieci z rąk montforckich potworów, ale jednocześnie cieszę się, że mają się na tyle dobrze, by towarzyszyć ojcu. Kiedy wymknęliśmy się wraz z nimi z górskiego królestwa, ledwie były w stanie mówić, choć pracował nad nimi świetny Uzdrowiciel. Bo żaden Uzdrowiciel Ciał nie uleczy umysłu.

„Gdyby tylko”, myślę sobie, zerkając z ukosa na swojego męża.

– Witaj, książę – mówi Maven, pochylając głowę i wymuszając z siebie tyle uroku, ile tylko jest w stanie. Następnie schyla się do dzieci. – A to zapewne Michael i Charlotta. Najdzielniejsze rodzeństwo, o jakim słyszałem.

Michael znów chowa twarz, ale Charlotta posyła królowi nieznaczny uśmiech. Wynika on z grzeczności i pewnie został wpojony dziewczynce przez jakiegoś nauczyciela dobrych manier.

– Dzieci rzeczywiście były bardzo dzielne – mówię, puszczając im oko.

Bracken staje przede mną, wciąż się uśmiechając, a jego strażnicy oraz świta zatrzymują się wraz z nim. Zauważam wśród nich kolejnego piedmonckiego księcia, którego wyróżnia korona ze szmaragdów, ale nie wiem kto to.

– Wasze Królewskie Mości – mówi Bracken, zamachując się ręką w bardzo niskim ukłonie.

Dzieci, które wciąż trzymają go za palce, robią to samo z wyćwiczoną gracją. Nawet nieśmiały, trzęsący się ze strachu Michael.

– Nie ma tylu słów i złota na świecie, by wyrazić moją wdzięczność, ale możecie być pewni, że ją macie. – Książę przenosi na mnie wzrok i gdy nasze oczy się spotykają, unoszę podbródek.

Przyniosłam mu dzieci na rękach. Nigdy mi tego nie zapomni.

– Możecie korzystać w tej wojnie z wszelkich moich zasobów militarnych i wszelkich innych środków, jakie ma Piedmont.

Maven ruchem palców nakazuje Brackenowi wstać.

– A ty masz moją wdzięczność za tę gwarancję – odpowiada Maven niczym najlepszy aktor. – Razem możemy dokończyć to, co rozpoczął mój brat.

Coś błyska w oku Brackena. Może rozbawienie. Czy widzi to ewidentne kłamstwo? „Jakkolwiek na to patrzeć, Tyberiasz Calore nie rozpoczął tej wojny. To grzech Czerwonych buntowników”. Przełykam ślinę, bo czuję nagłą suchość w gardle. Szkarłatna Gwardia powstała w Lakelandii, w reakcji na konieczne działania, które podjął mój ojciec. Nawet jeśli są grzesznikami, umożliwiliśmy im istnienie, pozwoliliśmy się im rozprzestrzenić. Mamy swój udział w tym grzechu i wstydzie.

– Wraz z Lakelandią – dodaje Bracken.

Widzę u księcia kolejny przebłysk rozbawienia i czuję ciepło uderzające mi do policzków.

– Oczywiście. W pełni popieramy Mavena Calore.

„Przy możliwie najmniejszym nakładzie sił. Mniej oddziałów, mniej broni, mniej pieniędzy. Resztę zachłannie zachowujemy dla siebie na odpowiedni moment”.

Moje policzki są gorące jak ogień, kiedy Maven daje mi przelotnego, ale znaczącego całusa.

– Dobrana z nas para, czyż nie? – mówi, odwracając się do Brackena.

Duszę w sobie chęć, by dotrzymać słowa i przygwoździć Mavena do podłogi, by utopić go ku własnej uciechu.

– Rzeczywiście – mamrocze Bracken, spoglądając na nas swoimi czarnymi

oczami. – Niestety wygląda na to, że nie robimy zbyt wielkich postępów. Wysłaliśmy po Szeptaczy i Piewców z kraju księcia Denniarde’a. – Pokazuje na mężczyznę stojącego za jego plecami w olśniewających szmaragdach i przezroczystym zielonym jedwabiu. – Jeszcze nie przyjechali, a nie chcę pogarszać stanu żadnego z więźniów, zanim nie zostaną odpowiednio przesłuchani.

Odwracam się do najbliższej celi, licząc na to, że ukryję swoje obrzydzenie na wieść, że pojawią się tu Szeptacze i Piewcy. Nie można ufać żadnym z nich, ale trzymam język za zębami.

Mężczyzna z jednej z cel gapi się na mnie, jego oczy w słabym świetle bunkra wyglądają jak rozżarzone węgle. Jego skóra jest brązowa tak jak moja, choć ma rudawy odcień, a czarne włosy równie kręcone, jak natłuszczona, przyczesana broda. Uniform ma barwę montforckiej zieleni. Miejscami jest podarty, brakuje mu kawałków tkaniny na piersiach i ramionach. Widzę wiszące pęknięte nitki po usuniętych insygniach i odznaczeniach. Przymrużam oczy i on robi to samo.

– Jaką masz rangę, żołnierzu? – pytam z drwiną, podchodząc do krat.

Bracken i Maven za mną milkną.

Brodaty mężczyzna nie odpowiada. Gdy podchodzę bliżej, zauważam, że ma bliznę pod okiem. Jest zbyt równa, by mogła być dziełem przypadku. To dobrze wygojona idealnie prosta linia.

Pokazuję na nią podbródkiem.

– Ktoś zrobił ci to znamię, prawda?

– Mówisz tak, jak gdyby to, że złapał mnie Srebrny i oszpecił mi twarz, było darem – odpowiada powoli. Jego słowa są dziwnie nienaturalne, rozdzielone. Jakby musiał przemyśleć każde z nich, zanim wypłynie z jego ust.

Jeszcze raz przyglądam się bliźnie. Zastanawiam się, co zrobił albo czego nie zrobił, że zasłużył sobie na taką karę.

– Kiedy pojawią się Szeptacze – mówię, spoglądając przez ramię na Brackena – zacznijcie od niego. Jest wyższy rangą. Będzie wiedział więcej niż pozostali.

Mavenowi drżą usta i mój mąż prawie się uśmiecha.

– Oczywiście – odpowiada Bracken. – Zaczniemy od tego niemądrego Czerwonego, prawda? – ćwierka do swoich dzieci, wyprowadzając je z bunkra.

Zgodnie kiwają głowami. Wyglądają na mniej niż dziesięć i osiem lat.

– Wtedy zobaczycie, że nie ma się czego bać. Teraz już nie. Oni są dla was niczym. Niczym.

Michael raz jeszcze chowa twarz i wtyka głowę pod ramię ojca.

Tymczasem Charlotta zadziera swój mały podbródek. Po jej brązowej skórze są rozrzucone drobne piegi. W Montforcie jej włosy były uczesane w prosty ciasny kok. Tu jest ubrana jak prawdziwa księżniczka: w sukienkę z białego jedwabiu, a liczne warkocze ozdobiono ametystowymi spinkami. Patrząc, jak biały rąbek ciągnie się za nią po betonie. Jej strój przypomina mi suknię panny młodej, dlatego zastanawiam się, komu zostanie kiedyś oddana, tak jak ja.

Idziemy dalej, zaglądając do cel, a ja powracam do liczenia. Maven raz po raz wymachuje rękami, jakby się cieszył. Czyli jednak zwycięstwo miało jakiś efekt.

– Nie wiedziałam, że jesteś zdolny do odczuwania szczęścia – mamroczę, na co Maven zaczyna się głośno śmiać.

Czuję ostre ukłucie.

Uśmiecha się do mnie nieżyczliwie, z dzikim, szaleńczym błyskiem w oku.

– Świetnie naśladujesz Mare Barrow.

Prycham w odpowiedzi i postanawiam wbić mu szpilę.

– Skoro chcesz, żeby była twoją królową, równie dobrze mogę ją udawać.

Maven znów się śmieje. Przygląda mi się, jak gdyby studiował dzieło sztuki.

– Czy to zazdrość, Iris?

Naprężam się pod jego spojrzeniem, moje mięśnie robią się twarde jak stal.

– Raczej nie. – Wzdycha, wciąż się uśmiechając. – Tak jak powiedziałem wcześniej, dobrana z nas para.

„Coś ci się pomyliło”.

– Ktoś o mnie mówił?

Maven staje jak wryty i ściąga brwi z nieudawanym zmieszaniem. Przechyla

głowę na bok i obraca się przez ramię, spoglądając z niedowierzaniem na celę za nami.

Głos należy do brodatego mężczyzny. Opiera się o kraty, a jego ręce dyndają nad centralnym przejściem. Spogląda na nas, unosząc brew, jak gdyby rzucał nam wyzwanie.

– Słyszałeś, Mavenie. – Znów się odzywa, ale jego głos jest inny niż wcześniej. Wciąż jego własny, ale silniejszy, szybszy, potężniejszy. Ostrze o kamień.

Patrzymy na niego w osłupieniu. A przynajmniej ja tak na niego patrzę.

Maven wydaje się rozdarty pomiędzy morderczą wściekłością a... nadzieją?

Mężczyzna szeroko się uśmiecha.

Słyszę kość zgrzytającą o kość. Ścierające się zęby. Maven cedzi przez zaciśniętą szczękę tylko jedno słowo:

– Mare.

ROZDZIAŁ 14

MARE

– On wie, że to ty.

Wszyscy zdajemy się robić wdech w tym samym momencie, a mój jest bardzo niepewny. Nagle mały pokój w pałacu Samosów wydaje się zdecydowanie za ciasny. Instyktownie przerzucam wzrok na Farley, która odwzajemnia moje spojrzenie. Jej gardło napina się, gdy ciężko przełyka ślinę, a ja śledzę jego ruch. Widzę, jak z determinacją hartuje się na moich oczach.

Przygryzam wargę i żałuję, że nie mogę tego zrobić sama. Farley nigdzie się jednak nie wybiera i staje nad Ibarem. Na tyle blisko, żeby wszystko zakończyć, jeśli sprawy wymkną się spod kontroli. Ibarem wlepia we mnie swoje rozpalone wielkie oczy, a umysłem pokonuje odległość między Granią a Piedmontem. Wydukał już z siebie mnóstwo informacji na temat więzienia na terenie bazy w Piedmoncie, bunkra do połowy zakopanego w ziemi, z oknami wychodzącymi na wschód. Których więźniów widzi jego brat, z kim dokładnie jest przetrzymywany, kto zginął, kto zdołał uciec. Ku mojej uldze Ella i Rafe znaleźli się wśród tych, którzy uciekli na bagna. Te informacje były bardzo istotne, ale to... Maven jest tuż przed nami. Zdaje się na wyciągnięcie ręki.

Chcę widzieć to samo, co Ibarem. Chcę nachylić się do przodu, wskoczyć w rdzawą głębię jego oczu i wyłonić się z identycznej pary, patrzącej na króla przez więzienne kraty setki kilometrów stąd. Chcę raz jeszcze spojrzeć Mavenowi w twarz. Odczytywać jego mimikę, tak jak tylko ja potrafię. Każdy tik i napięcie mięśni pod skórą. Najmniejszy przebłysk w jego lodowatych niebieskich oczach, wyrażających sekrety i słabości, które chciałby ukryć.

Łączność Ibarema z bratem będzie musiała mi jednak wystarczyć. Ich więź jest silna mimo kilometrów i daje niemal natychmiastowe połączenie. Ibarem opisuje wszystko, co czuje Rash, od razu, gdy to się dzieje.

– Maven podchodzi do krat... nachyla się kilka centymetrów od niego. Ma na karku pot. W Piedmoncie jest gorąco. Właśnie skończyło padać. – Napręża ciało i kładzie dłonie płasko na udach. Odchyła się, a ja wyobrażam sobie, że Maven jest w tym pokoju razem z nami i przystawia swoją twarz do jego twarzy. Ibarem wykrzywia usta z dezaprobatą. – Zagląda nam w oczy. Szuka.

Wzdrygam się i mam wrażenie, że poczułam na skórze znajomy oddech.

Mimo światła, które wlewa się do pokoju przez okno, wydaje mi się, że w tym małym, schowanym na uboczu pokoiku w Grani zapada ciemność. Żałuję, że wpadłam na ten pomysł i wezwałam Ibarema, żeby pomógł mi go zrealizować. Miał być naszym łącznikiem z Tahirem i Davidsonem, prostym sposobem na komunikację z Montfortem. Nie z trzecim bratem, uwięzionym w Piedmoncie. Nie z Mavenem.

Próbuję się nie ruszać, napinam ciało i mięśnie twarzy. Ale moje serce galopuje w piersi, wywołując głucho nieustanne dudnienie.

Farley postanawia nie chodzić po pokoju, a jej dziwny brak aktywności tylko pogarsza moje zdenerwowanie. To miejsce nie pasuje ani mnie, ani jej. Grań jawi mi się jako łapka na myszy, która lada chwila się zatrzaśnie. W każdym pokoju znajduje się metal – w belkach stropowych, w filarach, a nawet w podłodze. Ten dom to broń, którą potrafią władać tylko nieliczni. A ci otaczają nas tu nieustannie.

Nawet krzesło, na którym siedzę, jest z zimnej stali. Drzę za każdym razem, gdy dotknie mojej nagiej skóry.

Słyszac pukanie do drzwi, obie podskakujemy ze strachu. Obracam się gwałtownie, z zaciśniętymi zębami, i patrzę na poruszającą się gałkę w drzwiach. Farley pokonuje odległość do drzwi dwoma długimi krokami, gotowa odprawić każdego służącego lub myszkującego lorda, który stoi po drugiej stronie.

Ku mojemu przerażeniu szeroko otwiera drzwi, wpuszczając do środka

barczystą znajomą postać.

Puszczam jej wredne spojrzenie i zaciskam na kolanach dłonie w pięści.

– Co tu robisz? – szepczę cicho i stanowczo.

Tyberiasz zerka to na Farley, to na mnie, jak gdyby próbował oszacować, która z nas bardziej go przeraża.

– Zostałem tu zaproszony – odpowiada niewyraźnie. – I właśnie spóźniamy się na spotkanie rady.

– No to idź! – Odprawiam go machnięciem ręki i czepiam się Farley. – Co ty robisz? – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Farley przerywa mi ostrym trzaśnięciem drzwiami.

– Znasz Mavena, ale on też – stwierdza chłodno. – Daj mu posłuchać.

Jak gdyby to już nie było stresujące.

– Dobra – odpowiadam i odwracam się do Nowego Montfortczyka. Staram się, jak mogę, by ignorować drugiego Calore, który teraz opiera się o ścianę, tworząc między nami możliwie największy fizyczny dystans. Kątem oka widzę, że tupie nogą, by choć trochę upuścić swojej nerwowej energii.

– Maven coś mówi – mamrocze Ibarem swoim naturalnym delikatnym i niepewnym głosem. Szybko zmienia go, najlepiej jak potrafi imitując głos Mavena. – Jak to możliwe, że teraz rozmawiamy? – mówi niespodziewanie okrutnym i ostrym tonem. Nawet wydusza z siebie chłodny rechot. Dobrze go naśladuje. – A może próbujesz igrać z królem, Czerwony? Obawiam się, że to nie najlepsza decyzja.

Ibarem wierci się na krześle, a jego oczy ruszają się na boki, gdy wpatruje się przed siebie.

– Ma strażników. Wartowników. Sześciu. Przed chwilą byli tam książę Bracken i jego dzieci w obstawie czterech swoich ludzi.

Tyberiasz mówi coś do Farley, zasłaniając usta dłonią, a ona potakuje. Pewnie aktualizują listę wrogów.

– Silny sojusz z Brackeniem – szepcze Tyberiasz. – Znow zaatakują, i to

niedługo.

– Królowa jest razem z nim – mówi dalej Ibarem. – Lakelandzka księżniczka. Nie odzywa się, tylko stoi. Obserwuje. – Przymruża oczy. – Jej twarz jest bez wyrazu. Prawie jak zamrożona.

– Powiedz Iris... – Milknę, składając razem opuszki palców.

Trzeba ich przekonać. Muszą być bezsprzecznie pewni, że to ja przemawiam przez tę braterską więź.

– Powiedz jej, że wszystkie psy gryzą.

– Wszystkie psy gryzą, Iris – powtarza Ibarem. Przechyliła głowę na bok dokładnie tak jak ja.

Teraz udaje mnie. Zwykłą dziewczynę, która prowadzi niezwykle życie. Nic nie wywołuje u Mavena takiego niepokoju jak prawda, a jeśli mam zamiar cokolwiek uzyskać z tej rozmowy, to muszę spróbować wytrącić go z równowagi.

– Królowa uśmiecha się do siebie. Kiwa głową – relacjonuje Ibarem. Zaczyna imitować Iris, a jego głos robi się wyższy o oktawę. – Wszystkie psy gryzą, ale niektóre psy czekają, Mare Barrow.

– A co to niby ma znaczyć? – sarka Farley, zasłaniając usta dłonią.

Ale ja wiem.

„Jestem jedynie psem na krótkiej smyczy, w ładnych sukniach”, powiedziałam kiedyś Iris, gdy więził mnie Maven. Wtedy też się uśmiechnęła. „Nawet piesek na smyczy potrafi ugryźć – stwierdziła wtedy. – Masz taki zamiar?”

W końcu mogę swobodnie odpowiedzieć. Ona też.

Iris Cygnet czeka na własną sposobność do ataku. Zastanawiam się, czy wspiera ją w tym Lakelandia, czy motywuje tylko własny gniew.

Obracam się przez ramię i spoglądam na Farley.

– Powiedziała mi coś takiego w Archeonie. Zanim wróciłam.

– To zdecydowanie ona, ale nie wiem, jak to możliwe – kontynuuje Ibarem, najlepiej jak potrafi odgrywając głos Iris. – To musi być jakaś szczególna umiejętność Nowych, o której jeszcze nie wiemy.

– Można by wypełnić ocean tym, czego nie wiesz, Mavenie – odpowiadam. – O Montforcie. O Szkarłatnej Gwardii. – Powinnam się wstydzić tej brudnej zagrywki, a mimo to przychodzi mi z łatwością. – O swoim bracie. Stoi tuż obok mnie, wiesz?

Ibarem uśmiecha się szyderczo, odgrywając Mavena.

– Czy to ma coś znaczyć?

Wydaje mi się, że w powtarzanych słowach słyszę drżenie strachu.

– Mało mnie interesuje, obok kogo postanawiasz stanąć. Choć z tego, co wiem – dodaje, a jego uśmiech robi się bardziej szelmowski – rzadko stoicie gdzieś razem.

Zmuszam się do uśmiechu, żeby zamaskować grymas.

– Dobrze wiedzieć, że masz szpiegów w naszej koalicji – mówię z butą. – Ale nie jest ich nawet w połowie tak wielu jak naszych u ciebie.

Ibarem wybucha śmiechem brzęczącym jak paznokcie drapiące po szkle.

– Myślisz, że marnuję swoich szpiegów na śledzenie twoich emocji, Mare? Nie, moja droga, po prostu znam cię najlepiej ze wszystkich. – Znów się śmieje, pokazując białe kły.

Skupiam wzrok na bliźnie na podbródku Ibarema, żeby do głowy nie wszedł mi obraz pięknej udręczonej, cynicznej twarzy Mavena.

– Wiedziałem, że tego nie zniesiesz, gdy Cal pokaże, kim naprawdę jest.

Kątem oka widzę, że Tyberiasz pozostał zupełnie nieruchomy. Nawet nie oddycha. Trzyma wzrok spuszczonej, jak gdyby próbował wypalić dziurę w podłodze.

– Jest tworem w równej mierze co ja. Uformowanym przez naszego ojca do postaci chodzącej i mówiącej cegły, którą, jak ci się zdawało, tak bardzo kochałaś. Zasłania się powinnością, ale prawda jest mniej szlachetna. Cal ma swoje pragnienia, tak jak reszta z nas. I pragnie korony. Pragnie tronu. Żadna cena nie jest dla niego za wysoka. Żadna krew nie jest zbyt cenna, by ją przelać.

W pokoju rozlega się trzask, gdy Cal strzela z palca, naciskając na niego

kciukiem.

– Zawsze wchodzimy na ten sam temat, Mavenie – odburkuję, opierając się na krześle z przesadzoną nonszalancją.

Ibarem naśladuje moje ruchy.

– Zastanawiam się, Iris, czy do ciebie też tyle skamle na temat swojego brata, czy tylko ja muszę to znosić.

Ibarem obraca głowę, jakby spoglądał na królową.

– Zadrżały jej wargi. Możliwe, że w uśmiechu – relacjonuje. – Maven przestępuje z nogi na nogę. Temperatura wzrasta.

– Trafiłam w czuły punkt? Och, zapomniałam. Nie wiesz, które nerwy w ogóle są twoje. A które są jej.

Z grymasem na ustach Ibarem uderza otwartymi dłońmi o uda.

– Maven uderza w kraty. Temperatura wciąż rośnie. Pozostali więźniowie próbują obserwować, co się dzieje. – Nowy mruga, rozdymając nozdrza i ciężko dysząc. – Próbuje się uspokoić.

– To niezbyt mądre robić sobie wroga z kogoś, kto ma do dyspozycji tylu zakładników. Jeśli zechcę, mogę ich wszystkich spalić – syczy Maven przez zaciśnięte zęby.

Czuję trzęsącą nim złość mimo odległości setek kilometrów.

– Mało kto zwątpi, że nikt nie przeżył chwalebnej odsieczy Brackena na jego własnych ziemiach.

To prawda. Maven bez mrugnięcia okiem zamorduje każdego więźnia w zasięgu wzroku. Są zdani na jego łaskę.

Muszę uważać na to, co mówię.

– Możesz ich też uwolnić.

Maven parska niekontrolowanym śmiechem.

– Chyba musisz się przespać, Mare.

– Oczywiście w ramach wymiany. – Spoglądam na Farley, próbując odczytać jej minę.

Generał ściąga brwi w zamyśleniu.

Widzę, że Tyberiasz też blednie. Poprzednim razem, gdy zawarliśmy układ z Mavenem, skończyłam jako jego więzień.

– Bo ostatnio tak świetnie nam to wyszło. – Maven rechocze przez połączenie Ibarema. – Ale jeśli chcesz wrócić i udawać, że robisz to, aby ratować jakichś bezimiennych żołnierzy, to chętnie cię przyjmę.

– A już myślałam, że Elara zabiła twoją zdolność do marzeń – odpalam. – Nie, Mavencie, mówię o tym, co Szkarłatna Gwardia zostawiła na terenie bazy Brackena.

Ibarem przestaje się uśmiechać, tak samo jak młodociany król.

– Co?

Farley szeroko szczyrzy zęby i kuca przy mnie. Zwraca się do Ibarema, a tym samym do Mavena.

– Szkarłatna Gwardia nie bardzo ufa Srebrnym, a zwłaszcza tym trzymanym w szachu, takim jak Bracken. To była tylko kwestia czasu, nim coś się stanie i książę postanowi przestać przyjmować polecenia od ludzi przetrzymujących jego dzieci.

– Z kim teraz rozmawiam? – pyta Maven.

– Och, jak mi przykro, że mnie nie pamiętasz. Tu Farley. Jestem teraz generałem, więc może brzmię nieco inaczej.

– Ach tak. – Ibarem cmoka. – Jak mogłem nie rozpoznać kobiety, która wpuściła wilka takiego jak ja między stado swoich wybitnie głupich owiec.

Farley uśmiecha się, jakby właśnie podano jej wyjątkowo pyszny posiłek.

– Te głupie owce podpięły ładunki wybuchowe na terenie całej bazy.

Na moment w pokoju zalega grobowa cisza. Tyberiasz podnosi wzrok, a jego twarz wyraża nagły niepokój.

– Wiesz, jakie to niebezpieczne?

– Mniej więcej – odpowiada Farley, nie odwracając wzroku od Ibarema. – Nie powtarzaj tego.

Ibarem nieznacznie kiwa głową.

– No to co, Mavenie? – pytam, przyklejając do ust słodki uśmiezek. – Możesz odwołać ludzi, których wysłałeś na bagna za naszymi, i spróbować przeszukać bazę, zanim wysadzimy ją w powietrze. Albo możesz wypuścić więźniów, a wtedy powiemy ci dokładnie, jak blisko bomby stoisz.

– Nie boję się materiałów wybuchowych.

– Bałbyś się, gdyby zależało ci na losie żołnierzy, którzy ślubowali lojalność twojej koronie – grzmi Tyberiasz, podchodząc bliżej. Ociera się o mnie ręką, przez co czuję na plecach rozchodzące się ciepło.

Po twarzy Ibarema zdaje się przebiegać cień, gdy przekazuje słowa i postawę księcia.

– Dobrze, że przemówiłeś, bracie – szepcze Maven. – Już myślałem, że nie masz na tyle mocnego kręgosłupa, żeby odważyć się do mnie odezwać.

– Powiedz gdzie, a przekonamy się, kto ma mocniejszy kręgosłup – odgryza się Tyberiasz z niekontrolowaną dzikością w głosie.

W odpowiedzi Ibarem tylko kiwa palcem na boki.

– Zostawmy przechwałki na twoją nieuniknioną kapitulację, Cal. Kiedy będziesz musiał klęknąć przed Nortą, Lakelandią i Piedmontem. – Wymawia nazwę każdego kraju z coraz większym uśmiechem.

Czuję, że powstaje między nami mur, który z minuty na minutę robi się coraz wyższy.

Farley kładzie mi dłoń na ramieniu i przytrzymuje na krześle. Każe mi czekać.

W końcu Ibarem krzyżuje ramiona i poprawia się na stołku. Jego mowa ciała całkowicie odzwierciedla Mavena. Jest zaangażowany w swoją rolę. Teraz nie wygląda jak młody człowiek powołany na służbę. Przyjmuje maskę bezlitosnego, nieprzeniknionego syna Elary Merandus. Kogoś, kogo obchodzi tylko władza i nic więcej.

To taka sama rola, jaką ja grałam, wcielając się w postać Mareeny.

– O ilu bombach wspomniałaś, pani generał?

Maven próbuje ją zdekoncentrować, miło łechcąc jej ego stopniem

wojskowym, ale Farley nie tak łatwo wytrącić z równowagi.

– Nic nie mówiłam.

– Hmm – mruczy Maven. – Bracken nie będzie zadowolony, że to miejsce zostanie jeszcze bardziej zniszczone. Choć bardzo się ucieszył, kiedy oddaliśmy mu dzieci, więc może machnie na to ręką.

Nie wiem, gdzie dokładnie znajdują się ładunki wybuchowe, tylko tyle, że Gwardia podłożyła je jakiś czas temu. Zakopała je pod drogami, pasami startowymi i większością budynków administracyjnych. Tam, gdzie wyrządzą największe szkody, nie tylko siłom wroga, ale i samej bazie. Są nastrojone do szczególnej częstotliwości i gotowe do eksplozji. Doskonały i śmiertelnie niebezpieczny przykład dalekowzroczości.

– Decyzja należy do ciebie, Mavencie – odpowiadam. – Więźniowie za twoją bazę.

Ibarem naśladuje szeroki uśmiech Mavena.

– Dorzuć tego Nowego – mówi. – Chciałbym go zatrzymać, jeśli nie masz nic przeciwko temu. To znacznie prostsze, niż wysłać ci listy.

– To nie wchodzi w grę.

Ibarem wzdycha, wydymając wargi.

– Czasem wszystko tak utrudniasz.

– To moja specjalność.

Tyberiasz, który wciąż przy mnie stoi, cicho pryca. Jestem pewna, że myśli podobnie.

Tkwimy w bolesnej ciszy, czekając na każdy oddech, który wydobędzie się z ciała Ibarema. Chłopak obraca się na krześle na prawo i lewo. Odgrywa to, jak Maven chodzi tam i z powrotem.

Farley wychyla się nade mnie, z miną równie pochmurną jak moja.

– Gdzie mam ich wypuścić? – pyta w końcu.

W całkowitej ciszy Farley kilka razy triumfalnie ciska pięścią w powietrze. Przypominam sobie, jaka jest młoda. Ma dopiero dwadzieścia dwa lata, tylko kilka

więcej niż ja.

– Pod wschodnią bramą – odpowiada Farley, a ja staram się okiełznać entuzjazm. – Bagna. O zmierzchu.

– To wszystko? – Słyszę dezorientację w głosie Mavena.

Tyberiasz jest równie zmieszany. Rzuca Farley długie spojrzenie.

– To żaden ratunek – szepcze, dając znak Ibaremowi, żeby nie przekazywał jego słów. – Musimy mieć na miejscu transportowce odrzutowe. Jasną drogę ewakuacji. Zawarty rozejm, gdy będziemy ewakuować więźniów i tych, którzy zdołali uciec.

Farley przecina dłonią powietrze.

– Nie ma takiej potrzeby, Calore. Cały czas zapominasz, że Szkarłatna Gwardia to zupełnie inna armia od tych, które znasz. – Z dumą kładzie dłonie na biodrach. – Działania są już w toku i mamy swoich ludzi na bagnach. Przemycanie Czerwonych przez wrogie terytorium to właściwie nasza specjalność.

– Dobrze to słyszeć – odpowiada Tyberiasz. – Ale nie lubię być wykluczany z grona poinformowanych. Działamy lepiej, kiedy wszyscy jesteśmy na tym samym poziomie.

– Nazywasz to tym samym poziomem? – mówi Farley, wskazując jego i nas.

Jego krew, nasza krew. Jego stopień, nasze stopnie. Przepaść pomiędzy Srebrnym, urodzonym, by być królem, a Czerwonymi, urodzonymi, nie mając nic.

Tyberiasz przerzuca wzrok od niej do mnie. Góruje nade mną, gdy siedzę na krześle, a jego wzrost jest dodatkowo wyolbrzymiony przez dzielącą nas odległość. Taka przestrzeń między nami, a jednocześnie żadna. Tyberiasz gryzie się w język i widzę, jak z nerwów drga mu policzek. Widzę trwającą w nim walkę i spodziewam się, że nie odpuści. Będzie się dalej kłócił. Jednak ku mojemu zaskoczeniu cofa się i daje nam znak, żebyśmy kontynuowali rozmowę.

Ibarem ciężko wzdycha. Dotyka blizny na swoim podbródku, brązowej skóry porośniętej na biało pomiędzy czarną kędzierzawą brodą. Następnie pociera skórę pod każdym z oczu. Tam, gdzie znajdują się blizny jego braci.

– Król się ociąga, zastanawia. Mare, powiedz mu, że nie będzie w stanie znów wykorzystać nas w ten sposób – prosi mnie od siebie. – Bo inaczej ten straszny człowiek zatrzyma mojego brata jako swojego więźnia. Do komunikowania się z tobą.

– Oczywiście – odpowiadam, kiwając głową. Bardzo chcę ocalić Rasha, by nie stał się czyjąś maskotką. – Będziemy wiedzieć, jeśli zatrzymasz Nowego, Mavenie. A jeśli tak zrobisz, to nasz układ nie dojdzie do skutku.

W głosie, który słyszymy w odpowiedzi, pobrzmiewa rozczarowanie, lecz nie zaskoczenie.

– Ale tak się stęskniłem za naszymi rozmowami. Dzięki tobie zachowuję rozum, Mare – mówi mi, siląc się na wisielczy humor. Żart średnio mu wychodzi.

– Oboje wiemy, że to nieprawda. I już nigdy więcej nie będziesz mógł się ze mną przez niego komunikować.

Maven robi niezadowoloną minę.

– No to będziemy musieli znaleźć nowe sposoby na rozmowę.

Tyberiasz unosi palec, by zwrócić na siebie uwagę Ibarema.

– Jeśli chcesz rozmawiać, to nikt cię nie powstrzyma, Mavenie – oświadcza, a Nowy przekazuje jego słowa. – Wojny toczy się poprzez dyplomację w tym samym stopniu, co za pomocą broni. Spotkajmy się na neutralnym gruncie, twarzą w twarz.

– Tak ci się spieszy do deklarowania kapitulacji, Cal? – Maven odrzuca jego ofertę. – A co z ładunkami wybuchowymi, generał?

Farley kiwa głową.

– Podamy wam ich lokalizację po tym, jak potwierdzimy, że nasi ludzie wkroczyli na bagna i są bezpieczni.

– Nie biorę odpowiedzialności za to, co może zrobić jakiś aligator.

Na tę uwagę Farley szczerze się śmieje.

– Wielka szkoda, że nie masz duszy, Mavenie Calore. Może warto by cię było wtedy ocalić.

Tyberiasz niespokojnie przestępuje z nogi na nogę. „Jeśli ktoś może go naprawić, to czy nie warto spróbować?” Zadał mi to pytanie kilka tygodni temu, gdy leżeliśmy razem, ciało przy ciele. Mam wrażenie, że to było w innym życiu. Mało mi na tym zależy. Mavena nie da się naprawić. Nie ma odkupienia dla młodocianego króla, fałszywej osoby, którą oboje kochaliśmy. Nie ocalimy go przed nim samym.

I nie wydaje mi się, bym kiedykolwiek była w stanie wyznać to Tyberiaszowi.

Maven nie jest zdolny do prawdziwej miłości, ale Tyberiasz wręcz przeciwnie. Kocha aż za mocno. Trudno mu przez to odpuścić.

– Najpierw palicie Corvium, teraz grozicie bazie w Piedmoncie? – kpi Maven poprzez więź między braćmi. – Szkarłatna Gwardia ma wielki talent do niszczenia. Ale w sumie zawsze łatwiej zmiażdżyć coś, co zostało już zbudowane.

– Zwłaszcza jeśli to, co zbudowałeś, jest przeżarte zgnilizną – odgryza się Farley.

– Wschodnia brama. Bagna. Zmierzch – powtarzam. – Albo baza zapłonie pod twoimi stopami.

Czuję, jak drga mi noga. „Ilu ludzi jest teraz na terenie jednostki? Żołnierzy lojalnych wobec Mavena, Brackena i Iris? Głównie Srebrnych, ale też Czerwonych, służących im jako tarcza, posłusznie wypełniających rozkazy?”

Na początku próbuję się nad tym nie zastanawiać. Wojna jest wystarczająco trudna bez przeliczania, ile istnień wisi na włosku. Ale przymknięcie na to oczu też nie jest wyjściem. Bez względu na to, jakie to trudne, muszę patrzeć. Nawet jeśli będę musiała podjąć trudną decyzję, muszę to zrobić z otwartymi oczami. Koniec tłumienia bólu czy wyrzutów sumienia. Muszę je poczuć, jeśli chcę się z nimi uporać.

– Świetnie – mówi Maven.

Raz jeszcze wyobrażam go sobie, jak stoi przed celą: białego na twarzy, z oczami podsiniawymi z wyczerpania i od wątpliwości.

– Dotrzymuję danego słowa.

Znajomy refren boli jak wypalone przez niego znamię, przywołując wiele bolesnych wspomnień związanych z jego listami i obietnicą.

Powoli potakuję.

– Dotrzymujesz danego słowa.

*

Pozostawiamy Ibarema z poleceniem, że ma nas natychmiast zawiadomić, jeśli jego brat nie zostanie uwolniony wraz z resztą, po czym biegniemy korytarzami Grani, próbując znaleźć drogę do sali tronowej. Tyberiasz nie pomaga nam tak, jak powinien, wyraźnie widać, że myśłami jest gdzie indziej. Podejrzewam, że wraz ze swoim bratem w Piedmoncie.

Robię, co w mojej mocy, aby nadażyć za wielkimi krokami, jakie sadzą razem z Farley, i co chwila wpadam Tyberiaszowi na plecy, gdy zwalnia w zamyśleniu.

– Jesteśmy już spóźnieni – mówię markotnie, odruchowo kładąc dłoń na jego plecach i popychając go do przodu.

Podskakuje zaskoczony tym dotykiem, jak gdybym go oparzyła. Szybko jednak dochodzi do siebie, przykrywa moją dłoń swoją i odciąga moje palce. Puszczą je szybko, przystając i odwracając się w moją stronę.

Farley się nie zatrzymuje i wyprzedza nas, wydając z siebie zniecierpliwione westchnienie.

– Później będziecie się kłócić! – woła, poganiając nas.

Tyberiasz ignoruje ją i przeszywa mnie wzrokiem.

– Miałaś zamiar porozmawiać z nim beze mnie.

– Potrzebuję twojego pozwolenia, żeby rozmawiać z Mavenem?

– To mój brat, Mare. Wiesz, co nadal dla mnie znaczy – szepcze prawie błagalnym tonem.

Próbuję nie zmięknąć na widok jego bólu. Prawie mi się udaje.

– Musisz zapomnieć o tym, za kogo go uważałeś.

Te słowa rozpalają w nim jakiś głębszy gniew. Desperację.

– Nie mów mi, co mam czuć. Nie mów mi, żebym odwrócił się od niego plecami. – Prostuje się i podnosi głowę, przez co muszę wyciągnąć szyję, żeby spojrzeć mu w oczy. – A poza tym konfrontować się z nim same, tylko we dwie? – Patrzy przez ramię na Farley. – Niezbyt mądre.

– Dlatego właśnie posłałam po ciebie – rzuca ostro Farley. – Musimy iść. To pochłonęło już wystarczająco dużo czasu, a rada zebrała się dwadzieścia minut temu. Jeśli Samos i twoja babka coś knują, to chcę tam być.

– A co z Iris? – pyta Tyberiasz, zmieniając temat. Kładzie ręce na biodrach, przez co jego ramiona wydają się jeszcze szersze. Odcina mi w ten sposób drogę, gdybym chciała go ominąć. Zbyt dobrze zna moje sztuczki. – O co chodziło z gryzącymi psami?

Waham się, rozważając możliwości. Zawsze mogę skłamać. Kłamstwo mogłoby być lepsze.

– Iris powiedziała coś takiego, kiedy przebywałam w Pałacu Białego Ognia – przyznaję. – Wiedziała, że jestem zabawką Mavena. Małym pieskiem na smyczy. Powiedziała mi, że wszystkie psy gryzą. Dała mi do zrozumienia, że wie, że zwrócę się przeciw niemu, jeśli tylko nadarzy się okazja. – Słowa nie chcą mi przejść przez gardło, ale jakoś je z siebie wyduszam. Nie wiem dlaczego. – Tak samo jak ona.

Zamiast mi podziękować, Tyberiasz pochmurnieje.

– I myślałaś, że Maven nie zrozumie aluzji?

Mogę jedynie wzruszyć ramionami.

– Myślę, że teraz się tym nie przejmuję. Potrzebuje Iris i sojuszu z Lakelandią. W jego oczach istnieje tylko dziś i jutro.

– Potrafię to zrozumieć – mamrocze do siebie, tak że tylko ja to słyszę.

– Na pewno.

Wypuszcza z płuc kolejny wydech i przejeżdża dłonią po krótkich włosach. Wolałabym, żeby je zapuścił, żeby wróciły jego ciemne fale. Wyglądał wtedy na przystojniejszego, mniej zasadniczego. Mniej po królewsku.

– Powiemy im, co się właśnie stało? – pyta, pokazując kciukiem w stronę drzwi.

Marszczę brew. Wolałabym nie relacjonować naszej rozmowy szerszej publiczności, zwłaszcza jeśli należy do niej potomstwo domu Samos.

– Jeżeli to zrobimy, zaryzykujemy Rasha i Ibarema. Volvo z przyjemnością posłużyłby się kimś takim jak oni.

– Zgadzam się. Ale moglibyśmy to wykorzystać. Być w stanie rozmawiać z Mavenem, obserwować go. – Ścisza głos. Ocenia moją reakcję. Daje mi podjąć decyzję.

– Zostaw go w spokoju. Możemy się kontaktować ze Szkarłatną Gwardią. Odzyskać naszych ludzi.

Kiwa głową.

– Oczywiście.

– Nic nie wiadomo o Cameron – dodaję, krzywiąc się na dźwięk jej imienia.

Wróciła do Piedmontu, żeby być ze swoim bratem, kiedy my wyruszyliśmy do Montfortu. Szukała spokoju zamiast wojny. Ale wojna znów ją znalazła.

Tyberiasz przybiera pełną troski, a nawet współczucia minę. Prawdziwą, nie na pokaz. Staram się nie patrzeć zbyt długo na jego przystojną twarz.

– Nic jej nie będzie – mówi do mnie. – Nie wyobrażam sobie, żeby ktokolwiek dał jej radę.

Ibarema nie wspomniał, żeby widział ją pośród więźniów, ale nie sądził też, by znajdowała się wśród zabitych. Mogę jedynie mieć nadzieję, że jest wraz z uciekinierami i ukrywa się na bagnach, próbując do nas wrócić. Poza tym Cameron potrafi zabić człowieka tak jak ja, z równą łatwością. Z jeszcze większą. Każdy Srebrny myśliwy uznałby ją za zbyt niebezpieczną, z jej umiejętnością, by dusić ich nawet najsilniejsze moce. Na pewno uciekła. Nie przyjmuję żadnej innej możliwości. Po prostu nie mogę.

Zwłaszcza że jest mi potrzebna do tego, co sobie zaplanowałam.

– Farley zaraz dostanie wylewu, jeśli każemy jej dłużej czekać.

– Wolałbym tego nie zobaczyć – burczy Tyberiasz, idąc za mną.

ROZDZIAŁ 15

EVANGELINE

Anabel gra na zwłokę z ogromną wprawą, kiedy czekamy na jej nierozgarniętego wnuka, który najwyraźniej ma w nosie konwenanse. Jestem rozdarta pomiędzy tym, czy powinnam poprosić ją o lekcję, czy przyszpilić do ściany stałą swojego tronu.

W sali tronowej znajduje się kilkanaście osób, niezbędnych do odbycia narady wojennej. Czerwoni i Srebrni, Szkarłatna Gwardia i agenci z Montfortu wraz z wielmożnymi z domów w Rowach i zbuntowanej Norty. Bez względu na to, ile razy się po niej rozglądam, wciąż nie mogę się przyzwycząić do tego widoku.

Podobnie jak moi rodzice. Matka wije się na swoim tronie ze szmaragdów jak jeden z jej węży. Zapada się w warstwach czarnego jedwabiu i nieoszlifowanych klejnotach, wygląda niekompletnie bez drapieźnika u swoich stóp. Pantera jest dziś pewnie niedysponowana. Matka uśmiecha się drwiąco, widząc wysiłki Anabel.

Za to ojciec siedzi skupiony, kierując całą swoją uwagę na królową, nawet kiedy ta się wycofuje. Próbuje sprawić, by poczuła się niezręcznie. Ale Anabel nie daje się w to wciągnąć. Jestem Żeleźcem. Potrafię poznać stal na pierwszy rzut oka. A ona ma kości ze stali.

– Tyberiasz Siódmy potrzebuje stolicy. Miejsca, w którym mógłby wbić swoją flagę. – Na moment milknie i dla zwiększenia efektu zaczyna chodzić tam i z powrotem, rozglądając się po sali.

Mam ochotę krzyknąć: „Do sedna, starucho!”.

Tak naprawdę powinna się zająć znalezieniem Cala, gdziekolwiek się podziewa, i przyciągnięciem go tu za uszy. Baza w Piedmoncie przepadła, a na tym

spotkaniu zbiera się jego sztab wojenny, nie wspominając o dworze ojca. To, że każe nam czekać, nie tylko jest niegrzeczne, ale też politycznie nierozsądne. A na dodatek marnuje mój cenny czas.

Pewnie Cal znów kłóci się gdzieś z Mare, udając, że nie patrzy na jej usta, choć jest inaczej. Jest potwornie przewidywalny. Mam nadzieję, że wkrótce staną się potajemną parą, o której i tak wszyscy będą wiedzieć. „Czy dostanę za zadanie strzec drzwi?” Prycham w duchu.

Nagle wyobrażam sobie życie, jakiego on dla nas chce. Życie, na które nas wszystkich skaże. Koronę na mojej głowie, ale jego serce w jej dłoni. Moje dzieci zagrożone przez potomka, którego urodzi ona. Dni spędzone na naginaniu się do jego woli, bez względu na to, jaka będzie łagodna. Bez względu na to, ile dni pozwoli mi spędzić z Elane, o ile on będzie mógł spędzać swoje z Mare.

Gdyby tylko pragnął jej bardziej. Gdybym tylko mogła sprawić, by pragnął jej bardziej. Ale jak powiedziałam Mare w Corvium, abdykacja nie jest w naturze Cala. „W twojej też nie – przypominam samej sobie. – Do czasu, aż zobaczyłaś, jak inaczej można żyć”.

Na tę myśl czuję ucisk w dołku. Z powodu podekscytowania, nadziei... i wyczerpania. Już i tak jestem poirytowana perspektywą związania się z Calem i Mare bardziej niż do tej pory. Nawet jeśli ma to służyć mojemu szczęściu.

„Przestań narzekać, Samos”.

Kiedy generał Farley i Mare w końcu wchodzą na salę, a za nimi Cal, wzdycham do siebie. Mare Barrow może nie jest szkaradzieństwem, ale żadna z niej dama. Cal najwyraźniej musi to lubić. Coś ostrzejszego. Ciepło, brud pod paznokciami, paskudny charakterek. Nie widzę w tym nic atrakcyjnego. Ale najwyraźniej on tak.

– Ach – wzdycha Anabel, z gracją odwracając się do wnuka. – Wasza Wysokość. – Jej twarz rozluźnia się w poczuciu ulgi. Gestem przywołuje Cala, by dołączył do niej przed tronami Samosów.

Reszta zgromadzonych patrzy w ich stronę.

– Jak miło, że do nas dołączyłeś, królu Tyberiaszu – mówi mój ojciec. Gładzi dłońią swoją srebrną brodę. – Zapewne słyszałeś już o naszej ciężkiej sytuacji.

Cał nisko się nam kłania, czym nas zaskakuje. Królowie i królowe z urodzenia nie kłaniają się nawet sobie nawzajem.

– Bardzo przepraszam, coś mnie zatrzymało – mówi, nie podając szczegółów. I nie dając nam szansy, by o nie zapytać, bo przywołuje do siebie Farley. – Za to przynajmniej generał Farley ma dla nas dobre wieści.

– W świetle odebrania nam jednostki w Piedmoncie? – prycha ojciec. – Oraz straty wszelkiej przewagi nad księciem Brackenem? To musi być naprawdę coś świętego.

– Ocalenie ponad setki naszych ludzi z Piedmontu uważam za dobrą wiadomość – odpowiada Farley, kłaniając się szybko i niezbyt elegancko. – Szkarłatna Gwardia i nasi sojusznicy z Montfortu zostawili za sobą w Piedmoncie jedynie szczątkowy garnizon. Gdy uderzył w nich Bracken, w bazie stacjonowało kilkuset żołnierzy. Teraz, zgodnie z informacjami naszego wywiadu, przynajmniej jedna trzecia zdołała się przedostać na bagna. Szkarłatna Gwardia ma kontyngenty w całym regionie. Jesteśmy w stanie bez większego wysiłku przejąć i przetransportować tych, którym udało się zbiec.

– Ile ofiar ponieśliśmy? – pyta Anabel, stojąc z boku i zaciskając dłonie.

– Około setki. – Generał wymusza z siebie odpowiedź, jak gdyby była w stanie zignorować tę myśl. Ale najwyraźniej ostatecznie do niej dociera, bo powtarza wolniej: – Setka martwych.

– W Corvium straciliśmy więcej – mówię, stykając koniuszki swoich palców. – Prawda, nie było łatwo – dorzucam, udając współczucie, zanim Czerwona wpadnie w ślepą furję.

– Będzie nam trudno prowadzić dalsze operacje bez bazy – zauważa Ptolemeusz, stwierdzając coś boleśnie oczywistego.

Czasem mam wrażenie, że mój brat chce po prostu słuchać swojego głosu nawet w sytuacji takiej jak ta.

– Tak, to prawda – mówi Cal. – Wciąż mamy Rowy, ale w ostatnich tygodniach straciliśmy dwa podbite miasta. Najpierw Corvium...

– Sami postanowiliśmy je zniszczyć. Nie straciliśmy go – wtrąca Mare, mierząc go toksycznym spojrzeniem. Jakby cieszyła się z tego, że pozbyliśmy się twierdzy.

Cal potakuje z żalem.

– A teraz Piedmont – dodaje. – Nie całkiem wpasowuje się to w wizerunek siły, zwłaszcza względem domów wiernych Mavenowi, które może dałyby się przeciągnąć na naszą stronę.

Matka przechyla się na tronie, a jej knykcie lśnią zielonymi klejnotami.

– A co z Montfortem? – Unosi brew, rozglądając się po sali. – Przekazano mi, że udało się wam pozyskać ich armię.

– Nie liczę żołnierzy, póki nie staną w formacji – odpowiada Cal ostrzej, niż powinien. – Ufam, że premier Davidson dostarczy nam to, co obiecał jego rząd, ale nie będę podejmował decyzji na podstawie militarnego wsparcia, którego jeszcze nie widzimy.

– Potrzebujesz stolicy – mówi Anabel, przywracając dyskusję na pierwotne tory. Chodzi po sali, a jej czerwone i pomarańczowe regalia pasują do światła zachodzącego słońca za oknami. – Delphie chętnie nią zostanie. Siedziba domu Lerolan wesprze prawowitego króla.

Cal unika jej wzroku.

– To prawda, ale...

– Ale? – wcina się i przystaje zaskoczona.

Cal rozpościera ramiona w pewnym sobie geście.

– To zbyt proste.

Jak prawdziwa babka, Anabel klepie go po ramieniu, jak gdyby udzielała małemu dziecku jakiejś ckliwej życiowej lekcji.

– Nic w życiu nie jest naprawdę łatwe, więc trzeba przyjmować ułatwienia, na które trafiasz, Tyberiaszu.

– Chodzi mi o to, że to nic nie mówi – odpowiada, wyswobadzając się z jej

uścisku. – Ani obywatelom Norty, ani naszym sprzymierzeńcom, a już z pewnością nie naszym wrogom. To puste posunięcie. Spodziewane posunięcie. Delphie są już moje pod każdym innym względem. Starczy tylko, że postawię tam flagę i oświadczę, że są stolicą.

– Zgadza się – mówi Anabel, mrugając oczami. – Tylko po co odrzucać taki dar?

Cal wzdycha, nieco zniecierpliwiony. Podzielał jego uczucia.

– Nie odrzucam. Dar został mi już ofiarowany. Masz rację: potrzebujemy kolejnej fortecy, najlepiej na terenie Norty. Kolejnego zwycięstwa, by udowodnić naszą siłę. Zaszczepić strach w Lakelandii i Piedmoncie, tak jak jest już zaszczepiony w Mawenie.

– Gdzie? – pytam, nachylając się do przodu. Nawet jeśli tylko po to, żeby przepchnąć tę propozycję i zakończyć to nędzne przedstawienie.

Cal kiwa do mnie głową.

– Zatoka Harbor.

– To było ulubione miejsce twojej matki – mówi cicho Anabel, na moment się zapominając. – Rządzą w nim rody lojalne wobec Mawena.

– To strategiczna lokalizacja – oznajmia Cal.

Generał Farley zwięża powieki.

– To kolejne oblężenie i kolejna bitwa, z której powodu wszyscy możemy zginąć.

– Zawiera Fort Patriot – odpowiada ostro Cal. – Posłuży to armii, dywizjonowi lotniczemu i armadzie. – Wylicza na palcach. Jego entuzjazm jest wyczuwalny, prawie zaraźliwy.

Rozumiem, dlaczego został mianowany generałem w tak młodym wieku. Może gdybym była prostym żołnierzem, gdybym nie była mądrzejsza, z własnej woli poszłabym za tym człowiekiem w paszczę śmierci.

– Moglibyśmy odciąć Mawenowi sporą część wojska, a może nawet przeciągnąć niektórych żołnierzy na naszą stronę. W najgorszym razie będziemy

w stanie odzyskać to, co straciliśmy w Piedmoncie. Broń, transportery, odrzutowce. Wystarczy tylko wyciągnąć po nie rękę. A samo miasto to popularna lokalizacja wśród Szkarłatnej Gwardii.

Ojciec unosi brew. Prawie się uśmiecha, co stanowi przerażający widok.

– Mądra decyzja – mówi.

Aprobata króla Volvo zdaje się dla Cala zaskoczeniem, a nie powinna. Znam swojego ojca i widzę w nim głód, rządzą władzy, która nigdy w nim nie gaśnie. Założę się, że już marzy o ogłoszeniu miasta Harbor i swojej fladze powiewającej nad podbitą twierdzą.

– Maven odebrał nam fort. My odbierzemy mu miasto.

Cał pochyla głowę.

– Dokładnie.

– Jeśli jesteś w stanie je przejąć – rzuca Mare, oglądając się na niego przez ramię. Jej brązowo-siwe włosy wirują przy gwałtownym ruchu, połyskując w czerwonej łunie zachodzącego słońca.

Cał przechyla głowę, przymrużając oczy.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Atak na zatokę Harbor, próba podbicia miasta. To ryzyko warte podjęcia i powinniśmy spróbować – mówi. – Nawet jeśli poniesiemy klęskę, nadal możemy zadać poważny cios siłom Mavena.

Ku własnemu zaskoczeniu jestem tym zaintrygowana. Wygładzam halki, pomięte warstwy zdobionego srebrnego i białego jedwabiu, i nachylam się z zainteresowaniem.

– Jak, Barrow?

Spogląda na mnie, jakby była mi wdzięczna, i pokazuje zęby w – jak mogłoby się zdawać – niechętnym uśmiechu.

– Zniszczymy Nowe Miasto, slums techników na obrzeżach Harbor. Uwolnimy Czerwonych. To ośrodek produkcji, który zasila Nortę oraz wszystkie Srebrne porty. Jeśli uderzymy w Nowe Miasto, Szare Miasto, Wesołe Miasto...

Ojciec znów jest zaskoczony.

– Chcesz się pozbyć ośrodków technologicznych – bełkocze, patrząc na nią z niedowierzaniem, jak gdyby powiedziała mu, żeby wyrwał sobie własne serce.

Mare Barrow nie zraża jego skonsternowane spojrzenie.

– Tak.

Anabel z niedowierzaniem mierzy Mare wzrokiem, prawie wybuchając śmiechem.

– A co się stanie, gdy ta wojna się zakończy, panno Barrow? Zapłacisz im, żeby je odbudowali?

Mare prawie odgryza sobie kawałek języka, próbując powstrzymać cisnącą się jej na usta ripostę. Robi głęboki wdech, by odzyskać względne opanowanie.

– Jeśli zniszczenie ich oznacza zwycięstwo? – mówi powoli, ignorując pytanie Anabel. – Zdobycie kraju?

Cal spogląda na nie i kiwa głową. Zgadza się, bo ona ma rację – albo dlatego, że nadal jest zakochanym w niej szczeniakiem.

– Zniszczenie choćby jednego centrum technicznego będzie miało ogromny wpływ na zdolność Mavena do tego, by przypuścić odwet, i wywoła niepokój wśród jego sojuszników. Jeśli Czerwoni dostrzegą w nas wyzwolicieli, to tylko nam to pomoże – mówi. – A wraz z przejęciem Fort Patriot może stracić kontrolę nad pozostałymi na północ od miasta Harbor aż do granicy z Lakelandią. – W zamyśleniu spogląda na babkę, przedstawiając jej swoje stanowisko. – Odciąć cały region. I uwięzić Mavena pomiędzy lojalnymi nam Delphie, Rowami a nową zdobyczą.

Wyobrażam sobie Nortę, a przynajmniej taką, jaką była kilka lat temu. Przez jej ziemie są poprowadzone linie, jak gdyby cukiernik kroił tort nożem. Jeden kawałek dla nas, dwa dla Cala. „A reszta?” Spoglądam przeciągle na czerwoną generał i Mare Barrow. Myślę o tym nieznośnym premierze tysiące kilometrów stąd. „Który kawałek sobie wezmą?”

Przynajmniej wiem, czego chcą.

„Chcą cały tort”.

*

Ptolemeusz robi przedstawienie z zastanawiania się nad moją propozycją. Przejeżdża palcem po krawędzi kieliszka z wodą i słucha muzyki kryształu. Ten dźwięk zapada w pamięć, jest jak eteryczne echo snujące się przez całą kolację. Niebo za jego plecami jest krwistoczerwone. Mój brat ma wydatne rysy szczęki, szerokie ramiona, długi nos ojca i małe, delikatnie różowe usta matki. W tym świetle bardziej przypomina ją, z coraz większymi cieniami, które robią mu się pod oczami, pod kośćmi policzkowymi i gardłem. Jego ubrania są świeże i jak na niego dość codzienne: czyste białe płótno, pasujące na lato.

Elane obserwuje go, jak bawi się kieliszkiem, ze zde gustowaną miną, a kącik jej ust jest lekko uniesiony – zaczątek kpiącego uśmiechu. Gasnące światło dnia połyskuje w jej włosach, tworząc rubinową aurę, doskonalszą niż jakakolwiek korona. Dopija wino, które barwi jej usta kolorem jagód, winogron i śliwek.

Mój kieliszek pozostaje nietknięty. Zwykle cichy obiad z dala od rodziców i ciekawskich spojrzeń dworzan stanowi wymówkę, by pić, ile mi się tylko podoba, ale mamy sprawy, którymi trzeba się zająć.

– To głupi plan, Evangeline. Nie mamy czasu bawić się w kupidynów – odburkuje Ptolemeusz, zatrzymując palce na brzegu kryształowego kieliszka. – Zatoka Harbor może się okazać końcem nas wszystkich.

Cmokam z niezadowoleniem.

– Nie bądź tchórzem. Wiesz, że ojciec nie zaryzykowałby ciebie ani mnie w oblężeniu skazanym na porażkę. – „Jesteśmy inwestycjami, o które dobrze się dba, Toli. Jego dziedzictwo zależy od tego, czy przeżyjemy”. – To, czy Cal zdobędzie zatokę Harbor czy nie, kompletnie mnie nie interesuje.

– Ale przynajmniej mamy czas – włącza się Elane. Przygląda mi się ciemnymi oczami, które błyszczą jak spadające gwiazdy na chabrowym niebie. – Bez armii Montfortu nie można wykonać ani kroku. My też musimy zebrać swoich żołnierzy i przygotować się do oblężenia.

Wsuwam rękę pod stół, by poczuć gładką miękkość jedwabiu na jej kolanie.

– To prawda. I wcale nie sugeruję, żebyśmy zignorowali wojnę, Toli. Po prostu podzielmy naszą uwagę. Spójrzmy w inną stronę, jeśli możemy. Poprzesuwajmy pionki na szachownicy.

– Chyba poprzesuwajmy pionki do twojego łóżka – mówi Ptolemeusz z nieżyczliwym uśmiechem. Przenosi dłoń na grubą szklaną przezroczystego alkoholu z lodem. – Myślisz, że jesteś w stanie wpłynąć na Mare Barrow i jednocześnie nie doprowadzić do tego, że ktoś poderżnie mi gardło? – pyta, upijając łyk piekącego płynu. Krzywi się i wciąga powietrze przez zęby. – Myślę, że będzie najlepiej, jeśli zachowam dystans.

– Popieram to – odpowiadam.

Barrow obiecała, że daruje mojemu bratu życie. Jednak z każdym dniem coraz mniej w to wierzę.

– Ale możesz mieć oko na Cala. Sądziłam, że idzie w zaparte, jest w pełni skoncentrowany na odzyskaniu Norty, ale... może mamy szansę to zatrzymać.

Mój brat wychyla kolejny pałacy łyk.

– Raczej nie jesteśmy przyjaciółmi.

Wzruszam ramionami.

– Ale niewiele wam brakuje. A przynajmniej było tak rok temu.

– A co to był za rok? – mamrocze, przyglądając się swojemu obliczu w nożu. Jego twarz się nie zmieniła, wojna nie wpłynęła na jego urodę, ale tyle rzeczy przybrało tak inny kształt. Nowy król, nowy kraj, nowe korony dla nas obojga. I góra problemów spowodowana każdą z nich.

Ten burzliwy rok był moim zdaniem wart swojej ceny. Rok temu trenowałam najciężej w swoim życiu i przygotowywałam się do nieuniknionej Królewskiej Próby. Ledwie mogłam spać, tak bardzo się martwiłam, że przegram, nawet kiedy moje zwycięstwo było niemal pewne. Moje życie było wtedy przesądzone i delectowałam się myślą o tym, co mnie czeka. Z perspektywy czasu widzę, że byłam głupia i dałam sobą manipulować jak lalką. Pchnięto mnie w stronę

chłopaka, którego nigdy nie mogłam pokochać. I oto jestem znowu uwięziona w tym samym miejscu co zawsze. Ale teraz jestem mądrzejsza. Mogę z tym walczyć. „I może będę w stanie sprawić, by Cal przejrzał na oczy tak jak ja. Zobaczył, że tańczymy jak marionetki poruszane sznurkami”.

Ptolemeusz rozgrzebuje widelcem swój przygotowany na życzenie posiłek: ledwie przyprawionego kurczaka, uwiędłe warzywa i blade rybne mięso. Danie jest właściwie nietknięte. Zwykle pochłania swoje pozbawione smaku zdrowe posiłki tak, jak gdyby zjedzenie ich szybko mogło zamaskować to, jakie są mdłe.

Elane robi dokładnie na odwrót. Jej talerz jest czysty, nie ma na nim śladu duszonej w winie jagnięciny, którą obie jadłyśmy. Próbuję odczytać po jej zadumanej minie, co myśli. Czy pamięta nasze życie sprzed roku? Kiedy wierzyłyśmy, że będziemy szczęśliwe, kryjąc się razem za nortańskim tronem, prowadząc życie zbudowane na sekretach? „Jak gdybyśmy kiedykolwiek umiały dobrze się kryć”.

– A co ze mną? – dopytuje Elane, przykrywając swoją dłoń swoją. Ciepło jej skóry stanowi doskonałą równowagę wobec mojego chłodu. – Jaką rolę mam w tym wszystkim odegrać?

– Właściwie nie musisz robić zbyt wiele – odpowiadam trochę za szybko.

– Nie bądź głupia, Eve.

– W porządku – mówię szorstko. – Możesz chyba robić to, co poprzednio.

Cieniści to doskonali szpiedzy, świetnie nadający się do knucia intryg na królewskim dworze. Mogą podsłuchiwać i podglądać innych, bezpiecznie skryci za zasłoną niewidzialności. Nie podoba mi się perspektywa wykorzystywania Elane w jakikolwiek sposób, który może się wiązać z niebezpieczeństwem, ale tak jak powiedziała, mamy czas. Jesteśmy w Grani. Nie będzie bezpieczniejsza, nawet gdybym zamknęła ją w swoim pokoju.

„W sumie to nie jest taki zły pomysł...”

Elane uśmiecha się pod nosem i odpycha talerz jakby w żarcie. Marszczy nos.

– Mam już sobie pójść?

Mocniej ściskam jej dłoń i ze szczyptą ironii odpowiadam:

– Przynajmniej dokończ wino. Nie jestem zupełnie bez serca.

Elane posyła mi uśmiech, na którego widok zapiera mi dech, a serce zaczyna szybciej bić, po czym nachyla się do mnie, leniwie przenosząc wzrok na moje usta.

– Wiem doskonale, ile masz serca.

Ptolemeusz, który siedzi naprzeciw nas, dokańcza drinka i grzechocze lodem w szklance.

– Nadal tu siedzę – mówi z niezadowoleniem i odwraca oczy.

*

Mamy przynajmniej tydzień, jeśli nie dwa, zanim przybędą Davidson i jego armia. Wystarczająco dużo czasu, by zrobić, co mogę, mając przewagę własnego terytorium. Cal i Mare pragną siebie nawzajem bez względu na to, ile przeszkód stoi im na drodze. Calowi trzeba tylko małej zachęty. Jedno słowo Mare, a natychmiast pobiegnie do jej sypialni. Za to z Mare będzie zdecydowanie trudniej, bo powstrzymują ją duma, sprawa i ta stała, niezmordowana wściekłość, która cały czas płonie w jej piersi. Oczywiście sprawienie, by do siebie wrócili, to tylko pierwsza połowa planu. Cal, tak jak ja, musi zdać sobie sprawę, jak ważne jest serce. I o ile jest ważniejsze od korony.

Jakaś część mnie zastanawia się, czy to aby nie jest niemożliwe. Cal może nigdy nie ocknąć się tak jak ja. Jego decyzje mogą być ostateczne. Ale to nie może być prawda. Widzę, jak na nią patrzy, i nie poddam się tak łatwo. Wolałabym tylko móc rozwiązać tę kwestię za pomocą pięści i noża. To mogłoby być nawet przyjemne.

Szczerze mówiąc, wszystko byłoby przyjemniejsze niż to, co robię teraz, gdy skradam się o zmierzchu po Grani, szukając Mare Barrow. Co za nudna robota.

Elane jest gdzieś po przeciwnej stronie posiadłości i ma oko na generał Farley, podczas gdy Ptolemeusz udał się na swój wieczorny trening. Trening, który akurat zbiega się z harmonogramem ćwiczeń Cala. Przyszły król nie odpuszcza treningów

zwłaszcza teraz, kiedy nie może spalić nadmiaru energii z pewną dziewczuszką od błyskawic.

Przechodzę przez korytarze galerii, przejeżdżając palcami po figurach ze lśniącej stali i wypolerowanego chromu. Każda z nich reaguje na mój dotyk i marszczy się jak woda lustrzanej tafli jeziora. Na zewnątrz niebo robi się sine i nad zachodnim horyzontem zaczynają się pojawiać gwiazdy. W oddali jaśniej miasto Pitarus oddalone o kilka kilometrów. Przypomnienie, że życie toczy się dalej. Czerwoni i zwykli Srebrni żyją teraz w rozprzestrzeniającym się cieniu wojny. Zastanawiam się, jakie to uczucie czytać o bitwach i słyszeć o tym, jak miasta są obracane w ruinę, wiedząc, że nie masz udziału w tym konflikcie. Żadnego wpływu. Żadnej mocy, gdyby wojna zapukała do twoich drzwi.

A z pewnością tak będzie.

Ta wojna ma wiele obliczy i nie da się zatrzymać tego, co już się rozpoczęło. Wkrótce Norta będzie nie państwem, lecz jego gnijącymi zwłokami, a Rowy, Lakelandia, Montfort, Piedmont lub ktoś inny będzie jej zdobywcą.

Wychodzę na górny taras, z którego rozciąga się widok na ciemności na wschodzie. W powietrzu unosi się chłód i mam wrażenie, że do końca tygodnia może do nas dotrzeć chłodny letni front.

Ku mojemu rozczarowaniu Barrow nie jest sama, gdy w końcu ją znajduję. Obserwuje gwiazdy wraz ze swoim patykowatym Czerwonym kumplem o blond czuprynie i brązowej, spalonej przez słońce skórze.

Kilorn pierwszy mnie zauważa i wskazuje w moją stronę zaokrąglonym podbródkiem.

– Mamy publiczność.

– Cześć, Evangeline – odpowiada Mare. Siedzi z kolanami przyciągniętymi do piersi. Nie rusza się, jej twarz jest zwrócona ku niebu i gwiazdom. – Czemu zawdzięczamy ten honor, Wasza Wysokość?

Chichoczę pod nosem i opieram się o balustradę otaczającą taras. Ach, te kąśliwości.

– Muszę czymś rozproszyć myśli.

Mare z rozbawieniem kręci głową.

– Myślałam, że od tego masz Elane.

– Ona też ma swoje życie – odpowiadam lekko, wzruszając ramionami. – Nie mogę od niej oczekiwać, że będzie na każde moje skinienie.

– Cały czas udajesz, że nie usychasz z miłości, a teraz jesteście w tym samym miejscu. A mimo to zawracasz głowę mnie zamiast jej. – Na sekundę spogląda na mnie swoim przenikliwym wzrokiem, czarnym na tle ciemniejącego nieba. Po chwili znów patrzy na gwiazdy. – Co chcesz wiedzieć?

– Absolutnie nic. Nie obchodzi mnie, gdzie się dzisiaj zaszyliście z Calem albo dlaczego spóźniliście się na spotkanie dotyczące życia waszych ludzi.

Czerwony chłopak przy jej boku napręża się i ściąga brwi.

Mare nie łyka przynęty. Lekceważąco macha ręką.

– To nie było nic ważnego.

– Cóż, gdybyś kiedyś potrzebowała pomocy przy tych nieważnych rzeczach, to jest kilka przejść, które mogę ci pokazać. Skrótów, dzięki którym będziesz poruszać się po Grani jak niewidzialna. – Przechyliłam głowę i przyglądam się jej, podczas gdy ona udaje, że mnie nie słyszy. – Cal śpi we wschodnim skrzydle, niedaleko moich komnat, jeśli cię to interesuje.

Mare podrywa głowę.

– Nie interesuje.

– Oczywiście – odpowiadam.

Czerwony chłopak patrzy na mnie gniewnie, jego oczy mają ciemnozieloną barwę jak najbardziej zmacone szmaragdy matki.

– Tak właśnie rozpraszasz myśli? Docinając Mare?

– Wcale nie. Zastanawiałam się, czy Mare ma ochotę na mały sparring.

– Słucham? – pyta dziewczyna z niedowierzaniem.

– Jak za starych dobrych czasów.

Prycha z irytacją. Widzę u niej jednak znajomy tik. Potrzebę. Supeł w dołku,

który błaga, by go rozplątać. Barrow spuszcza wzrok, mrugając powoli. Przejżdża jedną dłonią po drugiej, gładząc palcami jej wnętrze. Bez wątpienia wyobraża sobie piorun.

W używaniu naszych umiejętności dla sportu zamiast przetrwania tkwi pewnego rodzaju przyjemność.

– Pokonałam cię już prawie dwa razy, Evangeline – oznajmia Mare.

– Do trzech razy sztuka – odpowiadam z uśmiechem.

Spogląda na mnie, poirytowana głodem, który w sobie czuje.

– Niech będzie – cedzi przez zaciśnięte zęby. – Jedno starcie.

*

Cal także jest na arenie, choć Mare i Kilorn o tym nie wiedzą. Czerwony chłopak idzie za nami bez słowa, kipiąc ze złości, ale nie robi nic, aby powstrzymać Barrow, gdy prowadzę ją do specjalnie przygotowanej komnaty.

Ściany są ze szkła podobnie jak znaczna część Grani. Rankiem można stąd podziwiać wschód słońca. Doskonałe miejsce na sesję treningową. Teraz widać stąd ciemność, rozmyty siny granat zamieniający się w czerń. Ptolemeusz i Cal zajmują przeciwne strony sali, ignorując się nawzajem, jak to mężczyźni mają w zwyczaju. Mój brat wykonuje kolejne serie pompek, prostując swoje smukłe plecy. Wren siedzi w pobliżu, na widowni. Pewnie jest Uzdrowicielem na dyżurze, który ma zająć się każdym, kto przyjdzie potrenować. Jednak jej uwaga jest niepodzielnie skupiona na moim bracie i jego napinających się mięśniach. Mogłabym przebić Cala na wylot, a nie zwróciłaby uwagi.

Przyszły król stoi do nas odwrócony i wyciera ręcznikiem spocone włosy oraz zarumienioną twarz. Patrzę, jak Mare staje przy mnie jak wryta. Wielkimi oczami śledzi jego sylwetkę. Ja tylko się krzywię, zauważając wilgotną tkaninę, która lepi się do pleców i ramion Cala. Może gdybym czuła do niego jakiś pociąg – albo do jakiegokolwiek innego mężczyzny – mogłabym zrozumieć, dlaczego Mare ma taką minę, jakby za chwilę miała zemdleć.

Przynajmniej ta część planu działa. Barrow wyraźnie nie ma zastrzeżeń co do ciała księcia.

– Tędy – mówię do niej, biorąc ją za ramię.

Cal obraca się, gdy słyszy mój głos, wciąż trzymając w dłoni ręcznik. Jest zaskoczony naszym widokiem. A przynajmniej tym, że widzi ją.

– Prawie skończyliśmy! – woła zmieszany.

– Nie spiesz się. To dla mnie bez różnicy – odpowiada Mare, udając obojętność. Daje mi się prowadzić bez słowa sprzeciwu, ale jej dłoń się napina, ramię szybko porusza. Jej palce wżynają się w moje ciało, paznokcie wbijają na znak ostrzeżenia.

– Cześć, Kilorn.

Słyszę, jak Cal wita się z Czerwonym chłopakiem, a potem ściska mu dłoń.

Ptolemeusz podnosi głowę ze swojego miejsca na podłodze, nie zwalniając rytmu ćwiczeń. Nieznacznie kiwam do niego, zadowolona z naszej intrygi. Ale on, zamiast na mnie, patrzy na Mare.

Dziewczyna rzuca mu mordercze spojrzenie, które sprawia, że krew ścina mi się w żyłach.

Staram się nie wzdrygnąć. Nie myśleć o tym, jak mój brat wykrwawia się tak samo jak jej, jak upada, umiera za nic.

„Weź się w garść, Samos”.

ROZDZIAŁ 16

MARE

– Nie jestem idiotką, Evangeline – rzucam ostro, kiedy zamykają się za nami drzwi szatni.

Ale ona tylko wzdycha, rzucając mi kombinezon do treningów. Sprawnymi ruchami ściąga z siebie prostą suknię i odrzuca ją na bok, jakby jej jedwabie były zwykłym śmieciem. Naga, jeśli nie liczyć bielizny, przebiera się we własny strój. Wyraźnie widać, że został uszyty dla niej na miarę, ozdabia go wzór w czarną i srebrną łuskę.

Mój jest prosty i w granatowym kolorze. Poirytowana intrygami Evangeline, ściągam ubrania i wkładam kombinezon.

– Równie dobrze możesz nas wepchnąć do szafy i zamknąć drzwi – oznajmiam jej opryskliwie, patrząc, jak zaplata srebrne włosy w warkocz.

Robi to szybko i automatycznie, po czym upina je w koronę wokół głowy.

Wykrzywia usta.

– Możesz mi wierzyć, zrobiłabym to, gdybym uznała, że to pomoże. W jego wypadku tak. Szafa by wystarczyła. Ale w twoim? – Rozkłada ręce i wzrusza ramionami. – Przy tobie nic nie jest łatwe.

– Czyli co? Miałaś zamiar spuścić mi łomot, licząc na to, że się przejmie? Że może będzie się o mnie troszczył, abym szybko wróciła do zdrowia? – Kręcę głową z obrzydzeniem.

– W Montforcie to działało. – Mierzy mnie wzrokiem. – Uciszacze wykręcili ci niezły numer.

Mrużę oczy.

– Mam swoje powody – rzucam ostro, broniąc się.

To wspomnienie jest jak policzek, po którym następuje mocny cios w brzuch. Wbijam sobie paznokcie we wnętrze dłoni, próbując nie przywoływać tego tłamszącego uczucia. U podnóża góry czy w pałacowej sypialni. Wywołanego przez Srebrnych czy kajdany. Bez zastanowienia zaciskam palce na nadgarstku. Mam wrażenie, że zaraz zwymiotuję na wypolerowaną podłogę.

– Wiem – odpowiada Evangeline delikatniejszym niż wcześniej głosem.

Gdyby to był ktokolwiek inny, pomyślałabym, że pobrzmiwa w nim troska. Ale nie u Evangeline Samos. Odczuwanie współczucia wobec Czerwonych jest dla niej fizycznie niemożliwe.

Odchrząkuję, próbując odzyskać panowanie nad sobą.

– Nawet jeśli w jakiś sposób udałoby ci się nas ze sobą połączyć, to niczego byś tym nie osiągnęła. Sama powiedziałaś, że on nie abdykuje. To głupi plan, Evangeline.

Rzuca mi długie spojrzenie z ukosa, mocując klamrę ze sztyletami wokół uda. Unosi kącik ust. Nie potrafię stwierdzić, czy jej uśmiech jest ironiczny czy nie.

– To się okaże.

Eleganckim i zwinnym krokiem zmierza do tylnych drzwi, pokazując, bym wyszła za nią na woskowany parkiet.

Robię to niechętnie i związuję włosy w gładki kucyk. Część mnie liczy na to, że Tyberiasz już sobie poszedł. Wlepiam wzrok w przestrzeń pomiędzy łopatkami Evangeline.

– Ten plan jest głupi nie tylko dlatego, że Tyberiasz już dokonał wyboru – ciągnę, mijając ją na parkiecie. Instynktownie przenoszę ciężar ciała na pięty, niemal podskakując po drodze. Uśmiecham się do niej szeroko. – Ale też dlatego, że nie tkniesz mnie palcem.

Przyciska dłoń do piersi, udając ból. Drzwi do szatni zatrząskują się z hukiem.

– Mare, to ja tu mam mieć wybujałe ego.

Dalej się uśmiecham, idąc tyłem, żeby nie spuścić z niej wzroku. Nie ufam

nikomu, że będzie walczył fair, a w szczególności jej.

– Może Elane wyliże ci rany?

Evangeline tylko unosi podbródek i spogląda na mnie znad czubka nosa.

– Często to robi. Zazdrosna?

Czuję, jak robię się czerwona. Żar z policzków bucha mi aż do szyi.

– Nie.

Teraz to ona szeroko się uśmiecha. Przechodzi obok i popycha mnie ramieniem ze znaczną siłą. Obracam się, ale ona przyjęła już pozycję i ani na moment nie spuszcza mnie z oka. Zaczynamy przypominać tancerki, które kręcą się na sali balowej. Albo dwa wilki krążące wokół siebie w ciemności. Drapieźców, którzy sprawdzają się nawzajem. Szukają słabości. Okazji.

Muszę przyznać, że okazja, by upuścić trochę pary i odbyć kilka dobrych starć, bardzo mnie cieszy. Po moim ciele już krąży adrenalina. Dobra walka, taka bez konsekwencji albo realnego zagrożenia, zapowiada się szczególnie przyjemnie. Nawet jeśli oznacza to, że Evangeline miała rację co do sparringu.

Zauważam, że z drugiej strony sali przyglądają się nam Kilorn i Tyberiasz. Ptolemeusz trzyma się na dystans. Nie marnuję na nich swojej uwagi – Evangeline właśnie tego chce. Pewnie zatnie mnie po twarzy, gdy tylko odwrócę wzrok.

– Powinnaś więcej trenować – mówi, podnosząc głos, który niesie się przez otwartą przestrzeń.

Zastanawiam się, czy zwyczajnie urodziła się bez poczucia wstydu.

– Dać upust napięciu w inny sposób. Przy pomocy innych ludzi.

Mrugam szczerze zaskoczona. Moje całe ciało zalewa ciepło i przynajmniej raz nie jest to wina Tyberiasza Calore. Evangeline uśmiecha się z zadowoleniem, widząc mój dyskomfort, a nawet kiwa głową w stronę Cala i Kilorna, którzy stoją kilka metrów dalej. Obaj przysłuchują się naszej rozmowie, jednocześnie udając, że wcale tak nie jest. Evangeline unosi brew, uważnie mierząc Kilorna wzrokiem.

Dociera do mnie, co sugeruje.

– Oj, on nie...

– Nie rozśmieszaj mnie – prychnął, robiąc kolejny krok w tył. – Mówię o tym Nowym z Montfortu. Białe włosy, niski głos. Chudy i wysoki.

Nagle żar, który jeszcze przed chwilą mi doskwierał, robi się lodowaty i czuję, jak stają mi włosy na karku. Cał odpycha się od przeciwległej ściany. Rzuca mi spojrzenie, gdy odwraca się i rozpoczyna ostatni etap swojego treningu. Pompki. Unosi się i opada w stałym, ale szybkim tempie. W ciszy słyszę jego rytmiczne sapnięcia, przebijające się przez spowodowane zażenowaniem dudnienie mojego serca.

„Dlaczego tak pocą mi się ręce?”

Evangeline spogląda na mnie chytrze, wyraźnie zadowolona. Lekko opuszcza podbródek, kiwając głową. Prowokując mnie. „No dalej”, czytamy z ruchu jej warg.

– Ma na imię Tyton i nie ma go tu – warczę, nienawidząc siebie, gdy wypowiadam te słowa.

Na drugim końcu sali Tyberiasz zwiększa tempo.

– I to jest najgłupszy plan – dodaję, nachylając się, by wyszeptać to najciszej, jak się da.

Evangeline odchyła głowę.

– Czyżby?

Łamię mi nos czołem, zanim zdążę odpowiedzieć.

Mam plamy przed oczami: widzę czerń i czerwień, wszystkie kolory wirują przede mną, chwieję się na boki, aż padam na kolana. Twarz zalewa mi karmazynowa krew, która wpływa do ust i ścieka po brodzie. Znajoma cierpkość coś we mnie budzi. Zamiast paść na ziemię, zbieram się w sobie i staję na nogi.

Walę ją głową w mostek i słyszę świst wypychanego z płuc powietrza. Evangeline zatacza się i upada płasko na plecy. Wycieram twarz ręką. Robi się lepka od krwi, a ja krzywię się, próbując nie myśleć o potwornym bólu.

Cał klęczy na jednym kolanie, szeroko otwierając oczy i zaciskając szczękę, gotowy się poderwać. Kręcę do niego głową i pluję krwią. „Zostań, gdzie jesteś, Calore”.

Zostaje.

Pierwszy sztylet przelatuje tuż przy moim uchu i ma stanowić ostrzeżenie. Przed drugim robię unik i turlam się po gładkiej, prawie śliskiej drewnianej podłodze. W uszach dźwięczy mi śmiech Evangeline. Szybko go uciszam i rzucam się do przodu, by chwycić ją za kark. Wykręca się, nim zdążę mocno zacisnąć ręce i porazić ją tak, by mi się poddała. Dosięga ją tylko kilka iskier, gdy mi się wymyka, wykorzystując do tego wypolerowany parkiet. Wzdryga się przy tym, jak gdyby chciała zrzucić z siebie wyjątkowo zawziętego owada.

– Jesteś lepsza, niż pamiętałam – dyszy, zatrzymując się kilka kroków ode mnie.

Zaciskam jedną dłoń w pięść, a drugą przykładam do nosa, próbując zatamować krew. Nie wygląda to ładnie. Cała podłoga jest już ochlapana czerwienią.

– Gdybym tylko chciała, mogłabym cię powalić tam, gdzie stoisz – mówię jej, przypominając sobie to, czego nauczyłam się od Elektrykonów.

Sieć błyskawic. Piorun burzowy. Ale już nie piorun mózgowy Tytona, nad którym wciąż nie mam kontroli.

Evangeline kręci głową z uśmiechem. Podoba się jej to.

– Możesz spróbować.

Uśmiecham się z równym zadowoleniem. „Dobra”.

Puszczam swój fioletowobiały piorun, który oślepia, pali i syczy w powietrzu wilgotnym od potu. Evangeline reaguje z niemal nadludzką prędkością. Łączy swoje noże w jeden długi metalowy pręt. Wbija go w podłogę i piorun trafia w metal. Nie osiągnąwszy celu, rozchodzi się z błyskiem, który oślepia nawet mnie.

Wtedy uderza mnie łokciem w podbródek i odrzuca do tyłu. Znów widzę gwiazdy.

– Niezła sztuczka – mamroczę, czując, jak krew leje mi się po ustach. Kiedy tym razem pluję, chyba słyszę, jak na podłogę wypada ząb. Potwierdzam swoje

podejrzenia, gdy znajduję językiem nieznaną wyrwę w dolnych zębach.

Evangeline obraca ramionami, nierówno dysząc.

– Jakoś musiałam wyrównać szanse. – Z cichym stęknieniem wyrywa włócznie z podłogi i kręci nią wokół nadgarstka. – Skończyłaś rozgrzewkę?

Wydaję z siebie krótki śmiech.

– O tak.

*

Czekam na swoją kolej, podczas gdy Wren pracuje nad twarzą Evangeline. Jedno oko ma tak zapuchnięte, że nie może go otworzyć. Czerń i niezdrowa siność tkanek ciemnieje z każdą mijającą minutą. Druga powieka Evangeline drga co kilka sekund. To chyba zerwany nerw. Dziewczyna fuka na mnie, a jej ramiona unoszą się i opadają, gdy z sykiem dociska zakrwawioną dłoń do boku.

– Nie ruszaj się – upomina ją Wren po raz trzeci. Śledzi dłonią profil Evangeline i opuchlizna zaczyna schodzić. – Masz złamane żebro.

Evangeline patrzy na mnie jedynym sprawnym okiem.

– Dobra walka, Barrow.

– Dobra walka, Samos – odpowiadam z pewną trudnością. Przy rozciętej wardze, złamanym nosie i posiniaczonej szczęce nawet mówienie boli. Muszę się nachylić, żeby nie kłaść nacisku na lewą kostkę. Z otwartego złamania nad nią wciąż kapie krew.

Trzej mężczyźni trzymają się z tyłu, dając nam trochę przestrzeni.

Kilom zerka to na Evangeline, to na mnie, rozdziawiając usta z niedowierzaniem. I może ze strachem.

– Dziewczyny są dziwne – mruczy pod nosem.

Tyberiasz i Ptolemeusz mu przytakują.

Wydaje mi się, że Evangeline próbuje mrugnąć. Albo uszkodzenie powieki jest poważniejsze, niż mi się zdawało. Może jestem wyczerpana po walce, ale prawie zaczynam się śmiać. Z nią, nie z niej. Ta świadomość mnie otrzeźwia i pulsujące

elektryczne wrażenie adrenaliny zaczyna blednąć. Nie mogę zapomnieć, kim ona jest i co jej rodzina zrobiła mojej. Jej brat, który siedzi kilka kroków ode mnie, zabił Shade'a. Odebrał Clarze ojca, a Farley partnera. Zabrał syna mojej matce i ojcu. Ukradł mi brata.

A ja próbowałam zrobić to samo.

Evangeline wyczuwa moją zmianę nastroju i spuszcza wzrok, znów przyjmując kamienne oblicze.

Wren Skonos jest bardzo utalentowana: jej umiejętności leczenia ciała sprawiają, że po kilku minutach Evangeline jest gotowa do stoczenia kolejnej walki. Te dwie młode kobiety wyglądają jak swoje przeciwieństwa: Evangeline ze srebrnym warkoczem i bladą skórą, Wren z długim warkoczem lśniących czarnych jak smoła włosów, przerzuconym przez granatowoczarne ramię. Nie umyka mojej uwadze, w jaki sposób Ptolemeusz obserwuje Uzdrowicielkę Ciał, gdy ta kończy zajmować się jego siostrą. Jego oczy zatrzymują się na jej twarzy, szyi, obojczyku. Nie na jej palcach przy pracy. Łatwo zapomnieć, że jest poślubiony Elane. Przynajmniej oficjalnie. Podejrzewam, że jego siostra spędza więcej czasu z jego żoną, gdy on spędza swój z Wren. „Co za dziwna rodzina”.

– Teraz ty – mówi Uzdrowicielka, pokazując, żebym zamieniła się z Evangeline.

Księżniczka z domu Samos wstaje i rozciąga swój ledwie co wyleczony brzuch z gracją kota.

Siadam ostrożnie, krzywiąc się jak to ja.

– Duże dziecko – rechocze Kilorn pod nosem.

W odpowiedzi uśmiecham się agresywnie, starając się pokazać nową przerwę w zaplamionych krwią zębach. Kilorn udaje, że się wzdryga.

Na ten widok Ptolemeusz zaczyna się śmiać, na co oboje piorunujemy go wzrokiem.

– Coś cię bawi? – rzuca mój przyjaciel, podchodząc bliżej do srebrnowłosego mężczyzny. Jest zbyt odważny, żeby mogło mu to wyjść na dobre. Nie zważa na to,

że księżę jest Żeleźcem, który mógłby bez problemu przeciąć go na pół.

– Zaraz do ciebie przyjdę, Kilorn – przerywam im głośno, licząc, że w ten sposób zakończę konflikt, zanim w ogóle się zacznie. Nie mam ochoty na to, żeby wycierać krew Kilorna z podłogi.

Zerka na mnie poirytowany moją troską, ale się nie uginam.

– Wszystko okej, idź.

– Dobra – cedzi przez zęby, piorunując Ptolemeusza wzrokiem, nawet gdy wychodzi.

Kiedy echo jego kroków milknie, Evangeline elegancko wstaje z jasnym zamiarem. Ledwie się uśmiechając, także wychodzi i zabiera ze sobą brata. Odwraca się przez ramię, a ja pochwytyuję jej spojrzenie, gdy przerzuca oczami pomiędzy mną a Tyberiaszem, który nadal nic nie mówi, ale trzyma się blisko. W jego oczach iskrzy nadzieja. Czuję się przez to tylko gorzej.

„To głupi plan”, mam ochotę powtórzyć.

Od palców Wren rozchodzi się ulga, która koi każdy obolały mięsień i każdy siniak. Zaciskam powiekę, pozwalając jej dotykać i rozciągać moją skórę w różne strony. Wren jest krewną Sary Skonos, córką szlchetnego domu podzielonego pomiędzy królów Calore. Wcześniej służyła Mavenowi i była moją uzdrowicielką w Archeonie. Obserwowała mnie w tamtych dniach. Utrzymywała mnie przy życiu, kiedy właściwie zabijał mnie ciężar Cichego Kamienia. Dopilnowała, by moje ciało i twarz nadawały się do pokazania podczas orędzia Mavena. Żadna z nas nie mogła wtedy przewidzieć, gdzie znajdziemy się dziś.

Nagle nie chcę, aby ten ból minął. Dzięki niemu łatwiej mi odwrócić uwagę od pragnienia w swoim sercu. Podczas gdy palce Wren tańczą wzdłuż mojej szczęki, stymulując regenerację kości, aby zastąpić mój wyłamany ząb, próbuję nie wyobrazić sobie Tyberiasza Calore. Ale to niemożliwe. Jest na tyle blisko, że czuję jego znajome, stałe ciepło.

Wcześniej Evangeline powiedziała, że to ja jestem tu trudna. Myślę, że nie ma racji. Gdyby zamknęła mnie i Tyberiasza w jednym pokoju, pewnie bym pękła.

„I czy to by było takie straszne?”

– Dużo się czerwienisz.

Powoli otwieram oczy i widzę, że Wren pochyla się nad moją twarzą, ściągając w dzióbek swoje pełne usta. Mruga, patrząc na mnie, a jej oczy mają ten sam burzowy kolor co oczy Sary.

– Gorąco tu – odpowiadam.

Tyberiasz też się czerwieni.

*

Idziemy w ciszy. Za szklanymi ścianami Grani rozciąga się widok na nieprzeniknioną ciemność, a długie jasne światła pasażu rzucają cienie. Nasze odbicia dotrzymują nam kroku i jestem zaskoczona, gdy widzę, jak idziemy razem. Nigdy nie zapominam, jaki Tyberiasz jest wysoki, ale to dodatkowe przypomnienie, jak źle jesteśmy do siebie dopasowani. Mimo sesji treningowej i potu, od którego wciąż lepi się jego skóra, Tyberiasz wygląda jak urodzony książę, potomek trzech stuleci królów. Wychowywano go tak, by był lepszy niż inni, i to widać.

Czuję się przy nim mniejsza niż zazwyczaj. Mały brudny zlepek blizn i cierpienia.

Tyberiasz czuje moje spojrzenie i spuszcza na mnie wzrok.

– Czyli Nowe Miasto.

Wzdychając, przygotowuję się na kłótnię.

– To nam jest potrzebne – odpowiadam. – Nie tylko ze względu na wojnę, ale też ze względu na nas, Czerwonych. Miasta techników niewiele się różnią od osad niewolniczych.

Nigdy nie postawiłam nogi w żadnym z nich, ale widziałam Szare Miasto zbudowane z popiołu i dymu, gnieźdzące się nad brzegiem zatrutej rzeki. Widziałam kark Cameron i jej brata, oba bez skrupułów wytatuowane nazwami przydzielonego im miejsca. Ich „zawodu”. Ich więzienia.

Mam zamiar zniszczyć Nowe Miasto i pozostałe slumsy. Chcę, by były puste i martwe. Skazane na to, by zgnić, zniknąć i popaść w zapomnienie.

– Wiem – odpowiada łagodnie Tyberiasz, głosem, w którym pobrzmiwa żal.

Widzę, że jego oczy ciemnieją. Wie, co tak naprawdę mówię. Gdyby nie dzieliła nas korona, wzięłabym go za rękę i pocałowała w ramię. Podziękowała za nawet tak mały wyraz wsparcia.

Przygryzam wargę, szybko mrugając, by odgonić od siebie potrzebę fizycznego kontaktu.

– Będę potrzebować Cameron.

Jej imię go ocuca.

– Czy ona...

– Żyje? – kończę za niego, a słowo niesie się echem po rzecznych kamieniach w posadzce pasażu. Pytanie i nadzieja wiszą w powietrzu. – Musi.

Tyberiasz zwalnia krok.

– Farley nadal niczego się nie dowiedziała?

– Wkrótce się dowie.

Oddziały Szkarłatnej Gwardii w Piedmoncie, teraz zbierające się na nizinach i szykujące do ewakuacji, powinny się zgłosić w ciągu najbliższych godzin. A Ibarem powinien uzyskać jakieś informacje, kiedy Rash dołączy do pozostałych ocalałych. Nie ma takiej możliwości, żeby Cameron nie było na tej liście. Jest zbyt silna, zbyt mądra, a przede wszystkim zbyt uparta, żeby dała się zabić.

Nawet nie mieści mi się to w głowie.

Nie dlatego, że będziemy potrzebować jej pomocy, by zniszczyć jej przeklęty dom, Nowe Miasto, ale dlatego, że będzie kolejnym trupem na moim sumieniu. Kolejną bliską osobą, którą posłałam w objęcia śmierci.

Mocno zaciskam powieki, próbując nie myśleć o innych, którzy byli w Piedmoncie, kiedy Bracken odebrał swoją bazę. Morrey, brat Cameron. Nastolatki z Legionu Sztyletu, ocaleli z jednego oblężenia tylko po to, żeby władować się w następne.

Nic nie może się równać z bólem po stracie Shade'a, ale śmierć innych równie łatwo mnie niszczy. Ile to potrwa? Stratę ilu osób będziemy musieli zaryzykować?

„To wojna, Mare Barrow. Codziennie ryzykujesz, że stracisz wszystkich”.

Zwłaszcza osobę stojącą obok mnie.

Przygryzam wargę prawie do krwi, by powstrzymać myśli o tym, że Tyberiasz, Cal, mógłby umrzeć.

– To się nie robi łatwiejsze – mówi niepewnym tonem.

Otwieram oczy i widzę, że gapi się przed siebie z zaciętością, którą zwykle zachowuje na pole bitwy i narady wojenne.

– Co?

– Tracenie ludzi – odpowiada. – To nigdy nie przemija, nieważne, ile razy ci się przydarzy. Nigdy się do tego nie przyzwyczajasz.

W innym życiu, kiedy byłam Mareną Tytaniusz, stałam w wejściu sypialni księcia. Wszędzie leżały książki: podręczniki, traktaty o wojnie, strategii i dyplomacji. Manewrach i manipulacjach w zastosowaniu do całej armii i pojedynczych żołnierzy. Kalkulacje zysków i strat. Ilu ludzi może zginąć, by mimo to wciąż można było osiągnąć zwycięstwo.

Z obrzydzeniem myślałam o nim jako o człowieku, który z taką łatwością trwoni ludzkie życie, przelewa krew dla centymetra postępu. Ale zrobiłam to samo. Tak jak Farley, tak jak Davidson. Żadne z nas nie jest niewinne.

Żadne z nas nigdy nie będzie w stanie zapomnieć, o tym, co teraz robimy.

– Jeśli to nigdy nie mija – mamrocę, mając wrażenie, że moje słowa mogą zostać niedosłyszane – to kiedyś czara się przepełni.

– Prawda – odpowiada Tyberiasz ochrypłym głosem.

Zastanawiam się, jak blisko jest swojego limitu i ile jeszcze mnie zostało. Czy przekroczymy granicę w tym samym dniu? Czy to jedyna podpowiedź?

Czy wyjdziemy z tego razem, z ranami nie do wyleczenia? A może osobno?

Wzdrygam się i przyspieszam kroku. To dla nas obojga jasny sygnał.

– Jaki jest plan z miastem Harbor? – pytam, wpatrując się w długi korytarz.

Łączy skrzydło Grani z następnym i rozpina się nad ogrodem pełnym drzew i fontann, ledwie widzialnych w ciemności.

Tyberiasz z łatwością zrównuje ze mną krok.

– Nic nie jest ustalone, póki nie przyjedzie Davidson. Ale Farley ma pewne pomysły, a jej kontakty w mieście zdecydowanie się przydadzą.

Przytakuje mu. Miasto Harbor to najstarsze miasto w Norcie, labirynt ulic pełnych przestępców i gangów. Kilka miesięcy temu jeden z tych gangów o nazwie „Marynarze” próbował sprzedać nas Mavenowi, kiedy szukaliśmy Nowych. Ale czasy się zmieniły. Czerwoni z Norty dostosowują się do Czerwonej Gwardii, która rośnie w siłę i zyskuje rozgłos. Nasze zwycięstwa mają wpływ przynajmniej na niektórych.

– Będą ofiary wśród cywilów – dodaje Tyberiasz rzeczowym tonem. – To nie Corvium ani Piedmont. Harbor to miasto, a nie fort. To dotknie niewinnych ludzi, Srebrnych i Czerwonych. – Napina dłoń, wyciąga długie palce i jeden po drugim strzela z knykcii. – Zaczniemy od Fort Patriot. Jeśli nie uda nam się przejąć nad nim kontroli, reszta miasta upadnie.

Widziałam Fort Patriot tylko z daleka i moje wspomnienia nie są zbyt wyraźne. Jest mniejszy niż baza w Piedmoncie, ale lepiej wyposażony i zdecydowanie ważniejszy dla wrogiej armii.

– Gubernator Rhambos i jego dom są lojalni wobec Mavena – odpowiadam. – Nadal są solidnymi sojusznikami. – Mam w tym niemały udział, bo zabiłam mu na arenie syna podczas nieudanej egzekucji. Oczywiście on też próbował mnie zabić. – On się łatwo nie podda.

Tyberiasz prychnął.

– Nikt się nigdy łatwo nie poddaje.

– A jeśli zdobędziesz miasto – dopytuję. „Jeśli przeżyjesz?”

– To chyba będziemy w stanie zmusić Mavena do rozmowy.

To imię przeszywa mnie jak prąd. Znamię wypalone na moim obojczyku zaczyna śwędzć, nagle domagając się uwagi.

– On nie będzie negocjował. Nie podda się. – Robi mi się niedobrze, gdy pomyślę sobie o pustych oczach Mavena i jego przebiegłym uśmiechu. O obrzydliwej, niemożliwej do pokonania obsesji, która męczy nas oboje. – Nie warto próbować, Tyberiaszu.

Krzywi się, gdy używam jego pełnego imienia, i na sekundę zaciska powieki.

– Nie dlatego chcę się z nim zobaczyć.

Sugestia jest jasna.

– Aha.

– Muszę mieć pewność – wyznaje w końcu. – Zapytałem premiera o Szeptaczy w jego kraju. Czy istnieją Nowi tacy jak Elara. Ktokolwiek, kto byłby w stanie mi pomóc.

– I?

Kiedy odwróciłam się od Tyberiasza w Corvium, wyglądał, jakby cierpiał. Teraz jest podobnie. Nic nie dzieli tak jak miłość.

– Powiedział, że nikogo takiego nie ma – przyznaje cicho. – Ale że będzie szukał.

Kładę mu dłoń na ramieniu, wciąż wilgotnym od potu. Moje palce znają jego skórę równie dobrze jak własną. Tyberiasz jest jak ruchome piaski. Jeśli zbyt długo tu pozostanę, nie będę w stanie uciec.

Staram się być delikatna.

– Wątpię, żeby nawet Elara potrafiła go naprawić. Gdyby jej pozwolił.

Tyberiasz bucha gorącem pod moją dłoń, więc szybko ją cofam, opamiętując się. Nie ma jak tego ująć. Wiem, co oznacza rezygnacja z Mavena Calore.

Pasaż przed nami kończy się rozwidleniem w kształcie litery T. Jego pokój znajduje się po jednej stronie, mój po przeciwnej. Patrzymy w ciszy na ścianę i żadne z nas nie ośmiela się ruszyć.

Rozmawianie z nim wydaje się koszmarem. Mimo to nie chcę się budzić.

– Ile mamy czasu? – szepczę.

Nie patrzy na mnie.

– Davidson będzie tu za mniej więcej tydzień. Przez kolejny będziemy się przygotowywać. – Przęłyka ślinę. – To niezbyt długo.

Ostatnim razem, gdy postawiłam stopę w Harbor, uciekaliśmy. Ale mój brat żył. Chciałabym móc wrócić do tamtych dni, choć były bardzo ciężkie.

– Wiem, co próbuje zrobić Evangeline – mówi nagle Tyberiasz głosem ciężkim od emocji.

Spoglądam na niego z ukosa.

– Nie jest przy tym zbyt subtelna.

Nadal gapi się w ścianę przed nami. Nie skłania się ku żadnej ze stron.

– Chciałbym, żeby istniał jakiś wspólny grunt.

Miejsce, gdzie nasze nazwiska, nasza krew i nasza przeszłość nie miałyby znaczenia. Miejsce bez obciążeń. Miejsce, które nigdy nie istniało i którego nigdy nie będzie.

– Dobranoc, Tyberiaszu.

Z sykiem zaciska pięść.

– Bardzo bym chciał, żebyś przestała mnie tak nazywać.

„A ja bardzo chciałabym ciebie”.

Odwracam się i idę w stronę swojego pokoju, a moje kroki niosą się samotnym echem.

ROZDZIAŁ 17

IRIS

Archeon nigdy nie będzie moim domem.

Nie z powodu jego lokalizacji, rozmiaru czy braku kapliczek i świątyń, a nawet mojej dogłębnej i wrodzonej pogardy dla Nortkańczyków. Żadna z tych rzeczy nie jest równie przykra jak pustka, którą czuję, nie mając przy sobie rodziny.

Próbuję ją zapełnić treningami i modlitwą oraz innymi królewskimi obowiązkami, choć niektóre z nich są potwornie nudne. Wszystkie są jednak konieczne. Najważniejszą rzeczą jest zachować formę do walki. Łatwo byłoby mi pozostać w swoich komnatach w otoczeniu jedwabów i aksamitów i dać Czerwonym sobie usługiwać i prześcigać się w zdobywaniu dla mnie wszystkiego, czego zapragnę. Tak samo było w Lakelandii, nigdy jednak tak bardzo nie szukałam pocieszenia w jedzeniu i alkoholu jak tutaj. Liczne treningi dają mi też równowagę, żebym nie wpadła w pułapkę, w którą wpada wielu monarchów i możnowładców. Pułapkę, którą Maven potrafi doskonale zastawić. Wielu lordów i wiele dam nadal popierających jego rządy wydaje się bardziej zajętych przyjęciami i ucztami niż wilkami stojącymi u bram. „Idioci”.

Trudniej się modlić w tym bezbożnym kraju. Nie wiadomo mi o żadnych świątyniach istniejących w Archeonie, a kapliczka, którą kazałam tu sobie wybudować, jest bardzo mała. To właściwie uświęcona szafa, ukryta w moich komnatach. Nie, żebym potrzebowała dużo przestrzeni, by porozumiewać się ze swoimi bezimiennymi bogami. Jednak w środku upalnego lata małe pomieszczenie pełne starych boskich wizerunków nie jest najprzyjemniejszym miejscem – nawet przy moich umiejętnościach obracania w powietrzu chłodną wilgocią. Próbuję się modlić gdzie indziej, a przynajmniej poczuć obecność swoich bogów, gdy mija

dzień, ale im dłużej jestem z dala od domu, tym trudniejsze to się staje. Skoro ja ich nie słyszę, to czy oni słyszą mnie?

Czy jestem nieskończenie samotna?

Podaję, że tak jest łatwiej. Nie chcę mieć z Nortą żadnej silnej więzi. Niczego, co wiązałoby mnie z tym miejscem, kiedy Maven zostanie pozbawiony tronu przez swojego brata, chyba że moja matka zrobi to pierwsza.

Królewskie obowiązki stanowią jedyną odmianę w mojej izolacji. Dziś, zgodnie z harmonogramem, mam przejechać mostem nad rzeką Capital do drugiej części miasta. Byle jak najdalej od Mavenu w granicach ścian Archeonu z diamentowego szkła. Coraz rzadziej pojawia się przed pałacem, zajęty niekończącymi się naradami. Albo długimi godzinami spędzonymi w samotności.

Słyszę, co szepczą służący. Jego ubrania często płoną, a powstałe w ten sposób dziury są nie do załatania. Oznacza to, że Maven traci nad sobą kontrolę albo nie obchodzi go, czy jeszcze nad sobą panuje. Możliwe, że jedno i drugie.

Wschodni Archeon jest odbiciem zachodniej części miasta. Rozciąga się od rzeki po podobne do klifów brzegi, które przeistaczają się w łagodne zbocza. O tej porze roku wszystko jest zielone. Przynajmniej to przypomina mi dom, choć tak niewiele mi się tu z nim kojarzy. Nawet woda jest nie taka. Słona, nie słodka, i zanieczyszczona przez slumsy techników znajdujące się w górze rzeki. Nortańczycy myślą, że większość szkodliwych substancji pochłania bariera drzew, ale każdy Wodniak już po jednym pociągnięciu nosem zorientowałby się, jak jest naprawdę.

Budynki są wysokie i przytłaczające, same kolumny z granitu i marmuru, ich dachy zwieńczone rzeźbami ptaków z rozpostartymi skrzydłami i wyciągniętymi szyjami. Łabędzie, sokoły, orły. Ich pióra mają kolor miedzi i stali i są wypolerowane, tak by dawały oślepiający błysk.

Nawet w trakcie wojny stolica utrzymuje atmosferę nieświadomości i beztroski. Po ulicach chodzą Czerwoni naznaczeni karmazynowymi bransoletami lub barwami domów, w których służą. Srebrni w transporterach jadą każdy w swoją

stronę. Muzea, galerie, teatr działają bez żadnych zmian ani opóźnień.

Podejrzewam, że tutejsi przywykli do wojny tak samo jak Lakelandczycy. Nawet tej toczonyj w granicach ich własnego królestwa.

Dziś uczestniczę w lunchu upamiętniającym żołnierzy, których Maven stracił w bitwie o Corvium. Jak zawsze, podążają za mną moi wartownicy w jaskrawych szatach. Choć jestem ubrana w swoje zwyczajowe barwy, niebieską bluzkę i żakiet mam obszyte czernią i czerwienią Mavena. Źle się czuję z tym, że nałożyłam na siebie taką skazę, ale patrząc na moją twarz, nikt by się nie zorientował, co naprawdę myślę.

Uśmiecham się i witam skinieniem głowy, prowadząc niezobowiązujące rozmowy z licznymi lordami i damami, chcącymi okazać uprzejmość swojej nowej królowej. Nikt nie mówi niczego, co mogłoby się do czegośkolwiek przydać. Wszystko jest na pokaz, nawet w przypadku rodzin poległych. Wyraźnie nie chcą, żebym tu była, woleliby zmierzyć się ze swoją żalobą sami. W zamian są wyprowadzani jak aktorzy na scenę, wystawiani na pokaz. Jeden po drugim tłumaczą, w jaki sposób zginęli ich najbliżsi, zamordowani przez Czerwonego terrorystę lub montforckie dziwadło. Kilka osób ledwie jest w stanie dokończyć swoją przemowę.

Sprytna taktyka – jestem przekonana, że stoi za nią mój mąż. Każdy, kto jest przeciwny wojnie albo nawet wolałby na tronie brata Mavena, miałby problem z obstawaniem przy swoich przekonaniach po takim przedstawieniu. A ja całkiem dobrze odgrywam swoją rolę.

– Zebraliśmy się tu dzisiaj, by opłakiwać naszych bliskich, ale także po to, by wysłać komunikat. Nie pozwolimy, by rządził nami strach – mówię tak stanowczym tonem, na jaki tylko mnie stać, i rozglądam się po sali pełnej bystrookich lordów i dam.

Patrzą na mnie z wielką uwagą. Albo z grzeczności, albo szukając czułych punktów. Dopatrując się słabości. Wiem, że wielu z nich porzuciłoby Nortę Mavena, gdyby uznało, że to posłuży ich domom.

Moje zadanie to przekonać ich, że jest inaczej. By zostali. Walczyli. Umierali.

– Nie poddamy się woli buntowników i terrorystów ani żadnych władzy kryminalistów, ukrywających się pod powłóczką fałszywych obietnic. Nie porzucimy tego, co reprezentuje nasz kraj, naszych ideałów, tego, na czym zbudowano Nortę i nasze życie. – Przychodzą mi na myśl lekcje elokucji. Chociaż nigdy nie byłam równie uzdolniona w sztuce oratorskiej co Tiora, staram się jak mogę. Podtrzymuję na sobie wzrok kilkunastu par oczu, ani razu się nie wzdrygając ani nie jękając. Zaciskam dłoń w pięść, schowaną pod warstwami spódnicy. – Norta to kraj Srebrnych, zrodzony z naszej siły i potęgi, naszych osiągnięć i poświęcenia. Żaden Czerwony nie odbierze nam tego, co mamy, ani nie zmieni tego, kim jesteśmy. Są dla nas nikim, bez względu na to, jakich mają sprzymierzeńców. Maven Calore zwycięży. Prawdziwa Norta zwycięży. Siła i potęga. – Tłumię w sobie uśmiech, gdy przemycam znajome słowa do zatwierdzonej wcześniej przemowy. – Niech zmierzą się z naszą powodzią.

Choć próbuję tego nie robić, uśmiecham się, gdy tłum zaczyna oklaskiwać słowa Lakelandki. Słowa mojej matki. „Przygotujcie się do tego, Nortańczycy. Już niedługo będziecie się kłaniać przed moimi barwami”.

*

Nadciągnęła fala ciepła, dzięki której droga powrotna do mojego konwoju transporterów jest całkiem przyjemna. Mam ochotę pozostać dłużej na ulicy, nacieszyć się świeżym powietrzem i delikatnymi promieniami słońca, poruszam się więc tak wolno, jak tylko się da. Wartownicy, odziani w rękawiczki i maski, otaczają mnie, tworząc dobrze przećwiczoną formację. Z moich wyliczeń wynika, że jesteśmy przed czasem. Jedyne, co mam jeszcze w planach, to wrócić do pałacu i przygotować się do kolacji.

Mimo to zbyt szybko pojawiają się przede mną otwarte drzwi transportera. Wzdycham i wsiadam do środka, spuszczaając wzrok, gdy drzwi zostają za mną zamknięte.

– Dzień dobry, Wasza Wysokość.

Z wnętrza transportera wpatrują się we mnie dwie twarze. Jedna jest znajoma, drugiej mogę się domyślać. Obie należą do wrogów.

Wydaję z siebie cichy skowyt i jak najdalej odsuwam się na skórzanym siedzeniu. Instynktownie sięgam po manierkę z wodą, którą zawsze trzymam przy sobie. Drugą dłonią szukam pistoletu ukrytego pod siedziskiem.

Czuję, jak mój podbródek chwytają czyjeś palce, zmuszając mnie, bym podniosła wzrok. Spodziewam się, że należą do Piewcy, wujka, który potrafi całkowicie pozbyć się wszystkich cudzych myśli. Całkowicie zamieszać w mojej głowie.

Widzę jednak, że to babka mnie przytrzymuje, wpatrując się we mnie stanowczo oczami w kolorze brązu. Zamieram, bo wiem dokładnie, co może zrobić dotyk Anabel Lerolan. Wyobrażam sobie, jak jej uścisk poprawia się i zacieśnia, aż moja czaszka eksploduje, bryzgając na wszystkie strony materią mózgu i kośćmi po całym wnętrzu pojazdu.

– Dam ci małą radę jak królowa królowej, moja droga – mówi Anabel, nadal trzymając mój podbródek. – Nie rób nic głupiego.

– W porządku – szepczę, unosząc puste dłonie. Bez broni, bez manierki. Żadnej broni poza powietrzem w transporterze. Obracam się przez ramię i spoglądam na kierowcę i wartownika: obaj znajdują się po drugiej stronie szyby.

Julian Jacos podąża za moim wzrokiem i wzdycha. Stuka palcami o przegrodę. Żaden z moich strażników się nie rusza.

– Obawiam się, że nie będą w stanie cię usłyszeć jeszcze przez jakiś czas – mówi. – Poinstruowano ich też, żeby wrócili do pałacu trasą widokową. – Z pustym uśmiechem wygląda przez szybę, gdy jedziemy nieznanymi mi uliczkami. – Nie mamy zamiaru zrobić ci krzywdy, Iris.

– To dobrze. Podejrzewałam, że nie jesteście na tyle głupi, by próbować – odgryzam się nieco skrepowana śmiertelnym uściskiem Anabel. – Możesz przestać? – pytam z drwiną w głosie.

Królowa puszcza mnie z protekcyjnym skinieniem głowy, ale się nie cofa.

Ma mnie w zasięgu ręki. Staram się zebrać wilgoć na skórze pod warstwą ubrań, pobierając ją z powietrza. Na całe ciało występuje mi też lodowaty pot. Może zdołam przygotować jakąś tarczę, jeśli spróbuje zniszczyć moje palce.

– Jeśli chcesz wysłać Mavenowi wiadomość, to sugerowałabym tradycyjne kanały – rzucam opryskliwie, pokazując, że łatwo się nie dam.

Prycha, robiąc zdegustowaną minę.

– To nie jest wiadomość dla tego przeklętego bachora.

– Twojego wnuka – przypominam jej.

Anabel wykrzywia usta w grymasie, ale mówi dalej:

– Chcę, żebyś przekazała wiadomość swojej matce. Jak masz w zwyczaju.

Krzyżuję ręce na piersiach.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Anabel przewraca oczami i wymienia spojrzenia z Julianem. Jego minę, nieruchomą i uważną, zdecydowanie trudniej przejrzeć.

– Nie muszę wyciągać z ciebie żadnego wyznania – mówi Julian płaskim tonem – ale wiesz, że potrafię, jeśli zajdzie taka potrzeba, prawda?

Nic nie mówię. Nic nie robię. Moja twarz jest nieruchoma jak lustrzana tafla jeziora. Nie daję im żadnego potwierdzenia.

Królowa Lerolan i tak mówi swoje, mierząc mnie znad czubka nosa.

– Powiedz królowej Lakelandii, że prawowity król Norty nie jest z nią w konflikcie. I ma zamiar utrzymać pokój, jaki wynegocjował uzurpator. Oczywiście pod warunkiem że otrzymamy pewne gwarancje.

– Chcecie, żebyśmy się wycofali? – pytam z kpiną w głosie.

Królowa patrzy na mnie z równą pogardą.

– To absolutnie niemożliwe.

– Nikt nie mówi o wycofywaniu się. Trzeba zachować pozory – odpowiada Anabel, rozczapierzając te swoje przeklęte palce.

Przyglądam się każdemu z nich, gdy królowa wystukuje sobie nimi rytm na nodze.

– Ale jestem pewna, że znajdziemy jakiś kompromis, inny niż otwarta wojna między naszymi suwerenami.

Raz jeszcze zerkam na swoich omamionych strażników, którzy wciąż nas ignorują. Droga za oknem jest nieznana, przynajmniej dla mnie. Zaciskam zęby.

– On nie jest żadnym suwerenem. Nie zawarliśmy sojuszu z Tyberiaszem Calore, zdrajcą swojego królestwa i swoich ludzi.

Wuj przechyla głowę na jedną stronę, przyglądając mi się, jakbym była obrazem. Powoli mruga powiekami.

– Twój mąż lepiej wypowiada to kłamstwo niż ty.

„Mąż”. Przypomnienie mojego miejsca w tym królestwie i mojej pozycji u boku Mavena to niewyszukany przytyk, ale mimo wszystko bolesny.

– Kłamstwo czy nie, ludzie w nie wierzą – syczę w odpowiedzi. – Czerwoni i Srebrni w całym tym kraju wierzą w to, co im się mówi. I ruszą do walki dla osoby, za którą uważają Mavena.

Ku mojemu zaskoczeniu Anabel kiwa głową. Mina jej rzednie, na twarz wypływa troska.

– Tego się właśnie obawiamy i dlatego tu jesteśmy. By zapobiec rozlewowi krwi na tyle, na ile to możliwe.

– Och, Anabel, powinnaś była zostać aktorką. – Rechoczę ponuro.

Ale ona macha na to ręką, wyglądając przez szybę. Na jej ustach pojawia się cień uśmiechu.

– Dawno temu byłam patronką sztuki.

Z jakiegoś powodu Julian zerka na nią, a jego oczy łagodnieją. Spogląda na niego powściągliwie. Coś sobie komunikują. Niewypowiedziane słowo albo może wspólne wspomnienie.

Anabel pierwsza się z tego otrząsa i znów spogląda na mnie. Jej głos jest stanowczy i czuję się tak, jakby ktoś udzielał mi nagany.

– Kiedy Tyberiasz odzyska tron, jest gotowy oddać ziemię i pieniądze w zamian za współpracę Lakelandii.

Unoszę brew, co jest jedynym wyrazem mojego zainteresowania. Koniec końców nie wiadomo, do czego może nas to doprowadzić. Zawsze warto sprawdzić wszystkie możliwości.

Królowa to dostrzega, więc kontynuuje:

– Przekażemy wam całą Dusznię.

Znów zaczynam się śmiać, odrzucając przy tym głowę. Czuję na skórze mrowienie niemal kompletnej tarczy wilgoci.

– Bezużyteczna ziemia – pryham. – Pole minowe. Ofiarowujecie nam zadanie do wykonania.

Stara królowa udaje, że mnie nie słyszy.

– Oraz małżeństwo z dziedzicem Tyberiasza, dzieckiem z domów Calore i Samos. Podwójny monarcha, dziedzic dwóch królestw.

Śmieję się dalej dla utrzymania pozorów. Ale w żołądku wywraca mi się z obrzydzenia. Ona próbuje negocjować, wykorzystując nienarodzone dziecko. Moje lub Tiory. Cząstkę nas. A co ze zgodą? Ja przynajmniej sama przystałam na ten układ. Ale zrobić coś takiego w imieniu dziecka? „Obrzydliwe”.

– A co z Czerwonymi psami? – pytam, przechylając się do przodu, na jej terytorium. Teraz moja kolej na wyznaczanie warunków. – Ze Szkarłatną Gwardią? Dziwadłami z Montfortu? Mare Barrow i podobnymi do niej?

Julian wyprzedza Anabel z odpowiedzią. Królowa nie wygląda na zadowoloną – ani z jego zachowania, ani zamiaru.

– Chodzi ci o kolejny krok w naszej ewolucji? – pyta. – Niemądrze bać się przyszłości, Wasza Wysokość. To się nigdy dobrze nie kończy.

– Przyszłości można zapobiec, lordzie Jacos. – Myślę o Nowej zabawce, którą stracił Maven, chłopaku patrzącym zbyt daleko w przyszłość. Słyszałam o nim tylko plotki, ale to mi wystarczyło.

Potrafił dostrzec każdą zmieniającą się ścieżkę. Nawet losy, które nigdy nie miały się spełnić.

– Nie tej – odpowiada Julian, kręcąc głową.

Nie wiem, czy jest z tego zadowolony, czy tego żałuje. Ten człowiek ma w sobie coś dziwnego i smutnego. Dręczy go kobieta, jak większość podobnych do niego mężczyzn.

– Nie teraz.

Spoglądam to na jedno, to na drugie i nie podoba mi się to, co widzę. Każde z nich mogłoby mnie zabić, gdyby chciało, i mimo wszystkich moich treningów pokonaliby mnie z łatwością.

– Straciliście Piedmont, więc chcecie Lakelandię – mamroczę. – Wiecie, że nie wygracie, jeśli ktoś nie będzie odwalać za was brudnej roboty.

– Sami odwalamy jej całkiem sporo, księżniczko – odpowiada Anabel niskim, poirytowanym głosem. Kładzie nacisk na tytuł, z którym się urodziłam. Nie uznaje Mavena za króla, więc nie uważa mnie za królową.

– Tyle inwestujecie w waszą montforcką tarczę – mówię do nich obojga. – Czy ich Nowi naprawdę wam wystarczą, by przeważać potęgę naszych trzech narodów?

Julian w zamyśleniu splata dłonie na kolanach. Znacznie trudniej wyprowadzić go z równowagi.

– Chyba wszyscy wiemy, że Lakelandia nigdy nie posłuży Mavenowi pełną pomocą.

Uszczypliwa uwaga. Byłam wcześniej głupia, sugerując to Mare za pośrednictwem Nowego w więzieniu w Piedmoncie. Zrobiłam to tylko po to, by udowodnić, że mogę. Najwyraźniej przekazała moją wiadomość. A może zwyczajnie tak łatwo nas przejrzeć. Cała się najeżam i przypuszczam odwet.

– Tak samo jak my wiemy, że wasz Czerwony sojusz długo nie potrwa. To kolejna puszka prochu, która stoi blisko otwartego ognia.

Te słowa dotyczą Juliana. Wierci się niespokojnie, wytrącony z równowagi, a jego policzki nabierają delikatnego srebrnego zabarwienia. Anabel jest jednak niewzruszona. Uśmiecha się szeroko jak kot, który spróbował śmietany. Choć nie wiem dlaczego, czuję się tak, jakbym zrobiła fałszywy ruch.

Kobieta wyciąga rękę, a ja szybko się cofam, jak najdalej od jej zasięgu. Mój

strach wprawia ją w rozbawienie.

– Jest jeszcze coś, co możemy zaproponować.

Julian bardziej się rumieni i spuszcza głowę. Przerywa kontakt wzrokowy. Mogłabym teraz go zaatakować i zyskać przewagę. Ale Anabel jest zbyt blisko i stanowi zbyt duże niebezpieczeństwo.

I muszę przyznać, że chcę wiedzieć, jaki jest ostatni element jej oferty.

– Mów – szepczę.

Królowa uśmiecha się szeroko. Choć Maven wygląda wypisz, wymaluj jak matka, widzę niektóre jego cechy w twarzy babki. W ostrym uśmiechu, skłonności do intryg.

– Salin Iral wbił nóż w plecy twojego ojca – rzuca.

Wzdrygam się na te słowa.

– Zakładam, że chciałabyś z nim porozmawiać, czy tak?

Odpowiadam bez zastanowienia. Błąd.

– Owszem, jest kilka rzeczy, które chciałabym mu powiedzieć – mamrocze szybko. W ustach czuję fantomowy smak krwi.

– Zapewne wiesz, dlaczego to zrobiono – mówi.

Ogarnia mnie piekący ból. Śmierć mojego ojca to wciąż otwarta, tocząca się rana.

– Dlatego że trwa wojna. Ludzie umierają.

Jej ciemne oczy, płynny brąz, rozszerzają się.

– Dlatego że Salin Iral zrobił to, co mu kazano.

Smutek, który czuję, związany z moją stratą, stopniowo zamienia się we wściekłość. Czuję jej żar na swoich plecach.

– Volvo – syczę. Imię króla z domu Samos kwaśno smakuje mi w ustach.

Ale Anabel wie, jak mnie sprowokować.

– Czy z nim też chciałabyś porozmawiać? – szepcze, kusząc mnie swoją ofertą.

Julian znów na mnie spogląda, ściągając usta. Zmarszczki na jego twarzy zdają się pogłębiać.

Robię długi wdech przez zęby.

– Tak, bardzo – mamroczę. – Jakim kosztem?

Uśmiechając się, Anabel wszystko mi tłumaczy.

*

Wtapiają się w miasto jak duchy. Zwyczajnie wysiadają z transportera na zatłoczonym rogu i znikają wśród Czerwonych służących i niższych rangą Srebrnych. Moi strażnicy zdają się tego nie zauważać ani tym nie przejmować i wracają na naszą pierwotną trasę. Julian Jacos dobrze wykonał swoje zadanie i kiedy wracam do pałacu, wszystko wydaje się takie jak wcześniej. Żaden z moich strażników nie zdaje sobie sprawy, że stracili dwadzieścia minut omamieni przez Piewcę.

W pałacu szybko idę do swoich komnat, by pomodlić się w prywatnej kapliczce. Potrzebuję znajomej i pustej przestrzeni, żeby zebrać myśli.

Matka musi się dowiedzieć o wszystkim, co się stało, i to najszybciej, jak to możliwe. Nie mogę jednak mieć pewności, że wiadomość nie zostanie przechwycona, nawet jeśli wyślę ją w największej tajemnicy. Przez ofertę Anabel mogę stracić głowę, zostać spalona, okaleczona, zamordowana. Taką wiadomość można przekazać tylko twarzą w twarz.

Udaje mi się bezpiecznie dotrzeć do swoich komnat. Jak zawsze, każę wartownikom zostać przed drzwiami. Dopiero gdy naprawdę jestem sama, zdaję sobie sprawę, co zrobiłam i co się właśnie wydarzyło.

Drżą mi ręce, kiedy przechodzę przez salon. Serce bije mi jak szalone. Myślę o Salinie Iralu i Volvo, jak topią się pod moimi rękoma. Płacą ostateczną cenę za to, co zrobili mojemu ojcu.

– Duży ruch na moście?

Zamieram, szeroko otwierając oczy. Jego głos zawsze budzi we mnie strach. Zwłaszcza gdy dobiega z mojej sypialni.

Instynkt podpowiada mi, żeby uciekać. Rzucić wszystko. Uciec z miasta i jakoś

znaleźć drogę do domu. Ale to niemożliwe. Ostatecznie zmuszam się, by wejść przez podwójne drzwi głębiej do swojej sypialni. Miejsca, które stanie się moją trumną.

Maven leży wyciągnięty na mojej jedwabnej narzucie z jedną ręką zatknietą pod głową. Drugą trzyma na piersi i wystukuje rytm białymi jak kość palcami o jedną z tysięcy swoich czarnych koszul. Wydaje się znudzony i zły. Kiepska kombinacja.

– Dzień dobry, żono – mówi.

Rozglądam się po pokoju i patrzę na liczne fontanny, którymi lubię się otaczać. Nie dla dekoracji, a dla bezpieczeństwa. Czuję szmer i plusk każdej z nich. Powinny w zupełności wystarczyć, jeśli sprawy przybiorą zły obrót. Jeśli Maven wie, co zrobiłam. Co rozważałam. Na co się zgodziłam.

– Co tu robisz?

Nie ma co grać zaślepionej miłością żonki, skoro jesteśmy sami. Będzie wiedział, że coś jest nie tak, o ile już nie wie.

Albo – zdaję sobie sprawę, czując na plecach zimny dreszcz – zjawił się tu po to, by dopełnić naszych od dawna zaniedbywanych obowiązków małżeńskich. Nie wiem, co bardziej mnie przeraża. Nawet jeśli zgodziłam się to zrobić. Wiedziałam, że to część układu. Wiedziałam, że jest częścią naszego sojuszu. Może źle oceniłam jego obsesję na punkcie Mare, a może po prostu osłabła.

Odwraca głowę i spogląda na mnie, przyciskając policzek do jedwabiu. Na czoło opada mu pasmo czarnych włosów. Dziś wydaje się młodszy. Ale bardziej niepoczytalny. Ledwie widać błękit jego oczu, który pożarły rozszerzone źrenice.

– Musisz wysłać wiadomość do Lakelandii – mówi. – Do swojej matki.

„Stój spokojnie. Nie ruszaj się. Nie okazuj ulgi”, mówię do siebie, mimo że czuję, jak mięknią mi kolana.

– Jakiej treści? – odpowiadam, przywdziewając maskę obojętności.

Maven porusza się z gracją i płynnymi ruchami podnosi się z łóżka. Choć to Tyberiasz ma opinię wojownika, Maven też nie jest pozbawiony fizycznych

umiejętności.

– Przejdź się ze mną, Iris – mówi, przeraźliwie się uśmiechając.

Nie mam innego wyboru, jak go posłuchać. Ignoruję jednak jego wyciągniętą rękę i dla bezpieczeństwa zachowuję bezpieczną odległość kilku centymetrów.

Nic nie mówi, czym wymusza ciszę na nas obojgu, gdy wychodzimy z moich komnat. Czuję się jak na sznurku, zawieszona nad przepaścią. Serce łamie mi się w piersi i robię, co w mojej mocy, by nie dać nic po sobie poznać podczas tego spaceru. Dopiero gdy dochodzimy do sali tronowej, pustej o tej porze dnia, odwraca się, by na mnie spojrzeć.

Przygotowuję się na cios, szykując odwet.

– Przekaż matce, żeby szykowała flotę i armię – mówi takim tonem, jak gdyby komplementował moją suknię.

Mój strach zostaje wyparty przez zaskoczenie.

Maven rusza dalej i wchodzi po stopniach, by obejść tron. Trzymam się w bezpiecznej odległości od Cichego Kamienia. Nawet delikatny z nim kontakt sprawia, że z trudem przełykam ślinę.

– Jak to? Teraz? – pytam z zaskoczeniem, podnosząc dłoń do gardła. Mam w głowie gonitwę myśli, gdy patrzę na Mavena, doszukując się kłamstwa.

Minął zaledwie tydzień, odkąd Bracken przejął Piedmont. Koalicja jego brata na pewno jeszcze regeneruje siły.

– Zostaliśmy zaatakowani?

– Nie w tej chwili. – Obojętnie wzrusza ramionami. Nadal się przemieszcza. Nadal mnie za sobą ciągnie. – Ale już niedługo.

Przymrużam oczy, czując niepokój w żołądku.

Maven podchodzi do drzwi na tyłach tronu, za którymi znajdują się publiczne komnaty królowej. Biblioteka, gabinet, salony. Nie korzystam z nich, wolę swoją kapliczkę.

Wchodzi do środka, a ja muszę pójść za nim.

– Skąd o tym wiesz? – pytam. W żołądku zbiera mi się strach.

Wzrusza ramionami. Pokój jest ciemny, okna zaciągnięte ciężkimi zasłonami. Ledwie widzę pasy bieli i granatu, barwy ostatniej królowej, która korzystała z tego miejsca. Pokoje pachną kurzem i beczynnością.

– Znam swojego brata – odpowiada Maven. – A co więcej, wiem, czego potrzebuje i czego oczekuje od niego ten kraj.

– Czyli?

Uśmiecha się do mnie ironicznie, otwierając kolejne drzwi za salonikiem. Jego zęby raz po raz błyskają w półmroku. Robi, co w jego mocy, żeby wyglądać jak drapieżca.

Coś w następnym pokoju sprawia, że się zatrzymuję. Sprawia, że czuję ból aż do szpiku kości.

Nie ruszam się, udając, że nic mi nie jest. Ale serce wali mi jak młotem.

– Mawenie? – szepczę.

– Cal ma sprzymierzeńców, ale nie jest ich wystarczająco dużo. Nie w Norcie. – Młody król uderza palcami o siebie, szklą mu się oczy, gdy myśli. Stoi w drzwiach. Nie przekracza progu. – Chce nakłonić moich kolejnych poddanych, by przeszli na jego stronę, ale nie jest dobrym dyplomatą. Cal jest wojownikiem i będzie walczył o to, by zdobyć przychylność Wysokich Domów. By pokazać, jak bardzo jest godzien mojej korony. Musi przechylić szalę. Sprawić, by wielmożni uwierzyli, że nie jest beznadziejnym przypadkiem.

Maven nie jest głupi. Przewidywanie posunięć przeciwników to jego mocna strona i jedyny powód, dla którego do tej pory udało mu się przetrwać i wygrywać.

Ani na moment nie spuszczam oczu z drzwi, próbując dostrzec, co się za nimi znajduje. W pokoju za plecami Mawena panuje absolutna ciemność.

– Czyli zaatakuje kolejne miasto, może nawet stolicę.

Maven cmoka, jak gdybym była najgłupszym uczniem w klasie. Próbuje zwalczyć potrzebę, by wepchnąć jego głowę pod najbliższą fontannę.

– Mój brat i jego koalicja zamierzają zaatakować w zatoce Harbor.

– Skąd ta pewność?

Król ściąga usta.

– To jego najlepsza opcja. Fort, statki w porcie... nie wspominając już o wartości sentymentalnej – dodaje, z obrzydzeniem wypluwając z siebie słowa. – Jego matka kochała to miasto. – Bawi się skoblem na otwartych drzwiach.

Zamek wygląda na solidny. Bardziej skomplikowany, niż można by się spodziewać.

Ciężko przełykam ślinę. Jeśli Maven myśli, że Cal uderzy w Harbor, to mu wierzę. I nie chcę, by moja matka lub nasze armie choćby odrobinę zbliżyły się do tego konfliktu. Do głowy przychodzą mi dziesiątki dobrych wymówek.

– Nasza flota wciąż jest na jeziorach – mówię przeproszającym tonem. – Dotarcie zajmie jej trochę czasu.

Maven nie wygląda na zaskoczonego ani nawet zmartwionego moimi słowami. Podchodzi do mnie bliżej, jego dłonie są zaledwie centymetry ode mnie. Czuję niezdrowe ciepło jego skóry.

– Tak podejrzewałem – odpowiada. – Więc dam twojej królowej matce pewną zachętę.

Czuję, jak skręca mi się żołądek.

– Tak?

Znów błysk jego uśmiechu. Nienawidzę go.

– Byłaś kiedyś w Harbor, Iris?

– Nie. – Gdybym była słabsza, niewyszkolona, mój głos by zadrżał. Nie ze strachu, który on pragnie we mnie wzbudzić. Ale z wściekłości. Przeszywa mnie na wskroś, kotłując się jak burza.

Maven zdaje się tego nie zauważać. Albo się tym nie przejmować.

– Mam szczerą nadzieję, że miło spędzisz tam czas – mówi, nadal szczerząc zęby.

– Czyli jestem przynętą – syczę.

– Nigdy nie nazwałbym cię przynętą. Raczej zachętą. – Ciężko wzdycha. – Tak, chyba tak cię właśnie nazwałem.

– Jak śmiesz...

Wchodzi mi w słowo, a jego głos jest głośniejszy niż przedtem.

– Jestem pewien, że jeśli będziesz bronić miasta, to twoja matka zrobi wszystko, co w jej mocy, by dotrzymać swojej strony naszego porozumienia. Nie mam racji? – Nie czeka na moją odpowiedź, jego głos staje się chropawy. Zaciska w pięść dłoń spuszczonej wzdłuż ciała ręki. – Potrzebuję armii, które mi obiecano. Potrzebuję posiłków. Potrzebuję Wodniaków w zatoce, by zatopili to miasto i wszystkich, którzy w nim przebywają.

Naprędcie kiwam głową, nawet jeśli tylko po to, by go udobruchać.

– Powiem jej. Ale nie mogę zagwarantować...

Maven szybko podchodzi do mnie, a ja cała się naprężam. Zaciska pięść na moim nadgarstku i ciągnie mnie za sobą. Tłumię w sobie odruch walki. To tylko skończy się bólem.

– Tak jak ja nie mogę zagwarantować, że będziesz tam bezpieczna – mówi, zatrzymując się tuż przed wejściem do ciemnego pokoju. Wargi drgają mu z rozbawienia. – Ani nawet tu.

Jak na sygnał w drzwiach za nami pojawia się oddział wartowników. Są umięśnieni, zamaskowani i odziani w swoje szaty. Połyskują czarnymi klejnotami i płonącymi jedwabiami. Moi strażnicy pałacowi – i więzienni.

Zdaję sobie sprawę, co się dzieje. Czym jest następny pokój, czarne miejsce, w którym Maven stoi z taką łatwością.

Jego tron nie jest jedyną rzeczą zrobioną z Cichego Kamienia.

Widzę błysk groźby, ostrze brzytwy przytknięte do mojej szyi. Jego uścisk się zacieśnia, czuję chłód jego palców na mojej skórze. Nie ucieknę od rozkazów Mavena.

– A ty, mój odważny i sprawiedliwy królu? – kpię, wciąż wpatrując się w czarny pokój. Czuję to: otepiający wpływ Kamienia.

Maven nie daje się sprowokować. Jest na to zbyt bystry.

– Przywdziej zbroję, Iris. Czekaj na burzę. I miej nadzieję, że twoja matka

będzie działać tak szybko jak mój brat.

ROZDZIAŁ 18

MARE

W pobliżu Nowego Miasta nie ma gwiazd. Niebo wokół slumsu jest permanentnie zasnuwane toksyczną mgłą. Trujący smród sięga nawet na obrzeża, choć przyprawiające o mdłości opary są tu najsłabsze. Podciągam bandanę, którą zawiązałam sobie wokół szyi, i oddycham przez materiał.

Żołnierze wokół mnie robią to samo, gdy tylko poczują odór toksycznego powietrza. Ale nie Cameron. Ona jest do tego przyzwyczajona.

Czuję zalew ulgi za każdym razem, gdy na nią spoglądam i widzę, jak jej ciemna sylwetka zwinnie porusza się w pogrążonym w absolutnej ciemności lesie. Jest bardzo wysoka, więc łatwo ją wyłapać pośród wielu innych osób, które idą razem z nami. Kilorn trzyma się blisko niej. Kiedy patrzę na nich, moja ulga szybko przeradza się we wstyd.

Cameron uciekła z bazy w Piedmoncie i skryła się na bagnach wraz ze swoim bratem i kilkudziesięcioma innymi ocalałymi. Zginęło tam wielu: Czerwoni żołnierze z Legionu Sztyletu, dzieci, którymi przysięgła się opiekować. Nowi z Montfortu. Nowi z Polany. Srebrni. Czerwoni. Tylu martwych, że trudno ogarnąć to myślami.

A ja znów narażam ją na niebezpieczeństwo.

– Dzięki, że nam pomagasz, Cam – mruczę prawie niemożliwym do usłyszenia głosem. Jakby to podziękowanie cokolwiek znaczyło.

Dziewczyna zerka na mnie przez ramię z uśmiechem. Jej zęby lśnią w słabym świetle naszych lampionów. Mimo tych tragicznych okoliczności nigdy nie widziałam, żeby uśmiechała się tak szeroko jak dziś.

– Jakbyście mogli dać sobie radę beze mnie – odpowiada szeptem, trochę się drocząc. – Ale nie dziękuj mi, Barrow. Od dzieciństwa marzyłam o dniu takim jak ten. Nowe Miasto dostanie to, na co zasługuje.

– Racja – mówię do siebie, myśląc o poranku, który nas czeka.

Dręczą mnie nerwy i lęki, jak podczas lotu z Rowów. Mamy zamiar wdrzeć się do slumsu techników, w którym urodziła się Cameron, miejsca strzeżonego przez mury, funkcjonariuszy oraz dziesięciolecia ciemienia.

Nie jesteśmy jedyną jednostką w akcji. Wiele kilometrów na wschód reszta naszej koalicji zmierza w stronę miasta Harbor.

Żołnierze Rowów zaatakują od strony morza, mając w odwodzie dywizjon lotniczy domu Laris. Tyberiasz i Farley są już w tunelach, gotowi wprowadzić główne siły do miasta. Próbuję sobie wyobrazić ten trójstronny atak. Jeszcze nigdy nie brałam udziału w takiej bitwie. W czymś takim też nie – rozdzielona z księciem i Farley. Z tyłoma drogimi mi osobami. Przynajmniej wierzę w Kilorna, którego wciąż mam przy sobie. Jest chyba w tym wszystkim jakaś symetria. Wracamy do tego, kim byliśmy wcześniej. Zakradamy się uliczkami ubrani w brudne ciuchy. Nasze twarze są zasłonięte i nieznajome. Jesteśmy jak cienie. Szczury.

Szczury o ostrzejszych zębach i dłuższych pazurach.

– Te drzewa gniją – mówi Cameron głośno, przejeżdżając ręką po korze jednego z nich.

Jednego z tysięcy w tym przeklętym lesie. Stworzone przez Strażników Zieleni drzewa miały wiązać i przefiltrowywać zanieczyszczenia ze slumsu. Otaczają wszystkie miasta techników i ciągną się aż po same mury.

– Ktokolwiek je zasadził, przestał o nie dbać. Nie spełniają już swojej funkcji, jakakolwiek była. Myślą, że zatruwają tylko nas – mówi dalej, cedząc przez zęby. – Ale zatruwają też siebie.

Przemieszczamy się pod osłoną Cienistych z domu Haven i umiejętności tłumienia dźwięków Farrah, jednej z moich dawnych rekrutek z Polany. Zamiast zakrywać oddzielnie pięćdziesiąt naszych oddziałów, maskują nas jako grupę,

zarzucając na nas swoje umiejętności niczym koc. Jesteśmy niewidzialni i niesłyszalni dla wszystkich nieobjętych ich wpływem i możemy się przemieszczać bez obaw. Widzimy i słyszymy się nawzajem, ale nikt oddalony o kilka metrów nie widzi i nie słyszy nas.

Premier Davidson ostrożnie stawia kroki za moimi plecami, w obstawie swoich strażników. Znaczna większość sił Montfortu zaatakuje miasto Harbor, ale kilku ważnych Nowych jest tu z nami. Nie mają na sobie swoich zwyczajowych mundurów. Nawet Ella, Tyton i Rafe zakryli włosy chustami lub czapkami. Wszyscy do siebie pasujemy, ubrani w rzeczy z odzysku – podarte chusty, naprędcie połatanie kurtki i przechodzone spodnie. Ubrania dostaliśmy ze slumsów, dzięki siatce przemytników Pukawek z zatoki Harbor. Zastanawiam się, czy przekazał je im złodziej. Dziewczyna, która nie ma innego wyboru, niż kraść. Niż jakoś próbować przetrwać.

Z każdym krokiem powietrze robi się coraz gęstsze i przynajmniej kilka osób zaczyna kaszleć, krztusząc się dymem i spalinami. Spowija nas niezdrowy słodkawy zapach paliwa, jak gdyby ziemia pod naszymi stopami była nim przesycona. W górze otłuszczone czerwone liście drzew granicznych trzęsą się na lekkim wietrze. Nawet w ciemności wyglądają jak krew.

– Mare. – Kilorn szturcha mnie w ramię. – Przed nami mur – ostrzega.

Kiwam głową i intensywnie patrzę między drzewa. Rzeczywiście wyrastają przed nami grube mury Nowego Miasta. Nie robią takiego wrażenia jak diamentowe szkło pałacu królewskiego ani nie są tak onieśmielające jak wysokie kamienne mury miasta Srebrnych. Ale mimo to stanowią przeszkodę, którą należy pokonać.

Cameron czerpie przyjemność ze sprawowania roli przywódczyni, choć nigdy się do tego nie przyzna. Prostuje ramiona, kiedy się zbliżamy, prezentując swój imponujący wzrost. Zastanawiam się, czy w ogóle skończyła już szesnaście lat. Żadna nastolatka nie powinna być aż tak spokojna i nieustraszona jak ona.

– Patrzcie pod stopy – syczy nad moją głową, zawiadamiając resztę naszego oddziału.

Z kliknięciem włącza swoją niezbyt jasną latarkę. Reszta z nas robi to samo, poza Cienistymi z domu Haven. Oni tylko wyostrzają koncentrację, by zamaskować jasną poświatę.

– Tunele zaczynają się za linią drzew. Szurajcie stopami po ziemi. Szukajcie grubego poszycia.

Robimy tak jak każe. Kilornowi udaje się przeszukać znacznie więcej terenu niż mnie. Kopie gnijące liście długimi nogami, szukając twardej pokrywy zapadni.

– Pewnie nie pamiętasz, gdzie dokładnie była, co? – burczy do Cameron.

Dziewczyna podnosi na niego wzrok, bo kuca na ziemi i przeszukuje liście dłońmi.

– Nigdy wcześniej nie byłam w tych tunelach – prycha. – Byłam za mała, żeby parać się szmuglerstwem. A poza tym moja rodzina tak nie postępuje – dodaje, mrużąc powieki. – Naszą zasadą jest się nie wychylać. I widzisz, do czego nas to doprowadziło?

– Do przekopywania ziemi w poszukiwaniu dziury – odpowiada Kilorn.

Słyszę ironię w jego głosie.

– Do dowodzenia armią – podrzucam lepszą opcję. – Właśnie do tego cię to doprowadziło, Cameron.

Wyraz jej twarzy się zmienia, poważnieje. Ale jej usta układają się w coś na kształt uśmiechu. Smutnego. Rozumiem to. Już w Corvium mówiła, że ma dość zabijania. Dość śmiertelnego ciężaru swojej umiejętności, by uciszać i dusić. Jej celem jest teraz chronić. Bronić. Choć ma mnóstwo powodów, by czuć wściekłość i szukać zemsty, potrafi też odpuścić.

Ja nie.

*

W tunelach robi się jaśniej od naszych czerwonych latarenek, które spowijają nas karmazynową poświatą. Nawet Srebrnych lojalnych Calowi lub Rowom. Cienistych z domu Haven, Jedwabistych z domu Iral. Kilkunastu z nich jest

rozproszonych po naszym oddziale. Przez moment wszyscy są czerwoni jak świt.

Mam na nich oko, gdy tak przechodzimy pod murami Nowego Miasta. Dostali rozkazy od swoich władców i królów. Nie ufam im nawet odrobinę, ale ufam ich posłuszeństwu. Srebrni są lojalni wobec swojej krwi. Robią to, co ona dyktuje.

A my też nie jesteśmy bezbronni.

Nasz oddział zamykają Ella i Rafe. Oboje wydają się podekscytowani misją i nie mogą się doczekać kolejnej walki po naszej porażce w Piedmoncie. Tyton znajduje się bliżej środka grupy, a ja jej przywodzę, więc Elektrykoni są równomiernie rozłożeni. Jego oczy wydają się świecić w przytłumionym świetle.

Cameron stuka dłonią o biodro. Liczy kroki. Byстрыm wzrokiem rozgląda się po murach. Przejeżdża palcem w miejscu, gdzie ubita ziemia przechodzi w beton. Coś to w niej zmienia i spowija jej twarz cieniem.

– Wiem, jakie to uczucie – szepczę do niej. – Wrócić jako ktoś inny.

Gwałtownie na mnie spogląda, unosząc brew.

– O czym ty mówisz?

– Tylko raz pojechałam do domu po tym, jak dowiedziałam się, jaka jestem – tłumaczę.

„To było jedynie na kilka godzin. Ale w zupełności wystarczyło, by całkiem odmienić moje życie”. Wspominanie tamtej wizyty w mojej dawnej wiosce jest trudne, jeśli nie bolesne. Shade jeszcze wtedy żył, ale myślałam, że jest martwy. I dołączyłam do Szkarłatnej Gwardii, aby go pomścić. Przez cały ten czas Tyberiasz czekał na zewnątrz przy swoim naprawionym motocyklu. Był wtedy księciem. „Zawsze będzie księciem”. Próbuję się otrząsnąć z tego wspomnienia jak ze złego snu.

– Nie będzie łatwo patrzeć na znajome rzeczy i widzieć coś, czego nie rozpoznajesz.

Cameron tylko mocniej zaciska szczękę.

– To nie jest mój dom, Barrow. Żadne więzienie nigdy nie jest domem – mamrocze. – Tylko tym są dla mnie te slumsy.

– Więc dlaczego stąd nie odeszłaś?

Mam ochotę uderzyć Kilorna za zadanie tak niegrzecznego i niedelikatnego pytania. Pochwytuje mój wzrok i zaczyna się plątać.

– Skoro macie te tunele...

Jestem zaskoczona, że Cameron uśmiecha się, udzielając odpowiedzi.

– Nie rozumiałbyś tego, Kilornie – mówi, kręcąc głową i przewracając oczami. – Myślisz, że wychowałeś się w ciężkich warunkach, ale tu jest jeszcze gorzej. Myślisz, że byłeś uwiązany do tej swojej wioski nad rzeką, ale czym? Drobną forszą? Pracą? Przez strażników, którzy patrzyli na ciebie z ukosa?

Kilorn robi się coraz bardziej czerwony, podczas gdy ona cedzi każde słowo:

– A my mieliśmy to.

Odgina kołnierz kurtki i pokazuje tatuaż na szyi. Jej zawód, miejsce, więzienie wypisane niezmywalnym tuszem. „NM-DMNSMP-188907”.

– Każdy z nas jest w tym mieście numerem – ciągnie Cameron, wskazując palcem na sklepienie. – Jeśli chcesz zniknąć, to musi z tobą uciec następny numer w kolejności. Całe rodziny muszą uciekać. Tylko gdzie mają się udać? Gdzie mogą się udać?

Milknie, a echo jej głosu znika pośród czerwonych cieni.

– Mam nadzieję, że to już przeszłość – mamrocze pod nosem.

– Obiecuję ci to – odpowiada Davidson ze stosownej odległości. Jego lekko skośne oczy marszczą się w kącikach, gdy próbuje posłać dziewczynie gorzki uśmiech. Premier jest przynajmniej symbolem zmiany. Przykładem tego, jak wysoko może się wspiąć ktoś taki jak my.

Cameron i ja wymieniamy spojrzenia. Chcemy mu wierzyć.

„Musimy mu wierzyć”.

*

Mocniej zawiązuję bandanę i mrugam, by z oczu spłynęły żrące łzy. Już samo powietrze wydaje się piec i szczypie mnie skóra. Jest jednocześnie sucha

i wilgotna – nienaturalna, po prostu dziwna.

Jeszcze nie nadszedł świt, ale zasnuwane dymem niebo wygląda na jaśniejsze niż wcześniej. Na końcu zaułka odzywa się przenikliwy elektryczny gwizdek, który niesie się echem po całym slumsie od jednej fabryki do następnej, sygnalizując maszynową migrację wywołaną końcem zmiany roboczej.

– Marsz o świcie – mamrocze Cameron.

To, co widzę, sprawia, że na moment zapominam oddychać. Setki Czerwonych pracowników wylewają się na ulice Nowego Miasta. Mężczyźni, kobiety i dzieci o umorusanych bladych twarzach, starzy i młodzi, wszyscy idą ciężkim krokiem przez trujące powietrze. Większość ma spuszczone głowy, wygląda na wycieńczonych pracą i życiem w tym miejscu.

To tylko podsycza wściekłość, która płonie w moim sercu.

Cameron wchodzi między nich, a za nią Kilorn i ja. Reszta oddziału też z łatwością miesza się z tłumem niezliczonych brudnych twarzy. Odwracam się i szukam wzrokiem Davidsona, który podąża za nami w bezpiecznej odległości. Jego twarz się napina, zdradzając delikatne zmarszczki wywołane wiekiem i troskami. Wkłada pięść pod marynarkę, blisko serca, i daje mi znak skinieniem głowy.

Ciąg ludzi wylewa się na kolejną ulicę szerszą niż pozostałe, wzdłuż której znajdują się spokojne budynki mieszkalne przypominające kwatery wojskowe. Pracownicy kolejnej zmiany idą z przeciwnego kierunku, by zająć nasze miejsca.

Cameron delikatnie odciąga mnie na bok i ustawia równo z resztą Czerwonych techników. Sprawnie tworzą przejście dla nowej zmiany. Dziewczyna wciska pięść pod kurtkę tak jak Davidson.

Ja też.

To nasz znak.

Nasza eskorta nie należy do Szkarłatnej Gwardii. A przynajmniej nie należała, kiedy to wszystko się zaczęło. Są lojalni wobec siebie, wobec swojego slumsu. Wobec małego ruchu oporu, który jest tu możliwy.

Nasz przewodnik to wysoki czarnoskóry mężczyzna, wiotki jak Cameron. Włosy ma zaplecione w warkocze i ściągnięte w ciasny gładki kok przetykany siwizną w różnych odcieniach. Cameron stuka stopą, gdy nas mija, a jej ciało niemal emanuje energią. Mężczyzna podchodzi do nas i chwyta ją za rękę.

– Tato – szepcze Cameron, gdy się przytulają. – Gdzie jest mama?

Mężczyzna nakrywa jej dłoń swoją.

– Schodzi ze zmiany. Mówiłem jej, żeby się nie wychylała i miała oczy szeroko otwarte. Pierwsza błyskawica, i ma uciekać.

Cameron wypuszcza z płuc powolny wydech. Schyla głowę i kiwa nią, jakby do siebie. Ciemność wokół nas ciągle się podnosi i niebo przechodzi w jaśniejsze odcienie szarego błękitu.

– To dobrze.

– Mam nadzieję, że nie przyprowadziłaś tu Morreya – dodaje jej ojciec lekkim, ale karcącym tonem. I takim znajomym: przypomina mi to moich rodziców, którzy zganili mnie za rozbity talerz.

Cameron szybko podnosi głowę i spogląda na ojca, który mierzy ją spojrzeniem głębokich czarnych oczu.

– No jasne, że nie.

Nie chcę przerywać ich spotkania, ale muszę.

– Elektrownia? – zagaduję, spoglądając na pana Cole'a.

Patrzy na mnie. Ma życzliwą twarz, co w takim miejscu jest niemałym osiągnięciem.

– NM ma ich sześć, po jednej w każdym sektorze. Ale jeśli odetniemy główny koncentrator, to załatwimy je wszystkie naraz.

Wzmianka o planie uruchamia coś w Cameron. Dziewczyna prostuje się, skupia.

– Tędy – mówi zdecydowanie, kiwając na nas ręką.

Zmiana pracowników jest bardziej tłoczna niż tłum w nawet najgorszy dzień na targu w Palach. Ludzi pilnują Srebrni funkcjonariusze w czarnych mundurach. Nie

na dole, na brudnych ulicach, tylko z rozciągających się w górze pasaży i z okien posterunków strażniczych budzących postrach. Znam dobrze takich funkcjonariuszy i takie posterunki. Obserwuję ich po drodze. To nie taki sam brak zainteresowania, jaki Srebrni okazują nam na dworze, ich sposób na to, by sprawić, byśmy poczuli, że znaczymy jeszcze mniej, niż nam się wydaje. To nuda. Bezużyteczność. Srebrnych nie przydziela się do slumsów techników, bo są wojownikami albo pochodzą z ważnych rodów. Nie jest to stanowisko, którego ktokolwiek mógłby im zazdrościć.

Strażnicy z Nowego Miasta są o wiele słabsi niż wrogowie, do jakich przywykłam. I nie mają pojęcia, że już tu jesteśmy.

Ojciec Cameron mierzy ją wzrokiem, gdy idziemy. Przechodzi mnie dreszcz, kiedy spogląda na mnie, a potem znów na córkę.

– Czyli to prawda. Jesteś... inna.

Zastanawiam się, co do tej pory słyszał. Co Szkarłatna Gwardia powiedziała swoim łącznikom w Nowym Mieście. Propaganda Mavena i jego zatrute programy jasno potwierdziły istnienie Nowych. Czy on wie, co potrafi jego córka?

Cameron podtrzymuje jego wzrok, jakby była mu równa.

– Tak – odpowiada i nawet nie drgnie jej powieka.

– Maszerujesz z dziewczyną od błyskawic.

– Tak – odpowiada.

– A to jest...? – dorzuca, spoglądając na Kilorna.

Z głupawym uśmiechem Kilorn dotyka skroni i lekko się kłania.

– Ja jestem od zadań siłowych.

Pan Cole prawie parska śmiechem, gdy mierzy wzrokiem wysoką, ale chudą sylwetkę Kilorna.

– Na pewno.

Budynki wokół nas stają się coraz wyższe, a ich konstrukcja coraz mniej bezpieczna. W ścianach i oknach widać pęknięcia, a fasadom przydałaby się warstwa świeżej farby – albo przynajmniej porządna ulewa. Tłum pracowników,

z którymi idziemy, zaczyna się przeredzać – ludzie odbijają do swoich bloków, pożegnawszy się gestem lub zawołaniem. Wszystko wydaje się toczyć jak zwykle.

– Bardzo dziękujemy za pomoc, panie Cole – mówię pod nosem, nie przestając się rozglądać.

Kilku Srebrnych stoi na łuku parę metrów przed nami, więc schylam głowę, gdy przechodzimy obok.

– Podziękuj starszyźnie, nie mnie – odpowiada pan Cole. Nie chowa się przed strażnikami. Jest dla nich nikim. – Szykowali się na to już od dawna.

Czuję, jak ze wstydu zaciska mi się gardło.

– Bo ktoś już dawno powinien był coś zrobić.

„Ktoś taki jak ty, Tyberiaszu. Wiedziałeś o istnieniu tych miejsc. Co cię powstrzymało?”

Cameron zaciska zęby.

– Przynajmniej teraz coś robimy. – Mogłaby zabić dwóch strażników nad nami, gdyby chciała. Zrzucić ich prosto z łuku na dół.

Mijamy ich jednak spokojnie i stajemy w cieniu chylącego się szarego bloku na końcu ulicy mieszkalnej. Wygląda jak klocki gigantycznego dziecka ułożone w wysoką wieżę na tle mętnego błękitu. Jedna część jest wyższa niż reszta, upstrzona brudnymi, ciemnymi oknami.

Tam właśnie mamy dotrzeć.

Pan Cole zerka najpierw na mnie, a potem na budowlę.

– Biegnij, dziewczyno od błyskawic – mówi łagodnym tonem. – Idź na górę i narób hałasu. Taki jest plan, prawda?

– Tak jest – odpowiadam i już przywołuję błyskawicę. Od razu czuję jej odpowiedź głęboko w kościach.

Kiedy dochodzimy do wejścia, jesteśmy na ulicy prawie sami, jeśli nie liczyć kilku spóźnionych na zmianę. Cameron odwraca się do ojca i patrzy na niego wielkimi oczami.

– Ile mamy czasu?

Mężczyzna chwyta jej nadgarstek i spogląda na zegarek. Marszczy czoło, na którym powstają głębokie bruzdy.

– Nic a nic – odpowiada. – Musicie iść.

Cameron szybko mruga powiekami, poruszając zaciśniętą szczęką.

– Okej.

– Wydaje mi się, że to należy do pana – mówi Kilorn, sięgając do kieszeni. Wyciąga z niej mały pistolet i dodatkowy magazynek nabojów.

Pan Cole spogląda na broń jak na węża, który może ukąsić. Waha się, aż w końcu Cameron bierze podarunek Kilorna i przyciska go ojcu do piersi. Robi jeszcze większe oczy i błaga go wzrokiem.

– Celuj i strzelaj, tato. Nie wahaj się – mówi z determinacją. – Srebrni na pewno nie będą.

Powoli i ostrożnie pan Cole chowa pistolet w torbie, którą ma przewieszoną przez ramię. Gdy się odwraca, zauważam tatuaż na jego szyi.

– Niech będzie – szepcze oszołomiony. Chyba wreszcie wszystko zaczyna do niego docierać. Po chwili odchrząkuje. – Nowa zmiana techników w koncentratorze została wtajemniczona. Wyłączą energię, kiedy spuścisz piorun. Zaczynajcie, gdy zobaczycie sygnał po drugiej stronie miasta. Elektrycy skoordynują systemowe odcięcie energii z twoją burzą. Srebrni się nie zorientują, że maczamy w tym palce. Zyskamy trochę na czasie.

Tę część planu z chęcią zorganizowali Szkarłatna Gwardia i ich agenci w slumsie techników.

– Wszyscy wiedzą o wyładowaniach? – pytam, żeby się upewnić.

Szkarłatna Gwardia, która zakradła się tu z nami, już rozpierzchła się po mieście, żeby podłożyć swoje bomby. Zastawić pułapki.

Na twarzy Cole'a pojawia się przykry grymas.

– Wszyscy, którym można zaufać. Może i mamy swój ruch oporu, ale wszędzie kręcą się informatorzy.

Ciężko przełykam ślinę. Nawet nie chcę myśleć o tym, co mogłoby się stać,

gdyby o naszym planie dowiedziała się jakaś niepożądana osoba. W Nowym Mieście mógłby się pojawić sam Maven, żeby zmiażdżyć naszą rebelię. Sprawić, że to zatrute, skażone miejsce się na nas zawali. A jeśli poniesiemy tu porażkę, to co się stanie z innymi slumsami? O czym będzie to świadczyć?

„Że nic się nie da zrobić. Że nikogo nie da się ocalić”.

Kilorn zauważa mój niepokój i szturcha mnie w ramię, może nawet tylko po to, żeby wytrącić mnie z zamyślenia. Cameron, co zrozumiałe, martwi się o tatę.

– Okej – mówi. – Po prostu nie bądź ciamajda i patrz, gdzie leziesz.

Cole cmoka.

– Jak ty mówisz do ojca, Cam.

Cam uśmiecha się i zarzuca mężczyźnie na szyję długie ręce, by mocno go przytulić.

– Ucałuj ode mnie mamę.

– Sama ją niedługo ucałujesz – szepcze ojciec w odpowiedzi, lekko unosząc córkę nad ziemią.

Jednocześnie zaciskają powieki, mocno się obejmując. W tej ulotnej, niepewnej chwili.

Od razu myślę o swojej rodzinie, która jest tak daleko. Bezpieczna. Schowana w górach, chroniona tysiące kilometrów stąd w innym państwie, które poprzysięgło walczyć razem z nami. Pierwszy raz od lat żyją z nadzieją. To nie fair, zwłaszcza w stosunku do Cameron, która doświadczyła o wiele gorszych rzeczy niż ja. Ale cieszę się, że nie mam na ramionach ciężaru, jakim jest bezpieczeństwo rodziny, na dodatek do tylu innych rzeczy. Ledwie potrafię znieść niebezpieczeństwo grożące ludziom, których kocham i którzy wciąż walczą.

Cameron pierwsza odrywa się od ojca. To pokaz niewyobrażalnej siły. Tak samo jak puszczenie jej. Pan Cole robi krok w tył, pociągając nosem, i spogląda w stronę ulicy, żeby ukryć zaczerwienione oczy. U Cameron też pojawiają się łzy i zaczyna szurać butem po brudnej nawierzchni, wzburzając kurz, by rozproszyć uwagę.

- Idziemy na górę? – mówi, odwracając się do mnie. Ma mokre oczy.
- Idziemy.

*

Obserwujemy miasto z góry niczym sokoły. Każde z nas stoi w oknie, które wychodzi na inną stronę. Wycieram szybę rękawem, ale właściwie tylko przepycham brud z jednej strony na drugą, pozostawiając brązowe zacieki. Z każdym naszym ruchem na strychu podnoszą się tumany kurzu. Kilorn nieprzyjemnie kaszle w rękę.

- Widzę dym z mojej strony, pomiędzy tymi fabrykami – mówi.

Cameron wzrusza ramieniem, stojąc przy swoim oknie.

– Sektor napraw samochodowych – oznajmia, nie odwracając się. – Linia produkcyjna zacięła się pół godziny temu. Ludzie ze zmiany zostaną zwolnieni do domu i będą się kręcić pod bramami, prosząc o dniówkę. Nadzorcy się nie zgodzą. Funkcjonariusze będą próbowali zachować tempo. – Uśmiecha się do siebie. – Wielki bałagan.

– Jakiego koloru jest dym, Kilornie? – pytam, wciąż rozglądając się po swojej części horyzontu.

Z tej wysokości Nowe Miasto wydaje się małe. Jest jednak równie przygnębiające. Całe szare, zadymione i zasnute nisko wiszącymi chmurami paskudnej mgły. Pulsuje ociężale, a elektryczna energia jest niemal przytłaczająca.

- Yyy... normalnego? – bełkocze Kilorn. – Szarego.

Wydaję z siebie niskie gardłowe sapnięcie. Chciałabym, żeby coś zaczęło się dziać.

– Normalna rzecz. To tylko kominy fabryczne – mówi przeciągle Cameron. – Nie sygnał.

Kilorna znów męczy suchy kaszel. Kiepsko się go słucha.

- Powiedzcie raz jeszcze, czego szukamy.
- Czegoś, co nie jest normalne – odpowiadam przez zaciśnięte zęby.

– Okej – odburkuje.

Cameron, która stoi po przeciwnej stronie strychu, stuka palcami o brudną szybę.

– Wiecie co, może ta rebelia byłaby bardziej zaawansowana, gdyby tyle nie zależało od nastolatków. – Rzuca Kilornowi arogancki uśmiezek. – Zwłaszcza takich, którzy nie potrafią czytać.

Chłopak parska śmiechem, łykając przynętę.

– Ja umiem czytać.

– Ale kolory cię przerastają, co? – odpowiada bez chwili zwłoki.

Kilorn wzrusza ramionami i unosi dłonie.

– Chciałem tylko zagadać.

Cameron prycha i przewraca oczami.

– Bo teraz naprawdę potrzebujemy rozrywki.

Zaciskam wargi, starając się nie zacząć śmiać z nich obojga.

– Czy Tyberiasz i ja brzmimy tak samo, kiedy się kłócimy? – pytam, unosząc brew. – Bo jeśli tak, to bardzo przepraszam.

Kilorn robi się purpurowy na twarzy, a Cameron szybko odwraca się do swojego okna i prawie dociska twarz do szyby.

„Przegapiłam to, co działo się pomiędzy Shade’em a Farley. Czy to też?”

– Jesteście jakieś dziesięć razy gorsi – odpowiada w końcu Kilorn niskim, burkliwym głosem.

Cameron prycha.

– Chyba chciałeś powiedzieć „sto”.

Uśmiechając się od ucha do ucha, patrzę raz na nią, raz na niego. Oboje są mocno podenerwowani, nawet jak na te okoliczności. Próbuję zinterpretować napięcie w ramionach Kilorna, ale rumieniec na jego policzkach mówi znacznie więcej.

– Powinnam się była nie odzywać, co? – mruczę pod nosem, odwracając się do swojego okna.

Kilorn prycha gburowato.

– Właśnie.

Wtedy Cameron mocno uderza ręką w szybę i syczy:

– Zielony dym. Sektor zbrojeniowy. Cholera.

Kilorn podbiega do niej, wyciągając pistolet. Spogląda na nią zmartwiony.

– Czemu „cholera”?

– Sektor zbrojeniowy ma najwięcej patroli bezpieczeństwa – mówi szybko. Zdecydowanymi ruchami zdziera z siebie kurtkę, pod którą znajduje się jej broń i okazały miecz, ale mam nadzieję, że nigdy nie będzie musiała go użyć. – Z oczywistych powodów.

Powoli wypuszczam powietrze z płuc. W środku mnie strzela i trzeszczy piorun.

– Jest też większe ryzyko, że coś tam wybuchnie.

Kilorn wzrusza ramionami i robi smutną minę. Delikatnie dotyka ramienia Cameron, by odciągnąć ją od okna.

– Dopilnujmy, żeby się tak nie stało – mamrocze, wybijając szkło.

Odłamki lecą na zewnątrz i do środka. Wciąż się uśmiechając, Kilorn strząsa rękawem kurtki ostre resztki szkła, które pozostały na okiennej ramie. Następnie cofa się, żeby móc wejść na gzyms. W twarz wieje mi gęsty od dymu wiatr, cuchnący spalinami i pożarem z oddali. Bez wahania przekładam jedną nogę za okno, a za nią drugą. Kilorn łapie mnie za tył kurtki i mocno zaciska rękę.

Spoglądam w stronę nieba, koncentrując się na niebieskim świcie, mieszającym się z różem. Mimo że niebo duszą trujące chmury, powstają na nim piękne kolory. Serce łomocze mi w piersi, przyspiesza rytm. Błyskawica pulsuje wraz z nim, sycząc się elektrycznością na dole. Zaciskam pięść, próbując sobie przypomnieć, czego nauczyła mnie Ella.

Burzowy piorun jest najsilniejszy i najbardziej niszczycielski z tych, które umiemy stworzyć. Zbiera się, rośnie, strzela. Chmury w jaskrawych barwach nad naszymi głowami zaczynają ciemnieć i kłębić się, gęstniejąc od mojej mocy.

Widzę, jak na moich oczach w dwóch innych częściach miasta tworzą się identyczne cienie. To Ella i Rafe. Nasza grupka tworzy trójkąt, z koncentratorem elektrycznym w samym środku. Miasto rozciąga się przed nami jak strefa rażenia. Tyton, najbardziej niebezpieczny z nas wszystkich, znajduje się gdzieś tam, na dole, gotowy, by puścić swoją pulsującą błyskawicę na każdego, kto ośmieli się nam przeszkodzić.

Najpierw błyska niebieski piorun, oświetlając kłęby czola burzy po mojej lewej. Gdy nad naszymi głowami rozlega się huk nadciągającego pioruna, czuję, jak Kilorn się wzdyga, bo szarpie mnie za kurtkę. Stoję pewnie i podtrzymuję się o ramę okna.

Gdy nasze burze się ścierają, fiolet i zieleń zaczynają się wspólnie kotłować i zasypujemy nimi nasz cel. Koncentrator, budynek zwieńczony kopułą niedaleko centrum miasta, łatwo rozpoznać, bo ciągnie się z niego plątanina kabli i rozchodzi we wszystkie kierunki. Łączy elektrownie w całym mieście i dostarcza prąd do fabryk. To siła napędowa każdego slumsu. Nawet z oddali czuję jego cichy szmer.

– Spuście deszcz – warczy Kilorn.

Duszę w sobie westchnienie.

– To tak nie działa – syczę w odpowiedzi, rzucając z nieba kolejne błyskawice.

Pozostali Elektrykoni robią to samo i ich niebieskie i zielone pioruny biegną ku moim fioletowym.

Nasze gromy uderzają dokładnie nad koncentratorem, tworząc oślepiający błysk. Szum cichnie jak na komendę, co oznacza, że nasi sprzymierzeńcy w środku odłączyli zasilanie. Robią to szybciej i bez tylu ofiar, niż gdybyśmy spróbowali posłużyć się burzą.

Kominy w całym mieście przestają wypluwać z siebie truciznę. Linie produkcyjne się zatrzymują, nawet transportery na ulicach, mające własne źródła zasilania, zwalniają lub stają na poboczu, zaskoczone nagłą awarią. Burza trwa dalej, trójgłowy potwór wciąż sypie we wszystkie strony trzeszczącymi piorunami. Pilnuję teraz, by moje błyski nie trafiały w ziemię. Z tej odległości nie mogę nimi

dobrze celować, a nie chcę ryzykować czyjegoś życia. Nie wspominam już o ładunkach wybuchowych Szkarłatnej Gwardii, które teraz znajdują się na terenie całego miasta. Jedna moja iskra mogłaby spowodować śmiertelną reakcję łańcuchową.

– Wszystko się zatrzymało – mówi Cameron, stając obok. Spogląda na miasto z zachwytem. – Nie ma prądu, nie ma pracy. Koniec zmian, pracownicy będą się domagać swoich pensji. Funkcjonariusze będą zajęci, nadzorcy będą mieć urwanie głowy.

„Ślepi na bandytów, przestępców i żołnierzy chodzących między nimi. Ślepi na bomby pod swoimi stopami”.

– Ile czasu do...

Pierwsza detonacja zagłusza słowa Kilorna. Jej gruchot rozlega się nieco zbyt blisko nas. Dwie ulice dalej, po naszej lewej, słyszymy kolejną. Przy jednej z bram do miasta. W powietrzu unoszą się kamienie i dym, tworząc zapyłony długi łuk. Kolejna bomba niszczy bramę, a potem wybuchają dwie następne. Wtedy zaczynają się detonacje w budynkach. Pod posterunkami, wieżami strażniczymi, Srebrnymi koszarami, siedzibami nadzorców. Pod wszystkimi Srebrnymi celami. Krzywię się przy każdym wybuchu i próbuję nie myśleć o tym, ile krwi dziś przelaliśmy. Po obu stronach. „Kto znajdzie się pod ostrzałem?”

Patrzemy w ciszy, przestraszeni widokiem. Więcej dymu, więcej kurzu, a teraz jeszcze popiół. Cameron zaczyna dyszeć, jej pierś faluje coraz szybciej. Rozgląda się na wszystkie strony, co chwila zerkając na fabryki w sektorze zbrojeniowym. Nic tam nie wybucha.

– Szkarłatna Gwardia nie jest na tyle głupia, żeby podłożyć bomby pod magazyn amunicji – mówię, chcąc ją trochę uspokoić.

Wtedy wybucha.

Siła eksplozji odrzuca nas do tyłu i posyła na plecy, na potłuczone szkło i brudne podłogi strychu. Cameron pierwsza się podnosi, czoło ma zranione szkłem.

– To nie była Gwardia – skamle, podrywając mnie na nogi.

Dzwonienie w uszach zagłusza mi wszystkie dźwięki. Kręcę głową, próbując się zorientować, gdzie jestem. Cameron chwyta mnie za nadgarstki, a ja natychmiast podskakuję, wyrywając się z uścisku.

– Nie! – krzyczę wściekle, nie mogąc znieść tego uczucia.

Cameron nie reaguje i w zamian próbuje podźwignąć Kilorna, dla ułatwienia zakładając sobie na ramię jego rękę. Kilorn ma pokaleczoną wargę, a na ramieniu ranę od szkła, ale poza tym wydaje się cały.

– Chyba powinniśmy zejść na ziemię – mówi, spoglądając na pęknięty sufit w górze.

– Racja. – Mój głos wydaje mi się dziwnie przyduszony, gdy zaczynamy biec do drzwi.

Schody to wąska spirala ciągnąca się na sam dół. Straszny wysiłek dla nóg, gorszy przy schodzeniu niż wchodzeniu. Czuję w kolanach każdy krok. Przyciągam błyskawicę do koniuszków palców, pozwalając fioletowym iskrom zbierać się i skakać, by były gotowe przeszyć każdego, kto stanie nam na drodze.

Kilorn z łatwością mnie wyprzedza i zbiega po schodach po dwa stopnie naraz. Nienawidzę, kiedy tak robi, a on dobrze o tym wie. Ma nawet czelność się odwrócić, rzucić mi zarozumiały uśmiech i puścić oko.

W tej samej chwili Cameron wydaje z siebie krzyk, spostrzegłszy Srebrnego strażnika, zanim sami zdążymy go zauważyć.

Srebrny wyciąga rękę i siłą telekinetycznej umiejętności sprawia, że Kilorn spada bokiem przez balustradę. Wszystko nagle spowalnia, kiedy Kilorn leci w dół, i mam wrażenie, że ktoś obraca nożem wbitym w mój brzuch. Dzwonienie w uszach chyba zaraz rozłupie mi głowę na pół, przeradzając się w przeraźliwy pisk. Żarówki na długości całych schodów pękają i syczą wraz z moim strachem, spowijając nas w ciemności.

Strażnik ląduje na ziemi, zanim zdoła skierować na nas swój gniew. Chwyta się za gardło, przewraca oczami i z impetem pada na kolana. Cameron wykręca dłoń

w kształt szponu i dusi mężczyznę swoją umiejętnością. Spowalnia rytm jego serca, zasnuwa wzrok ciemnością. Zabija go.

Trzask i głucho dudnienie, z którym Kilorn uderza o balustradę w dole, sprawia, że robi mi się niedobrze. Biegniemy, ile sił w nogach, ale trafiamy na dwóch Srebrnych strażników, którzy pną się do nas. Mroźny skuwa lodem schody pod naszymi stopami, przez co prawie się wywracamy. Rozsadzam go na kawałki tryskającą błyskawicą, podczas gdy jego partner, Twardoskóry, pada na ziemię powalony furią Cameron. Rozszarpujemy ich na strzępy jak kartkę papieru.

Pierwsza dobiegam do Kilorna. Ostatecznie zatrzymał się dwa piętra niżej i wylądował rozciągnięty na kilku stopniach. Od razu zauważam jego pierś, która podnosi się i opada. Słabo, ale wciąż. Oddycha. Krztusi się własną krwią. Czerwoną, karmazynową, szkarłatną i rubinową. Kolor jest tak jaskrawy, że prawie nie mogę patrzeć. Kilorn kaszle gwałtownie, rozbryzgując na nas krew. Na mojej skórze lądują gorące krople.

– Podnieś go... Musimy go podnieść – mamroczę, siłując się z Kilornem.

Cameron robi, co mówię, potwornie milcząca. Mam ochotę krzyczeć.

Kilorn nie może mówić, ale próbuje sam wstać. Prawie daję mu w twarz.

– Pozwól nam – mówię, zarzucając na siebie jego ramię. – Cam, drugi bok.

Już tam jest i próbuje go dźwignąć. Kilorn wydaje się jak kotwica, obciążnik.

Znów wymiotuje, malując schody krwią. Nawet nie staram się oszacować obrażeń. Wiem tylko, że muszę go stąd zabrać do któregoś z Uzdrowicieli na terenie miasta. „Potrzebuję Davidsona. Kogokolwiek”. Czuję ucisk w piersi, ale nie pozwalam sobie na to, by czuć ból ani jego ciężar. Moje nogi pieką z każdym nowym krokiem. W dół, w dół, w dół.

– Mare! – Cameron płacze.

– PRZESTAŃ.

Kilorn nadal jest ciepły, nadal oddycha, nadal wymiotuje na siebie krwią. To mi wystarczy. Pewnie ma połamane żebra, złamaną kość, która wbija mu się w organy. Żołądek, płuca, wątrobę. „Byle z dala od serca”, błagam. Nie mamy czasu na

przekłute serce.

Czuję smak soli i zdaję sobie sprawę, że płacę, zmywam łzami jego krew ze swojej twarzy.

Piętra rozmywają mi się przed oczami. Kilorn wciąga w płuca wilgotny, świszczący oddech. Jego twarz i dłonie z sekundy na sekundę robią się bledsze. Możemy tylko uciekać.

Na schodach pojawiają się kolejni strażnicy, zbiegają się tu jak psy, które złapały trop. Ledwie ich widzę i ledwie czuję ich nerwy, gdy moja błyskawica rozrywa ich na strzępy. Niektórzy padają od razu, krwawiąc z oczu, ust i uszu, kiedy Cameron miażdży ich ciała swoją umiejętnością. Ale jest ich zbyt wielu. Cały czas pojawiają się nowi, którzy biegną nam na spotkanie.

– Tędy! – krzyczy Cameron, głosem wciąż pełnym łez, jednocześnie masą swojego ciała wyważa drzwi na kolejnym piętrze.

Podążam za nią bez zastanowienia i przebiegam przez ciasne, nędzne mieszkanie. Nie wiem, gdzie prowadzi nas Cameron. Mogę tylko podtrzymać Kilorna i swoją błyskawicę, jedyne dwie rzeczy w moim świecie.

– Wytrzymaj – szepczę do Kilorna, tak by mnie usłyszał.

Cameron wiedzie nas do najbliższego okna, kolejnego kwadratu brudnego szkła. Tylko że to otwiera się na sąsiedni dach. Wybija szybę kopnięciem. Mój piorun osłania nas od tyłu przed goniącymi nas Srebrnymi, dzięki czemu udaje nam się wygramolić na dach.

Funkcjonariusze biegną za nami i przeciskają swoje większe i szersze ciała przez wybite okno. Pod udreńczonym grzmiącym niebem.

Kiedy między nami a strażnikami tworzy się większy dystans, delikatnie kładę Kilorna na beton. Jego powieki drgają, oczy ma zaszklone. Cameron staje nad nim, przyjmując obronną pozę.

Stykam się z nią plecami, twarzą do Srebrnych, którzy próbują dostać się na dach. Naliczam już sześciu, ale na zewnątrz wciąż wyskakują kolejni. Trudno mi rozpoznać, jakie mają umiejętności i czy należą do rodów, które znam. I nie

obchodzi mnie to.

Kiedy tylko Srebrni staną na betonie, dają upust błyskawicy.

Nade mną otwiera się fioletowa gwałtowna burza, która oślepia wszystkich swoją furią. Krzyczę, ale jej siła pochłania wszystkie dźwięki, wszystkie myśli. Piorun połyka ciała, zabijając tak szybko, że nawet ich nie czuję. Ani nerwów, ani szkieletów. Nic.

Gdy piorun znika, to zapach przywołuje mnie do rzeczywistości. Krew Kilorna, popiół, spalone włosy, upieczone mięso. Za mną Cameron charkocze, jak gdyby próbowała nie zwymiotować. Muszę odwrócić wzrok od spalonych na węgiel szczątków. Tylko ich guziki i broń pozostają nietknięte, dymiące od ciepła.

Ledwie mam czas odetchnąć, kiedy powietrze przeszywa ogłuszający trask i dach pod naszymi stopami zaczyna się trząść. Cameron pada na kolana i zasłania Kilorna swoim ciałem, podczas gdy cały budynek się chwieje. Buja się. Na początku powoli, a potem coraz śmieiej.

Padam na kolana, wyciągając ręce do Cameron i Kilorna, czuję, jak budowla się wygina. Moja burza była zbyt mocna, a blok zbyt słaby. Po jednej stronie sypią się mury i zaczynamy się przechylać. Jedyne, co mogę, to się trzymać, gdy dach odrywa się od budowli i zsuwa pod kątem ku ziemi. Przechylam się razem z nim, wpijając palce w beton i próbując je o coś zaczepić. Zaciskam pięść na kołnierzu Kilorna, lepkiem od mokrej i gorącej krwi. Jego oddech świszczy, jest bardzo słaby, gdy zjeżdżamy po dachu.

Ziemia wychodzi nam na spotkanie jak pięść z betonu. Srebrni funkcjonariusze już na nas czekają, gotowi nas zabić, jeśli nie zginiemy od upadku. Zaciskam zęby, szykując się na siłę uderzeniową. Nigdy nie czułam się taka bezbronna i przestraszona.

Z początku mrugam z niedowierzaniem, gdy dostrzegam przed sobą niebieską przejrzystą poświatę. Unosi się w powietrzu i podtrzymuje krawędź przechylającego się dachu, powstrzymując jego ruch. Ale nie nasz. Zsuwamy się dalej pod kątem, rysując ślady w popiele, dopóki nie walniemy w tarczę. Naboje

odbijają się od niej pod spodem, ale instynktownie i tak zaciskam powieki i kulę się w sobie.

Strzały powodują jedynie rytmiczne fale drgań pod nami.

„Davidson”.

Otwieram jedno oko, by spojrzeć na masakrę toczącą się pod spodem, ponurą mgłę błyskawic, niebieskiej, zielonej i białej, które rozprzestrzeniają się pomiędzy Srebrnymi. Białe piorun Tytona powala naraz czworo Srebrnych, podczas gdy Ella i Rafe dobijają resztę swoją bezlitosną energią. Tarcza przesuwa się pośród walk i delikatnie opuszcza dach na ziemię. Uderzamy w ziemię z niskim łoskotem, wzbijając zasłonę szarego kurzu.

Kilorn jest wysoki i chudy, ale ciężki. Adrenalina jednak sprawia, że wydaje mi się prawie nic nie ważyć. Ledwie zauważam wysiłek, gdy znów go podnoszę, zarzucając sobie jego ramię na szyję. „Nadal oddycha, nadal oddycha”. Cameron dźwiga go z drugiej strony i przedzieramy się razem przez popiół, nie zwracając uwagi na błyskawicę ani walczących Srebrnych.

– Uzdrowicieli! – krzyczę, ile sił w płucach, by tylko przebić się przez zgiełk. – Potrzebuję Uzdrowicieli!

Cameron krzyczy tak jak ja, jej głos jest bardziej donośny. Jest silniejsza i wyższa ode mnie, więc bierze na siebie większość ciężaru ciała Kilorna. Wcale jej to nie spowalnia.

Premier biegnie do nas w otoczeniu swoich strażników. Ma na policzku czyjaś krew. Czerwoną. Nie mam czasu zastanawiać się, do kogo należy.

– Potrzebujemy... – jęczę, ale Kilorn się wzdryga i zgina w pasie.

Prawie wyślizguje mi się z rąk i zmusza mnie do zatrzymania. Na bruk wytryskuje kolejna fala krwi, brudząc mi buty.

Niemal mdleję z poczucia ulgi, gdy spomiędzy żołnierzy Davidsona wyłania się Uzdrowiciel. Rudowłose Nowy wydaje się znajomy, ale nie wystarcza mi energii, by przypomnieć sobie jego imię.

– Połóżcie go – rozkazuje mężczyzna, a my z wdzięcznością robimy to, co

każe.

Teraz mogę jedynie trzymać Kilorna za rękę, chłód jego skóry w kontakcie z żarem mojej. Nadal żyje. Zdążyliśmy na czas.

Cameron klęka nad nim i w milczeniu się przygląda, z dłońmi splecionymi na kolanach. Boi się go dotknąć.

– Krwotok wewnętrzny – mamrocze Uzdrowiciel, rozrywając koszulę Kilorna.

Jego brzuch jest prawie czarny od sińców. Pod dotykiem zręcznych palców Uzdrowiciela zaczynają blednąć. Kilorn krzywi się z bólu i zaciska zęby.

– Jakby ktoś roztrzaskał ci żebra młotkiem.

– Tak się czuję – wydusza z siebie.

Mówi z wysiłkiem, ale mówi. Zamykam powieki, żałując, że nie wierzę w bogów, którym mogłabym podziękować za jego życie. Jego uścisk na mojej dłoni stopniowo się zacieśnia. Kilorn zmusza mnie, bym na niego spojrzała.

Wpatruje się we mnie swoimi malachitowymi oczami. Oczami, które śledziły mnie przez całe życie. Oczami, które prawie zamknęły się na zawsze.

– Wszystko dobrze, Mare. Nic mi nie jest – szepcze. – Nigdzie się nie wybieram.

Pilnujemy go w milczeniu, podczas gdy Uzdrowiciel pracuje dalej. Wzdrygam się na dźwięk odległego dudnienia eksplozji i strzałów. Część z nich rozlega się daleko za Nowym Miastem. Rozpoczął się atak na zatokę Harbor, trójstronna inwazja mająca na celu przejęcie miasta. „Czy wygrają? A my?”

Elektrykoni wracają w naszą stronę, omijając dziesiątki Srebrnych ciał leżących na drodze. Tyton odwraca kilka z nich stopą, a Rafe się przygląda.

Ella nieznacznie do mnie macha, gdy podchodzi bliżej. Gdzieś zgubiła chustę i jej niebieskie włosy są teraz brudne od szarego popiołu, co dodaje jej lat. Bezwiednie obraca dłonią, którą trzyma przy boku, i kłęby chmur nad nami, teraz ciche, poruszają się wraz z jej ruchem. Puszczą do mnie oko, próbując przybrać dzielną minę.

Rafe i Tyton nie starają się kryć ponurego nastroju. Obaj mają wolne dłonie,

gotowi, by w każdej chwili odeprzeć nowy atak.

Ale nikt nie nadciąga. Albo walki przeniosły się do innej części miasta, albo już się zakończyły.

– Dziękuję – szepczę łamiącym się głosem.

– Chronimy swoich – odpowiada szybko Tyton.

– To jeszcze nie koniec, ale najgorsze za nami.

Gdy się odwracam, widzę, że Uzdrowiciel podciąga Kilorna do siadu.

Cameron ostrożnie mu pomaga i kładzie dłoń na nagiej skórze jego pleców. Nagle czuję się jak intruz, który patrzy na coś, na co nie powinien. Szybko ocieram twarz wierzchem dłoni, ścierając z niej krew, pot i łzy.

– Pójdę sprawdzić, co się dzieje – mamroczę, podrywając się na nogi, zanim ktokolwiek zdoła zaprotestować.

Moje buty chrzęzczą po gruzie, gdy idę do Elektrykonów. Rafe rzuca mi słaby uśmiech. Zrywa z głowy chustę i przeczesuje dłonią krótko przystrzyżone zielone włosy.

– Nic mu nie będzie? – pyta, pokazując podbródkiem na Kilorna.

Robię powolny wydech.

– Na to wygląda. A wam nic nie jest?

Ella otacza mnie ramieniem z gracją szafirowego kota.

– Mieliśmy mniej kłopotów niż ty. Myślę, że wytoczyliśmy za ciężkie działa jak na to miejsce.

– Nortańczycy byli nieprzygotowani i przewyższaliśmy ich liczebnie. – Tyton splota na ulicę. – Srebrni królowie nie spodziewali się, żeby ktokolwiek się przejmował slumsem Czerwonych, a co dopiero o niego walczył.

Mrugam powiekami, nie wiem, czy dobrze rozumiem.

– Czyli wygraliśmy?

– Wygląda na to, że tak – odpowiada Tyton. Gestem dłoni wskazuje na żołnierzy Montfortu i Gwardii, którzy teraz obstawiają ulicę.

Gdyby nie karabiny maszynowe, można by ich wziąć za Czerwonych

techników. Kilku z nich wydaje się śmiać i wymieniać uprzejmości z premierem, który chodzi między nimi.

– Zastanawiam się, jak sobie radzą w mieście Harbor – mówi Ella, wzbijając butem obłok kurzu.

Spuszczam wzrok. Serce nadal łomocze mi w piersi i pompuje do żył adrenalinę. Trudno przez to myśleć o czymś innym poza tą ulicą. A co dopiero o ludziach, których kocham, którzy walczą i może umierają kilka kilometrów stąd. Przez chwilę próbuję o tym zapomnieć. Wziąć się w garść. Oddychać głęboko i swobodnie. Nic to nie pomaga.

– Premierze – mówię, idąc w jego stronę zdecydowanym krokiem.

Ogląda się za siebie z uśmiechem i nawet kiwa na mnie dłonią, żebym podeszła. Jak gdybym potrzebowała zaproszenia.

– Barrow – mówi. – Gratuluję dobrze wykonanego zadania.

Trudno świętować, kiedy kilka kroków ode mnie siedzi Kilorn, nawet jeśli pomaga mu Uzdrowiciel. Mało brakowało, a byłoby z nami źle.

– A co z miastem? Masz wieści od Farley?

Jego uśmiech blednie.

– Zdawkowe.

Coś tężeje mi w piersi.

– Co to niby oznacza? – dopytuję. – Czy ona żyje?

Davidson przywołuje swoją łączniczkę z plecakiem, z którego wystaje kłębowisko kabli i nadajników radiowych.

– Tak, rozmawiałam z generał kilka minut temu.

„A Tyberiasz?” Tłamszę w sobie chęć, aby o niego zapytać.

– Wszystko poszło zgodnie z planem? – pytam ostatecznie, myśląc o skomplikowanej inwazji na Harbor.

Twarz premiera się napina.

– A spodziewałaś się, że tak będzie? – mamrocze.

Niemal warczę z frustracji. Rozlega się kolejna dobiegająca z daleka

artyleryjska salwa.

Adrenalina zaczyna odpływać i ogarnia mnie chłód, który łąda moment znieczuli moje ciało. Odwracam się na chwilę i spoglądam na Cameron klęczącą przy Kilornie. Nie rozmawiają. Patrzą na siebie oczami szerokimi z wyczerpania i strachu. Następnie spoglądam na Elektrykonów. Cała trójka patrzy na mnie stanowczym wzrokiem.

Są gotowi dalej działać. Gotowi chronić swoich.

Podjęcie decyzji zajmuje mi ułamek sekundy.

– Załatwcie mi transporter.

ROZDZIAŁ 19

EVANGELINE

Nigdy nie przepadałam za miastem Harbor. Nawet w dzielnicach, w których mieszkają Srebrni, śmierdzi rybami i słoną wodą. Wkrótce będzie tu czuć tylko krew.

Dwa tygodnie odpoczynku w Rowach przeminęły bardzo szybko. Zaledwie wczoraj wieczorem byłam w domu, tuliłam się do Elane i szeptałam jej słowa pożegnania. Wtedy się nie bałam. Byłam przekonana, że ojciec nie pozwoli swoim dzieciom zbliżyć się do prawdziwego niebezpieczeństwa. Ptolemeusz i ja będziemy bezpieczni, obserwując oblężenie z rezerw, i wkroczymy do walki, dopiero gdy szala przechyli się na naszą stronę.

Myliłam się.

Jego głód jest większy, niż potrafię sobie wyobrazić.

Bez zastanowienia postawił nas w pierwszym szeregu.

Nasze łodzie suną teraz po wzburzonym granacie oceanu przecinanym białą pianą fal. Przymrużam oczy przed chlapiącą wodą, mimo że chronią je gogle. Wiatr smaga mi włosy chłodną morską wilgocią. Przewróciłabym się, gdyby moje buty nie były stopione z pokładem łodzi. Czuję krążącą we mnie moc, jej cichy puls ma ten sam rytm co nasza łódź skacząca po falach.

Na razie płyniemy ukryci za mgłą. Burzowcy z Montfortu są utalentowani i silni. Kątem oka spoglądam na jedną z nich. Jest wysoka i wiotka, ubrana w zielony mundur, opięty przez kamizelkę kuloodporną. Na głowie ma kask, tylko jej ręce są nagie. Rozpościera palce przy bokach, ciągnąc za sobą mgłę. Koniec z kombinezonami i treningami. Zaczyna się prawdziwa walka.

Dom Samos dowodzi najazdowi od strony morza. Przemy przed siebie w metalowych łodziach. Ojciec jest skłonny zaryzykować nasz dom dla zwycięstwa. Przed nami, tworząc formację w kształcie diamentu, płynie trzech naszych krewnych. Za moimi plecami stoi Ptolemeusz, w takim samym rynsztunku bojowym jak mój. Na biodrach krzyżują mi się pasy z bronią, ciasno przylegają do mięśni. Mam pistolet, choć wolę sama ciskać nabojami, jeśli zajdzie taka potrzeba. Moi krewni z domu Samos są uzbrojeni w karabiny i materiały wybuchowe. Wyobrażam sobie mur falochronowy Fort Patriot górujący nad falami. Nasza pierwsza przeszkoda. Im bliżej celu jesteśmy, tym bardziej skupiam uwagę na tym miejscu i naszym zadaniu.

Zdobyć miasto.

Przetrzeć.

Wrócić do domu.

Zobaczą, że nadpływamy. A przynajmniej zauważą nadciągającą z nad wody mgłę. Jednak teraz, wczesnym rankiem, powietrze jest ciężkie i szare. Naturalna mgła nie wydaje się więc niczym nadzwyczajnym. A nic innego nie mogłoby nas równie długo skrywać. Kiedy Cal uderzy z lądu, a dom Laris z powietrza, strażnicy pilnujący miasta oraz żołnierze stacjonujący w Fort Patriot nie będą wiedzieli, w którą stronę się zwrócić. Na którym froncie walczyć.

Najazd jest dobrze skoordynowany, od największych wojsk po każdą łódź. Nasze oddziały są świetnie zorganizowane. Dwóch Żeleźców, jeden Burzowiec, przynajmniej jeden Grawitron w każdej jednostce, a do tego Czerwoni żołnierze lub Nowi z Montfortu. W każdym batalionie znajduje się też kilkoro Uzdrowicieli.

Każdy ma swoje zadanie i jeśli chcemy przetrzeć, to musimy je dobrze wykonać.

Fort Patriot majaczy w oddali, rozmyty cień, który ciemnieje wraz z nadciągającą z nami mgłą. Spomiędzy spienionych fal wyłania się mur falochronowy. Nie ma pod nim lądu. Nie ma punktu oparcia. Nie ma materii.

Choć jestem wściekła na ojca, chciałabym, żeby tu był. Nie ma

bezpieczniejszego miejsca niż przy jego boku.

Na moment przenoszę uwagę na brata. Czuję za sobą jego obecność i z łatwością śledzę kształt jego zbroi. Oboje mamy wbudowaną w pas małą, ale solidną płytkę miedzi. To kiepski metal na pole walki. Jest jednak łatwy do rozróżnienia i wyczucia. Łatwy do wysledzenia. Próbuję zapamiętać wrażenie, jakie dają nasze płytki. Jeśli coś pójdzie nie tak, chcę móc błyskawicznie odnaleźć Toliego.

Mgła nas wyprzedza i osadza się nad coraz bliższym murem. Mój wewnętrzny zegar robi się głośniejszy, bardziej uporczywy. Wybiła godzina.

Cała drżąc, gwałtownie się odwracam i obejmuję Toliego. Uścisk jest szybki, gwałtowny i szorstki. Brzęk metalu o metal, gdy nasze zbroje się stykają, zostaje połknięty przez huk fal i wzmagający się łomot mojego serca.

– Nie daj się zabić – szepcze mój brat.

Mogę jedynie skinąć na to głową.

Na wale nie widać żadnego ruchu – ani nad nim, ani pod nim. Tylko fale. Może jednak mgła ich zmyliła.

– Gotowy? – syczę, przebijając się przez hałas i spoglądając na umięśnionego Grawitrona z Montfortu.

Kiwa głową, po czym przykuca i przykłada ręce do boków. Ustawia płasko dłonie. Jest gotowy do podźwignięcia.

Grawitroni na pozostałych łodziach robią to samo.

Żołnierze za mną klękają. Burzowiec, dwóch naszych Niweczników z domu Lerolan oraz Ptolemeusz przygotowują się do skoku. W mojej łodzi nie ma Czerwonych. Chcę dziś przeżyć i nie mam zamiaru polegać w tej kwestii na Czerwonej krwi, bez względu na to, jak świetnie są wyszkoleni.

Nachylam się tak jak pozostali, napinając mięśnie. Boję się, że się rozbijemy, jeśli Grawitron nie jest w formie. Przy tej prędkości mogę nie być w stanie zatrzymać łodzi, zanim uderzy w mur.

O jego podstawę rozbijają się fale, które pod mgłą nabierają stalowoszarej

barwy. Wyskakują wysoko, wyżej niż zaschnięta linia soli morskiej na murze. Wyżej niż najsilniejsza fala przyprływu.

Czuję w sercu nagły niepokój.

– Atak Wodniaków! – udaje mi się krzyknąć, kiedy kolejna monumentalna fala rozbija się... w tył.

Tak zaczyna się bitwa o zatokę Harbor.

Niespodziewana wściekła ściana wody przewraca łodzie na czele formacji, jakby to były zabawki, rozrzuca żołnierzy Rowów i Montfortu po wzburzonych, przełamujących się falach. Uciekają tylko Grawitroni, którzy podrywają się do góry, poza zasięg wody. Zauważam kuzynów z domu Samos, kontrolujących swoją broję, tak by utrzymać się na powierzchni lub sunąć po falach, ale są zbyt ciężcy albo niewystarczająco silni, aby uciec od niebezpieczeństwa. Nie wiem, co z resztą.

My też mamy Wodniaków – urodzonych w Montforcie Srebrnych. Jest ich jednak o wiele mniej i są znacznie słabsi niż ci, którzy znajdują się na murach Fort Patriot. Mimo prób nie jesteśmy w stanie uspokoić kotłującej się wody.

Podnosi się kolejna fala, która sięga do połowy muru, blokuje szarzące światło i rzuca cień na naszą łódź. Spłaszcy nas, utopi, zmiażdży o dno oceanu.

– Przebić się! – rozkazuję, zaciskając dłonie na dziobie łodzi i przelewając siebie i swoją umiejętność w kadłub. Mam nadzieję, że Grawitron mnie słyszy. Wiem, że Ptolemeusz na pewno tak.

Łódź drży pod naszym dotykiem, zwęża się i wyciąga, a jej dziób robi się ostry jak nóż. Nabieramy prędkości. Kładę się płasko na pokładzie. Wbijamy się w falę niczym nabój z pasażerami.

Woda jest jak zimny policzek, ale jedyne, co mogę zrobić, to zacisnąć usta. Przebijamy się przez falę i wyskakujemy w powietrze po drugiej stronie. Kierujemy się prosto na mur.

– Uwaga! – wrzeszczy Ptolemeusz, gdy cała naprzód lecimy na kamień.

Zaciskam zęby i wbijam palce w metalowy kadłub. Ciągnąc, pchając, licząc na to, że nie spadniemy, że się nie rozbijemy.

Grawitron daje nam dodatkowe odbicie, którego potrzebujemy, żeby pozostać w powietrzu. Łódź mocno uderza w mur i zaczynamy się przesuwać w górę, wbrew grawitacji.

Pozostałe łodzie lądują przy nas i suną do góry w przypadkowym szyku.

Większości naszego oddziału się udało.

Metal szura o kamień, ścigając się z falami w dole, mimo że te sięgają coraz wyżej i zalewają nas wodnym pyłem jak deszczem. Gdy pniemy się na górę, plują słoną wodą i mrugam powiekami. Cieszę się, że mam na sobie gogle.

Wzdłuż muru obronnego stoją Wodniacy odziani w ciemnoszare lub czarne mundury w niebieskie pasy. Wyszkoleni Srebrni żołnierze i strażnicy. Garnizon Fort Patriot wspierany przez lakelandzkie jednostki.

Wyskakujemy z łodzi na niepewnych nogach i zbieramy się na pasażu biegnącym wzdłuż szczytu muru. Wykorzystuję swoją zbroję, żeby nie spaść do wody, podczas gdy Ptolemeusz z zapalczywością niszczy naszą łódź, posyłając odłamki metalu we wszystkie strony. Grawitroni spychają żołnierzy wroga do zatoki. Mgła wpełza na mury i do fortu, osłaniając naszych. Burzowcy odłączają się od nas. Ich zadaniem jest przywołać piorun. Wzniecić błyskawice. Przerazić garnizon, wprowadzić ich w popłoch. Przekonać ich, że jest tu Mare Barrow.

Wzdłuż muru miejscami wybuchają ogień i dym. Niweczniczy omijają je, zostawiając za sobą płonące zwłoki. Jeden z nich wydaje z siebie przeraźliwy wrzask, gdy zaatakowany z zaskoczenia, zostaje rzucony w rozszalałe fale.

W Fort Patriot roi się od Siłaczy wroga. Dom Rhambos albo ich krewni z domów Greco lub Carros. Jedna z nich, kobieta umięśniona jak góra, na moich oczach zabija montforckiego Burzowca, rozrywając jego ciało i kości niczym papier.

Zachowuję jednak spokój. Widziałam gorsze rzeczy. „Tak mi się zdaje”.

Jesteśmy pod ostrzałem. Kule i umiejętności to śmiertelnie niebezpieczna kombinacja.

Podnoszę rękę, zaciskając pięść, by chronić się przed napaścią. Kule odbijają

się od mojej mocy, splaszczają lub rozpadają na kawałki. Łapię kilka z nich i posyłam z powrotem w mgłę, w kierunku ostrzału z dział okrętowych.

„Musimy otworzyć bramy. Zdobyć fort”.

Nasz cel, nasze zadanie są jasne, ale nie takie proste. Fort Patriot stoi w połowie osławionej zatoki miasta, dzieląc wody na cywilny Port Wodny i Port Wojenny. Teraz przejmuję się tylko jednym z nich.

Niski huk działek, takich jakie spotyka się na statkach wojennych, brzmi jak walenie w bęben. Staram się wysledzić pociski w oddali, aby oszacować ich trajektorię. To dość daleko, ale mogę zgadywać. Jestem Srebrna. Wiem, jak myślimy.

– Utworzyć tarczę! – krzyczę do Żeleźców z domu Samos, zbierając metal z naszych łodzi i broni.

Ptolemeusz robi to co ja i najszybciej, jak potrafi, splata stalową osłonę. Świst artyleryjskich pocisków wydaje się coraz bliższy. Podnoszę wzrok i intensywnie wpatruję się w mgłę. Łamię gogle, zrywając je z twarzy, dostrzegam łuk dymu nad naszymi głowami.

Pierwszy pocisk eksploduje niespełna pięćdziesiąt metrów przed nami, ścierając na proch część muru i zamieniając naszych wrogów i sprzymierzeńców w szary lub różowy opar. Tylko Niwecznicy wychodzą z tego bez szwanku, niektórzy nadzy, bo ich zbroje i mundury spaliły się na popiół wprost na ich ciałach. Chowamy się za stalą i czekamy na nadciągające uderzenie.

Dym jest żrący i zatruty pyłem startych kości.

Nie przetrwamy bezpośredniego uderzenia. Nie z tym, czym dysponujemy. Możemy odpierać pociski najlepiej, jak umiemy, ale to tylko kwestia czasu, zanim jeden z nich nas dosięgnie.

– Zejść z muru! – krzyczę, czując w ustach smak krwi. – Do fortu!

Zgodnie z planem.

„Sprowokować atak z okrętów wojennych, by przeciwnik podziurawił własne mury. Utrzymać ciężki ostrzał skierowany na fort, nie na miasto ani na dywizjon

lotniczy”.

Cal powiedział, że tutejsi właśnie tak zrobią, i jakimś cudem rzeczywiście tak jest.

Uderza nas kolejna salwa, rozłupując kamień, gdy próbujemy przedrzeć się przez mur i dostać do Fort Patriot. Odwracam się i przeliczam najszybciej, jak potrafię. Około sześćdziesięciorgu z nas udało się dostać do środka z początkowej grupy siedemdziesięciu pięciu osób. Siedemdziesięcioro pięcioro śmiertelnie niebezpiecznych Srebrnych i zaprawionych w bojach uzbrojonych po zęby Czerwonych.

Ich strzały są jednak zarezerwowane dla Srebrnych. Zauważam, że nie przejmują się żołnierzami w rdzawoczerwonych mundurach, licznymi poborowymi przypisanymi do tutejszego garnizonu. Część Czerwonych wypełnia rozkazy i staje z nami do walki. Jest ich jednak mniej, niż się spodziewaliśmy. Jak zapewniła nas generał Farley, wieść ruszyła w obieg. Czerwoni w mieście zostali ostrzeżeni. „Gdy rozpocznie się atak, zmieńcie stronę. Uciekajcie albo walczcie wspólnie z nami”.

Wielu tak robi – dołącza do naszego korowodu śmierci.

Nad nami pulsują burzowe chmury, zasnuwające niebo czernią. Ich piorun jest nieprzewidywalny, mniej potężny niż broń Mare. Ale komunikat jest taki sam.

Żołnierze wroga spoglądają w górę, gdy się do nich zbliżamy, i mierzą wzrokiem to, czego mogła dokonać tylko dziewczuszka od błyskawic.

„Jej tu nie ma, idioci – drwię z nich w myślach. – Tchórze, boją się odrobiny światła”.

W środku fortu panuje chaos. Cal powinien już rozpocząć własny atak i wyjść wraz ze swoim oddziałem z systemu tuneli, na którym zbudowano Harbor. To stare miasto, dobrze zachowane przez wieki, pełne głębokich i krętych kanałów. Szkarłatna Gwardia doskonale je zna.

Docieramy do głównego traktu okalającego fort i przemieszczamy się szybko, bez planu. Zwodzimy artyleryjski ostrzał, by nas gonił i niszczył. Odprowadzamy najcięższą broń jak najdalej od samego miasta. Cal strasznie się przejmuje

chronieniem niewinnych, pewnie tylko po to, by pokazać Mare, że potrafi. „Ale mnie bez problemu zostawi na lodzie”.

Przedzieram się przez kolejną falę walczących, używając kombinacji kul i ostrzy, by powalić przeciwników obu płci. Ich twarze są dla mnie jak cienie, kompletnie nieludzkie. Niewarte zapamiętania. To jedyny sposób, by jakoś przez to przebrnąć.

Świst i huk ostrzału przyjmują znajomy rytm. Wykonuję uniki z tą samą łatwością, z jaką pokonuję przeciwników, synchronicznie z hałasem. We mgle wirują dym i popiół, które wszystkich oślepiają. Garnizon Fort Patriot zupełnie sobie nie radzi. Nie mają strategii na tego typu atak. A my wręcz przeciwnie.

Pierwsza fala paniki dopada mnie, gdy zdaję sobie sprawę, że Ptolemeusza nie ma przy moim boku i nie otacza go ochronny krąg naszych krewnych. Rozglądam się, szukając znajomej twarzy o bladej cerze i srebrnych włosach. Nie ma go.

– Toli! – Mój krzyk rozlega się w tej samej chwili, w której eksploduje kolejny pocisk, tym razem bliżej.

Przykucam i chronię się przed uderzeniem, czekając, aż przeminie fala wstrząsowa. O moją zbroję uderzają gruzy, od lewej pokrywając mnie pyłem. Mrugając powiekami, wstaję pierwsza i odwracam się gwałtownie. Szukam. Czuję na plecach dreszcz przerażenia, który zostawia po sobie lodowate otwarte rany.

– PTOLEMEJUSZU!

Cała koncentracja przecieka mi przez palce i wszystko rozpada się na kawałki. „Gdzie jest mój brat, gdzie on jest, czy zostawiliśmy go gdzieś z tyłu, czy biegł za nami, czy jest ranny, czy umiera, czy już nie żyje...”

Słyszę koło siebie huk wystrzału, ponure przypomnienie, co się dzieje. Odwracam się do naszej grupy żołnierzy. Jeden z nich wpada na mnie i trąca ramieniem, przez co tracę równowagę. Dysząc, porzucam zmysły i odwołuję się do swojej umiejętności. Próbuję zlokalizować miedziany dysk. Ten maleńki guzik pomarańczowego metalu, inną masę, inne doznanie. Ale czuję pustkę. Nic.

Powiedziałam mu, że będziemy bezpieczni nawet na pierwszej linii frontu.

„Ojciec by nas nie zmarnował. Ojciec nie posłałby swoich dziedziców na stracenie”. Wciągamy trujący wdech, wciąż rozglądając się po żołnierzach, podczas gdy popiół prószy na mnie jak letni śnieg. Pokrywa nasze mundury bez względu na kolor. Wszyscy zaczynamy wyglądać tak samo.

„Nawet jeśli ojciec nie kocha nas tak, jak powinien, nadal nas ceni. Nie kupczyłby tak naszym życiem. Nie dałby nam umrzeć za swoją koronę”.

„Ale oto jesteśmy”.

Czuję kłujące łzy. „To od popiołu – wmawiam sobie. – Od żrącego dymu”.

Nagle gdzieś na skraju świadomości wyczuwam brzęczenie miedzi, tak słabe, że ledwie je zauważam. Natychmiast odwracam głowę, by poszukać brata. Bez chwili namysłu spycham z drogi kilku żołnierzy i rzucam się przez rój bitewny. Nurkuję pod ramieniem nadchodzącego Siłacza i miotam kulą w jego stronę. Czuję, jak przeszywa mu kark. Pada za moimi plecami, uciskając dłonią żyłę w szyi.

Z każdym moim krokiem wyłaniają się przede mną nowe postaci. Na ulicach Fort Patriot, ułożonych w równą siatkę, z łatwością można się odnaleźć. Skręcam w pierwszą w prawo, jak pies, który złapał trop kości.

Gdy spoglądam wysoko w górę, widzę, że budynki są połączone przejściami i korytarzami. Żołnierze w rdzawych mundurach biegają tam i z powrotem, z bronią w ręku. Unoszę przedramię, by ochronić się przed towarzyszącym ostrzałem. Wszyscy są Czerwoni i atakują z bezpiecznej odległości. Na ziemi lądują jednak spłaszczone, bezużyteczne naboje. Nie ma co marnować energii na to, by próbować ich zabić.

Zauważam Ptolemeusza, jak biegnie za rogiem. Na szczęście nic mu nie jest. Prawie padam na ziemię w poczuciu ulgi. Za nim unosi się dym, dowód kolejnej salwy artyleryjskiej. Pociski znów świszczą nam nad głowami, zanim eksplodują z gromkim dudnieniem.

– Co ty robiłeś, idioto?! – krzyczę, gwałtownie się zatrzymując.

– Nie stój... biegnij! – wrzeszczy, łapiąc mnie pod rękę. Jego siła niemal

podrywa mnie z ziemi.

Nie jestem taka głupia, żeby kłócić się z bratem, kiedy jest tak potwornie przerażony. Jedyne, co mogę zrobić, to mocno stanąć na nogi, rozejrzeć się i zacząć biec razem z nim ile sił.

– Mur falochronowy. – Tylko tyle jest w stanie powiedzieć, dysząc ze zmęczenia.

Nietrudno się zorientować, o co chodzi.

Popęłam okropny błąd i obracam się przez ramię. Otaczające nas dym i mgłę przerywa nagły piorun. Widzę rozprzestrzeniające się pęknięcia w murze i odłupujące się kawałki kamienia. Ściana wody podbija do góry i przedostaje się w głąb fortu.

Wyżej, na balkonie, stoi osoba, która wszystko to kontroluje, szeroko rozpościerając ramiona. Jej zbroja ma tak ciemny niebieski kolor, że wydaje się prawie czarna.

Iris Cygnet patrzy, jak uciekamy.

Nagły atak paniki sprawia, że prawie wrastam w ziemię, ale Toli ciągnie mnie za sobą, boleśnie mocno zaciskając rękę na moim bicepsie. Wybiegamy z powrotem na główną ulicę, goniąc nasz oddział, ale okazuje się, że niższe poziomy fortu są opuszczone. Nasi żołnierze pobiegli przodem, a wrogowie są nad nami. Wspinają się po budynkach, stoją na dachach, kotłują się na wyższych poziomach, gotowi do strzału. Nie ma sensu też szukać wyższej pozycji. Teraz musimy się tylko stąd wydostać.

Biegniemy wśród zbłąkanych kul, które dochodzą ze wszystkich stron. Większości z nich jesteśmy w stanie z łatwością uniknąć. Niektóre odrzucam z siłą, w nikogo nie celując.

Rzucam przekleństwa przez zaciśnięte zęby, obwiniając Cala, obwiniając Davidsona, Farley, ojca, a nawet samą siebie. Nasz plan zakładał udział Wodniaków, ale nie kogoś tak potężnego jak Iris. Znam tylko kilku Wodniaków, którzy potrafiliby zalać fort wodą z oceanu. Jednak żaden z nich nie byłby taki

chętny, by zniszczyć Fort Patriot. Ale Iris, księżniczka z innego kraju, która nie musi być lojalna wobec Norty? Mogłaby bez wyrzutów sumienia rozszarpać to miejsce na strzępy. Nadal uznać to za zwycięstwo.

Falochron wali się za nami z hukiem, który daleko pobrzmiwa echem. Zaraz potem słychać ryk uderzających fal – łamią się i wzbierają, wdzierając się na ulice, pieniać wokół budynków i murów Fort Patriot. Wyobrażam to sobie: ściana jak niebieski ogień, pochłaniająca wszystko na swojej drodze.

W końcu doganiamy nasz oddział. Ptolemeusz krzyczy na wszystkich, żeby się nie zatrzymywali, a oni są posłuszni. Nawet Nowi z Montfortu. Nie ma czasu na dumę.

Wewnętrzne bramy Fort Patriot prowadzą nie bezpośrednio do miasta, tylko na długi most rozpięty nad zatoką, łączący sztuczną wyspę, na której stoi fort, z lądem. Oznacza to, że będziemy musieli przebiec osiemset metrów po moście nad wodą, mając za plecami wrogich Wodniaków. Kiepski scenariusz, kiedy twoim celem jest nie utonąć.

Nasz Niwecznik szybko rozprawia się z pierwszą bramą i z impetem otwiera nam wyjście na most. Żelazne wzmocnienia lecą w powietrze i gwałtownie lądują w wodzie. Ledwie słyszę plusk przy zbliżającym się łoskocie powodzi. Iris pewnie nadal stoi gdzieś nad nami wszystkimi i triumfalnie się uśmiecha, gdy widzi nas, uciekających jak szczury na deszczu. Przebiegamy przez bramę, gdy uderza pierwsza fala, niosąc ze sobą kotłujące się szczątki. Rozgruchotane drewno, dryfujące transportery, broń, ciała. Biegnę tak szybko, jak tylko pozwolą mi nogi, żałując, że nie jestem na tyle silna, by uchronić siebie i brata od niebezpieczeństwa. Żadne z nas nie opanowało jednak właściwej Żeleźcom sztuki latania. Tylko ojciec potrafi to zrobić na jakiś dłuższy czas.

Grawitroni osłaniają nas od tyłu i wykorzystują swoje umiejętności, by odepchnąć falę. Zyskują tym trochę czasu, ale ta fala jest mała. Niewiele wyższa niż łuk bramy.

Druga fala, prawdziwa fala, uderza, załamując się nad murami i rozłupując kamień i beton osłaniające fort. Grawitroni są nieprzydatni przy tego typu sile –

mogą tylko uratować samych siebie, wyskakując ponad wodę. Przynajmniej jeden z nich zostaje porwany przez jej wir. Nie wypływa na powierzchnię.

Nie myślę o nim ani chwili dłużej. Nie mogę.

Most to mechanizm obronny fortu, wąskie i długie gardło, które ma powstrzymać wrogą armię przed wdarciem się do Fort Patriot od strony lądu. Musimy pokonać serię zamków i bramek, co spowalnia naszą ucieczkę. Niweczniczy robią, co w ich mocy, prowadząc nas przez rytm eksplozji, gdy pokonujemy jedną przeszkodę za drugą. Ptolemeusz i ja rozsadzamy zawiasy i wzmocnienia, rozpaczliwie zrywamy z bram stal i żelazo.

W połowie drogi przed oczami wyrasta nam miasto Harbor. Wydaje się tak blisko, a jednocześnie tak nieskończenie daleko. Wystarczy mi jedno spojrzenie, by zdać sobie sprawę, że spokojne wody po obu stronach mostu również wzrastają. Kotłują się. Nabrzmiwiają. Rosną jak ogromna fala o niepowstrzymanej mocy huraganu, która nadal na nas poluje. Słony wodny pył moczy mi twarz i szczypie w oczy. Oślepią wyciągam rękę i chwytam się kołnierza zbroi Toliego. Z rykiem frustracji podrywam nas oboje i wykorzystuję swoją moc, by przerzucić nas nad kolejną bramą. Niech szlag weźmie nasz batalion. Dołączą do nas, jeśli będą w stanie. A jeśli nie, to najwyraźniej nie było im to pisane.

„Ile waży ta zbroja? – pyta bezużyteczny głos w mojej głowie. – Czy zatnę, zanim zdolam ją zrzucić? Skończę na dnie zatoki?”

Albo, co gorsza, będę musiała patrzeć, jak Ptolemeusz znika pomiędzy falami, z których już nigdy nie wypłynie?”

Woda obmywa mi kostki. Buty ślizgają się po brukowanym moście i prawie tracę grunt pod nogami. Tylko Ptolemeusz powstrzymuje mnie przed tym, bym nie wpadła w obrzydliwe odmęty słonej wody, obejmując mnie w pasie. Jeśli utoniemy, to razem.

Niemal jestem w stanie poczuć głód Iris wraz z napływem fali. Pewnie niczego nie pragnie bardziej, niż nas zabić. Strzelić Rowom w kolano, kolejnemu wrogowi jej kraju. Zabić nas tak, jak nasza armia zabiła jej ojca.

Nie zamierzam tak umierać.

Nie mam jednak żadnego planu, żadnego pomysłu na odwet, który mogłabym przypuścić w pojedynkę. Wodniacy kontrolujący falę zabiją nas, a my nawet nie zobaczymy ich twarzy. Chyba że jestem w stanie jakoś zabić ich pierwsza.

Potrzebuję Grawitrona.

Potrzebuję Nowego.

Potrzebuję Mare i jej burzy, żeby podpaliła tych drani.

Za nami znów odzywa się grom, po którym jaśnieje błyskawica. Ale to nie wystarczy.

Jedyne, co możemy zrobić, to biec i mieć nadzieję, że uratuje nas ktoś inny.

Aż mi niedobrze od tej bezradności.

Po naszej prawej rozbija się kolejna fala, mniejsza niż przyływowa siła za naszymi plecami, ale wciąż silna. Rozrywa nasz uścisk i rozdziela mnie z Tolim. Zaciskam w dłoniach powietrze, a po chwili szczypiącą wodę, bo wpadam do zatoki na główkę.

Na powierzchni widzę eksplozje. Powodowane przez Niweczników lub od ostrzału artyleryjskiego, trudno powiedzieć. Mogę jedynie przejechać dłońmi po swoim ciele i zrzucić broję, zanim wciągnie mnie głębiej. Próbuję mentalnie wyczuć poruszającą się miedź Ptolemejusza, który szamocze się w wodzie tak samo jak ja. On też się topi.

Z zacięciem macham nogami, próbując wypłynąć na powierzchnię. Wtedy jednak z impetem uderza mnie kolejna fala i znów wirując, zaczynam opadać w stronę dna, bez szansy na choć jeden wdech.

Słona woda szczypie mnie w oczy i pieką mnie płuca, ale staram się płynąć, staram się przechytryć Wodniaków na powierzchni. Im dłużej tkwię pod wodą, tym bardziej martwa będę się im wydawać. Tym dalej będę mogła odpłynąć.

Teraz kolej Toliego, by mnie znalazł.

Czyjaś pięść zaciska się na kołnierzu mojej koszulki i ciągnie mnie za sobą. Widzę jego sylwetkę przy mojej i to, jak ściska w dłoni coś metalicznego. Gładką

stal w kształcie dużego pocisku, która ciągnie nas za sobą, napędzana umiejętnością Toliego. Jak silnik.

Chwytam się go mocno, zaciskając zęby. Moje płuca domagają się powietrza, aż w końcu już nie jestem w stanie dłużej wytrzymać i wypuszczam strumień bąbelków. Robię odruchowy wdech i zaczynam się krztusić wodą.

Z potężnym szarpnięciem i kolejnym wybuchem siły Toli kieruje nas ku powierzchni. Mam przed oczami czarne plamy. Brat wyrzuca mnie do przodu na mokry, zacieniony piasek.

Zaczynam pluć i kaszleć na czworakach, starając się odkrztusić wodę tak cicho, jak to możliwe. Toli uderza mnie dłonią w plecy.

Ledwie potrafię myśleć, ale i tak rozglądam się dookoła, żeby zorientować się, gdzie jesteśmy. Nawet chwila nieuwagi może nas kosztować życie.

Znajdujemy się pod jedną z przystani Portu Wodnego, w wodzie głębokiej na jakieś piętnaście centymetrów. Z obu stron osłaniają nas łodzie i otaczają tylko gnijące wodorosty, porzucone liny i pąkle.

Ptolemeusz wygląda poza dok, skąd mamy świetny widok na most i Fort Patriot. Zatoka to kipiący kocioł smagany przez ścierające się ze sobą fale przyływu i odpływu. Niektóre fale rozbijają się przy brzegu i gwałtownie podbijają nam wodę aż po szyje. Pluję i chwytam się spróchniałego drewna nad swoją głową. Przez chwilę boję się, że utopimy się przy brzegu. Ale woda ustępuje do oceanu z nienaturalną siłą.

Poruszamy się wraz z nią i odpychamy od podpór podtrzymujących koniec pomostu. Mam teraz ze sobą tylko noże i kule, bo moja zbroja leży gdzieś na dnie zatoki. Nie, żebym się tym przejmowała. Wszędzie na łodzi znajdę sobie metal.

Fale raz za razem atakują most, zrzucając z niego żołnierzy. Nasz batalion został rozbity, jeśli nie całkowicie zmiądzony. Dom Samos będzie dziś płacił krwią. Atak od strony morza się nie udał.

Znad chmur rozlega się ryk silników odrzutowca, krążącego wokół czoła burzy rozpraszającej się nad portem. Dwa następne, oznakowane żółcią domu Laris,

rzucają się za nim w pościg. Na moich oczach goniona maszyna staje w płomieniach i rozpada się na części, zanim w oddali wpadnie do wody. Zatokę zaczyna smagać silny wiatr, kiedy na niebie pojawiają się kolejne odrzutowce domu Laris. Odgłos silników niemal rozłupuje mi głowę na pół, ale chętnie zacząłabym krzyczeć na ich cześć. Dywizjon lotniczy to nasza prawdziwa przewaga.

Zwłaszcza że połowa Fort Patriot znajduje się pod wodą.

Większa część jest zatopiona, w tym wysokie przejścia. Tylko okręty przetrwały nienaruszone, gotowe do działania. Zwracają swoje działa w stronę przelatujących nad nami odrzutowców i wypluwają z siebie kule. Jeden z samolotów zostaje trafiony, jego skrzydło roztrzaskane, a po chwili podobny los spotyka dwie inne maszyny.

– Musimy rozbroić okręty – mamroczę stanowczym tonem, wyczerpana już samą myślą o tym.

Toli patrzy na mnie jak na wariatkę.

Może rzeczywiście odebrało mi rozum.

*

Biegniemy na brzeg zatoki, ile sił w nogach, zbliżając się i oddalając od trwającej w najlepsze bitwy. Atak Cala od strony lądu był największym z trzech planowanych i wykorzystał setki żołnierzy całej koalicji, nie wspominając o agentach Szkarłatnej Gwardii i innych kontaktach, które już przebywały w mieście. Wyszukoleni żołnierze zmagają się z przeciwnikami u boku złodziei i przestępców, podczas gdy z każdego rynsztoka i ciemnego zaułka miasta Harbor wylewają się partyzanci. Miasto z białego kamienia z niebieskimi dachami staje się czarne i czerwone, spowite dymem i ogniem. „Barwy domu Calore – myślę z goryczą. – Tylko którego brata?”

Nortańscy Srebrni i poborowi Czerwoni grzęzną na ulicach, ograniczeni przez własne regimentowe wyszkolenie. Są przyblokowani i stale eliminowani, ale wciąż niebezpieczni. Toli i ja ryzykujemy życie, gdy biegniemy, jednocześnie formując

zbroje ze wszystkiego, co znajdziemy po drodze. Zardzewiałych szczątków i tym podobnych rzeczy. Gdybym miała na to czas, czułabym obrzydzenie do własnej kiepskiej roboty.

Nad wodą, może półtora kilometra w głąb morza, odrzutowce z domu Laris spotykają się z odrzutowcami z Norty i Piedmontu. To znów rozkazy Cala. Trzymać najcięższą broń wroga i własną jak najdalej od miasta. Nawet z oddali słyszę huk, gdy maszyny tańczą w powietrzu z oślepiającą prędkością. Ogień i dym buchają w podniebnej bitwie, rozgrywającej się pomiędzy chmurami a horyzontem. Nie zazdroszczę pilotom, zwłaszcza tym, którzy muszą się zmagać z Wietrzycami z domu Laris. Trudno steruje się odrzutowcem, nawet gdy nie trzeba walczyć z wiatrem.

Iris nadal musi być gdzieś w pobliżu Portu Wojennego, skąd chroni statki przed gwałtownymi falami. Widzę, że woda wokół jej czterech masywnych okrętów wojennych jest spokojna i gładka. Reszta basenu portowego kotłuje się i burzy, niweczając wszelkie próby wykorzystania łodzi przy lądzie. Wkrótce lakelandzka księżniczka weźmie się za odrzutowce daleko nad morzem albo za samo miasto. Zniszczy Harbor tak samo, jak zniszczyła port. Zostawi za sobą tylko ruinę, bezużyteczną dla obu braci Calore.

Nagle z bocznej uliczki wyskakuje na mnie jaskrawa czerwień. Nigdy bym nie pomyślała, że poczuję taką ulgę na widok uzbrojonego oddziału Szkarłatnej Gwardii. Zwłaszcza dowodzonego przez generała Farley.

Jej banda przestępców otacza nas z uniesioną bronią. Niechętnie, ale szybko podnoszę ręce i spoglądam jej w oczy.

– To tylko my – dyszę, pokazując Ptolemeuszowi, by zrobił to samo co ja.

Farley przerzuca między nami wzrokiem, jej oczy są jak wahadło. Waga szukająca równowagi. Moja ulga natychmiast znika, gdy dociera do mnie, nad czym dokładnie się zastanawia.

„Nad życiem mojego brata”.

Mogłaby spróbować go teraz zabić, zabić nas oboje tu, na miejscu, i nikt by się

nigdy nie dowiedział. Uznano by nas za poległych w bitwie. A ona w końcu by się zemściła.

Ja tak właśnie bym zrobiła, gdyby ktoś odebrał mi Toliego.

Dłoń blondynki wędruje do pistoletu na biodrze, przypiętego do w połowie pustego pasa z amunicją. Nie próżnowała. Podtrzymuję jej lodowate spojrzenie, nic nie mówiąc, ledwie ośmielając się oddychać. Nie chcę pchnąć jej w niewłaściwą stronę.

Cała w nerwach próbuję wykorzystać resztki swojej umiejętności, które jestem w stanie jeszcze z siebie wykrzesać. Chwycić za jej broń, jej pozostałe kule, noże, które ma pochowane wszędzie na sobie. Powstrzymać ją, jeśli postanowi zaatakować.

– Cal jest tam – mówi, zrywając w końcu nić napięcia między nami. – Musimy przejąć ich okręty.

– Wiadomo – odpowiada Ptolemeusz, a ja o mały włos daję mu w zęby.

„Cicho”, mam ochotę syknąć.

W zamian lekko się przed nim ustawiam, odgradzając jego ciało od jej gniewu. Farley tylko przeszywa go wzrokiem przez kolejną niemożliwą do zniesienia sekundę.

– Tworzyć szyk, żołnierze – prycha, zanim odwróci się do nas plecami.

„Żołnierze. Nie Wasze Książęce Mości. Nie używa naszych tytułów”.

Jeśli to najgorsza rzecz, jaką ma zamiar zrobić, to przyjmę to z radością.

Robimy, jak nam przykazano, i ustawiamy się w szyku z resztą jej bandy. Nie rozpoznaję tu nikogo, a jej gwardzistów identyfikują jedynie czerwone przepaski przewiązane na rękach, w talii lub na nadgarstkach. Wyglądają niechlujnie i prowizorycznie w zwyczajnych ubraniach. Mogliby być służącymi lub robotnikami, pracownikami portowymi, handlarzami, kucharzami, kierowcami. Ale mają taki sam niezłomny charakter i taką samą determinację jak ona. I są uzbrojeni po zęby. Zastanawiam się, ilu Srebrnych trzyma takich wilków w swoich domach.

Zastanawiam się, ilu takich jest w moim.

Nasza koalicja kontroluje fragment Traktu Portowego, biegnący wzdłuż zatoki, skąd widać statki blokujące Port Wojenny. Za nami znajdują się baraki i budynki wojskowe, wszystkie przejęte przez naszą armię. Wielu naszych przyjmuje pozycje obronne i sterczy w oknach i drzwiach. Inni ustawiają się od strony portu, czekając na rozkazy.

„Czy zdobyliśmy miasto?”

Cal idzie wraz ze swoimi dowódcami i strażnikami. Nigdy nie widziałam go w tak kiepskim stanie: jego włosy są śliskie od potu, ciało oblepiają popiół i krew. Ledwie widać zbroję znajdującą się pod spodem, która pomiędzy plamami brudu błyszczący rubinową czerwienią. Chodzi tam i z powrotem wzdłuż brzegu, udręczony i sfrustrowany. Uważa też, by nie dać się dosięgnąć falom.

Księżęta Calore nie przepadają za wodą. Czują się przez nią niekomfortowo.

Cal wygląda tak, jakby lada moment miał wyjść ze skóry.

Jego babcia mu się przygląda. Zamieniła suknie i jedwabie na prosty mundur bez insygniów oznaczających stopień. Nie ma na sobie nawet barw swojego domu. Równie dobrze mogłaby być starszą kobietą, która zabłąkała się tu przypadkiem, ale każdy, kto ma oczy, wie, że jest inaczej. Nie wolno nie doceniać Anabel Lerolan. Towarzyszący jej Julian Jacos milczy, ze ściągniętymi ciasno ustami wpatruje się w okręt wojenny. Czeką na moment, aż będzie mógł się na coś przydać.

Mój brat i ja przedzieramy się między żołnierzami, aż znajdziemy się w zasięgu wzroku Cala. Na nasz widok unosi brew. Możliwe, że tak jak ja czuje ulgę z tego powodu i jest tym równie zaskoczony.

– Dobrze was widzieć całych – mówi, witając się z nami skinieniem głowy. – Co z waszym oddziałem?

Kładę dłonie na biodra.

– Nie wiem. Iris wrzuciła nas oboje do doku, kiedy przekraczaliśmy most. Musieliśmy się ratować, bo inaczej byśmy utonęli.

Cal obserwuje mnie skupionym, przenikliwym wzrokiem. Niemal

oskarżycielskim. Jak gdybym powinna czuć wstyd za to, że przeżyłam, kiedy inni nie byli w stanie. Postanawiam puścić mu to płazem.

– Dostaliście się do miasta?

– Trudno powiedzieć. Wysłałem wiadomość, żebyśmy się tu przegrupowali. Zobaczymy, do kogo dotrze i kto tu wróci. – Marszczy brew, spoglądając w dół i z powrotem na okręty.

Trzymają się z dala od portu, ale pozostają w pobliżu, zamiast wypłynąć na ocean. Przyglądają się nam.

– Jesteście teraz naszymi jedynymi Żeleźcami.

Nie przeżył nikt z naszych krewnych. Nikt prócz nas.

Ptolemeusz się krzywi.

– Zrobimy z pociskami, co w naszej mocy.

Cal spogląda na mojego brata, gwałtownie odrzucając włosy w tył.

– Nie zmarnuję was na chwytywanie pocisków. Mamy wystarczająco dużo Bombardierów z Montfortu, żeby zniszczyli, co się da. – Pokazuje palcem na zatokę. – Chcę, żebyście znaleźli się na tych statkach.

Wiem, że musimy powstrzymać okręty, ale żeby się na nie dostać? Tak szybko robię się blada, że czuję na policzkach lodowaty chłód mimo żaru płomieni, popiołu i własnego potu.

– Wolałabym się nie zabić o tak wczesnej porze, Calore – odpalam. Z drwiną pokazuję podbródkiem w stronę okrętów na wodzie. – Iris zatopi nas jak kamienie, zanim w ogóle się do nich zbliżymy. Nawet Grawitroni...

Cal tylko wzdycha do siebie, sfrustrowany.

– Kiedy zdobędziemy miasto, przypomnij mi, żebym zorganizował dla Srebrnych oficerów podstawowe szkolenie na temat umiejętności Nowych. Arezzo – rzuca przez ramię dziwne słowo.

W odpowiedzi podchodzi do nas kobieta w ciemnozielonym montforckim mundurze z insygniami.

– Tak jest – mówi, kiwając głową.

– Szykuj swoich Teleporterów – nakazuje Cal. Wydaje się niemal rozbawiony, widząc, jak kipię gniewem, wściekła na niego i na siebie o to, że zapomniałam, z jaką armią współpracujemy.

„Czy nie ma końca tym Nowym osobliwościom?”

– Szykujcie się do skoku na statki.

– Tak jest – powtarza szorstko dziewczyna. Machnięciem ręki przywołuje swoich montforckich oficerów.

Jak rozumiem, to pozostali Teleporterzy.

Spoglądam z ukosa na brata, próbując ocenić jego reakcję. Toli wydaje się bardziej zainteresowany Czerwoną generał. Nie spuszcza z niej wzroku. Jak gdyby mogła go zabić, jeśli on pozwoli sobie na chwilę nieuwagi. Nie jest to zupełnie irracjonalny lęk.

– A gdy będziemy na pokładzie? – Robię krok do przodu i staję twarzą w twarz ze swoim przeklętym narzeczonym. – Będziesz potrzebował więcej niż dwóch Żeleźców, żeby unieszkodliwić okręt. I więcej niż kilka minut. Jesteśmy dobrzy, ale nie aż tak.

Cal odskakuje, by uciec przed szczególnie agresywną falą i nie zmoczyć sobie stóp.

– Nie musisz niszczyć okrętu. Chcę mieć te statki. Potrzebuję ich. Zwłaszcza że jest tu Iris. – Oblizuje usta, a w jego oczach przez moment błyska strach. – Matka nie da jej tu przepaść jak kamień w wodę.

„Litości”. Czy on celowo dobrał takie słowa?

– Jeśli lakelandzka flota dotrze tu, zanim zyskamy prawdziwą artylerię chroniącą zatokę, to już po nas – dodaje Cal, spoglądając na wodę za moimi plecami.

Unoszę dłoń i pokazuję na ocean zasnuty dymem, nad którym wciąż tańczą sylwetki odrzutowców.

– Myślisz, że cztery statki są w stanie powstrzymać lakelandzką armadę?

– Będą musiały.

– Ale to się nie uda. Wiesz o tym.

Na policzku Cala drga mięsień, gdy zaciska szczękę. „Będziesz musiał ubrudzić sobie ręce, Calore. Bardziej niż teraz”.

Znów do niego podchodzę i staję bezpośrednio na linii jego wzroku.

– Sam powiedziałaś, że lakelandzka królowa nie pozwoli przepaść swojej córce. Więc posłużmy się nią w wymianie.

Cal robi się tak blady jak ja.

– Ze względu na miasto – naciskam. Musi zrozumieć. – Ptolemeusz i ja możemy przestawić działa tak, by ostrzelały ją samą. Przygwoździć ją. Zagnać w kozi róg. Płomienny król nie powinien mieć problemów z tym, żeby ją sobie podporządkować, co?

Znów nic. Cal nawet nie mrugnie, jego twarz jest zacięta i nieruchoma. „Tchórz – kpię z niego w głębi duszy. – Nie chce się z nią zmierzyć. Płomień Północy boi się odrobiny deszczu”.

– Gdy schwytamy Iris, będziemy negocjować. Jej życie za miasto.

W końcu wybucha.

– Ja nie robię takich rzeczy – informuje mnie opryskliwym, ostrym tonem.

Choć nie chcę, cofam się o krok, niemal przestraszona jego nagłą furią.

– Nie jestem taki jak on, Evangeline.

W odpowiedzi mogę jedynie prychnąć.

– I on przez to wygrywa.

– Nie zrobię tego – powtarza Cal, a jego głos trzęsie się ze złości. Książęta nie są przyzwyczajeni do tego, by się powtarzać. – Nie będę brał zakładników.

„Chcesz powiedzieć, że nie zamierzasz go prowokować – myślę. – Prowokować, żeby próbował ją odbić. Skierować wszystkie swoje siły na tę jedną osobę”.

Ma czelność grozić mi palcem.

– Przejmij statki, przejmij działa. I pozbądź się Iris z zatoki. To rozkaz.

– Nie jestem twoim żołnierzem i nie jestem jeszcze twoją żoną, Calore. Nie

możesz rozstawiać mnie po kątach – warczę, czując nagłą chęć, by go ugryźć. – Jej matka zatopi to miasto i nas, jeśli jej na to pozwolisz.

Cal wpatruje się we mnie wściekły i widzę, jak trzęsą mu się ręce. Jest tak zły, że nie zauważa, jak fala obmywa mu kostki. Kiedy zrywa się z przekleństwem na ustach, mam ochotę roześmiać mu się w tę jego idiotyczną twarz.

– Matka zostawi miasto w spokoju, jeśli jej córka będzie w stanie uciec – odzywa się głos za jego plecami.

„Musi cię ratować babcia, Calore?”

Książę marszczy czoło, nie rozumie.

– Ona ma rację – mówi jego wujek głosem delikatniejszym niż Anabel.

Calore unosi brwi tak wysoko, że prawie sięgają linii włosów.

– Julian? – pyta prawie niesłyszalnym tonem.

Jacos wzrusza ramionami i krzyżuje ręce na piersi.

– Mam małe doświadczenie na polu bitwy, ale to nie znaczy, że nic nie wiem o wojnie. To dobry plan, Cal. Wyprowadź Iris głęboko na morze. – Wtedy spogląda na mnie. – Dostań się na okręt, Evangeline – mówi powoli, nie wykorzystując swoich umiejętności.

Nie mam wyboru, nie przy mierzającym mnie wzrokiem Piewcy. Zrobię to z własnej woli albo z jego rozkazu.

– W porządku.

*

Cokolwiek by mówić o jego wadach, Cal jest szlachetny aż do przesady. Zwykle z tego powodu nienawidzę go jeszcze bardziej. Ale nie teraz. Tak jak poprzysiągł w Montforcie, nie pozwoli nikomu za siebie walczyć, chyba że będą walczyć ramię w ramię. Nie każe nikomu zrobić czegoś, czego ten ktoś nie chce. Więc kiedy zbierają się Teleporterzy i wyciągają do mnie ręce, stoi obok, uzbrojony i gotowy, by napaść na okręt wojenny.

– Pierwszy raz nie jest przyjemny – uprzedza mnie mój Teleporter, mężczyzna

o srogiej twarzy, pełnej zmarszczek. Weteran wielu bitew.

Jedynie, co mogę zrobić, to zacisnąć zęby i wziąć jego rękę.

Mam wrażenie, że ktoś miażdży mnie aż do szpiku kości, wykręca wnętrzności, mam zaburzoną równowagę i nie mogę polegać na swoich zmysłach. Próbuję zaczerpnąć wdech i okazuje się, że nie mogę oddychać, nic nie widzę, nie mogę myśleć, nie mogę istnieć – aż to uczucie znika tak nagle, jak się pojawiło. Zachłystuję się powietrzem, klęcząc na wyłożonym stalowymi płytami pokładzie okrętu. Teleporter stoi nade mną i wyciąga rękę, żeby zasłonić mi usta, ale odganiam go i rzucam mu mordercze spojrzenie.

Znajdujemy się za wieżyczką artyleryjską, przycupnięci przy zimnej stali i gładkich cylindrycznych lufach działa. Są rozpalone do czerwoności i nadal dymią po ostatnim ostrzale fortu, a teraz skierowano je w stronę miasta. Moja moc biegnie po całej ich długości, czuję wszystkie nity i śruby, przeskakując z jednej lufy do następnej, aż do magazynku – „prawie pełny” – i przygotowanych pocisków artyleryjskich – „ponad tuzin załadowanych”. Zakładam, że w przypadku pozostałych dwóch wieżyczek na dziobie i na rufie jest podobnie.

– Mają wystarczająco dużo amunicji, by zrównać Harbor z ziemią – mamrocze, nawet jeśli tylko do siebie.

Teleporter odpowiada jedynie rozgniewanym spojrzeniem. Przypomina mi ojca. Ma takie same przenikliwe, skupione oczy.

Robię to, co do mnie należy. Krzywiąc się, kładę dłonie na wieżyczce i ciągnę.

Działo stawia opór, ustawione i wycelowane w inną stronę. Ale kiedy już uda mi się poruszyć zębatki, z łatwością poddaje się mojemu dotykowi. Odwracam je w kierunku innego celu.

Okrętu bojowego, na którym stoi Iris.

Chodzi tam i z powrotem po pokładzie statku, który wypłynął najgłębiej w morze, sylwetka w ciemnoniebieskim stroju. Jest w obstawie swoich żołnierzy, których mundury łatwo rozróżnić. W dalszej części okrętu, na dziobie, wyłania się ubrana na czerwono postać, a wraz z nią Teleporter i inni ludzie.

– Prawie – syczę, obracając wieżyczkę do odpowiedniej pozycji.

Teraz lufy są nakierowane na burtę okrętu Iris. Zaciskając pięść, łączę ze sobą stal i żelazo, dzięki czemu unieruchamiam działo. Tylko Żeleziec lub ktoś z lampą lutowniczą będzie w stanie je teraz przestawić.

– Następna.

Z kolejnym obrzydliwym skokiem lądujemy przy drugiej wieżyczce. Robię to samo i obracam ją we właściwą stronę. Tym razem dostrzega nas dwóch Czerwonych poborowych. Biegną na mnie, ale Teleporter łapie ich i znika. Kątem oka zauważam go znowu, tym razem nad wodą. Obaj Czerwoni trafiają do zatoki. Teleporter wraca, jeszcze zanim usłyszę plusk.

Trzecia wieżyczka artyleryjska chodzi najgorzej ze wszystkich.

– Wiedzą o nas – mruczę gniewnie, czując pot na skroni. – Kanonier próbuje utrzymać pierwotny cel.

– Jesteś Żelźcem czy nie? – kpi sobie Teleporter.

„Oby Toli trafił na kogoś mniej pyskatego”, myślę w duchu, krzywiąc się. Zbierając całą swoją siłę, z większym zapalem niż to konieczne, ostatecznie obracam wieżyczkę i odpowiednio ją ustawiam. Podstawa zapada się do przodu i blokuje działo.

– Gotowe. Daj sygnał.

Przekręcenie wieżyczek było prostsze, niż się spodziewałam. Jak gdybym naciskała gigantyczny spust.

Wybuch pojedynczego pocisku jest tak silny, że aż mnie odrzuca i muszę zasłonić uszy. Wszystko najpierw zaczyna dźwięczeć, a potem tępieć. Podnoszę się z trudem i patrzę, jak pocisk trafia w cel i eksploduje na okręcie Iris.

Na całej długości pokładu wybucha ogień wijący się jak jadowity wąż. Większy niż uderzenie pocisku. Kilku żołnierzy wskakuje do zatoki, by uniknąć jego gniewu.

Gniewu Cala.

Lakelandczycy nie dają się tak łatwo zniechęcić i zalewają pokład wielką falą,

która gasi ogień.

Ale w tej chwili uderza w nich kolejny pocisk, tym razem ze statku Ptolemejusza po przeciwnej stronie. Na moje usta wypływa uśmiech i prawie wydaję z siebie okrzyk radości.

Cal raz jeszcze puszcza ogień po okręcie. Kolejni żołnierze uciekają, kolejni wyskakują. Pojawia się następna fala. Następny pocisk. Następny płomień. Rytm przyływu i odpływu.

Mój Teleporter przerzuca nas pomiędzy wieżyczkami, gdzie musimy się mierzyć z żołnierzami wroga. Głównie Czerwonymi. Srebrni zwykle nie służą na statkach, chyba że jako oficerowie. Dzięki mojej zdolności i umiejętności Teleportera łatwo się z nimi rozprawiamy.

Gdybym mogła, kazałabym się przetrzucić do Cala. On nie ma w sobie tyle siły, by zabić Iris, ale ja zdecydowanie mam. Lakelandczycy już i tak są na nas wściekli po śmierci swojego króla. Nie będzie miało znaczenia, jeśli ona też umrze. Właściwie to mogliby wtedy uciec w popłochu do swoich jezior i farm, by zastanowić się, czy aby słusznie stanęli przeciw mocy domów Samos i Calore.

Ale ja mam za zadanie pilnować dział. Przejąć kontrolę nad statkiem.

Gdy Cal walczy z Iris, jej uwaga jest odwrócona od zatoki, rozpoczynamy więc transfer żołnierzy. Podczas trzeciego przejścia na pokład wskakuje więcej Teleporterów i każdy z nich ma ze sobą po sześciu żołnierzy. Kolejni, nie marnując czasu, dopływają łodziami.

Przymrużam oczy, patrząc w stronę odległego okrętu, i posyłam kolejną salwę, która tym razem wyrywa wielką dziurę w kadłubie, kilka metrów nad poziomem wody. To, co dzieje się na pokładzie, napawa przerażeniem. Nad naszymi głowami ciemnieją chmury, gęste od błyskawic. Na statku ścierają się ogień i woda, pożar i fala przyływu. Statek kołysze się wraz z siłą tej bitwy, jeden Srebrny monarcha przeciwko drugiemu. Godni siebie przeciwnicy w nierównej walce.

Po raz pierwszy w życiu naprawdę się zastanawiam, co się stanie, jeśli Tyberiasz Calore umrze.

Myślę, że Iris ma zamiar go zabić.

ROZDZIAŁ 20

MARE

Choć od celu dzieli nas zaledwie kilka kilometrów, droga ciągnie się w nieskończoność. Ściskam klamkę, gotowa wyskoczyć z rozpędzonego pojazdu, kiedy tylko znajdziemy się na Trakcie Portowym. Jesteśmy tu tylko ja, Elektrykoni i kierowca. Nawet Ella milczy, spoglądając przez okno na ciemniejące niebo. W pobliżu zatoki Harbor dym znad Nowego Miasta ustępuje miejsca czarnym gryzącym chmurom. Z początku czuję ulgę, że nie muszę z nikim rozmawiać. Ale milczenie z każdą chwilą staje się gęstsze i nabrzmiąle i zaczyna mnie przytłaczać. Nie mogę myśleć o niczym innym poza majaczącym w oddali miastem i toczącą się w nim bitwą. Horyzont zdaje się płonąć.

Moje myśli błądzą i próbują odgadnąć, co zastaniemy na miejscu. Każdy kolejny scenariusz jest gorszy od poprzedniego. Kapitulacja. Porażka. Śmierć Farley. Poblady i ranny Tyberiasz, jego głowa w srebrnej aureoli krwi.

Kiedy ostatni raz byłam w mieście Harbor, przemieszczałam się tunelami i ukrywałam w zaułkach. Nie przedzierałam się ulicami wojskowym transporterem, eskortowana jak jakaś dostojniczka czy arystokratka. Z trudem rozpoznaję to miejsce.

Spodziewam się, że napotkamy opór, kiedy tylko wjedziemy do miasta, ale linie frontu znajdują się dalej, niż sądziłam. Ulice opustoszały i można na nich zobaczyć jedynie żołnierzy. To nasi – jedni maszerują na swoje posterunki, inni patrolują teren. Kilka razy zauważam kontyngent wojsk koalicji eskortujących więźniów. Zakuci w żelazne kajdany Srebrni są odprowadzani do miejsca, w którym ich przetrzymujemy, gdziekolwiek się ono znajduje. Domyślam się, że żołnierze wykonują rozkazy Davidsona. Premier wie, jak zmusić więźniów do

mówienia.

Ciężarówka zmienia kąt nachylenia i rozpoczyna łagodne zejście do portu.

– Koalicja rozmieściła wojska na nabrzeżu, żeby umocnić naszą pozycję, zanim podejmiemy próbę przedarcia się do fortu! – woła do nas kierowca.

Z radia na jego desce rozdzielczej wydobywają się przede wszystkim trzaski, ale dociera do nas także kilka niewyraźnych słów. Przekazuje nam to, co potrafi:

– Wygląda na to, że siły powietrzne blokują nortańskie odrzutowce na morzu, a my robimy, co możemy, by przejąć okręty wojenne w porcie. Niestety, na horyzoncie widać już statki Lakelandczyków.

Siedzący naprzeciwko mnie Rafe klnie pod nosem.

– Są daleko poza zasięgiem – mamrocze.

– Pozwól, że ja to ocenię – odpowiada stanowczo Ella, która wciąż tkwi nieruchomo przy oknie.

Tyton rozpiera się w fotelu i zaciska usta.

– Czyli miasto jest w naszych rękach. Na razie.

– Na to wygląda – odpowiadam z rezerwą.

Transporter toczy się naprzód, mijając coraz większe budynki i gmachy o oficjalnym wyglądzie. Moje ciało jest naprężone jak drut, gotowe zareagować, w razie gdyby cały ten spokój okazał się pułapką – manewrem mającym zwabić Tyberiasza i pozostałych i wzbudzić w nich fałszywe poczucie bezpieczeństwa. Zaciskam zęby i przywołuję błyskawicę. Towarzyszący mi Elektrykoni robią to samo, niezłomni i gotowi do walki.

Na końcu ulicy, za plecami miotających się po niej żołnierzy, lśni wzburzona toń portu. Można odnieść wrażenie, że niedawno przeszła tędy burza. Wszystkie powierzchnie są mokre, a na niebie dopiero rozpraszają się ciemnoszare chmury, przedmuchiwane przez rozszalały wicher. Fale rozbryzgują się na zaokrąglonej linii brzegowej, pieniąc się na biało niczym kipiące mleko. Widzę teraz, że stojący w głębi portu Fort Patriot zamienił się w ruinę – jedna jego część została zalana wodą, a druga płonie. Nawet po tej stronie wody czuję swąd. Most prowadzący do

fortu też jest zniszczony, częściowo porwany przez morze.

Przyciskam czoło do szyby, starając się dostrzec jak najwięcej szczegółów. Nasi żołnierze zajmują się usuwaniem gruzu, wznoszeniem prowizorycznych ścian i ustawianiem karabinów maszynowych. Kiedy wjeżdżamy na wybetonowaną promenadę biegnącą wzdłuż nabrzeża, przyglądam się im i szukam znajomych twarzy. Nawet w różnokolorowych mundurach wszyscy wyglądają tak samo. Mają brudne twarze, broczą krwią w obu odcieniach, są wycieńczeni i wyglądają, jakby lada chwila mieli się przewrócić. Ale żyją.

Szeregi rozstępują się i przepuszczają nasz pojazd. Kierujemy się teraz wzdłuż zatoki w stronę centralnej części nabrzeża oraz strzaskanych bram mostu łączącego ląd z fortem. Ella i ja tłoczmy się przy oknie po prawej stronie, wykręcając szyje, żeby zyskać jak najlepszy widok. Siedzący naprzeciwko nas Rafe robi to samo. Tylko Tyton tkwi nieruchomo i wbija gniewne spojrzenie w swoje brudne buciory.

– Okręty się ostrzeliwują – szepcze Ella, wskazując na statki, które nawet jeszcze nie wypłynęły z portu. – Spójrzcie. Trzy na jednego.

Przygryzam wargi i czuję chwilową dezorientację. W oddali na powierzchni wody unoszą się szare kadłuby, rozkołysane pod ostrzałem własnych dział. Rzeczywiście wygląda na to, że trzy z nich strzelają do czwartego. Zastanawiam się, która strona ma przewagę. Nasza koalicja czy koalicja Mavena. Na wzburzone wody wpływają mniejsze łodzie, transportujące żołnierzy na okręty bojowe.

Naszemu transportowcowi ledwie udaje się wyhamować, a ja już zeskakuję na mokry chodnik. Ślizgając się, stawiam niepewne kroki. Odzyskuję równowagę i przepycham się przez tłum żołnierzy. Pozostali Elektrykoni podążają za mną. Kierujemy się w stronę grupki stojących na brzegu oficerów, którzy obserwują łodzie poruszające się po zatoce. W oddali czwarty okręt wojenny unosi się na falach, raz po raz przechylając się pod naporem pocisków. Obrzucam go spojrzeniem i dalej szukam znajomych twarzy wśród żołnierzy.

Najpierw zauważam Farley i jej złote włosy połyskujące na szarym tle bitwy. Na szyi ma lornetkę, o której na chwilę zapomniała. Raz po raz wykrzykuje rozkazy i gestykułuje do swoich podwładnych. Zdaje się nie zauważać mężczyzn,

którzy ustawiają wokół niej stosy skrzynek, tworząc skromną barykadę mającą ochronić panią generała. Czuję, jak napięcie w moim ciele słabnie, i zaczynam oddychać nieco swobodniej.

Z ulgą spostrzegam, że jest tu także Julian. On i królowa Anabel stoją obok siebie, ze wzrokiem utkwionym w okrętach wojennych w zatoce. Wzrok Juliana jest nieruchomy, a Anabel ściska ramię mężczyzny tak, że jej zbielełe kostki odcinają się na tle jego stroju.

Sama nie wiem, czemu ten widok wzbudza we mnie niepokój.

– Możemy się na coś przydać? – rzucam, starając się zachować spokój, kiedy wstępuję w krąg oficerów.

Farley naciera na mnie, bełkocząc pod nosem, a ja szykuję się na nieuchronną reprimendę.

– Co tu robisz? – warczy. – Czy w Nowym Mieście coś...

– Podbiliśmy Nowe Miasto – wyjaśnia Ella, stając u mego boku ze splecionymi ramionami. – Proszę nam znaleźć jakieś zajęcie na miejscu, pani generał.

– To flota Iris Cygnet – odpowiada Farley opryskliwie, wskazując statki. Milknie. Znajduje się na granicy furii.

Ja także jestem podenerwowana. Kładę jej rękę na ramieniu. Oblubienica Mavena jest potężna, ale nie niezwyciężona.

– Iris mnie nie przeraża. Farley, pozwól nam pomóc...

W zatoce wybucha czerwony płomień, który dziwną trajektorią pełnie wzdłuż czwartego statku. Ogromna, nienaturalna fala podnosi się i rozbryzguje po pokładzie. W powietrze wznosi się kolejna spirala ognia, a towarzyszące jej języki wody wiją się i pryskają. Poruszają się razem w żywiołowym tańcu, który może być dziełem tylko dwojga konkretnych osób.

Serce zamiera mi w piersi, porażone strachem. I gniewem.

Nad portem w jednej chwili gromadzą się chmury i niebo robi się czarne. Od czasu do czasu rozbłyskuje fioletem, w rytmie uderzeń mojego serca.

– Co on robi? – warczę w przestrzeń, zbliżając się do wody. Coś we mnie

pęka. W jednej chwili znikają wszystkie cele, jakie sobie postawiłam, i zupełnie zapominam o mieście.

– Spokojnie, Mare – mówi Ella, ale kiedy Elektrykonka próbuje mnie złapać za ramię, odpycham ją.

„Muszę się dostać na ten statek. Muszę go powstrzymać”.

– Jesteś zbyt daleko, żeby mu pomóc! Nie trafisz! – krzyczy, ale jej głos niknie. W tłumie jestem szybsza, zwinniejsza. Nie nadążają za mną.

Przepycham się i docieram nad wodę. Czuję rosnącą desperację. Cal walczy z Wodniaczką, potężną Wodniaczką. To jego największa słabość. Ogarnia mnie przerażenie.

Łodzie kursują po zatoce – tam i z powrotem, a te puste wracają po kolejne grupy żołnierzy. Obserwuję tę scenę, tak mocno zaciskając zęby, że boję się, iż je połamię. „Za wolno”.

– Teleporterzy! – krzyczę zdesperowana, ale na próżno. Huk karabinów niemal całkiem mnie zagłusza. – Teleporterzy! – wołam znowu.

Nikt nie przybiega.

Owszem, łodzie poruszają się powoli, ale są moją jedyną szansą. Udaje mi się postawić stopę w jednej z nich, ale w tej samej chwili Farley dopada mnie i łapie za ramiona. Bezceremonialnie odciąga mnie do tyłu, tak że rozbryzguję butami płytką wodę przy nabrzeżu.

Wywijam się jej, stosując chwyt, które opanowałam dawno temu w zaułkach Palów. Potyka się, ale rozpościera ramiona i odzyskuje równowagę. Jej twarz purpurowieje.

– Pomóż mi się dostać na ten okręt, Farley. – Mój głos drży z wściekłości. Mam wrażenie, że eksploduję. – Nie zamierzam prosić cię o pozwolenie.

– W porządku – zgadza się. Jej oczy także wypełnia strach. – W porządku...

Nagły błysk na wodzie sprawia, że obie nieruchomiejemy, a słowa zamierają Farley w gardle. Oszołomione, w milczeniu przyglądamy się, jak seria pocisków spada na okręt Iris, tak że statek się przechyla. Fale podnoszą się, by go

ustabilizować, mimo że eksplozje trwają, czerwone i wściekłe, a każda z nich przypomina małe piekło. Kiedy statek zalewa kolejna fala, wokół okrętu kłębi się dym, czarny i cuchnący. Żołnierze spadają z pokładu do zatoki. Z oddali nie rozróżniam ich mundurów. Czerwone, zielone czy niebieskie? Nie mam pojęcia.

W świetle płomieni połyskuje jednak jego zbroja, której nie sposób nie zauważyć.

Niewiele myśląc, zdejmuję lornetkę z szyi Farley i przyciskam ją do oczu.

To, co widzę, sprawia, że zamieram w bezruchu.

Iris schyla się z gracją i unika kuli ognia – jest o wiele szybsza niż Tyberiasz. Tanecznym ruchem wydostaje się z pola jego zasięgu, krążąc, mimo że statek pod nimi porusza się i kręci, gdy podpływa w stronę wejścia do portu i otwartego oceanu. Odważny, głupi Calore nie odpuszcza.

Kolejna fala uderza w niego z pełną siłą z rozbryzgiem błękitu i bieli, dowodząc potęgi Iris Cygnet. Serce zamiera mi w piersi, kiedy wyobrażam sobie, jak Cal topi się na moich oczach, zmiażdżony przez metalowy kadłub statku.

Spada. Jego zbroja roztrzaskała się w walce, a szkarłatna peleryna jest podarta na strzępy. Jak na tak potężnego mężczyznę, wpadając do wody, Tyberiasz wydaje zaskakująco cichy plusk.

Mam mroczki przed oczami, a wzrok mętnieje z emocji, które zalewają mi mózg. Wszystko się zawęża, oblamowane czernią, aż przestaję słyszeć otaczający mnie tłum. Nawet głos Farley słabnie, a wyrzaskiwane przez nią rozkazy rozpływają się w powietrzu. Mam ochotę krzyknąć, ale moje zęby wydają się sklezione. Jeśli się poruszę albo przemówię, zniknie też moje opanowanie. Moje błyskawice będą bezlitosne. Mogę tylko patrzeć, stać i modlić się do tego, kto może właśnie słucha.

Czuję na ramionach ciepłe dłonie. Otaczają mnie Elektrykoni. Ustawiają się na tyle blisko, by zareagować, jeśli stracę kontrolę. Niebieski, zielony, biały. Ella, Rafe, Tyton.

„Cal. Cal. Cal.

Musisz ocaleć”.

Wszystko traci znaczenie poza wodą i jej białoniebieskimi falami pieniającymi się od starć. Większość żołnierzy, którzy wypadli za burzę, wciąż żyje i unosi się na powierzchni – w górę i w dół. „Tylko że oni nie mają na sobie zbroi. Nie boją się wody. Nie stanęli do pojedynku z Iris Cygnet i nie przegrali”. Oślepiający blask słońca sprawia, że niewiele widać, ale ja i tak mrużę oczy. Wytrzymuję tak przez dłuższy czas, aż nie jestem w stanie podnieść powiek. Lornetka wypada mi z rąk i roztrzaskuje się o ziemię.

Chaos przy brzegu się nasila. Wszyscy żołnierze stoją ze wstrzymanymi oddechami, próbując dojrzeć, jaki los spotkał księcia Calore. Kiedy wydają zbiorowe westchnienie, przełamuję się, otwieram oczy i się odwracam. Tyton trzyma palce na mojej szyi, a jego uścisk staje się żelazny. Jeśli będzie musiał, powali mnie na ziemię, aby uchronić zebranych przed moją rozpaczą.

Nie wiem, kto wydostał Tyberiasza z wody ani który Teleporter wyciągnął go na brzeg. Nie patrzę na Uzdrowicielkę, która pochyla się nad księciem przerażona i próbuje go ocalić. Nie obchodzi mnie Iris, która wycofuje się z zatoki na pełne morze. Potrafię patrzeć jedynie na niego, choć nie chcę go takim oglądać. Z każdą kolejną sekundą staję się wrakiem człowieka. Strzelano do mnie. Dźgnięto nożem. Otepiono. A to i tak jest tysiąc razy gorsze.

Srebrna skóra jest zimniejsza niż skóra Czerwonych, jak gdyby wylało się z niej całe ciepło. Nigdy jednak nie widziałam, by jakiś Srebrny wyglądał tak jak on. Ma niebieskie wargi, jego policzki przypominają księżycową poświatę, a każdy centymetr ciała jest nasiąknięty wodą lub krwawi. Ma zamknięte oczy. Nie oddycha. Tyberiasz wygląda jak trup. Może jest trupem.

Czas się rozciąga. Zamieszkałam w tej przeklętej sekundzie, uwięziona, skazana na to, by patrzeć, jak życie Tyberiasza topnieje i z niego wycieka. Kilom przeżył w Nowym Mieście. Czy w zatoce Harbor stracę Tyberiasza?

Uzdrowicielka kładzie mu dłonie na piersi, a na jej czoło występuje pot.

Modłę się do jakiegokolwiek boga. Do kogokolwiek, kto może mnie

wysłuchać.

Błagam.

Woda wytryskuje z jego ust, kiedy Tyberiasz zanosi się gwałtownym kaszlem i szeroko otwiera oczy. Od nagłego przyływu emocji prawie upadam i tylko dzięki Elektrykonom utrzymuję się na nogach. Łapczywie łapię oddech i przykładam rękę do ust, a po moich policzkach płyną łzy.

Tłum zebranych wokół niego rośnie. Anabel klęka u jego boku. Jest też Julian. Mruczą coś nad ukochanym chłopcem, przyglądają mu włosy, proszą, by leżał nieruchomo i pozwolił Uzdrowicielce pracować.

Tyberiasz słabo kiwa głową, próbując rozeznąć się w sytuacji.

Odwracam się, zanim mnie zauważy i uświadomi sobie, jak bardzo chciałabym zostać.

*

Morskie Wzgórze stanowiło ulubioną posiadłość Coriane, zmarłej królowej, której nie dane mi było poznać. To także ulubiona rezydencja jej syna. Pałac z wypolerowanego białego kamienia, o dachu sklepionym błękitnymi kopułami, które wieńczą srebrne płomienie, wciąż wygląda olśniewająco, nawet oglądany przez kłęby dymu i opadający popiół. Okrążamy skwer przed bramą pałacu, gdzie zazwyczaj panuje niezwykły ruch. Wydaje się, że jedyną aktywnością jest ta przy pobliskim Centrum Bezpieczeństwa, opanowanym teraz przez żołnierzy koalicji. Kiedy ich mijamy, właśnie zrywają czerwone, czarne i srebrne chorągwie, a także portrety Mavena Calore. Podpalają symbole, jeden po drugim. Patrzą, jak twarz Mavena płonie, a jego błękitne oczy wpatrują się we mnie przez żarłoczny kłęb czerwonych płomieni.

Ulice są opustoszałe, a znajoma fontanna – przepiękna budowla pod kopułą z kryształu – wyschła na wiór. Wojna przechadza się kamiennymi ulicami Harbor.

Rozwarte bramy pałacu czekają na mnie i Farley. Już tu kiedyś byliśmy, jako intruzki. Uciekiniarki. Nie dzisiaj.

Kiedy transportowiec zwalnia, Farley szybko wydostaje się z pojazdu i gestem nakazuje mi biec za sobą. Waham się, wciąż dręczona wspomnieniami tego, co wydarzyło się dziś rano. Zaledwie kilka godzin temu patrzyłam, jak Tyberiasz kona. Nie mogę zapomnieć tego widoku.

– Mare – ponagla mnie cicho.

To wystarczy, bym się otrząsnęła.

Błękitne wrota pałacu otwierają się bezszelestnie, ukazując dwóch wartowników Szkarłatnej Gwardii. Ich rubinowe szale są postrzępione i żałośnie przekrzywione. Stanowią niezbity dowód.

Powróciliśmy tu jako zdobywcy.

Morskie Wzgórze wciąż trąci beczynnością i osamotnieniem. Nie sędzę, by Maven bywał tu od czasu objęcia tronu. Ze ścian i sklepionego sufitu spływają wypłowiałe złote sztandary Coriane. To grobowiec zapomnianej królowej, pusty, w którym przechowywane jest wspomnienie o niej, a może nawet jej duch.

Idąc i spoglądając na mijane twarze, dostrzegam przedziwną zmianę. Kilku Czerwonych ze Szkarłatnej Gwardii pełni wartę, prezentując broń, ale większość zdaje się nie mieć zajęcia. Dochodzą do siebie po bitwie, drzemią oparci o bogato zdobione kolumny lub leniwie eksplorują salony i komnaty odchodzące od centralnej galerii. To Srebrni wykonują nużące zadania, zapewne na rozkaz Anabel. Muszą przygotować nową siedzibę Tyberiasza, jego pałac, aby można go było mianować prawowitym królem i władcą. Otwierają okna, zdejmują obicia z mebli, a nawet wycierają kurze z parapetów i posągów. Mrugam, oszołomiona. „Srebrni wykonujący prace domowe. Zupełnie nowy koncept”. Wygląda na to, że Czerwoni słudzy zbiegli, a ci, którzy pozostali, nie zamierzają wyręczać w tym wszystkim Srebrnych.

Nikogo nie rozpoznaję. Nie ma Juliana. Nawet Anabel nie nadzoruje swoich żołnierzy. Martwię się, bo istnieje tylko jedno miejsce, w którym mogą się teraz znajdować. Muszą tam być.

Zaczynam niemal biec, kiedy zza rogu wypada Evangeline. Jej zbroja zniknęła,

zastąpiona lżejszym strojem. Nawet jeśli bitwa była dla niej trudna, nie sposób się tego domyślić po jej wyglądzie. Podczas gdy wszyscy inni są brudni, a niektórzy wciąż zakrwawieni, Evangeline Samos wygląda, jakby wyszła z chłodnej kąpieli.

– Zejdź mi z drogi – sapię i próbuję ją obejść.

Farley przystaje, patrząc przed siebie gniewnie.

– Przepuść ją, Samos – warczy.

Evangeline ją ignoruje. Chwyta mnie za ramiona i zmusza, bym spojrzała jej w oczy. Opieram się znajomej pokusie, by powalić ją na ziemię, i pozwalam jej na siebie patrzeć. Ku mojemu zdziwieniu przygląda mi się badawczo, zatrzymując wzrok na każdej ranie i siniaku.

– Powinnaś się udać do Uzdrowiciela. Mamy ich tu mnóstwo – mówi. – Wyglądasz okropnie.

– Evangeline...

Dziewczyna się prostuje.

– Nic mu nie jest. Przyrzekam.

Patrzę jej w oczy.

– Wiem – syczę. – Widziałam go na własne oczy.

Na samo wspomnienie zaciskam zęby – jest zbyt świeże i zbyt bolesne.

„Żyje. Nie dał się jej pokonać. Nie dał się pokonać księżniczce Wodniaków – przypominam sobie. – Groźnej królowej poślubionej jego bratu”. Mam ochotę skrócić mu kark za to, że w ogóle próbował – że rzucił wyzwanie Wodniczce na środku zatoki. Nie zapomnę, jak Tyberiasz Calore zapierał się z całych sił, by nie przepłynąć przez strumień. Nienawidzi wody, boi się jej bardziej niż czegokolwiek. To najgorszy i najprostszy sposób na to, by go uśmiercić.

Evangeline przygryza wargę i nie spuszcza mnie z oczu. Widzi coś, co jej się podoba. A kiedy ponownie się odzywa, jej głos jest odmieniony, łagodniejszy. To lekki jak piórko szept.

– Nie mogę o tym zapomnieć. Tego, że wpadł do wody jak kamień, w zbroi i tak dalej – zaczyna, przybliżając się na tyle, by mówić mi wprost do ucha. Jej

słowa wiją się wokół mnie i drażnią moją skórę. – Ile czasu potrzebowali Uzdrowiciele, by znów zaczęli oddychać?

Zaciskam powieki i staram się tego nie pamiętać. „Wiem, co chcesz osiągnąć, Evangeline. To działa”. Tyberiasz, blady i martwy, jego ciało przemoczone do szpiku kości. Rozchylone wargi, oczy otwarte i puste. Niewidzące. Tak samo wyglądało ciało Shade’a, do dziś prześladowuje mnie wspomnienie o nim. Kiedy znów otwieram oczy, zwłoki Tyberiasza nie znikają, zagnieżdżone w moim umyśle. Nie potrafię się pozbyć tej wizji.

– Dość – mówi Farley, wciskając się między nas i oddzielając nas od siebie. Właściwie odciąga mnie siłą, podczas gdy Evangeline uśmiecha się złośliwie.

Rusza za nami i pogania mnie we właściwą stronę jak krowę prowadzoną na pastwisko. Albo na rzeź.

Nie znam Morskiego Wzgórza, ale na tyle dobrze poznałam inne pałace, że wiem, czego szukam. Wspinamy się po bogato zdobionych krętych schodach do skrzydła mieszkalnego, na piętro, na którym mieszczą się królewskie komnaty i apartamenty. Tu, na górze, z dala od ogólnodostępnych poziomów, warstwa brudu jest grubsza niż gdziekolwiek. Z dywanu wzbijają się obłoki kurzu. Ze wszystkich stron otaczają nas sztandary Coriane. Złote i żółte, wyblakłe i zniszczone. Zapomniane wszędzie, tylko nie tu. Zastanawiam się, czy przynoszą cierpienie jej synowi. Synowi, który niemal zjednoczył się z nią w śmierci.

Królewskie komnaty są przepastne. Wchodzi się do nich strzeżonym korytarzem, którego pilnują żołnierze z rodu Lerolan. Mają stroje w barwach Anabel i jej koloryt. Czarne włosy i miedzianozłote oczy. Oczy Tyberiasza. Nikt nas nie zatrzymuje, kiedy podążamy korytarzem i wchodzimy do położonego niżej pokoju służącego jako sala audiencyjna. Panuje tu potworny tłok.

Jako pierwszego zauważam Juliana, który stoi tyłem do łukowatych okien wychodzących na rozmigotaną zatokę. W popołudniowym słońcu jej woda połyskuje błękitem. Julian odwraca się do mnie, a jego twarz przybiera wyraz, którego nie potrafię nazwać. U jego boku staje Sara Skonos. Jej sylwetka jest wyprostowana jak struna, a dłonie zaciśnięte. Choć ręce ma czyste, rękawy

prostego munduru aż po łokcie pokryte są skorupą zakrzepłej czerwonej i srebrnej krwi. Ten widok przyprawia mnie o dreszcze. Z początku mnie nie zauważa, skupiona na zwalistym mężczyźnie stojącym pośrodku pokoju. Człowiek osuwa się na kolana.

Farley wciska się pomiędzy dwóch poruczników Szkarłatnej Gwardii i cicho zajmuje miejsce. Daje mi znać, żebym dołączyła, ale ja stoję tam, gdzie stałam. Wolę się trzymać na skraju tego konkretnego tłumu.

Nigdy oficjalnie nie poznałam panującego lorda z domu Rhambos, ale zdradza go masywna sylwetka, nawet kiedy klęczy. Ma na sobie charakterystyczne szaty, olśniewające tkaniny w intensywnie czekoladowym odcieniu, z pąsowym obrzeżeniem, ozdobione kamieniami szlachetnymi. Jest ich przywódcą i gubernatorem rządzącym tym miastem i całym regionem. Siwiejące włosy w odcieniu ciemnego blond okalają jego twarz warkoczykami, które wcześniej pewnie można było nazwać misternymi. Niektóre się rozplotły – może w czasie bitwy, a może potężny lord z rozpaczy szarpał się za włosy. Zapewne i jedno, i drugie.

Srebrni nie przywykli do kapitulacji.

Wypuszczam powietrze i zmuszam się, by z barków Rhambosa przenieść wzrok na stojącego przed nim prawowitego króla. Trzyma miecz. Ten obraz sprawia, że z mojego umysłu znikają zwłoki.

Jego palce z niezachwianą mocą zaciskają się na zdobionej rękojeści miecza ceremonialnego. Nie mam pojęcia, skąd go wytrzasnęli. Nie jest to broń, którą Elara kazała mu zabić ojca, choć wygląda podobnie. Na pewno wspomina tamte chwile, stojąc nad innym mężczyzną błagającym o łaskę. Pewnie boli go, że musi coś takiego zrobić. Tym razem z własnej woli.

Tyberiasz jest bledszy niż zwykle, z jego policzków zniknęło całe ciepło. Ze wstydu czy ze strachu? Tego nie wiem. Może jest wycieńczony. Albo obolały. Mimo to w każdym calu wygląda jak król. Jego zbroję wyczyszczono, a na głowę włożono mu koronę. Wyraziste linie zuchwy i kości policzkowych wydają się jeszcze ostrzejsze, wyciosane przez niespodziewany ciężar, który spadł mu na

barki. To wszystko maska. Dzielna mina, którą musiał przybrać. Jego druga dłoń jest pusta, a pozbawione płomienia palce nagie. Ogień płonie tylko w jego oczach.

– Miasto należy do ciebie – mówi Rhambos, pochylając głowę i unosząc ręce.

Królowa Anabel staje u boku wnuka, a jej zwinięte palce przypominają szpony. Możliwe, że to jedyna kobieta na ziemi, która nawet bez biżuterii wygląda jak królowa.

– Zwracaj się do króla tak, jak należy, lordzie Rhambos.

Mężczyzna szybko ulega i pochyla się niżej, tak że niemal dotyka ustami dywanu.

– Wasza Wysokość, królu Tyberiaszu – dodaje bez wahania. Z otwartością rozkłada ramiona. – Zatoka Harbor i cały region Wybrzeża stały się twoją prawowitą własnością. Powróciły w ręce prawdziwego króla Norty.

Tyberiasz spogląda w dół swojego prostego nosa i obraca ostrze w dłoniach. Na jego krawędzi tańczy światło. Lord się wzdryga i mruży oczy od nagłego blasku.

– A co z domem Rhambos? – pyta.

Stojąca obok mnie Evangeline parska, zakrywając usta dłonią.

– Niezłe przedstawienie.

– My także należymy do was, możesz z nami postąpić, jak uważasz za słuszne – mamrocze złamanym głosem.

Wie, że Tyberiasz może stracić całą jego rodzinę. Całkowicie ich wyplenić. Wymazać ich nazwisko i krew z powierzchni ziemi. Srebrni rycerze robili gorsze rzeczy i to za mniejsze przewinienia.

– Oddaję ci do dyspozycji naszych żołnierzy, nasze pieniądze i zasoby – dodaje, wymieniając wszystko, co należy do jego rodu. Wszystko, co należy do jego żyjącego rodu.

Chwila ciszy się rozciąga, naprężona niczym drut. Jakby lada moment miała pęknąć. Tyberiasz przygląda się lordowi Rhambosowi bez mrugnięcia, bez emocji, a jego twarz jest pozbawiona wyrazu i nieodgadniona. Nagle pojawia się na niej uśmiech. Biję od niego ciepło i zrozumienie. Nie wiem, czy jest szczery.

– Dziękuję ci za to – mówi, lekko przechylając głowę.

Kłęczący przed nim lord Rhambos drży z ulgi.

– Podziękuję też wszystkim członkom twojego rodu, gdy za twoim przykładem złożą mi przysięgę wierności. Gdy porzucą fałszywego króla zasiadającego na tronie mojego ojca.

Stojąca obok Anabel uśmiecha się szeroko. Jeśli to ona poinstruowała wnuka, jak ma się zachowywać, spisała się na medal.

– Tak... Tak, oczywiście – jąka się Rhambos. Od tego potakiwania prawie się przewraca.

Zauważam, że Tyberiasz odsuwa stopy, na wypadek gdyby upadły lord chciał je ucałować.

– Doprowadzimy do tego możliwie jak najprędzej. Oddajemy ci naszą siłę.

Twarz Tyberiasza tężeje.

– Jeszcze dzisiaj, mój panie. – Nie zostawia pola do dyskusji.

– Jeszcze dzisiaj, Wasza Królewska Mość – odpowiada Rhambos, kiwając głową. Wciąż klęczy i zaciska mięsiste dłonie w pięści. – Niech żyje Tyberiasz Siódmy, król Norty i prawdziwy Płomień Północy! – wykrzykuje, a jego głos z każdym słowem staje się mocniejszy.

Tłum doradców i żołnierzy, zarówno Srebrnych, jak i Czerwonych, odpowiada tym samym, powtarzając wstrętne tytuły. Na policzkach Tyberiasza pojawia się rumieniec. Król rozgląda się, próbując dojrzeć, kto wykrzykuje jego imię, a kto milczy. Jego wzrok pada na mnie i moje nieruchome wargi. Wytrzymuję jego spojrzenie, wciąż uporczywie milcząc. Przechodzi mnie dreszcz podekscytowania.

Farley także się nie odzywa i zamiast na toczące się przed nami widowisko spogląda na swoje paznokcie.

Anabel grzeje się w blasku chwały, z ręką na ramieniu wnuka. Lewą dłoń ułożyła w taki sposób, by zaprezentować starą obrączkę ozdobioną czarnym kamieniem szlachetnym. To jej jedyna biżuteria – i jedyna, jakiej potrzebuje.

– Niech żyje – szepcze i spogląda na Tyberiasza błyszczącymi oczyma. Kiedy

zauważa, że jego twarz się zmieniła, przystępuje do działania i staje przed nim. Zaciska swoje śmiercionośne dłonie, wciąż prezentując pierścionek. – Król dziękuje wam za lojalność, i ja również. W nadchodzących godzinach będziemy mieli wiele do omówienia.

Równie dobrze mogłaby oznajmić, że możemy się rozejść. Tyberiasz odwraca się plecami do zebranych, a ja uświadamiam sobie, że tym gestem daje nam coś do zrozumienia. Jest zmęczony. Ranny. Może nie na ciele, ale gdzieś głęboko w środku, gdzie nikt tego nie widzi. Jego napięte ramiona opadają, a znajoma sylwetka garbi się pod rubinowymi naramiennikami zbroi. Zrzucił z siebie ciężar. A może mu się poddał.

Z jakiegoś powodu wraca do mnie wizja jego zwłok. Zbiera się we mnie lęk – boję się, że wypełni mnie całą i pociągnie na dno.

Robię krok naprzód, chcę zostać, ale tłum działa przeciwko mnie. Podobnie jak Evangeline. Dziewczyna bierze mnie pod ramię. Wciąż ma na sobie ozdobne szpony, które wbija mi w miękką skórę. Zaciskam zęby i pozwalam, by wyprowadziła mnie z sali. Nie chcę urządzać awantury ani robić scen. Julian mija nas, unosząc brew, zaskoczony, że widzi nas w takiej zażyłości. Chcę przekazać mu coś wzrokiem. Poprosić o pomoc lub radę. Ale on odwraca się, zanim udaje mi się cokolwiek zrobić. A może on po prostu nie chce mi doradzać.

Znów mijamy strażę, odziani w czerwień i pomarańcz żołnierze z rodu Lerolan przypominają wartowników. Może właśnie stąd wzięły się ich szaty. Patrzą do tyłu, ponad głowami Srebrnych lordów i Czerwonych oficerów. Jasne włosy Farley połyskują w oddali, a Ptolemeusz Samos trzyma się na bezpieczną odległość od niej. Widzę Anabel, która obserwuje wszystko, czujna jak jastrząb. Staje przed drzwiami do sypialni Tyberiasza. Mężczyzna wsuwa się do środka, nie spoglądając w tył.

– Nie dyskutuj – syczy mi do ucha Evangeline.

Instynktownie otwieram usta właśnie po to, by z nią podyskutować. Ale milczę, kiedy odciąga mnie na bok, z dala od tłumu, i prowadzi w stronę korytarza.

Choć zważywszy na okoliczności, jesteśmy tu bezpieczne, serce wybija mi w piersi rwany rytm.

– Sama powiedziałaś, że zamknięcie nas w szafie nic by nie pomogło.

– Nie zamierzam cię nigdzie zamykać – odpowiada szeptem. – Chcę cię tylko odprowadzić do drzwi.

Co chwila skręcamy i podążamy bocznymi schodami oraz korytarzami dla służby, jednocześnie za wolno i za szybko. Mój wewnętrzny kompas wiruje, a ja mam wrażenie, że wracamy do punktu wyjścia, kiedy Evangeline zatrzymuje się w pogrążonym w półmroku korytarzyku, tak wąskim, że z trudem się przez niego przeciskamy.

Z niepokojem myślę o kolczyku. O tym, którego nie mam w uchu. O krwistoczerwonym kamieniu, który schowałam w szkatułce w Montforcie, w tajemnicy przed światem.

Evangeline kładzie dłoń na starych drzwiach po prawej stronie, zardzewiałych od lat bezczynności. Zawiasy i zamek stały się ciemnoczerwone, pokryte skorupą przypominającą zakrzepłą krew. Dziewczyna pstryka palcami, a metal wiruje, zrzucając rdzę jak krople wody.

– Doprowadzą cię...

– Wiem, dokąd mnie doprowadzą – odpowiadam, nieco za szybko. Czuję się tak, jak gdybym miała za sobą kilkukilometrowy sprint.

Jej szeroki uśmiech mnie rozdrażnia i sprawia, że prawie się odwracam. Prawie.

– Doskonale – odpowiada i cofa się o krok. Jej dłoń muska powietrze, wskazując drzwi, jak gdyby były drogocennym darem. Choć to przecież tylko jawna manipulacja. – Rób, co chcesz, dziewczuszko od błyskawic. Idź, dokąd chcesz. Nikt cię nie powstrzyma.

Nie mam dla niej dobrej riposty. Mogę tylko patrzeć, jak się oddala, zadowolona, że się mnie pozbyła. Elane pewnie jedzie już do miasta, by brać udział w świętowaniu zwycięstwa. Zazdroszczę im. Przynajmniej są po tej samej stronie, zjednoczone mimo przeszkód stojących im na drodze. Obie Srebrne, obie

wychowane jako arystokratki. Znają się tak dobrze, jak mnie i Tyberiaszowi nigdy nie będzie dane się poznać. Są takie same, są sobie równe. W przeciwieństwie do nas.

Powinnam zawrócić.

A jednak przechodzę przez próg i przedzieram się przez półmrok zapomnianego korytarzyka, opuszkami palców muskając chłodny kamień. Przedemną sączy się światło, bliżej niż sądziłam. Oświetla kontur innych drzwi.

„Zawróć”.

Moje dłonie rozplaszczają się na drewnie, gładkim, rzeźbionym w niepowtarzalne wzory. Przez chwilę przesuwam palcami po panelach. Waham się. Wiem, dokąd prowadzi ta droga i kto czeka po drugiej stronie drzwi. Kiedy wewnątrz rozlegają się kroki, aż podskakuję. Po chwili skrzypi fotel, przygnieciony ciężarem ciała. Dwa uderzenia sygnalizują, że opiera nogi na biurku lub stole. Następnie rozlega się długie, rozwlekłe westchnienie. Nie jest to jednak westchnienie satysfakcji. Pełno w nim frustracji. I bólu.

„Zawróć”.

Gałka obraca się w mojej dłoni, jak gdyby wiedziona własną wolą, a ja mrugam i wstępuję w plamę łagodnego popołudniowego światła. Sypialnia Tyberiasza jest przestronna i przewiewna. Ma sklepiony sufit w odcieniu błękitu i bieli, tak że prawie przypomina chmury. Okna wychodzą na zatokę, a w tych okolicznościach dzień jest bardziej słoneczny, niż powinien. Morska bryza przedmuchuje ostatnie kłęby dymu.

Pomieszczenie wygląda tak, jak gdyby król próbował wprowadzić charakterystyczny dla siebie bałagan, choć przebywa tu zaledwie od kilku godzin. Siedzi przy biurku wyciągniętym na środek pokoju, ustawionym z dala od łóżka, na które nawet nie patrzę. Otaczają go dokumenty i książki. Jedna z nich leży otwarta, a wypełniająca ją tekst wije się ciasno zwiniętą spiralą odręcznego pisma.

Kiedy w końcu zbieram się na odwagę, żeby na niego spojrzeć, Tyberiasz stoi. Trzyma uniesioną płonąca pięść, a całe jego ciało jest naprężone jak ciało węża

gotowego do ataku.

Jego oczy błędzą po moim ciele, a dłoń wciąż płonie, choć mu nie zagrażam. Po dłuższej chwili macha ręką, a ogień migoce i gaśnie.

– Nie zwlekałaś – mamrocze, niemal bez tchu.

Oboje jesteśmy nieprzygotowani. On spuszcza wzrok i opada z powrotem na fotel. Odwraca się do mnie plecami i szybko zatrzaskuje książkę. W powietrze wzbija się chmura kurzu. Złota okładka jest zniszczona, wyblakła, bez napisu, a jej oprawa się rozpada. Chwyta ją i bezceremonialnie wrzuca do szuflady.

Potem udaje, że jest zajęty raportami. Pochyla się nad nimi z wymuszoną koncentracją. Uśmiecham się ironicznie i ruszam w jego stronę.

„Zawróć”.

Wchodzę głębiej do pomieszczenia. Powietrze zdaje się drgać na mojej skórze.

– Po tym, jak... – dukam. Nie ma dobrego sposobu, żeby to powiedzieć. – Po tym musiałam cię zobaczyć na własne oczy.

Gdy to mówię, kącik jego ust się unosi. Za to oczy pozostają nieruchome i wypalają dziurę w leżącej przed nim kartce.

– No i?

Wzruszam ramionami i kładę ręce na biodrach.

– Nic ci nie jest. Niepotrzebnie się fatygowałam.

Z jego ust wrywa się ostry, ale szczery śmiech. Tyberiasz rozsiada się, otacza ręką oparcie fotela i odwraca się, by spojrzeć mi w twarz. W świetle dnia jego brązowe oczy błyszczą jak stopiony metal. Przesuwają się po mnie, chłonąc odsłonięte rany i siniaki. Jego spojrzenie jest jak dotyk palców.

– A co z tobą? – pyta, ścisząc głos.

Przez chwilę się waham. Moje rany nic nie znaczą w porównaniu z tym, co przecierpiał, i z obrazem Kilorna krztuszącego się własną krwią.

– To nic, czego nie można by naprawić.

Zaciska wargi.

– Nie o to pytam.

– Chciałam powiedzieć, że mojej sytuacji nie da się porównać z twoją – oznajmiam, podchodząc do biurka i stając przed Tyberiaszem.

On także się porusza, podążając za mną jak myśliwy. Nasze ruchy przypominają taniec albo pościg.

– Nie każdy z nas może powiedzieć, że dziś prawie umarł.

– A tak, to... – mamrocze i przeczesuje włosy dłonią. Potargane krótkie kosmyki stają dęba i psują dotąd królewski wizerunek. – Wszystko poszło zgodnie z planem.

Wykrzywiam twarz w grymasie, odsłaniając zęby.

– Dziwne, nie pamiętam, by pojedynek z morderczą Wodniaczką na oceanie stanowił część planu.

Poprawia się w fotelu, zakłopotany. Zaczyna powoli zdejmować zbroję, odsłaniając cienką opinającą koszulę i znajdującą się pod spodem szczupłą sylwetkę. To wyzwanie, ale ja mu nie ulegam. Każdy kolejny element rynsztunku spada na podłogę z głośnym stukotem.

– Potrzebowaliśmy statków. Potrzebowaliśmy portu.

Nie przestaję krążyć, a on nie przestaje zdejmować zbroi. Odpina rękawice zębami, nie spuszczając ze mnie wzroku.

– Więc musiałeś stanąć z nią do walki jeden na jednego? Kto z was dwojga ma przewagę, co?

Król uśmiecha się z przekąsem.

– Wciąż żyję.

– To nie jest zabawne. – Ściska mnie w piersi. Muskam palcem zdobiony blat biurka, przesuając nim po zakurzonej powierzchni. Na jego tle moja skóra wygląda szaro, jak gdyby była pozbawiona ciepła. Jak wtedy, gdy przebierałam się za Srebrną i cierpiałam pod makijażem, byle przeżyć. – Wczoraj prawie straciliśmy Kilorna.

Uśmieszek natychmiast znika z warg Tyberiasza, a on na moment zapomina o zbroi. W jego oczach zbiera się mrok, który tłumi blask spojrzenia.

– Myślałem, że z Nowym Miastem poszło łatwo. Nie sądziłem, że... –
Przerywa i zaciska zęby.

Kiedy patrzy na mnie, odwracam wzrok. Nie chcę czuć, że się nade mną lituje.

– Co się stało?

Oddycham nierówno. To wszystko wydarzyło się zbyt niedawno, niebezpieczeństwo wciąż czai się w pobliżu.

– Srebrni strażnicy – mamroczę. – Psychik. Zrzucił go ze schodów. Poharatał mu wnętrzności. – Te słowa pociągają za sobą serię wspomnień. Mój najdawniejszy przyjaciel, jego pobladła skóra, na krawędzi śmierci. Czerwona krew na jego brodzie, piersi, stroju. Na moich rękach.

Król nic nie mówi. Zmuszam się do tego, by na niego spojrzeć. Gapi się na mnie szeroko rozwartymi oczyma, zaciskając wargi w cieką linię. Na twarzy Tyberiasza maluje się wyraźna troska – widzę ją w jego ściągniętych brwiach i zaciśniętej żuchwie. Znów się poruszam i zataczam kolejne koło. Jestem coraz bliżej jego fotela i wstępuję w krąg znajomego ciepła.

– W ostatniej chwili udało nam się dotrzeć z nim do Uzdrowiciela – mówię, nie przystając. – Nic mu nie będzie, tak jak tobie.

Kiedy mijam go z tyłu, powstrzymuję chęć, by musnąć jego ramiona. Mam ochotę położyć mu dłonie po obu stronach szyi, nachylić się i przywrzeć do niego całym ciałem. Pozwalając, by mnie podniósł. Teraz bardziej niż kiedykolwiek trudno mi się oprzeć myśli, by odpuścić i odpocząć, pozwolić, by ktoś inny dźwigał moje brzemie.

– A jednak jesteś tu ze mną – szepcze tak cicho, że ledwie go słyszę.

Jego słowa zawisają pomiędzy nami jak dym.

Nie mam dla niego odpowiedzi. Nie taką, której mogłabym mu udzielić albo do której mogłabym się przyznać. Wiem, czym jest wstyd. Czuję go także teraz, kiedy stoję w jego sypialni, choć wiele kilometrów stąd Kilorn dochodzi do siebie. Kilorn, który zawdzięcza mi życie.

– To nie twoja wina. – Tyberiasz nie odpuszcza. Zna mnie na tyle dobrze, by

odgadnąć moje myśli. – Jego los nie spoczywa na twoich barkach. Dokonuje własnych wyborów. A bez ciebie, bez tego, co dla niego zrobiłaś... – Milknie. – Wiesz, co by z nim było.

Powołaliby go do wojska. Trafiliby do okopu albo do koszar. Pewnie zginąłby w ostatnich dniach wojny lakelandzkiej. Kolejne nazwisko na liście, kolejny Czerwony pochłonięty przez chciwość Srebrnych. Kolejna zapomniana osoba. „To przez ludzi takich jak ty”, myślę i biorę głęboki wdech. W sypialni pachnie świeżym morskim powietrzem, które wpada przez otwarte okna.

Próbuję znaleźć ukojenie w jego słowach. Ale nie potrafię. To wszystko nie usprawiedliwia moich czynów ani tego, kim stał się przeze mnie Kilorn.

Choć pewnie można powiedzieć, że w ciągu ostatniego roku wszyscy się zmieniliśmy. Wszystko zaczęło się w chwili, gdy zmarł jego nauczyciel, a Kilorn stał w ciemności pod moim domem, próbując nie opłakiwać życia, które wyrwano mu z rąk. Z trudem przełykam ślinę, przypominając sobie, co wtedy powiedziałam: „Zostaw to mnie”.

Zastanawiam się, czy staliśmy się tymi, którymi mieliśmy się stać. A może ci ludzie zniknęli na zawsze? Pewnie tylko Jon mógłby mi to powiedzieć, ale ten Dalekowzroczny dawno odszedł, znajduje się poza zasięgiem.

Odchrząkam i mało subtelnie zmieniam temat.

– Słyszałam, że na horyzoncie widać flotę Lakelandczyków. – Odwracam się do niego plecami, w stronę zewnętrznych drzwi, tych, które prowadzą do sali audiencyjnej. Gdybym chciała, mogłabym po prostu wyjść. Nie zdołałby mnie zatrzymać.

Biorę kilka oddechów i rezygnuję z tego pomysłu.

– Też to słyszałem – odpowiada Tyberiasz. Jego głos staje się niższy, głębszy. Pobrzmiewa w nim strach. – Pamiętam ciemność. Pustkę. Nicość.

Niechętnie oglądam się przez ramię. Tyberiasz zdejmuje z siebie ostatnie elementy zbroi. Unika mojego wzroku. Wciąż jest wysoki i barczysty, ale bez ciężaru zużytej w walce stali jakby mniejszy. Wygląda też młodziej, ma dopiero

dwadzieścia lat. Znajduje się na granicy męskości, jednak po części wciąż trzyma się młodzieńczego wieku. Jak my wszyscy kurczowo ściska to, co wymyka mu się z rąk.

– Wpadłem do wody i nie mogłem się wydostać na powierzchnię. – Kopie stos metalu leżący na podłodze. – Nie mogłem płynąć, nie mogłem oddychać, nie mogłem myśleć.

Mnie też brakuje tchu.

Patrzę, jak Tyberiaszem wstrząsa dreszcz. Jego lęk jest porażający. Zmusza się, by znów na mnie spojrzeć. Wciska stopy w podłogę i zdecydowanym gestem opiera dłonie na biodrach. Wrasta w ziemię. Król nie poruszy się, o ile ja tego nie zrobię. Chce doprowadzić do tego, żebym pierwsza się poddała. Tak zrobiłby każdy dobry żołnierz. A może po prostu pozwala mi wybrać. Zdecydować za nas oboje. Pewnie myśli, że tak będzie honorowo.

– Przed końcem myślałem o tobie – mówi. – W wodzie zobaczyłem twoją twarz.

A ja znów widzę jego zwłoki, unoszące się przede mną na wzburzonym morzu, pokryte cętkami ruchomego światła. Dryfujące na powierzchni, zdane na łaskę obcej fali.

Żadne z nas się nie porusza.

– Nie mogę – wyrzucam z siebie, rozglądając się wokół, by nie spojrzeć mu w twarz. Odpowiada szybko, mocno.

– Ja też nie.

– A jednocześnie nie mogę...

„Trzymać się z dala. Rób tak dalej. Zrezygnujmy z siebie w obliczu czyhającej śmierci”.

Tyberiasz z sykiem wypuszcza powietrze.

– Ja też nie.

Każde z nas stawia krok w stronę tego drugiego z przeciwległych stron pomieszczenia. Śmiejemy się i czar niemal pryska. Jednak idziemy dalej,

poruszamy się w tym samym rytmie i z taką samą intencją. Powoli i metodycznie. On obserwuje mnie, a ja jego, a dzieląca nas przestrzeń się zamyka. Ja dotykam go pierwsza. Kładę mu rękę na łomoczącym sercu. Robi powolny wdech, a jego pierś unosi się pod moimi palcami. Ciepła dłoń otacza moją talię, a palce rozwierają się u podstawy kręgosłupa. Wiem, że pod tkaniną koszuli wyczuwa moje stare blizny, znaną nam obojgu gruzłowatość skóry. Odpowiadam, zwijając drugą dłoń na jego karku i delikatnie wsuwając palce w pukiel czarnych włosów.

– To niczego nie zmienia – szepczę mu w obojczyk, czując na policzku jego wyraźną linię.

Jego odpowiedź dudni mi w żebrach.

– Nie.

– Decyzja pozostaje taka sama.

Jego ramiona zaciskają się wokół mnie.

– Tak.

– Więc co my wyprawiamy, Cal?

Oboje reagujemy na dźwięk tego imienia. On drży, a ja zbliżam się i przywieram do niego całym ciałem. To dla nas kapitulacja, choć nie mamy niczego, co moglibyśmy oddać.

– Postanowiliśmy nie dokonywać wyboru.

– To brzmi jakoś nieprawdziwie.

– Może nie jest prawdziwe.

Ale się myli. Nie ma nic bardziej prawdziwego niż jego obecność. Ciepło, zapach, smak. To jedyna prawdziwa rzecz na świecie.

– Ostatni raz – szepczę, po czym przykrywam jego wargi swoimi.

Przez następnych kilka godzin wypowiadam te słowa tyle razy, że tracę rachubę.

ROZDZIAŁ 21

MAVEN

Nienawidzę tych fal. Ublizają mi. Każde uderzenie błękitu o kadłub łodzi sprawia, że przewraca mi się treść żołądka i zbyt trudno mi pozostać nieruchomym, milczącym obrazem powściągliwej potęgi, jaką powinienem emanować. Może Iris lub jej matka specjalnie wzburzyły wody. Może chcą mnie ukarać za to, że w zatoce Harbor naraziłem życie Iris. „Choć ocalała i z łatwością uciekła. Ocalała, uciekła i oddała miasto we władanie mojemu idealnemu bratu”. Nie zdziwiłbym się, gdyby królowa Lakelandczyków była do tego zdolna. Jest jeszcze potężniejsza od swojej córki. Z pewnością może kontrolować fale otaczającego nas oceanu. W oddali zauważam ich statki. Jest ich sześć. To małe, ale budzące grozę okręty. Zabrała skromniejszą część floty, niż się spodziewaliśmy.

Warczę pod nosem, obnażając zęby. „Czy ludzie nie mogą po prostu robić tego, co się im każe?” Choć na szali leży życie jej córki prowadzącej z góry przegraną obronę miasta, królowa Cenra nie zmobilizowała wszystkich wojsk. Czuję przypływ gorąca, a po moim kręgosłupie przesuwa się rozwścieczony język ognia. Szybko go powstrzymuję.

Przez ten bezustanny ruch trudno mi trzymać się burty na pokładzie. Tracę koncentrację. A ilekroć ją tracę, w mojej głowie robi się mniej... cicho.

Zatoka Harbor przepadła.

„Kolejna rzecz, którą odebrał ci Cal – szepcze znajomy głos. – Kolejna porażka, Mavenie”.

Głos matki z czasem osłabł, ale ona sama nigdy tak naprawdę się nie oddaliła. Niekiedy zastanawiam się, czy nie zasiała we mnie ziarna z nadzieją, że wykiełkuje

ono dopiero po jej śmierci. Nie wiem, czy Szeptacze to potrafią. Ale to łatwe wyjaśnienie dla szeptów i mamrotania objających się po mojej czasce.

Czasem cieszę się z obecności jej głosu. Z tego, że prowadzi mnie zza grobu. Udziela drobnych rad – mówi coś, co powtarzała przed śmiercią. Albo podrzuca jakieś wspomnienie. Jednak zbyt często budzę się z niespokojnego snu, a w uszach dzwonią mi jej słowa, by głos matki był jedynie wytworem mojego umysłu. Ona wciąż mi towarzyszy, czy tego chcę czy nie. Traktuję jej obecność jak pociechę, choć sama nigdy mi jej nie niosła.

„Liczy się tylko tron”, szepcze znowu, jak przez te wszystkie lata. Przybierające fale oceanu niemal pochłaniają jej głos. Jakaś część mnie wyteża słuch, a inna próbuje nie słuchać. „I to, co oddałeś, by go przejąć”.

Oto refren na dziś. Powtarza się raz po raz, gdy okręt flagowy mknie w stronę oczekującej mnie floty. Przecinamy fale na tle zachodzącego na czerwono słońca, a w oddali majaczy wybrzeże. Mam wrażenie, że dym unoszący się znad zatoki Harbor ze mnie kpi.

Przynajmniej jej głos jest dziś łagodny. Ilekroć potykam się i zwalniam, przeobraża się w ostry, rozdzierający zgrzyt, metal trący o metal. Szkło pękające od ciepła płomieni. Czasem jest tak okropny, że muszę sprawdzić, czy oczy i uszy mi nie krwawią. Nigdy nie krwawią. Jej słowa istnieją tylko w klatce mojego umysłu. Wpatruję się w fale przed nami, w ich spienione białe grzebienie, i myślę o drodze. Nie o tej, na której się znajduję, lecz o tej, którą już przebyłem. O tym, jak to się stało, że stoję na dziobie okrętu, w koronie wciśniętej nisko na czoło, z rozpryskiem słonej wody parującej na skórze. O tym, co oddałem, by się tu znaleźć. O ludziach, których porzuciłem – jednych z własnej woli, innych niechętnie. O tych, którzy umarli, zostali opuszczeni lub zdradzeni. O straszliwych czynach, które popełniłem i które popełniono w moim imieniu. O tym, ile z nich dokonało się na próżno, jeśli poniosę porażkę. A teraz pędzę w kierunku floty Lakelandczyków. Wrogów, którzy dzięki moim zręcznym manipulacjom stali się sojusznikami.

Podobnie jak resztę moich współobywateli, nauczono mnie nienawidzić

Lakelandczyków, przeklinać ich chciwość. Możliwe, że nienawidziłem ich bardziej niż kogokolwiek. W końcu mój ojciec i jego ojciec przez całe życie tkwili w patowej sytuacji, tocząc wojnę na północnej granicy. Widzieli tysiące istnień zabitych przez niebieskie mundury, utopionych w jeziorach, rozszarpanych przez miny i pociski. Oczywiście zdawali sobie sprawę z tego, czemu naprawdę służy ta wojna. Nie wiem, czy Cal, ten biedny prostak, powiązał te fakty, ale ja owszem.

Naszej wojnie z Lakelandczykami przyświecał jeden cel. Czerwoni mają nad nami przewagę liczebną. Mogą nas obalić. Ale to im się nie uda, jeśli zginie ich więcej niż nas. I jeśli bardziej niż Srebrnych będą się obawiać czegoś innego. Czy to śmierci na wojnie, czy po prostu Lakelandczyków. W odpowiednich okolicznościach każdego można ustawić w kontrze do własnych interesów. W głębi duszy moi przodkowie doskonale o tym wiedzieli. Aby zachować władzę, kłamali, dopuszczali się manipulacji, przelewali krew. Nie tylko własną. Poświęcali życie, ale nie było to życie ich najbliższych.

Nie mogę powiedzieć tego samego o sobie.

Nigdy nie przestaję myśleć o matce. Nie tylko dlatego, że jej głos przenika moje myśli, ale po prostu dlatego, że za nią tęsknię. To permanentny, tępy ból, który towarzyszy mi na każdym kroku. Odczuwam go jak brak palca albo zadyszkę. Od jej śmierci już nic nie jest takie samo. Pamiętam. Widok jej zmaltretowanego ciała na rękach tej Czerwonej dziewczyny. To wspomnienie jest jak cios w podbrzusze.

Z ojcem jest inaczej. Jego zwłoki też widziałem, ale niczego wtedy nie poczułem. Ani złości, ani smutku. Pustka. Jeśli nawet kiedykolwiek go kochałem, zupełnie tego nie pamiętam. A poszukiwanie tego wspomnienia przyprawia mnie o ból głowy. Oczywiście matka je usunęła. Wyjaśniła, że zrobiła to, by chronić mnie przed człowiekiem, który nie kochał mnie tak jak syna jej rywalki, mojego starszego brata. Tego doskonałego chłopca.

Miłość do Cala także zniknęła, choć czasem towarzyszy mi cień dawnego uczucia. Powracają najdziwniejsze chwile skąpane w zapachu, dźwięku lub słowie wypowiedzianym w konkretny sposób. Cal mnie kochał... Wiem to. Przez lata

udowodnił to wielokrotnie. W jego przypadku matka musiała bardziej się postarać, ale koniec końców i tak nie ona zerwała ostatnią łączącą nas nić.

Zrobiła to Mare Barrow.

Mój genialny brat, ten głupiec, nie widział, jak wiele ma, a jak niewiele mam ja.

Pamiętam, jak pierwszy raz oglądałem nagranie, na którym tańczyli w opuszczonym pokoju w zaciszu letniej rezydencji. To Cal wpadł na pomysł, by się spotykali. By odbywali te swoje lekcje tańca. Matka trzymała się blisko, na wypadek gdybym jej potrzebował. Zareagowałem zgodnie z tym, czego mnie uczyła. Bez emocji, bez mrugnięcia. Całował ją tak, jak gdyby nie wiedział albo nie dbał o to, ile ta dziewczyna znaczy dla kogoś innego.

„Cal jest egoistą – mruczy matka we wspomnieniu i w moim umyśle, głosem, który przypomina jednocześnie aksamit i żyłkę. Znajome słowa, dawny refren. – Cal widzi tylko to, co może zdobyć i zabrać. Sądzi, że świat należy do niego. I pewnego dnia, jeśli mu na to pozwolisz, rzeczywiście tak będzie. Co zostanie dla ciebie, Mawenie Calore? Odpadki, resztki? A może zupełnie nic?”

Cóż, przynajmniej mnie i brata coś łączy. Obaj pragniemy korony i obaj jesteśmy gotowi poświęcić wszystko, żeby ją zdobyć. Tylko że ja w najgorszych momentach, kiedy mam wrażenie, że zalewa mnie rozpacz, mogę winić za to matkę.

Kogo może winić on?

„A jednak z jakiegoś powodu to mnie wszyscy nazywają potworem”.

Nie jestem tym zaskoczony. Cal stąpa w świetle, którego ja nigdy nie zaznam.

Iris zawsze papła o tych swoich bogach, a ja czasem wierzę w ich istnienie. Bo gdyby ich nie było, czy mój brat wciąż by żył, wciąż by się uśmiechał i wciąż by mi zagrażał? Musiał zostać namaszczony – przez kogoś albo przez coś. Pocięcza mnie tylko świadomość, że się co do niego nie mylę, że zawsze będę miał rację. Podobnie jak w kwestii Mare. Wsączyłem jej dość trucizny, zepsułem ją. Nigdy nie uzna innego króla, choćby za cenę miłości. A Cal dowiedział się tego z pierwszej

ręki. To kolejny podarunek ode mnie, który pokonał dzielące nas kilometry.

Żałuję tylko, że nie udało mi się zatrzymać tego dziwnego Nowego, tego, który połączył mnie i Mare. Jednak ryzyko było zbyt wielkie, a nagroda zbyt mała. Zniszczona baza w zamian za to, by znów móc z nią porozmawiać? To był głupi układ i nawet dla niej nie zamierzałem ryzykować.

Szkoda.

Znajduje się teraz gdzieś za wodą, w mieście na odległym szkarłatnym wybrzeżu. Żyje. To jasne. W przeciwnym razie donieśliby mi o jej śmierci. Choć minęło zaledwie kilka godzin, wiadomość o zgonie dziewczyny od błyskawic szybko by się rozeszła. To samo dotyczy mojego brata. Przeżyli. Ta myśl sprawia, że pulsują mi skronie.

Zatoka Harbor była logicznym wyborem dla Cala, ale pomysł związany ze slumsami techników musiał wyjść od Mare. Całkowicie poświęciła się tej sprawie, dumna ze swojej Czerwonej krwi. Powinienem był przewidzieć, że zaatakuje Nowe Miasto. Właściwie to dość smutne, że ważne dla niej sprawy do tego stopnia zależą od ludzi takich jak Cal, jego szydercza babcia i zdrajcy z rodu Samos. Żadne z nich nie da jej tego, czego ona pragnie. Wszystko skończy się rozlewem krwi. A po tym wszystkim zginie pewnie także Mare.

Żałuję, że nie udało mi się jej zatrzymać. Że nie miałem lepszego wartownika, krótszej smyczy. Gdzie byśmy teraz byli? Gdzie byłbym ja, gdyby matka mi ją odebrała, tak jak odebrała ojca i Cala? Nie potrafię tego powiedzieć. Nie wiem. Od myślenia o tym boli mnie głowa.

Spoglądam w dół na pokład, na służących na statku żołnierzy. Gdyby nie kilka błędnych posunięć, może stałaby teraz obok mnie. Z wiatrem we włosach, mrocznymi, zapadniętymi oczyma, obolała od kajdan łączących ją ze mną. Stanowiłaby okropny, ale wciąż piękny widok.

Cóż, przynajmniej wciąż żyje. Wciąż bije jej serce. W przeciwieństwie do Thomasa. Na myśl o jego imieniu przechodzą mnie dreszcze. Także jego nie udało się matce wymazać. Ani bólu po jego stracie, ani wspomnienia o jego miłości. Ta

przyszłość przepadła, zamordowana, stracona. „Martwa wersja przyszłości”, mówił ten okropny Dalekowzroczny. Mam wrażenie, że Jon mnie dręczył, choć to ja go więziłem. Przecież mógł odejść w dowolnym momencie, a to, czego dokonał w moim pałacu, dopiero zaczyna wydawać owoce. Znów spoglądam na wodę, tym razem na wschód, na bezmiar oceanu. Ta pustka powinna przynieść mi ukojenie, ale ponad falami wiszą dwie wczesne gwiazdy. Ich jasne, radosne światło także mi ubliża.

Podpływamy do floty i bez trudu rozpoznaję okręt królowej Cenry. Otaczające go fale są spokojne, prawie nieruchome. Poskromiona tafla wody. Jej okręt ledwie się kołysze, choć znajduje się tak daleko od brzegu.

Statki Lakelandczyków nie są tak zgrabne jak nasze. W kwestii możliwości produkcyjnych przewyższamy Lakelandię, głównie dzięki slumsom techników, które Mare zamierza zniszczyć.

Nawet po połączeniu naszych flot mamy mało broni, a wszystko, czego możemy użyć przeciw miastu, z pewnością spotka się z oporem Żeleźców i Nowych, jeśli nie mojego własnego paskudnego brata. Tylko okręt bojowy z zatoki Harbor, obecnie w rękach Iris, dysponuje artylerią o odpowiednio dużym zasięgu.

Wpatruję się gniewnie w stalowe dzieło zakotwiczone obok statku Cenry. Okręt, unieruchomiony pomiędzy lakelandzką królową a wybrzeżem, rzuca długi poszarpany cień. Moja przebiegła królowa używa go jako tarczy. Bardzo drogiej tarczy.

Kiedy wchodzę na jej statek, mamroczę pod nosem i patrzę pod nogi, przeskakując z jednego pokładu na drugi. Oskrzydlają mnie moi wartownicy. Jak dla mnie, mogliby się trochę odsunąć. Trzymam ręce wzdłuż tułowia, pozbawione rękawic, z odsłoniętymi groźnymi palcami.

– Tędy, Wasza Wysokość – mówi jakiś Lakelandczyk i zaprasza mnie gestem, stojąc w drzwiach zaryglowanych nitami i zamkiem kołowym. – Jej Królewskie Mości czekają.

– Przekaż im, że król czeka na pokładzie – odpowiadam, odwracając się, by ruszyć na skraj statku.

To nie rejs wycieczkowy i nie ma tu zbyt wielu miejsc, w których można by stać, nie wspominając o organizowaniu zgromadzeń. Ale wolę stać na pokładzie, niż zejść na dół i utknąć w stalowej komorze z dwiema Wodniaczkami. Moi wartownicy kroczą przede mną, trzymając zwarty szyk. Wspinamy się po schodach na podest, z którego widać dziób okrętu.

Królowe nie dają na siebie czekać. Pojawiają się jednocześnie.

Cenra ma na sobie zwiewny mundur, ciemnoniebieski ze złotymi i srebrnymi motywami. Czarna szarfa przecina jej ciało od ramienia po biodro, spięta drogocennym szafirem. „Wciąż w żałobie”. Nie sądzę, by matka nosiła strój żałobny dłużej niż przez kilka dni. Może królowa Lakelandczyków kochała swojego męża. Przedziwne. Obserwuje mnie. W jej oczach szaleje sztorm, a skóra przypomina zimny brąz obłany złotym blaskiem zachodzącego słońca.

Iris całą sobą odzwierciedla stoczoną bitwę. Jej niebieskie rękawy są zwęglone aż do łokcia, a nici splamione dwoma rodzajami krwi. Długie czarne włosy spływają na jedno ramię, wciąż mokre i zmierzwione. Podąża za nią Uzdrowiciel, który w skupieniu pracuje nad ramionami idącej Iris, likwidując oparzenia i rany.

Zachowanie dystansu było dobrą decyzją. Nie chcę mieć nic wspólnego z żoną, która pewnie wolałaby mnie uśmiercić. Ale podobnie jak Czerwonych, można ją kontrolować za pomocą strachu. I potrzeby. Oba uczucia towarzyszą jej w równym stopniu.

Podobnie jak Cenrze. To dlatego ośmieliła się opuścić kraj. Wie, że trzymam jej córkę w garści. Nie wątpię, że chciałaby wyplątać Iris z tego małżeństwa. Ale potrzebuje sojuszu tak samo jak ja. Beze mnie musiałyby się skonfrontować z Calem oraz jego bandą zdrajców i przestępców. Tworzą zjednoczony front przeciwko niej. Jestem jej tarczą, a ona moją.

– Moje panie – mówię, pochylając się lekko, kiedy się do mnie zbliżają.

Jej córka przypomina raczej żołnierza niż królową, którą została, czy

księżniczkę, którą się urodziła.

Królowa Lakelandii dyga głęboko i muska pokład rękawami.

– Wasza Wysokość – odpowiada.

Zwracam twarz w stronę horyzontu.

– Straciliśmy Harbor.

– Na razie – oznajmia Cenra, a jej głos jest obraźliwie spokojny.

– Ach tak? – kpię, unosząc brew. – Sądziysz, że ją odzyskamy? Może jeszcze dziś wieczorem?

Znów pochyla głowę.

– W swoim czasie.

Kończę za nią.

– Kiedy przybędzie reszta twojej floty.

Królowa Cenra zaciska zęby.

– Tak, oczywiście – cedzi z niechęcią. – Ale...

– Ale? – powtarzam. Na odsłoniętych zębach czuję zimne morskie powietrze.

– Musimy pilnować własnych wybrzeży.

Stojąca u jej boku Iris wydaje się zadowolona z siebie i z radością pozwala, by jej matka stoczyła tę bitwę.

– Musimy bronić jezior, zwłaszcza przed Montfortem. Z łatwością mogliby pokonać Prerię i uderzyć w zachodnią granicę. Podobnie jak w królestwo Rowów od wschodu – dodaje Cenra.

Nie mogę powstrzymać śmiechu. Wskazuję gestem horyzont i uśmiecham się złośliwie. Pełno tam zdrajców z domu Samos i montforckich uzurpatorów, a wszyscy pozostają na rozkazach mojego zidiociałego brata.

– Mieliby uderzyć w wasze granice? Jaką armią? Tą, która właśnie okupuje moje miasto?

Cenra rozszerza nozdrza, a jej twarz zalewa rumieniec, pokrywając wyciosane jak klify policzki.

– Samos dysponuje nortańską flotą powietrzną, jedną z największych na

kontynencie. Nie wspominając o możliwościach Montfortu, jakiegokolwiek są. Twój brat ma przewagę z powietrza i jest szybki. Każdy region jest narażony na atak. – Mówi powoli, jak gdybym był dzieckiem, które należy przez tę wojnę przeprowadzić za rączkę, przez co swędzą mnie palce. – Tego nie można ignorować, Wasza Wysokość.

Jak na cholerne zawołanie nad wybrzeże nadlatuje zastęp odrzutowców w szyku. Ich odległy ryk dociera do nas powoli, tępy i ciągły. Zaplatam ręce na piersi, chowając dłonie, na wypadek gdyby się zapaliły.

– Flota powietrzna Brackena powinna ich odeprzeć – mamroczę, nie spuszczać oczu z poruszających się odrzutowców.

Krążą nad miastem. To manewry obronne.

Iris odzyskuje głos.

– Jego flota została uszczuplona w czasie okupacji montforckiej. Nie poradzą sobie z nimi.

Najwyraźniej cieszy ją to, że może mnie poprawić. Zamiast wpaść w złość, pozwalam jej na ten mały triumf.

„Potężni są ci, którzy wyglądają na potężnych – powtarzała matka tak często, że nie sposób tego zliczyć. – Sprawiaj wrażenie spokojnego, opanowanego, silnego. Pewnego siebie i swojego zwycięstwa”.

– Dlatego musimy wrócić do miejsca, w którym jesteśmy silni – kontynuuje Cenra. – Nie jesteśmy silni tu, na morzu, gdzie można nas wystrzelać z nieba. Nawet Wodniaczki z linii Cygnet nie są niepokonane.

„Oczywiście, że nie, ty wyniosła kretynko”.

Zamiast to powiedzieć, mrugam, próbując wypalić jej skórę oczami.

– Sugerujesz, żeby się wycofać?

– Już to zrobiliśmy – warczy Iris, a Uzdrowiciel stojący obok odsuwa się nieznacznie, wystraszony jej złością. – Harbor to jedno miasto...

Zaciskam pięść, a powietrze przenika fala gorąca.

– Zatoka Harbor to nie jedyna część kraju, którą utraciłem na rzecz brata –

mówię powoli, cicho. Na tyle cicho, że kobiety muszą wyteńczyć słuch, by mnie usłyszeć. – Należą do niego Południe, Rowy i Delphie. Odebrał mi Corvium. A teraz także Fort Patriot.

Kpiąca królowa Iris nie truchleje ze strachu przed moją wstrzymywaną złością.

– Fort Patriot na niewiele im się zda, i to przez długi czas – mówi. Wygląda jak zadowolony kot, który właśnie odbył prawdziwą ucztę.

– Czyżby? – odpowiadam. – A to dlaczego?

Rzuca ukradkowe spojrzenie na matkę – spojrzenie, którego nie potrafię rozszyfrować.

– Kiedy stało się jasne, że straciliśmy to miasto i że Tyberiasz dziś wygra, zalałam fort – wyjaśnia Iris, dumna i nieruchoma. – Mur ochronny się rozpadł. Połowa znajduje się pod wodą, a reszta została odcięta od brzegu. Gdybym mogła, zatopiłabym ich statki bojowe, ale ucieczka zbyt wiele mnie kosztowała. Tak czy siak, konieczność przeprowadzenia napraw ich spowolni, a ja odebrałam im cenne zasoby.

„Mnie także. Nawet jeśli odzyskamy miasto, fort wciąż będzie zniszczony. Co za strata. Odrzutowce, doki Portu Wojennego, broń i amunicja, podstawowa infrastruktura”.

Przytrzymuję jej spojrzenie, pozwalając sobie częściowo zrzucić maskę. Daję jej do zrozumienia, że wiem, co robi. Iris i jej matka powoli mnie obezwładniają, odcinają od własnych zasobów.

Królowe Wodniaczki są przebiegłe. Nie muszą ciskać mną do wody, by mnie utopić.

Pozostaje tylko pytanie, jak długo im to zajmie i jak zrównoważyć ich działania własnymi. Pozwalają, byśmy wraz z Calem zużyli siły, walcząc ze sobą nawzajem, z nadzieją, że później stawią czoła zwycięzcy.

Iris odpowiada mi spojrzeniem, a jej oczy przypominają języczek u wagi. Jest zimna i wyrachowana, cicha woda skrywająca gwałtowny prąd.

– Wrócimy do Archeonu – odpowiada. – Zgromadzimy siły, wszystkich ludzi,

których można poświęcić. Rozpętajmy pełną moc gniewu tej wojny, by wyrzucić nacisk.

Opieram się o barierkę statku, emanuję zimną nonszalancją. Wzdycham i spoglądam na fale splamione czerwienią zachodzącego słońca.

– Wyruszymy jutro.

– Jutro? – Cenra się wzdryga. – Powinniśmy wyruszyć natychmiast.

Uśmiecham się powoli, z premedytacją odsłaniając kły. To jeden z tych uśmiechów, które wytrącają ludzi z równowagi.

– Czuję, że mój brat wkrótce prześle nam wiadomość.

– O czym ty mówisz? – mamrocze Cenra.

Niczego nie wyjaśniam, zamiast tego spoglądam na wschód. Na ciemniejszym horyzoncie, na tle wyrazistej linii morza widać smugi.

– Wyspy stanowią neutralny grunt – wyjaśniam.

– Neutralny grunt... – powtarza Cenra, obracając te słowa w ustach.

Iris milczy, ale jej oczy zwięzają się tak, że przypominają szparki. Bębnię palcami o pierś, cicho wypuszczając powietrze.

– Czeka nas radosne pojednanie.

Już to sobie wyobrażam. Cała gama gniewnych dwulicowców i zdrajców siedzących naprzeciwko nas, gotowych się pysznić i nas pouczać. Evangeline, z tymi swoimi szponami i teatralną arogancją. Ta Czerwona generał Farley, która zapłaci krwią za to, co uczyniła mojemu królestwu. Rozczulający się nad sobą, metodyczny Julian, podążający za moim bratem krok w krok jak zapomniany duch. Nasza babcia, Anabel, kolejna osoba, która powinna mnie kochać, a nigdy nie kochała. Przywódca Montfortu, wciąż stanowiący tajemnicę i zagrożenie.

Oczywiście będzie tam także Mare, z błyskawicami ukrytymi pod skórą.

Oraz mój brat.

Dawno nie patrzyłem Calowi w oczy. Zastanawiam się, czy coś się w nich zmieniło.

W moich z pewnością tak.

Czy dojdziemy do porozumienia? Szczerze wątpię. Ale chcę ich znów zobaczyć. Oboje. Przynajmniej raz, zanim ta wojna dobiegnie końca, bez względu na to, jak się skończy. Czy zginą oni, czy ja.

Żaden z tych dwóch scenariuszy mnie nie przeraża.

Lękiem napawa mnie tylko wizja utraty tronu i korony – oto powód tego całego nieszczęścia i całej tej udręki. Nie dam się zniszczyć na próżno. Nie pozwolę, by wszystkie moje wysiłki się zmarnowały.

ROZDZIAŁ 22

IRIS

Maven chce wrócić na swój statek, a ja boję się, że zabierze mnie ze sobą, pozbawiając tych kilku godzin w towarzystwie matki. Na szczęście jego małostkowy gniew i polityczna przebiegłość nie sięgają aż tak daleko. Zostajemy we dwie na statku flagowym matki. Mamy czas spokojnie porozmawiać i wszystko zaplanować. Maven albo nie widzi w nas zagrożenia, albo nie dość go obchodzimy, by się nas obawiał. Stawiam na to drugie. Ma teraz więcej pilniejszych wrogów, więc chwilowo nie przejmuje się własną żoną.

Łabędź to okręt wojenny, szybki i doskonale przygotowany do walki. Pomieszczenia, które można nazwać kabinami, są nieliczne i surowe, tak że ledwie nadają się dla Czerwonej służby. A jednak matka czuje się tu jak w domu, tak samo swobodna na wąskiej koi jak na złotym tronie. Nie jest próżna i nie ma w niej materialistycznej dumy, która charakteryzuje większość Srebrnych. Te cechy były domeną ojca. Lubił strojność, nawet na polu bitwy. Kiedy przypominam sobie, jak ostatni raz widziałam go żywego, przeszywa mnie ostry ból. Wyglądał olśniewająco w zbroi z błękitnej stali wysadzonej szafirami, z siwymi włosami odgarniętymi z twarzy. Domyślałam się, że Salin Iral znalazł jego słaby punkt i dobrze to wykorzystał. Zaczynam krążyć po pomieszczeniu, by się uspokoić. Przemierzam kajutę tam i z powrotem, od czasu do czasu zatrzymuję się, by wyjrzeć przez niewielki bulaj. Morze ma teraz krwistoczerwoną barwę. To zły omen. Ogarnia mnie znajomy niepokój i przykazuję sobie, by później się pomodlić w niewielkim sanktuarium na Łabędziu. Może przyniesie mi to ukojenie.

– Nie ruszaj się. Zachowaj siły – mówi matka.

Lakelandzki język, którym się posługuje, jest melodyjny i płynny. Siedzi

z nogami podwiniętymi pod siebie i z odrzuconym na bok płaszczem, przez co wydaje się drobniejsza niż w rzeczywistości. Mimo to czuję na sobie ciężar jej spojrzenia.

Sama także jestem królową i niechętnie słucham rozkazów matki, choćby z tego powodu, by się jej sprzeciwić. W końcu jednak przyznaję jej rację i zajmuję miejsce na ławie po przeciwnej stronie pomieszczenia. Siedzę na niewygodnym meblu o cienkim obiciu, przymocowanym nitami do metalowej posadzki. Zawijam palce na jego krawędzi i mocno ściskam. Ława wibruje od pogłosu silników statku, niskiego i buczonego. Koncentruję się na tym wrażeniu i odzyskuję równowagę.

– W komunikatach wspominałaś, że jest coś, o czym możesz porozmawiać tylko w cztery oczy – oznajmia matka.

Biorę głęboki wdech i podnoszę wzrok.

– Tak.

– A więc? – Rozkłada ręce. – Słucham.

Nie daję po sobie poznać, że się denerwuję, ale serce wali mi jak młotem. Znów muszę podejść do okna, żeby popatrzeć na szkarłatne wody. Choć kajuta mojej matki jest teraz dla mnie najbezpieczniejszym schronieniem, przekazanie tego, co wiem, wydaje mi się ryzykowne. Ktoś może nas podsłuchiwać i zdać raport Mavenowi.

Stojąc do niej tyłem, wyrzucam z siebie słowa.

– Opieramy się na założeniu, że Maven wygra.

Matka prychnęła.

– Wygra tę wojnę. Kolejnej już nie.

„Naszą wojnę o przetrwanie tego kraju”.

– Tak – odpowiadam. – Ale sądzę, że jesteśmy teraz po stronie przegranych. Koalicja jego brata, armia Montfortu...

– Przerażają cię – mówi spokojnie, bez osądu.

Odwracam się gwałtownie, rozgniewana.

– Oczywiście, że mnie przerażają. Tak samo jak Szkarłatna Gwardia.

– Czerwoni? – parska, a nawet przewraca oczami.

Zaciskam zęby i tłumię westchnienie frustracji.

– Oni się nie liczą.

– Takie myślenie nas zgubi, matko – rzucam, siląc się na stanowczość.

Obie jesteśmy królowymi. „Posłuchaj mnie”. Ona jednak z lekceważeniem macha ręką. Zachowuje się tak, jak gdybym wciąż była dzieckiem ciągnącym ją za spódnicę.

– Wątpię – odpira. – To Srebrni toczą wojny, nie Czerwoni. Chyba nie sądzą, że z nami wygrają.

– A jednak wygrywają kolejne bitwy – odpowiadam bez emocji.

Walczyłam w zatoce Harbor przeciwko dziedzicom z rodu Samos i ich batalionowi. Należeli do niego przede wszystkim Srebrni i Nowi, ale także Czerwoni. Wprawni snajperzy, wykwalifikowani wojownicy. Nie wspominając o Czerwonych żołnierzach Norty, którzy przeszli na stronę wroga. Jedną z najmocniejszych stron Mavena jest lojalność jego ludu, ale co będzie, jeśli ta lojalność osłabnie? Jego Srebrni uciekną i zostawią po sobie wyrwę.

Matka cmoka z niezadowoleniem. Ten odgłos przyprawia mnie o mdłości.

– Czerwoni wygrywają ze względu na sojusz Srebrnych – wyjaśnia. – A ten się rozpadnie, kiedy zginie jeden z braci Calore. Albo obaj.

Wzdrygam się i próbuję innej taktyki. Zamiast stać przed matką, upadam na kolana i ujmuję jej dłoń. Obraz błagającego dziecka z pewnością ją poruszy.

– Znam Mare Barrow, matko – mówię z nadzieją, że mnie wysłucha. – Czerwoni są silniejsi, niż nam się wydaje. Owszem, pilnujemy, by czuli się od nas gorsi, nieważni, trzymamy ich w ryzach. Ale jeśli zapomnimy, że powinniśmy się ich obawiać, wpadniemy we własne sidła.

Moje słowa nie wywierają na niej wrażenia. Zabiera rękę i odgarnia mi włosy z twarzy.

– Iris – mówi. – Mare Barrow nie jest Czerwona.

„Ale jej krew tak”, myślę, zatrzymując tę uwagę dla siebie.

Matka wciąż przeczesuje palcami moje włosy.

– Nie martw się. Ja się tym wszystkim zajmę – mruczy, jak gdyby pocieszała dziecko. – Kiedy zatopimy naszych wrogów, zapanuje pokój, a my bezpiecznie wrócimy do domu. Chwała Lakelandii dotrze aż na wybrzeże. Przez Prerię i te piekielne góry. Obmyje granice Cironu i Tiraksu, a nawet Piedmont. Twoja siostra stanie na czele imperium, z tobą u boku.

Próbuję sobie wyobrazić to, co wyśniła dla nas matka. Mapę skąpaną w błękicie, pełnię władzy w rękach naszej dynastii. Myślę o Tiorze, która z podniesioną głową czeka nadejścia nowego świtu, z koroną cesarzowej na skroniach. Wyobrażam sobie siostrę przystrojoną szafirami i diamentami – najpotężniejszą osobę od morza do morza, ze światem klęczącym u jej stóp. Chciałabym dla niej takiej przyszłości. Pragnę tego tak bardzo, że boli mnie serce.

Ale czy ta wizja kiedykolwiek się ziści?

– Anabel Lerolan i Julian Jacos przekazali mi wiadomość – szepczę, zbliżając głowę do głowy matki.

Nawet jeśli ktoś podsłuchuje pod drzwiami, niewiele usłyszy.

– Co? – syczy zaskoczona. Jej pieszczotliwa dłoń opada. Druga zaciska się na mojej.

– Przybyli do Archeonu, żeby się ze mną spotkać.

– Byli w stolicy? Jak?

– Pozwól, że powtórzę, matko – szepczę. – Sądzę, że Maven przegra tę wojnę i to szybciej, niż sądzimy. Ich sojusz jest potężny, silniejszy od naszego. Choć my mamy po swojej stronie Piedmont.

Jej oczy się rozszerzają i w końcu dostrzegam w nich lęk. Przeraża mnie to i cieszy jednocześnie. Jeśli chcemy przeżyć, musimy się bać.

– Czego chcieli? – pyta.

– Zaproponowali nam układ.

Mina matki rzednie, a jej wargi się wykrzywiają.

– Nie mamy czasu bawić się w teatrzyk, Iris. Powiedz, co się wydarzyło.

– Czekali w moim transporterze – odpowiadam. – Ten Jacos to utalentowany Pieśniarz. Rzucił urok na moich strażników. A królowa z domu Lerolan jest naprawdę niebezpieczna.

Jej głos podnosi się o oktawę, przesycony paniką.

– Czy ktokolwiek o tym wie? Czy Maven...?

Zasłaniam jej usta, zmuszając do milczenia. Słowa zamierają jej na wargach.

– Gdyby wiedział, już bym nie żyła. – Po wewnętrznej stronie dłoni czuję jej ciepłą skórę, miękką i bardziej pomarszczoną niż kiedykolwiek. W ostatnich dniach się postarzała. – Anabel i Julian dobrze się spisali. Zależy im, żebym żyła. Niczego nie próbowali.

Matka wzdycha z ulgą, a ja czuję na twarzy jej oddech.

– Salin Iral – cedzę, wymawiając nazwisko zabójcy mojego ojca.

Te sylaby przeszywają nas jak sztylet. Matka się wzdryga, a na jej twarzy pojawia się obrzydzenie.

– Oddadzą go w nasze ręce. Będziemy mogły z nim zrobić, co zechcemy.

Jej oczy ciemnieją i zachodzą mgiełką. Po chwili matka delikatnie odpycha moją dłoń.

– Iral jest nikim. To tylko zhańbiony lord pozbawiony władzy. Samotny na odludziu.

Przenika mnie elektryczna złość, a policzki zalewa gorący rumieniec.

– Zabił ojca.

– Dziękuję za przypomnienie – odpowiada matka lodowato. Na jej twarzy wciąż maluje się chłód. Ukryła się za tarczą, która chroni ją przed bólem po stracie męża. – Nie byłam tego świadoma.

– Chciałam tylko powiedzieć...

– Zabił twojego ojca na polecenie innego króla – mówi powoli. – On jest nikim, Iris.

– Może. – Podnoszę się z kolan i staję na drżących nogach. Góruję nad matką, tak że musi podnieść wzrok, by spojrzeć mi w twarz. Przedziwna pozycja,

przedziwne wrażenie. W tym momencie mam władzę nad matką. Wciągam powietrze. – Anabel obiecała nam także Volvo Samosa.

Mruga. Powieki opadają i się podnoszą, odsłaniając parę zupełnie innych oczu. Są roziskrzzone, świetliste.

– To brzmi już ciekawiej. Choć nie sądzę, by było możliwe.

Pamiętam, jak Anabel nachyliła się do przodu, a jej złotawobrazowe oczy zalśniły w popołudniowym słońcu. Nie było w niej fałszu, tylko pragnienie. Potrzeba.

– Myślę, że jest.

– Czego chcą w zamian?

Opowiadam jej o tym, drżąc. Pozwalam, by podjęła decyzję za mnie, bo sama nie potrafię.

*

– „Tyberiasz Siódmy, prawowity król Norty, Płomień Północy, wraz z sojusznikami z Wolnej Republiki Montfortu, Szkarłatną Gwardią oraz niezależnym królestwem Rowów przesyła wiadomość z tymczasowej stolicy w zatoce Harbor”. – Wartownik odczytuje starannie spisany komunikat, a jego głos jest zduszony przez bogato zdobioną maskę. Reflektory na pokładzie statku oświetlają go oślepiającymi kolorami czerwieni i pomarańcza.

Za nim panuje już tylko ciemność. Nie widać ani gwiazd, ani księżyca. Równie dobrze cały świat mógłby być pusty.

– Tymczasowa stolica. Arogancik – parska matka, odwracając twarz tak, by owiał ją chłodny wiatr znad czarnego oceanu.

Wymieniamy spojrzenia, zirytowane tymi popisami. „Płomień Północy”. Co za bzdury.

– To Cal – odpowiada Maven spomiędzy strażników. Wezwał nas na swój statek, żebyśmy usłyszały tę wiadomość na własne uszy. – Ten jego wieczny niedosyt... – Podnosi palec i daje znać krępemu wartownikowi, by kontynuował.

Rozpoznaję jego głos i oczy widoczne ponad maską. Są jasnoniebieskie, a ostre światło nad nami sprawia, że mają w sobie niemal elektryczny blask. „Haven”. To strażnik, który towarzyszył mi w czasie podróży do Montfortu.

– „Przejąłem władzę nad miastem” – czyta.

Myślę o starszym bracie Calore, płomiennym wojowniku.

– „Kontroluję także południowe granice, od Delphie po kraj naszych sojuszników, Rowy. To do mnie należą setki kilometrów wybrzeża. Cały region Wybrzeża pod przywództwem gubernatora Rhambosa i jego domu złożył przysięgę wierności prawowitemu królowi. Trzymam to królestwo w garści, Mawenie, a ty znajdujesz się w zasięgu moich rąk”.

„Wiedzieliśmy o Rhambosie?” Patrzę na stojącego po przeciwnej stronie pokładu Mawena, mojego męża zwyrodnialca. Za odpowiedź wystarczy mi jego gniewny grymas. Ta zdrada była dla niego zaskoczeniem. Maven komentuje słowa wartownika syknięciem.

– Zdrajca – mamrocze chyba.

Wartownik Haven czyta dalej:

– „Masz wielu sojuszników poza granicami swojego królestwa, Mawenie, ale niewielu wewnątrz kraju. Wszyscy cię porzucą, gdy będę odnosił kolejne zwycięstwa. Wieje wiatr, zmieniają się pływy. Norta nie może funkcjonować tak jak za czasów naszych przodków, a ja nie spocznę, dopóki nie odzyskam dziedzictwa, które odebrałeś mi kosztem życia naszego ojca”.

Wśród strażników słychać pomruk, ale żaden z nich się nie odzywa. Możliwe, że w tych słowach widzą bezpodstawne oskarżenia rzucone przez zdrajcę, bo właśnie taki obraz brata odmalował Maven. Uwiedziony przez Czerwoną świruskę, zmuszony do wzięcia udziału w spisku i dokonania mordu. Jednak moim zdaniem jego słowa potwierdzają tylko to, co już wszyscy wiemy. Tyberiasz Calore nie zabił swojego ojca. Nie z własnej woli. Nie tak, jak opisał to Maven.

Stojąca u mego boku matka wbija wzrok w króla. W ostrym świetle reflektorów jej oczy błyszczą.

Maven nie reaguje, a jego twarz pozostaje gładka jak szkło. Jego ciało w czarnym mundurze zdaje się wtapiać w ciemność, niewidzialne. Widać tylko jego bladą twarz i dłonie o długich palcach. Choć jego brat dobrze to zaplanował, Maven nie traci rezonu i nie zamierza ulec gorącemu temperamentowi.

– „Jesteśmy gotowi zaproponować układ wszystkim członkom twojego sojuszu. – Wartownik szeleści kartką. – Jej Wysokości królowej Cenrze z Lakelandii oraz Jego Wysokości księciu Brackenowi z Piedmontu. I tobie, Mavencie, choć jesteś uzurpatorem i mordercą. W tej wojnie nie trzeba przelewać więcej krwi. Ocalmy królestwo, któremu mieliśmy służyć od narodzin”.

Ujmujące słowa. Zastanawiam się, czy ułożyli je doradcy nowego króla. W końcu to Anabel przejęła kontrolę nad komunikacją. Ta wiadomość jest w jej stylu.

– „Spotkamy się na wybranej przez ciebie wyspie”.

Wartownik Haven odchrząkuje i w pierwszej kolejności podnosi wzrok na mnie. Następnie spogląda na swojego króla – człowieka, którego czas na przywłaszczonym tronie powoli się kończy.

– „O świcie”.

Czekamy w milczeniu, obserwując, jak Maven rozważa różne możliwości. Spodziewał się tej wiadomości i nie jest zaskoczony. A jednak traci nad sobą kontrolę, z chwili na chwilę coraz szybciej. Zaciska pięść, a krzesząca ogień bransoleta wiruje na jego szczupłym nadgarstku. Bransoleta wypluwa iskry, z których tworzy się rozgrzana do białości kula ognia o lodowato błękitnym jądrze. Maven wrzuca ją do wody z obłąkańczym uśmiechem. Kula szybuje nad taflą jak kometa, a we wzburzonych wodach odbija się jej piekielny blask. Po jakimś czasie Maven pozwala jej z sykiem zniknąć pośród fal.

– A więc o świcie – powtarza.

Dostrzegam napięcie w jego barkach i wiem, że nie zamierza negocjować. Mogę się jedynie domyślać, jakie motywy nim kierują, ale zgaduję, że chodzi o pewnego Srebrnego księcia i pewną Czerwoną dziewczynę od błyskawic.

ROZDZIAŁ 23

CAL

Poprawiam się, skrępowany, a zegar odmierza kolejne minuty. Mija północ. Poruszają się jedynie jej oczy, ślizgające się po kartce z oszałamiającą prędkością. Niewykluczone, że zna ten tekst już na pamięć. Mare nie chciała uczestniczyć w pisaniu wiadomości do Mavena, więc została w moim apartamencie, podczas gdy reszta z nas ją układała. Spodziewałem się, że kiedy wrócę do pokoju, już jej nie zastanę. Myliłem się.

Wciąż nie mogę uwierzyć w to, co się wydarzyło. I w to, że Mare siedzi tu teraz na moim łóżku, w środku nocy. Po tym wszystkim, co między nami zaszło.

Została.

Nie skupiam się już na leżących przede mną dokumentach. To przede wszystkim kalkulacje. Liczba żołnierzy, cywilów, ofiar, zasobów. Jest tego tyle, że kręci mi się w głowie. Julian lepiej sobie radzi z rozszyfrowywaniem tych informacji i wyłuskiwaniem z nich najważniejszych szczegółów, tak bym zdołał zachować szerszą perspektywę. Ja jednak potrzebuję czegoś, co odwróci moją uwagę, choćby po to, bym przestał rozmyślać o przerażającej książeczce schowanej w szufladzie biurka. Mam ochotę powiedzieć Julianowi, żeby ją zabrał. Żeby zatrzymał ten „prezent” do czasu, aż wygramy wojnę, a ja będę potrafił zmierzyć się z tym, co mi podsunął.

To sytuacja w Norcie wymaga mojej uwagi, a nie ta książeczka. A nasze położenie jest niewesołe. Harbor znajduje się w naszych rękach, ale to biedna stolica. Miasto jest zbyt stare, zbyt narażone na atak ze wszystkich stron, a ponieważ w Fort Patriot trwają prace naprawcze, będziemy musieli wybudować

nowy system obronny. Na razie miasto znajduje się w naszych rękach, przynajmniej na papierze. Rhambos się poddał, a Czerwoni z zatoki skwapliwie podążyli za swoimi przywódcami – Czerwoną Strażą, silnie sprzymierzoną ze Szkarłatną Gwardią. W głowie odhaczam kolejne grupy, wertując niekończącą się listę sprzymierzeńców. Na tym etapie widzę ją chyba nawet we śnie.

Wzdycham i próbuję oczyścić umysł. Koncentruję się na niej. Dziwne, że jest jednocześnie kotwicą pośród sztormu i samym sztormem.

Mare siedzi na moim łóżku ze skrzyżowanymi nogami, pochylając głowę tak, że włosy zasłaniają jej twarz. Szare końcówki mieszają się z czekoladowym brązem, muskając jej obojczyk. Ciasno otuliła się moim szlafrokiem i podniosła jego kołnierz, tak że materiał skrywa znamię na jej skórze. Drzę, ilekroć widzę ten wypalony symbol i przypominam sobie, że to dzieło mojego brata. W migotliwym blasku świecy sama jest podobna do płomienia. Żłotoczerwonego, z czarnymi cieniami tańczącymi na krawędzi jej sylwetki. Siedząc przy biurku, przyglądam się jej w milczeniu. Jedną bosą stopę opieram na podłodze, a drugą na blacie. Rwie mnie w łydce, wciąż obolałej po bitwie, więc zginam i rozprostowuję palce, by ulżyć sobie w bólu. Żałuję, że wcześniej odesłałem Uzdrowiciela, a jest już zbyt późno, by kogokolwiek wzywać. Muszę wytrzymać do rana i zapomnieć o innych dolegliwościach, które pojawiają się przy każdym ruchu.

– Ile czasu minęło? – szepcze znowu Mare, nie spuszczać oczu z kartki.

Odchylam się w fotelu, spoglądam na bogato zdobiony sufit i wypuszczam powietrze. Nad moją głową wisi ciemny żyrandol na prąd. Wysiadł mniej więcej godzinę temu, kiedy Mare postanowiła odbyć dziki spacer po pokoju. Jej huśtawki nastroju mają wstrząsające skutki.

– Dwadzieścia minut, odkąd ostatni raz o to pytałaś – rzucam. – Mówiłem ci, że Maven nie będzie się spieszył z odpowiedzią. Chce, żebyśmy się trochę podenerwowali.

– Już niedługo – mówi, wciąż nieruchoma. – Kiedy sprawa dotyczy nas dwojga, traci nad sobą kontrolę. Nie oprze się pokusie, by spotkać się z nami twarzą w twarz.

– Zwłaszcza z tobą – warczę.

– I z tobą – odpowiada równie zapalczywie. – Matka zatruła jego stosunek do nas. Wpoila mu obsesję, która towarzyszy mu na każdym kroku. – Wzdycha z rozdrażnieniem. – To spotkanie jest bez sensu. Strata czasu.

Mrugam powoli. Drażni mnie to, jak dobrze zna mojego brata i jego sposób myślenia. Przede wszystkim dlatego, że wiem, jak wysoką cenę za to zapłaciła. Szczerze mówiąc, ta wiedza wyrasta z emocji, których nie chcę analizować. Czy mam prawo osądzać to, co czuje Mare? Ja też wciąż Kocham Mavena, a właściwie Kocham osobę, za którą go miałem.

„Obaj jesteśmy popaprani”.

Cofam nogę, a moje kolano aż strzela. Krzywię się z bólu i masuję staw, pozwalając, by moje dłonie rozgrzały się kojąco. Ciepło wnika w skórę i przynosi ulgę ukrytym pod nią mięśniom.

Mare w końcu podnosi wzrok, uśmiecha się ironicznie i odrzuca włosy na plecy.

– Skrzypisz jak stare drzwi.

Syczę ze śmiechem.

– Bo tak się czuję.

– Rano wezwij Uzdrowiciela. – Choć przekornie krzywi wargi, dostrzegam w nich troskę. Jej oczy się zwężają, a w przygaszonym świetle wydają się ciemniejsze. – Albo Sarę. Jeśli chcesz, przyjdzie teraz. Pewnie ona i Julian nie zasną, dopóki nie otrzymamy odpowiedzi.

Potrząsam głową i dźwigam się z fotela.

– Nie będę ich fatygował. Poczekam do jutra – mówię, powoli zbliżając się do łóżka. Z każdym kolejnym metrem moje mięśnie spina zupełnie inny rodzaj bólu.

Dziewczyna śledzi moje ruchy jak kot, kiedy kładę się obok niej i opieram na łokciach. Przez okno wpada morska bryza i niewidzialną ręką porusza złotymi zasłonami. Oboje drzemy. Powoli wyjmuję list z jej dłoni i nie spuszczając z niej wzroku, odkładam go na bok. Obawiam się tych chwil milczenia i sądzę, że ona

też. Cisza i bezczynne oczekiwanie sprawiają, że trudno ignorować to, co robimy. A właściwie to, czego nie robimy. Nic się nie zmieniło, ani w moim sercu, ani w jej. Żadne z nas nie cofnęło swojego postanowienia. Ale z każdą mijającą sekundą coraz trudniej mi podejmować decyzje. Wiem, co stracę, kiedy przyjdzie co do czego. Doświadczałem tego braku przez wiele tygodni. Brakowało mi nie tylko jej miłości, ale i głosu. Bystrości. Brakowało mi osoby, która nie dba o moją krew ani o koronę. Kogoś, kto widzi tylko mnie i kto nie chce mnie nikim zastąpić.

Kogoś, kto nazywa mnie „Cal”, a nie „Tyberiasz”.

Mare kładzie mi dłoń na policzku i wędruje palcami za ucho. Jest ostrożniejsza niż wcześniej, bardziej analityczna. Jak Uzdrowiciel badający ranę. Wtulam się lekko w jej dłoń i napawam chłodem jej skóry.

– Powiesz mi, że to już ostatni raz? – pytam, podnosząc na nią wzrok.

Jej twarz nieco się rozpogadza, jak gdyby ktoś ją przetaił. Ale w jej oczach nie ma wahania.

– Znowu?

Kiwam głową, wciąż wtulony w jej dłoń.

– To już ostatni raz – mówi beznamiętnie.

Głęboko w sercu czuję zew. W odpowiedzi mój ogień bucha, błagając, by go wypuścić.

– Kłamiesz? Znowu?

Jej wargi drżą, kiedy przesuвам dłonią po całej długości jej nogi, od kostki po biodro. Muska palcami moją twarz i znaczy na niej delikatną ścieżkę. Kiwam głową i czuję przyływ gorącej krwi.

Odpowiedź Mare jest cicha – to właściwie tylko westchnienie.

– Mam nadzieję.

Powstrzymuje mnie, zanim cokolwiek dodam.

Jej pocałunek pochłania mnie całego.

„Żadnych decyzji”.

„Znowu”.

*

Ktoś budzi mnie pukaniem do drzwi sypialni. Ubrana Mare siedzi niepewnie w otwartym oknie. Spodziewam się, że zeskoczy i rozplynie się w nocnym powietrzu, jednak ona wsuwa się do pokoju. Płonie rumieńcem i rzuca mi szlafrok. Po mojej twarzy spływa jedwab.

– Zostaniesz? – pytam na tyle cicho, by nie usłyszała nas osoba stojąca w sąsiedniej komnacie. – Nie musisz.

Wbija we mnie gniewny wzrok.

– A po co mam iść? Wkrótce i tak wszyscy się dowiedzą.

„Właściwie o czym?“, mam ochotę spytać, ale trzymam język za zębami. Przeciągam się, wstaję z łóżka i zawiązuję pasek szlafroka. Mare obserwuje moje ruchy, wodząc za mną wzrokiem.

– No co? – szepczę z półuśmiechem.

Zaciska usta.

– Dałeś sobie usunąć kilka blizn.

Wzruszam ramionami. Minęło wiele tygodni, odkąd kazałem Uzdrowicielowi zlikwidować starsze blizny na swoich plecach i żebrach i wygładzić wypukłe krawędzie białej napiętej skóry. Królowi nie przystoi mieć ran. Cóż, schlebia mi to, że o nich pamiętała i że zauważyła ich brak.

– Do pewnych rzeczy nie warto się przywiązywać.

Mare przymruża oczy.

– A do innych tak, Cal.

Mogę tylko kiwnąć głową i w ten sposób przyznać jej rację, bo nie chcę stanąć nad przepaścią tej konkretnej konwersacji. Nie dojdziemy do żadnych konstruktywnych wniosków.

Mare stoi teraz przy moim biurku, lekko się o nie opierając, twarzą do drzwi. Jej mimika się zmienia, spojrzenie wyostrza, a ciało sztywnieje, tak że dziewczyna zamienia się w kogoś innego. Widać w niej Mareenę, Srebrną, którą udawała. Widać też dziewczynę od błyskawic, roziskrzoną i przenikniętą bezlitosną furją.

A gdzieś pomiędzy nimi dwoma znajduje się ona – dziewczyna, którą wciąż próbuję rozgryźć. Opuszcza podbródek i kiwa do mnie głową.

Kiedy otwieram drzwi, słyszę, jak Mare bierze pokrzepiający oddech.

– Julianie – witam wuja i odsuwam się na bok, żeby wpuścić go do pokoju.

Przekracza próg i od razu zaczyna mówić. Na piżamę narzucił spłowieły sweter. Kartka, którą trzyma w dłoni, jest pokryta niewielką liczbą słów.

– Otrzymaliśmy odpowiedź od Mavena – oznajmia. Na widok Mare lekko się zacina, ale stara się, by jej obecność nie wytrąciła go z równowagi. Odchrząkuje i przywołuje na twarz swobodny uśmiech. – Dobry wieczór, Mare.

– Raczej „dzień dobry”, Julianie – odpowiada ona, pochylając głowę na przywitanie. Nie zamierza mówić nic więcej.

Tak naprawdę nasz wygląd zdradza wszystko. Ona wciąż ma potargane włosy, a ja jestem ubrany tylko w szlafrok. Julian rozszyfrowuje nas z taką samą łatwością jak swoje księgi. Przynajmniej ma dość rozumu, by niczego nie komentować ani nie uśmiechać się znacząco.

Popycham go w głąb komnaty.

– Co napisał Maven?

– To, czego się spodziewaliśmy – odpowiada, otrząsając się ze zdziwienia. – Zgodził się. Spotkanie o świcie.

Już teraz przeklinam swoją decyzję, by spotkać się o tak wczesnej porze. Wolałbym wcześniej przespać noc. Ale lepiej mieć to z głowy.

– Gdzie? – pyta Mare szorstko.

Julian przenosi wzrok to na mnie, to na nią.

– Wybrał wyspę Province. To niezupełnie neutralny grunt, ale większość wyspiarzy opuściła tę ziemię, uciekając przed wojną.

Krzyżuję ramiona na piersi i próbuję sobie wyobrazić wyspę, o której mowa. Szybko mi się to udaje. Province to najdalej wysunięty na północ punkt Wysp Prostych, które są rozsiane wzdłuż brzegu w kształcie haka. Ta wyspa trochę przypomina Klin, bazę Czerwonej Gwardii. Zasiedlają ją tylko ruchome wydmy

i morska trawa.

– To terytorium Rhambosów. Dość małe. A to przemawia na naszą korzyść.

Stojąca przy biurku Mare parska. Przygląda się mnie i Julianowi jak dzieciom.

– Chyba że dom Rhambos postanowi cię zdradzić.

– Nie wykluczałbym tego, gdyby nie fakt, że los tej rodziny wisi na włosku.

Podobnie jak życie lorda Rhambosa. On także nie będzie chciał ryzykować – oznajmiam. – Wyspa Province nam pasuje.

Mare kiwa głową, choć nie wygląda na przekonaną. Przenosi spojrzenie na Juliana, a następnie na trzymaną przez niego kartkę. To kopia odpowiedzi Mavena.

– Czy umieścił tam jeszcze jakieś żądania?

Julian kręci głową.

– Nie.

– Mogę zerknąć? – Mare wyciąga rękę gestem łagodnego żądania, wnętrzem dłoni ku górze.

Julian bez wahania podaje jej list.

Dziewczyna przez chwilę milczy i ścisza kartkę między kciukiem a palcem wskazującym, jakby papier był brudny. Maven pisywał do niej listy, kiedy przebywaliśmy na Polanie, ratując Nowych. Zostawiał je na zwłokach ludzi, których udało mu się znaleźć przed nami. W każdym błagał ją, by wróciła, i obiecywał, że jeśli to zrobi, on zatrzyma rozlew krwi. W końcu dostał to, czego chciał. Chciałbym zabrać jej tę kartkę, by uchronić ją przed bólem wywołanym jego słowami, ale ona nie potrzebuje obrońcy. Stawiała czoła gorszym sytuacjom.

W końcu mruga i zaczyna czytać odpowiedź Mavena. Jej oczy prześlizgują się po słowach, a mars na jej czole coraz bardziej się pogłębia.

Zerkam na Juliana.

– Czy poinformowano Bababel?

– Owszem – odpowiada.

– Miała jakieś uwagi?

– A czy zdarzyło się, by kiedykolwiek coś zachowała dla siebie?

Uśmiecham się drwiąco.

– Co racja, to racja.

Juliana i babci nie można nazwać najlepszymi przyjaciółmi, ale z pewnością są sojusznikami, przynajmniej w kwestiach dotyczących mojej osoby. Wystarczy im to, że łączy ich wspólna przeszłość – moja matka. Na myśl o tym przenika mnie nagły chłód i mimowolnie spoglądam na szufladę biurka. Jest zatrzaśnięta, a książka schowana.

Jednak wciąż o niej myślę.

Morskie Wzgórze było ulubioną rezydencją mojej matki i choć nie pamiętam jej twarzy, mam wrażenie, że widzę ją wszędzie. Ułożyłem sobie jej obraz z tego, co widziałem na zdjęciach i obrazach. Rozkazałem, by na ścianach znów powieszono jej portrety, przynajmniej w salonie przylegającym do mojej sypialni. Jej rodową barwą było złoto, o wiele jaskrawsze niż żółcie, które nosi teraz Julian. Pasowały do królowej urodzonej w rodzinie arystokratów, choć ona sama była wielką indywidualnością.

Spała w tej komnacie. Oddychała tym powietrzem. Tu żyła.

Głos Juliana wyrywa mnie z ruchomych piasków wspomnień o matce.

– Królowa Anabel uważa, że powinieneś wysłać kogoś w swoim imieniu.

Kącik moich ust unosi się w półuśmiechu.

– Założę się, że wytypowała siebie.

Na jego twarzy pojawia się taki sam uśmiech.

– Zgadłeś.

– Podziękuję jej za tę sugestię i uprzejmie odmówię. Jeśli ktokolwiek ma się z nim zmierzyć, powinienem to być ja. Przedstawię mu nasze warunki...

– Maven nie będzie się targował. – Pięści Mare się zaciskają, kiedy przekazuje nam tę zwięzłą informację. Jej wzrok jest taki sam jak jej pocałunki. Żarłoczny.

– Zgodził się na spotkanie... – zaczyna Julian, ale ona mu przerywa.

– I to by było tyle. Nie będzie negocjował warunków. Nie zamierza kapitulować.

Przytrzymuję jej rozwścieczone spojrzenie, obserwując burzę szalejącą w jej oczach. Mam wrażenie, że lada chwila nad naszymi głowami huknie.

– Chce nas tylko zobaczyć. To w jego stylu.

Ku mojemu zaskoczeniu Julian zbliża się do niej chwiejnym krokiem. Jego twarz blednie, jest całkiem pozbawiona rumieńca.

– Tak czy siak, powinniśmy spróbować – mówi z rozdrażnieniem.

Mare tylko mruga.

– I poddać się torturom? Dać mu tę satysfakcję?

Odpowiadam, zanim zrobi to Julian:

– Oczywiście, że się z nim spotkamy. – Mój głos staje się głębszy i cięższy. – I oczywiście, że nie zamierza się targować.

– Więc po co to robić? – cedzi Mare.

Z jakiegoś powodu przypominają mi się węże Larentii Viper.

– Bo musimy zachować pozory kontroli i godności – mamroczę, starając się panować nad głosem. – Poza tym ja też chcę go zobaczyć. Spojrzeć mu w oczy i zyskać pewność, że mój brat przepadł na zawsze.

Ani Julian, ani Mare, dwoje najgadatliwszych ludzi, jakich znam, nie wie, co odpowiedzieć. Ona wbija wzrok w swoje stopy, ściągając brwi, a jej policzki zalewa szkarłatny rumieniec. Może oznaczać wstyd albo frustrację, albo i jedno, i drugie. Julian robi się biały jak ściana. Unika mojego spojrzenia.

– Muszę wiedzieć, że tego, co zrobiła jego matka, nie można cofnąć. Muszę być tego pewien – burczę, podchodząc do Mare. Chcę się uspokoić. Zdaję sobie sprawę z obrzydliwego gorąca, które zawisło w komnacie wraz z moją złością. – Dziękuję, Julianie – dodaję, aby jak najsubtelniej się go pozbyć.

Szybko rozpoznaje aluzję.

– Nie ma za co – odpowiada, pochylając głowę, choć wielokrotnie prosiłem go, by mi się nie kłaniał. – Czy ty... – pyta, jękając się. – Czy przeczytałeś to, co ci dałem?

Moją pierś wypełnia ból po utracie kolejnej osoby. Mimowolnie spoglądam na

szufladę. Mare podąża za moim wzrokiem, choć nie wie, o czym mówimy.

„Później jej powiem. W dogodniejszej chwili”.

– Część – odpowiadam tylko.

Julian wydaje się zawiedziony.

– To niełatwe.

– Owszem, Julianie.

„Mam dość rozmowy na ten temat”.

– Czy mógłbyś... – mamroczę, wskazując gestem siebie i Mare, żeby zmienić temat. – No wiesz...

Mare lekko parska, ale Julian się podporządkowuje.

– Ja o niczym nie wiem – odpowiada z wesołym uśmiechem.

Kiedy wycofuje się do salonu, podążam za nim. Mijając portret, tymczasowo oparty o krzesło, zwalnia kroku. Nie zatrzymuje się jednak. Muska dłonią ramę, niezdolny nawet zerknąć na twarz siostry.

Z portretu wnioskuję, że są do siebie podobni. Mają cienkie brązowe włosy i dociekliwe spojrzenie. Jej uroda jest prosta, nieskomplikowana. Taka, na którą większość nie zwraca uwagi. Nie odziedziczyłem po niej zbyt wielu cech. Nie wiem, czy w ogóle ją przypominam.

Chciałbym być do niej podobny. Drzwi się zatrząskują, odcinając mnie od matki i wuja. Czuję w dłoni gładkie palce, które powoli wślizgują się pomiędzy moje.

– Jego nie da się naprawić – szepcze Mare, opierając podbródek na moim ramieniu. Nie na szczycie barku, bo go nie sięga, ale nie pora się z nią droczyć.

Zamiast tego nachylam się do niej, ułatwiając sprawę nam obojgu.

– Muszę to zobaczyć na własne oczy. Jeśli mam z niego zrezygnować...

Jej uścisk staje się mocniejszy.

– Nie da się zrezygnować z tego, co jest niemożliwe.

Niemożliwe. Jakaś część mnie wciąż nie chce przyjąć tego do wiadomości. Mój brat nie jest beznadziejnym przypadkiem. Nie chcę w to wierzyć. Nie pozwolę

na to.

– Davidson próbował – szepczę. Nie mam ochoty mówić tego głośno. Ale muszę. Chcę, żeby stało się to rzeczywistością. – Szukał. Wśród Nowych nie ma Szeptaczy.

Mare bierze długi, głęboki oddech.

– Tak chyba jest lepiej – mówi po chwili. – W ogólnym rozrachunku.

Świadomość, że ma rację, rani mnie do żywego.

Z namysłem kładzie mi dłonie na ramionach i odciąga mnie od biurka. Od wspomnienia czającego się w szufladzie.

– Powinieneś się przespać – mówi stanowczo, popychając mnie w stronę łóżka. – Maven znosi zmęczenie lepiej od ciebie.

Tłumię ziewnięcie i z ochotą słucham jej poleceń. Wzdychając, wsuwam się pod pościel. Zасыpiam w momencie, kiedy moja głowa dotyka poduszki.

– Zostaniesz? – mamrocę jeszcze, obserwując Mare spod przymrużonych powiek.

W odpowiedzi podczołguje się do mnie, po drodze zrzucając buty. Wślizguje się pod jedwab. Patrzę na nią z kpiącym uśmiechem, a ona wzrusza ramionami.

– I tak wszyscy się dowiedzą.

Niewiele myśląc, biorę ją za rękę i splatam nasze palce.

– Julian potrafi dotrzymać tajemnicy.

Mare wybucha śmiechem.

– Ale nie Evangeline. Ma swoje motywy.

Ja również się śmieję, choć jestem tak zmęczony, że robię to bez entuzjazmu.

– Kto by pomyślał, że to właśnie ona nas ku sobie pchnie?

Wierci się, próbując znaleźć wygodną pozycję. W końcu zwija się u mojego boku, wystawiając nogę spod kołdry.

– Maven nie może się zmienić, ale inni mogą – szepcze mi w pierś. Od jej wibrującego głosu przechodzi mnie dreszcz.

Bez wysiłku gaszę wszystkie świece w pomieszczeniu i teraz spowija nas

łagodny niebieski mrok.

– Nie chcę się z nią żenić.

– Wiesz, że nigdy nie miałam z tym problemu – szepcze.

– Wiem – odpowiadam.

Nie mogę dać Mare tego, czego pragnie. W ten sposób sprzeniewierzyłbym się ojcu, odrzuciłbym prawo do tronu i szansę na to, by coś zmienić. Może się ze mną nie zgadzać, ale na tronie, z koroną na głowie, osiągnę więcej niż bez nich.

– Po spotkaniu z Mavenem... – zaczynam z wahaniem. – Kiedy zatoka Harbor będzie bezpieczna, chciałbym zaatakować Szare Miasto. Uderzyć z pełną mocą. Po Nowym Mieście nie uda nam się zaskoczyć slumsów techników.

W ciemności Mare muska moje wargi. Podskakuję z zaskoczenia. Na skórze czuję jej uśmiech.

– Dziękuję – szepcze, wracając na swoje miejsce. – To właściwy krok.

Ale czy nie robię tego z niewłaściwych powodów? Dla niej? „Czy to w ogóle ma znaczenie?”

– Co dał ci Julian? – mamrocze sennie.

Jest tak samo zmęczona jak ja, jeśli nie bardziej. To był zbyt długi i zbyt krwawy dzień. Mrugam w ciemności, wpatrując się w pustkę. Jej oddech zwalnia i się wyrównuje. Mare zasypia. Śpi, kiedy w końcu odpowiadam:

– Kopię pamiętnika mojej matki.

ROZDZIAŁ 24

MARE

Kiedy otwieram oczy, zbudzona szelestem, na zewnątrz wciąż panuje mrok. Instyktownie sztywnieję, gotowa do walki. Widząc Cala w tej samej komnacie, jestem zdezorientowana, ale po chwili przypominam sobie, co się wczoraj wydarzyło. To, że prawie umarł, i to, jak to wszystko nami wstrząsnęło, rozbijając w pył nasze wcześniejsze postanowienia.

Jest już ubrany, a w łagodnym świetle kilku świec naprawdę wygląda jak król. Obserwuję go przez chwilę, pozbawionego maski i tarczy. Choć jest wysoki i barczysty, w drogocennym stroju wygląda o wiele młodziej. Jego kurtka ma głęboki krwistoczerwony odcień i jest wykończona czarną lamówką, ze srebrnymi guzikami przy mankietach. Spodnie w tym samym kolorze wetknął w nabłyszczony skórzane buty. Nie włożył peleryny ani korony, które wciąż leżą porzucone na biurku. Powolnymi ruchami zapina guziki pod szyją. Pod oczami ma widoczne cienie. Wydaje się jeszcze bardziej wykończony niż wczoraj wieczorem, jeśli to możliwe. Zastanawiam się, czy w ogóle spał. Może przez całą noc dręczyła go wizja ponownego spotkania z Mavenem.

Kiedy uświadamia sobie, że nie śpię, odwraca się do mnie i prostuje. Szybko wcielił się w rolę króla. To niewielka, ale zauważalna przemiana. Nawet przy mnie zachowuje czujność, wkłada maskę. Wolałabym, żeby tego nie robił, ale rozumiem, z czego to wynika. Ja postępuję tak samo.

– Wychodzimy za godzinę – mówi, zapinając ostatni guzik. – Rozkazałem, by przyniesiono ci ubranie do salonu. Wybierz coś, co ci się spodoba. Albo... – Urywa, jak gdyby powiedział coś niewłaściwego. – Włóż coś swojego.

– Nie zabrałam na bitwę walizki ciuchów, a twój mundur raczej nie będzie na mnie pasował – odpowiadam ze śmiechem. Przeciagam się z jękiem i wydobywam z pościeli. Drzę, muskana chłodnym powietrzem. Siadam i wpatruję się w splątany warkocz opadający mi na ramię. – Coś znajdę. Jakież wskazówki?

Mięsień w jego policzku drga.

– Włóż to, co uznasz za właściwe – odpowiada dziwnie napiętym głosem.

– Mam przykuwać jego uwagę? – pytam, ostrożnie rozplątując włosy.

Cal spogląda na moje palce, nie na mnie.

– Przykujesz ją bez względu na to, co będziesz miała na sobie.

Moją pierś zalewa fala gorąca.

– Pochlebstwem niczego nie ugrasz, Cal.

Jednak się nie myli. Nie widziałam Mavena od miesięcy, a w ostatnim wspomnieniu widzę, jak jego sylwetka przedziera się przez spanikowany tłum. Iris biegnie z nim, broniąc nowego męża przed atakiem w trakcie ich ślubu w stolicy. To była misja ratunkowa, nie tylko dla mnie, ale i dla dziesiątek Nowych, których podstępem zmuszono, by mu służyli.

Mogłabym mieć na sobie wór na ziemniaki, a Maven i tak pożerałby mnie wzrokiem.

Ziewając, przechodzę przez pokój i biorę szybki, niemal wrzący prysznic. W głębi serca chciałabym, żeby Cal do mnie dołączył, ale on zostaje w pokoju, a ja zmywam z siebie resztki bólu w samotności. Kiedy znów wchodzę do salonu, w półmroku dostrzegam tęczę. Koncentruję myśli, a na suficie zapala się światło, rozjaśniając komnatę zarzuconą różnymi sukniami. Cieszę się, że mam tak wielki wybór, a jeszcze bardziej z tego, że w salonie nikogo nie ma. Ani pokojówek, które by mnie uczesały i umalowały, ani Uzdrowicieli, którzy pomogliby mi się pozbyć dręczącego zmęczenia i przywrócili mojemu ciału energię. Otrzymałam tylko to, czego potrzebuję. Tego właśnie pragnę.

„Szkoda, że Cal nie ma tak samo”.

Staram się nie myśleć o niczym poza nadchodzącym porankiem. On wciąż nie

zrezygnował z korony, a ja wciąż jestem wierna swojej sprawie, może nawet bardziej niż kiedykolwiek. Nie mogę być zakochana w królu, kiedy robię, co w mojej mocy, by obalić jego tron. By wypłenić ideę królów, królowych – i królestw zdanych na ich łaskę. Jednak nie chcą mnie opuścić ani miłość, ani pragnienie.

Zastanawiam się, kto rozłożył te ubrania, udrapował na krzesłach i kanapach taki wybór sukien, kombinezonów, bluzek, spódnic i spodni, a na podłodze postawił co najmniej sześć różnych par butów. Część ubrań jest złota, zdobiona wzorem w odcieniu zgaszonej żółci albo wykończona rodowymi barwami matki Cala. Sądząc po wcięciu w talii jej sukni, można wnioskować, że była szczupła. Drobniejsza niż spodziewałabym się po matce mężczyzny stojącego w sąsiedniej komnacie. W miarę możliwości omijam jej ubrania i szukam czegoś, co nie byłoby obarczone brzemieniem martwej kobiety.

Decyduję się na wiążaną w pasie zwiewną sukienkę w odcieniu intensywnego granatu. „Te barwy należą do matki kogoś innego”. Uszyto ją z aksamitu i pewnie później będę spływać potem, ale jej delikatny dekolt kończący się poniżej linii obojczyka odsłania moje znamię. Niech Maven zobaczy, co mi zrobił. Niech nie zapomina, jakim jest potworem. Wkładając ją, czuję się silniejsza, jak gdyby suknia była rodzajem zbroi.

Mogę sobie tylko wyobrazić, w jakiej szykownej potworności pojawi się na spotkaniu Evangeline. Może włoży suknię z żyłek. Mam nadzieję, że tak. Evangeline Samos doskonale radzi sobie w takich momentach, a ja nie mogę się doczekać, by napuścić ją na dawnego narzeczonego, niehamowana przez żadną etykietę ani plan.

Kończę się ubierać i rozczesuję schnące włosy, pozwalając, by luźno spłynęły mi na ramiona. Szare końcówki połyskują w świetle lamp, mocno kontrastując z brązem. „Jestem dziwna”, myślę, przyglądając się sobie w lustrze. Widok Czerwonej dziewczyny w stroju Srebrnych nie przestaje mnie zaskakiwać. W przytłumionym świetle moja skóra połyskuje złotem, uparcie żywa i uparcie Czerwona. Nie wyglądam tak mizernie, jak sądziłam, a moje brązowe oczy lśnią ze

strachu i determinacji.

Pociesza mnie świadomość, że matka Cala – choć Srebrna – także nie pasowała do tego życia. Widać to wyraźnie na jej portrecie, który stoi oparty o przeciwległą ścianę, obok dwóch bogato zdobionych krzesel.

Zastanawiam się, gdzie Cal go zawiesi. Poza zasięgiem wzroku czy tak, by zawsze móc na nią spojrzeć?

Jeśli portrecista dobrze ją uchwycił, Coriane Jacos miała łagodne błękitne oczy. Przypominały niebo przed świtem, błękitną mgiełkę na horyzoncie. Niemal pozbawione koloru, głębszego odcienia. Julian jest do niej bardziej podobny niż jej własny syn. Oboje mają orzechowobrązowe włosy. Pukle Coriane elegancko opadają na ramię, ozdobione kremowymi perłami i złotym łańcuszkiem. Także twarze rodzeństwa łączy wspólny rys. Są napięte, zbyt dojrzałe jak na swój wiek. I choć napięcie Juliana jest podszyte czymś ujmującym, pogodną frustracją uczonego bezustannie próbującego rozwikłać jakąś łamigłówkę, napięcie Coriane zdaje się sięgać szpiku kości. Słyszałam, że była smutną kobietą, i dostrzegam to nawet na jej portrecie.

– Elara ją zabiła – mówi Cal stojący w drzwiach sypialni. Poprawia narzuconą na ramię pelerynę, spiętą srebrną klamrą i połyskującą paciorkami z czarnych kamieni szlachetnych. W drugiej dłoni trzyma czarną koronę, na wpół schowaną, jak gdyby sięgnął po nią w ostatniej chwili. Z pasa zwisa mu miecz, wetknięty do pochwy zdobionej rubinami i dżetami. Włożył go dla efektu. Nikt nie sięgnąłby po miecz, żeby walczyć. – Wpędziła ją w rozpacz, wypełniła jej głowę szeptami, aż matka nie miała dokąd uciec. Teraz to wiem.

Wygina wargi i marszczy brwi, spoglądając gdzieś w dal. W tym smutku dostrzegam cień jego matki. To jedyne podobieństwo między nimi, jakie zauważam.

– Żałuję, że jej nie znałam – mówię.

– Ja też.

*

Razem opuszczamy pokoje Cala i równym krokiem ruszamy korytarzami Morskiego Wzgórza, kierując się do okazalszych, ogólnodostępnych komnat. Wczoraj wieczorem nie martwiłam się plotkami – czułam się arogancka i odważna. Dopiero teraz tracę rezon. Zastanawiam się, czy kiedy wejdziemy do sali, ludzie zaczną szeptać – czy Srebrni obrzucą nas kpiącymi uśmieszkami, a Czerwoni będą oceniać. Czy Farley spojrzy na mnie z pogardą, bo się ugięłam? A może całkiem się ode mnie odwróci?

Nie mogę znieść tej myśli.

Cal wyczuwa moje skrępowanie. Muska palcami wewnątrz mojego ramienia, omijając wrażliwy rejon nadgarstków.

– Nie musimy wchodzić razem – szepcze, kiedy schodzimy po schodach, zbliżając się do punktu, z którego nie ma odwrotu.

– Teraz to już bez znaczenia – odpowiadam.

W głębi korytarza czekają strażnicy. Członkowie domu Lerolan, krewni z linii jego babci. Stoją bez masek, niepodobni do wartowników, ale równie groźni i milczący.

Anabel stoi wśród nich, ze splecionymi dłońmi na wysokości talii ozdobionej ognistymi klejnotami: rubinami i cytrynami. Z dumą prezentuje na głowie koronę z różowego złota, prostą opaskę nasadzoną na skroń i gładkie siwe włosy. W pierwszej kolejności spogląda na mnie.

– Dzień dobry – mówi, przyciągając Cala, żeby go przytulić.

Przyjmuje jej krótki uścisk. Góruje nad nią.

– Dzień dobry – odpowiada. – Wszyscy gotowi?

– Mam nadzieję – mówi Anabel, machając pomarszczoną dłonią. – Ale domyślałam się, że będziemy musieli poczekać, aż księżniczka Rowów wystroi się we wszystkie metalowe elementy, jakie uda jej się znaleźć. Przypomnij, żebym sprawdziła, czy nie ukradła gałek od drzwi.

Cal jest tak zdenerwowany, że się nie uśmiecha. Tylko kącik jego ust się unosi.

– Obejdziemy się bez nich – odpowiada.

– Dobrze wyglądasz, panno Barrow – dodaje Anabel, patrząc mi w oczy.

„Choć wcale się tak nie czuję”, myślę.

– Staralam się, biorąc pod uwagę okoliczności. – Próbuję nie używać żadnych tytułów, ale ona albo tego nie zauważa, albo o to nie dba.

Sądząc po tym, jak zmienia się jej twarz – jak łagodnieje – wnioskuję, że powiedziałam coś właściwego. Ku mojemu zaskoczeniu tego ranka Anabel nie okazuje mi wrogości. Wciąga powolny oddech.

– Szykuj się, Mawenie – mamrocze, odwracając się. – Nadchodzimy.

Sala audiencyjna znajdująca się u stóp potężnych schodów jest ogromna. Przylegają do niej sale balowe i tronowa, a także sala bankietowa i mniejsza, mniej oficjalna sala posiedzeń rady z Pałacu Białego Ognia. Urządzono ją tak, by zaspokajała potrzeby dworu Srebrnych i stanowiła schronienie dla przemieszczającego się rządu Norty. Teraz Czerwoni rozproszyli się po pokojach, zapracowani jak służba, a jednocześnie w niczym jej nieprzypominający. Zieleń montforckich mundurów ostro kontrastuje z białym marmurem, błękitnymi wykończeniami i wieloma złotymi chorągwiemi zwisającymi ze ścian i sufitów. Zauważam wśród nich czerwień, szkarłat munduru Cala. Ta barwa podkreśla jego pozycję prawowitego króla, który podbił niemal połowę Norty.

Podobnie jak w Ascendencie przed przemówieniem dla Kongresu Zgromadzonych, Davidson ma na sobie wytworny ciemnozielony garnitur. Farley także włożyła galowy mundur i mam wrażenie, że czuje się w nim tak samo skępowana. Cieszę się, że ja nie muszę występować w czymś takim. Idąc, czuję na skórze miękką tkaninę sukni, moje stopy wciśnięte są w eleganckie niebieskie buty za kostkę.

Anabel wycofuje się, by stanąć obok Juliana, a Farley przygląda się, jak ja i Cal do niej podchodzimy. Stajemy pośrodku pomieszczenia. Przyjaciółka przenosi wzrok to na mnie, to na niego. Ściąga brwi, a ja w duchu przygotowuję się na to, że obrzuci mnie gniewnym spojrzeniem. Tymczasem mruga, a na jej twarzy pojawia się zaduma.

– Calore – mówi, pochylając głowę przed królem.

Cal uśmiecha się szeroko, słysząc to celowo nieformalne powitanie.

– Generał Farley – odpowiada, przestrzegając manier. – Cieszę się, że zgodziła się pani do nas dołączyć.

Dziewczyna poprawia sztywny kołnierzyk, przyklepując go, by leżał płasko.

– Szkarłatna Gwardia jest wartościowym członkiem tej koalicji. Jej Dowództwo powinno brać udział w negocjacjach warunków kapitulacji Mawena.

Cal kiwa głową na znak, że się zgadza, a ja wzdycham.

– Szczerze wątpię, czy dojdzie do jakiegokolwiek porozumienia – ostrzegam ją cicho. Zaczyna mnie już trochę nużyć powtarzanie tego w kółko.

– Oczywiście, to by było za proste – drwi Farley. – Ale daj mi pomarzyć.

W głębi pomieszczenia stoi kilku oficerów. Żadnego z nich nie kojarzę.

– Co z Kilornem? – pytam, marszcząc brwi. Czuję dreszcz zażenowania. Wykręcam palce, próbując zamaskować ich drżenie.

Stojący u mego boku Cal się wzdryga i opuszcza jedną rękę. Chciałabym ją ująć, ale staramy się nie okazywać sobie uczuć tak jawnie.

Farley patrzy na mnie z litością.

– Wczoraj został w pełni uzdrowiony, ale potrzebuje jeszcze czasu – mówi.

Próbuję wyobrazić go sobie całego i zdrowego, a nie na krawędzi śmierci, jak wtedy, gdy go zostawiłam. To mi się nie udaje.

– Zarekwirowaliśmy koszary należące do Centrum Bezpieczeństwa. Przebywa tam wraz z resztą rannych.

– To dobrze. – Niczego więcej nie potrafię z siebie wydusić.

Farley nie naciska. Zażenowanie wyborami, których dokonałam, promieniuje bólem jak otwarta rana. Kilorn prawie umarł. Cal prawie umarł. „A ty pobiegłaś do Cala”.

Stojący obok mnie prawowity król odwraca wzrok, a jego zaczerwieniona twarz sugeruje, że wie, o czym mowa. Choć postanowiliśmy nie dokonywać wyboru, wiemy, że i tak został dokonany.

– A Cameron? – dodaję, choćby po to, by zatamować krwotok tego typu myśli. Farley pociera podbródek.

– Mobilizuje siły w Nowym Mieście. Jest dla nich cennym nabytkiem, podobnie jak jej ojciec. Miasta techników mają własne podziemne sieci, którymi informacje są przekazywane dalej. Srebrni Mavena mogą przygotowywać kolejne ataki, ale nasi też nie próżnują.

Ta wiadomość napełnia mnie jednocześnie dumą i niepokojem. Maven z pewnością weźmie odwet za Nowe Miasto i będzie chciał zapobiec temu, by taka sytuacja powtórzyła się w przyszłości. Jeśli jednak w Czerwonych slumsach dojdzie do powstania, a w miastach techników zabraknie prądu, działania wojenne utkną w martwym punkcie. Zabraknie zasobów. Zabraknie paliwa. W ten sposób zmusimy go do kapitulacji.

Podchodzi do nas Davidson.

– Zauważyłem, że znów czekamy na księżniczkę Evangeline – mówi.

Grupa jego doradców trzyma się z tyłu, dając nam odrobinę swobody.

Odchylam głowę i wzdycham.

– Pewne rzeczy się nie zmieniają.

Premier krzyżuje ramiona. Nawet jeśli jest zdenerwowany, z pewnością tego po sobie nie pokazuje.

– Paw potrzebuje czasu, by stroić się w piórka, nawet jeśli są ze stali.

– Wczoraj straciliśmy wielu Żeleźców – mówi Cal cicho i surowo. W jego głosie słychać coś w rodzaju reprimendy. – Ród Samos zapłacił wysoką cenę za zatokę Harbor.

Farley sztywnieje i zaciska zęby.

– Nie sądzę, by pozwolili nam o tym zapomnieć. Pewnie będą chcieli otrzymać zapłatę za swoje poświęcenie.

– Nie martwmy się na zapas – odpowiada Cal.

Mimo istniejących między nami zaszłości czuję dziwną potrzebę, by... bronić Evangeline.

– Jeśli w ogóle do tego dojdzie – mówię. – Ale możemy porozmawiać o tym później – dodaję, wskazując głową sklepienie przejście, w którym właśnie pojawiła się Evangeline w towarzystwie Ptolemeusza.

Mają na sobie niemal identyczne stroje z perłowobiałej i jasnosrebrnej tkaniny. On jest ubrany w kurtkę, dopasowaną i zapiętą pod szyją, spodnie oraz czarne buty podobne do tych, które ma na sobie Cal, a szara szarfa biegnie przez klatkę piersiową, od ramienia po biodro. Pokrywa ją dziwny rysunek, ale kiedy się zbliża, uświadamiam sobie, że deseń w czarne diamenty to wcale nie wzór, lecz noże wciśnięte bezpośrednio w tkaninę. Broń, na wypadek gdyby jej potrzebował.

Jego siostra ma na sobie taki sam ubiór, z tym że fałdy jej długiej sukni zostały nacięte w taki sposób, by spod spodu wystawały eleganckie legginsy z białej skóry. Jeśli spotkanie zakończy się rozlewem krwi, zrzuci spódnicę i zyska pełną swobodę ruchów. Żałuję, że sama o tym nie pomyślałam. Ciasno splotła włosy, których srebrne pasma są poprzetykane połyskującym jak gwiazdy metalem w perłowym odcieniu. Oстрыm jak brzytwa. Potrafiącym przeciąć skórę. Jej ramiona są nagie, pozbawione rękawów, które mogłyby blokować ruchy albo zahaczać o biżuterię na dłoniach. Na jej palcach połyskują pierścionki, czarne i białe kamienie, a nadgarstki ma owinięte zwojami kosztownych łańcuszków. Można nimi dusić lub ciąć na plasterki. Nawet jej kolczyki wyglądają na śmiercionośne, długie i zwężane, zakończone szpikulcami.

Cieszę się, że Evangeline tak długo się przygotowywała. Ma na sobie prawdziwy arsenał.

– Czy wysłać kogoś, kto wyregulowałby zegary w twoich komnatach, Wasza Wysokość? – wyzłośliwia się Anabel, wciąż stojąc u boku Juliana

Evangeline odpowiada uśmiechem, ostrym jak jej noże.

– Nasze zegary się nie spóźniają, Wasza Królewska Mość. – Suknia faluje wokół jej nóg, kiedy dziewczyna mija starą królową i rusza w naszą stronę.

Przechodzi mnie dreszcz, kiedy częstuje mnie takim samym uśmiechem.

– Dzień dobry, Mare. Wyglądasz na wypoczętą – mówi. Następnie przenosi

spojrzenie na Cala, wciąż się szczerząc. – W przeciwieństwie do ciebie.

– Dziękuję – odpowiadam sztywno przez zaciśnięte zęby. Szybko żałuję życzliwości, jaką obdarzyłam ją w myślach.

Evangeline napawa się ostrym tonem mojej odpowiedzi i rumieńcem, który oblał policzki Cala. Stojący za nią Ptolemeusz krzyżuje ramiona za plecami i wypina pierś. Dumnie prezentuje sztylety. Farley przygląda się im oczami pełnymi wściekłości.

– Szkoda, że tego spotkania nie można było odbyć wieczorem – mamrocze Ptolemeusz. Jego głos jest niższy niż głos Cala, a ton zdecydowanie mniej uprzejmy. Ma tupet, przemawiając w tym miejscu, zwłaszcza w obecności Farley i mojej.

Zastanawiam się, czy ona, tak jak ja, widzi Shade'a przekłutego szpikulcem przez Ptolemeusza Samosa. Nawet przebywając w jego obecności, czuję się jak zdrajczyni.

Farley jest ode mnie bardziej opanowana. Podczas gdy ja potrafię tylko trzymać usta na kłódkę, ona odrzuca głowę z szyderczym uśmiechem.

– Żeby twoja siostra miała więcej czasu się pacykować? – wypala, wskazując na staranny makijaż Evangeline.

Księżniczka z rodu Samos przesuwają się i staje pomiędzy nami a Ptolemeuszem. Opiekuńcza siostra. Mam wrażenie, że zaraz go przegoni, tak by znalazł się poza naszym zasięgiem.

– Żeby mógł w nim uczestniczyć mój ojciec – wyjaśnia dziewczyna, dumnie unosząc głowę. – Król Volvo przybędzie tu przed zachodem słońca.

Cał mruży oczy. Dostrzega zagrożenie równie wyraźnie, jak ja.

– Ze wsparciem?

– Chcesz, by zginęło dla ciebie więcej ludzi zaprzysiężonych naszemu domowi? – kpi Evangeline. – Przybędzie, żeby nadzorować ostatni atak na Mavena.

Nadzorować. Jej szare jak burza oczy na chwilę ciemniej znacząco.

Nietrudno rozszyfrować, co kryje się w jej wypowiedzi, i domyślić się jej prawdziwego znaczenia.

„Przybędzie, by posprzątać bałagan, którego narobiliśmy”.

Przechodzi mnie dreszcz. Dzieci z rodu Samos są potężne, brutalne i niebezpieczne, ale ostatecznie stanowią tylko narzędzia w dłoniach ojca. Są bronią władaną przez jeszcze potężniejszego człowieka.

– Świetnie. Cieszę się, że sam nie muszę tracić czasu, by go wezwać – mówi Cal, opierając dłoń na rękojeści bogato zdobionego miecza. Uśmiecha się swobodnie, jak gdyby Volvo Samos przybywał tu z jego inicjatywy. – Z pewnością zorganizujesz mu radosne powitanie, Evangeline.

Spojrzenie, które rzuca mu dziewczyna, mogłoby skazić rzekę.

– Darujmy sobie te bzdury – warczy cicho.

*

Świt wplata się w fale, wylewając się z horyzontu migotliwymi blaskami w odcieniach różu i błękitu. Opieram czoło o chłodne szkło samolotu i obserwuję, jak podchodzi do lądowania. Z każdą kolejną sekundą moje ciało sztywnieje, a tętno coraz głośniej huczy, aż mam wrażenie, że zaraz eksploduję. Całą energię wkładam w to, by pohamować błyskawice i nie uszkodzić statku napadami elektrycznej złości. Siedząca naprzeciwko mnie Farley wpatruje się we mnie, trzymając ręce na klamrach pasów bezpieczeństwa. Gotowa je odpiąć i wyskoczyć przez drzwi, jeśli stracę nad sobą panowanie.

Cal ma więcej wiary. Robi wszystko, by zachowywać się nonszalancko: wyciąga przed siebie nogę i napiera na mnie lewym bokiem. Bije od niego kojące ciepło, a jego palce co kilka sekund muskają moje, przypominając mi o jego obecności.

Nawet jeśli jego babcia jest niezadowolona z łączącej nas bliskości albo nią zaskoczona, wcale tego po sobie nie pokazuje. Siedzi w milczeniu obok Juliana, którego twarz jest ponura jak nigdy dotąd.

W głębi odrzutowca podróżuje Davidson, a Evangeline i jej brat lecą na szczęście innym samolotem, tuż obok naszego. Widzę jego odbicie w tafli wody – ich niewielki, brzęczący odrzutowiec rzuca rozmazany cień na fale. Samoloty transportowe są głośne – piekielnie głośne – ale tym razem bardzo mnie to cieszy. Nie można teraz rozmawiać, knuć ani nikogo dręczyć. Próbuję się zatracić w bezustannym szumie.

Wkrótce naszym oczom ukazuje się wyspa Province, krąg zieleni otoczony jasną wstęgą piasku. Z góry całość wygląda jak jedna z map Juliana. Prosty szkic przybrzeżnej wioski złożonej z niewielkiej siatki ulic. Port jest pusty, ale w odległości ośmiu kilometrów od brzegu zacumowanych jest ponad dziesięć okrętów wojennych. „Gdyby Maven miał taki kaprys, mógłby nas teraz wysadzić w powietrze”, myślę, wyobrażając sobie odległy huk ognia artyleryjskiego.

Lądujemy jednak bez zakłóceń. Czuję w piersi ściskający ból, który balansuje na granicy progu mojej wytrzymałości. Zaciskam zęby tak mocno, że niemal pęka mi żuchwa. Wyskakuję z samolotu i wciągam do płuc świeże powietrze.

Mam ochotę wbiec wprost do oceanu.

Zamiast tego odsuwam się od wirujących silników odrzutowca. Jedną ręką przytrzymuję włosy szarpane wyjąłym wiatrem. Farley podąża za mną, pochylona.

– Wszystko w porządku?! – próbuje przekrzyczeć ryk silników, tak bym tylko ja ją słyszała.

Zaciskam wargi i lekko potrząsam głową. „Nie”. Spoglądam na wysokie trawy pokrywające wydmy na plaży, spodziewając się, że wyskoczy z nich kontyngent wartowników, który otoczy nas, zmusi do kapitulacji, znów zakuje mnie w kajdany. Czuję w ustach smak żółci, przez który zbiera mi się na wymioty. Ciężar Cichego Kamienia na skórze powraca, żeby ze mnie zakpić. „Nie mogę tam wrócić”. Odwracam twarz, chowając ją w smaganych wiatrem włosach. Wyrównuję oddech i przez kilka cennych sekund próbuję odzyskać spokój.

Ręka Farley zaciska się na moim ramieniu, jej uścisk jest stanowczy, a jednocześnie delikatny.

– Nie usłyszysz ode mnie, żebyś o tym wszystkim zapomniała – szepcze mi do ucha. – Ale musisz to przetrwać. Jeszcze przez kilka najbliższych chwil.

„Muszę to przetrwać”.

Znów się do niej odwracam. Odzyskuję jasność widzenia.

– Tylko przez kilka najbliższych chwil – powtarzam. Rozpadnę się, jak już będzie po wszystkim.

Cal stoi za nią. Jest czujny, ale nie chce się wtrącać. Przytrzymuję jego spojrzenie ponad ramieniem Farley i delikatnie kiwam głową. Dam radę. Muszę dać radę.

Wyglądamy dziwnie. Kontyngent Srebrnej arystokracji, Czerwona generał i dwoje Nowych w otoczeniu strażników w różnokolorowych mundurach. Choć nikt nie wierzy w to, że Maven będzie przestrzegał zasad wojny, wiemy, że możemy pod tym względem liczyć na królową Lakelandczyków. Tak czy owak, trzymam się blisko Farley i dwóch oficerów Szkarłatnej Gwardii. Wierzę w ich lojalność i broń.

Evangeline i Ptolemeusz wychodzą ze swojego odrzutowca i wyglądają tak, jakby to całe spotkanie było dla nich zaledwie niedogodnością. Jak gdyby mieli coś ważniejszego do roboty. To oczywiście tylko gra. Evangeline tak samo żarliwie pragnie zobaczyć Mavena, jak ja pragnę go nie oglądać. Nie przepuści okazji, by szydzić mu prosto w twarz. Silniki odrzutowców szarpia ją za włosy, kiedy dziewczyna ostrym wzrokiem wpatruje się w otaczającą nas trawę.

Zgodziliśmy się spotkać na środkowej części wyspy. Dajemy lakelandzkim Wodniaczkom okazję do tego, by pokazały, że mają dobre intencje. W milczeniu odbywamy krótką wędrowkę przez wydmy, w stronę skałego zagajnika poskręcanych, uparcie żywych drzew. Przypomina mi się Klin, rzucony teraz na pastwę fal. To tam znajduje się grób Shade’a – grób, nad którym nikt nie czuwa.

Przewodzi nam Cal w otoczeniu Davidsona i Farley. W ten sposób prezentują zjednoczony front koalicji. Czerwona krew sprzymierzona ze Srebrną. Evangeline i Ptolemeusz idą za nimi. Co ciekawe, wydaje się, że nie przeszkadza im ta

drugoplanowa pozycja.

Cieszę się, że tak wiele osób podąża przede mną, dając mi dodatkowe sekundy, by zebrać w sobie resztki odwagi. Najbardziej pocieszają mnie moje błyskawice, skrywane pod skórą. Tylko ja o nich wiem. Wyobrażam je sobie w swoich oczach, rozwidlone, oślepiające linie fioletu i bieli. Zostaną ze mną na zawsze i nikt mi ich nie odbierze, nawet on. Zabiję go, jeśli tylko spróbuje.

Kilka miesięcy temu patrzyłam, jak Maven w podobnym stylu zawiera pokój z Lakelandczykami. Choć wszystko odbywało się w zdecydowanie innej scenerii – na niekończących się polach minowych Duszni, a nie na trawiastej wyspie pomiędzy rozpogadzającym się niebem a spokojnym błękitem morza – towarzyszy mi podobne wrażenie. Maszerujemy w stronę nieznanego, w stronę ludzi o wielkiej i druzgocącej mocy. Przynajmniej teraz nie będę tkwiła po stronie Mavena. Nie jestem już jego maskotką.

Podobnie jak w czasie spotkania z Lakelandczykami, także tu skonstruowano platformę pośrodku łąki. Drewniane deski doskonale do siebie pasują. Na podeście ustawiono krąg krzeseł, z których połowa jest już zajęta. Muszę się powstrzymać, by nie zwymiotować na trawę.

Osoba stojąca najbliżej mnie dotyka mojej dłoni. „Julian”.

Podnoszę na niego wzrok wypełniony cichym błaganiem. O co proszę? Tego nie wiem. Nie mogę zawrócić. Ani uciec. Nie mogę zrobić żadnej z rzeczy, na które namawia mnie ciało. On patrzy na mnie życzliwie i wyrozumiale kiwa głową.

„Musisz to przetrwać”.

Ścieżkę zagradza nam dwóch wartowników. Pod osłoną masek ich twarze są nieodgadnione. Morska bryza bawi się ich ognistymi szatami.

– Żądamy, byście zostawili broń, zanim staniecie przed Jego Wysokością królem Norty – mówi jeden z nich, wskazując na Farley i jej oficerów.

Żadne z nich się nie porusza. Farley nawet nie mruga.

Królowa Anabel odrzuca głowę do tyłu z kpiącym śmiechem. Wygląda zza pleców Cala, niższa od niego o głowę.

– To tu stoi król Norty, a on nie obawia się broni Czerwonych.

Na te słowa Farley wybucha niepohamowanym śmiechem wycelowanym w wartowników.

– Czemu obchodzi was broń? – kpi. – Ci ludzie są niebezpieczniejsi niż to, co przy sobie mamy. – Gestem dłoni wskazuje nas, Nowych i Srebrnych: nasze moce sięją większe spustoszenie niż jakakolwiek broń. – Nie mówcie, że wasz mały król boi się kilkorga Czerwonych i ich pistoletów.

Dwaj oficerowie Szkarłatnej Gwardii przestępują z nogi na nogę, jak gdyby chcieli odwrócić uwagę wartowników od ściskanych w dłoniach karabinów.

Cal jednak nie śmieje się ani nie uśmiecha. Wyczuwa, że coś tu nie gra, a to przyprawia mnie o dreszcze.

– Przypuszczam – mówi powoli i wyraźnie – że mamy wstąpić do Cichego Kręgu. Czy tak, lordzie Blonosie?

Krew krzepnie mi w żyłach i tracę dech. „Nie”. Julian powoli wyciąga ramię, pozwalając mi się go chwycić. Słyszając nazwisko swojego rodu, wartownik się wzdryga. Koncentruję się na nim, choćby po to, by nie stracić nad sobą panowania. To nie ma sensu. Moje serce wybija huczący rytm, a oddech więźnie mi w gardle. „Cichy Krąg”. Mam ochotę wyskoczyć ze skóry. Moje palce drżą na ramieniu Juliana, kiedy jeszcze mocniej zaciskam dłoń, tak że zaczynam odczuwać ból. Bieleją mi kostki.

Julian kładzie dłoń na mojej, próbując złagodzić mój strach.

Stojący przed nami Cal się nie odwraca, ale przechyla głowę i błyska oczami. Jak gdyby chciał na mnie spojrzeć. Z litością? Z frustracją? A może ze zrozumieniem?

– Zgadza się – odpowiada wartownik stłumionym głosem. – Król Maven dostarczył Cichy Kamień, dbając o to, by spotkanie odbyło się bez większych nieporozumień.

Cal zaciska szczęki tak mocno, że drga mu policzek.

– To niezgodne z protokołem – warczy.

Ten dźwięk przeszywa powietrze jak ostrzegawczy ryk bestii. Jakaś część mnie ma ochotę się złamać i spalić tych dwóch mężczyzn, spalić całą wyspę, Mavena i Iris oraz jej matkę. Niszczącym, żarłocznym ogniem usunąć wszelkie przeszkody stojące nam na drodze.

Wartownik się prostuje i chowa zaciśnięte pięści w fałdach szaty. Jest wyższy od Cala, ale nie tak imponujący. Jego partner robi to samo i stoją tak, ramię w ramię, blokując przejście.

– Takie jest życzenie króla. To nie prośba, mój panie – dodaje, choć brzmi to niezręcznie i sztucznie.

Kiedyś chronili Cala, wcześniej jego ojca, a teraz Mavena. Domyślam się, że konfrontacja z dawnym dowódcą jest jedną z niewielu rzeczy, do których ich nie wyszkolono.

Cal odwraca głowę, by skonsultować się z Farley i Davidsonem. Zaciskam zęby i biorę gwałtowne wdechy przez nos. Zaczynam czuć obecność Cichego Kamienia, który grozi, że mnie zatopi. „Nie uda mu się to, jeśli odmówimy. Jeśli zawrócimy. Albo jeśli Maven się ugnie, pozwalając nam odbyć to spotkanie bez cierpienia”.

Oczywiście nie możemy na to liczyć. Właśnie dlatego przywiózł tu Kamień. Wcale nie po to, by się ochronić. Prawo wojny samo w sobie jest wystarczającą ochroną, zwłaszcza że na czele drugiej strony konfliktu stoi jego honorowy brat. Zrobił to, by nas zranić. By zranić mnie. Wie, w jakim lochu więził mnie przez sześć miesięcy mojego życia. Jak każdego dnia marniałam, jak powoli umierałam, odcięta od połowy własnego jestestwa. Uwięziona za szybą, której nie sposób było rozbić, niezależnie od tego, jak bardzo się starałam.

Ścisza mnie w żołądku, gdy Farley z ociąganiem kiwa głową. Przynajmniej ona tego nie odczuje. Cichy Kamień nie będzie miał wpływu na nią ani na innych Czerwonych pozbawionych mocy.

Davidson ociąga się znacznie bardziej. Patrząc na Cala, prostuje kręgosłup i ściąga barki. Ale koniec końców kiwa głową, zgadzając się na postawione

warunki.

– Dobrze. – Głos Cala ledwie do mnie dociera, bo coraz głośniejsze huczy mi w uszach.

Ziemia pod moimi stopami zaczyna wirować. Tylko dzięki temu, że przytrzymuję się Juliana, zachowuję równowagę. Stojąca w pierwszej linii Farley i jej oficerowie z brzękiem odrzucają broń, prezentując pistolety i noże. Wzdrygam się, widząc, jak spadają i bezużyteczne kolejno znikają w trawie porastającej wydmy.

– Chodź – szepcze Julian tak, bym tylko ja go usłyszała.

Zmusza mnie do postawienia kroku. Moje kończyny drżą i grożą nagłym bezwładem. Opieram się na nim tak dyskretnie, jak to tylko możliwe, pozwalając się prowadzić.

„Musisz to przetrwać”.

Podnoszę wzrok, starając się opanować drżenie i pokusę, by osunąć się na ziemię lub uciec.

Iris jest w pogodnym nastroju, a jej opancerzona suknia lśni promiennym chabrowym blaskiem. Rozkloszowana tkanina spływa z jej krzesła eleganckimi kaskadami. Ta kobieta stanowi idealne połączenie wojowniczkę i królowej, nawet w porównaniu z Evangeline. Jej szare oczy śledzą nasze nadejście, zwięzając się jak u drapieżnika. Nigdy nie była dla mnie nieprzyjemna, przynajmniej według norm obowiązujących Srebrnych. Ja jednak wciąż nienawidzę jej i tego, co zrobiła. Kamień jest tak blisko, że muszę wypełnić swoje myśli gniewem. To jedyny sposób, by zdusić strach.

Wstępuję w krąg Cichego Kamienia, a nienaturalne wrażenie opada na mnie jak zasłona. Przygryzam wargę, by nie krzyknąć. Skręca mnie w żołądku, kiedy znajome przygniatające brzemie ląduje ciężko na moich ramionach. Potykam się, a moje powieki drgają, lecz jest to jedyny zewnętrzny dowód intensywnego bólu, który trawi mnie od środka. Wewnątrz moje ciało wrzeszczy, a wszystkie nerwy płoną. Instynkt podpowiada mi ucieczkę, nakazuje opuścić ten krąg tortur. Pot

splywa mi po kręgosłupie, kiedy zmuszam się do stawiania kolejnych kroków i utrzymania tempa pozostałych. Gdyby nie Kamień, eksplodowałabym elektryczną furią, przy której inne moje burze mogłyby się schować. „Błyskawica nie zna litości. I ja też nie”.

Patrzę przed siebie gniewnie, mrużąc oczy, by pohamować łzy.

Spoglądam na wszystkich poza Mavenem. Królowa Cenra, matka Iris, jest drobniejsza i bardziej powściągliwa niż córka. Ma taką samą karnację, ale jej twarz jest nieładna. Podobnie jak strój Iris, jej suknia także ma głęboki niebieski odcień i jest przepasana złotym paskiem, pasującym do korony na jej skroniach. Siedzą blisko, nachylone do siebie. Widać, że łączy je ufność charakterystyczna dla matek i córek. Mam ochotę brutalnie je rozdzielić.

Czwartym członkiem rodziny królewskiej jest ktoś, kogo nigdy dotąd nie widziałam. Z łatwością odgaduję jednak jego tożsamość. Księżę Bracken siedzi na krześle, wysoki, a jego błyszcząca skóra lśni granatową czernią szlachetnego kamienia. Jego szaty mają odcień purpury i są obrębione ametystem, udrapowane na napierśniku ze szczerego złota. Spojrzenie jego ciemnych oczu zatrzymuje się nie na mnie ani na Calu, tylko na Davidsonie. Księżę wygląda tak, jak gdyby pragnął wypatroszyć premiera z zemsty za swoje dzieci.

Maven siedzi między Brackeniem a Iris.

Z początku staram się na niego nie patrzeć, ale nie sposób go ignorować. Na jego widok moją skórę przecinają rozgrzane noże, tak ostre, że czuję, jakbym miała zacząć krwawić.

„Musisz to przetrwać. Uchwycić się gniewu”.

Zerkam na niego ze zmartwiałym sercem. Wpatruje się we mnie, a na jego bladych wargach błąka się ten jego charakterystyczny, przeklęty uśmieszek.

Maven kiwa głową, kiedy zajmujemy miejsca, i spogląda to na mnie, to na Calę, jak gdyby nikogo innego tu nie było. Premier Davidson siedzi pomiędzy nami, stanowiąc solidną zaporę. Maven zdaje się niezwykle tym cieszyć i uśmiecha się szeroko na widok buforu oddzielającego mnie od jego brata. Morska bryza

mierzwi mu włosy, wciąż dłuższe niż włosy Cala, zwijające się pod ciężarem tej jego przeklętej korony z czarnego żelaza.

Mam ochotę go zabić.

Poznaję jego mundur – kruczoczarny, ozdobiony nieuczciwie zdobytymi medalami w służbie narodu. Z kpiącym uśmiechem patrzy na kurtkę Cala, dostrzegając odwrócone barwy. Pewnie się cieszy, że przez niego brat zrezygnował z rodzinnych symboli. Przygląda się nam z zimną otwartą przyjemnością – najwyraźniej chce, by to spotkanie było dla nas tak bolesne, jak to tylko możliwe. Maska okrutnego króla tkwi na swoim miejscu.

Zadbam o to, by się zsunęła.

Nachylając się do Davidsona, kładę łokieć na oparciu krzesła i wysuwam się tak, by odsłonić obojczyk. Teraz wszyscy widzą znamię wypalone na mojej skórze. M jak Maven. M jak Monstrum. Jego spojrzenie napotyka moje zniszczone ciało i pojawia się w nim wahanie. Lodowate oczy stają się zamglone i nieobecne. To tak, jakbym zepchnęła go ze ścieżki albo posłała w głąb długiego ciemnego korytarza.

Szybko odzyskuje panowanie nad sobą i spogląda na resztę naszej koalicji, ale dał mi już jakiś punkt zaczepienia.

Przypisano nam miejsca, więc każdy wie, gdzie usiąść. Jestem zaskoczona i skrępowana, widząc, jak Farley siada między Calem i – kimże by innym? – Ptolemeuszem. Jeśli nie rzuci się przez platformę, by udusić Mavena, niewykluczone, że zamiast niego zabije jednego z własnych sojuszników.

Farley obrzuca młodego króla gniewnym spojrzeniem, które parzy tak samo dotkliwie jak spojrzenie każdego członka rodu Calore. Poznali się dawno temu w letniej rezydencji. Maven oszukał nas wtedy, podrzucając nam drobne kłamstewko, w które wszyscy chcieliśmy wierzyć. Zwiódł ją tak samo jak mnie.

– To naprawdę fascynujące, jak daleko zaszłaś, generał Farley – mówi Maven, zwracając się do niej jako pierwszej.

Wiem, co próbuje zrobić. Chce nas skłócić, jeszcze zanim porządnie się

rozsiądziemy.

– Ciekawe, co byś odpowiedziała, gdybym rok temu zapytał cię, jak widzisz swoją przyszłość. Przebyłaś fascynującą drogę! – Spogląda to na Farley, to na Ptolemeusza, i nikt nie ma problemu z odczytaniem aluzji.

Kiedy byłam jego więźniem, rozłupał mi głowę i z pomocą krewniaków z domu Merandus przejrzał moje wspomnienia. Widział, jak Shade ginie z rąk Ptolemeusza, i wie, ile znaczył dla Farley. Ile mój brat po sobie zostawił. Bez zastanowienia dźga otwartą ranę.

Farley obnaża zęby, drapieżna nawet bez swoich szponów, ale Cal odpowiada, zanim dziewczynie udaje się odgryźć.

– Mam wrażenie, że wszyscy znaleźliśmy się w dziwnych miejscach – mówi stanowczym, nieporuszonego głosem. Dyplomata do szpiku kości.

Nie wyobrażam sobie nawet, ile musi go to kosztować.

– Nieczęsto się zdarza, by król Norty zasiadał u boku królowych Lakelandii.

Maven uśmiecha się kpiąco. Cal próbuje z niego drwić, ale młodszy brat zawsze będzie w tym od niego lepszy.

– Nieczęsto się zdarza, by pierworodni synowie zasiadali poza tronem, nieprawdaż, bracie? – wypala, a Cal zaciska zęby tak mocno, że o siebie stukają. – Co o tym sądzisz, babciu? – dodaje, spoglądając na Anabel morderczym wzrokiem. – Twój wnukowie toczą ze sobą wojnę.

Kobieta odpowiada tak samo kąśliwie:

– Nie jesteś moim wnukiem, chłopcze. Przestałeś nim być, kiedy pomogłeś zabić mego syna.

Maven cmoka z udawaną litością.

– To Cal uniósł miecz, nie ja – oznajmia, wskazując brodą miecz na biodrze Cala. – Cóż, starszki często dają się ponieść fantazji.

Siedząca obok niego królowa Cenra unosi gładką brew. Milczy, pozwalając, by Maven sam utkał sieć... albo ukręcił na siebie bat.

Składa ręce.

– To nie ja poprosiłem o to spotkanie. Domyślam się, że chcecie zaproponować jakieś warunki. Może nawet warunki kapitulacji?

Cal kiwa głową

– Owszem. Twojej.

Dziwnie słuchać śmiechu Mavena. Jest wymuszony. To wyrzucone z płuc powietrze, wyrachowany i sztuczny odgłos, imitacja tego, jak naprawdę powinna brzmieć wesołość. Skrępowany Cal poprawia się na krześle.

Bracken także się nie uśmiecha. Jego wargi układają się w gniewny grymas. Opiera podbródek na zwiniętej pięści. Nie znam jego umiejętności, ale domyślam się, że są potężne, hamowane jedynie przez Kamień, który powoli nas wszystkich dławi.

– Nie przebyłem tak dalekiej drogi, w tak wielkim pośpiechu, by słuchać tych bzdur, Tyberiaszu Calore – mówi książę.

– To nie bzdury, Wasza Wysokość – odpowiada Cal, lekko pochylając głowę. Okazuje mu uległość i respekt.

Maven parska szyderczo.

– Oto moi sojusznicy. – Szeroko rozkłada białe ręce. – Srebrne królowe, za którymi stoją całe narody zaprzysiężone ich sprawie. Sprawują kontrolę nad stolicą i najbogatszymi ziemiami Norty...

– Nie sprawujesz kontroli nad Rowami – wcina się Evangeline.

Mimo Kamienia metalowe elementy znajdują się na swoim miejscu. Zrobiono je naprawdę i nadano im kształt. Nie trzymają się tylko dzięki jej umiejętnościom. Przygotowała się do tego. „Ja też powinnam była to zrobić”.

– Ani nad Delphie. Wczoraj straciłeś Harbor. Będziesz tracić kolejnych sojuszników, aż zostaną ci tylko ludzie, których dasz radę opłacić. – Uśmiecha się szeroko, ukazując zęby pokryte spiczastymi srebrnymi nakładkami. Sądzę, że gdyby mogła, pożarłaby jego serce. – Już niedługo będziesz królem bez korony i tronu, Mavencie. Najlepiej poddaj się teraz, kiedy masz się jeszcze czym targować.

Maven zadziera głowę. Przypomina teraz nadąsane dziecko.

– Nie zamierzam się targować.

– Nawet za cenę własnego życia? – mamroczę cicho, ale na tyle stanowczo, że mój głos jest słyszalny. Siedzę nieruchomo, kiedy Maven przenosi na mnie spojrzenie, i pozwalam, by moje ciało zlodowaciało. „Nie ruszaj się, nie mrugaj. Musisz to przetrwać”.

Znowu się śmieje.

– Wasz blef jest co najmniej zabawny. – Chichocze. – Widzę, czym dysponujecie i kogo przeciągnęliście na swoją stronę. Podaj warunki, Cal. Albo wracaj do zatoki Harbor i pozwól, żebyśmy was wszystkich wymordowali.

– Proszę bardzo – odpowiada Cal. Zaciska pięści. Gdyby nie Kamień, pewnie stanąłby w płomieniach. – Ustąp z tronu, Mavencie. Ustąp, a pozwolę ci żyć.

– Nie bądź śmieszny. – Maven wzdycha, przewracając oczami do Iris.

Jego żona nie reaguje.

Niezrażony Cal mówi dalej:

– Sojusz z Lakelandią i Piedmontem się utrzyma. Na naszym wybrzeżu zapanuje pokój, od zamarzniętych brzegów po południowe wyspy. Czas rekonstrukcji i odrastania tego, co zniszczyła ta wojna. Czas leczenia ran i naprawiania zła, które trawiło nas przez wieki.

– Mówisz o równości dla Czerwonych? – pyta Iris. Jej głos jest taki, jakim go zapamiętałam. Spokojny, wyważony. To mistrzyni samokontroli.

– Owszem – odpowiada Cal spokojnie.

Bracken śmieje się długo i głęboko, przyciskając dłoń do rzeźbionego złotego napierśnika. Gdyby nie okoliczności, uznałabym ten dźwięk za kojący i ciepły. Cendra i Iris wciąż milczą, nie zamierzają zdradzić swoich intencji ani myśli.

– Ambitny jesteś, muszę ci to przyznać – rzuca Bracken, wskazując Cala palcem. – I młody. Rozkojarzony. – Jego ciemne oczy zaglądają w moje i w lot pojmuję aluzję.

Przyszpilona jego spojrzeniem, zaczynam się wiercić.

– Nie wiesz, czego żądacie.

Farley nie daje się tak łatwo zastraszyć. Ścisła podłokietniki dłońmi, niemal podnosząc się z krzesła. Jej policzki zalewa rumieniec.

– Tak bardzo boicie się ludzi, na których plujecie, że nie pozwolicie im odzyskać wolności? – szydzi, przenosząc wzrok z Brackena na Cenrę, a potem na Iris. – Czyżby władza wymykała wam się z rąk?

Królowa Lakelandii wybałusza oczy, których białka ostro kontrastują z jej brązową skórą oraz ciemnym brązem jej tęczywek. Wydaje się szczerze zaskoczona. Wątpię, by jakikolwiek Czerwony kiedykolwiek zwrócił się do niej w ten sposób, i to widać.

– Jak śmiesz mówić do nas... – wypala.

Kochany Julian ma najlepszy refleks i zagłusza ją spokojnym tonem, zanim królowa sprowokuje Farley do czegoś bardziej drastycznego.

– Historia sprzyja tym poniżanym i ciemieżonym, Wasza Wysokość. – Jego słowa są czarujące i logiczne. Mądre nawet pod ciężarem Cichego Kamienia.

Królowa się waha, ale powoli zamyka usta, by słuchać.

– Lata prześladowań zdają się ciągnąć w nieskończoność, ale w końcu los uciskanych się odmienia. Ludzie powstają. Tak to już jest. Pozwólcie dokonać się zmianom, wspomóżcie ten proces albo zmierzcie się z wściekłością żywiołu. Może nie dotknie ona was ani nawet waszych dzieci, jednak nadejdzie dzień, w którym Czerwoni sforsują bramy waszych zamków, roztrzaskają wasze korony i poderzną gardła waszym potomkom błagającym o litość, bo wy nie chcecie jej okazać. – Echo jego słów rozbrzmiewa jeszcze długo po tym, jak Julian milknie, jak gdyby tańczyły na wietrze. Jego wypowiedź działa trzeźwiąco na królowe Lakelandii i Brackena. Nasi wrogowie wymieniają zaniepokojone spojrzenia.

Maven pozostaje niezrażony. Kiedy spogląda na lorda z domu Jacos, jego oczy błyszczą. Zawsze nienawidził Juliana.

– Ćwiczyłeś tę mowę, Julianie? Nieustannie zastanawiałem się, czemu całymi dniami przesiadujesz samotnie w bibliotece.

Nietrudno odpowiedzieć na ten przytyk.

– Wątpię, by ktokolwiek spędzał więcej czasu w samotności niż ty – mówię, znów nachylając się tak, by wyeksponować piętno.

Połączenie tego gestu i moich słów sprawia, że Maven blednie i lekko rozchyła wargi. Spomiędzy jego obnażonych zębów wydobywa się świszczący oddech. Wygląda tak, jak gdyby chciał mnie pocałować albo rozharatać mi gardło. Chyba sam nie wie, czego pragnie bardziej.

– Ostrożnie, Mavencie – nacieram, doprowadzając go do granic wytrzymałości. – Bo zsunie ci się maska.

W jego oczach pojawia się lodowaty strach. Twarz mu się zmienia, czoło marszczy, a wargi ściągają w dół, podwijając się i odsłaniając jeszcze więcej zębów. Cienie pod oczami i kośćmi policzkowymi nadają mu wygląd trupiej czaszki, białej jak księżycowa poświata.

– Mógłbym cię zabić, Czerwona – warczy, bezwstydnie pozwalając sobie na czcze pogrózki.

– Zabawne. Miałeś szansę to zrobić przez sześć długich miesięcy. – Muskam dłońmi ramiona i klatkę piersiową, pozwalając, by palce przejechały po znamieniu. – A jednak jestem cała i zdrowa.

Odwracam wzrok, zanim Maven coś odpowie, i zwracam się do jego sojuszników.

– Powiedzieć, że Maven Calore jest nie zrównoważony, to mało. – Przemawiając, jestem przejmująco świadoma ich uwagi, ciężaru spojrzeń trzech koronowanych głów. Jak również ciężaru Cichego Kamienia wywierającego bezustanną presję. Chciałabym poczuć swoje błyskawice i czerpać moc ze swoich umiejętności. Mam jednak do dyspozycji jedynie wycieńczone ciało. Musi mi wystarczyć. – Wszyscy to wiecie. Zyski płynące z jego rządów nie przewyższają ryzyka. Zostanie obalony: albo bezpośrednio przez nas, albo przez upadek własnego kraju. Rozejrzyjcie się. Ilu przedstawicieli Szlachetnych Domów mu towarzyszy? Gdzie oni są? – Wskazuję wartowników Mavena oraz strażników. Poza nimi nie ma tu nikogo z Norty. Ani rodu Welle, ani Osanos, ani żadnego

innego. Nie wiem, gdzie przebywają, ale ich nieobecność mówi sama za siebie. – Jesteście jego tarczą. Wykorzystuje was i wasze kraje. Pewnego dnia zwróci się przeciwko wam, kiedy będzie miał dość siły, by się was pozbyć. Nie wie, czym jest lojalność, a w jego sercu nie ma miłości. Chłopak, który nazywa siebie królem, jest pustą skorupą, zagrażającą wszystkim i wszystkiemu.

Maven przygląda się swoim dłoniom i poprawia mankiety kurtki. Stara się nas przekonać, że to wszystko nie robi na nim najmniejszego wrażenia. Jak na kogoś tak utalentowanego, strasznie aktorzy.

Trzymam głowę wysoko.

– Dlaczego mamy dalej znosić to szaleństwo? Po co to wszystko?

Po mojej lewej Farley poprawia się na skrzypiącym krześle. Jej spojrzenie ma w sobie ogień, którego nie potrafiłby z siebie wykrzesać nikt z rodu Calore.

– Oni wszyscy woleliby się wykrwawić na śmierć, niż zrównać się z krwią o nieodpowiednim odcieniu – syczy.

– Farley... – mamrocze Cal.

Ku mojemu zaskoczeniu Evangeline przyjmuje na siebie chaos tej dyskusji, skupiając uwagę na sobie. Zaciska wargi i ostentacyjnie wygładza sukienkę.

– To, co się tu dzieje, jest jasne jak słońce. Mówisz, że Maven uczynił z nich tarcze? – rzuca, powstrzymując rechot. – Gdzie twoje wojska, królowo Cenro? A twoje, książę Brackenie? Kto tak naprawdę wypruwa z siebie flaki na tej wojnie? Jeśli ktokolwiek jest tu tarczą, to sam Maven. Wystawiacie tego chłopca do walki, by toczył bój ze starszym bratem. Czekacie na moment, w którym zyskacie pewność, że sami dacie radę zniszczyć to, co zostanie. Czy nie tak?

Zebrani nie zaprzeczają, a może nie chcą podsycać tego oskarżenia. Iris obiera inną taktykę. Nachyla się do księżniczki Samos, zaciskając usta i rozciągając je w swobodnym uśmiechu.

– Domyślam się, że to samo dotyczy ciebie, Evangeline. Czy Tyberiasz Calore nie jest bronią, którą wykorzystują Rowy?

Maven daje jej znać, żeby się wyprostowała. Przenosi wzrok z Cala na Farley.

To ona jest tu słabym ogniwem – przynajmniej w jego oczach. „Powodzenia”.

– Nie, nie Cal – mruczy. – Czerwoni. Montforckie kundle. Wiem, jak zachowują się Volvo i inni Srebrni w czasie otwartej rebelii. Akceptacja Czerwonych jest dla nich nie do przyjęcia, chyba że będą mogli to wykorzystać. – A ty, Anabel? – dorzuca, obdarzając babcię uśmiechem.

Kobieta po prostu się odwraca, nie zaszczycając go nawet spojrzeniem. Mimo przyjętej przez Mavena pozy jego uśmiech nieco słabnie.

Tym razem Farley nie łapie przynęty. Pozostaje nieruchoma, a Davidson powoli klaszcze, pochylając głowę przed fałszywym królem.

– Należą ci się brawa, Mavencie – mówi. Obojętny spokój premiera pozwala nam odpocząć od otaczającej nas złości. – Przyznaję, że nie spodziewałem się tak zręcznej manipulacji po kimś tak młodym. Ale domyślałem się, że to zasługa twojej matki, prawda? – dodaje, spoglądając na mnie.

Te słowa rozdrażniają Mavena bardziej niż inne. Wie, że to oznacza, iż o wszystkim im opowiedziałam – także o tym, co zrobiła jego matka.

– Tak, jest tym, kim uczyniła go matka – szepczę. Mam wrażenie, że wbijam mu nóż w brzuch. – Może miał być kimś zupełnie innym, ale tego człowieka już nie ma.

Cal cichym głosem zadaje ostateczny cios.

– Ten człowiek przepadł na zawsze.

Gdyby nie obecność Kamienia, Maven by zapłonął. Uderza pięścią o krzesło, odsłaniając kłykcie, białe jak kość.

– Ta rozmowa nie ma sensu – mówi ostro. – Jeśli nie zamierzacie przedstawić realnych warunków, odejdźcie. Umocnijcie miasto, zbierzcie trupy, przygotujcie się na prawdziwą wojnę.

Jego brat ani drgnie. Maven nie jest w stanie wyrzucić mu większej krzywdy. Cal przeszedł tragiczną transformację i wciela się w rolę, w której radzi sobie najlepiej. Generała, wojownika. Stoi twarzą w twarz z przeciwnikiem, którego może pokonać. Nie z bratem, którego chce ocalić. Między nimi nie ma już więzów

krwi, jest tylko krew, którą Maven kazał Calowi przelać.

– Prawdziwa wojna już trwa – odpowiada ze spokojem, który kontrastuje z porywczością młodszego brata. – Czy tego chcesz czy nie, Mavlenie, rozpętała się burza.

Próbuję postąpić tak jak Cal. Opuścić. Maskę dobrego, zaniedbanego chłopca opadła. Nie ma tu nawet jego ducha. Jest tylko człowiek, który siedzi przede mną pełen nienawiści, obsesji i wynaturzonej miłości. „Musisz to przetrwać”, syczę w głowie. Maven jest potworem. Naznaczył mnie, uwięził i dopuścił się najgorszych tortur. A wszystko po to, by utrzymać mnie przy sobie, nakarmić bestię szalejącą wewnątrz jego czaszki. Jednak choć bardzo tego nie chcę, widzę w nim odblask siebie. Uwięzionej pośród burzy, niezdolnej się wyzwolić i odejść od tego, co zrobiłam i co wciąż będę robić.

Ten świat zamienił się w burzę, którą pomogłam wywołać. Wszyscy się do tego przyczyniliśmy, w mniejszym lub większym stopniu. Postawiliśmy kroki, których znaczenia nie byliśmy świadomi, wybraliśmy drogi, którymi w innych okolicznościach nigdy byśmy nie podążyli.

Jon to wszystko przewidział. Zastanawiam się, która sekunda wprowadziła to w ruch. Która decyzja. Czy zawiniła Elara, która zajrzała mi do głowy, szukając szansy, by zaatakować Szkarłatną Gwardię? A może Evangeline, która doprowadziła do tego, że wzięłam udział w Królewskiej Próbie? Czy Cal, który złapał mnie za dłoń, gdy byłam tylko Czerwoną złodziejką? Kilorn? W dniu, w którym umarł jego nauczyciel, a jego los został przypieczętowany, i w którym zawisała nad nim groźba poboru? Może to wszystko nastąpiło wcześniej? Niewykluczone, że zaczęło się to wtedy, kiedy matka i siostra Farley zostały utopione przez króla Lakelandii, a ich śmierć nakłoniła pułkownika, ojca Farley, do działania. A może zawinił Davidson, który wymknął się śmierci na polu bitwy i zbiegł do Montfortu, by zbudować nową przyszłość? Możliwe, że wszystko zaczęło się o wiele dawniej, sto lat temu, albo tysiąc. Może ktoś został przeklęty albo naznaczony przez odległego boga, skazany na śmierć lub pobłogosławiony, tak by wszystko się urzeczywistniło.

Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiem.

ROZDZIAŁ 25

EVANGELINE

Cichy Kamień ociera się o mnie, a od jego niesłabnącej presji swędzi mnie skóra. Niełatwo go ignorować, nawet po latach treningu. Walczę z palącą chęcią, by przesunąć paznokciami po ramionach choćby po to, żeby poczuć inny rodzaj bólu niż zadawany przez ten okropny, niszczący ciężar. Zastanawiam się, gdzie zakopano Kamienie. Może pod podestem? Pod naszymi krzesłami? Wydają się tak blisko, że czuję, jak mnie duszą.

Inni sprawiają wrażenie, jak gdyby nie dokuczało im nienaturalne poczucie, że coś zgnięta nam wewnątrz. Nawet Mare, mimo całego swojego bagażu doświadczeń. Trzyma głowę wysoko uniesioną, a jej ciało pozostaje nieruchome. Nie widać, by odczuwała dyskomfort czy ból. To oznacza, że muszę ukryć swoje uczucia tak dobrze jak ona. Niech to szlag.

Wargi Brackena wyginają się z niesmakiem. Jemu także przeszkadza wrażenie wywoływane przez Cichy Kamień. Może dzięki temu stanie się bardziej przychylny naszej sprawie. Owszem, nienawidzi Montfortu i ma ku temu powody. Ale sądzę, że jeszcze bardziej nienawidzi przegrywać. Jeśli wybuch wściekłości Cala zadziała, z pewnością wkrótce przestanie pokładać nadzieję w Mawenie.

Maven wpatruje się w Cala z nienawiścią, jak gdyby sądził, że dorasta do pięt swojemu bratu wojownikowi. Może liczył na jego współczucie, ale Cal nie odpuszcza i siedzi nieporuszony na swoim miejscu.

– Oto moje warunki, Mawenie – mówi tonem nawet bardziej królewskim niż ten, którym przemawiał jego ojciec. – Poddaj się, a zachowasz życie.

Maven zasługuje tylko na kulkę w łeb albo dźgnięcie nożem w podbrzusze.

Stanowi zagrożenie i nie powinno się go zostawiać całego i zdrowego. Jego zduszona odpowiedź wypływa z najmroczniejszej otchłani ciała.

– Wynoście się z mojej wyspy.

Nikt nie jest zaskoczony. Ptolemeusz cicho wypuszcza powietrze. Jego palce drgają. Świerzbi go, by sięgnąć po sztylety przytwierdzone do piersi. Wartownikom nie przyszło do głowy, żeby nas rozbroić. A może mieli to gdzieś. Muszą sądzić, że Żeleźcy pozbawieni swoich mocy są niegroźni. „Mylą się”. Gdyby okoliczności na to pozwalały, mój brat wbiłby Mavenowi ostrze w brzuch.

Mój oblubieniec pochyła się na krześle i powoli wstaje.

– Dobrze – mówi, zbolały. – Przypomnij sobie ten dzień, Mawenie, kiedy będziesz opuszczony i samotny, nie mogąc winić za to nikogo poza sobą samym.

Maven odpowiada tylko grymasem i wybuchem śmiechu. Dobrze gra. Skrzętnie pilnuje wizerunku znękanego chłopca powołanego do wielkich rzeczy. Drugi syn nigdy nie miał zasiąść na tronie. Jego gra na nic się zdaje. Wszyscy wiemy, kim jest.

Nie ruszając się z miejsca, królowa Cenra odwraca głowę i wygląda zza córki, by na niego spojrzeć.

– Nasze warunki, Wasza Wysokość?

Maven nie odpowiada, zbyt rozkojarzony obecnością Cala i Mare, by zorientować się, że teściowa coś do niego mówi. Iris go szturcha.

– Tylko kapitulacja – reflektuje się. – Żadnego ulaskawienia, żadnej litości – dodaje, spoglądając Mare w twarz.

Dziewczyna aż się kuli.

– Dla żadnego z was.

Siedząca kilka miejsc za Calem Anabel wstaje. Wyciera dłonie, jak gdyby chciała się odciąć od tej sytuacji i toksycznego wnuka.

– A zatem postanowione. – Wzdycha. – Wszyscy się zgadzamy.

O dziwo, spogląda na Iris. Nie na Mawena, a nawet na Cenrę czy Brackena. Patrzy na młodą królową, która ma niewiele do powiedzenia i jeszcze mniejszą

władzę.

Młoda kobieta pochyla głowę, a szare oczy błyskają, skrywając jakiś przekaz.

– Owszem – mówi.

Siedząca obok niej królowa Cenra wykonuje taki sam gest. To pewnie jakaś lakelandzka tradycja. Tak samo głupia i bezużyteczna jak ich bogowie.

Matka i córka wstają jako pierwsze, a Bracken szybko podąża w ich ślady. Zgina się przede mną w głębokim ukłonie, a ja pochylam głowę. Jednak jego oczy ciemnieją, kiedy zatrzymują się na Davidsonie. Niezależnie od tego, jakie pozy przybieram, nie zdołam odciągnąć jego uwagi od nienawiści, którą darzy tego Nowego.

Premier jest niezrażony. Wstaje z nieodgadnioną miną, pełen gracji.

– To spotkanie było co najmniej interesujące – mamrocze z pustym uśmiechem.

– Owszem – słyszę własny głos.

Pozostała część naszej grupy z rumorem odsuwa krzesła i wstaje, zamieniając się w wir jaskrawych barw i błyszczących zbroi, aż zostaje tylko Maven, nieruchomy na swoim miejscu. Zapatrzony.

Mare zręcznie unika jego spojrzenia i omija Farley, by wziąć Cala pod ramię. Ten widok rozjusza fałszywego króla, który aż kipi ze złości. Mam wrażenie, że zaraz zacznie dymić. I gdyby nie obecność Cichego Kamienia, pewnie by zaczął.

– Do następnego razu – rzuca Cal przez ramię.

Z jakiegoś powodu te słowa powodują, że Maven traci kontrolę i wali rękami o podłokietniki krzesła, po czym wybiega, porzucając zebranych. Jego atramentowoczarna peleryna faluje na wietrze. Maven przypomina rozhisteryzowanego dwulatka. Bardzo niebezpiecznego dwulatka.

Lakelandzkie królowe i księżę Piedmontu z pewnym ociąganiem ruszają za swoim królem. Cal ma rację. Sojusznicy porzucą Mavena, jeśli szala przechyli się na jego niekorzyść, jeśli stanie się jasne, że nie wygra wojny. Czy przejdą wtedy na naszą stronę? Wątpię. Rozsiądą się i będą czekali na właściwy moment, by uderzyć. Niemal zazdroszczę Szkarłatnej Gwardii i Montfortowi. Przynajmniej ich

sojusz opiera się na prawdziwej lojalności i wspólnym celu. Nie tak jak w przypadku nas, Srebrnych. Możemy mówić o pokoju, ale nie do niego jesteśmy stworzeni. Toczymy wieczną walkę – w salach tronowych, na polach bitwy, a nawet przy stole jadalnianym. To nasza klątwa.

Nie mogę się doczekać, aż opuścę krąg Cichego Kamienia i będę mogła zaczerpnąć tchu. Pociągam Ptolemeusza za sobą w stronę wijącej się ścieżki, na której końcu czekają nasze samoloty. Trzymam się blisko brata, zwłaszcza że generał Farley podąża za nim krok w krok. Jak szczur śledzący wilka, czekający na dogodny moment.

Kiedy uwalniamy się spod wpływu Cichego Kamienia, powraca chłodna ulga moich umiejętności. Na skraju świadomości czuję mrowienie kawałków metalu umieszczonych w biżuterii, we włosach i na zębach, rozlokowanych po całym ciele. Sięgam po medale na piersi Mavena. Czuję, jak znikają. On naprawdę odchodzi. Ucieka z wyspy tak jak my.

Do rozstrzygnięcia wojny daleko, a jeśli dobrze zgaduję, obecnie szanse obu stron są wyrównane. Znajdują się w równowadze. To się może ciągnąć przez lata. Mogłabym pozostać panną, zaledwie księżniczką, a nie biegać na królewskiej smyczy. „Może udałoby mi się na kilka tygodni wrócić do domu, wyjechać, kiedy dotrze tu ojciec. Niech on zajmie się tym całym bałaganem. Może wyrwiemy się z Elane w jakieś spokojne miejsce”. Na myśl o tym zalewa mnie fala przyjemności.

Prawie nie zauważam, że przez cienką warstwę gleby przenika woda, która moczy mi stopy.

Czuję, że medale Mavena przestały się poruszać.

– Toli – szepczę i chwytam brata za ramię.

Z niedowierzaniem spogląda na podtopiony ląd. Pozostali także się rozglądają. Wysoko podnoszą nogi i z chłupotem brodzą w wodzie. Farley i jej oficerowie szybko zbierają porzuconą broń, choć część całkiem zamokła. Zajmują pozycje obronne i wpatrują się w linię drzew oraz majaczącą w oddali platformę.

Mare się przesuwa i staje przed Calem. Chłopak rozgląda się wokół,

sparaliżowany ze strachu przed wzbierającą wokół wodą. Jedna z jej dłoni iskrzy.

– Ostrożnie – krzyczę, odskakując do tyłu. Pociągam za sobą Toliego na mniej zamokły ład. – Zaraz nas usmażysz.

Obrzuca mnie zimnym spojrzeniem.

– Tylko jeśli tego zechcę.

– Wodniaczki? – jęczy Farley. Przyciska broń do policzka, a oko do celownika. – Dostrzegam ruch w tamtych rejonach. Niebieskie suknie, wartownicy... – Milknie.

Zza szarfy Toliego wyciągam nóż i pozwalam, by wirował mi w dłoni.

– Co jeszcze?

– Nic, czym powinniśmy się przejmować – mówi Anabel lekceważąco. – Chodźcie, wracajmy do samolotów.

Nie tylko ja wpatruję się w nią z otwartymi ustami.

Farley przemawia pierwsza, wciąż w pozycji bojowej.

– Albo cała wyspa tonie, albo powinniśmy się przygotować na atak...

– Nonsens. – Anabel pociąga nosem. – To nic takiego.

– Więc co się dzieje? – cedzi Cal. – Co zrobiliście?

Anabel pozwala mówić Julianowi Jacosowi. Na twarzy mężczyzny pojawia się słaby, pusty uśmiech.

– Zakończyliśmy to – mówi po prostu.

Mare pierwsza odzyskuje głos.

– Co...

Zza drzew, z przeciwnego kierunku niż plaża, dobiega dźwięk przypominający szum fal. Klęcząca dotąd Farley podskakuje i patrzy przez celownik, a jej oficerowie się cofają.

Ja wspinam się po piaszczystym wzgórzu, desperacko pragnąc dostać się do miejsca, z którego będę miała lepszy widok.

Nagle powietrze przeszywa huk kanonady rozbrzmiewającej nad trawiastymi połaciami. Stojąca na dole Mare się wzdryga. Zaciskam pięść i liczę pociski

unoszące się na skraju mojego pola widzenia. Pędzą w różnych kierunkach, a jednej serii odpowiada kolejna.

– Walczą... z czymś – zdaję raport z góry.

Cał rzuca się naprzód i wzbija wodę kopniakami, a jego pięści stają w ogniu.

– Maven – warczy, choć nie jestem tego pewna, bo jego słowa są ledwie słyszalne.

Mare wciąż stoi przed nim i próbuje go powstrzymać, a jednocześnie nie porazić prądem... albo samej nie spłonąć. Jego babcia pozostaje nieruchoma.

Kiedy się wspinam, woda ustępuje jak niewielki przypływ, raz po raz cofając się i napływając, jak gdyby ktoś ją odciągał. Ze swojego punktu obserwacyjnego, za poskręcanymi drzewami dostrzegam mieszaninę barw. Niebieska zbroja, czerwony ogień, płomienne szaty wartowników. Ktoś coś krzyczy, a echo jego słów niesie się skowytami. Powietrze zachodzi mgłą, jak gdyby ktoś zaciągnął szarą zasłonę.

Biżuteria rozprzestrzenia się po całym moim ciele, formując zbroję wokół dłoni i nadgarstków i przesuając się na ramiona.

– Dawaj broń, Farley! – wrzeszczę.

Zamiast na mnie spojrzeć, dziewczyna spluwa na ziemię.

– Mam lepszy cel i większy zasięg – warczę.

Farley jeszcze mocniej zaciska dłoń na długim karabinie.

– Jeśli sądzisz, że cokolwiek ode mnie dostaniesz...

– Jeśli sądzisz, że cię o to proszę... – odcinam się i pstrykam palcami.

Broń wyskakuje jej z dłoni i syczy do moich.

– Moje drogie, doprawdy, nie ma takiej konieczności – mówi Anabel, wciąż dziwnie nieporuszona. – Popatrzcie tylko. Już po wszystkim. – Staje pomiędzy nami i pomarszczonym palcem wskazuje linię drzew.

Woda znów pędzi przez polanę, wraz z postaciami, które zbliżają się z daleka. Przypominają cienie we mgle.

Pierwsze napływają zwłoki dryfujące w płytkiej wodzie, na której unoszą się

rozpostarte szaty wartowników. Ich maski zniknęły albo się rozpadły, więc mają odsłonięte twarze. Część wygląda znajomo, część nie. Cieniste postaci krzepną, a jedna z nich unosi rękę i przegania mgłę, która skrapla się i opada na nas nagłą ulewą, ukazując Cenrę i Iris oraz otaczających je półkolem strażników. Bracken dołącza do kobiet. Jego pierś połyskuje złoto, podczas gdy purpurowa peleryna ciągnie się po wodzie. Ustawiają się dziwnie, na dłuższą chwilę zasłaniając ubranych w niebieskie mundury strażników. Następnie przystają w odległości dziesięciu metrów, a wezbrana woda zbiera się wokół ich stóp. Zdezorientowani, wpatrujemy się w rozgrywającą się przed nami scenę. Nawet premier marszczy brwi. Tylko Anabel i Julian wydają się nieporuszeni.

– Bądź tak dobry i przygotuj wymianę – mamrocze Anabel, zwracając się do Jacosa.

Wuj Cala jest dziwnie blady, jakby źle się czuł, jednak kiwa głową i odchodzi, zabierając ze sobą dwóch strażników z domu Lerolan.

„Wymiana”, powiedziała.

Zerkam na Mare. Dziewczyna czuje na sobie mój wzrok i się odwraca, a w jej oczach dostrzegam lęk i zagubienie.

„Wymiana na co? – mam ochotę spytać. – Albo na kogo?” W kręgu lakelandzkich strażników coś się szamoce.

W przesmyku pomiędzy Cenrą a Iris widzę, jak ktoś toczy przegraną walkę z mężczyznami znacznie silniejszymi od siebie.

Maven ma zakrwawioną wargę, a jego korona przekrzywiła się na czuprynie zmierzwionych czarnych włosów. Macha nogami w powietrzu, tak że lakelandzcy strażnicy muszą go złapać za ramiona i odciągnąć. Woda wije się wzdłuż jego ciała, czekając na rozkaz. Stojąca u jego boku Iris gwizdże, obracając w dłoniach bransoletki męża. „Bransoletki krzeszące ogień. Klucz do jego umiejętności”, uświadamiam sobie, wstrząśnięta. Jest bezbronny, na łasce tych, którym sam nigdy jej nie okazał.

Księżniczka Lakelandii uśmiecha się nagle, co w kontraście z jej wyważonym

wizerunkiem przyprawia o dreszcze. Maven pluje w jej kierunku, ale nie trafia.

– Wodniacka suka – cedzi i znów kopie. – Popełniłaś dziś błąd.

Cenra wygina wargi w gniewnym grymasie, ale pozwala, by córka poradziła sobie sama.

– Doprawdy? – odpowiada Iris beznamiętnie. Niespiesznie ściąga koronę z jego głowy i wrzuca ją do wody. – A może to ty go popełniłeś? Może popełniłeś wiele błędów, a jednym z nich było wpuszczenie mnie do swojego królestwa.

Nie wierzę własnym oczom. Maven, zdradzony zdrajca. Oszukany oszust.

Wojna.

Zakończona.

Chyba zwymiotuję.

Mój oddech przyspiesza, a ja odrywam wzrok od Mavena i przenoszę go na jego brata. Cał pobladł jak trup. Jest jasne, że nie miał o niczym pojęcia, nie miał pojęcia o tym, co zorganizowali Anabel i Julian. O wymianie, której zamierzają dokonać w jego imieniu.

„Kogo oddadzą w zamian?”

Muszę uciekać. Zabrać Toliego. Wbiec wprost do wody.

Szybko zbiegam po zboczu i staję u boku brata. Fałszywy król z pewnością skutecznie odwróci ich uwagę. „Nie ułatwiał sprawy Wodniaczkom. Biegnij do odrzutowca. Leć do domu”.

– Nie schlebiaj sobie, Evangeline! – wrzeszczy Maven, wykręcając się tak, by przygłodzić włosy. Kosmyki znów wpadają mu do oczu. – Nie jesteś warta mojej ceny bez względu na to, jak dobrze o sobie myślisz.

Słyszając ten okrzyk, pozostali odwracają się i patrzą, jak się cofam, ciągnąc za sobą Ptolemejusza. Rozglądam się w poszukiwaniu jakiejś przyjaznej twarzy i największą życzliwość znajduję u Mare Barrow. Spogląda na mnie i na rękę, którą ściskam ramię Toliego. Wzbiera w niej coś na kształt litości – coś, co mam ochotę wypatroszyć nożem.

– Więc o kogo chodzi? – Unoszę brodę, a duma obleka mnie jak zbroja. – Może

to ty zamierzasz oddać się w ich ręce, Barrow?

Dziewczyna mruga, a litość przeradza się w złość. Tak lepiej.

– Nie – mówi Julian, powracając ze strażnikami.

Podobnie jak Lakelandczycy, ciągną za sobą więźnia z samolotu.

Kiedy ostatni raz widziałam Salina Irala, został pozbawiony tytułów i niemal uduszony przez mojego ojca za swoją bezmyślność i dumę. Wbrew rozkazom zabił króla Lakelandii pod murami Corvium tylko po to, by dostać pochwałę. Był zbyt krótkowzroczny, by zobaczyć, że ten czyn jedynie wzmocni sojusz Lakelandczyków z Mavenem i determinację obu królowych. Teraz zapłaci za ten błąd życiem.

Salin zwisa bezwładnie, a jego oczy wypełnia dziwna pustka. Wbija wzrok w stopy, a choć strażnicy nie przytrzymują go zbyt mocno, nie próbuje uciekać. Julian Jacos stoi na tyle blisko, że wszystko rozumiem. Iral zapewne nie otrzymał pozwolenia, by uciekać.

– Co to za... Nie zezwoliłem na żadne... – wyrzuca z siebie Cal, stając przed babcią.

Anabel łagodnie kładzie mu dłoń na piersi i lekko odpycha swojego króla.

– Ale zrobisz to, prawda, Cal? – mówi słodko. Z czułością, na jaką stać tylko matkę, wyciąga dłoń i przykładą ją do jego policzka. – Możemy zakończyć tę wojnę dzisiaj, teraz. Oto koszt. Jedno życie w zamian za śmierć tysięcy istnień.

To łatwa decyzja.

– Właśnie, Cal. Robisz to po to, by ocalić poddanych, nieprawdaż? – mówi Maven, a jego słowa ociekają sarkazmem. Słowa to jedyna broń, jaka mu pozostała. – Szlachetny do końca.

Cal powoli podnosi oczy, by spojrzeć na brata. Nawet Maven milknie, pozwalając, by ta chwila rozciągnęła się i zapiekła. Żaden z nich nie mruga. Żaden się nie cofa. Młodszy Calore uśmiecha się kpiąco, prowokując brata. Twarz Cala pozostaje niewzruszona, a król nic nie mówi. Nie musi. Wystarczy, że się pochyła i schodzi babci z drogi.

Julian dotyka palcem twarzy Salina i podnosi mu głowę, by ich wzrok się spotkał.

– Idź do królowych – mówi, a w jego głosie słychać melodię charakterystyczną dla zręcznych Pieśniarzy.

Takich, którzy mogliby omamić wszystkich i wyśpiewać sobie miejsce na tronie. Na szczęście dla nas wszystkich Julianowi Jacosowi nie zależy na władzy.

Mimo dezorientacji Salin Iral porusza się gładko jak aksamit, a jego kroki są pełne gracji. Pokonuje niewielką odległość dzielącą naszą grupę od Mavena. Lakelandzkie królowe wyglądają jak wygłodzone drapieżniczki spoglądające na swój następny posiłek. Iris chwyta Salina za szyję, podcina mu nogi i zmusza, by ukląkł w wodzie z zanurzonymi rękami.

– Wyślijcie go na drugą stronę – mówi Cenra cicho, gestem wskazując Mavena.

To wszystko wydaje się niewłaściwe, jak gdybyśmy oglądali tę scenę zza dymionego szkła. Wszystko dzieje się zbyt wolno, by było prawdziwe. Ale jest. Lakelandzcy strażnicy popychają potykającego się Mavena naprzód, zmuszając go, by ruszył w stronę brata. Fałszywy król wciąż się uśmiecha i pluje krwią, ale w jego oczach połyskują łzy. Traci nad sobą kontrolę, szwy pękają.

Wie, że to koniec. Maven Calore przegrał.

Strażnicy nie przestają go szturchać i nie pozwalają mu odzyskać równowagi. Żalony widok. Chłopak zaczyna coś do siebie szeptać, raz po raz przerywając wypowiedane z udręką słowa salwami śmiechu.

– Zrobiłem, jak kazałaś – mamrocze pod nosem. – Dokładnie tak, jak kazałaś.

Zanim dociera do brata, Anabel występuje naprzód, stając pomiędzy braćmi, waleczna jak lwica.

– Nie zbliżaj się do prawowitego króla – warczy.

Ta kobieta ma rację. Nie wolno mu ufać, nawet teraz, kiedy nic mu już nie pozostało.

Maven opada na kolana i przeczesuje włosy dłonią, mierzwiąc ciemne mokre loki. Spogląda na brata spojrzeniem pełnym ognia, którym już nie włada.

– Boisz się małego chłopca, Cal? Sądziłem, że jesteś wojownikiem.

Stojąca u boku Cala Mare tężeje i kładzie mu dłoń na ramieniu. Nie wiem, czy chce go powstrzymać, czy pchnąć do działania. Cal przełyka ślinę, a jego grdyka podskakuje. Król rozmyśla o tym, co powinien zrobić.

Ostatni król z rodu Calore z bolesną powolnością kładzie dłoń na rękojeści miecza.

– Gdyby role były odwrócone, bez wahania byś mnie zabił.

Spomiędzy zębów Mavena wydobywa się świszczący oddech. Waha się na tyle długo, by wypełnić przestrzeń kłamstwem. Albo nadzieją na kłamstwo. Nie sposób przewidzieć, co dzieje się w umyśle Mavena Calore ani jaką twarz pokaże zebrany.

– Owszem – mamrocze. Raz jeszcze pluje krwią. – Jesteś dumny?

Cal nie odpowiada.

Lodowaty błękit jego oczu przesuwają się i zatrzymuje na twarzy dziewczyny stojącej u boku brata. Pod jego spojrzeniem Mare sztywnieje, twarda jak hartowana stal. Ma wszelkie powody, by się go obawiać, ale dobrze je ukrywa.

– Czujesz satysfakcję? – pyta Maven niemal szeptem.

Nie wiem, do kogo kieruje to pytanie.

Żadne z nich się nie odzywa.

Moją uwagę przyciąga bulgotanie. Odrywam wzrok od Mavena i widzę, jak królowe krążą nad swoją ofiarą. Poruszają się po czymś w rodzaju okręgu. To nie taniec ani rytuał. Nie ma w tym żadnego schematu. Powoduje nimi jedynie lodowaty gniew. Nawet Bracken wygląda na podenerwowanego. Cofa się o kilka kroków, pozwalając, by zrobiły to, co muszą. Salin kołysze się pomiędzy nimi na kolanach, a jego usta pienia się od morskiej wody.

Kontynuują tę efektywną torturę, na zmianę lejąc mu wodę na twarz. Tyle, by mógł oddychać. Z sekundy na sekundę jego twarz blednie, staje się purpurowa, a wreszcie czarna. Mężczyzna w końcu upada i – wstrząsany drgawkami – topi się w piętnastu centymetrach wody. Nie może usiąść. Nie może się uratować. Kobiety

pochylają się nad jego ciałem i kładą mu ręce na ramionach. Upewniają się, że umierając, będzie patrzył im w oczy.

Byłam już świadkiem tortur stosowanych przez ludzi, którym sprawiają one przyjemność. Taki widok zawsze mierzi. Jednak ta brutalność jest zbyt wykalkulowana, żebym mogła ją zrozumieć. Przeraza mnie.

Iris łapie moje spojrzenie, a ja odwracam wzrok, nie mogąc znieść tego, co się dzieje.

Miała rację. Maven popełnił błąd, wpuszczając ją do swojego królestwa i pałacu.

– Czujecie satysfakcję? – powtarza Maven z jeszcze większą desperacją i zaciekłością, obnażając zęby jak białe kły.

– Zamilknij, Mavencie – śpiewa Julian, zmuszając chłopaka, by na niego spojrzał.

Pierwszy raz w swoim pokręconym życiu Maven Calore zamyka wredne usta. Spoglądam przez ramię i widzę Ptolemeusza. Jego pobladła twarz odzwierciedla to, co dzieje się w moim wnętrzu. Świat stanął na głowie. Zerwano sojusze i zawarto nowe, wymuszając konieczność nakreślenia nowych granic i zawarcia nowych związków małżeńskich. Ze ściśniętym sercem uświadamiam sobie, że istnieje jeszcze jeden element negocjacji. Musi istnieć. Nachylam się do brata i szepczę tak cicho, że tylko on mnie słyszy:

– Nie może chodzić tylko o Salina.

Iral jest zhańbionym lordem bez tytułu i ziemi, pozbawionym jakiegokolwiek władzy, zarówno w Rowach, jak i w Norcie. Jego wartość określa jedynie czyn, którego się dopuścił. Ale nawet lakelandzkie królowe nie wymieniłyby Mavena tylko po to, by dokonać krwawej zemsty. Są dziwne, ale nie głupie. Anabel powiedziała, że właśnie taka jest cena, ale to nie może być prawda. Musi chodzić o coś więcej. O kogoś innego.

Staram się tego po sobie nie pokazać. Nikt nie widzi tego, co kryje się pod moją maską beznamiętności.

Nie myliłam się aż tak bardzo, obawiając się, że chodzi o nas.

Maven miał jednak rację. Książę i księżniczka za króla? To idiotyczne. Nie jesteśmy warci jego ceny.

„Ale nasz ojciec z pewnością tak”.

Volvo Samos, król Rowów. Salin wbił nóż w lakelandzkiego króla, by zadowolić mojego ojca i zdobyć jego uznanie. Więc to tak samo jego wina. Morderstwa dokonano w jego imieniu.

Poza tym jest takim samym rywalem dla Lakelandczyków jak dla Cala.

Anabel bez trudu użyłaby go jako karty przetargowej. To, że oddadzą im mojego ojca, jest logiczne.

Ciasno splatam palce, by nie zdradziło mnie ich drżenie. Rozważam różne możliwości, a moja twarz jest pozbawiona emocji. Jeśli ojciec zginie, królestwo Rowów się rozpadnie. Bez niego nie utrzymam się przy władzy, nie w takich okolicznościach. Nie będę już księżniczką. Nie będę mu poddana, nie będę zwierzątkiem, które sobie wyhodował, zabaweczką, którą może wymienić, mieczem, którym może machać, jak chce.

Nie będę musiała wyjść za kogoś, kogo nie kocham, ani żyć w kłamstwie.

Jednak mimo wszystko kocham ojca. To silniejsze ode mnie. Choć nie mogę tego znieść.

Nie wiem, co robić.

ROZDZIAŁ 26

MARE

Oznajmiam, że nie polecę tym samym samolotem co Maven. Cal mówi to samo. Choć jego brat znajduje się pod wpływem czaru, nie mogę na niego patrzeć. Julian, Davidson i Anabel biorą to na siebie i odprowadzają Mavena do odrzutowca, dając nam nieco swobody.

Ale my i tak nie jesteśmy w stanie ze sobą rozmawiać. Lot powrotny do Harbor mija w ogłuszającej ciszy. Nawet Evangeline i Ptolemeusz są wstrząśnięci i milczący. Wymiana wytrąciła nas wszystkich z równowagi. Wciąż nie mogę w to uwierzyć. Julian i Anabel spiskujący i dobijający targu z Lakelandią? Tuż pod naszymi nosami? Bez zgody Cala i angażowania w to Davidsona? To nie ma sensu. Nawet Farley, dysponująca przecież gęstą siecią szpiegów, się tego nie spodziewała. Jednak spośród nas wszystkich tylko ona wydaje się zadowolona. Siedzi na swoim miejscu z uśmiechem i prawie drży z podekscytowania.

Powinniśmy się czuć inaczej. Wojna zakończyła się zwycięstwem. Nie będzie już bitew ani śmierci. Na wyspie Province Maven stracił koronę. Nikt jej nie podniósł, pozostawiliśmy krąg zimnego żelaza na pastwę losu. Iris zabrała mu bransoletki. Nawet gdyby chciał, nie może z nami walczyć. To koniec. Młody król został zdetronizowany. Już mnie nie skrzywdzi. Dlaczego więc tak fatalnie się czuję? Strach zagnieżdża się w głębi mojego żołądka, ciężki jak kamień i tak namacalny, że nie sposób go zignorować. „Co teraz będzie?” Z początku próbuję obwiniać Iris, jej matkę i Brackena. Nie sądzę, by zamierzali przychylić się do prośby Cala i uszanowali nasz sojusz. Zbyt wiele stracili, a domyślam się, że żadne z nich nie lubi wracać do domu z pustymi rękami. Wszyscy mają osobiste powody, by pragnąć zemsty, a Norta wciąż nie może się podnieść, zniszczona przez wojnę

domową. Silniejsze bestie mogą ją rozerwać na strzępy. Dni pokoju, którego dziś doświadczamy, są policzone. Niemal słyszę tykanie zegara odmierzające uciekające minuty naszego życia.

„Nie dlatego się boisz, Mare Barrow”.

Wczorajszej nocy ja i Cal postanowiliśmy nie dokonywać wyborów i nie zmieniać już podjętych decyzji. Pewne sprawy można było ignorować, kiedy ważyły się losy tej wojny. Ale sądziłam, że dostaniemy więcej czasu. Nie podejrzewałam, że wszystko tak szybko się skończy. Nie wiedziałam, że wkrótce staniemy nad przepaścią.

„Teraz, kiedy obalono Mavena, Cal naprawdę stał się królem Norty. Zostanie koronowany i zajmie przysługujący mu tron. Poślubi Evangeline. Nic innego nie będzie miało znaczenia.

I znów będziemy wrogami”.

Montfort i Szkarłatna Gwardia nie pozwolą, by Nortą władał kolejny król.

Ja też nie mogę na to pozwolić, nawet jeśli obieca wprowadzenie zmian. Schemat zostanie powtórzony przez jego dzieci i wnuki, kolejne pokolenia królów i królowych. Cal nie chce dojrzeć tego, co właściwe. Nie czuje się na siłach poświęcić swojego tronu dla lepszego świata.

Zerkam na niego przez rzęsy. Nie zauważa, że się na niego gapię, koncentruje się na czymś innym, na czymś ukrytym w swoim wnętrzu. Myśli o bracie. O cenie, którą Maven Calore musi zapłacić za przelew krwi, bo do tego doprowadził, za rany zadane nam wszystkim.

Zanim wdarliśmy się do więzienia Corros, kiedy Cal sądził, że Maven będzie na nas czekał, zapowiedział, że straci nad sobą kontrolę. Że bez skrupułów rzuci się na Mavena. Przeraziło go, że tak łatwo może stracić panowanie. Powiedziałam mu wtedy, że jeśli jemu się to nie uda, to ja zabiję Mavena. Wtedy złożenie tej obietnicy przyszło mi łatwo, ale kiedy miałam okazję ją wypełnić i kiedy Maven spojrzał na mnie z wanny, kruchy jak noworodek, zawróciłam.

Chcę, żeby zapłacił śmiercią. Za to, co mi zrobił. Za ból, za złamane serce. Za

Shade'a. Za Czerwonych, których wykorzystał jak pionki w swojej pokręconej grze. Nie wiem jednak, czy sama potrafiłabym go zabić tylko po to, by zniknął z tego świata. Nie wiem też, czy Cal byłby do tego zdolny.

Ale zrobi to. Musi. W tym miejscu kończy się droga.

Podróż powrotna w rejon zatoki Harbor wydaje się krótsza niż lot na wyspę. Lądujemy na skraju Portu Morskiego, a samoloty zajmują płytę dawnego miejskiego rynku. Na widok żołnierzy koalicji otaczających plac przewraca mi się w żołądku. Tyle par oczu.

Na szczęście tym razem to nie ja jestem główną atrakcją. Choć na jego rozkaz sama wielokrotnie byłam marionetką, nie czuję satysfakcji, patrząc, jak strażnicy wyprowadzają Mavena z odrzutowca. Potyka się. Julian sprawił, że jego kończyny są ociążałe. Wygląda młodziej niż kiedykolwiek. Ktoś zakuł mu ręce w kajdany. Milczy, nie może wypowiedzieć ani jednego słowa.

Farley trzyma się u jego boku, uśmiechając się z dumą, z jedną ręką uniesioną w triumfalnym geście. Łapie go za kołnierz.

– Powstańcie, Czerwoni, niczym świt! – krzyczy. Stopą podcina Mavenowi nogi, tak jak zrobiła to Iris.

Chłopak opada na kolana. Obalony król.

– Zwycięstwo!

Głucha cisza panująca na rynku rozplywa się, gdy tłum uświadamia sobie, co to wszystko oznacza. Ludzie wznoszą okrzyki, ryczące na wietrze, a na zmianę radosne i jadowite piski rozbrzmiewają tak głośno, że pewnie całe miasto już wie, co się dzieje.

U boku czuję bijące od Cala ciepło. Obserwuje pokaz z twarzą pozbawioną wyrazu. To wszystko mu się nie podoba.

– Przetransportujcie go do pałacu – szepcze, kiedy zbliża się do niego Anabel. – Najszybciej, jak się da.

Babka spogląda na niego i wzdycha z rozdrażnieniem.

– Ludzie muszą go zobaczyć, Cal. Pozwól im się cieszyć swoim zwycięstwem.

Niech cię za nie pokochają.

Cał się obrusza.

– To nie miłość – odpowiada, wskazując tłum brodą.

Liczba Czerwonych i Nowych znacznie przewyższa jego Srebrnych, ale zebrani spoglądają na Mavena z wściekłością i wygrażają mu pięściami. Rynek ogarnęła furia.

– To nienawiść. Przetransportujcie go do pałacu, z dala od tłumu.

To właściwa decyzja. I jedna z tych prostszych. Kiwam do niego głową, lekko ściskam go za ramię. Chcę go pocieszyć najlepiej, jak mogę, kiedy jeszcze mogę. Podobnie jak naszemu sojuszowi, nam również kończy się czas.

Głos Anabel staje się ostrzejszy.

– Moglibyśmy z nim przedefilować...

– Nie – wcina się Cał cichym, rozwścieczonym głosem. Spogląda to na babcię, to na mnie. Pod jego spojrzeniem cała się napinam. – Nie zamierzam popełniać jego błędów.

– Jak chcesz – cedzi przez zaciśnięte zęby.

Na plac wjeżdżają transportowce, po czym zatrzymują się i czekają, by zabrać nas do pałacu. Cał szybkim krokiem rusza do najbliższego pojazdu, a ja idę za nim, pamiętając, by okazać należny mu szacunek i zachować dystans.

– Musimy jeszcze rozesłać raporty i przekazać informacje mediom – kontynuuje Anabel po drodze. – Trzeba powiadomić lud Norty, że ich prawowity król powrócił. Zwołać Szlachetne Domy, niech złożą przysięgę wierności. Ukarać tych, którzy nie przysięgną ci posłuszeństwa.

– Wiem – warczy.

Za naszymi plecami słychać szamotaninę. Farley popycha Mavena naprzód, a Julian ich osłania. Kilku żołnierzy rzuca na ziemię czerwone chusty, świętując nasz triumf. Jedni wiwatują, inni wyrzaskują obelgi.

Ich okrzyki brzmią okropnie, choć to przecież moi pobratymcy. Mam przed oczami scenę z Archeonu, kiedy przeprowadzono mnie przez miasto zakutą

w kajdany. Byłam więźniem, trofeum. Maven kazał mi klęknąć przed światem. Wtedy zbierało mi się na wymioty i teraz czuję to samo. „Czy nie powinniśmy być lepsi niż oni wtedy?”

Bez względu na przeszłość wypełnia mnie ten sam odrażający głód. Pragnienie zemsty i sprawiedliwości. Chce zostać zaspokojone. Odpycham je, próbując zignorować noszone w sobie monstrum, zrodzone z krzywd, które wyrządziłam, i tych, które wyrządzono mnie.

Anabel nie przestaje paplać do momentu, gdy dochodzimy do transportowców. Cal odsyła ją rozwścieczonym spojrzeniem. Wsiadam do naszego pojazdu, nawet się nie odwracając. Nie jestem w stanie patrzeć na to, jak inny człowiek doświadcza choćby ułamka tego, co przeżyłam w Archeonie. Nawet jeśli tym człowiekiem jest Maven.

Cal zatrzaskuje za sobą drzwi i zagłębia się w półmrok. Od kierowcy oddziela nas podniesiona szyba. Jesteśmy sami, nie musimy przed nikim grać. Jest prawie cicho, szyderstwa tłumu brzmią jak niskie buczenie.

Cal pochyla się do przodu, opierając łokcie na kolanach, i kryje twarz w dłoniach. Nie radzi sobie z towarzyszącymi mu teraz emocjami. Ze strachem, z żalem, ze wstydem i z ogromną ulgą. A wszystkie te uczucia podszyte są kłębiącym się przerażeniem, świadomością tego, co nadchodzi. Przyciskam plecy do oparcia i zakrywam oczy dłońmi.

– To koniec. – Słyszę swój głos i czuję na języku smak kłamstwa.

Cal dyszy, z twarzą ukrytą w dłoniach, jak gdyby właśnie wrócił z treningu.

– Wcale nie – odpowiada. – To dopiero początek.

*

Moje pokoje w Morskim Wzgórzu znajdują się na piętrze po przeciwnej stronie rezydencji do komnaty Cala. Wybrano je specjalnie dla mnie – są jasne i przestronne, ale łazienka okazuje się zbyt mała i jest chwilowo zbyt zatłoczona. Drzę, zanurzając się w ciepłej wodzie, i pozwalam, by otoczyła mnie piana. Ciepło

przynosi ukojenie i likwiduje bóle oraz napięcie mięśni. Farley opiera się o wannę, plecami do mnie, a Davidson o drzwi. Jak na narodowego przywódcę wygląda szokująco nieoficjalnie. Elegancki garnitur, który miał na sobie w czasie spotkania, jest rozpięty, a rozchełstana koszula odsłania biały podkoszulek oraz podskakującą grdykę. Pociera oczy i ziewa, wykończony, choć nie dochodzi nawet południe.

Raz jeszcze przesuwam ręką po twarzy, żałując, że nie potrafię zmyć z siebie frustracji tak jak brudu. „Dlaczego nie dadzą mi choćby sekundy dla siebie?”

– A kiedy odmówi? – burczę do moich towarzyszy.

Nasz plan, jedyna szansa, żeby wszystko się nie rozpadło, zawiera zbyt wiele dziur, by można je było zliczyć.

Davidson splata palce i obejmuje dłońmi zgięte kolano.

– Jeśli odmówi...

– Odmówi – zapewniamy go z Farley smętnym unisonem.

– W takim razie postąpimy tak, jak zamierzaliśmy wcześniej – mówi premier bez ogródek, nonszalancko wruszając ramionami. Obserwuje mnie z ukosa, uważnie, ale ze znużeniem. – Jeśli nie dotrzemy słowa, będziemy skończeni. Złożyłem swojemu narodowi obietnice, które muszę wypełnić.

Farley kiwa głową na znak, że się zgadza. Odwraca się do mnie przez ramię, a nasze twarze znajdują się zaledwie kilka centymetrów od siebie. Z bliska mogę policzyć piegi na jej nosie, z upływem lat coraz liczniejsze. Kontrastują z jej pokiereszowanymi ustami.

– Ja też – oznajmia. – Inni generałowie Dowództwa jasno przedstawili swoje stanowisko.

– Chciałbym ich poznać – mamrocze Davidson bez entuzjazmu.

Dziewczyna uśmiecha się z goryczą.

– Jeśli wszystko pójdzie tak, jak przewidujemy, będą na nas czekać po powrocie.

– To dobrze – odpowiada premier.

Przeciągam rozłożonymi palcami po perfumowanej wodzie i znaczę linie na jej

mlecznej tafli.

– Ile mamy czasu? – zadaję pytanie, którego do tej pory unikaliśmy. – Do powrotu Lakelandczyków?

Farley znów odwraca się do mnie tyłem i opiera podbródek na zgiętym kolanie. Zaciska zęby ze stukiem, podenerwowana. To dla niej nietypowe emocje.

– Z raportów agentów przebywających w Piedmoncie i Lakelandii wynika, że w tamtejszych fortach i cytadelach coś się dzieje. Tworzone są armie. – Jej głos się zmienia, nabiera ciężaru. – Już niedługo.

– Uderzą w stolicę – mówię bez emocji. To nie pytanie.

– Prawdopodobnie – oznajmia Davidson. W zamyśleniu stuka palcem o wargę. – W najgorszym razie odniosą symboliczne zwycięstwo. A w najlepszym, jeśli inne miasta i regiony się ugną, błyskawicznie podbiją cały kraj.

Na tę sugestię Farley tężeje.

– Jeśli Cal zginie w czasie ataku... – Milknie, gryząc się w język.

Choć leżę w ciepłej wodzie, na myśl o tym robi mi się zimno. Odwracam wzrok i zamiast na Farley spoglądam przez okno. Puchate białe obłoczki płyną leniwie po przyjaznym błękiecie nieba. Jest zbyt słonecznie i zbyt sielankowo na tego typu rozmowy.

Świadomie lub nie, Davidson przekręca nóż, który nieprzerwanie tkwi w moim brzuchu, kontynuując wątek podjęty przez Farley.

– Nie ma następców. W państwie zapanuje chaos.

Mówi to tak, jak gdyby istniała inna możliwość. Gwałtownie zmieniam pozycję w wodzie i spoglądam na niego ze złością. Jedną dłoń opieram na porcelanowej krawędzi wanny, a z palca wypuszczam ostrzegawczą iskrę. Premier lekko się odchyła.

– To się skończy kolejnym rozlewem Czerwonej krwi, Mare – wyjaśnia. Jego słowa brzmią jak przeprosiny. – Nie mam najmniejszej ochoty do tego dopuścić. Musimy zająć Archeon, zanim oni to zrobią.

Farley kiwa głową, jednocześnie zaciskając pięść. Jest stanowcza.

– Trzeba zmusić Cala do rezygnacji z tronu. Przekonać go, że to jedyny wybór. Nie ruszam się, z oczami wciąż utkwionymi w premierze.

– A co z Rowami?

Mruży oczy tak, że teraz przypominają szparki.

– Volvo Samos nie zaakceptuje istnienia świata, którym nie będzie mógł rządzić, ale Evangeline... – Smakuje jej imię na języku. – Niewykluczone, że ją uda nam się przekonać. A przynajmniej przekupić.

– Niby czym? – pryham. Wiem, że Evangeline zrobi wszystko, by nie poślubić Cala, ale czy zdradziłaby rodzinę, zrezygnowała z korony? Tego nie mogę sobie wyobrazić. Prędzej zgodzi się na cierpienie. – Jest od nas wszystkich bogatsza. I zbyt dumna.

Davidson z wyższością unosi podbródek. Jak gdyby wiedział coś, o czym my nie mamy pojęcia.

– Wizją własnej przyszłości – mówi. – Wolnością.

Marszczę nos, nieprzekonana.

– Nie wiem, o co mielibyśmy ją prosić. Nie pozbędzie się własnego ojca.

Premier kiwa głową.

– Nie, ale może doprowadzić do rozpadu sojuszu. Odmówić wyjścia za mąż. Odciąć Rowy od Norty. Zadbać o to, by Cal nie miał się do kogo zwrócić. Wymusić to na nim. Bez sojuszników Cal nie utrzyma tronu.

Davidson się nie myli, ale ten plan awaryjny jest zbyt ryzykowny. Owszem, mamy z Evangeline wspólny cel, ale zakładać, że sprzeniewierzy się własnej krwi? Rodzinie? To wszystko wydaje się nieprawdopodobne. Sama powiedziała, że kiedy nadejdzie właściwy czas, nie będzie mogła zerwać zaręczyn ani postąpić wbrew życzeniom ojca.

W powietrzu wiszą ciche kłęby pary.

Po drugiej stronie drzwi rozbrzmiewa zirytowany głos.

– Właściwie jakie jest prawdopodobieństwo, że wszystko pójdzie zgodnie z planem?! – woła Kilorn z mojej sypialni.

Nie potrafię powstrzymać śmiechu.

– A czy kiedykolwiek tak było?

Odpowiada długim jękiem frustracji. Drzwi drżą, kiedy chłopak z łomotem opiera o nie głowę.

*

Kilorn i Davidson są na tyle wspaniałomyślni, że opuszczają pokój, żebym mogła się w spokoju ubrać, ale Farley zostaje i wyleguje się na łóżku przykrytym narzutą w morskim odcieniu. Z początku mam ochotę przegonić generała, żeby choć przez chwilę móc nacieszyć się samotnością, ale mijają kolejne minuty, a ja zaczynam być zadowolona z jej towarzystwa. Gdybym była sama, mogłabym się załamać i już nigdy nie otworzyć tych drzwi. Obecność Farley sprawia, że nie mam wymówki i muszę się przygotować tak szybko, jak potrafię. Nabieram rozpędu, który – mam nadzieję – będzie mi towarzyszył przez pozostałą część tego interesującego dnia. Parska śmiechem, kiedy wbijam się w galowy mundur Szkarłatnej Gwardii. Wyczyszczony i dopasowany do mojej figury. Od zaprzysiężenia minął niemal rok, ale nigdy dotąd nie brałam udziału w tak oficjalnym wydarzeniu. Mundur ma znaczenie symboliczne. Ma mnie odciąć od Cala i jego Srebrnych sojuszników, sądzę jednak, że tak naprawdę Farley chciała podzielić się z kimś cierpieniem. Jaskrawy krwistoczerwony strój jest ciasny i sztywny, zapięłam go pod samą szyję. Męcę się w nim i próbuję nieco poluzować duszący kołnierzyk.

– Niefajnie, co? – Farley chichocze. Jej kołnierzyk jest poluzowany i na razie odgięty.

Spoglądam na swoje odbicie w lustrze i zauważam, jak dopasowany strój obrysowuje kontury mojego ciała. Na górze kanciasty, ze spodniami o prostych nogawkach wpuszczonych w wysokie buty, sprawia, że moja sylwetka staje się kwadratowa. Cóż, suknia balowa to to nie jest.

Choć guziki są wypolerowane na błysk, mundur jest pozbawiony innych ozdób. Brak tu odznak i emblematów. Przesuwam dłonią po gładkiej tkaninie na piersi.

– Otrzymam w końcu jakiś stopień? – pytam, obrzucając Farley wzrokiem.

Podobnie jak w Kongresie Zgromadzonych ma na kołnierzyku trzy belki generalskie, ale większość fałszywych medali i wstęg zniknęła. Nie ma co urządzać ceremonii przed Calem, który i tak wszystko rozgryzie.

Leży na plecach i wpatruje się w sufit. Jedną nogę założyła na drugą, a jej stopa zwisa swobodnie.

– „Szeregową” brzmi ładnie.

Przykładam rękę do serca, udając oburzenie.

– Jestem z wami od roku.

– Użyję swoich wpływów – oznajmia. – Wstawię się za tobą i może załatwię ci awans na kaprała.

– Co za wspaniałomyślność!

– Odpowiadasz przed Kilornem.

Mimo strachu wypełniającego całe moje ciało wybucham śmiechem.

– Tylko mu o tym nie mów. – Już sobie wyobrażam, jakie urządziły mi piekło: drwiny, fałszywe rozkazy... nie dały mi żyć.

Farley śmieje się razem ze mną. Krótkie jasne włosy otaczają jej twarz złotą aureolą. Często się śmieje, ale tym razem jej śmiech jest inny. Nie ma w nim uszczypliwości ani kpiny. To mały wybuch prawdziwej radości. Ostatnio rzadko jej doświadczamy.

Moja przyjaciółka powoli się reflektuje, a śmiech zamiera jej w gardle. Błyskawicznie odwracam wzrok, jak gdybym zobaczyła coś, czego nie powinnam.

– Spędziłaś z nim wczorajszą noc. – W jej głosie pobrzmiewa pewność. Wie.

Pewnie wszyscy o tym wiedzą. Cal i ja nie byliśmy zbyt dyskretni.

Odpowiadam szczerze, bez zażenowania:

– Tak.

Jej uśmiech gaśnie, dziewczyna siada na łóżku. W lustrze widzę, jak zmienia się jej wyraz twarzy. Kąciki ust opadają, a oczy łagodnieją i zagnieżdża się w nich coś na kształt smutku albo współczucia. Czyżbym widziała w nich błysk

podejrzliwości?

– To niczego nie zmienia – mruczę i odwracam się do niej, najeżona. – Dla żadnego z nas.

Farley odpowiada natychmiast, unosząc rękę.

– Wiem o tym – mówi, jak gdyby uspokajała zwierzę. Przełyka ślinę i oblizuje wargę, uważnie dobierając słowa. – Tęsknię za Shade’em. Dopuszczałabym się najgorszych czynów, żeby go odzyskać. Żeby spędzić z nim jeszcze jeden dzień. Pozwolić Clarze poznać ojca.

Zaciskam dłonie u boków i wbijam wzrok w podłogę. Czuję, jak gorąco napływa mi na twarz. Rumienię się ze wstydu, bo Farley mi nie ufa. Ogarnia mnie złość i głęboki żal, że straciliśmy mojego brata.

– Ja nie...

Farley wstaje i kilkoma stanowczymi krokami zamyka dzielącą nas przestrzeń. Kładzie mi dłonie na ramionach i zmusza mnie, żebym spojrzała w jej poprzecinaną bliznami twarz.

– Chcę przez to powiedzieć, że jesteś ode mnie silniejsza, Mare – szepcze. Jej oczy błyszczą.

Zajmuje mi dłuższą chwilę, zanim pojmuję jej słowa.

– W kwestii partnera. I w żadnej innej – dodaje szybko, rozładowując napięcie.

– W żadnej innej – zgadzam się z wymuszonym śmiechem. – Poza umiejętnością rażenia ludzi prądem.

Farley tylko wzrusza szerokimi ramionami.

– Kto wie? Sama jeszcze tego nie próbowałam.

*

Z sali tronowej na Morskim Wzgórzu rozciąga się widok na miasto, błękitne dachy i białe ściany domów, w dół, aż do portu. Okazałe okna sklepiają się nad tronem króla, zalewając komnatę późnopołudniowym złotym światłem. Dzięki niemu wszystko wygląda jak we śnie, jak gdyby ta chwila nie należała do

rzeczywistości. Jakaś część mnie ma nadzieję, że i tym razem obudzę się pośród ciemności tamtego dnia, gdy wyruszyliśmy na wyspę Province. Kiedy wojna zakończyła się szybkim zwycięstwem, a jedno życie tak łatwo wymieniono na drugie.

Cal nie wspominał już potem o Salinie Iralu, i nie musiał tego robić. Znam go na tyle dobrze, by wiedzieć, ile kosztuje go to wspomnienie. Zhańbiony lord – ale jednak lord – utopiony w zamian za Mavena. Calowi nie jest z tym lekko. Ale patrząc na króla Tyberiasza Siódmego, nikt by się tego nie domyślił.

Siedzi na tronie ojca, wysoki na tle diamentowo-szklanego siedziska, a w tych swoich odcieniach szkarłatu i czerni sam wygląda jak płomień. Światło wpadające przez okna rozjaśnia jego sylwetkę, a ja zastanawiam się, czy któryś z jego strażników nie należy do Cienistych z rodu Haven, potrafiących zakrzywić promienie światła, tak by spotęgować wrażenie siły i władzy. Jeśli tak, to sztuczka się udała. Cal przypomina króla, przypomina własnego ojca. Mavem nigdy tego nie osiągnął.

Patrzę na to wszystko z obrzydzeniem. Na błyszczący tron i prostą koronę na jego skroni. Wykuto ją z różowego złota, tak jak koronę jego babci. Ten materiał jest bardziej drogocenny niż żelazo. Bardziej elegancki. Mniej agresywny. To korona na czas pokoju, nie na czas wojny.

Farley i ja siedzimy obok siebie, na lewo od tronu, wraz z Davidsonem i jego siostrą z Montfortu. Po prawej, u boku Cala, znajduje się Anabel. Siedzi bliżej tronu niż ktokolwiek inny. Nieco dalej zasiadają przedstawiciele domu Samos, zgromadzeni wokół innego króla.

Zastanawiam się, ile czasu zajęło Volvo Samosowi skonstruowanie własnego tronu ze stali i perłowego metalu. Misternie splecione srebrne i białe warkocze tu i ówdzie ozdobiono czarnymi dżetami. Wargi drgają mi na myśl o królu Samosie marnującym czas na stworzenie tego fotela. Charakterystyczne dla Srebrnych zamykanie do widowisk nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

Siedząca przy ojcu Evangeline wydaje się dziwnie zdenerwowana. Zazwyczaj delectuje się tego typu chwilami, zadowolona, że może wszystkich oglądać i być

ogładana. Tym razem nie potrafi wysiedzieć bez ruchu, bezustannie przebiera palcami i stuka o podłogę wystawioną spod sukni stopą. Zastanawiam się, co takiego wie albo podejrzewa. Z pewnością nie chodzi o propozycję Davidsona, bo ten jeszcze jej nie złożył. Nie zamierza tego robić, dopóki nie będzie pewien, że Evangeline jest nam niezbędna. Jednak jej ciemnoszare oczy strzelają na boki, rozglądają się po wielkiej sali. Raz po raz spoglądają na otwarte na oścież wysokie drzwi w głębi komnaty, prowadzące do sali audiencyjnej. Na zewnątrz zebrał się oczekujący beczynn timer – Srebrni i Czerwoni, którzy mają nadzieję zobaczyć, co dzieje się w środku. Przenika mnie lęk. Evangeline rzadko się boi.

Zapominam o tym wszystkim, kiedy do sali wkracza Julian, trzymając dłoń na ramieniu królewskiego więźnia prowadzonego w stronę tronu. Wokół rozlegają się zuchwał szept, które milkną dopiero wówczas, gdy drzwi zamykają się z głośnym hukiem, oddzielając nas od reszty pałacu. Cal nie jest typem gwiazdora, a poza tym ma dość rozumu, by wiedzieć, że nie potrzebuje publiczności w chwili, gdy będzie decydował o losie brata.

Tym razem Maven się nie potyka. Nawet ze spętanymi nadgarstkami trzyma głowę wysoko. Przypomina drapieżnego ptaka, rozglądającego się ostrym wzrokiem jastrzębia lub orła pragnącego nas dosięgnąć jeszcze ostrzejszymi szponami. Ale nie jest groźny. Nie ma swoich bransoletek. Ani nikogo, kto wykonywałby jego rozkazy. Otaczają go strażnicy z domu Lerolan, lojalni wobec Cala i Anabel. Nie wobec Mavena.

– Nie widzę sposobu, by mógł się z tego wyplątać. Nawet on.

Mężczyźni zatrzymują się w odległości kilku metrów od Cala, a Anabel wstaje. Jej sylwetka rzuca długi cień. Powoli podnosi wzrok na Mavena, jak gdyby jej oczy żywcem obdzierały go ze skóry.

– Klęk przed swoim królem, Mavene – mówi, a jej głos niesie się echem po komnacie, w której panuje przenikliwa cisza.

Chłopak przekrzywia głowę.

– Jakoś nie mam ochoty.

Nagle przenoszę się do innego pałacu i widzę innego króla z rodu Calore. Na klęczkach obok Mavena, z rękami skutymi za plecami, podczas gdy jego syn stoi. Wtedy, gdy wszystkich nas zdradził i ujawnił, do kogo w rzeczywistości należy jego serce.

„Maven, pomóż mi wstać”.

„Niestety nic z tego”.

Także teraz Maven Calore ostrożnie dobiera słowa.

Nawet kiedy nie mają one znaczenia, kiedy utracił wszelką władzę, wciąż potrafi zadać ból.

Siedzący na tronie Cal pochmurnieje i jedną dłoń zaciska w pięść. Czuję budzącą się we mnie bestię, która błaga, bym rozerwała Mavena na strzępy. Starła go z powierzchni ziemi. Chciałabym ulec temu pragnieniu, ale nie mogę. Dla własnego zdrowia psychicznego. Dla poczucia, że wciąż jestem człowiekiem.

– Jeśli chcesz, to stój – odzywa się w końcu Cal, a nagromadzone w nim napięcie znów się rozplywa. Macha ręką, jak gdyby było mu wszystko jedno. – Najważniejsze i tak jest to, gdzie stoisz. I to, gdzie obecnie zasiadam ja.

– Owszem. Obecnie – odpowiada Maven, podkreślając ostatnie słowo. Jego oczy błyszczą, zimne jak lód, palące jak błękitny płomień. – Wątpię, czy długo tu posiedzisz.

– To nie twoje zmartwienie – rzuca Cal. – Jesteś zdrajcą i mordercą, Mavencie Calore. Popełniłeś zbrodnie zbyt liczne, by je wymieniać, więc nie będę nawet próbował.

Maven tylko prychnie i przewraca oczami.

– Nie lubisz się wysilać.

Starszy brat ignoruje prostacką przynętę i zamiast tego odwraca się do Davidsona jak do doradcy, a nawet przyjaciela.

– Panie premierze, jaka kara spotkałaby mojego brata w pańskim kraju? – pyta otwarcie.

To fantastyczny pokaz solidarności, nieodłączna część wizerunku, jaki stara się

zbudować Cal. Król, który jednoczy, a nie sieje zniszczenie. Srebrny, który szuka rady u Czerwonych, pogardzając podziałami krwi.

Jego zachowanie już teraz ma swoje konsekwencje.

Siedzący na tronie Volvo podwija wargę i szeleści szatą jak rozzłoszczony ptak stroszący piórka. Maven natychmiast to zauważa.

– Zamierzasz na to pozwolić, Volvo? – podjudza go. – Zgodzisz się zajmować podrzędną pozycję, mniej ważną od pozycji Czerwonego? – Wybuchu śmiechem tak ostrym, że mógłby przeciąć szkło. – Jakże nisko upadł dom Samos.

Podobnie jak Cal, Volvo także nie daje się wciągnąć w gierki Mavena. Splata chromowane ramiona na piersi i nieruchomieje.

– Ja jeszcze mam koronę, Mavenie. A ty?

Maven odpowiada tylko szyderczym uśmiechem. Kącik jego ust drga.

– Egzekucja – mówi stanowczo premier Davidson, pochylając się do przodu. Kładzie łokcie na oparciach fotela i przesuwa się tak, by lepiej przyjrzeć się obalonemu fałszywemu królowi. – Zdradę karzemy egzekucją.

Cal ledwie mruga. Tym razem nachyla się do Volvo.

– Wasza Wysokość, co zrobilibyście z nim w Rowach?

Volvo odpowiada bez zastanowienia, odsłaniając zęby. Tak jak Evangeline, on także ma kły pokryte spiczastymi srebrnymi nakładkami.

– Dokonalibyśmy egzekucji.

Cal kiwa głową.

– Pani generał? – zwraca się do Farley.

– Egzekucja – odpowiada, unosząc podbródek.

Stojący u ich stóp Maven zdaje się nieporuszony tymi wypowiedziami.

Nie jest też zaskoczony. Niewiele uwagi poświęca premierowi, Farley czy Volvo. A nawet mnie. Wąż zwinięty w jego umyśle koncentruje się na jednej jedynej osobie. Maven wpatruje się w swojego brata nieruchomym wzrokiem, a z każdym płytkim oddechem jego pierś podnosi się i opada. Zapomniałam, jak bardzo są do siebie podobni, choć to przyrodnie rodzeństwo. Łączy ich nie tylko ta

sama karnacja, ale i temperament. Są zdeterminowani, zawzięci. Uformowani przez rodziców. Cal powstał z marzeń ojca, a Maven z koszmarów matki.

– A co ty zrobisz, Cal? – pyta głosem tak niskim i cichym, że ledwie go słyszę.

Cal się nie waha.

– Dokładnie to, co ty próbowałeś zrobić ze mną.

Maven powstrzymuje śmiech. Wypuszcza tylko oddech.

– Więc zginę na arenie?

– Nie – odpowiada król, potrząsając głową. – Nie zamierzam patrzeć, jak w ostatnich minutach życia się ośmieszasz.

To nie żart. Maven nie jest wojownikiem. Na arenie nie przetrwałby nawet minuty. Ale nie zasługuje na to, co ofiarowuje mu Cal – odrobinę łaski w tym surowym wyroku.

– Wszystko odbędzie się szybko. Tyle mogę ci obiecać.

– Jakiż ty szlachetny, Tyberiaszu. – Maven patrzy na brata ze złością, jednak po chwili najwidoczniej coś przychodzi mu do głowy, bo jego twarz się rozjaśnia. Gdy szeroko otwiera oczy, wygląda jak pies żebrzący o ochłapy. Pies, który dokładnie wie, co robi. – Mogę mieć jedno życzenie?

Na te słowa Cal niemal przewraca oczami. Wbija w Mavena spojrzenie pełne czystego szyderstwa.

– Możesz spróbować.

– Pochowajcie mnie u boku matki.

Ta prośba przewierca mnie na wylot. Mam wrażenie, że ktoś z siedzących gwałtownie zaczerpnął oddech, może Anabel. Kiedy na nią zerkam, jedną dłonią zakrywa usta, ale jej oczy są suche. Cal zrobił się blady jak ściana i zaciska dłonie na podłokietnikach tronu. Siła jego spojrzenia słabnie i męczyzna na chwilę spuszcza wzrok, ale po chwili znów podnosi go na brata.

Nie wiem, co się stało ze zwłokami Elary. Kiedy ostatnio o nich słyszałam, czuwał nad nimi strażnik na Klinie, wyspie, którą porzuciliśmy.

Wyspa zwłok. Mojego brata i matki Mavena.

– Da się załatwić – odzywa się w końcu cicho Cal.

Ale Maven jeszcze nie skończył. Stawia krok, nie naprzód, ale w bok. W moim kierunku. Siła jego wzroku niemal wyrzuca mnie z krzesła.

– Chcę umrzeć w taki sam sposób jak moja matka – mówi tak zwyczajnie, jak gdyby prosił o przyniesienie dodatkowego koca.

Znów jestem zbyt wstrząśnięta, by myśleć. Mogę tylko trzymać zaciśnięte zęby, żeby moje usta nie rozwarły się szeroko.

– Rozerwany na strzępy twoją furią – naciska, a jego obrzydliwe oczy, które wryły mi się w pamięć, parzą moją skórę.

Mam wrażenie, że piętno na obojczyku zaczyna mnie piec.

– I twoją nienawiścią.

W głębi mojego ciała budzi się bestia. „Zrobię to od razu. Pomogłam to wszystko zacząć. Pomogę to także skończyć”. Moje palce także zaciskają się na podłokietnikach, a paznokcie wbijają w drewno. Szukam oparcia, które pozwoliłoby mi zajrzeć do wewnątrz, zatrzymać błyskawice, jednak mam wrażenie, że w jednej chwili potrafiłabym rozpętać burzę. Nie dam mu satysfakcji i nie ulegnę pokusie. Tego właśnie pragnie. Chce dodać ostatnią kroplę trucizny, przyspieszyć proces gnilny, po raz ostatni spróbować zepsuć osobę, którą byłam, zanim dostał mnie w swoje szpony. Maven wie, że jakaś część mnie – duża część – tego pragnie. Wie także, że ten czyn zrujnowałby wszystko, co udało mi się ocalić z niewoli i tortury, jaką była jego miłość.

„Zabij go, Mare Barrow. Skończ z nim na zawsze”.

Wpatruje się we mnie z dołu i czeka na moją decyzję. Inni także. Nawet Cal nie zamierza nic mówić. Tak jak wcześniej, pozwala mi wybrać swoją drogę.

Z jakiegoś powodu myślę o Jonie. O Dalekowzrocznym, który przewidział mój los. „Powstać. Samej przeciwko wszystkim”. Zastanawiam się, czy los już się odmienił, czy może doprowadzę do tego w ten sposób.

Powoli kręcę głową.

– Nie będę twoim zakończeniem, Mavencie. A ty nie będziesz moim.

Sylwetka stojącego pod nami Mavena się napina. Chłopak wpatruje się w moją twarz, przesuwając wzrokiem od oczu do ust. Przez dłuższą chwilę milczy, jak gdyby czekał, aż zmienię zdanie. Ja jednak się nie poddam i zaciskam zęby, by pohamować drżenie. „Błyskawica nie zna litości”, powiedziałam kiedyś. Ale błyskawica to tylko pewna część mnie. Nie jestem przez nią kontrolowana.

To ja ją kontroluję.

– Dobra – cedzi Maven, wściekły, że mu odmówiono.

Przenika mnie przyjemny dreszcz triumfu, który uspokaja kryjącą się we mnie bestię. Maven odwraca się na pięcie i znów staje twarzą w twarz z Calem.

– W takim razie strzał w potylicę. Miecz. Jeśli chcesz, możesz mi uciąć głowę. Nie interesuje mnie to, co wybierzesz.

Cal stopniowo traci kontrolę, a maska króla obsuwa się z każdą kolejną chwilą tej męki. Mam wrażenie, że zaraz wstanie i opuści pomieszczenie. Ale to nie w jego stylu. Nie poddaje się, nie pokazuje słabości. Wpajano mu to od dziecka.

– Wszystko odbędzie się szybko – mówi z wahaniem.

– Powtarzasz się – pyskuje Maven. Wysoko na jego policzkach wykwitła srebrny rumieniec, dwie identyczne ciemniejące plamy.

Anabel splota dłonie. Spogląda na braci, zastanawiając się, który z nich wygra tę potyczkę. Napięcie pomiędzy nimi przeskakuje i trzeszczy w powietrzu jak w przewodzie elektrycznym, a ja zastanawiam się, czy Maven nie próbuje przypadkiem sprowokować brata, by ten zabił go tu i teraz. Próbował tego ze mną, ale poniósł porażkę.

– Straże, skończyliśmy z tym zdrajcą – oznajmia Anabel i wygląda przy tym niezwykle władczo.

W ten sposób odbiera Calowi możliwość decydowania.

Wbrew sobie spoglądam na Mavena, a on już patrzy na mnie. Cal nie potrafi podjąć decyzji.

Mówił mi to wielokrotnie, a ja przekonałam się o tym na wiele bolesnych sposobów. Nawet teraz, kiedy Maven przestał być dla niego rywalem, Cal wciąż

zwleka, nie potrafi się zdecydować. Maven powiedział mi, że przez tę cechę jego brat byłby kiepskim królem. A w najlepszym razie królem na smyczy, zależnym od kogoś, kto będzie mu pomagał. Muszę się zgodzić. Młodszy brat Calore jest potworem, ale nie głupcem.

Strażnicy brutalnie go odwracają i przytrzymując za ramiona, wyprowadzają z komnaty. Spodziewam się, że Julian pójdzie z nim, on jednak zostaje, zajmując miejsce za tronem. Składa ręce, zamyślony i milczący. Jedyne odgłosy w pomieszczeniu jest pobrzmiewające nieodwołalnością echo kroków, kiedy Maven opuszcza salę. Zastanawiam się, czy jeszcze go zobaczę. Czy będę umiała patrzeć, jak umiera.

Kiedy ogromne wrota się zatraskują, osuwam się na krzesło i wypuszczam długi oddech. Marzę tylko o tym, by pójść na górę i się zdrzemnąć.

Myślę, że Cal czuje się tak samo. Poprawia się na tronie, przygotowując się, by wstać.

– Sądzę, że na dziś możemy zakończyć spotkanie – mówi napiętym ze zmęczenia głosem. Król na pokaz rozgląda się po twarzach zebranych, jak gdyby konsultował się z członkami królewskiej rady, a nie z grupą wątpliwych sojuszników. Może uważa, że osiągnie to, jeśli dobrze odegra swoją rolę.

„Powodzenia”.

Królowa Anabel szybko, ale łagodnie kładzie mu dłoń na ramieniu, żeby go powstrzymać. Nieruchomieje pod jej dotykiem, zdenerwowany.

– Musimy coś postanowić w sprawie twojej koronacji – przypomina mu z pogodnym uśmiechem.

Cal wydaje się zirytowany tą perspektywą, choć może irytuje go raczej nadopiekuńcza babcia.

– Musi się odbyć najszybciej jak to możliwe... Może nawet jutro. Nie trzeba robić wielkiego zamieszania. Wystarczy oficjalna uroczystość.

Nie chcąc pozostać w tyle, Volvo opiera brodę na dłoni. To dyskretny ruch, a jednocześnie jasny apel, by zwrócono na niego uwagę.

– Należy jeszcze coś uzgodnić w kwestii Nowego Miasta, a także waszego ślubu. – Spogląda na Cala, po czym przenosi wzrok na Evangeline.

Gdyby nie to, że oboje są mistrzami opanowania, wiliby się, a może nawet próbowaliby powstrzymać odruch wymiotny.

– Przygotowania zajmą kilka tygodni...

Ja chwytam się innego wątku.

– Proszę wyjaśnić, co rozumie pan przez „kwestię Nowego Miasta” – pytam, odwracając się tak, by spojrzeć Volvo w twarz.

Mężczyzna obrzuca mnie spojrzeniem, a jego szare oczy ciemnieją z odrazy. Wargi siedzącej obok mnie Farley drgają, ale dziewczyna błyskawicznie nadaje twarzy neutralny wyraz.

Anabel odpowiada, zanim Volvo udaje się odezwać albo zareagować wybuchem złości.

– Nie musimy teraz o tym rozmawiać – mówi, wciąż trzymając dłoń na ramieniu Cala.

Chłopak spogląda na mnie, niepokojąc się tym, co zrobię i jaką reakcję wywoła to u króla z rodu Samos. Zaciska wargi i marszczy brew, jak gdyby chciał mnie przestrzec przed kontynuowaniem tej konwersacji.

„Zapomnij, Calore”.

– Myślę, że powinniśmy – informuję zebranych mocnym, czystym głosem będącym lodowatym echem Mareeny Tytaniusz. To broń, którą dostałam od Srebrnych. – O tym i o innych sprawach.

Cal unosi brew.

– Na przykład?

Premier odchrząkuje i włącza się do naszej naprędce zaplanowanej i ledwie przećwiczonej konwersacji. Jednak Davidson to utalentowany polityk i dyplomata. Jego słowa brzmią spontanicznie. Zachowuje się poprawnie i przemawia z wielką wprawą.

– Wydaje się oczywiste, że Lakelandia i książę Bracken, nie wspominając

nawet o jego sojusznikach w Piedmoncie, nie zamierzają zostawić Norty w spokoju – mówi, zwracając się do wszystkich członków królewskich rodów. Zwłaszcza do Cala, którego musimy przeciągnąć na swoją stronę. – Norta znów jest zjednoczona, ale okrutna wojna osłabiła wasz kraj. Dwa największe forty zostały zniszczone albo rozbrojone. Wciąż czekacie, aż reszta arystokracji złoży wam przysięgę wierności, liczycie na ich wsparcie. Nie wydaje mi się, by królowa Cenra zaprzepaściła taką szansę.

Cal nieco się odpręży, a jego ramiona opadają, strząsając z siebie towarzyszące mu ostatnio ciągle napięcie. Lakelandczycy to łatwiejszy temat niż ucisk Czerwonych. Zerka na mnie i ledwie powstrzymuje mrugnięcie, jak gdyby to była tylko gierka, okazja do flirtu. Jak gdyby trzej myśliwi nie próbowali właśnie zapędzić wilka w pułapkę.

– Tak, zgadzam się – mówi, z wdzięcznością kiwając głową. – Nasz sojusz jest dość silny, żebyśmy mogli bronić Norty przed najeźdźcami, zarówno od północy, jak i od południa.

Na twarzy Davidsona wciąż maluje się pogodny wyraz. Premier unosi tylko palec.

– Skoro o tym mowa...

Przygotowuję się na to, co zaraz padnie, i podwijam palce u stóp. Po mojej piersi rozlewa się fala ciepła. Znam Cala dość dobrze, by przewidzieć, co powie. Choć niewykluczone, że się zmienił, że ja go zmieniłam. Albo że jest po prostu zbyt zmęczony walką, ma dość rozlewu krwi i zła wyrządzonego przez jego pobratymców.

Cal nie podejmuje wątku, który podrzuca mu premier, ale Anabel udaje się przejrzeć nas na wylot. Jej oczy zwięzają się w szparki, upodabniając ją do węża. Za jej plecami Volvo wygląda tak, jak gdyby miał ochotę przekłuć nas starannie wycelowanymi szpikulcami.

Davidson opuszcza rękę, która pozostaje niewidoczna dla zebranych. Jego dłoń jaśniej słabym błękitem, gotowa ochronić nas przed atakiem. Jego twarz się nie

zmienia, a głos wciąż jest pewny i stanowczy.

– Teraz, kiedy twój brat został obalony, a ty zostałeś kandydatem na króla, chciałbym zaproponować inne rozwiązanie.

– Jak to, premierze? – pyta Cal, który wciąż nie rozumie, albo nie chce zrozumieć, o czym mowa.

Zastanawia mnie jawna furia, która wstrząsa Volvo i Anabel. Podobnie jak Davidson opuszczam dłoń i przywołuję iskry.

Davidson naciera, choć Srebrni król i królowa patrzą na niego, nie kryjąc wściekłości.

– Przed laty Wolna Republika Montfortu nie była tym, czym jest dzisiaj. Stanowiła zbiór królestw i lordowskich włości rządzonych przez Srebrnych, tak jak wy teraz. W górach trwała wojna domowa.

Choć wiem, co zamierza powiedzieć, przechodzi mnie dreszcz.

– Pokój był czymś nieznanym. Czerwoni ginęli na wojnach Srebrnych, zabijani za ich dumę i potęgę.

– Brzmi znajomo – szepczę, przyglądając się Calowi. Próbuję rozszyfrować, co myśli, interpretując drobne tiki na jego twarzy.

Zaciśnięte usta, łuki ciemnych brwi. Napięcie w szczęce, sposób, w jaki oddycha. Czuję się tak, jakbym próbowała przeczytać obrazek albo powąchać piosenkę. To frustrujące i niewykonalne. Premier nabiera wiatru w żagle. Napawa się tą chwilą. Jest w tym doskonały.

– Dopiero dzięki powstaniu sojuszu Czerwonych, wzmocniony przez rosnące w siłę grono Ardentów, a także sympatyzujących z nami Srebrnych, był w stanie przeprowadzić reformy i przekształcić się w demokrację, którą dzisiaj jesteśmy. Ten proces wymagał poświęcenia. Pozbawił życia wielu ludzi. Ale minęło ponad dziesięć lat i możemy stwierdzić, że się opłacało. Z każdym dniem stajemy się lepsi. – Usatysfakcjonowany, opada na krzesło, w dalszym ciągu lekceważąc mordercze spojrzenia Anabel i Volvo. – Żywię głęboką nadzieję, że podejmiesz taką samą próbę, Cal.

Cal.

To, że użył jego imienia, stojąc przed zasiadającym na tronie królem, z koroną na głowie, nie jest pozbawione znaczenia. Nawet Cal zdaje się to rozumieć. Mruga kilkakrotnie i zbiera się w sobie.

Zanim udaje mu się cokolwiek powiedzieć, Farley zwraca się do króla, gotowa odegrać swoją rolę.

Jej belki generalskie połyskują jaskrawo, rzucając punkciki światła na twarz Cala.

– Stajemy w obliczu szansy, która się nie powtórzy. Norta leży w gruzach i błaga, by ją odbudować – mówi. Farley nie jest tak dobrym mówcą jak Davidson, ale nie jest też amatorką. Szkarłatna Gwardia nie bez przyczyny wybrała ją wiele miesięcy temu na swojego rzecznika. Ma w sobie dość ognia i dość wiary, by poruszyć nawet najtwardsze serca. – Odbudujmy ją razem, stwórzmy z niej coś nowego.

Anabel zabiera głos, zanim udaje się to jej wnukowi. Z jej ust wydobywa się coś na kształt syku.

– Coś, co przypominałoby pański kraj, premierze? Proszę pozwolić, że zgadnę. Chce pan zaproponować pomoc w stworzeniu tego chwalebного nowego narodu? – dodaje, wbijając mu bolesną szpilę. Zasiewa ziarnko podejrzliwości, której potrzebuje.

Widzę, jak trafia ono na podatny grunt, zasnuwając oczy Cala mgłą. Czy się zakorzeni?

– Może nawet chciałby pan nią rządzić?

Opanowanie Davidsona nieco słabnie. Mężczyzna uśmiecha się kąśliwie.

– Dopóki mam taką możliwość, będę służył własnemu krajowi, Wasza Wysokość.

Volvo wybucha pustym śmiechem, chyba nawet paskudniejszym niż śmiech Mavena.

– Chcecie, żebyśmy zrezygnowali ze swoich tronów, ze wszystkiego, na co

pracowaliśmy. Mamy odrzucić rodowód i zdradzić nasze domy, naszych ojców i dziadków?

Anabel się krzywi.

„I babcie”, mamrocze pewnie pod nosem.

Choć mam ochotę zerwać się z miejsca, daruję to sobie. Niemądrze byłoby doprowadzić do pokazu siły fizycznej.

– A na co tak właściwie pracowaliśmy, Volvo? – mówię.

Samos ledwie zaszczyca mnie spojrzeniem. Jego lekceważąca postawa tylko podsycza we mnie gniew, który przychodzi mi z odsieczą.

– W jakim celu się wykrwawialiśmy? Żeby znów ktoś mógł nami rządzić? Żeby zamknięto nas w slumsach, włączono do systemu poborowego, kazano wrócić do życia, od którego uciekliśmy? Czy właśnie to uważacie za słuszne? Czy to według was jest sprawiedliwe?

Czuję, że zaczynam tracić kontrolę, więc staram się powstrzymać, nie zważając na charakterystyczną gulę w gardle. Wypowiedzenie tych słów na głos, do ludzi, przez których tym światem zawładnęło okrucieństwo i zagościło tu na dobre, ma zdumiewający efekt. Czuję się tak, jakbym miała się rozpłakać lub eksplodować, sama nie wiem, jak to się skończy. Mam ochotę złapać Anabel za ramiona, a Volvo za kark, zmusić ich, by usłyszeli i ujrzeli to, co zrobili i co nadal zamierzają robić. Ale jeśli dalej będą zaciskać powieki? Albo patrzeć, nie dostrzegając niczego złego? Co jeszcze mogę zrobić?

Król z rodu Samos prycha, zniesmaczony.

– Ten świat nie jest dobry ani sprawiedliwy, dziewczyno. Każdy, kto narodził się Czerwonym, powinien to wiedzieć. – Pociąga nosem.

Evangeline siedzi nieruchomo u jego boku, ze wzrokiem wbitym w ziemię i zaciśniętymi ustami.

– Nie jesteście nam równi, bez względu na to, jak bardzo tego pragniecie. To prawo natury.

Cał w końcu przerywa milczenie i rzuca oczami gniewne błyski.

– Milcz, Volvo – mówi ostro. Nie używa oficjalnego tytułu, nie bawi się w konwenanse. Ale nie zaprzecza też jego słowom. Lód, po którym stąpa, z minuty na minutę staje się coraz bardziej kruchy. – O co właściwie pan prosi, premierze? – dodaje. Chce, żebyśmy nazwali sprawę po imieniu.

– To nie tylko moja prośba – odpowiada Davidson, patrząc w moją stronę.

Cal także przenosi spojrzenie na mnie, a jego złotawobrazowe oczy zatrzymują się na mojej twarzy. Wbrew sobie przesuwam po nim wzrokiem, od dłoni po wciśniętą na czoło koronę. Po wszystkich elementach tworzących z niego człowieka, którym jest.

Nie waham się. Zbyt wiele przeszłam, zbyt długo cierpiałam. Po tym wszystkim, co przeżyliśmy, Cal nie powinien być zaskoczony.

– Ustąp z tronu – mówię. – Albo to my się wycofamy.

Jego głos staje się płaski, pozbawiony emocji. Nie jest zaskoczony.

Spodziewał się tego.

– Zerwiecie sojusz.

Davidson kiwa głową.

– Wolna Republika Montfortu nie ma interesu w tym, by współtworzyć królestwo takie jak to, które porzuciliśmy.

Farley także zabiera głos.

– W takiej sytuacji Szkarłatna Gwardia także nie udzieli swojego poparcia – mówi dumnie.

Przenika mnie mała fala ciepła płynąca od Cala. To zły znak. Z westchnieniem porzucam wszelką nadzieję, że w końcu postąpi rozsądnie. Moje zachowanie przyciąga jego uwagę, ale tylko na chwilę. Widzę w nim ból, na tyle wyraźny, że sama zaczynam go czuć. To tylko ukłucie, niewielkie w porównaniu z ranami, które zadali mi bracia Calore.

Cal przenosi wzrok z powrotem na Davidsona, przekierowując swój rosnący gniew na kogoś innego.

– A więc zamierzacie nas porzucić na pastwę Lakelandczyków i Piedmontu?

Władców o wiele gorszych niż monarcha, którym sam bym był? – mówi, rozdrażniony, niemal potykając się o wypowiedane słowa. To jasne, że próbuje nie dopuścić do rozłamu i zatrzymać nas przy sobie. – Tak jak powiedziałeś, jesteśmy teraz słabi. Jesteśmy łatwym łupem. Bez twoich wojsk...

– Bez wojsk Czerwonych – poprawia go premier lodowatym tonem. – Bez armii Nowych.

– Nie da się tego zrobić – odpowiada Cal szorstko. Wyciąga rękę, wnętrzem dłoni do góry, by pokazać, że są puste. Nie ma nic do zaproponowania. – To po prostu niemożliwe. Nie teraz. Może z czasem, ale Szlachetne Domy nie zegną karku, jeśli zabraknie króla. Dojdzie do podziałów. Norta przestanie istnieć. Nie mamy czasu zmieniać formy rządów, a jednocześnie przygotowywać się do nadciągającej inwazji.

Farley mu przerywa.

– Więc znajdź czas.

Mimo wysokiego wzrostu, barczystej sylwetki, korony, munduru i charakterystycznych elementów stroju wojownika i króla Cal nigdy bardziej nie przypominał dziecka. Przesuwa wzrokiem po zebranych, ode mnie po babcię i Volvo. Widok tych ostatnich nie przynosi mu ulgi – ich twarze są wykrzywione w identycznym grymasie złości. Jeśli Cal przystanie na naszą propozycję, oni odmówią. I drugie ramię sojuszu zostanie złamane.

Schowany za Calem Julian opuszcza głowę. Nie odzywa się do nikogo, trzyma język za zębami.

Volvo przeczesuje srebrną brodę śmiercionośną dłonią. Jego oczy rzucają błyski.

– Srebrni panowie Norty nie zrezygnują z dziedzicznych praw do władzy.

Farley wyskakuje z miejsca, szybka jak błyskawica. Z imponującą precyzją spluwa Volvo pod nogi.

– Tyle mnie obchodzi wasze prawo.

Ku mojemu bezgranicznemu zdziwieniu król z rodu Samos milknie. Wpatruje

się w dziewczynę z otwartymi ustami. Nie widziałam dotąd, by jakiś Samos zaniemówił.

– Szczury pozostaną szczurami – warczy Anabel. Stuka dłonią o podłokietnik krzesła i nikt nie ma wątpliwości, że nam grozi.

Nie, żeby Farley się tym jakoś specjalnie przejmowała. Cal tylko się powtarza, a jego głos przypomina mamrotanie. Myśliwi zagnali go w pułapkę.

– To niemożliwe – mówi.

Davidson powoli i zdecydowanie podnosi się z krzesła, a ja idę jego śladem.

– W takim razie przykro nam, ale musimy was opuścić – oznajmia. – Wciąż uważam cię za przyjaciela. Mówię szczerze.

Cal spogląda na nas, przenosząc wzrok na kolejne osoby. Dostrzegam w nim smutek, taki sam, jaki również odczuwam. Łączy nas także akceptacja. Zawsze podążaliśmy tą drogą.

– Wiem – odpowiada Cal. Jego głos się zmienia, staje się głębszy. – Powinien pan jednak wiedzieć, że źle reaguję na ultimatum, przyjazne czy też nie.

Ostrzeżenie.

Nie tylko dla nas.

Razem schodzimy z podestu, Czerwoni – zjednoczeni w przekonaniach i dążeniach. Czerwone i zielone mundury, skóra podkreślona tymi samymi tonami różu i szkarłatu. Zostawiamy za sobą Srebrnych, zimnych i nieruchomych, jak gdyby wykuto ich z kamienia, posągi o żywych oczach i martwych sercach.

– Powodzenia – udaje mi się tylko rzucić przez ramię i skraść ostatnie spojrzenie.

Cal patrzy, jak odchodzę, i odpowiada tym samym.

– Powodzenia.

Wtedy w Corvium, gdy wybrał koronę, myślałam, że ktoś usunął mi świat spod nóg i zepchnął w przepaść. Teraz jest inaczej. Już raz złamano mi serce, a jedna noc nie zdołała go poskładać. To nie nowa rana. Znam ten ból. Cal jest człowiekiem, za którego się podawał. Nic ani nikt nigdy go nie zmieni. Mogę go

kochać i prawdopodobnie zawsze będę, ale nie mogę kazać mu się poruszać, kiedy on chce trwać w bezruchu. To samo można powiedzieć o mnie.

Farley trąca mnie w rękę i sprowadza na ziemię. Musimy przedstawić jeszcze jedno żądanie.

Znów się odwracam i ustawiam tak, by znajdować się naprzeciwko niego. Próbuje przybrać odpowiednią pozę – chcę wyglądać na zdeterminowaną i niebezpieczną, jak ktoś, kto może spowodować upadek Srebrnego króla. A jednocześnie jak Mare, dziewczyna, którą kocha. Czerwona, która starała się odmienić jego serce.

– Czy zgodzisz się przynajmniej na to, by Czerwoni opuścili slumsy?

Stojąca u mego boku Farley kończy za mnie:

– I zlikwidujesz system poboru?

Nie oczekujemy niczego w zamian. Może pantomimy smutku, kolejnego dramatycznego wyjaśnienia, że to wszystko jest niewykonalne. Może nawet tego, że Anabel wygna nas z komnaty.

Zamiast tego Cal przemawia, nie konsultując się z siedzącymi po prawej stronie Srebrnymi. Podejmuje decyzję, nie prosząc ich o wkład. Nie wiedziałam, że go na to stać.

– Mogę obiecać uczciwe płace.

Powstrzymuję prychnięcie, a on mówi dalej.

– Uczciwe płace – powtarza.

Volvo blednie, a na jego twarzy pojawia się obrzydzenie.

– Brak ograniczeń w przemieszczaniu się. Czerwoni mogą mieszkać i pracować tam, gdzie im się podoba. To samo dotyczy wojska. Godziwe wynagrodzenie, sprawiedliwe warunki wcielania do służby. Koniec poboru.

Teraz to ja jestem zaskoczona. Mrugam i pochylam głowę. Odpowiada tym samym gestem.

– Dziękuję ci za to – udaje mi się wydusić.

Jego babcia uderza dłonią w podłokietnik jego tronu, oburzona.

– Stoimy na krawędzi kolejnej wojny – warczy, jak gdyby komukolwiek trzeba było przypominać o zagrożeniu ze strony Lakelandczyków.

Odwracam się, by ukryć uśmiech. Farley robi to samo. Wymieniamy spojrzenia, mile zaskoczone tym, że przystał na naszą prośbę. W ostatecznym rozrachunku niewiele to znaczy. Może się okazać, że to obietnica bez pokrycia i nie zostanie dotrzymana. Ale słowa Cala prowadzą przynajmniej do osiągnięcia jednego celu.

Wbijają klin pomiędzy Srebrnych, tworzą szczeliny w i tak już rozchwianym sojuszu. Jedyńm, jaki pozostał Calowi.

Za plecami głos Cala przybiera groźny ton, jak gdyby chłopak pouczał babcię.

– To ja jestem królem. Takie są moje rozkazy – informuje ją.

Anabel odpowiada mu szeptem, tak że nie słyszę jej słów, dodatkowo zagłuszonych skrzypieniem drzwi, które otwierają się i ponownie zamykają. Rozciągająca się przed nami sala audiencyjna jest tak samo zatłoczona jak wcześniej, pełna uśmiechających się z wyższością arystokratów i żołnierzy, którzy mają nadzieję ujrzeć nowego króla oraz dziwny zlepek jego doradców. Przechodzimy w milczeniu z beznamiętnymi, nieodgadnionymi twarzami. Farley i Davidson mamrocą coś do swoich oficerów, przekazując im nasze postanowienia. Czas, żebyśmy opuścili Harbor i Nortę. Odpinam guziki kurtki i poluzowuję sztywny kołnierzyk munduru, tak że znów mogę oddychać pełną piersią.

Kilorn jest jedyną osobą, która na mnie czeka. Dopada mnie błyskawicznie. Nawet nie pyta, jak potoczyło się spotkanie. Za odpowiedź wystarczy mu to, w jaki sposób opuszczamy salę tronową, a także nasze milczenie.

– Niech to szlag – warczy.

Poruszamy się szybko i zdecydowanie.

Nie mam nic do spakowania. Wszystkie moje ubrania zostały pożyczone albo łatwo je zastąpić, nawet te, w których przybyłam do Harbor. Nie mam też żadnych osobistych przedmiotów poza kolczykami w uchu. I kolczykiem, który zostawiłam

w szkatułce w Montforcie. Czerwony kamień, ten, z którym nie potrafiłam się rozstać. Aż do teraz.

Żałuję, że nie mam go przy sobie. Chciałabym go zostawić w tym pomieszczeniu, na poduszce, na której spałam.

To byłoby odpowiednie pożegnanie. Łatwiejsze niż to, które czeka mnie teraz.

Odłączam się od Farley i Davidsona, którzy kierują się do własnych sypialni znajdujących się u stóp głównych schodów.

– Spotkajmy się na zewnątrz za kilka minut – rzucam do obojga.

Żadne z nich nie podważa moich decyzji ani motywów. Jedno macha ręką, a drugie kiwa głową, pozwalając mi odejść.

Kilorn przystaje na pierwszym stopniu, czekając, aż go poproszę, by do mnie dołączył. Nie zamierzam tego robić.

– Mówiłam też do ciebie – mamroczę. – To zajmie tylko chwilę.

Jego zielone oczy się zwężają, przenikliwe jak odłamki szmaragdu.

– Nie daj mu się zniszczyć.

– Już i tak zrobił w tej kwestii tyle, ile zdołał, Kilornie – odpowiadam. – Maven niczego więcej nie zniszczy.

To kłamstwo go uspokaja. Zawraca, zadowolony, że jestem bezpieczna.

Jednak zawsze jeszcze można coś zepsuć.

*

Pilnujący Mavena strażnicy odsuwają się na bok, pozwalając, bym przekręciła gałkę w drzwiach do jego komnaty. Robię to szybko, żeby nie stchórzyć ani nie zmienić zdania. Jego cela to właściwie nie cela, a elegancki salonik z widokiem na ocean. Nie ma tu łóżka, tylko kilka krzeseł i długa kanapa. Albo zginie jeszcze tego popołudnia i nie ma sensu organizować mu posłania, albo czeka, aż przyniosą mu łóżko.

Stoi przy oknie z dłonią na zasłonach, jak gdyby chciał je zaciągnąć.

– To i tak nic nie da – mamrocze, kiedy zamykam za sobą drzwi, wciąż

ustawiony do mnie plecami. – Światło i tak przez nie przenika.

– Myślałam, że tego właśnie chcesz – odpowiadam. – Pozostać w świetle?

Powtarzam słowa, które wypowiedział do mnie, kiedy byłam jego więźniem, zakuta w kajdany, w podobnym do tego pokoju, skazana na to, by gapić się przez okno i szczeznąć.

– Łączy nas dziwna symetria, nieprawdaż? – mówi, wskazując pokój z leniwym półuśmieszkiem.

Okoliczności, w których się znajdujemy, niemal mnie bawią. Opanowuję się jednak i opadam na jeden z foteli, pilnując, by mieć swobodne dłonie i szybki dostęp do iskier.

Obserwuję go przez chwilę. Nie porusza się i nie odstępuje od okna.

– A może królowie z rodu Calore mają dziwne upodobanie do tego typu więzień.

– Wątpię – odpowiada. – Wygląda na to, że umieszczając więźniów w eleganckich więzieniach, okazujemy im uczucia. Jesteśmy łaskawi dla skazańców, których nie potrafimy przestać kochać.

Jego deklaracje nic już dla mnie nie znaczą. W głębi serca czuję delikatne ukłucie, ale łatwo mi je zignorować.

– Uczucie Cala do mnie różni się od tego, którym ty mnie darzysz.

Maven śmieje się złowrogo.

– Mam nadzieję – mówi, raz jeszcze poruszając zasłonami. Zerka na moją kurtkę i przenosi wzrok na obojczyk, teraz zakryty tkaniną podkoszulka: moje znamię jest zakryte. – Kiedy to się stanie? – dodaje, a jego głos łagodnieje.

Egzekucja.

– Nie wiem.

Znów wybucha nieszczerym śmiechem. Zaczyna się przechadzać po pomieszczeniu, splótszy ramiona za plecami.

– Chcesz przez to powiedzieć, że wielka rada nie mogła się zdecydować? Jacyż oni są przewidywalni. Swoją drogą, może to i lepiej... Umrę ze starości, zanim

wasza gromada coś postanowi. Zwłaszcza w obecności Samosa.

– I twojej babci.

– Ja nie mam babci – odpowiada ostro. – Sama słyszałaś, że już nie jestem jej wnukiem.

To wspomnienie przepęlnia Mavena goryczą. Przyspiesza i przechodzi przez pokój kilkoma równymi krokami. Mimo zewnętrznej powłoki opanowania w takich momentach przypomina psychopatę, który lada chwila straci nad sobą panowanie. Próbuję nie patrzeć w jego błyszczące oczy, rozpalone ogniem tak żywym, że można się poparzyć.

– Co ty tu robisz? Kiedy byłaś moim więźniem, nie bawiło mnie szydzenie z ciebie w taki sposób.

Wzruszam ramionami i spoglądam na niego niespokojnym wzrokiem.

– Nie jesteś moim więźniem.

– Cała, twoim... – Macha ręką. – Co za różnica?

„Całkiem spora”. Ściągam brwi i pomału wypełnia mnie znajomy smutek. Maven dostrzega go we mnie pod maską obojętności.

– Aha – szepcze. Stoi pośrodku pomieszczenia i wpatruje się we mnie badawczo, jak gdyby potrafił przeniknąć przez moją czaszkę i zajrzeć do mózgu. Tak jak robiła to jego matka. On jednak nie musi kraść moich myśli, żeby wiedzieć, co siedzi mi w głowie i co postanowił jego brat. – Czyli decyzja została podjęta.

– Tylko jedna – szepczę.

Maven stawia krok w moją stronę. To ja jestem dla niego zagrożeniem, nie odwrotnie, więc stara się trzymać poza moim zasięgiem.

– Niech zgadnę, Czerwoni dali mu wybór? Ten sam, który dostał kilka miesięcy temu?

– Można tak powiedzieć.

Chłopak wykrzywia wargi, odsłaniając zęby. Ale nie w uśmiechu. Bez względu na okoliczności nie lubi patrzeć, jak cierpię – ani fizycznie, ani w żaden inny

sposób.

– Nie zaskoczył cię, co?

– Nie.

– To dobrze. Jest tak, jak ci powiedziałem. Cal słucha rozkazów. Do śmierci będzie wypełniał polecenia ojca. – Maven wydaje się skruszony, tak jakby ubolewał nad tym, jaki stał się jego brat.

„Cal pewnie czuje to samo w stosunku do niego”.

– Nigdy się nie zmieni. Ani dla ciebie, ani dla nikogo innego.

Tak jak Maven nie potrzebuję broni, by zadawać cierpienie. Wystarczą mi słowa.

– Nieprawda – oznajmiam i patrzę mu prosto w oczy.

Przekrzywia głowę i cmoka, jak gdybym była dzieckiem, które zamierza skarcić.

– Sądziłem, że jesteś mądrzejsza, Mare. Każdy może zdradzić każdego. A on znów zdradził ciebie. – Stawia kolejny śmiały krok w moją stronę, skracając dystans pomiędzy nami do zaledwie kilkudziesięciu centymetrów.

Słyszę syk oddechu zza jego zaciśniętych zębów i mam wrażenie, że próbuje wyssać mi powietrze z płuc.

– Nie potrafisz przyznać, kim jest? – szepcze. Jego słowa brzmią błagalnie. Jak ostatnie życzenie umarłego.

Unoszę podbródek i wytrzymuję jego spojrzenie.

– Jest niedoskonały, tak jak my wszyscy.

Jego drwiący śmiech rezonuje w mojej piersi.

– To Srebrny król. Prostak, tchórz. Kamień, który nigdy się nie poruszy i nigdy nie zmieni.

„Nieprawda”, powtarzam w głowie. Udowodnił to nie tylko w ostatnich miesiącach, ale i kilkanaście minut temu, kiedy dokonał wyboru, ignorując wiszącą mu u ramienia babcię. Uczciwe płace, koniec poboru. Te kroki mogą się wydawać małe, ale są także gigantyczne. „Centymetry z kilometrów”.

– On się zmienia – mówię spokojnym głosem, przeciągając tę konwersację. Pastwię się nad nim.

Maven blednie i nie może się poruszyć.

– To wszystko dzieje się wolniej, niżbyśmy sobie życzyli, ale ja je widzę. Dostrzegam przebłysk tego, kim mógłby być. Staje się kimś innym. – Spuszczam wzrok, kiedy maska Mavena delikatnie pęka. – Nie oczekuję, że to zrozumiesz.

Zgrzyta zębami, rozjuszony. I nieco zdezorientowany.

– Czemu?

– Bo zmiany, które zaszły w tobie, były niezależne od twojej woli. – Ostre jak brzytwa słowa spadają na niego, raniąc go do głębi.

Wzdryga się i kilkakrotnie mruga.

– Dzięki za przypomnienie – odpowiada. – Właśnie tego potrzebowałem.

Sięgam po ostatnie ostrze, gotowa zatopić je w jego sercu. Albo sprawić, by poczuł to coś, co utracił, nawet jeśli wrażenie szybko minie.

– Wiesz, że Cal szukał kogoś, kto będzie potrafił cię naprawić? – mówię mu.

Maven otwiera usta i natychmiast je zamyka, szukając jakiejś drwiącej lub choćby inteligentnej riposty.

– C-co? – jąka tylko.

– W Montforcie – wyjaśniam. – Prosił premiera, by znalazł jakiegoś Nowego, Ardentę, Szeptacza na tyle potężnego, by cofnął to, co zrobiła ci matka. – Niemal z bólem serca zauważam przebłysk emocji skrywanych pod maską wściekłości i głodu.

Próbują wydostać się na powierzchnię, ale czar Elary im na to nie pozwala. Twarz Mavena nieruchomieje i się rozluźnia.

– Ale nikt taki nie istnieje. A nawet gdyby było inaczej, nie da się zmienić tego, kim jesteś. Ja uświadomiłam to sobie dawno temu, kiedy byłam twoim więźniem. Ale twój brat... Nie wierzył, że naprawdę cię straciliśmy, aż do dzisiaj. Aż do momentu, kiedy spojrzał ci w oczy.

Upadły król powoli osuwa się na fotel naprzeciwko mojego. Wyciąga nogi

przed siebie i opuszcza ramiona, pozbywając się stalowego pancerza. Otepiały, przeczesuje włosy, wplatając palce w wijące się czarne pukle. Takie same jak włosy Cala, jak włosy ich ojca. Wpatruje się w sufit. Milczy, nie potrafi nic powiedzieć. Wyobrażam sobie Mavena uwięzionego w ruchomych piaskach, walczącego o to, by się z nich wydostać. Borykającego się z rozpaczliwą naturą, którą obdarzyła go matka. To bez sensu. Na jego twarz powraca kamienny wyraz, oczy się zwężają i spoglądają lodowato, z całych sił próbuje zignorować to, co chciałoby poczuć jego serce.

– Nie da się ułożyć układanki, w której brakuje elementów. Ani poskładać w całość roztrzaskanej szyby – mamroczę, właściwie do siebie, powtarzając słowa, które kilka tygodni temu usłyszałam od Juliana.

Maven siada i prostuje plecy. Palce jednej dłoni obraca na nadgarstku, dotykając skóry w miejscu, gdzie kiedyś znajdowała się jego bransoletka. Bez niej jest bezbronny, bezużyteczny. Nie potrzebuje nawet strażników z domu Arven.

– Cenra i Iris wszystkich was zatopią – syczy. – Ja na szczęście będę już martwy, zanim dostaną mnie w swoje ręce.

– Co za pocieszenie.

– Nie chciałbym patrzeć, jak umierasz. – Wypowiada te słowa cicho i bez emocji. Nie ma w nich ukrytego motywu, jest tylko brzydka, naga prawda. – Czy tobie sprawi przyjemność oglądanie mojej śmierci?

Jestem z nim szczerą.

– Jakiejś części mnie tak.

– A pozostałym?

– Nie – szepczę. – Oglądanie twojej śmierci nie sprawi mi przyjemności.

Uśmiecha się.

– To mi wystarczy. Nie zasługuję na lepsze pożegnanie.

– A na co ja zasługuję, Mavencie?

– Na lepszy los niż ten, który ci daliśmy.

Już mam zapytać, co ma na myśli, kiedy za moimi plecami trzaskają drzwi.

Podrywam się, sądząc, że to strażnicy przyszli, by wyprowadzić mnie z pałacu – w końcu nie jestem już członkiem koalicji. Jednak nad nami stają Farley i Davidson. Dziewczyna wpatruje się w Mavena bardziej rozpalonym wzrokiem niż ten, który potrafiłby wykrzesać z siebie Cal, i mam wrażenie, że lada chwila obedrze go ze skóry.

– Generał Farley – wita ją Maven, przeciągając samogłoski. Niewykluczone, że chce ją podpuścić, by dokonała dzieła, zanim zrobi to jego brat.

Dziewczyna odpowiada jedynie warknięciem, jak zwierzę.

Davidson zachowuje się bardziej uprzejmie i wprowadza do pomieszczenia kogoś jeszcze. Zauważam, że korytarz za nimi jest pusty, a strażnicy pilnujący drzwi zniknęli.

– Przepraszam, że przeszkadzam – mówi premier. Gestem zaprasza swoją towarzyszkę, by do nas dołączyła. Do komnaty wchodzi Arezzo, Nowa z Montfortu. Mrugam ze zdumienia, ale szybko się z niego otrząsam.

To Teleporterka. Jak Shade. Wyciąga ręce przed siebie.

– Czas na nas – wzdycha Davidson, obrzucając nas spojrzeniem.

Podskakuję, kiedy Arezzo chwyta mnie za nadgarstki, ale zabiera nie tylko mnie. Zanim pokój znika i zamienia się w nicość, widzę Mavena. Jego białą twarz, z każdą chwilą coraz bledszą. Błękitne oczy nietypowo rozszerzone ze zdumienia. I dłoń Arezzo na jego dłoni.

ROZDZIAŁ 27

EVANGELINE

Po wyjściu Czerwonych sala tronowa wydaje się pusta, panuje tu większy chłód.

Jeśli Anabel naprawdę sądzi, że jutro uda nam się koronować Cala, to chyba zgłupiała. Co za bezmyślna, niecierpliwa kobieta. Żaden król Norty nie może być koronowany poza stolicą, a stabilizacja sytuacji w zatoce Harbor zajmie co najmniej kilka dni, zanim ktokolwiek będzie mógł wyruszyć do Archeonu. Nie wolno nam też zapomnieć o Szlachetnych Domach lojalnych Mavenowi. Jeśli kraj ma się pozbierać do kupy, członkowie arystokracji będą musieli ukłęknać, złożyć przysięgę wierności Calowi i wziąć udział w koronacji. Oczywiście zachowuję to wszystko dla siebie. Niech sami się tego domyślą. Otoczony chaosem król Tyberiasz nie będzie miał czasu zawierać małżeństwa.

Niestety, ma Juliana Jacosa, a choć ten wysoko urodzony Pieśniarz nie daje tego po sobie poznać, to niezwykle sprawny polityk. Lekceważy słowa Anabel i sugeruje, by przełożyć koronację o tydzień. Cal z radością przyjmuje jego rady, nie tylko w tej kwestii, ale i w innych. Nawet teraz opada na tron, wykończony walką i tym, co dzieje się w jej następstwie. Przede wszystkim jej konsekwencjami. Raz po raz zerka na drzwi, jak gdyby w ten sposób mógł nakłonić Mare do powrotu. Ale minęła już prawie godzina. Po niej i jej towarzyszach pewnie nie pozostał ślad – zapewne są w drodze do odległego górzystego Montfortu, gdzie czeka na nią rodzina. Z radością do niej wróci. Żałuję, że nie mogę zrobić tego samego i wyruszyć do Rowów.

„Albo do Montfortu”, szepcze jakiś głos. Oczami wyobraźni widzę sylwetki premiera i jego męża goszczących nas na kolacji. Siedzą ze splecionymi dłońmi,

odprężeni i pewni siebie. Nie muszą nikogo udawać. Przykładam palec do skroni i próbuję rozmasować tępy ból wypełniający mi czaszkę. Teraz nic nie wydaje mi się już możliwe.

Elane nie ma w sali tronowej, ale przebywa blisko. Jakoś przeżyła podróż w towarzystwie moich rodziców i popołudniu przybyła do pałacu. Nie mogę się doczekać, aż skończy się posiedzenie rady i będę mogła spędzić z nią choć kilka godzin. Nie wiem, ile nam ich jeszcze zostało.

– Rozpuszczę wici – oznajmia Julian i staje u boku Cala ze złożonymi dłońmi.

Bez Czerwonych podium, na którym stoi tron, wydaje się dziwnie koślawe.

– Lordowie i damy ze Szlachetnych Domów zostaną wezwani do stolicy w ciągu tygodnia, a ty będziesz czekał, rozradowany tym, że możesz ich ugościć. Następnie koronujemy cię na króla. – Jego głos nie zdradza ekscytacji.

Cał ledwie kiwa głową. Chce, żeby to spotkanie już się skończyło. Nie zważa na Anabel i nie widzi, że jej złotobrazowe oczy są utkwione w Julianie. Oboje mają nadzieję zostać doradcami króla, znaleźć się na pierwszym miejscu, jak dzieci walczące o uwagę rodzica. Ja postawiłabym na Anabel. Na dworze królewskim czuje się jak ryba w wodzie. Wyeliminowałaby każdego, kto zagrażałby jej wpływowi na wnuka.

Wzdycham pod nosem, już teraz wykończona na myśl o tym, że nasze losy miałyby się spleść. Kiedyś mnie to ekscytowało, kusila mnie władza, którą miałabym jako królowa. Lubię powtarzać sobie, że to Elane mnie odmieniła, ale kochałam ją o wiele wcześniej, nawet kiedy powiedziałam, że jest tylko pionkiem tak jak Sonia Iral, Srebrna dama mająca wypełniać moje polecenia i wspierać intrygi. Myślę, że zmieniła mnie wojna.

Wtłoczyła we mnie strach, którego nigdy dotąd nie odczuwałam. To nie o siebie się boję, a o Ptolemeusza i Elane. O tych, których kocham najmocniej, dla których mogłabym zabić. Poświęcić wszystko, by byli bezpieczni i znajdowali się blisko mnie. Poczułam smak korony i wiem, że chęć jej posiadania nie może się równać z tymi uczuciami.

Ojciec nie podziela mojego zdania i nie pozwoli mi porzucić obowiązków.

Nie wspomniałam mu o tym, że Anabel i Julian zawarli układ z Wodniaczkami, ani o jego ostatnim postanowieniu. Mogę się mylić. Może królowa Cenra i Iris zadowolili się Salinem Iralem, gotowe oddać króla za kroplę zemsty.

„Dobrze wiesz, że to nieprawda”.

Nie są głupie. Nie zapłaciłyby tak wysokiej ceny za tak marną nagrodę.

„Bo prawdziwą nagrodą jest twój ojciec”.

Zerkam na niego z ukosa i dostrzegam linię ramion, wyprostowanych dumnie pod obłością chromowej zbroi, wypolerowanej na tak wysoki połysk, że widzę w niej swoje odbicie. Wyglądam na przestraszoną. Mam rozszerzone, niespokojne oczy, otoczone ciemnym makijażem mającym ukryć cienie pod oczami. Wczoraj wieczorem stoczyłam dobrą walkę – dość dobrą, by ocalić siebie i brata, podczas gdy tak wielu naszych krajan zginęło. Ojciec nie wspomniał o tym ani słowem. Nie powiedział nic, co sugerowałoby, że jest szczęśliwy, iż jego dzieci przeżyły, a jego dziedzictwo przetrwało. Volvo Samos jest twardy jak stal, od której pochodzimy, zrodzony z samych ostrych krawędzi. Nawet jego broda została wypielegnowana i przycięta z matematyczną precyzją. Odziedziczyłam po nim karnację, usposobienie i głód. Jednak teraz każde z nas pragnie czegoś innego. On chce władzy – tyle, ile jest w stanie zgromadzić. Ja – wolności. Możliwości decydowania o własnym losie.

Pragnę tego, co niemożliwe.

– Omówmy jeszcze kwestię królewskiego ślubu... – zaczyna Anabel, ale ja nie mogę już tego zdzierżyć.

– Przepraszam – wtrącam i wychodzę, nie patrząc na nikogo z zebranych.

To przypomina kapitulację. A jednak nikt mnie nie powstrzymuje, nawet ojciec. Nikt się nie odzywa.

Docieram do głównych schodów, gdy drogę przecina mi matka. Niemal syczy z gniewu, naśladując jednego ze swoich węży. Nigdy nie pojmem, jakim cudem ta drobna kobieta potrafi wypełnić sobą całą przestrzeń.

– Dzień dobry, matko. Nie martw się, nic mi nie jest. Nawet mnie nie drasnęli – mamroczę.

Odpowiada na moje powitanie machnięciem ręki. Tak jak ojciec zdaje się nie dbać o to, że jeszcze wczoraj stałam w obliczu śmierci.

– Doprawdy, Evangeline. – Krzywi się i kładzie ozdobione biżuterią dłonie na biodrach. Dziś wybrała jasnozielony strój. Jej nos lekko drga i wiem, że nie koncentruje na mnie całej uwagi. Pozostała część jej świadomości znajduje się w myszy obserwującej królewską naradę. – Potrafisz się wspiąć po murze Fort Patriot, ale zwykle posiedzenie przekracza twoje możliwości?

Drzę, próbując nie myśleć o bitwie. Odsuwam od siebie to wspomnienie.

– Nie lubię marnować czasu – odpowiadam drwiąco.

Tylko moja matka potrafi przewrócić oczami w taki sposób.

– Omawianie szczegółów własnego ślubu to dla ciebie strata czasu?

– Tu nie ma nic do omawiania – parskam. – Nikt nie pyta mnie o zdanie, więc co za różnica, czy będę brała w tym udział? Poza tym Toli wszystko mi potem opowie. Przekaze wszystkie polecenia ojca – dodaję, cedząc przedostatnie słowo, jak gdybym miała w ustach coś zgniłego.

Matka napręża się, zdenerwowana i groźna.

– Zachowujesz się tak, jakby spotykała cię kara.

Unoszę podbródek. Czuję, jak z gniewu zaciskają się na mnie stalowe nici, którymi przetykana jest moja suknia.

– A tak nie jest?

Wygląda tak, jakbym ją spoliczkowała i obraziła cały jej ród.

– Nie rozumiem cię! – mówi, unosząc dłonie. – Przecież tego właśnie chcesz. Pracowałeś na to przez całe życie.

Jest tak ślepa, że z trudem hamuję śmiech. Bez względu na to, iloma oczyma potrafi patrzeć moja matka, nigdy nie zobaczy świata moimi. Mój śmiech ją niepokoi. Spoglądam na jej brwi i przesuwam spojrzenie po warkoczu, w który wplotła kamienie szlachetne. Jedno jest pewne: Larentia Viper dobrze odgrywa rolę

królowej. „To wszystko ma jeden cel”.

– Do twarzy ci w koronie, matko. – Wzdycham.

– Nie zmieniaj tematu, Eve – mówi zirytowana, zamykając dzielącą nas przestrzeń. Z całym uczuciem, na jakie ją stać, kładzie mi dłonie na ramionach, przyciąga mnie do siebie i przytula.

Nieruchomieję, wrośnięta w ziemię. Jej palce powoli przesuwają się po moich ramionach, rozmasowując nagą skórę. Jej gest jest niemal matczyzny, o wiele bardziej niż dotychczasowe.

– Już prawie koniec, skarbie.

„Właśnie, że nie”.

Spokojnie wyplątuję się z jej uścisku. Powietrze jest cieplejsze niż jej dłonie, które z kolei są tak lodowate, że mogłyby należeć do gada. Mam wrażenie, że ta nagła separacja ją zapiekła, ale nie daje tego po sobie poznać.

– Idę do wanny – informuję ją. – Proszę, żebyś w tym czasie trzymała oczy i uszy z dala ode mnie.

Matka zaciska wargi. Niczego nie obiecuje.

– Robimy to wszystko dla twojego dobra.

Odchodzę, szeleszcząc za sobą suknią.

– Wmawiaj to sobie, jeśli ci tak wygodnie.

Kiedy docieram do swojej komnaty, mam ochotę coś rozbić – roztrzaskać wazon, szybę albo lustro. Szkło, nie metal. Chcę zniszczyć coś, czego nie będę potrafiła poskładać. Opieram się tej pokusie, przede wszystkim dlatego, że nie mam potem ochoty tego wszystkiego sprzątać. Na Morskim Wzgórzu zostało kilkoro Czerwonych sług, ale to niewiele. Tylko ci, którzy chcą dalej pracować w tej roli, za lepsze wynagrodzenie, zostaną w tym pałacu i nie zrezygnują z posad u Srebrnych.

Zastanawiam się, jak głęboki wpływ na rzeczywistość będzie miała decyzja Cala. Ile zmieni? Wprowadzenie równości Czerwonych będzie miało poważne konsekwencje i wpłynie na coś więcej niż porządek panujący w mojej komnacie.

Wchodzę w głąb pokoju i otwieram okna. Późne popołudnie w zatoce Harbor to piękna pora, wypełniona złotym światłem i aromatyczną morską bryzą. Próbuję znaleźć w tym pocieszenie, ale czuję jedynie większą złość. Drażnią mnie piskliwe lamenty mew. Fantazjuję o tym, by nadzieć jedną na szpikulec, ot tak, dla wprawy. Zamiast tego odciągam miękkie koce pokrywające łóżko i zaczynam się pod nie wczołgiwać. Drzemka robi mi lepiej niż kąpiel. Chcę, by ten dzień się już skończył.

Zamieram, gdy natrafiam dłonią na ukrytą pośród jedwabiu kartkę.

Wiadomość jest krótka, wykaligrafowana wąskim, okrągłym pismem. W najmniejszym stopniu nie przypomina eleganckich, ostentacyjnie pochyłych znaków stawianych przez Elane. Nie rozpoznaję tego pisma, ale nie muszę się nad tym długo zastanawiać. Niewiele osób zostawiłoby mi sekretną wiadomość, a jeszcze mniej ma dostęp do mojego łóżka. Serce wali mi jak oszalałe, a oddech więźnie w gardle.

Mieliśmy rację, nazywając Szkarłatną Gwardię szczurami. Nie zdziwiłoby mnie to, gdyby okazało się, że mieszkają w ścianach.

Wybacz, że nie przekazałem Ci zaproszenia osobiście, ale okoliczności temu nie sprzyjały. Opuść Nortę. Opuść Rowy. Przyjedź do Montfortu. Ty i Lady Elane zostaniecie odpowiednio uposażone. Czekamy na Ciebie w górach, gdzie będziesz mogła żyć tak, jak Ci się podoba. Porzuć tę pustą skorupę życia. Nie poddawaj się losowi. Wybór należy tylko do Ciebie. Nie prosimy o nic w zamian.

To jawne kłamstwo sprawia, że prawie zgniatam wiadomość Davidsona. „Nic w zamian”. Już sama moja obecność będzie dla nich prezentem. Beze mnie sojusz Cała z Rowami zawiśnie na włosku. Jego ostatni sojusznik może się wycofać, a Davidson i Szkarłatna Gwardia znów zyskają nad nim władzę.

Jeśli się zgadzasz, poproś, by przyniesiono Ci do pokoju filiżankę herbaty. My zajmiemy się resztą.

Jego słowa parzą i odciskają piętno na moim umyśle. Mam wrażenie, że wpatruję się w nie przez kilka godzin, choć minęło zaledwie kilka minut.

„Wybór należy tylko do ciebie”. Nie ma chyba niczego, co byłoby dalsze od prawdy. Ojciec znajdzie mnie wszędzie bez względu na to, kto stanie mu na drodze. Jestem jego inwestycją, częścią dziedzictwa.

– Co zrobisz? – pyta znajomy głos, słodszy niż melodia.

Elane rozkwita nagle po przeciwnej stronie pokoju, a jej sylwetka odcina się na tle okna. Wciąż jest piękna, ale już nie promienieje. Ten widok sprawia, że czuję ukłucie w sercu.

Zerkam na trzymany w dłoni liścik.

– Nie mogę nic zrobić – mamroczę. – Jeśli... – Nie potrafię wypowiedzieć tych słów na głos, nawet do niej. – To tylko pogorszy sprawę. Dla mnie i dla ciebie.

Nie porusza się, choć tak bardzo pragnę, by do mnie podeszła. Nieobecny wzrokiem spogląda na miasto i ocean.

– Naprawdę sądzisz, że moja sytuacja może być jeszcze gorsza?

Jej szept, kruchy i delikatny, łamie mi serce.

– Mój ojciec by cię zabił, Elane. Zabiłby cię, gdyby sądził... Gdyby wiedział, jak bardzo kusi nas... to – odpowiadam, ściskając kartkę.

„A Toli?” Nie mogę zostawić go samego, jedyne dziedzica tronu niewielkiego i ryzykownie ulokowanego królestwa. Litery na liściku zlewają się ze sobą i wirują. Płaczę. Uświadamiam to sobie z niedowierzaniem. Duże łzy skapują na papier, jedna za drugą. Atrament krwawi, niebieski i mokry.

– Evangeline, nie wiem, jak długo jeszcze będę mogła tak żyć.

Elane wypowiada te słowa cicho, bez emocji. Jej twarz się wykrzywia, tak że muszę się odwrócić. Powoli podnoszę się z łóżka i ją mijam. Kątem oka zauważam rude włosy. Nie idzie za mną do łazienki, pozwala mi przemyśleć wszystko w samotności.

Choć drżą mi dłonie, a z oczu płynie nieprzerwany strumień łez, robię to, o czym poinformowałam matkę. Przygotowuję sobie kąpiel i topię w niej liścik. Pozwalam, by te słowa, ta oferta i nasza przyszłość zatoneły.

Zanurzam się w ciepłe, a jednocześnie czuję mdłości na myśl o tym, kim jestem. O moim tchórzostwie i o wszystkim, co wypełnia moje zgniłe życie. Odchylam głowę i zanurzam się w wodzie, pozwalając, by zmyła łąy z moich policzków. Otwieram oczy pod wodą i spoglądam na dziwaczny falujący nad powierzchnią świat. Powoli wypuszczam powietrze, a bąbelki szybują w górę i pękają. Uświadamiam sobie, że w tej sytuacji mogę zrobić jedno. Tylko jedno.

Trzymać język za zębami.

I pozwolić, by Julian i Anabel grali w te swoje gierki.

*

Siadam do kolacji z mokrymi włosami, zwiniętymi w spiralę na karku. Moja twarz także jest naga. Zero makijażu, zero barw wojennych. Nie ma sensu stroić się na posiłek z rodziną, choć matka zdaje się tego nie rozumieć. Jest ubrana jak na uroczystą kolację, choć w salonie należącym do apartamentu ojca zasiadamy tylko w pięcioro. Matka jak zwykle błyszczy, wystrojona w suknię z długimi rękawami i płytkim dekoltem z czarnego materiału, który mieni się purpurą i zielenią jak wstęga rozlanego oleju. Jej korona także tkwi na miejscu, wpleciona w warkocze. Ojcu własna korona teraz nie jest potrzebna. Ten mężczyzna onieśmiela bez względu na to, co ma na sobie. Podobnie jak Ptolemeusz wygląda skromnie w prostym stroju w naszych rodowych barwach srebra i czerni. Siedząca obok niego Elane zdaje się spokojna – ma suche i puste oczy.

Grzebię w talerzu, milcząc równie uparcie, jak podczas spożywania ostatnich dwóch dań. Rodzice mówią za nas wszystkich, choć Ptolemeusz od czasu do czasu coś wtrąca. Wciąż jest mi niedobrze, a z nerwów przewraca mi się w żołądku. A wszystko to przez moich rodziców i ich żądania, przez to, jak bardzo ranię Elane, i przez to, co sama zrobiłam. Możliwe, że milczeniem skazuję własnego ojca na śmierć. Ojca i jego królestwo. Ale po prostu nie potrafię wypowiedzieć tych słów

na głos.

– Skutek proklamacji nowego króla widać już na stołach Morskiego Wzgórza – zauważa, przesuając jedzenie widelcem.

Tak pyszne zazwyczaj dania zostały zastąpione prostą, mdłą strawą. Niedoprawiony kurczak z zieleniną, gotowane ziemniaki i jakiś wodnisty sos. Każdy zdołałby coś takiego przygotować. Nawet ja. Pewnie Czerwoni kucharze porzucili pracę w pałacu.

Ojciec z bezwzględnością przekrawa kawałek kurczaka.

– To nie przetrwa – mówi tylko, ostrożnie dobierając słowa.

– Skąd to przekonanie? – Toli, ukochany następca tronu, cieszy się rzadkim przywilejem zadawania ojcu pytań i nie grożą mu za to żadne konsekwencje.

Nie oznacza to oczywiście, że ojciec mu odpowie. I rzeczywiście milczy, przeżuwając mdłe mięso z grymasem niesmaku. Odpowiadam, starając się, by brat dojrzał to co ja. Gestem wskazuję ojca.

– Zrobi, co w jego mocy, by zmusić Cala do wycofania się z tej decyzji. Udowodni mu, że kraj potrzebuje Czerwonej siły roboczej.

Kochany Toli w zamyśleniu marszczy brwi.

– Przecież Czerwona siła robocza wciąż będzie istnieć. Czerwoni też muszą coś jeść. A przy godziwym wynagrodzeniu...

– A niby kto ma im płacić? – warczy matka, spoglądając na Toliego takim wzrokiem, jak gdyby miała do czynienia z imbecylem. To dla niej nietypowe. Zazwyczaj go rozpieszcza, bardziej niż mnie. – Na pewno nie my. – Mówi bez końca, nabijając jedzenie na widelec ostrymi, szarpiącymi ruchami. Niespokojnymi i szybkimi jak królik. – To złe rozwiązanie. Nienaturalne.

W myślach powtarzam skromne postanowienia Cala. Ogłoszone ze skutkiem natychmiastowym. Godziwe płace, swoboda poruszania się, jednakowe kary i ochrona na mocy prawa ustanowionego przez Srebrnych i...

– A co z poborem? – pytam na głos.

Matka uderza ręką o stół.

– Kolejna głupota. Pobór stanowi wspaniałą motywację. Praca lub służba. Czy bez wizji drugiego ktokolwiek zdecyduje się na to pierwsze?

W kółko paplamy o tym samym, a ja z trudem oddycham przez nos. Siedząca po drugiej stronie stołu Elane rzuca mi ostrzegawcze spojrzenie. Najwyraźniej mnie też nie przeszkadza brak służby, a nowy świat, który pragnie zbudować Cal, doprowadzi do społecznych wstrząsów – głównie ze strony Srebrnych, którzy przywykli do zajmowanego miejsca. To nie przetrwa. Nie może przetrwać. Srebrni na to nie pozwolą. „Ale w Montforcie demokratyczne rządy się sprawdziły. Tak powiedział Davidson. Ich kraj był kiedyś taki jak nasz”.

Przypominam sobie także inne jego słowa, które wtedy, w górach, skierował tylko do mnie. Stał zbyt blisko mnie i szeptał zbyt szybko. Ale wstrząs spowodowany jego słowami sprawił, że coś do mnie dotarło. „A więc nie możesz dostać tego, czego pragniesz, z powodu tego, kim jesteś. To wybór, którego sama nie dokonałaś, część ciebie, której nie możesz zmienić – i nie chcesz zmienić”.

Nigdy nie sądziłam, że w jakikolwiek sposób przypominam Czerwonych. Jestem wielmożną panną urodzoną w rodzinie Srebrnych, a dzięki dokonaniom swojego potężnego ojca – księżniczką. Zawsze miałam zostać królową. I mimo pragnienia, które poczułam w sercu, i mimo dziwnych zmian, jakie zaszły w mojej naturze, powoli do mnie dociera, że rzeczywiście nią zostanę. Wtedy, w Montforcie, Davidson miał rację. Tak samo jak Czerwoni nie jestem taka, jaką chce mnie widzieć świat. I nie dam się za to gnębić.

Ptolemeusz chwyta mnie za rękę pod stołem, ale jego dotyk – choć pełen ciepła – jest przelotny. Zalewa mnie fala miłości do brata, a po niej fala wstydu.

„To ostatnia szansa”.

– Rozumiem, że Elane pojedzie z nami do Archeonu – mówię na głos, przenosząc wzrok z ojca na matkę.

Rodzice wymieniają znaczące spojrzenia, które znam i które mi się nie podobają. Elane spuszcza wzrok i wpatruje się w swoje dłonie, ukryte pod stołem.

– Będzie musiała stanąć po stronie swojego domu i wraz z Havenami złożyć

przysięgę wierności. – Lodowatym tonem wykladam argumenty, które wydają mi się rozsądne.

Najwyraźniej nie dla matki, która ze szczękiem odkłada metalowy widelec na talerz z porcelany.

– Księżniczka Elane jest żoną twojego brata – cedzi, podkreślając ostatnie słowa. Brzmią jak gwoździe na szkło. Matka zachowuje się tak, jakby Elane wcale tu nie było.

To mnie rozjusza.

– A twój brat, wraz z całą naszą rodziną, dowiódł już królowi Tyberiaszowi swojej lojalności. Nie ma potrzeby, by ponownie odbywała tak długą podróż. Wróci do domu, do Grani.

Policzki Elane zalewa rumieniec. Gryzie się jednak w język, bo wie, że nie powinna brać udziału w tej bitwie.

Z irytacją wypuszczam powietrze. „Długa podróż. Co za pierdoły...”

– Cóż, jako księżniczka Rowów powinna być obecna na koronacji. Pokazać narodowi, kim jesteśmy. Zdjęcia i nagrania będą krążyć po całych Rowach oraz Norcie. Nasi poddani powinni poznać przyszłą królową, nie sądzicie? – Ten argument jest w najlepszym razie wątpliwy i tak desperacki jak moje próby. Nienawidzę przypominać innym, a zwłaszcza sobie, jaki tytuł nosi Elane, ponieważ otrzymała go, poślubiając mojego brata, nie mnie.

– Nie ty o tym decydujesz.

Kiedy byłam dzieckiem, rozwścieczone spojrzenie ojca zamykało mi usta i sprawiało, że natychmiast przestawałam pyskować. Czasem od niego uciekałam, ale wtedy spotykała mnie jeszcze dotkliwsza kara. Mimo lęku nauczyłam się więc wytrzymać jego wzrok. Stawać twarzą w twarz z tym, co mnie przerażało.

– Elane nie należy ani do niego, ani do was – ryczę jak jeden z wielkich kotów matki.

„Nie wiem, jak długo jeszcze będę mogła tak żyć”, powiedziała wcześniej.

Czuję to samo.

Elane zaciska zęby, niezdolna nic powiedzieć. Toli pochyla się do przodu, jak gdyby potrafił obronić mnie przed rodzicami.

– Eve... – szepcze, chcąc to wszystko zakończyć, zanim sytuacja się pogorszy.

Matka odrzuca głowę do tyłu i wybucha niebezpiecznym, przenikliwym śmiechem. Czuję się pokonana, opluta i upokorzona przez kogoś, kto powinien mnie kochać.

– Czyżby należała do ciebie, Evangeline? – mruczy z kąśliwym uśmiechem.

Mam ochotę dać jej w twarz.

Lęk, który dotąd czułam, zamienia się w gniew – żelazo w stal.

– Należymy do siebie nawzajem – odpowiadam, wlewając w siebie łyk wina.

Elane podnosi wzrok i przewierca mnie nim na wylot.

– W życiu nie słyszałam nic równie absurdalnego – prycha matka, odsuwając od siebie talerz. – To jest niejadalne.

Ojciec znów wbija we mnie rozwścieczone spojrzenie.

– To nie przetrwa – powtarza, udzielając odpowiedzi nam obu.

Tak samo jak matka odsuwam od siebie talerz z nietkniętym jedzeniem.

– Jeszcze zobaczymy – mamroczę pod nosem. Mam tego wszystkiego dość.

Zanim udaje mi się wstać od stołu i po raz kolejny tego dnia wypaść z pomieszczenia jak burza, do salonu wchodzi Anabel Lerolan w towarzystwie strażników. Nawet stara królowa nie jest na tyle bezczelna, by stanąć przed rodziną Samosów bez ochrony.

– Przepraszam, że przeszkadzam – mówi szybko i kiwa do nas głową. W słabnym świetle popołudnia jej korona połyskuje ciepłym blaskiem.

W konfrontacji z Anabel matka szybko przeobraża się w królową Larentię. Prostując kręgosłup i opuszczając ramiona, poprawia i tak już nienaganną posturę. Obrzuca babcię Cala władcym spojrzeniem.

– Domyślam się, że masz ku temu powód.

Monarchini z domu Lerolan kiwa głową.

– Maven Calore zginął.

Siedzący u mego boku Ptolemeusz wypuszcza powietrze. Powstrzymuje uśmiech. Podobnie jak moi rodzice, którzy cieszą się, że w końcu pozbyli się Mavena. Ja żałuję tylko, że mnie przy tym nie było. Chciałabym mieć pewność, że ten sadystyczny chłopak, który dręczył nas przez lata, już nie wróci.

Mój brat odzywa się pierwszy. Obraca się tak, by spojrzeć Anabel w twarz.

– Czy Cal sam wykonał wyrok?

Jej twarz przybiera kamienny wyraz.

– Chciałam przez to powiedzieć, że zniknął z pałacu.

Czuję lekki ucisk bransoletek, które powoli zaciskają się wokół moich nadgarstków. Srebrna zastawa na stole zaczyna szczękać – wstrząsana nie moim gniewem ani gniewem Ptolemeusza, ale rozszalałego ojca. Volvo zaciska pięść na stole, a leżące na nim widelce i noże się wyginają.

Ojciec mruży oczy.

– Uciekł?

„To mało prawdopodobne, jednak nie niemożliwe. Wśród Srebrnych ma jeszcze wielu zwolenników. Niektórzy pochodzą z rodu Haven. Mogli się zakraść do pałacu, ukryć Mavena i potajemnie wyprowadzić z budynku”. Mój umysł rozważa kolejne możliwości. Byłoby fatalnie, gdyby we wszystko był zamieszany ród Haven. Konsekwencje mogłyby dotknąć Elane.

Anabel kręci głową, a jej grymas z każdą sekundą się pogłębia.

– Nie wygląda na to – mamrocze.

Matka gwałtownie wciąga powietrze.

– W takim razie...

Kończę za nią:

– Ktoś musiał go zabrać.

Stara królowa wykrzywia wargi.

– Tak.

– Czerwoni – szepczę.

Przez chwilę mam wrażenie, że Anabel eksploduje. Obnaża zęby.

– Tak.

*

Jest już po zachodzie słońca, kiedy docieramy do komnat Cala i tłoczmy się w dużym salonie, w którym przyjął nas wczoraj. Rozwścieczony, przechadza się tam i z powrotem, wciąż w dworskim stroju oraz koronie z różowego złota. Krąży wokół swojego wuja Juliana zasiadającego sztywno ze skrzyżowanymi nogami i założonymi rękami na jednym z krzeseł. Nad mężczyzną nachyla się jakaś kobieta, trzymając blade dłonie na jego wąskich ramionach. To Sara Skonos, Uzdrowicielka Ciała. Nie odzywa się, pozwala im rozmawiać, a sama uważnie przysłuchuje się ich słowom.

– Powód wydaje się oczywisty... – Julian urywa, kiedy wkraczamy do pokoju. – Proszę, proszę, dwa posiedzenia rady w jeden dzień – mówi kąśliwie. – Królowo Larentio, miło cię tu zobaczyć.

Zamiast obrzucić Pieśniarza rozwścieczonym spojrzeniem, matka przywołuje na usta najbardziej fałszywy uśmiech, na jaki ją stać. Efekt jest taki sam.

– Lordzie Jacos – cedzi, nie zbliżając się do niego.

Po cichu cieszę się, że nie ma z nami Elane, która wróciła do mojego apartamentu. Jej obecność wzmogłaby tylko napięcie w tej i tak już stresującej chwili.

Ojciec nie marnuje czasu i rzuca się na krzesło jak drapieżny ptak, który znalazł sobie żerdź. Wpatruje się w Cala, który nie przestaje krążyć.

– A więc twój brat dostał się w ręce wroga.

Julian zaciska wargi.

– „Wróg” to mocne słowo.

– Już ich tu z nami nie ma – odcina się ojciec, nie siląc się na uprzejmy ton. – Uprawdzili cennego zakładnika. Tym samym Montfort i Szkarłatna Gwardia przeszli na stronę wroga.

Nie zatrzymując się, Cal przykłada rękę do podbródka. Spogląda mojemu ojcu

w oczy.

– Co Wasza Wysokość w związku z tym proponuje? – pyta. – Czy mam zebrać wciąż jeszcze dochodzących do siebie żołnierzy, zgromadzić flotę i napaść na odległy kraj, by odzyskać bezużytecznego, złamanego nastolatka? Nie sądzę.

Oczami wyobraźni widzę, jak włoski na karku ojca stają dęba. Volvo zaciska szczęki.

– Dopóki Maven żyje, zagraża Norcie.

Cal kiwa głową i unosi otwartą dłoń.

– W tym się zgadzamy.

W innych okolicznościach każda oznaka destabilizacji młodych rządów Cala byłaby dla mnie powodem do radości, ale tym razem nie mam się z czego cieszyć. Z westchnieniem opadam na krzesło.

– Większość Szlachetnych Domów złoży ci przysięgę wierności – mówię na głos, choć głównie do siebie. – Wiedzą, że Maven jest skończony.

Stojący nade mną Cal cmoka irytująco. Wyobrażam sobie, jak odcinam mu głowę.

– To za mało. Jeśli mamy walczyć z Lakelandią i Piedmontem, naród musi być zjednoczony.

Za naszymi plecami Anabel zamyka drzwi i przechodzi przez salon, by stanąć u boku wnuka. Jej ciągle pozowanie na prawą rękę króla zaczyna mnie męczyć.

– Te wstrętne szczury nie mogą się doczekać, aż się wzajemnie pozabijamy, a wtedy urządzą sobie ucztę z naszych martwych ciał.

Spoglądam na nią z kpina, przypominając sobie dzień, w którym po raz pierwszy przybyła do Rowów. Przysięgała wtedy, że sojusz z Czerwonymi będzie chwilowy, a Norta, jaką znamy, powróci do dawnego kształtu.

– Mogę się mylić, ale... – zaczynam niewinnym tonem – czy nie zamierzaliśmy postąpić tak samo?

Patrzy na mnie z obrzydzeniem, podczas gdy Cal kontynuuje swój spacer. Przechodzi pomiędzy nami, na moment mnie zasłaniając. Przez chwilę patrzymy

sobie w oczy. Nie mogę mówić, ale próbuję mu przekazać tyle, ile jestem w stanie. Nie ufa mi ani mnie nie lubi, a ja odwzajemniam jego uczucia. Niestety, potrzebujemy teraz siebie nawzajem, bez względu na to, jak bardzo nam to nie pasuje.

Odwraca się i staje przed moimi rodzicami.

– Nie możemy stracić z oczu prawdziwego zagrożenia. Lakelandczycy powrócą ze zdwojoną siłą, wspierani przez Piedmont.

– Kto wie, co obiecali Brackenowi za pomoc – pomstuje Anabel.

Siedząca na kanapie matka nie potrafi powstrzymać kąśliwej uwagi.

– Cóż, przynajmniej oni nie sprzymierzyli się z ludźmi, którzy porwali im dzieci – mówi zimno, oglądając swoje paznokcie.

Nie zdziwiłabym się, gdyby królowa z domu Lerolan rzuciła się na moją matkę, jednak ona stoi nieruchomo.

Ojciec odzywa się aksamitnym głosem:

– Nie widzę przeszkód, by działać jednocześnie na dwóch frontach, Wasza Wysokość.

Cal oznajmia z charakterystyczną dla siebie zapalczywością:

– Nie zamierzam toczyć dwóch wojen, Volvo. I ty też nie będziesz.

Polecenie zawisa w powietrzu i wszyscy jesteśmy wstrząśnięci. Nawet moja matka milknie i spogląda na ojca z lękiem. Boi się tego, co zrobi jej mąż w odpowiedzi na tak wielką zuchwałość.

Mężczyźni spoglądają na siebie z wrogością, patrzą sobie w oczy. Kontrast pomiędzy nimi jest aż nazbyt widoczny. Cal jest młody – to doświadczony wojownik, ale nieopierzony polityk. Powodują nim miłość, namiętność, ogień, który zdaje się wiecznie płonąć w jego wnętrzu. Mój ojciec potrafi siać zagładę na różne sposoby – za pomocą broni i słów. Jest zimny do szpiku kości, wyrachowany posąg z czarną dziurą w miejscu serca.

Ta wymiana zdań może wszystko zakończyć. Odciąć Rowy od Norty, a mnie wraz z nimi. Ale nie... Ojciec nigdy by się na to nie zdobył. Ma własne plany –

plany, których nie potrafię pojąć. Plany, których powodzenie zależy od tego, czy Cal utrzyma się na tronie.

Ojciec przemawia powoli, jak gdyby się powściągał.

– Nie mówię o wojnie z Montfortem ani o Czerwonych kryminalistach, z którymi wszedł w konszachty. – Kładzie dłonie płasko na kolanach, prezentując liczne pierścienie i bransoletki. Wszystkie śmiercionośne. – Uderz tam, gdzie ich zaboli. Odbierz im zwycięstwo, które we własnym mniemaniu odnieśli. Bądź Srebrnym królem, władcą swojego gatunku.

Pierwszy odzywa się Pieśniarz. Przygotowuję się, że usłyszę głos, którego zawsze się obawiam.

– Co Wasza Wysokość sugeruje?

Ojciec nawet nie zaszczyca Juliana spojrzeniem.

– Twoje proklamacje sparaliżują ten kraj – informuje Cala. – Unieważnij je.

Ku mojemu zaskoczeniu Julian wybucha nieskrępowanym śmiechem – dziwnie dobrotliwym i uprzejmym. Pierwszy raz słyszę, by ktoś śmiał się w ten sposób.

– Proszę wybaczyć, ale mój siostrzeniec nie jest w stanie cofnąć tego, co dziś postanowił. To zaprzeczałoby jego sile. Takie zachowanie nie przystoi królowi.

Tym razem ojciec się odwraca i przygniata Juliana całym ciężarem swojego spojrzenia.

– To dobra kara za zdradę, której dopuścili się Czerwoni.

Cal nie zamierza dłużej milczeć.

– To ja rządę Nortą, nie ty – mówi, starając się wyrażać tak precyzyjnie, jak to możliwe. – Nie ty ani nikt inny – dodaje, rzucając znaczące spojrzenie wujowi i babce. – Proklamacja w dalszym ciągu będzie obowiązywać.

Ojciec odpowiada bezzwłocznie:

– Nie w moim królestwie.

Podobnie jak moja matka, kulę się, gdy Cal robi krok naprzód, zamykając przestrzeń dzielącą go od Volvo. Wygląda to tak, jak gdyby przystępowali do pojedynku.

– W porządku – cedzi, spoglądając na króla Rowów z wściekłością.

Patrzą sobie prosto w oczy, żaden z nich nie mruga, nie ucieka wzrokiem. Żałuję, że nie mogę im porządnie przyłożyć. Zakończyć to raz na zawsze.

Anabel wcina się, zanim szala przechyli się na stronę jednego z mężczyzn. Staje pomiędzy królami i kładzie dłoń na ramieniu wnuka.

– Wrócimy do tego rano, kiedy zdołamy to przemyśleć i będziemy mieli lepszy ogląd sprawy.

Siedzący za nimi Julian podnosi się na nogi. Poprawia szaty.

– Zgadzam się, Wasza Wysokość.

Moja matka także widzi sens takiego rozwiązania i gestem daje znać Ptolemeuszowi, by ruszył za nią. Ja także wstaję, wykończona. Tylko ojciec nie rusza się z krzesła. Nie zamierza ulec pierwszy.

Cal ma mniejszą ochotę na kontynuowanie tej gierki. Odwraca się do nas plecami i znudzonym gestem odprawia nas ze swojej komnaty.

– Świetnie, do zobaczenia rano. – Milknie i patrzy przez ramię. Nie na mojego ojca, tylko na mnie. – Evangeline, możemy porozmawiać?

Mrugam przebiegle. Zebranych ogarnęła masowa dezorientacja.

– W cztery oczy.

Pozostali opuszczają salon, a ja powoli siadam. Nawet ojciec wychodzi drapieżnym krokiem, a za nim podążają matka i brat. Tylko Ptolemeusz się odwraca i nasze spojrzenia na chwilę się spotykają. Gestem daję mu znać, że może iść. Nic mi nie będzie. Nie ma się czym niepokoić.

Julian szybko godzi się z żądaniami siostrzeńca w przeciwieństwie do Anabel, która nie spieszy się z odejściem.

– Mogę w czymś pomóc? – pyta, przenosząc wzrok z Cala na mnie.

– Nie, Bababel – odpowiada on. Podchodzi do niej i umiejętnie podprowadza ją do drzwi.

Królowa reaguje na to kwaśną miną, ale pochyla głowę. Jest jej królem, musi być mu posłuszna.

Kiedy drzwi się za nią zatrzasują, nieco się odprężam i opuszczam ramiona. Cal się waha. Stoi plecami do mnie i słyszę jego drżący oddech.

– Korony trochę ważą, prawda? – mówię do niego.

– Owszem. – Odwraca się niepewnie. Znika presja, jaką odczuwał, występując przed radą i rodziną. Rozluźnia się tak samo jak ja. Jest wykończony wydarzeniami ostatnich dni, chciałby dać sobie z tym wszystkim spokój.

Unoszę brew.

– Czy twoja jest warta swojej ceny?

Cal nie odpowiada i w milczeniu podchodzi do krzesła ustawionego naprzeciwko mojego. Jedną nogę prostuje, drugą zgina. Kiedy się porusza, wydaje mi się, że słyszę, jak jego kolano trzeszczy.

– A twoja? – odpowiada w końcu, wskazując moje puste skronie. W jego słowach nie ma urazy, której się spodziewałam. Jest zbyt zmęczony, by ze mną walczyć.

Sama też nie widzę powodu, by to robić.

– Nie, chyba nie – mamroczę.

Moja odpowiedź go zaskakuje.

– Zamierzasz coś z tym zrobić? – mówi, a w jego głosie słychać jakąś nutę, która do złudzenia przypomina nadzieję.

„Zamierzam nic nie robić”, myślę, ale na głos mówię:

– Niewiele mogę zrobić... dopóki on trzyma mnie na smyczy.

Wie, o kim mówię.

– Evangeline Samos na smyczy – oznajmia, przywołując na twarz uśmiešek udający złośliwy. – Brzmi absurdalnie.

Nie mam siły mu tego tłumaczyć.

– Żałuję, ale tak właśnie jest – mówię tylko.

Przesuwa dłońmi po twarzy, na chwilę zaciskając powieki.

– Ja też.

Nie potrafię powstrzymać prychnięcia.

Nigdy nie przestanie zaskakiwać mnie to, do jakiego stopnia mężczyźni potrafią się nad sobą uzalać.

– Niby na jakiej smyczy może być trzymany król Norty? – wyłośliwiam się.

– Zapytaj lepiej, ile ich jest.

– Sam zapędziłeś się w tę pułapkę. – Wzruszam ramionami, nie potrafiąc zdobyć się w stosunku do niego na współczucie. – Dali ci wybór. Zanim opuścili pałac, miałeś szansę wszystko zmienić.

Obruszony Cal pochyła się do przodu oparty na łokciach.

– Co by było, gdybym postąpił według ich żądań? Gdybym raz na zawsze pozbył się tego piekielnego złomu? – Aby uzyskać bardziej obrazowy efekt, ściąga koronę i odrzuca ją z łomotem.

„Co za dramatyzm”.

– Zapanowałyby chaos. Wybuchłyby zamieszki. Może nawet kolejna wojna domowa. Na pewno czekałby nas konflikt z twoim ojcem. A może nawet z moją babcią.

– Niewykluczone.

– Nawet nie próbuj mnie pouczać, Evangeline – rzuca złośliwie. Zaczyna się denerwować. – Możesz tu siedzieć i obwiniać mnie o wszystkie swoje problemy, ale nie zachowuj się tak, jakbyś się do nich nie dołożyła.

Policzki zalewa mi ciepła fala rumieńca.

– Słucham?

– Ty też możesz decydować. Postanowiłaś, że zostaniesz tutaj.

– Bo się boję, Cal. – Choć zamierzałam warknąć, wypowiadam te słowa szeptem.

To go nieco uspokaja. Zimny kompres na świeże oparzenie.

– Ja też – odpowiada tak samo zbolalym głosem.

– Tęsknię za nią – mówię bez zastanowienia.

– Ja też – przyznaje Cal.

Spuszcza wzrok i wpatruje się w swoje dłonie, jak gdyby wstydził się, że kocha

kogoś, z kim nie może być. Wiem, jaki to ból. Jaki balast. Wiem, że te uczucia w końcu pociągną nas na dno.

– Czy jeśli ci coś powiem, dotrzymasz tajemnicy? – mrużę. Nachylam się do przodu, tak że gdybym chciała, mogłabym go ująć za rękę. – Obiecasz, że nie zdradzisz jej nawet Julianowi i Anabel? Zwłaszcza im?

Cal podnosi wzrok. Badawczo spogląda mi w oczy, sprawdzając, czy nie próbuję go oszukać. Czy nie zastawiłam na niego jakiejś pułapki, jak przystało na przedstawicielkę mojego rodu.

– Tak.

Oblizuję wargi i odzywam się, nie dając sobie czasu do namysłu.

– Myślę, że zabiją mojego ojca.

Cal mruga z dezorientacją.

– To nie ma sensu.

– Cóż, może nie zrobią tego własnoręcznie, ale... – Pierwszy raz w życiu ujmuję dłoń Tyberiasza Calore i nie czuję obrzydzenia. Lekko ściskam go za palce i staram się wytłumaczyć mu wszystko tak, by zrozumiał. – Czy naprawdę sądzisz, że Cenra i Iris wymieniłyby Mavena na kogoś takiego jak Salin Iral?

– Nie – szepcze Cal. Ściska moją dłoń mocniej niż ja jego. – A gdyby zginął twój ojciec...

Kiwam głową, a on domyśla się reszty.

– ... przestałyby istnieć także Rowy. Włączono by je do Norty – kończę. – Po śmierci ojca Ptolemeusz nie miałby odwagi toczyć wojny. Bez względu na to, jak dobrze radzi sobie w walce, to nie leży w jego naturze.

– Trudno mi w to uwierzyć – parska Cal nieco innym tonem. Po chwili jego spojrzenie się zmienia, król ściąga brwi, po czym znów je podnosi, jak gdyby rzucił z nich balast. Nagle wszystko pojmuję. – Nie wspominałaś o tym rodzicom, prawda?

Potrząsam głową. Cal rozdziawia usta.

– Evangeline, jeśli masz rację...

– Przyczynię się do jego śmierci. Wiem – syczę do siebie, na siebie. Wrywam rękę z jego uścisku. Nie mogę go dotykać ani na niego patrzeć. Wbijam rozwścieczony wzrok w dywan i śledzę misterne wzory świadczące o kunszcie Czerwonych. – Zawsze uważałeś, że jestem okropna. Czy świadomość, że miałeś rację, nie jest satysfakcjonująca?

Czuję jego gorące palce, kiedy bierze mnie pod brodę i zmusza, bym na niego spojrzała.

– Evangeline – szepcze, ale ja nie chcę jego litości.

Odpycham go.

– Mam nadzieję, że bogowie Iris Cygnet nie istnieją. Nie wyobrażam sobie nawet, jaką szykują dla mnie karę.

Cał przytyka pięść do ust i powoli przesuwa kłykciami po wargach. Nieobecny wzrokiem wpatruje się w dal i kiwa głową.

– Szykują ją dla nas wszystkich.

ROZDZIAŁ 28

IRIS

Cytadela Jezior to najbezpieczniejsze miejsce, w jakim mogłabym się znaleźć, a jednak czuję niepokój i raz po raz oglądam się przez ramię. Widzę jedynie znajomych strażników w niebieskich mundurach, którzy niemal zlewają się z mgłą spowijającą ten letni deszczowy poranek. Jest tu także Jidansa. Stara Psychiczka podąża krok w krok za mną i moją matką, kiedy spacerujemy ścieżką wijącą się wokół ogromnego poligonu. Jej obecność działa na mnie kojąco, podobnie jak obecność matki, więc powoli się odprężam. Pod nami pułki lakelandzkiej armii przygotowują się do wojny. Ci, którzy już walczyli – żołnierze legionów dowodzonych przez Mavena, kiedy jeszcze byliśmy sprzymierzeni – zasłużyli na odpoczynek. Tutejsi rekruci są nowi, gotowi do walki. Pragną podbić inne ziemie i przynieść chwałę Lakelandii. Chcą zająć wzgórza i rzeki oraz plaże Norty. Potężne miasta techników huczące od elektryczności i tak cenne pod kątem gospodarki. Królestwo Norty to kopalnia złota, która tylko czeka, aż ktoś ją przejmie.

Tysiące żołnierzy ćwiczą na deszczu, niezrażeni pogodą. To samo dzieje się w całym naszym królestwie. Taki wydano rozkaz, od Cytadeli Śniegu po Cytadelę Rzek. Zmobilizowaliśmy wszystkich, których zdołaliśmy zebrać, Srebrnych i Czerwonych. Armia Lakelandii czeka na znak, gotowa do ataku. Jesteśmy liczni i dysponujemy różnymi umiejętnościami. Nasz wróg został sparaliżowany, więc musimy postąpić miłosiernie i jedynie go dobić.

Czemu zatem w głębi serca czuję tak wielki niepokój?

Wizytowanie armii nie wymaga uroczystego stroju, dlatego obie jesteśmy ubrane tak samo jak żołnierze, których wspieramy – mamy na sobie niebieskie

mundury z połyskującymi srebrnymi i złotymi lamówkami. Nawet matka zrzuciła żałobną czerń. Nie zapomnieliśmy jednak o ojcu ani zemście, którą poprzysięgaliśmy po jego śmierci. To wszystko przygniata nas jak kamień. Jego ciężar towarzyszy nam na każdym kroku.

Przechodzimy przez ostatni most i wступujemy na jeden z wielu balkonów otaczających centralną część cytadeli. Jej okna są rozjarzone i kuszą ciepłem. Mimo kojącego działania deszczu mam ochotę się przed nim schronić. Matka narzuca szybkie tempo i prowadzi nas do środka. Jesteśmy umówione z Tiorą na obiad, ale kiedy docieramy do pomieszczenia, w którym zostanie podany posiłek, jeszcze jej nie zastajemy.

Moja siostra nie ma zwyczaju się spóźniać.

Zerkam na matkę pytająco, ona jednak po prostu zajmuje miejsce u szczytu stołu. Jeśli królowej Cenry nie zastanawia nieobecność Tiory, ja też nie zamierzam się tym przejmować.

Siadam i czekam na pojawienie się siostry. Strażnicy zatrzymują się przy drzwiach i ustawiają z obu stron, a Jidansa zajmuje miejsce przy stole. Jest arystokratką z linii Merin, starożytnego i cieszącego się uznaniem Lakelandczyków rodu, i służy nam od lat. Podczas gdy królowa sięga po puszysty chleb, ja przyglądam się dużemu wyborowi sztucców. Widelcom, łyżkom... a zwłaszcza nożom. Z przyzwyczajenia podliczam znajdujące się na stole przedmioty mogące służyć jako potencjalna broń, nie zapominając o szklankach z wodą. W moich rękach są bardziej śmiertelne niż jakiekolwiek ostrze.

Wpatruję się w wodę, pozwalając, by wypełniła moją świadomość, tak jak wypełnia szklanki. Znam to wrażenie równie dobrze, jak swoją twarz. A jednak tym razem czuję się jakoś inaczej.

Wszystko przez to, w czym pomogłam matce. Od wymiany minęło kilka dni, a ja wciąż nie mogę o tym zapomnieć. Prześladowuje mnie zwłaszcza dźwięk. To, jak Iral dławiał się w ostatnich chwilach życia, niezdolny z nami walczyć. Wuj króla Calore, mężczyzna o nazwisku „Jacos”, jest Pieśniarzem, więc zanim ofiara trafiła w nasze ręce, odebrał jej wolę walki. Może gdyby mógł się bronić, nie czułabym

się tak nieswojo. Zasłużył na śmierć. Zasłużył na gorszą karę niż ta, którą od nas otrzymał. Ale to wspomnienie wciąż wypełnia mnie przedziwnym, nieznanym wstydem. Jak gdybym w jakiś sposób zdradziła bogów. Postąpiła wbrew ich woli i naturze.

Wieczorem jeszcze się pomodłę i mam nadzieję, że ich mądrość pomoże mi znaleźć odpowiedź.

– Jedz, zanim wystygnie – mówi matka, wskazując na stojące przed nami talerze. – Tiora lada moment dołączy.

Kiwam głową i mechanicznie nakładam sobie potrawy. Należy wprowadzić środki ostrożności. Nie może nam towarzyszyć Czerwona służba – nie teraz, kiedy omawiamy kolejne posunięcia. Szkarłatna Gwardia wszędzie ma swoich szpiegów. Musimy być czujni.

Na większości półmisek leżą ryby. Filetowany pstrąg, rozcięty i usmażony na maśle z odrobiną cytryny. Okoń oprószony solą i pieprzem. Rozgrzewająca potrawka z minogów, których głowy odrąbano i ułożono na tacy pośrodku stołu. W łagodnym świetle połyskują rzędy układających się spiralnie zębów. Na pozostałych talerzach znajdują się kolby złotej kukurydzy, sałata polana aromatyzowaną oliwą, kilka warkoczy chałki – krótko mówiąc, bogactwo lakelandzkich zbiorów. Nasze farmy sięgają odległych zakątków i są tak płodne, że zdołałyby wykarmić dwukrotnie większy kraj. Lakelandczykom nigdy nie brakuje jedzenia, nawet Czerwonym z nizin.

Nakładam sobie po trochu wszystkiego, zostawiając minogi dla Tiory. To danie dla konesera i jej wielki przysmak.

Kolejna minuta mija w milczeniu, odmierzana delikatnym tykaniem ściennego zegara. Za oknami wzmaga się deszcz, który bezlitośnie wali o szyby.

– Wojsko powinno przerwać ćwiczenia do czasu ustania deszczu – mamroczę. – Nie można pozwolić, by żołnierze się rozchorowali. Może się rozpętać jakaś epidemia.

– Racja – odpowiada matka między kęsami. Skinieniem dłoni daje znać

Jidansie, która natychmiast się podnosi.

Kobieta dyga.

– Dopilnuję tego, Wasza Wysokość – mówi, po czym odchodzi, by dostarczyć rozkaz.

– Możecie poczekać na zewnątrz – kontynuuje matka, spoglądając na strażników.

Mężczyźni pospiesznie wypełniają jej rozkaz.

Gdy pomieszczenie pustoszeje, czuję rosnące nerwy. Najwyraźniej matka chce mi przekazać coś, co nie powinno trafić do osób niepożądanych. Gdy drzwi znów się zatrząskują, a my zostajemy same, łączy palce w wieżyczkę i pochyla się do przodu.

– To nie deszcz cię niepokoi, *monamora*.

Przez chwilę mam ochotę ją zbyć. Rozciągnąć usta w sztucznym uśmiechu, zachichotać i zaprzeczyć. Ale nie lubię wkładać maski przy matce. To nieuczciwe. Poza tym ona i tak wszystko widzi.

Wzdycham i odkładam widelec.

– Wciąż mam przed oczami jego twarz.

Łagodnieje i z królowej zamienia się w matkę.

– Ja też tęsknię za twoim ojcem.

– Nie. – To słowo wypada z moich ust nieco za szybko i wprawia matkę w popłoch.

Jej oczy rozszerzają się ze zdumienia, a w przytłumionym świetle jadalni wydają się ciemniejsze niż zwykle.

– Myślę o ojcu cały czas, ale... – Szukam właściwego sposobu, żeby to przekazać. Koniec końców, robię to wprost. – Mówię o człowieku, który go zabił.

– I którego potem zabiłyśmy my – mówi matka ze spokojem. To nie oskarżenie, ale stwierdzenie faktu. – Zgodnie z twoją sugestią.

Kolejny raz zalewa mnie obca fala wstydu. Na policzki wpełza rumieniec. Owszem, to ja przekonywałam matkę, żebyśmy przyjęły ofertę królowej Anabel.

Żebyśmy wymieniły Mavena na mężczyznę, który zabił mojego ojca. A następnie mężczyznę, dla którego tamten zabił ojca. Jednak ta część umowy nie została jeszcze dotrzymana.

– Zrobiłabym to ponownie – mówię cicho i by odwrócić uwagę, przesuwam jedzenie po talerzu. Pod spojrzeniem matki czuję się bezbronna. – W pełni zasłużył na śmierć, ale...

Matka się napręża, jak gdyby coś ją bolało.

– To nie twoje pierwsze morderstwo. Zabijałaś wcześniej, w obronie własnej.

Otwieram usta, by się wytłumaczyć, ale ona nie przestaje mówić.

– Ale nie tak – dodaje, kładąc dłoń na mojej. Jej oczy błyszczą, pełne zrozumienia.

– Nie – przyznaję z goryczą. Jestem sobą zawiedziona.

To było słuszne morderstwo, zapłata za śmierć ojca. Nie powinnam się tak czuć. Matka ściska moje palce.

– Oczywiście, że tym razem było inaczej. Czujesz się nie tak, jak powinnaś.

Oddech więźnie mi w gardle, kiedy wpatruję się w nasze złączone dłonie.

– Czy to mija? – pytam szeptem i siłą woli podnoszę wzrok.

Jednak matka na mnie nie patrzy. Zerka przez okna na deszcz przesłaniający świat. Jej oczy tańczą wraz z siekącą wodą. „Ile osób zabiła?”, zastanawiam się. Nie mam pojęcia i nigdy się tego nie dowiem.

– Czasem tak – odpowiada w końcu. – Czasem nie.

Zanim udaje mi się pociągnąć ten wątek i dowiedzieć, co właściwie ma na myśli, do pokoju wchodzi Tiora, która tak jak my zostawia swoich strażników w holu. Podczas gdy matka wbrew lakelandzkiej tradycji na krótko wybrała się do Norty, Tiora pozostała tutaj, by mieć pewność, że granice naszego kraju będą bezpieczne, a wojsko gotowe do podjęcia kolejnych działań na trasie naszej podróży. Doskonale nadaje się do tego zadania i to wszystko sprawia jej wielką przyjemność, choć znajdujemy się na krawędzi kolejnej wojny. Następczyni lakelandzkiego tronu wygląda jak żołnierz w swoim pogniecionym mundurze

pozbawionym ozdób i insygniów. Można by ją było wziąć za posłańca, gdyby nie charakterystyczna uroda rodziny Cygnet. Wysokie kości policzkowe i jeszcze wyższe mniemanie o sobie.

Siada z gracją odziedziczoną po ojcu i podwija smukłe nogi pod krzesło ustawione naprzeciwko mojego.

– Wspaniale! Umieram z głodu – mówi, wyciągając rękę po półmiski.

Podsuwam w jej stronę potrawkę oraz paterę z głowami minogów. Jako małe dziewczynki rzucałyśmy się nimi. Tiora też to pamięta i w odpowiedzi przesyła mi krótki uśmiech.

Następnie przechodzi do rzeczy, stając przed matką z powagą godną generała.

– Otrzymaliśmy wieści z cytadel Śniegu, Wzgórz, Drzew, Rzek i Równin – mówi, wymieniając fortyfikacje rozsiane po ogromnym obszarze Lakelandii. – Wszystkie są gotowe.

Królowa Cenra kiwa głową, zadowolona z jej słów.

– I tak powinno być. Niedługo uderzymy. Już bardzo niedługo.

„Niedługo uderzymy”. Odkąd wróciłam do ojczyzny, o niczym innym nie rozmawiamy. Nie miałam nawet czasu nacieszyć się wolnością poza królestwem Mavena i poza naszym małżeństwem. Matka każe mi uczestniczyć w niekończących się spotkaniach i wizytacjach. W końcu tylko ja stawiałam czoła Tyberiaszowi i jego kontyngentowi Czerwonych żołnierzy, nie wspominając o sojusznikach z Rowów.

Owszem, po swojej stronie mamy Brackena i Piedmont, ale czy to lepszy sojusznik niż Maven? Czy zapewni nam lepszą ochronę przed drugim z braci Calore zasiadającym teraz na tronie? Czy warto się nad tym głowić? Decyzja już zapadła. Kartę Mavena już dawno wyłożyliśmy i wymieniliśmy na inną.

Tiora ciągnie dalej:

– Najważniejsze, że nowo utworzone królestwo Tyberiasza Calore zdaje się chwiać w posadach.

Patrzę na nią zdumiona, całkiem zapominając o jedzeniu.

– Jak to?

– Czerwoni go opuścili – odpowiada, a mnie przechodzi dreszcz zaskoczenia. – Według informacji moich agentów Szkarłatna Gwardia, ta dziwna Nowa i montforckie wojska zniknęły. Sądzymy, że powrócili w góry. Albo zeszli do podziemia.

Siedząca u szczytu stołu matka głośno wzdycha. Unosi rękę i rozmasowuje sobie skroń.

– Kiedy ludzie w końcu się przekonają, że młodzi królowie to głupcy?

Tiora kwituje rozbawionym uśmieszkiem ten pokaz kobiecej frustracji.

Sama jestem raczej zainteresowana konsekwencjami, jakie pociąga za sobą wycofanie się Czerwonych. Bez Montfortu, Nowych, szpiegów Szkarłatnej Gwardii i bez Mare Barrow szala zwycięstwa z pewnością nie przechyliła się na stronę Tyberiasza Calore. I nietrudno zrozumieć dlaczego.

– Czerwoni nie będą wspierać go na tronie – mówię.

Nie poznałam Mare zbyt dobrze, ale widziałam dość, by móc się tego domyślać. Na każdym kroku walczyła z Mavenem, nawet gdy trzymał ją w niewoli. Z pewnością nie ścierpiałaby rządów kolejnego króla.

– Musieli wejść w porozumienie, ustalić, że odbiją Nortę i stworzą nowe państwo. Tyberiasz odmówił dotrzymania tych postanowień. Srebrni znów stoją na czele Norty.

Tiora przełyka kęs minoga i potrząsa głową.

– To nie do końca tak. Król ogłosił nowe proklamacje. Więcej praw dla Czerwonych z Norty. Lepsze płace. Koniec pracy przymusowej. Zniesiono też pobór do wojska.

Mrugam szybko. Głównie ze zdziwienia, ale także z niepokoju. Jeśli Czerwonym po drugiej stronie granicy zaproponowano takie dobrodziejstwa, co się stanie z Czerwonymi w Lakelandii? Czekają nas prawdziwy exodus, opętańcza migracja.

– Musimy zamknąć granice – rzucam pospiesznie. – Powstrzymać Czerwonych

przed przedostaniem się do Norty.

Matka znów wzdycha.

– Prawdziwy idiota – mamrocze. – Oczywiście wzmocnimy straż na granicy z Nortą. Ten Calore funduje nam dodatkowe problemy.

Tiora mruczy.

– Nie tylko nam, sobie też. Nortkańskie miasta techników pustoszeją z minuty na minutę. Sądzę, że po potędze ekonomicznej, jaką się cieszyli, niedługo pozostanie tylko wspomnienie.

Na te słowa matka z trudem powstrzymuje śmiech. Gdybym mogła, sama bym się roześmiała. Potrafię myśleć tylko o monstualnej głupocie Tyberiasza Calore. Dopiero odzyskał tron i od razu pozbawia kraj największych atutów? Dla kogo? Dla grupy czerwonych nieudaczników? Po to, by podtrzymać mit równości, sprawiedliwości, honoru i innych bzdurnych ideałów, których chciałby sięgnąć? Prycham do siebie. Zastanawiam się, czy król z rodu Calore pozostawiony sam sobie nie utonie pod ciężarem własnej korony. Albo zostanie pożarty przez spiskującego przeciwko niemu króla Rowów, który chce wysać jak najwięcej z tak zwanego Płomienia Północy.

Nie będzie jedynym Srebrnym na terytorium Norty, który zirytuje się z powodu tych proklamacji. Czuję, jak moje wargi układają się w złośliwy grymas, a kącik ust podwija do góry.

– Nie sądzę, by Srebrni obywatele Norty byli tym zachwyceni – mówię, poruszając palcem nad szklanką wody, tak że płyn zaczyna wirować.

Matka patrzy na mnie badawczo, próbując nadażyć za moim tokiem rozumowania.

– Zapewne.

– Mogłabym nawiązać kontakt z kilkorgiem z nich – ciągnę, a mój plan układa się tak samo szybko jak słowa wypadające z moich ust. – Złożyć kondolencje. Albo ich podburzyć.

– Jeśli dadzą się przekonać... Wystarczyłoby kilka kluczowych rejonów... –

Matka wpada w entuzjazm.

Kiwam głową.

– Możemy wygrać tę wojnę po jednej bitwie. Archeon upadnie, a wraz z nim cała Norta.

Siedząca naprzeciwko Tiora odpycha od siebie ulubioną potrawę.

– A co z Czerwonymi?

Wyciągam otwartą dłoń.

– Sama wspomniałaś, że zeszli do podziemia. Wycofali się. Zostawili Nortę na tacy. – Z szerokim uśmiechem spoglądam to na nią, to na matkę. Wszystkie dręczące mnie myśli o lordzie Iralu i jego śmierci wyparowały. Mamy ważniejsze sprawy na głowie. – A my się nią poczęstujemy.

– Zrobimy to dla bogów – mruczy Tiora, delikatnie stukając pięścią w stół.

Zwalczam pokusę, by ją poprawić. Nachylam głowę do starszej siostry.

– I dla własnej ochrony.

Tiora mruga, zdezorientowana.

– Jak to?

– Siedzimy tu i same nakładamy sobie potrawy ze strachu przed Szkarłatną Gwardią. Otaczają nas Czerwoni, we własnym kraju i poza jego granicami. Jeśli ich bunt będzie dalej trwał i się rozrastał, wygłodniały jak nowotwór, co się z nami stanie? – Przesuwam palcami nad talerzami i filiżankami, po czym wskazuję pustą komnatę i okna.

Deszcz osłabł i zamienił się w miarowe kapanie. W oddali, na zachodzie, słońce przedziera się przez szare chmury drobnymi rozpryskami światła.

– I co z Montfortem? Cały kraj Czerwonych i tych dziwacznych Nowych przeciwko nam? Musimy się bronić. Stać się zbyt potężni i zbyt silni, by można nas było zaatakować.

„Żadna z was tam nie była. Nie widziałyście ich miasta, wysoko w górach. Czerwoni, Srebrni i Nowi zjednoczeni na jednym froncie. A przez to silniejsi”. Łatwo było przekraść się do Ascendentu, aby uratować dzieci Brackena, ale nie

wyobrażam sobie, by udało się to także wojsku. Jakakolwiek wojna z Montfortem skończy się rozlewem krwi dla obu stron. Trzeba jej zapobiec, zadbać o to, by nie miała szans wybuchnąć.

Przygotowuję się na to, co powiedzą.

– Musimy odebrać im jakąkolwiek szansę na bunt – odpowiada matka bez namysłu. – Zgadzam się.

– Zgadzam się – rzuca Tiora równie szybko. Unosi nawet szklanę, a w fasetowanym naczyniu krąży przezroczysty płyn.

Deszcz za oknem ustaje, a ja czuję się spokojniejsza. Wciąż obawiam się tego, co nas czeka, ale cieszę się, że nasz plan nabiera kształtu. Jeśli rody lojalne dotąd Mavenowi złożą nam przysięgę wierności, Tyberiasz poważnie na tym ucierpi. Straci sojuszników. Nikt nie chce samotnie zasiadać na tronie.

Maven także był sam, bez względu na to, jak wielu doradców i możnowładców go otaczało. Cieszę się, że nie kazał mi towarzyszyć sobie w czasie wolnym, przynajmniej nie więcej niż było to konieczne. Przerazał mnie, kiedy jeszcze żył. Był nieprzewidywalny. Nigdy nie wiedziałam, co powie albo zrobi, a przez to żyłam w ciągłym napięciu. Dopiero teraz zaczęłam odsypiać te wszystkie nieprzespane noce, które spędziłam w jego pałacu, zbyt blisko króla monstrum.

– Dziwię się, że nie urządzili mu publicznej egzekucji – myślę na głos. – Ciekawe, jak to zrobili.

Przed oczami mam Mavena, nieudolnie szarpiącego się z naszymi strażnikami. Nie spodziewał się tego. „Ja też jestem nieprzewidywalna”.

Siostra przyciąga do siebie talerz i zanurza łyżkę w potrawce z minogów. Nie je, ale bawi się sosem, który wypełnia ciszę chlupotem.

– O co chodzi, Tioro? – pyta matka, zauważając jej zachowanie.

Moja siostra waha się, ale tylko przez chwilę.

– Ludzie spekulują – zaczyna. – Nie widziano go, odkąd został zabrany do pałacu w zatoce Harbor.

Wzruszam ramionami.

– Bo nie żyje.

Siostra na mnie nie patrzy. Nie potrafi.

– Nasi szpiedzy mają inne informacje.

Mimo ciepła panującego w pomieszczeniu i rozgrzewającego jedzenia przechodzi mnie dreszcz. Z trudem przełykam ślinę i staram się zrozumieć jej słowa, a jednocześnie zignorować lęk, który znów zaczął się w pobliżu. „Nie bądź tchórzem. On jest daleko, w niewoli, może nawet martwy. To już nie jest twój problem”.

Matka nie dzieli mojego przerażenia. Wybuchą gniewem.

– Po co trzymać go przy życiu? Ci bracia Calore... Jeden głupszy od drugiego.

Próbuję podejść do tego z większym namysłem. Odzywam się choćby po to, by zamaskować niepokój:

– Może starszy brat nie potrafi tego zrobić. Wygląda na człowieka o miękkim sercu.

„Musi taki być, skoro tej Czerwonej dziewczynie udało się go zmanipulować”.

Tiora jest tak samo spostrzegawcza jak nasza matka i przybiera łagodny ton.

– Krążą plotki, że Maven stamtąd zniknął.

Królowa Lakelandii blednie.

– W takim razie gdzie może być?

Istnieje kilka możliwości i szybko je analizuję. Jedna wydaje się bardziej prawdopodobna niż pozostałe. I dość żalosna dla tej dziewczyny od błyskawic. Mnie udało się przynajmniej uciec od Mavena Calore. Jej, jak widać, nie.

– Podejrzewam, że w Montforcie – mówię. – Jest z Nowymi i Szkarłatną Gwardią. Z Mare Barrow.

Tiora w zamyśleniu kiwa głową.

– Więc kiedy Czerwoni odeszli...

– Jest cennym zakładnikiem – potwierdzam. – Jeśli Maven wciąż żyje, Tyberiasz jest na straconej pozycji. Moźnowładcy mogą pozostawać lojalni w stosunku do jego brata.

Matka spogląda na mnie jak na doradczynię, nie jak na córkę. Cieszy mnie to. Czuję, jak mój kręgosłup się prostuje, i przywieram plecami do siedzenia, by wyciągnąć się na całą długość.

– Myślisz, że to możliwe?

Przez chwilę zwlekam z odpowiedzią, zastanawiając się nad tym, co wiem o Norcie i jej Srebrnych.

– Myślę, że Srebrni ze Szlachetnych Domów szukają powodu, by nie poprzeć Tyberiasza. By ich kraj funkcjonował według dotychczasowego porządku.

Zarówno matka, jak i Tiora, królowa i jej następczyni, obserwują mnie w milczeniu. Unoszę podbródek.

– Dajmy im ten powód.

ROZDZIAŁ 29

MARE

Kiedy docieramy do Ascendentu, jest już noc, więc prześlizgujemy się przez góry niemal w całkowitej ciemności. Staram się nie myśleć o tym, że w każdej chwili możemy się roztrzaskać o czarne skały. Jednak piloci wiedzą, co robią, i z łatwością lądują odrzutowcem na wysokogórskim pasie startowym. Pozostała część montforckiej floty powietrznej, a także samoloty transportowe przewożące większość wojsk pozostały na równinie. Będę musieli wejść po Szlaku Jastrzębia, by dostać się do miasta, albo rozproszyć się po drogach Montfortu i innymi trasami dotrzeć na swoje posterunki. Kraj przyjmie pozycję defensywną i będzie chronił swoje granice, na wypadek gdyby Lakelandczycy postanowili spróbować swoich sił w górach. Albo namówić Plądrowników i Prerię, by zrobili to za nich.

Farley, Davidson i ja w milczeniu wspinamy się do miasta, pokonując kolejne schody pod sklepieniem błyszczących gwiazd. Idąc, spoglądam w niebo i próbuję sobie przypomnieć nazwy konstelacji. Nie zamierzam myśleć o żadnym z braci Calore. Ani o tym, którego zostawiliśmy w Norcie, ani o tym, który maszeruje z nami, zakuty w kajdany, trzymany na celowniku. Od czasu do czasu zagaduje, pytając o Montfort. Nikt mu nie odpowiada, a echo jego głosu rozbrzmiewa w pustce i niknie. Zanim docieramy do domu premiera, straż zabiera Mavena i sprowadza kilka kondygnacji w dół, gdzie otaczają go kolejni wartownicy. Montfort nie zamierza ryzykować utraty kolejnego więźnia. Maven nie zostanie potraktowany tak łagodnie jak dzieci Brackena. Zostanie zabrany głęboko w trzewia miasta, do więzienia pod głównymi budynkami koszar. Staram się nie patrzeć, jak jego sylwetka maleje. On także się nie odwraca.

Farley wszystkich wyprzedza, nawet Kilorna, który prze naprzód długimi

krokami. Nie trzeba czytać w myślach, by wiedzieć, że ma w głowie córkę, która została z resztą naszej rodziny.

Davidson był na tyle życzliwy, że wysłał do swojej rezydencji posłańca, więc kiedy docieramy na miejsce, jest rześcicie oświetlona – w wielu oknach i na balkonach stoją zapalone świece i latarnie. Znajome sylwetki rzucają cienie na bruk, więc szybko ruszamy w ich stronę. Moja matka przekazuje Farley Clare, rozespaną, ale uśmiechniętą. Kątem oka widzę, że Davidson tuli swojego męża Carmadona, ale w tej samej chwili podchodzi do mnie mama. Ścisła mnie za ramiona i z głębokim westchnieniem przyciąga do piersi. Odprężam się, tak jak potrafię tylko w towarzystwie rodziny, i pozwalam, by zabrano nas do środka, do naszych pokojów.

Ponowne spotkanie jest równe sentymentalne, jak zawsze, choć rozłaka weszła nam już w krew. Opuszczam ich, stoję twarzą w twarz ze śmiercią i wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu wracam do nich cała i zdrowa. Wiem, że gdyby rodzice wierzyli, że to zadziała, związaliby mnie i nie wypuścili z domu, żeby ten cykl się nie powtórzył. Ale ufają wyborom, których dokonuję, a poza tym jestem Nową. Dziewczyną od błyskawic. Niewiele jest mnie w stanie powstrzymać. Bez względu na to, jak bardzo pragnę zostać, potrzeba parcia naprzód i walki zawsze okazuje się silniejsza.

Farley ze zmęczonym uśmiechem znika w swojej sypialni z Clarą na biodrze. Nikt jej nie powstrzymuje. Chce się nacieszyć córeczką, a my z radością jej na to pozwalamy.

Moja rodzina wylewa się na wykładany kafelkami taras. Rośnie tu więcej kwiatów, niż pamiętałam. Tramy nie próżnował.

– Są piękne – mówię mu, wskazując oszłamiającą kaskadę białych pąków spływających za barierki.

Mój brat z nieśmiałym uśmiechem opada na fotel, a Gisa przysiadła na podłokietniku. Sadowię się obok nich, zadowolona, że mogę odpocząć na płaskiej gąbczastej poduszce rzuconej na posadzkę.

– Mama mi pomogła – odpowiada Tramy, wskazując na mamę.

Macha do nas z przeciwnej strony tarasu. Ma dziś rozpuszczone włosy. Przywykłam do tego, że mama zaplata włosy w warkocze i upina w koczki, zawsze odgarniając je z twarzy. Choć widać siwiznę, w takiej fryzurze wygląda młodziej.

– Ja tylko chodziłam za tobą z konewką – odpowiada.

Nigdy nie uważałam Ruth Barrow za piękną. Czy jakakolwiek kobieta, a zwłaszcza biedna Czerwona, może się równać urodą ze Srebrnymi? Jednak pobyt w Montforcie przywrócił jej blask, a jej złota skóra połyskuje zdrowiem. Nawet zmarszczki nieco się wygładziły w delikatnym świetle lamp. Tata oczywiście wygląda lepiej niż kiedykolwiek, jest bardziej krzepki niż w Palach. Przytył tam, gdzie trzeba, jego ramiona i nogi się zaokrągliły, a pas zeszczupłał. To zapewne zasługa właściwego odżywiania, no i wymienionej nogi oraz płuca. Po powitaniu zapada w charakterystyczne dla siebie szorstkie milczenie, zajmuje miejsce obok Bree. Ostatnie tygodnie były dla nich łaskawe. Zwłaszcza dla Gisy. Jej ciemnorude włosy połyskują jak wstęga oleju. Przyglądam się jej ubraniu uszytemu z przerobionego montforckiego munduru. Mankiety i kołnierz ozdobiła spiralami kolorowej nici układającymi się w kwiaty i fioletowe zygzaki błyskawic. Wyciągam rękę i przesuwam palcami po misternym hafcie.

– Jeśli chcesz, mogę ci taki zrobić – mówi, spoglądając na mój mundur. Obrażliwie czerwony strój Szkarłatnej Gwardii sprawia, że moja siostra marszczy nos. – Może trzeba by to było trochę złagodzić – mamrocze, machając dłońmi. – Ozdobić czymś lepszym niż medale.

Kilorn siada obok mnie ze skrzyżowanymi nogami i odchyła się na rękach.

– Mnie też taki zrobisz?

– Jeśli będę miała ochotę – odpowiada Gisa, jak zwykle prychnając. Przesuwa po nim wzrokiem, jak gdyby oceniała klienta. – Ryby zamiast kwiatów.

Nie potrafię powstrzymać śmiechu i zasłaniam usta dłonią, widząc sztucznie naburmuszoną minę Kilorna.

– Jak długo zostanieie tym razem? – Głos ojca wciąż jest burkliwy, podszyty

pretensją.

Spoglądałam w jego ciemnobrązowe oczy. Takie same jak u Bree i Tramy'ego, ciemniejsze niż moje.

Mama kładzie mu dłoń na ramieniu, jak gdyby chciała go zepchnąć na inne tory.

– Danielu, ona dopiero wróciła.

Nie patrzy na nią.

– Właśnie o tym mówię.

– Nie szkodzi – szepczę, zerkając na oboje. To uzasadnione i dobre pytanie, zwłaszcza w tych okolicznościach. – Prawdę mówiąc, sama nie wiem. Kilka dni. Albo tygodni. Może nawet miesięcy. – Im dłuższy okres podaję, tym jaśniejsze stają się twarze moich bliskich. Cierpię, dając im to, co może się okazać fałszywą nadzieją, choć chciałabym, żeby to była prawda. – Wciąż nie wiemy, jak to wszystko się potoczy.

Tata zaciska wargi.

– Mówisz o Norcie.

Kręcę głową.

– Przede wszystkim o Lakelandii.

Pozostali patrzą na mnie w milczeniu. Poza Kilornem. Chłopak marszczy brwi, a na jego czole pojawiają się głębokie linie świadczące o złości.

– To oni mają teraz przewagę – kontynuuję. – Cal wciąż próbuje scalić podzielony kraj, a my czekamy, aż sytuacja się wyklaruje. Jeśli Lakelandczycy uderzą...

Mój najstarszy brat nabiera powietrza i wypuszcza je w postaci westchnienia irytacji. Wpatruje się we mnie ze złością, bo jestem jedyną osobą, na którą może tak patrzeć.

– Pomożesz im z nimi walczyć? – Oskarża mnie tak samo jak tata.

Wzruszam tylko ramionami. To nie ja jestem źródłem jego frustracji, lecz sytuacje, w które się pakuję. Ryzykuję życie, rozdarta pomiędzy dwoma Srebrnymi

królami – jestem bronią, którą można grozić, i twarzą, którą można wykorzystywać w kampaniach.

– Nie wiem – mamroczę. – Nie jesteśmy już jego sojusznikami.

Siedzący na podłodze Kilorn zaczyna się wiercić. To dla niego niewygodna pozycja. I niewygodny temat.

– A co z tym drugim?

Siedzący wokół na krzesłach i fotelach członkowie mojej rodziny bledną, mniej lub bardziej zdezorientowani. Mama splata ręce na piersi i przeszywa mnie aż nazbyt znajomym spojrzeniem.

– Z kim? – pyta, choć zna odpowiedź. Chce mnie zmusić, żebym wypowiedziała jego imię.

Cedzę odpowiedź przez zaciśnięte zęby:

– On mówi o Mawenie.

Głos ojca staje się morderczy. Nigdy go takim nie słyszałam.

– Powinien umrzeć.

– Ale żyje. Przyjechał z nami – warczy Kilorn, zanim udaje mi się go powstrzymać.

Przez moją rodzinę przetacza się fala złości. Twarze purpurowieją, wargi wyginają się w grymasie, a oczy błyskają z wściekłości.

– Nie zaczynaj, Kilornie – syczę i łapię go za nadgarstek.

Ale już jest za późno. Otaczające nas milczenie nabiera ciężaru szkarłatnej furii, tak potężnej, że niemal wyczuwam jej smak.

W końcu odzywa się Gisa, tak samo rozwścieczona jak ojciec.

– Powinniśmy go zabić.

Moja siostra nie jest agresywna i bardziej pasuje jej igła niż nóż. Ale wygląda tak, jak gdyby przy pierwszej nadarzającej się okazji chciała wydłubać Mawenowi oczy. Czułabym się winna, że to wszystko przeze mnie, gdyby nie nagły przypływ miłości, wdzięczności i dumy.

Moi bracia kiwają głowami, zgadzając się z Gisą. Niewykluczone, że układają

jakiś idiotyczny plan, żeby dostać się do celi Mavena.

– Żywy ma większą wartość – mówię szybko, żeby ich powstrzymać.

– W dupie mam jego wartość – odburkuje Bree.

Spodziewam się, że mama skarci go za przekleństwo, ale najwyraźniej tym razem jej ono nie przeszkadza. Prawdę mówiąc, sama spogląda przed siebie morderczym wzrokiem i przez chwilę dostrzegam w jej oczach brutalną miłość charakterystyczną dla królowych Anabel i Larentii Viper, a nawet Elary Merandus.

– Ta bestia odebrała mi syna. I ciebie.

– Przecież jestem tutaj, mam – szepczę, przełykając bolesne wspomnienie o Shadzie.

– Wiesz, co mam na myśli – odpowiada. – Sama poderżnę mu gardło.

Najbardziej wstrząsające jest milczenie taty. Jest cichy z natury, ale nie wtedy, gdy mówi o swojej nienawiści do Srebrnych. Zerkam na niego i już wiem, czemu nic nie mówi. Nie może. Jego twarz jest wściekle czerwona i gotuje się od wzbierającej w nim odrazy. Gdyby otworzył usta, nie wiadomo, co by z nich wypadło.

– Czy możemy porozmawiać o czymś innym? – pytam, rozglądając się po pozostałych członkach rodziny.

– Proszę bardzo – cedzi ojciec przez zaciśnięte zęby.

Mama wydaje się poirytowana, ale pochyła głowę na znak, że się zgadza.

– Wszyscy świetnie wyglądacie – mówię pospiesznie. – Czy Montfort...

– Tu jest jak we śnie, Mare – przerywa mi mama i odpowiada za wszystkich.

Sporo wiem o Davidsonie, ale towarzyszy mi rosnąca podejrzliwość. Nie wiem nic o jego kraju ani o tym mieście. Nie znam polityków, którym służy, ani reprezentowanych przez nich ludzi.

– Tylko... czy to dobry sen? – pytam. – Nie boicie się, że się nagle zbudzimy i będziemy mieli kłopoty? Odkryjemy, że coś poszło nie tak?

Mama wzdycha ciężko i spogląda na migoczące światła miasta.

– Pewnie zawsze powinniśmy się mieć na baczności, ale...

– Nie sędzę – mówi tata, kończąc jej myśl. Jego słowa są lakoniczne, lecz niosą bogatą treść.

Gisa kiwa głową, wtórując rodzicom.

– Nigdy dotąd nie widziałam, by Czerwoni i Srebrni funkcjonowali w ten sposób. W Norcie, kiedy chodziłam na targ ze swoją nauczycielką, Srebrni nie zaszczycali nas nawet spojrzeniem. Nie dotykali nas. – Jej brązowe oczy, takie same jak moje, błyszczą, kiedy przypomina sobie dawne życie, jeszcze zanim Srebrny oficer zmiążdżył jej rękę, której używała do szycia. – Tu jest inaczej.

Tramy mości się z powrotem w fotelu, a jego gniew topnieje. Przypomina mi kota, który nagle się czegoś zląkł, a teraz uspokaja się i wygładza sierść.

– Czujemy się tu równi.

Zastanawiam się, czy to wszystko dzięki mnie. Są krewnymi dziewczyny od błyskawic, cennej sojuszniczki premiera Montfortu. Oczywiście, że dobrze ich tu traktują. Nie mówię jednak tego wszystkiego na głos, choćby po to, by nie niszczyć chwilowego spokoju tej burzliwej nocy. Po tych słowach konwersacja staje się o wiele przyjemniejsza. Życzliwi i uśmiechnięci służący znoszą kolejno ogromne ilości jedzenia na kolację.

Potrawy są proste, ale obfite i smaczne, od smażonego kurczaka po słodką ciemnofioletową konfiturę jagodową rozsmarowaną na tostach. Kolację przygotowano przede wszystkim dla mnie i Kilorna, ale Bree i Tramy także nakładają sobie pełne porcje. Gisa skubie owoce i sery, a tata nakłada na talerz wędliny oraz krakersy dla mamy i siebie. Jemy powoli, a więcej czasu niż przeżuwanie zajmuje nam rozmowa. Ja przede wszystkim słucham, a rodzeństwo raczy mnie opowieściami o tym, jakich odkryć dokonało w Ascendencie. Bree co rano pływa w jeziorze. Czasem budzi Tramy'ego, wylewając mu na głowę butelkę lodowatej wody. Gisa ma niemal naukową wiedzę na temat sklepów i targowisk, a także kompleksu budynków zajmowanego przez premiera. Lubi spacerować po łąkach z Tramym, podczas gdy mama wybiera miejskie ogrody ciągnące się wzdłuż zboczy. Tata cieszy się możliwością chodzenia i co dzień zapuszcza się coraz głębiej w dolinę, z każdym krokiem w dół i z powrotem do góry wzmacniając

nowe mięśnie i ucząc się korzystania z obu nóg.

Kilorn uzupełnia ich opowieści i opisuje, jak wyglądały nasze podróże od momentu, gdy opuściliśmy Montfort. Jego wypowiedź jest skąpa, bo chłopak ma na tyle wycucia, by nie wspominać o najbardziej żenujących i przerażających szczegółach. Nie mówi też o Cameron Cole. Robi to ze względu na Gisę, ale ze sposobu, w jaki moja siostra opowiada o młodej dziewczynie ze sklepu jubilerskiego, wnoszę, że jej uczucie do mojego najlepszego kumpla minęło.

W końcu zaczynają mi ciążyć powieki. To był długi, trudny dzień. Staram się nie przypominać sobie zaciemnionej komnaty Cala, w której obudziłam się dziś rano, okryta jego pościelą. Dziś będę spała sama. Ale nie samotna. Gisa zajmuje pokój naprzeciwko mojej sypialni. Wciąż nie mogę spać bez kogoś w pobliżu. A przynajmniej nie próbowałam tego, odkąd uciekałam z niewoli Mavena.

„Nie myśl o nim”.

Powtarzam to sobie raz po raz, przygotowując się do snu.

Pod powiekami widzę wyryty tam na zawsze obraz Cala, podczas gdy Maven nawiedza wszystkie moje ulotne, dalekie sny. Głupi chłopcy. Mogliby w końcu zostawić mnie w spokoju.

*

Rano moje nerwy drgają od energii. Czuję bezustanne przyciąganie, szarpanie w okolicach żołądka, jak gdyby ktoś złapał mój kręgosłup na haczyk. Wiem, dokąd chce mnie zaprowadzić. W głąb miasta, w stronę głównych koszar Ascendentu. Budowla rozciąga się nad miejskim więzieniem, wykuta w skale na zboczu góry. Staram się nie wyobrazić sobie, jak przechadza się tam i z powrotem niczym oszalałe z rozpaczy zwierzę, samotne w swojej klatce. Sama nie rozumiem, dlaczego chcę go zobaczyć. Chyba jakaś część mnie wierzy, że Maven może nam się jeszcze przydać. Albo chcę go lepiej zrozumieć, zanim skończy się nam czas. Pod wieloma względami jesteśmy do siebie podobni – zbyt podobni. Poznałam smak ciemności, która owładnęła nim na zawsze. Maven reprezentuje to, czym mogłam się stać pozbawiona rodziny i jej wsparcia, zepchnięta w otchłań.

Tylko że Maven jest otchłanią. Nie potrafię spojrzeć mu w oczy. Jeszcze nie teraz. Nie jestem na to dość silna. Wyśmiej mnie, będzie mnie dręczył i torturował, poruszając najbardziej bolesne struny. Muszę dojść do siebie, zanim zdoła ponownie otworzyć nie do końca zagojone rany.

Więc zamiast zejść do miasta, zaczynam się wspinać. Coraz wyżej. I wyżej.

Z początku podążam drogą, którą jechaliśmy przez szczyt góry, kiedy Plądrownicy przypuścili atak na równinie. Teraz wiemy, że była to planowa napaść, która miała odciągnąć naszą uwagę i pozwolić Lakelandczykom uratować dzieci księcia Brackena. Plądrowników opłacono, i to sownie. Idąc, kopię kamyki i odtwarzam w myślach tamtą bitwę. Milczenie szarpie moim ciałem, jak gdyby pod moją skórą kryło się coś żywego i nienaturalnego. Coś, co zastąpiło moje błyskawice pustką. Klnąc pod nosem, odpycham ten pomysł, schodzę ze szlaku i zapuszczam się między skały i drzewa.

Mijają godziny i powietrze zdaje się palić moje płuca, parzyć gardło. Taki sam ból czuję w mięśniach. Protestują przy każdym kolejnym kroku, z każdym kolejnym centymetrem w górę skał. W cieniu zauważam placki śniegu, który nawet późnym latem jest biały i czysty. Robi się coraz zimniej, a moje stopy ślizgają się na błocie i igliwiu, żwirze i nagiej skale. Mimo bólu nie odpuszczam.

Strumyczki spływają ze zbocza i spotykają się w położonym znacznie niżej jeziorze. Zerkam do tyłu i widzę prześwitującą między sosnami dolinę. Masyw góruje nad Ascendentem, tak że z daleka stolica wygląda jak dziecięca zabawka. Białe bloki rozrzucone pomiędzy cienkimi jak wstążki drogami i krętymi schodami. Pasma górskie zdaje się ciągnąć w nieskończoność. Poszarpana powierzchnia skał i śniegu dzieli świat na pół. Błękitne niebo zachęca mnie, bym kontynuowała wędrówkę. Staram się, jak mogę, i tylko od czasu do czasu przystaję nad strumykami, by napić się wody i ochlapać czerwoną, spoconą twarz. Z plecaka wyciągam wtedy krakersa lub pasek solonego mięsa. Zastanawiam się, czy jego zapach nie zwabi niedźwiedzia albo wilka. Mam oczywiście błyskawice, tak bliskie jak oddech w płucach. Ale żaden drapieznik się do mnie nie zbliża. Zwierzęta pewnie wiedzą, że znajdą we mnie równą przeciwniczkę. Wszystkie poza jednym.

W pierwszym odruchu wydaje mi się, że to wystający kawałek skały. Widzę go na tle nieskazitelnego błękitu. Stoi nieruchomy w szarym stroju. Na tej wysokości sosny występują sporadycznie i nie chronią przed ostrym słońcem. Szybko mrugam i pocieram oczy, zanim w końcu uświadamiam sobie, na co patrzę.

Na kogo.

Moja błyskawica rozłupuje granitowy głaz, na którym stoi. Mężczyzna odskakuje i ześlizguje się po skałach.

– Ty draniu – warczę, przyspieszając, i czuję przyływ adrenaliny. To ona mnie napędza, wspomagana frustracją. Zdaję sobie sprawę, że bez względu na to, jaka jestem szybka i jak potężne są moje błyskawice, nigdy go nie złapię.

Jon zawsze będzie wiedział, że się zbliżam.

Jego śmiech spływa po zboczu góry. Krzywię się ze złości i podążam za tym dźwiękiem, dając mu się prowadzić. Jon zanosi się śmiechem, a ja pnę się bez tchu. Kiedy zostawiamy drzewa daleko w tyle i znajdujemy się na terenie położonym zbyt wysoko, by cokolwiek tu rosło, powietrze staje się lodowate i przenikliwe. Rozwścieczona, biorę haust, pozwalając, by moje płuca wypełniły się mroźnym oddechem. Opadam na ziemię. Nie mam siły iść dalej. Nie mam też ochoty, by Jon lub ktokolwiek inny kontrolował, dokąd chodzę i co robię.

Ale przede wszystkim jestem wykończona.

Opieram się plecami o duży głaz, od wieków smagany bezlitosnym wiatrem i śniegiem.

Oddycham z trudem. Mam wrażenie, że nigdy nie złapię tchu, tak jak nie złapałam tego przekłętego Psychika.

– To kwestia wysokości. – Słyszę jego głos. – Ci, którzy nie są do niej przyzwyczajeni, szybko się męczą. Nawet twojemu ognistemu księciu trudno byłoby się wspiąć na swój pierwszy szczyt.

Czuję się tak zmęczona, że tylko na niego zerkam spod przymrużonych powiek. Przysiadł na półce skalnej nad moją głową i macha nogami. Jon ma na sobie strój dobrany do górskich warunków pogodowych – gruby płaszcz i wygodne buty.

Ciekawe, od jak dawna przemierza szlaki i jak długo musiał tu na mnie czekać.

– Doskonale wiesz, że on nie jest już księciem – odpowiadam, ostrożnie dobierając słowa. Może uda mi się go nakłonić, by coś zdradził, odsłonił choćby skrawek czekającej nas wszystkich przyszłości. – Wiesz też, jak długo będzie królem.

– Owszem – odpowiada, uśmiechając się drwiąco. Wie, co próbuję od niego uzyskać, ale nie wyjawia niczego, czego nie ma ochoty wyjawić.

Biorę kolejny ciężki wdech, wciągając powietrze do spragnionych tlenu płuc.

– Co tu robisz?

– Napawam się widokiem.

Wciąż jeszcze na mnie nie spojrzął, a jego czerwone oczy są utkwione w horyzoncie. Roztacza się przed nami niesamowity krajobraz, o wiele bardziej okazały niż trzysta metrów w dół. Kiedy tak siedzę na skraju świata, czuję się jednocześnie mała i potężna, jestem wszystkim i niczym. Powietrze jest tu tak chłodne, że mój oddech zamienia się w obłoczek pary. Nie mogę zostać zbyt długo. Muszę dotrzeć na dół przed zmierzchem.

Szkoda, że nie mogę zabrać ze sobą głowy Jona.

– Mówiłem ci, że tak będzie – szepcze.

Wykrzywiam usta, odsłaniając zęby.

– Niczego mi nie mówiłeś. Gdybyś to zrobił, mój brat wciąż mógłby żyć. Tysiące ludzi...

– A wzięłaś pod uwagę inną możliwość? – przerywa mi. – Że dzięki temu, co zrobiłem i powiedziałem, a czego nie zdradziłem, ocaliłem więcej istnień?

Zaciskam pięść i macham nogą, spychając w przepaść deszcz skalnych odłamków.

– A ty wzięłaś pod uwagę to, że mógłbyś się po prostu przestać we wszystko wtrącać?

Jon wybucha nieprzyjemnym śmiechem.

– Wielokrotnie. Ale bez względu na to, czy będę się angażował czy nie, i tak

widzę drogę. Cel. Czasem nie mogę dopuścić do tego, by coś się wydarzyło.

– Miło, że to ty decydujesz – mówię kąśliwie, rozgoryczona jak zwykle, kiedy przebywam w towarzystwie tego przekłętego Nowego.

– Chciałabyś dźwigać takie brzemie, Mare Barrow? – odpowiada Jon, ześlizgując się po zboczu i siadając obok mnie. Uśmiecha się ze smutkiem. – Wątpię.

Drzę, czując na sobie jego szkarłatną uwagę.

– Powiedziałaś, że powstanę sama przeciwko wszystkim – mamroczę, powtarzając słowa, które wypowiedział dawno temu, w opuszczonym, zamglonym miasteczku górniczym.

Takie było moje przeznaczenie. Z każdym kolejnym dniem obserwowałam, jak się wypełnia. Kiedy straciłam Shade'a. I Cala. Widziałam je także w postępującym zubożeniu, zimnej dłoni, która oddzieliła mnie od wszystkich, których kocham. Bez względu na to, jak mocno staram się to ignorować, czuję się inna, złamana i wściekła, a przez to samotna. Istnieje tylko jeden człowiek, który naprawdę to rozumie. A on jest potworem.

Mavena także straciłam. Osobę, którą udawał, przyjaciela, którego kochałam i potrzebowałam, ilekroć czułam się samotna i przerażona. „Straciłam tak wielu ludzi”.

Ale wielu też zyskałam. Farley, Clare. Rodzinę, która trwa u mego boku. Są ze mną wszyscy poza Shade'em. Mam oddanego przyjaciela Kilorna. I Elektrykonów, ludzi Nowej Krwi takich jak ja, którzy udowadniają mi, że nie jestem sama. Premiera Davidsona i wszystko to, co pragnie osiągnąć. Zyski przewyższają straty.

– Myślę, że nie miałaś racji – mamroczę pod nosem, sama nie do końca wierząc w to, co mówię.

Siedzący obok mnie Jon podskakuje i aż strzela mu w karku. Obrzuca mnie surowym spojrzeniem.

– A może zmienił się los?

Choć nienawidzę jego oczu, zmuszam się, by w nie spojrzeć. Doszukać się

w nich kłamstwa lub prawdy.

– Czy to ja go zmieniałam?

Mruga powoli.

– Ty niczego nie zmieniałaś.

Mam ochotę uderzyć go łokciem w gardło, brzuch albo czaszkę.

Zamiast tego odchyłam się i zadzieram głowę, by popatrzeć w niebo. Jon mnie obserwuje i chichocze.

– Co? – warczę.

– Powstań – szepcze, wskazując na dolinę znajdującą się kilkaset metrów pod nami, a następnie na moją pierś. – Sama przeciwko wszystkim.

Tym razem lekko trzepię go w ramię, żałując, że nie mogę mu zrobić większej krzywdy.

– Wiem, że nie mówiłeś wtedy o wspinaniu się na szczyt – pryham. – „Nie błyskawica, ale burza. Nawałnica, która pochłonie cały świat”.

Odwodzi barki i znów spogląda na pasmo gór, a chmura jego oddechu unosi się w zimnym powietrzu.

– Kto wie, o czym mówiłem.

– Ty wiesz.

– I jeśli pozwolisz, zachowam to dla siebie. Nikomu więcej ta wiedza nie jest potrzebna.

Pryham.

– Zachowujesz się tak, jak gdybyś lubił władać naszym losem. – Przygryzam wargę i rozważam swoje możliwości. Jakikolwiek trop od niego może stanowić nieocenioną wartość albo obciążyć mnie i rzucić na drogę, którą sam dla mnie wybierze. Muszę zaryzykować i podejść do tego, co powie, z dużym dystansem. – Czy jest coś, co możesz mi zdradzić?

Kącik jego ust się podnosi, ale w oczach widzę wahanie, może nawet smutek.

– Twój przyjaciel łąwi lepiej od ciebie.

Biorę gwałtowny wdech i czuję zimne powietrze w gardle.

– Co wiesz o Kilornie? – Mój głos podnosi się o oktawę.

Kilorn jest nikim dla Jona, nikim wobec szarady, w której uczestniczą królestwa i los. Nie powinien zajmować najmniejszej przestrzeni w umyśle Jona w towarzystwie tysięcy niebezpiecznych i przerażających spraw. Przechyliłam się, by złapać go za ramię, ale on mi się wymyka.

Wpatruje się we mnie czerwonymi oczyma, które przypominają dwie identyczne krople krwi.

– To on jest katalizatorem, prawda? Przynajmniej dla ciebie – oznajmia. – Biedny przyjaciel, któremu grozi pobór do wojska i którego tylko ty możesz ocalić.

Jon wypowiada te słowa powoli, z namysłem. Daje mi czas, żebym sama ułożyła tę część układanki. Staram się nie widzieć tego, co znajduje się tuż przed moimi oczami. Chcę go zabić. Roztrzaskać mu głowę o kamienie. Ale nie mogę się ruszyć.

– Bo stracił możliwość nabrania fachu – mówię, drżąc. – Bo nauczyciel Kilorna umarł.

– Bo nauczyciel Kilorna upadł. – To nie jest pytanie. Jon doskonale wie, co stało się ze starym Cullym, rybakiem, u którego praktykował mój najlepszy przyjaciel.

To był prosty człowiek, przedwcześnie postarzały, tak jak my wszyscy. Oczy zachodzą mi łzami. Zbyt długo byłam marionetką, dłużej niż się spodziewałam.

– To ty go popchnąłeś.

– Popycham wielu ludzi. Na różne sposoby.

– Czy zabiłeś niewinnego człowieka? – syczę.

Coś się w nim zmienia, jak gdyby nagle zgasło lub zapaliło się światło. Koncentruje się na czymś innym. Wierci się i pociąga nosem, a jego głos staje się czysty, mocniejszy. Zachowuje się tak, jak gdyby zwracał się do tłumu żołnierzy, a nie tylko do mnie.

– Lakelandia niedługo zaatakuje Archeon – mówi. – Zrobi to w ciągu kilku tygodni. Przygotowują się do ataku, szkolą swoje armie do perfekcji. Tyberiasz

Calore jest słaby, a oni o tym wiedzą.

Nie mam siły z nim dyskutować. Ma rację, a mnie wciąż kręci się w głowie.

– Jeśli przejmą miasto, Tyberiasz nie odzyska Norty. Nie w tym roku. Ani w następnym. Ani nawet za sto lat.

Zaciskam zęby.

– Skąd mam wiedzieć, że nie kłamiesz?

Ignoruje mnie i ciągnie dalej:

– Jeśli stolica znajdzie się w rękach królowej Lakelandii, droga stanie się długa i skąpana we krwi. To będzie gorsze niż wszystko, czego dotąd doświadczyłaś. – Splata palce na kolanach, a białe kłykcie ostro kontrastują z szarością jego stroju. – Nawet ja ledwie dostrzegam to, co znajduje się na końcu tej drogi. Wiem jednak, że to coś okropnego.

– Nie lubię być twoim pionkiem.

– Każdy jest pionkiem w czyjejs grze, Mare, bez względu na to, czy zdaje sobie z tego sprawę.

– A ty czym jesteś pionkiem?

Nie odpowiada. Podnosi tylko oczy w stronę czystego, zimnego nieba. Wzdycha po raz ostatni i wstaje, spuszczaając lawinę kamieni.

– Powinnaś już iść – mówi, wskazując zbrocze.

– Żeby przekazać innym twoją wiadomość? – warczę, rozgoryczona. Nie mam ochoty słuchać rozkazów Jona, nawet jeśli ma rację. Wolałabym zamarznąć, niż dać mu satysfakcję.

– Żeby uniknąć tego – odpowiada. Przekrzywia głowę w kierunku północy, gdzie nad szczytami zbiera się powłoka chmur. – Tutejsze burze uderzają bez ostrzeżenia.

– Burze mnie nie przerażają.

– Rób, jak chcesz – odpowiada Jon, wzruszając ramionami. Ciaśniej otula się płaszczem. – Już się nie zobaczymy, Mare Barrow.

Spoglądam na niego z kpina, wciąż nie podnosząc się z miejsca.

– I dobrze.

Nie odpowiada. Odwraca się i zaczyna się wspinać.

Patrzę, jak sylwetka szarego mężczyzny na tle szarej skały maleje, aż w końcu znika.

Powstać. Sama przeciwko wszystkim.

*

W momencie gdy wchodzę między drzewa, na szczycie rozpętuje się burza. Sosny chronią mnie przed wyciem wiatru i smaganiem lodowatego deszczu. Schodzenie jest niemal tak samo bolesne jak wspinaczka, a z każdym kolejnym krokiem czuję szarpanie w kolanach. Muszę być ostrożna i uważać, jak stawiam stopy, bo na obsuwających się kamieniach i igliwiu pokrywającym szlak łatwo się poślizgnąć. Wysoko w górach przetacza się niski pomruk burzy, tak żywy jak moje serce.

Docieram do Ascendentu, kiedy słońce chowa się za szczytami nad doliną. Choć jestem obolała po wspinaczce i rozmowie z Jonem, wchodząc do rezydencji premiera, przyspieszam kroku. Mijam montforckich żołnierzy wyższego i niższego szczebla. Są tu także członkowie rządu Davidsona w wytwornych garniturach, którzy kręcą się na niższym poziomie budynku, opuszczają spotkania lub na nie podążają. Obserwują mnie uważnie, ale bez lęku. Tu nie jestem dziwadłem.

W tłumie ciemnozielonych garniturów i mundurów stoją dwie postaci o szokujących odcieniach włosów – jedna niebieskich, druga białych jak śnieg. To Ella i Tyton. Moi Elektrykoni odpoczywają w jednej z oszklonych wnęk, wypełniając sobą całą przestrzeń, tak by nikt nie zawracał im głowy.

– Czekacie na mnie? Nie trzeba było – mówię z uśmiechem, choć mój oddech wciąż jest nierówny i chrapliwy po wędrówce.

Tyton mierzy mnie wzrokiem od stop do głów, a na twarz opada mu pukiel białych włosów. Odchyła się spokojnie, kładąc długą nogę na siedzisko po drugiej stronie.

– Nie powinnaś sama wspinać się po górach – mówi. – Nie masz doświadczenia.

– Powinieneś spędzić więcej czasu z moimi braćmi, Tytonie – odpowiadam kąśliwie. – Potrafią mi dokuczać lepiej niż ty.

Rozciąga usta w swobodnym uśmiechu, ale jego ciemne oczy pozostają poważne. Ella wydaje się na niego obrażona.

– Wszyscy są w bibliotece Davidsona. Generał Farley i pozostali – informuje mnie, wskazując głową korytarz.

Na myśl o tym, że mam stawić czoła kolejnej radzie, ściska mnie w żołądku.

– Jak wyglądam?

Kobieta przesuwa po mnie wzrokiem i oblizuje wargi.

Tyton jest mniej dyplomatyczny.

– Jej wahanie powinno ci wystarczyć za odpowiedź. Ale nie masz czasu nakładać barw wojennych, Barrow.

– Świetnie – mamroczę, zostawiając ich w tyle.

Pospiesznie przyglądam włosy, próbując ukryć skołtunione od wiatru kosmyki w niedbałym warkoczu. „Generał Farley i pozostali”. Kto jeszcze może tam być poza moją przyjaciółką i premierem?

Bez trudu odszukuję bibliotekę. Znajduje się piętro wyżej i zajmuje dużą powierzchnię po wschodniej stronie pałacu. Choć podwójnych drzwi pilnują strażnicy, nie zatrzymują mnie, kiedy nadchodzę, i w milczeniu pozwalają mi przejść. Tak jak reszta rezydencji biblioteka jest jasna i przyjazna, wyłożona boazerią z lakierowanego, błyszczącego dębowego drewna. Wzdłuż pomieszczenia biegną podwójne rzędy regałów, a drugą kondygnację otacza wąskie półpiętro z balustradami z brązu. Stoją na nim żołnierze Szkarłatnej Gwardii w swoich ogniście czerwonych mundurach, z bronią zwisającą u pasków. Na mój widok tężeją, gotowi bronić swoich przełożonych, gdybym im czymś groziła.

Czerwoni generałowie Dowództwa.

Oni i Farley siedzą pośrodku pomieszczenia na zielonych skórzanych kanapach,

którym nadano kształt półkola. Jest z nimi także Ada, która powróciła po długich tygodniach spędzonych z Dowództwem. Stoi z boku z zaplecionymi ramionami. Milczy, bacznie wszystko obserwując. Kiedy się zbliżam, przesyła mi cień uśmiechu.

Szkarłatna Gwardia siedzi naprzeciwko foteli uformowanych w identyczne półkole, które zajmują montfortscy oficerowie i politycy, z Davidsonem pośrodku. Szepczą coś, nieporuszeni moją obecnością. Może się mnie spodziewali.

Czuję się zbyt brudna, by przebywać w tym pomieszczeniu, cuchnę chłodem i górami. Ale nie powinnam się tym przejmować. Generałowie wyglądają tak samo nieporządnie jak ja, a może nawet bardziej. Dotarli tu ze swojej terenowej siedziby, gdziekolwiek się ona znajduje. Przypominają Farley – nie z wyglądu, ale z nastawienia. Oczywiście, gdyby generał miała o trzydzieści lat więcej, a za sobą ciężką zwycięską walkę o przetrwanie. Trzej mężczyźni i trzy kobiety mają siwe włosy i krótkie fryzury takie jak Farley. Zastanawiam się, czy chciała się do nich upodobnić. Bo mimo łączących ich cech moja przyjaciółka znacznie się od nich różni. Wciąż jest młoda i kwitnąca. To podżegaczka.

Jej ojciec stoi ze splecionymi dłońmi wśród wielu oficerów na podeście i opiera się o barierkę. Jeśli jest zazdrosny o córkę i jej pozycję, dobrze to maskuje. Zerka na mnie, kiedy wchodzę, a nawet pochyla głowę na znak powitania, spoglądając na mnie groźnie swoim czerwonym okiem.

Zebrani rozmawiają ściszymi głosami. Farley przesuwa się, żeby zrobić mi miejsce. Jednak nie jestem generałem. Nie należę do Dowództwa. Nie zasłużyłam na to, by usiąść. Ustawiam się za nią, blisko jak opiekunka, i splatam ramiona na piersi.

– Miło mi, panno Barrow – mówi generał o kręconych włosach, obrzucając mnie przez ramię surowym nauczycielskim spojrzeniem. Jak gdybym swoim nadejściem przeszkodziła w wyjątkowo ważnej lekcji.

Odpowiadam tylko skinieniem głowy, bo nie chcę zaburzać przebiegu spotkania. Choć jego temat nie wydaje się istotny. Wielu doradców wymienia uwagi, a wśród stojących u góry żołnierzy także toczą się rozmowy.

– Dopiero skończyliśmy się sobie przedstawiać – mówi Ada uprzejmie, lekko się do mnie przysuwając.

Farley obserwuje mnie z błyskiem w oku. Przechyliła się i szepcze:

– Nie przejmuj się Łabędziem. – Daje kuksańca generał o kręconych włosach. – Drażni się z tobą.

Ku mojemu zaskoczeniu starsza kobieta wykrzywia usta w cynicznym uśmiechu. Jest między nimi jakaś poufałość, jak gdyby były przyjaciółkami, a nawet rodziną. Jednak z wyglądu nic ich nie łączy. Łabędź jest niska i ma szczupłą sylwetkę oraz piaskową cerę oprószoną ciemnymi piegami. Mimo znaczących twarz starczych linii piegi nadają jej niemal dziecinny wygląd.

– Pani generał – mówię cicho, uprzejmie pochylając głowę. Odpowiada tym samym, uśmiechając się szeroko.

Ada wylicza pod nosem nazwiska innych siedzących wokół generałów. W czasie spędzonym w ich siedzibie głównej zdążyła ich dobrze poznać. Pozostałe kobiety to Horyzont i Strażniczka, a mężczyźni: Dobosz, Szkarłat i Południowiec. To oczywiście pseudonimy. Wciąż ich używają, nawet tutaj.

– Generał Komnata nadal przebywa w Norcie, skąd nadzoruje nasze działania – szepcze Ada. – Przekaze nam informacje, które uda jej się zebrać na temat Norty i sytuacji na granicach.

– Co z Lakelandią? – pytam. – Iris szykuje inwazję. Musimy wiedzieć, kiedy uderzy.

„Kilka tygodni”, powiedział Jon. Mało konkretny termin.

Łabędź odchrząkuje.

– Lakelandia zamknęła granice. Sama nie byłam pewna, czy zdołam się stamtąd wydostać, nie wspominając o moich podwładnych, więc opuściliśmy kraj tak szybko, jak to było możliwe. – Jej oczy ciemnieją. – Trochę nas to kosztowało, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Ponuro kiwam głową i staram się nie myśleć o tym, ilu martwych przyjaciół za sobą zostawiła.

Spoglądam na zbiorowisko żołnierzy i polityków – prawie wszyscy są Czerwoni. Obok Davidsona siedzi kilkoro Srebrnych z Montfortu, ale znajdują się w zdecydowanej mniejszości. Rozpoznaję wśród nich Radisa, jasnowłosego reprezentanta Kongresu Zgromadzonych. Wita się ze mną niemal niezauważalnym skinieniem głowy.

Davidson napotyka moje spojrzenie i robi to samo. Rumienię się i głośno odchrząkuję, przesuwając się nieznacznie. Tylko siedzący najbliżej generałowie odwracają się, by na mnie spojrzeć. Ich żołnierzy trudniej jest uciszyć i muszę podjąć kolejną próbę, tym razem wkładając w nią więcej wysiłku. Wojskowi stopniowo się wyciszają, aż oczy wszystkich zebranych koncentrują się na mnie. Z trudem przełykam ślinę, kiedy ogarnia mnie znajome, ale wciąż niepokojące wrażenie. „Nie drzyj. Nie rumień się. Nie wahaj”.

– Nazywam się Mare Barrow – mówię.

Ktoś na podeście lekko parska. Domyślam się, że na tym etapie nie muszę się już przedstawiać.

– Dziękuję za przybycie – kontynuuję, szukając odpowiednich słów, by powiedzieć to, co chcę. Zdanie: „Człowiek, który zna całą przyszłość, udzielił mi kilku rad” nie brzmi specjalnie wiarygodnie. – Przepraszam za spóźnienie, ale byłam... w górach. Spotkałam pod szczytem pewnego mężczyznę.

– Czy to jakaś metafora? – mamrocze ponuro generał Szkarłat, ale ucisza go okrągłutki mężczyzna trafnie zwany Doboszem.

Zerkam na Adę, a następnie w dół, na Farley.

– Spotkałam Jona – wyjaśniam, a ona podnosi na mnie zdumione spojrzenie.

Wstrząs malujący się na jej twarzy mówi sam za siebie.

– To Psychik, Nowy. Miałyśmy już z nim do czynienia.

Davidson zadziera podbródek.

– Maven także. O ile się nie mylę, ten mężczyzna przyczynił się do twojego pojmania.

– Owszem – mamroczę, jakby zawstydzona.

Premier zaciska wargi.

– Ten człowiek przez długi czas służył Mavenowi.

Znów potakuję.

– Tak. Z sobie tylko wiadomych powodów.

Choć kilkoro z jego współobywateli spogląda na mnie lekceważąco, Davidson pochyla się i opiera na łokciach, wbijając we mnie intensywne, nieodgadnione spojrzenie.

– Co powiedział, Mare?

– Że nie możemy pozwolić, by nortańska stolica dostała się w ręce Lakelandczyków – odpowiadam. – Jeśli tak się wydarzy, droga będzie „długa i skąpana we krwi”. Sytuacja stanie się trudniejsza niż kiedykolwiek w historii. Jeśli odbiją Archeon, Lakelandia będzie kontrolowała Nortę przez sto lat.

Radis prychnie i przygląda się swoim wypielęgnowanym paznokciom. Nie tylko on przewraca oczami, słysząc moją wypowiedź.

– Nie potrzebujemy Psychika, żeby się tego domyślić – cedzi.

Kilkoro generałów kiwa głowami na znak, że się z nim zgadzają. Łabędź odzywa się w ich imieniu:

– Wiemy, że nadchodzi inwazja. Pytanie tylko, kiedy nastąpi atak.

– W ciągu kilku tygodni. – Niemal czuję, jak kończy nam się czas. – To właśnie powiedział mi Jon.

Łabędź przymruża oczy, w których brak nieprzychylności czy nieufności, jest za to litość.

– A ty mu wierzysz? Po tym wszystkim, co ci zrobił?

W mojej głowie pojawiają się obrazy i wspomnienia z czasów niewoli. Więzienie, w którym umieścił mnie Jon, manipulując przeznaczeniem. Wcześniej powiedziałam mu, że nie lubię być jego pionkiem, ale właśnie tak się zachowuję.

– Sama nie wiem czemu, ale wierzę – odpowiadam, pilnując, by nie zadrżał mi głos.

Te słowa wywołują kolejną falę szeptów, a nawet kilka okrzyków. Generałów,

przedstawicieli, a nawet stojących nad nami żołnierzy.

Tylko troje z nas milczy i jedynie wymienia spojrzenia. Farley, Davidson i ja. Kiedy spoglądam na nich, przenosząc wzrok ze złotych na błękitne oczy, dostrzegam w nich determinację, jaką sama odczuwam.

Znów staniemy do walki. Musimy tylko ustalić, jak to zrobimy. Jak zwykle, Farley zaczyna. Wstaje, wyciąga ramiona i daje znać zebrany, by się uciszyli. Jej gest działa tylko częściowo. Ucisza żołnierzy i generałów, ale kilkoro montforckich dyplomatów wciąż coś do siebie szepcze.

– Trzeba opracować plan! – krzyczy. – Nawet bez tego, co powiedział Psychik, wiemy, że nasza droga prowadzi do Archeonu! Jeśli pragniemy jakiegokolwiek szansy na uwolnienie Norty, Montfort i Szkarłatna Gwardia muszą być w stanie przejąć jej stolicę. Bez względu na to, kto zasiada na tronie.

Łabędź kiwa głową.

– Zanim tu przybyliśmy, stacjonowałam w Lakelandii – mówi. – Na własne oczy widziałam ich siłę. Jeśli królowe Cygnet zdobędą miasto przed nami, odbicie go będzie prawie niemożliwe. W naszym interesie leży to, żebyśmy stanęli do walki ze słabszym wrogiem.

„Z Calem”. Nigdy nie myślałam o nim jako o kimś słabszym, ale w tym wypadku to jasne. Jego pozycja jest zagrożona. Odpycham wizję samotnego Cala, który siedzi w swoim pałacu i próbuje przywrócić ład w świecie zniszczonym przez brata i ojca.

– Czy Szkarłatna Gwardia wciąż przebywa w Archeonie? – pyta Davidson, uciszając swoją świtę.

– Komnata stacjonuje tuż pod stolicą – potwierdza Farley. – Jej wojska są rozlokowane na przestrzeni całego kraju. W zatoce Harbor, Delphie i na obrzeżach Archeonu.

Do rozmowy wtrąca się przysadzisty generał Dobosz.

– Komnata otrzymała polecenie, by przenieść się do miasta. Oczywiście ma to zrobić potajemnie. Nowy król nie przypomina swojego brata i nie wykazuje jeszcze

otwartej wrogości w stosunku do Szkarłatnej Gwardii. Możemy podjąć ryzyko.

– Przynajmniej będziemy mieli informatorów w mieście – stwierdza Davidson. – Waszych i naszych. Musimy dopilnować, by ich działania były skoordynowane.

– Szkarłatna Gwardia przeniknęła już kiedyś do Archeonu. – Dobosz wypina imponującą pierś. – Spróbujemy tego dokonać po raz drugi.

Premier zaciska usta.

– Ale nie w taki sam sposób – mówi. – Z powietrza byłoby to zbyt niebezpieczne, bo Cal dysponuje teraz całą flotą samolotów. Nie możemy ryzykować desantu, ponieważ są od nas silniejsi, a już z pewnością nie uda nam się przeprowadzić ataku z zaskoczenia, tak jak podczas ślubu Mavena.

– Nie mówiąc o tunelach... – mamrocze Farley, wspominając zamach stanu, który zakończył się porażką. – Król Maven odciął do nich dostęp.

– Nie do wszystkich – rzucam.

Pozostali spoglądają na mnie uważnie.

– Widziałam pociąg ewakuacyjny Mavena, jego plan ucieczki. Trasa biegnie pod Skarbnicą, a pod pałacem znajduje się jeszcze więcej przejść. Korzystał z nich, żeby potajemnie wymykać się z miasta. Założę się, że niektóre tunele pozostawił w nienaruszonym stanie, choćby dla własnych potrzeb.

Dobosz zrywa się na nogi. Jak na kogoś w tym wieku i o takiej tuszy jest zaskakująco zwinny.

– Przekażę to Komnacie, niech zgłębi temat. Ado, masz w głowie plan miasta, prawda?

– Tak jest – odpowiada bez zastanowienia. Nie wyobrażam sobie, by w doskonałej pamięci Ady czegokolwiek zabrakło.

– Skontaktuj się z Komnatą. Pomóż jej rozmieścić agentów – wydaje polecenie Dobosz.

Ada kiwa głową.

– Tak jest – odpowiada, wychodząc z biblioteki.

Farley zaciska szczęki i patrzy, jak nasza przyjaciółka odchodzi. Rzuca mi spojrzenie z ukosa, badając moją reakcję.

– Mamy na to czas?

– Pewnie nie – mruczę. Żałuję, że Jon nie dostarczył nam bardziej precyzyjnego ostrzeżenia. Choć pewnie byłoby to za łatwe. To nie w jego stylu.

– Co więc możemy zrobić? – dopytuje.

Czuję nagły ból w skroniach, więc ściskam nos u nasady. Wcześniej tego dnia wspierałam się na górę, by znaleźć się jak najdalej od Mavena.

Oczywiście moje starania tylko odsunęły to, co nieuniknione. I konieczne.

– Cóż, chyba możemy po prostu spytać.

*

Nie ma z nami Juliana, który mógłby śpiewem zmusić Mavena do zwierzeń. Nie ma też żadnych Szeptaczy, więc przesłuchanie go będzie walką na determinację i spryt. Choć Montfort dysponuje wieloma Srebrnymi, żaden z nich nie wyciągnie z niego prawdy za pomocą samych umiejętności.

Mogą to zrobić tylko, zadając mu ból.

Zanim Maven zostaje przyprawiony, jeden z oficerów powraca w towarzystwie Tytona. Białowłosego Elektrykon wchodzi do pomieszczenia z pośpym wyrazem twarzy. Wybiera miejsce w części pomieszczenia zajmowanej przez ludzi Davidsona i zaczyna bębnić palcami. Jego ruchy są szybkie i ostre jak błyskawice, których może użyje przeciwko Mavenowi. Jego moc jest o wiele precyzyjniejsza niż moja. Mężczyzna potrafi zaciągnąć ciało na skraj wytrzymałości, nie doprowadzając do nieodwracalnych zmian.

W pomieszczeniu panuje absolutna cisza. Wcześniej wyproszono z niego żołnierzy oraz przedstawicieli Montfortu. Davidson i generałowie Gwardii doskonale wiedzą, że Mavenowi nie należy zapewniać publiczności. Jest zbyt dobrym aktorem, zbyt dobrym kłamcą.

Mogę w końcu usiąść, wciśnięta pomiędzy Farley a podłokietnik kanapy.

Przyjaciółka jest ode mnie większa, ale cieszę się bliskością jej ciała. Myśl o Mavenie wciąż mrozi mi krew w żyłach. Przynajmniej w Archeonie jego obsesja i furia były wymierzone także w Cala. Tu jestem tylko ja.

Towarzyszy mu przynajmniej sześciu strażników. To żołnierze Montfortu i Szkarłatnej Gwardii dysponujący nie tylko bronią, ale i potężnymi mocami.

Maven syci się naszą uwagą i tym, że przedsięwzięto tak wielkie środki ostrożności. Wchodząc do biblioteki, uśmiecha się nieznacznie.

Skanuje pomieszczenie lodowatym wzrokiem, przesuwając nim po oknach, książkach i zebranych. Przytrzymuję jego spojrzenie.

– Muszę przyznać, że nie sądziłem, iż jeszcze kiedykolwiek się spotkamy, premierze – mówi, odrywając ode mnie oczy, by przenieść je na Davidsona.

Opanowany mężczyzna nie reaguje, zachowując nieruchomy, beznamiętny wyraz twarzy.

– Nie sądziłem też, że kiedykolwiek znajdę się w tajemniczych ostępach Montfortu. Ale okazuje się, że nie jest tu tak dziko, prawda? Nie tak, jak nam sugerowałeś.

„Jest wystarczająco dziko”, myślę, przypominając sobie walkę ze stadem bizonów.

– Uczono mnie, że pański kraj zamieszkują Srebrni tacy jak ja, choć jest podzielony pomiędzy wielu króli i możnowładców. Moi nauczyciele bardzo się mylili – ciągnie Maven, lekko się odwracając.

Niewykluczone, że nas liczy. Znajduje się tu siedmioro generałów Dowództwa oraz Davidson wraz z przedstawicielami swojego rządu i wojska. Milknie na widok Radisa, którego chłodny odcień skóry świadczy o przynależności do Srebrnych.

– Ciekawe – mruczy. – Chyba nie mieliśmy przyjemności...?

Starszy Srebrny porusza dłonią, a promienie zachodzącego słońca odbijają się od jego długich paznokci. Delikatny powiew wiatru mierzwi włosy Mavena. To ostrzeżenie.

– Oszczędź sobie, książątko. Mamy tu do omówienia ważne sprawy.

Maven szczerzy się w uśmiechu.

– Nie sądziłem, że zobaczę Srebrnych pośród tak... szkarłatnego towarzystwa.

Wzdycham, znudzona tym, że gra na zwłokę.

– Sam mówiłeś, że nic nie wiesz o tym miejscu – stwierdzam.

Maven znów obrzuca mnie gniewnym spojrzeniem, ale ja macham ręką.

– I nie musisz wiedzieć.

Obnaża zęby.

– Bo i tak niedługo czeka mnie egzekucja? To właśnie chcesz powiedzieć, Mare?

Zaciskam zęby, wybierając milczenie.

– To groźba bez pokrycia. Gdybyście zamierzali mnie zabić, już byście to zrobili. Żywy jestem więcej wart. Dla was i waszej sprawy.

Odpowiedzią jest panująca w bibliotece cisza.

– Dajcie sobie spokój z tymi gierkami – szydzi Maven. – Dopóki żyję, zagrażam bratu. Tak samo jak on zagrażał mnie. Domyślam się, że teraz szuka sojuszników, zwołując Szlachetne Domy Norty. Chce przeciągnąć na swoją stronę rody, które złożyły mi przysięgę wierności. Niektóre dadzą się przekabacić, ale czy wszystkie? – Powoli kiwa głową, cmokając jak matka karcąca potomstwo. – Nie, oni będą czekać. Albo staną z nim do walki.

– Dla ciebie? – odgryzam się. – Szczerze wątpię.

Z jego gardła wydobywa się cichy dźwięk, który równie dobrze mogłoby wydać zwierzę.

– Czego właściwie ode mnie chcecie? – mówi, odrywając ode mnie wzrok. Porusza się z gracją, obracając się na palcach, by spojrzeć na resztę zebranych. Obalony król nie siedzi w więzieniu, ale najwyraźniej tkwi w pułapce. Z jakiegoś powodu jego oczy zatrzymują się na Tytonie, jego białych włosach i twarzy bezwzględного mordercy. – A to kto?

O dziwo, w głosie Mavena Calore pobrzmiewa strach.

Farley się wtrąca, wyczuwając chyba, że poleje się krew.

– Powiesz nam, co zrobiłeś z tunelami Archeonu. Które są zamknięte, a które drożne. I które kazałeś wyryć po tym, jak zasiadłeś na tronie.

Mimo trudnego położenia Maven przewraca oczami i wybucha śmiechem.

– Wy i te wasze tunele.

Młoda generał nie daje się zbić z tropu.

– Słuchamy.

– A co ja będę z tego miał? – Spogląda na nią chytrze. – Lepszy widok z celi? To nie będzie zbyt trudne, bo obecnie nie mam żadnego. – Zaczyna odliczać nietypowo dla siebie drżącymi palcami. – Lepsze jedzenie? Może prawo do odwiedzin? – Waha się. Wydaje mi się, że drży. Dotąd zdawał się mieć nad wszystkim kontrolę, ale teraz zaczyna ją tracić. – Bezbolesną śmierć?

Muszę się powstrzymać, żeby się na niego nie rzucić. Mam ochotę go przytrzymać. Przypomina szczura w klatce, który wije się i walczy o życie.

– Będiesz miał satysfakcję – cedzę.

Powinnam przywyknąć do wrażenia, jakie ogarnia mnie, ilekroć Maven przewierca mnie spojrzeniem. Niestety, drzę, czując na skórze muśnięcie jego wzroku.

– Niby jaką? – szepcze.

Mimo dzielącej nas odległości jest zbyt blisko. Czuję na języku kwaśny smak jego słów.

– Wiesz jaką.

Jego usta rozciągają się w uśmiechu, a zęby przypominają białe sztylety.

– Jeśli nie mogę zasiadać na tronie, niech on też z niego zejdzie – oznajmia. – To już coś. – Jego głos cichnie, a uśmiech znika. – Ale mnie to nie wystarczy.

Siedzący za nim Davidson spogląda w bok, wymieniając spojrzenie z Tytonem. Po dłuższej chwili białowłosy Elektrykon wstaje z krzesła. Podnosi się powoli, rozmyślnie, z rękami luźno spuszczone u boków. Maven odwraca się gwałtownie. Jego oczy rozszerzają się ze strachu.

– Kim on jest? – pyta znowu.

Staram się nie zwracać uwagi na drżenie w jego głosie.

Unoszę podbródek.

– To ktoś podobny do mnie.

Tyton bębni dłonią o udo, a z jego palca spływa pojedyncza oślepiająco biała iskra.

– Tylko że jest ode mnie silniejszy – dodaję.

Ciemne rzęsy trzepoczą na białych policzkach Mavena, upadły król przełyka ślinę. Kolejne słowa wypowiada niechętnie, jękając się. Są ciche, niemal niesłyszalne.

– Musicie mi dać coś w zamian – syczy.

Sfrustrowana, zaciskam zęby.

– Mawenie, już ci mówiłam...

Nie pozwala mi skończyć i odrywa wzrok od Tytona, by przenieść go na mnie. W jego oczach płonie czarny ogień.

– Gdy dokonacie inwazji, co zapewne planujecie – mówi drwiąco – doprowadzę was tam, gdzie będziecie chcieli. Wskażę wam właściwe tunele i ścieżki. Pokażę waszej armii drogę do miasta i napuszczę waszych żołnierzy na mojego przeklętego brata.

Farley parska.

– Pewnie zastawisz na nich pułapkę. Poprowadzisz ich wprost do swojej żony...

– Cóż, ona z pewnością tam będzie – odpowiada Maven, machając na nią palcem, a na twarz Farley wstępuje rumieniec gniewu. – Ta żmija i jej matka planowały przejęcie Norty, odkąd Iris znalazła się w moim królestwie.

– Odkąd ją do niego wpuściłeś – mamroczę.

Maven nie reaguje.

– To było szacowane ryzyko. Podobnie jak teraz. – Nie jest zbyt przekonujący, nawet dla tych, którzy nie mieli z nim wcześniej do czynienia.

Choć nie sądziłam, że to możliwe, generałowie Dowództwa wydają się bardziej

zniesmaczeni niż wtedy, gdy jeniec wszedł do biblioteki. Nowi z Montfortu sprawiają zaś wrażenie, jak gdyby mieli ochotę obdrzeć Mavena ze skóry. Zazwyczaj niewzruszony premier wygina usta w rzadkim grymasie niezadowolenia. Jeszcze raz kiwa głową do Tytona, a Elektrykon stawia kolejny krok, przyprawiając nas o dreszcze.

Maven jest pobudzony. Odskakuje, trzymając się na dystans. Cały drży, ale jego oczy płoną żywym ogniem. I nie ma w nich strachu.

– Myślicie, że torturowany nie potrafię kłamać? – warczy, a jego głos niesie się echem. – Sądzicie, że nie robiłem tego tysiące razy?

Nikt nie wie, co mu odpowiedzieć, a zwłaszcza ja. Staram się nie reagować, nie dać mu satysfakcji, pokazując jakiekolwiek emocje. Nie udaje mi się to, bo zaciskam powieki. Przez krótką chwilę widzę jedynie ciemność i staram się nie myśleć o Mawenie. O jego słowach. O tym, jak wyglądało i jak wciąż wygląda jego życie.

I jak wszyscy przez to cierpimy.

Spodziewam się, że pozostali nie będą się nad nim litować. Że torturami wydobędą z niego informacje, których potrzebujemy. Wyciągną je z niego za pomocą błyskawic i bólu. Czy mam dość sił, by na to patrzeć?

Nawet Farley się waha.

Spogląda na Mavena, próbując odgadnąć jego myśli. Waży ryzyko i koszty. Były król bez lęku patrzy jej w oczy.

Dziewczyna klnie pod nosem. Ten jeden raz Maven mówi prawdę. Jest naszą jedyną szansą.

ROZDZIAŁ 30

CAL

Zawsze wiedziałem, że koniec końców czeka mnie koronacja. Nie dziwi mnie widok korony ceremonialnej. Obracam ją w dłoniach, czując ciężar żelaza, srebra i złota. Za niecałą godzinę babcia włoży mi to okropieństwo na głowę. Mój ojciec także ją nosił. Kiedy się urodziłem, był już królem i miał u boku inną królową niż ta, którą poznałem.

Żałuję, że jej nie pamiętam. Że wspomnienia o mojej matce to dla mnie tylko echo opowieści Juliana. Chciałbym, żeby nie były muśnięciem farby, tylko żywym ciałem.

Kopia pamiętnika pozostaje zamknięta w szufladzie szafki w moich komnatach w Archeonie. Będę musiał go stamtąd zabrać, kiedy przygotują dla mnie królewski apartament, wyczyszczą ze śladów obecności Mavena. Ta myśl przyprawia mnie o dreszcze. Nie wiem, dlaczego tak bardzo boję się wziąć do ręki coś tak małego, a jednocześnie potężnego. To tylko zeszyt. Gmatwanina ręcznie nakreślonych liter. Stawałem przed plutonami egzekucyjnymi i całymi wojskami. Walczyłem z błyskawicami i sztormami. Unikałem kul. Niejeden raz spadałem w przepaść.

A jednak z jakiegoś powodu pamiętnik matki przeraża mnie bardziej niż cokolwiek innego. Ledwie przebrnąłem przez kilka pierwszych stron, a żeby je przeczytać, musiałem schować krzeszącą iskry bransoletkę. Jej słowa tak mną wstrząsnęły, że nie chciałem ryzykować, iż spalę te strony na popiół. Ostatnie kawałki Coriane Jacos ocalone przez jej brata. Oryginał pamiętnika dawno zniknął, ale te udało się wujowi uratować.

Nie wiem, jak brzmiał jej głos. Gdybym chciał, z łatwością mógłbym się tego

dowiedzieć. Istnieje wiele nagrań i fotografii. Ale podobnie jak ojciec, trzymam się od nich z daleka. Z daleka od ducha osoby, której nigdy nie znałem.

Jakaś część mnie nie ma ochoty wstać od stołu. Jest cicho, spokojnie, jak w bańce mydlanej, która lada chwila pęknie. Stoję u progu czegoś ważnego. Okna wychodzą na plac Cezara i dają zapowiedź chaosu, który niedługo nastąpi. Srebrni w barwach swoich domów przelewają się przez plac, a większość z nich kieruje się do Sądu Królewskiego. Z odrazą spoglądam na budynek, jeden z wielu otaczających skwer.

Pod jego połyskującą kopułą był koronowany mój ojciec. A kilka miesięcy temu wziął w nim ślub Maven.

Towarzyszyła mu wtedy Mare. Teraz jej nie będzie. Jej odejście pozostawiło we mnie głęboką ranę, ale nie jest tak bolesne jak wcześniej. Oboje wiedzieliśmy, co robimy, jakich dokonamy wyborów, kiedy przyjdzie co do czego. Żałuję tylko, że nie dane nam było spędzić ze sobą jeszcze kilku dni, godzin...

Teraz odeszła. I znów jest z Mavenem.

Powinienem być wściekły. To zwyczajna zdrada. Wykradła mi drogocennego więźnia. Jego egzekucja byłaby prostym i niemal bezkrwawym sposobem na ponowne zjednoczenie królestwa. Towarzyszy mi jednak tylko poirytowanie. Częściowo dlatego, że nie jestem zaskoczony. Ale przede wszystkim dlatego, że Maven znalazł się poza moim zasięgiem. Jest teraz jej problemem. „Przynajmniej to nie ja będę musiał go zabić”. To zdanie godne tchórza, kogoś, kim nigdy nie miałem prawa być.

A jednak przechodzi mi przez myśl. Mam nadzieję, że śmierć brata będzie bezbolesna. Słyszac pukanie do drzwi, zrywam się z miejsca tak szybko, że uginają się pode mną kolana. Otwieram, zanim do środka wkroczy Julian albo Bababel, bo chcę, żeby to była ostatnia rzecz, jaką zrobię sam. Nie jestem głupcem. Wiem, że są dla mnie kimś więcej niż ostatnimi żyjącymi członkami rodziny. Doradcami, mentorami. Rywalizują ze sobą nawzajem. Mam tylko nadzieję, że nie przyjdą razem, by zburzyć mój spokój wzajemnymi pretensjami.

Czuję ulgę, gdy na progu widzę samego Juliana.

Uśmiecha się do mnie nieznacznie i rozpościera ramiona, prezentując nowy strój uszyty specjalnie na koronację. Dopasowana kurtka i spodnie mają zgaszony żółtozłoty odcień domu Jacos, ale klapy są krwistoczerwone. To mój kolor. W ten sposób Julian przysięga wierność nie tylko domowi Calore, ale i mnie.

To wszystko sprawia, że myślę o tym, co zrobił w moim imieniu. Wymienił życie człowieka – może wcale nie jedyne – za życie mojego brata. Nie zapomniałem o tym. Świadomość jego intryg, podobnie jak intryg babci, towarzyszy mi na każdym kroku. Jestem ostrożny, nawet w stosunku do wuja.

„Czy na tym polega bycie królem? Na braku zaufania do kogokolwiek?”

Śmieję się nieznacznie, by ukryć podenerwowanie.

– Świetnie wyglądasz – mówię mu.

Rzeczywiście wygląda schludnie, niemal przystojnie, zupełnie jak nie on.

Wuj wchodzi do środka.

– Mówisz o tym starym łażu? – żartuje. – A ty jak? Jesteś gotowy?

Wskazuję swój strój. Garnitur w znajomym odcieniu krwistej czerwieni wykończony czarnymi elementami, ze srebrnymi ozdobami oraz wystarczającą liczbą medali, by zatopić statek Lakelandczyków. Do kompletu brakuje tylko peleryny. Jest zbyt ciężka i prawdę mówiąc, wygląda idiotycznie.

– Nie mówię o ubraniu, Cal – oznajmia Julian.

Czuję rumieniec na policzkach. Szybko się odwracam, próbując ukryć tę oznakę słabości lub lęku.

– Domyślam się.

– No i? – Stawia krok w moją stronę.

Robię to, czego mnie uczono. Nie ustępuję.

– Ojciec powiedział mi kiedyś, że nikt nigdy nie jest gotowy. Jeśli sądzisz, że jesteś, mylisz się.

– W takim razie to chyba dobrze, że wyglądasz tak, jak gdybyś chciał uciec przez okno.

– Dzięki za pocieszenie.

– Twój ojciec także się denerwował – mówi Julian łagodnie. Kładzie mi rękę na ramieniu.

Język przykleja mi się do podniebienia i nie potrafię powiedzieć tego, co bym chciał.

Jednak Julian jest bystry. Wie, o co chcę zapytać.

– Twoja matka mi o tym powiedziała – wyjaśnia wuj. – Podobno żałował, że nie ma więcej czasu.

„Więcej czasu”.

Czuję się tak, jak gdyby Julian uderzył mnie w pierś młotem.

– Czy nie wszyscy tak mamy?

Wzrusza ramionami w charakterystyczny dla siebie, frustrujący sposób. Jak gdyby wiedział więcej ode mnie, i pewnie tak jest.

– Z różnych powodów – mówi. – Dziwne, prawda? Bez względu na to, jak bardzo się różnimy, wszyscy pragniemy tego samego. – Podnosi na mnie oczy, ale ja uciekam wzrokiem. Są zbyt podobne do oczu mojej matki, które znam z portretu. – Ale choć tak bardzo pragniemy i marzymy...

Kiwam głową i mu przerywam:

– Ja nie mogę sobie już na to pozwolić.

– Na marzenia? – Dziwi się, ale jest też zaintrygowany. Wuj Julian uwielbia zagadki, a teraz spogląda na mnie tak, jak gdybym sam nią był. – Zostaniesz królem, Cal. Możesz śnić na jawie i zbudować to, o czym marzysz.

Znów spada na mnie cios. Od siły jego słów i kryjącego się w nich osądu kłuje mnie w piersi. Słyszałem te słowa już tyle razy.

– Mam dość mówienia ludziom, że to nieprawda.

Julian przymruża oczy, a ja instynktownie kurczę się za skrzyżowanymi ramionami.

– Jesteś pewien? – pyta.

– Jeśli masz na myśli Mare... Znajduje się już po drugiej stronie kontynentu.

I na pewno nie...

Julian z delikatnym uśmiechem unosi dłoń o długich, smukłych palcach. Ma delikatne ręce przyzwyczajone do dotykania książek. Nigdy nie brały udziału w wojnie. Nigdy nie były potrzebne w bitwie. Zazdroszczę im.

– Cał, choć sam jestem romantykiem, nie mówię o niej ani o twoim złamanym sercu. To wszystko... znajduje się na samym końcu mojej listy zmartwień. Współczuję ci, ale jest bardzo wiele spraw, którymi należy się teraz zająć.

Fala gorąca znów zalewa moje policzki, a nawet czubki uszu. Julian w lot wszystko pojmuje i wspaniałomyślnie odwraca wzrok.

– Zaczekam na ciebie za drzwiami. Wyjdź, kiedy będziesz gotowy.

Jednak czas mi się kończy. Nie mogę tego dłużej ukrywać.

– Tak jak mówił ojciec... – mamroczę. Siłą woli zarzucam pelerynę na ramiona i ją zapinam. – Nigdy nie będę gotowy. – Omijam go i otwieram drzwi. Wychodzę z bezpiecznej bańki swojej sypialni i czuję się tak, jak gdybym przebiegł kilka kilometrów. Pot spływa mi po plecach. Walczę z pokusą, by uciec, zawrócić, stać nieruchomo.

Julian dotrzymuje mi kroku, jak podpora.

– Trzymaj się prosto – ostrzega. – Twoja babcia czeka za rogiem.

Obdarzam go najszerszym uśmiechem, na jaki mnie stać. Okazuje się słaby i fałszywy. Ostatnio wszystko takie jest.

*

Kryształowa kopuła Sądu Królewskiego to dzieło Srebrnych rzemieślników. Jako chłopiec myślałem, że zrobiono go z gwiazd, które ukradziono z nocnego nieba i którym nadano fantastyczny kształt. Sklepienie wciąż połyskuje, ale nie jest tak jasne, jak powinno być. Większość Czerwonych sług postanowiła porzucić pracę, gardząc wyższą płacą i obietnicą lepszego traktowania. Nie ma kto wypucować stolicy i nadać jej połysku, na jaki zasługuje w dniu koronacji. „Nie stać mnie nawet na pozory”, myślę z goryczą. Moje panowanie zaczyna się

w popiołach.

Tak wygląda sytuacja w całej stolicy i całym moim królestwie. Czerwoni zajmują nowe miejsce w świecie, a Srebrni próbują zrozumieć, co to dla nas oznacza. Miasta techników niemal opustoszały, a wiele innych boryka się z niedoborem prądu. W tym Archeon. Ucierpią na tym nasze możliwości produkcyjne, co już odczuwa się w sklepach i magazynach. Nie potrafię nawet przewidzieć, jaki to wszystko będzie miało wpływ na nasze wysiłki wojenne i potęgę wojskową. Nie zaskoczyło mnie to. Wiedziałem, że tak będzie.

Przynajmniej wojna z Lakelandią się zakończyła. Choć właściwie powinienem powiedzieć „pierwsza wojna z Lakelandią”. Bo pewnie niedługo wybuchnie kolejna. Iris i jej matka pewnie wkrótce powrócą, a wraz z nimi ich wojska.

Szepty podążają za mną, kiedy idę długim holem sądu i dochodzę do środkowej części piętra, gdzie stoję pod kopułą. Ogromna sala rozbrzmiewa echem, jak gdyby otaczały mnie syczące duchy, drwiące z mojej porażki, ze zdrady, z mojej słabości.

Staram się o tym wszystkim nie myśleć, kiedy klękam wobec dziesiątek świadków, bezbronny i kruchy. To tu zaatakowaliśmy Mavena w czasie jego ceremonii. Nie wiadomo, czy ktoś nie zechce mi się odplacić tym samym.

„O tym też staraj się nie myśleć”.

Zamiast tego koncentruję się na posadzce, na której klęczę, z białego jak kości marmuru zdobionego grafitowymi żyłkami. Brak koloru w tym pomieszczeniu ma wyglądać porażająco wobec wielobarwnego tłumu przedstawicieli Szlachetnych Domów. Biały i czarny na tle tęczy. W sądzie mieści się ponad tysiąc osób, ale dziś jest ich tu mniej niż setka. Wiele domów zostało zdziesiątkowanych przez wojnę domową, a jej członkowie zginęli w walce dla obu braci Calore. Ród mojej babci stoi dumnie w swoich płomiennych barwach, podobnie jak pozostali przy życiu członkowie rodziny Evangeline, z domów Samos i Viper. Łatwo wyłonić sojuszników takich jak przedstawiciele domów Laris czy Iral. Są także inni, z rodzin dotąd lojalnych Mawenowi. Domy Rhambos, Welle, Macanthos mają na sobie stroje w rodowych barwach. Czerwono-brązowe, zielono-złote, srebrzysto-

niebieskie. Ale innych nie ma tu wcale. Nigdzie nie widać Wodniaków z domu Osanos. Podobnie jak przedstawiciele rodów Eagrie, Provos i – ku mojemu rozczarowaniu – wielu Uzdrawicieli Ciała z domu Skonos oraz Uciszaczy z rodu Arven. Nie tylko ich. Jestem pewien, że Julian i Anabel także zauważyli, kogo brakuje – kto okazał się naszym sojusznikiem, a kto wciąż jest wrogiem.

„Zbyt mało tych pierwszych, zbyt wielu tych drugich”.

Stojąca nade mną babcia nie daje po sobie poznać, że przejmuję się zauważalną nieobecnością niektórych rodów. Anabel trzyma w dłoniach koronę swojego syna. Jej twarz pozostaje nieruchoma i dumna, a złotawobrazowe oczy niemal płoną.

– Niech żyje prawowity król Tyberiasz Siódmy! – mówi stanowczo, a jej głos odbija się od ścian.

Choć czuję na skroniach chłód żelaza, nie poruszam się ani nie wzdrygam. Wyszkolono mnie tak, że nie mrugam nawet na odgłos strzałów i widok płomieni. Jednak kiedy otaczający mnie Srebrni arystokraci powtarzają jej słowa, zaczynam drżeć. Mówią je raz po raz. „Prawowity król”. Te wyrazy pulsują jak tętno. To wszystko dzieje się naprawdę.

Jestem królem. Jedynym królem. W końcu osiągnąłem to, co było mi pisane od urodzenia.

Właściwie czuję się tak samo jak kilka godzin temu. Wciąż jestem Calem. Wciąż towarzyszy mi ból – ten dawny i ten nowy. Wciąż jestem pokryty siniakami – tymi widocznymi i tymi, których nie widać. Wciąż obawiam się tego, co nadchodzi, i tego, co może będę musiał zrobić, by ochronić swoje słabe królestwo. Boję się człowieka, którego uczyni ze mnie ta korona.

„Czy moja metamorfoza właśnie się rozpoczęła?”

Niewykluczone. Możliwe, że w głębi duszy, w jej zapomnianych zakamarkach, już zaczynam się zmieniać. Czuję się odseparowany, samotny, choć wspiera mnie najbliższa rodzina – Julian i Bababel. Jednak zbyt wielu ludzi odeszło.

Moja matka.

Ojciec.

Mare.

I Maven. Ten, którego uważałem za brata, człowiek, który właściwie nie istniał. „Nigdy nie istniał”.

Dorastaliśmy ze świadomością, że to ja będę królem, a on stanie u mego boku. Mój najwierniejszy sojusznik, najzarliwszy zwolennik. Najlepszy doradca, tarcza i podpora. Konsultant. Azyl. Nigdy nie podważałem tego układu i nie sądziłem, że i on nie będzie. Jakże się myliłem...

Bolało, kiedy go straciłem. Ale teraz, gdy mam na głowie koronę, brakuje mi go jeszcze bardziej.

Nie mogę oddychać.

Spoglądam na Bababel z nadzieją, że odnajdę w jej oczach pociechę.

Uśmiecha się do mnie i zaciska mi dłonie na barkach. Próbuję zobaczyć w niej ojca. Nieudolnego króla, nieudolnego rodzica. Ogarnia mnie straszliwa tęsknota.

Przytuliłbym ją, gdyby mi na to pozwoliła, ale ona trzyma mnie na dystans, usztywniając ramiona. Zmusza mnie, żebym stał prosto, na widoku. Jestem częścią widowiska. To przedstawienie dla arystokratów, ważny przekaz.

Tyberiasz Calore jest królem i już nigdy przed nikim nie zegnije karku. Nawet przed Volvo Samosem. To właśnie do niego podchodzę w pierwszej kolejności, z Bababel u boku, jeden król do drugiego. Pochylam głowę, a Volvo robi to samo. Powoli przesuwam wzrokiem, a jego twarz jest kamienna, nieprzenikniona.

– Gratulacje, Wasza Wysokość – mówi, spoglądając na moją koronę.

Robię to samo, kiwając głową w stronę stalowej obręczy na jego czole.

– Dziękuję, Wasza Wysokość.

Siedząca przy nim królowa Larentia Viper sztywnieje i zaciska dłoń na ramieniu męża. Jak gdyby chciała go powstrzymać. Ale ani Volvo, ani ja niczego nie planujemy. Babcia i ja mijamy go bez przeszkód i kiwamy głowami do członków królewskiej rodziny Samos.

Evangeline przytrzymuje moje spojrzenie. U boku brata wydaje się drobnutka. Jest bardziej przygaszona niż zwykle, a jej strój i biżuteria wyglądają nijako

w porównaniu z tymi, które ma na sobie reszta jej rodziny. Srebrny jedwab tak ciemny, że można go uznać za czarny, bardziej nadaje się na pogrzeb niż na koronację. Po tym, co powiedziała mi przed tygodniem, równie dobrze mógłby to być pogrzeb. Jeśli jej podejrzenia się sprawdzą, dni Volvo są policzone, a ona nie zrobi nic, by powstrzymać bieg wydarzeń.

Dzielimy tę chwilę, zrodzoną ze wspólnej tajemnicy i świadomości, że żadne z nas nie pragnie tego, co nadchodzi. Koronowano mnie na króla Norty i już nic nie stoi na przeszkodzie, żebym poślubił Evangeline. To wydarzenie od dawna majaczyło na horyzoncie, jednak wciąż znajdowało się w bezpiecznej odległości. Teraz nie mamy już złudzeń. Twarz Evangeline posępnieje, a zamiast apatycznej obojętności pojawia się na niej obrzydzenie. Odwraca się i skrywa za potężną sylwetką brata.

Następnych kilka godzin zlewa się w wirze kolorów i wzajemnych uprzejmości. Przywykłem do królewskich ceremonii. Łatwo powtórnie wpaść w ich rytm i wziąć udział w prostej grze pozbawionych głębi konwersacji. Wypowiadamy wiele słów, a jednocześnie nie mówimy nic. Bababel i Julian towarzyszą mi przez cały czas – razem tworzymy potężną drużynę. Szkoda tylko, że tych dwoje kieruje się tak oczywistymi motywami. Teraz, kiedy Maven został pokonany, a wojna chwilowo się skończyła, ich sojusz można nazwać co najmniej niepewnym. Nie łączy ich nic poza mną, a ja czuję się jak kość, o którą szarpia się dwa psy. Moja babcia jest bardziej bezwzględna i gotowa podjąć ryzyko. To królowa, która od wielu lat potrafi się poruszać zarówno na dworze, jak i na polu bitwy.

Ale Julian lepiej niż ona zna moje serce.

Staram się cieszyć jedzeniem w czasie uroczystego obiadu. Jest jadalne, ale w niczym nie przypomina dań, którymi delektowaliśmy się w przeszłości. Brakuje mi posiłków przyrządzanych przez Carmadona i premiera Davidsona. Choć teraz przynajmniej nie czuję się tak niezręcznie jak w czasie tamtej uczyty, wszystko było przepyszne. Nie tylko ja zauważam, że jedzenie się pogorszyło. Evangeline nie próbuje ani jednego dania, a jej matka otwarcie karmi mięsem zwiniętą u swoich

stóp panterę.

Podobnie jak elektryczność i służba, i jak fabryki zamykane kolejno w całej Norcie, dobre jedzenie także zdaje się przeszłością. Brakuje go na polach i w dostawach, brakuje też tych, którzy potrafią je przyrządzić. Założę się, że zniknęła również większość pałacowych kucharzy.

Bababel zmiata wszystko ze swojego talerza, jak gdyby niczego nie zauważyła.

– Przegramy tę wojnę – wyrzucam z siebie, nachylając się w lewą stronę, tak by moje słowa dotarły wyłącznie do Juliana.

Mięsień jego policzka drga. Męczyzna opróżnia kieliszek wina.

– Nie tutaj, Cal – odpowiada, ukrywając usta za brzegiem pucharu. – Czy król chciałby się udać na spoczynek?

– Owszem.

– Dobrze – mamrocze wuj, odstawiając kieliszek.

Przez chwilę nie wiem, co robić. Czekam, aż ktoś pozwoli mi odejść od stołu, ale nikt nie jest do tego uprawniony. To mój tron i mój pałac. Muszę jedynie wstać.

Robię to szybko i odchrząkuję, by zasygnalizować swoje odejście. Bababel prędko orientuje się w sytuacji. Chciałbym mieć to już z głowy.

– Dziękujemy ci za obecność, Wasza Królewska Mość – mówi, rozkładając ramiona, by skupić na sobie uwagę zebranych.

Konwersacje siedzących wokół arystokratów łagodnie ustają.

– Przetrwaliśmy burzę. W imieniu członków rodziny królewskiej chciałabym wyrazić wdzięczność za to, że jesteście z nami. I za to, że pomogliście Norcie znów się zjednoczyć.

To oczywiste kłamstwo, tak niewyszukane jak jedzenie porzucone na licznych talerzach. Norty w żadnym wypadku nie można nazwać zjednoczoną. Dowodem na to jest choćby ta w połowie pusta sala bankietowa. I choć nie chcę być takim królem jak Maven, który osadził swój tron na fałszu i bezprawiu, nie widzę innej możliwości. Muszę być silny, nawet jeśli to tylko iluzja.

Przemyślanym gestem kładę dłoń na ramieniu Bababel. Podporządkowuje się

i odsuwa, by oddać mi głos.

– Owszem, jedna burza minęła. Ale byłbym głupcem, gdybym udawał, że na horyzoncie nie zbierają się kolejne chmury. – Staram się przemawiać wyraźnie. Czuję na sobie wiele par oczu.

Choć różnią ich stroje i rodowe barwy, łączy ich ta sama krew. Wszyscy zebrani należą do Srebrnych i ta świadomość przyprawia mnie o drżenie. Nasi Czerwoni sojusznicy zniknęli na dobre. Kiedy znów przyjdzie wojna, będę walczył sam.

– Lakelandczycy nie zadowolą się swoim krajem. Nie teraz, kiedy niemal rządzą Nortą poprzez swoją księżniczkę.

Niektórzy arystokraci coś szepczą, nachylając się do siebie. Volvo pozostaje nieruchomy i wpatruje się we mnie ze swojego miejsca w dalszej części głównego stołu. Czuję, jak przewierca mnie wzrokiem.

– Kiedy rozpęta się burza, będę gotowy. Mogę wam to obiecać. – Jestem gotowy, by walczyć. Gotowy, by przegrać. I zapewne umrzeć.

– Siła i potęga! – krzyczy ktoś z zebranych, skandując dawne motto mojego ojca i dziadka. Symbol Srebrnej Norty.

Pozostali powtarzają to hasło. Ja też powinienem.

Ale nie mogę. Doskonale wiem, co oznaczają te słowa. Kto tak naprawdę jest ofiarą naszej siły i naszej potęgi. Zaciskam usta.

Julian towarzyszy mi, kiedy uciekam z sali bankietowej, zamiast głównych korytarzy wybierając przejścia dla służby. Babcia idzie za nami, a nasz dziwaczny pochód zamykają żołnierze z jej rodu. Wciąż nie mam wartowników, którzy powinni ochraniać króla i którzy ochraniali mnie, gdy byłem księciem – wtedy, kiedy wszystko działało jak należy. Słusznie obawiamy się strażników zaprzysiężonych Mavenowi, choć wielu z nich złożyło mi przysięgę wierności wraz ze swoimi rodami. Znalezienie właściwych strażników, ludzi, którym będę mógł zaufać, to po prostu kolejna pozycja na wydłużającej się liście rzeczy do zrobienia. Już na samą myśl o tym jestem wyczerpany.

Kiedy docieram do drzwi tymczasowego apartamentu, ziewam, choć dopiero zapadł zmierzch. Przynajmniej mam dobrą wymówkę, by czuć się zmęczony. Nie codziennie zostaje się królem. Korona nie daje mi o tym wszystkim zapomnieć.

Zarówno Bababel, jak i Julian wchodzi za mną do salonu, pozostawiając strażników na korytarzu. Zatrzymuję babcię spojrzeniem.

– Jeśli pozwolisz, chciałbym porozmawiać tylko z Julianem. – Staram się, żeby moje słowa miały siłę rozkazu. Nie powinienem prosić o pozwolenie, by zostać sam na sam z jednym z najbliższych doradców. Jednak czuję się niepewnie, a moje słowa brzmią jeszcze słabiej.

Anabel rzednie mina, wydaje się urażona. Może nawet zraniona. Jak gdybym zadał jej cios.

– Przez chwilę – dodaję, próbując naprawić swój błąd.

Stojący obok niej Julian zaciska dłonie, z twarzą pozbawioną emocji.

Bababel sztywnieje.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – szepcze i spuszcza głowę. Światło lampy ślizga się po jej stalowoszarych włosach. – Zostawię was samych.

Łopocząc płomiennymi szatami, odwraca się na pięcie. Zaciskam pięści, żeby nie wyciągnąć do niej rąk. Ciężko pogodzić miłość do bliskich z potrzebami królestwa.

Drzwi się za nią zatraskują, głośniejsze niż powinny. Krzywię się.

Julian nie marnuje czasu i otwiera usta, jeszcze zanim opada na miękką kanapę. Wiem, że czeka mnie nieuchronny wykład.

– Nie powinieneś przemawiać w ten sposób publicznie, Cal.

„Przegramy tę wojnę”.

Ma rację. Ale ja i tak marszczę brwi i podchodzę do łukowatych okien z widokiem na most w Archeonie, rzekę i niebo rozgwieżdżone na horyzoncie. Z tej odległości statki na wodzie też przypominają gwiazdy. Podobnie jak w przypadku gości obecnych na koronacji, ich także jest mniej, niż powinno być. Ucierpiał handel, a więc i przewoźnicy. Jestem królem dopiero od dziś, a dni

mojego królestwa już są policzone. Mogę się tylko domyślać, co się stanie z obywatelami, kiedy nasz kraj upadnie.

Przykładam dłoń do szyby, która zachodzi mgiełką od mojego dotyku.

– Nie mamy rezerw ludzkich, by odeprzeć inwazję.

– Jeśli najnowsze doniesienia się potwierdzą, musimy się liczyć z tym, że swoim rozporządzeniem zmniejszyłeś siły do czterdziestu pięciu procent. Większość Czerwonych żołnierzy odeszła z wojska albo lada chwila to uczyni. To przede wszystkim nowi rekruci. Przynajmniej ci, którzy pozostali, są zaprawieni w walce – pociesza.

– Ale zbyt rozproszeni po kraju – mamroczę. – Granica z Lakelandią znów jest zagrożona, nie wspominając o granicy z Piedmontem. Jesteśmy otoczeni i zdominowani. Nadchodzi jesień. Jakie plony zbierzemy bez rolników? Czym mamy strzelać, skoro ustała produkcja pocisków?

Wuj przesuwając dłoń po wewnętrznej stronie podbródka i bacznie mi się przygląda.

– Żałujesz, że wydałeś to rozporządzenie.

Jest jednym z dwojga ludzi, którym byłbym w stanie się do tego przyznać.

– Tak.

– Podjąłeś dobrą decyzję.

– Na jak długo? – warczę. Zalewa mnie fala gorąca. Odwracam się od okna i zaczynam rozpinać guziki kurtki. Zimniejsze powietrze owiewa moją rozgrzaną skórę, chłodzi ją i przynosi ukojenie. – Kiedy Lakelandczycy powrócą, wymażą to, czego próbowałem dokonać.

– Tak to już jest, Cal. – Spokojny głos Juliana jeszcze bardziej mnie rozsierdza. – W czasach wstrząsów politycznych społeczeństwa się zmieniają i potrzebują czasu, by odzyskać równowagę. Czerwoni wrócą do pracy, choć będą oczekiwać lepszych płac i lepszego traktowania. Oni także muszą wykarmić i ochronić swoich bliskich.

– Nie mamy tyle czasu, Julianie – mamroczę z irytacją. – Wkrótce ktoś będzie

musiał na nowo nanieść granice na twoich mapach. Królestwo Norty upadnie.

Obserwuje, jak przechadzam się tam i z powrotem.

– Pewnie powinienem zapytać o to kilka dni temu, ale czy istnieje powód, dla którego jesteś tak przywiązany do idei tego królestwa? I tej korony?

Zamiast galopować, moje myśli spowalniają. W ustach czuję ciężki język, jak gdyby na tym, co chcę powiedzieć, spoczywał ciężar. Julian kontynuuje:

– Mówisz teraz, że zapewne przegramy, że ty przegrasz, a winą za to obarczysz swoje dekrety i zmiany, które postanowiłeś wprowadzić. I to, że nie masz sojuszników. – Przeciąga się na kanapie i wykonuje gest dłonią. Wskazuje przez okno na świat na zewnątrz. – Zrobiłeś wszystko, o co prosiła Szkarłatna Gwardia i Montfort. Spełniłeś ich wszystkie oczekiwania. Poza jednym. Tym. – Wskazuje na koronę, która wciąż jest wciśnięta na moje skronie. – Dlaczego? Skoro wiedziałeś, że nie zdołasz jej utrzymać?

Moja odpowiedź brzmi niemądrze, jak gdyby pochodziła z ust dziecka. Ale i tak jej udzielam.

– To korona mojego ojca.

– Owszem, ale korona nie jest twoim ojcem – mówi szybko, podnosząc się z miejsca. Stawia dwa kroki i łapie mnie za ramiona, a jego głos łagodnieje. – Nie jest też twoją matką. I nie przywróci ich do życia.

Nie mogę na niego patrzeć. Jest do niej zbyt podobny, zbyt podobny do cienia matki, który noszę w wyobraźni. Choć to pewnie marzenie i sen, a nie jej prawdziwe odbicie. Coś nierealnego. Maven był torturowany przez swoją żyjącą matkę, ale ja również przeżywam katusze. Torturuje mnie kobieta, którą mi odebrano.

– Oto, kim jestem, Julianie. – Próbuję uspokoić oddech, przemawiać jak król. W mojej głowie te słowa mają sens, ale wypowiedziane tracą go. Jąkam się, jestem niepewny. – To wszystko, co znam, jedyna droga, której kiedykolwiek pragnąłem... której kazano mi pragnąć.

Wuj mocniej ściska mnie za ramiona.

– Twój brat mógłby powiedzieć to samo. Dokąd go to zaprowadziło?

Patrzę na niego ze złością.

– Nie jesteśmy tacy sami.

– Nie – odpowiada pospiesznie. W jednej chwili jego sylwetka się zmienia i Julian robi dziwną minę. Mruży oczy i zaciska wargi, tak że tworzą cienką linię. – Nie czytałeś pamiętnika, prawda?

Spuszczam wzrok. Wstydzę się tego, jak bardzo boję się zwyczajnej książeczki.

– Nie czuję się na siłach – szepczę.

Julian nie zamierza mnie pocieszać. Cofa się i krzyżuje ramiona na piersi. Nie potrzebuje słów, by mnie zbesztać.

– Cóż, musisz to zrobić – mówi po prostu, ponownie przybierając nauczycielski ton. – Nie tylko dla siebie. Także dla nas. Dla nas wszystkich.

– Nie rozumiem, w czym miałby nam teraz pomóc pamiętnik nieżyjącej kobiety.

– W takim razie mam nadzieję, że zbierzesz się na odwagę, by się o tym przekonać.

*

Czytając pamiętnik, mam wrażenie, że pcham przez błoto wielki głaz. Robię to powoli, z trudem, z poczuciem bezsensu. Słowa wyciągają do mnie swoje atramentowe paluchy, próbują mnie powstrzymać. Każda kolejna strona wydaje się cięższa od poprzedniej. Do czasu. W końcu głaz zaczyna się staczać ze zbocza, a głos, którym obdarzyłem matkę, rozbrzmiewa w mojej głowie, wypowiadając słowa tak pospiesznie, jak pozwala mu na to mój umysł. Czasem oczy zachodzą mi mgłą. Nie ścieram łez z kartek, pozwalając, by wyznaczały upływ kolejnych godzin. Czasem się uśmiecham. Moja matka lubiła kombinować. Naprawiać i budować. Tak jak ja.

Czasem nawet wybucham śmiechem w reakcji na to, jak opisuje Juliana, ich ciepłą rywalizację i to, jak podsuwał jej książki, których ona nie zamierzała czytać.

Zaczynam niemal wierzyć, że matka żyje. Że siedzi obok mnie, nie jest uwięziona na kartach notatnika.

Jednak przez większość czasu czuję po prostu ból. Pragnienie jej obecności. Przygnębienie. Żal. Matkę dręczyły demony, jak nas wszystkich. Miała własne smutki, które pojawiły się, jeszcze zanim została królową. Zanim mój ojciec ją poślubił i zanim uczynił ją celem.

Z czasem jej wpisy stają się rzadsze. Jej życie się zmienia. Mnie poświęciła zaledwie kilka stron.

Nie będzie żołnierzem. Tyle jestem mu winna. Synowie i córki domu Calore od zbyt dawna walczą. Od zbyt dawna na czele tego kraju zasiada król wojownik. Od zbyt dawna toczymy wojnę, na froncie i wewnątrz naszych granic. Może za takie słowa powinna spotkać mnie kara, ale jestem królową. Jestem nią. Mogę mówić i pisać, co myślę.

Potomkowie rodu Calore to dzieci ognia, tak potężni i niszczycielscy jak ich płomień, ale Cal nie będzie taki jak jego przodkowie. Ogień może niszczyć, może zabijać, ale także tworzyć. Lasy spalone latem na wiosnę się zielenią, piękniejsze i silniejsze niż przed pożarem. Płomień Cala będzie budował i wydobywał korzenie z popiołów wojny. Broń ucichnie, dym się rozwieje, a żołnierze – Czerwoni i Srebrni – powrócą do domów. Po stu latach wojny mój syn zaprowadzi pokój. Nie zginie w walce. Nie. NIE ZGINIE.

Przesuwam palcami po literach i czuję nacisk dawnego pióra. To nie jej pismo. To pismo Juliana. Jej prawdziwe pamiętniki zostały zniszczone przez Elarę Merandus, jednak Julianowi udało się część uratować, zanim zniknęły. Skrupulatnie kopiował każde słowo, nawet te. Zapisując jej myśli, niemal przedziurawił kartkę.

Mnie te słowa przeszły na wylot.

Coriane Jacos chciała dla swojego syna innego życia. Chciała, by wychowano mnie inaczej, niż zrobił to ojciec.

Zastanawiam się, czy pomiędzy tym, czego pragnęli dla mnie rodzice, kryje się inny los – droga, którą będę mógł wybrać sam.

„A może jest już za późno?”

ROZDZIAŁ 31

MAVEN

Nie mam nawet okna. Kiedy Mare była moim więźniem, zadbałem o to, żeby przynajmniej miała okno. Oczywiście to, że mogła przez nie wyglądać, samo w sobie było torturą. Pozwoliłem, by zza krat swojej luksusowej klatki widziała, jak kręci się świat, jak zmieniają się pory roku. Nie sądzę, by chodziło o coś osobistego. Najwyraźniej nie chcą ryzykować. Moje bransoletki dawno zniknęły i pewnie je zniszczono. Pod podłogą ukryto Cichy Kamień, tłumiący ostatnie moce, jakie mi pozostały. Noc i dzień obserwuje mnie co najmniej dwunastu strażników, którzy pełnią wartę po drugiej stronie krat, zawsze w pełnej gotowości.

Jestem tu jedynym więźniem. Nikt się do mnie nie odzywa, nawet strażnicy.

Tylko matka wciąż do mnie szepcze, ale jej słowa są coraz bardziej ulotne, niewyraźne. Zostawiają mnie sam na sam z myślami. To jedyny pożytek z Cichego Kamienia. Chociaż mnie osłabia, osłabia też jej głos. Na dawnym tronie czułem to samo. Kamień był jednocześnie tarczą i kotwicą, zadawał mi ból, ale też chronił przed wpływami – tymi z zewnątrz i tymi od środka. Wszystkich wyborów dokonywałem wtedy samodzielnie.

Tu jest tak samo. Przede wszystkim decyduję się na sen. Nawet Kamień nie pozwala mi śnić. Nie potrafi cofnąć tego, co mi zrobiła. Matka odebrała mi tę możliwość dawno temu, a sny nigdy nie powróciły. Czasem gapię się w ściany. Są zimne, więc domyślałem się, że znajdujemy się częściowo pod ziemią. Kiedy zabrano mnie do miasta na spotkanie z radą, miałem na oczach opaskę. Całymi godzinami dotykam zaprawy murarskiej spajającej ze sobą kamienie, przesuwam palcami po szorstkich i gładkich powierzchniach. W normalnych okolicznościach wypowiedziałbym swoje myśli na głos, ale strażnicy nigdy mnie nie opuszczają,

nasłuchują. Byłbym idiotą, gdybym odsłonił przed nimi choćby skrawek myśli.

„Cał jest sam, odcięty od najsilniejszych sojuszników. Sam się o to prosił, głupiec. Iris i jej matka nie będą marnować czasu, nie dadzą mu szansy, by wprowadził stabilizację w swoim królestwie. Dostał koronę, której tak pragnął, ale zbyt długo jej nie utrzyma”.

Uśmiecham się na myśl o tym, że mój idealny brat wszystko zepsuł. A mógł po prostu odmówić. Odrzucić tron. Miałby swoje wojska, miałby cień szansy, miałby Mare. Ale nawet ona mu nie wystarczała.

Właściwie to go rozumiem.

Mnie też nie wystarczała. Nie udało mi się dla niej zmienić, porzucić człowieka, którym się stałem.

Zastanawiam się, czy udałoby się to Thomasowi.

Czuję potworny ból głowy, jak zawsze kiedy wymawiam w myślach jego imię, przypominam sobie jego twarz, a na rękach czuję jego dotyk. Kładę się na pryczy w rogu celi i przyciskam pięści do oczu. Chciałbym się pozbyć ciężaru, jaki towarzyszy wspomnieniu o nim i temu miejscu.

Mało wiem o Montforcie, nie wspominając nawet o jego stolicy, Ascendencie. Planowanie ucieczki byłoby tylko stratą czasu i znacznie uszczuplonych sił. Oczywiście w Archeonie podejmę ryzyko. Napuszczę ich na brata, po czym zgubię w tunelach. Dalsze planowanie także nie ma sensu. Zastanowię się nad tym, jak przyjdzie co do czego.

Mare z pewnością będzie coś podejrzewała. Zdążyła mnie już poznać. Nie wykluczam, że po wszystkim będę musiał ją zabić.

Jej życie albo moje.

To trudny wybór, ale wybiorę siebie.

Jak zawsze.

*

– Musimy wiedzieć, gdzie znajduje się wejście do tuneli.

W pierwszej chwili zastanawiam się, czy przypadkiem nie śnię. Czy to, co zabrała mi matka, jakimś cudem nie powróciło. Ale to niemożliwe. Otwieram oczy i widzę Mare stojącą po drugiej stronie krat, poza moim zasięgiem. Strażnicy zniknęli, przynajmniej z pola widzenia. Pewnie zgromadzili się na końcu korytarza, gotowi przybiec w razie wezwania.

Odkąd zabrano mnie na spotkanie z premierem, minęły dwa dni, a ona wygląda tak, jak gdyby od tamtej pory nie spała. Dziewczyna od błyskawic jest zmęczona, ma cienie pod oczami i lekko zapadnięte policzki. Ale i tak wygląda lepiej niż wtedy, gdy była moim więźniem, mimo strojnych sukni i klejnotów, w które ją ubierałem. Tu jej oczy błyszczą. Nie są puste, nie ma w nich bezdenne bólu. Doskonale znam to uczucie. Towarzyszy mi teraz i towarzyszyło, kiedy byłem królem, osłaniany przez cichy tron. Powoli podnoszę się na łokcie i spoglądam na nią znad czubków butów.

– Dwa dni, żeby przystać na moje warunki – mówię, odliczając na palcach. – To musiała być gorąca dyskusja.

– Ostrożnie, Mawenie – ostrzega mnie szorstko. – Jeśli będziesz robił trudności, bez zastanowienia wezwę tu Tytona.

Mówi o tym Nowym z białymi włosami i o dziwnym spojrzeniu, o tym, który ma takie same moce jak ona. „Jest ode mnie silniejszy”, powiedziała wtedy na posiedzeniu rady. A ja widziałem, jak silna jest Mare Barrow. Jego błyskawice z pewnością rozerwą mnie na strzępy, nerw po nerwie. Choć to i tak niewiele im da. Potrafię znieść tortury. I trzymać język za zębami, nawet jeśli będzie to równoznaczne ze śmiercią. Mimo to nie chciałbym z samego rana zamienić się w żarówkę.

– Wolałbym, żebyś tego nie robiła – odpowiadam. – Lubię być z tobą sam na sam.

Jej oczy się zwężają i dziewczyna mierzy mnie spojrzeniem. Nawet z tej odległości słyszę jej gwałtowny wdech. Uśmiecham się krzywo, zadowolony, że wciąż tak na mnie reaguje. Nawet jeśli jej reakcja jest zakorzeniona w strachu. Zawsze coś. To lepsze niż obojętność. Lepsze niż brak reakcji.

– Domyślam się, że to koniec – kontynuuję, spuszczać nogi na podłogę. Opieram się o kraty i czuję na czole chłód metalu. – Między Mavenem a Mare nie ma już szeptów.

Dziewczyna spogląda na mnie drwiąco, a ja spodziewam się, że mnie opluje. Nie robi tego.

– Nie będę się starała cię zrozumieć. Dałam sobie z tym spokój – syczy, wciąż poza moim zasięgiem. Ale nie wzdryga się, kiedy lustruję ją wzrokiem. Nie drży, kiedy wyciągam dłoń i prostuję palce, by machnąć nimi w powietrzu, kilka centymetrów od jej twarzy.

Bo to nie mnie się boi.

Spuszcza wzrok i spogląda na posadzkę mojej celi. Na Kamień wprawiony w cement.

Wybucham głębokim śmiechem, który odbija się echem od ścian.

– Rzeczywiście coś w tobie zламаłem, prawda?

Mare cofa się, jak gdybym ją uderzył. Niemal widzę, jak sinieje jej serce. Dziewczyna zaciska zęby i prostuje kręgosłup.

– Jeszcze mogę to naprawić – cedzi.

Mój uśmiech staje się tak gorzki, zatruty, zdeprawowany jak ja sam.

– Szkoda, że nie mogę powiedzieć tego samego o sobie.

Moje słowa niosą się echem, cichną i umierają.

Mare krzyżuje ramiona i spogląda na swoje stopy. Obserwuję ją uważnie, próbując zapamiętać najdrobniejszy szczegół.

– Tunele, Mavenie.

– Podałem wam warunki – odpowiadam. – Pójdę z wami, poprowadzę wasze wojska...

Gwałtownie podnosi głowę. Założę się, że gdyby nie Kamień pod moimi stopami, w powietrzu rozległby się trzask.

– To za mało.

Czas ją zdemaskować.

– W takim razie potraktuj mnie prądem. Zawołaj tego swojego białowłosego kata i uzależnij losy tej wojny od słów okupionych moją krwią. Uwierz, że są prawdziwe. Jesteś skłonna zaryzykować?

Zirytowana, unosi ramiona. Jak gdybym był dzieckiem, a nie królem. Czuję się tak, jakby przesuwiała mi po skórze papierem ściernym.

– W takim razie pójdźmy na kompromis. Powiedz, gdzie tunele się zaczynają. Spokojnie unoszę brew.

– I gdzie się kończą?

– Ten element układanki możesz zachować dla siebie. Do czasu, aż będzie nam potrzebny.

– Hmm – mruczę, stukając palcem o podbródek. Zaczynam się przechadzać, przygotowując spektakl dla swojej entuzjastycznej publiczności.

Mare śledzi moje ruchy, a mnie przypomina się pantera, z którą nie rozstaje się matka Evangeline.

– Domyślam się, że ty też się tam wybierzesz?

Prycha. Wygina usta w uroczym grymasie.

– Zadawanie pustych, idiotycznych pytań nie jest w twoim stylu.

Wzruszam ramionami.

– Robię wszystko, żebyś tu ze mną została.

Nie odpowiada. Cokolwiek chciała powiedzieć, zatrzymuje to dla siebie. Żałuję, że nie mogę dotknąć jej ust. Poczuć jej skóry pod palcami, gładkiej, jedwabistej i pulsującej gorącą czerwoną krwią. W głębi duszy zastanawiam się, czemu wciąż ma na mnie tak hipnotyzujący wpływ, choć wiem, że jest moim zaciekle wrogiem. Że mógłbym ją zabić i że ona zabiłaby mnie. To kolejna zagadka, której nigdy nie rozwiążę.

Stoi bez ruchu, dając mi na siebie patrzeć. Nie drży pod moim spojrzeniem. Pozwala, bym zajrzał pod maskę, którą pomogłem jej stworzyć. Dostrzegam tam zmęczenie, nadzieję i oczywiście smutek. Żal po tak wielu sprawach.

Między innymi po moim bracie.

– Złamał ci serce, prawda?

Mare tylko wypuszcza oddech, a jej pierś opada.

– Co za głupiec – szepczę, wypowiadając na głos znajomą myśl.

To jej nie przeszkadza. Odrzuca głowę, tak że brązowe i szare włosy spadają jej na plecy. Odślaniają nagą skórę i widoczne na niej znamię. „M jak Maven. M jak moja. M jak monstrum. M jak Mare”.

– Ty też to zrobiłeś.

Czuję w ustach falę złości. Spodziewałem się, że się podda, ale to ja spuszczam wzrok.

– Przynajmniej miałem ku temu dobry powód – mamroczę.

Wybuch ostrym, nieprzyjemnym śmiechem, krótkim jak trzask bicza.

– On zrobił to dla korony – syczę.

Mare spogląda na mnie znacząco, ale się nie porusza. Nie przysuwa się, bym mógł ją dotknąć.

– A ty nie, Mawenie?

– Ja oczywiście zrobiłem to dla niej. – Staram się, by mój głos był obojętny, rzeczowy. Zimny, złamany Maven, skazany na klęskę. – I dla tego, do czego mnie zmusiła.

– Wciąż winisz o wszystko matkę. Pewnie tak ci łatwiej.

Serce skacze mi w piersi, kiedy Mare przesuwa stopy. W bok. Nie podchodzi ani się nie oddala. Teraz to ona szykuje się do ataku.

– Nie sądzisz, że wasz ojciec także ukształtował Cala? Że wszyscy jesteśmy czymś tworem? – Choć dziewczyna tylko się przechadza, jej kroki przypominają taniec.

Odwzorowuję jej ruchy i przemieszczam się wraz z nią. Robi to z większą gracją niż ja. Zwinna złodziejka, która rodziła się przez wiele lat, formowana przez liczne zbiegi okoliczności.

– Koniec końców wszyscy potrafimy dokonywać wyborów. A ty postanowiłeś pozostawić swoje ręce unurzane we krwi.

Zaciskam dłonie i marzę o iskrze. O płomieniu. O czymś, co mógłbym spalić. Mare wie, czego pragnę, i uśmiecha się do siebie. Porusza palcami w powietrzu po drugiej stronie krat, a one jaśnieją fioletem i bielą. Przywołując energię elektryczną, tylko się ze mną drażni. Znajduje się poza moim zasięgiem, poza strefą działania Cichego Kamienia. Pragnę swoich mocy tak samo, jak pragnę Mare, Thomasa i człowieka, którym miałem być.

– Ja przynajmniej potrafię się przyznać do błędu – kontynuuje. – Do tego, że źle postąpiłam. Do tego, że to ja jestem odpowiedzialna za okropieństwa, których się dopuściłam i których jeszcze się dopuszczę. – W jej oczach odbijają się iskry. Tęczówki z brązowych stają się fioletowe, nadając jej nieziemski wygląd, jak gdyby mogła mnie zmieść z powierzchni ziemi samym spojrzeniem. W głębi duszy chciałbym, żeby tak się stało. – Pewnie ty mi to wpoiłeś.

Uśmiecham się.

– Może powinnaś mi za to odpowiednio podziękować.

Ona także się uśmiecha i spluwa mi pod nogi. Czuję ulgę na myśl, że część spraw na świecie wciąż da się jeszcze przewidzieć.

– Nigdy nie zawodzisz – syczę, wycierając but o cementową posadzkę.

Mare obstaje przy swoim.

– Tunele.

Biorę ciężki oddech i udaję, że czuję się wykorzystywany. Każę jej czekać, pozwalając, by cisza rozciągnęła się na kilka długich, bolesnych chwil. Nie spieszę się, przypatruję się jej. Chcę zobaczyć, kim tak naprawdę jest teraz Mare Barrow. Nie jest taka, jak ją zapamiętałem. Ani taka, jaką chciałbym ją widzieć.

Nie jest moja.

Nie należy do nikogo, nawet do mojego brata. Ta myśl przynosi mi ukojenie. Jesteśmy tu sami, ona i ja. Nasze drogi są potworne, ale to drogi, które sami dla siebie przygotowaliśmy.

Złoty blask jej skóry promienieje ciepłem, nawet tu, pod ziemią, podkreślony ostrym światłem jarzeniówek. Jest tak uparcie pełna życia jak płomień świecy na

deszczu.

– W porządku.

Daję jej to, czego chce.

Sam chyba też tego pragnę.

*

Zawsze zamierzali mnie zabić. Kiedy przestanę być im już potrzebny. Nie jestem zaskoczony. Sam bym tak postąpił. A jednak kiedy ściągają mi z głowy worek, a ja widzę otaczające nas góry, zaczynam się bać. Jeśli pozwalają mi zobaczyć to miejsce, Montfort i jego stolicę, właściwie jestem już trupem. To tylko kwestia czasu.

Na odsłoniętej twarzy czuję przenikliwie zimno. Nie bez powodu przechodzą mnie dreszcze strachu. Zerkam na fioletowe niebo spowite mgłą przed nadejściem świtu, przecięte pręgami słońca wschodzącego gdzieś nad szczytami gór. Wysoko wciąż leży śnieg, nawet latem. Próbuję pospiesznie ustalić swoje położenie.

Miasto Ascendent rozciąga się w dolinie pod nami, usytuowane między wzgórzami a alpejskim jeziorem. Nie przypomina żadnego znanego mi miasta, ani nortańskiego, ani nawet lakelandzkiego. To miejsce wydaje się jednocześnie nowe i stare. Wyrastające spomiędzy drzew i skał, jest tak samo częścią krajobrazu jak tworem budowniczych. Ale to miasto nie ma znaczenia. Nigdy tu nie wrócę. Ani jeśli ucieknę, ani jeśli mnie zabiją. Tak czy siak, mój powrót do Montfortu nie wchodzi w grę.

Stoimy przy pasie startowym wciśniętym pomiędzy dwie góry. Czyste powietrze jest przeniknięte zapachem paliwa odrzutowego. Kilka samolotów stoi na prostym odcinku lądowiska, jeden za drugim, gotowe się wzbić. Zerkam nad głowami otaczających mnie strażników. W oddali majaczy biały pałac górujący nad stolicą. Pewnie to właśnie tam zabrano mnie kilka dni temu i postawiono przed dziwną radą Czerwonych, Srebrnych i Nowych.

Nie znam otaczających mnie kordonem twarzy, ale taka sama część żołnierzy

ma na sobie mundury w odcieniu montforckiej zieleni, jak i w kolorze piekielnej czerwieni Szkarłatnej Gwardii. Trzymają mnie w potrzasku, tak że mogę tylko stać na palcach i wykręcać głowę, by przyjrzeć się tłumowi.

Bo zebrał się tu prawdziwy tłum. Dziesiątki żołnierzy i ich dowódcy ustawieni w równych rzędach cierpliwie czekają, aż będą mogli wejść na pokład. Jest ich jednak o wiele mniej, niż się spodziewałem. „Naprawdę sądzą, że tylu żołnierzy wystarczy, by najechać na Archeon?” Nawet jeśli mają Nowych o dziwnych i straszliwych mocach, jest to głupota. Samobójstwo. „Jakim cudem przegrałem z tak jawnymi idiotami?”

Ktoś obok mnie chichocze, a mnie towarzyszy znajome wrażenie, że śmieje się ze mnie. Odwracam się gwałtownie i widzę premiera Montfortu, który spogląda na mnie zza pleców otaczających mnie strażników.

Na jego znak dwóch z nich się odsuwa, a Davidson podchodzi do mnie. O dziwo, wygląda jak żołnierz i niczym się nie wyróżnia w swoim ciemnozielonym mundurze. Na jego piersi nie widać medali ani odznaczeń – niczego, co dałoby nam do zrozumienia, że mamy do czynienia z przywódcą kraju. „Nic dziwnego, że on i Cal tak dobrze się dogadywali. Obaj są zbyt głupi, żeby walczyć na froncie”.

– Coś pana rozbawiło? – pytam kąśliwie.

Premier potrząsa głową. Podobnie jak na zebraniu rady, twarz tego mężczyzny jest nieruchoma i niemal pusta. Odślania tylko tyle emocji, by publiczność wyciągnęła własne wnioski.

Mam nawet ochotę pogratulować mu tego talentu.

Tak samo jak ja, Davidson jest uzdolnionym aktorem. Ale mnie nie jest w stanie nabrać. Przejrzałem go na wylot.

– Co się stanie, kiedy to wszystko się skończy i trzeba będzie podzielić łupy? – Uśmiecham się i czuję na zębach mroźny podmuch wiatru. – Kto przejmie koronę mojego brata, Davidsonie?

Mężczyzna pozostaje nieruchomy, jak gdyby moje słowa nie robiły na nim wrażenia. Ale kiedy przymruża oczy, dostrzegam, że jego mięśnie nieznacznie

drgają.

– Rozejrzyj się, Calore. W moim kraju nikt nie nosi korony.

– Sprytne – oznajmiam. – Nie wszystkie korony nosi się na widoku.

Wykrzywia usta w ironicznym uśmiechu, nie łapiąc przynęty. Albo jest niesamowicie opanowany, albo naprawdę nie ma w nim żądy władzy. Oczywiście chodzi o to pierwsze. Nikt na ziemi nie potrafi się oprzeć powabowi tronu.

– Dotrzymaj swojej części umowy, a raz-dwa będzie po wszystkim – odpowiada starszy mężczyzna, wycofując się. – Wprowadzić go na pokład – rozkazuje szorstko.

Strażnicy poruszają się synchronicznie, dobrze wyszkoleni, a gdybym zamknął oczy, mógłbym udawać, że to wartownicy. Moi obrońcy, którzy przysięgli mnie chronić, a nie szczury i zdrajcy krwi, którzy trzymają mnie na łańcuchu.

Przynajmniej nie założyli mi kajdan. Mam wolne nadgarstki, choć wciąż pozostają nagie.

Nie mam bransoletek ani ognia.

Nie mogę krzesać iskier.

Dobrze, że chociaż towarzyszy nam dziewczyna od błyskawic.

Udaje mi się ją dostrzec, kiedy strażnicy prowadzą mnie po pasie startowym do odrzutowca czekającego z włączonymi silnikami. Towarzyszą jej przyjaciele – generał o nazwisku „Farley”, którą rok temu tak łatwo wprowadziłem w błąd, a także Elektrykon, mężczyzna o białych włosach. W Montforcie musi istnieć moda na dziwaczne fryzury, bo są tu też kobieta o niebieskich puklach i mężczyzna o krótko ostrzyżonej zielonej czuprynie.

Mare uśmiecha się do nich serdecznie. Rusza przed siebie, a ja uświadamiam sobie, że jej włosy także się zmieniły. Szare końcówki zniknęły, zastąpione pięknym, znajomym fioletem. Nie mogę się napatrzeć.

Czuję szarpnięcie w piersi. Leci moim samolotem. Pewnie będzie mnie pilnować. Pozwoli, by jej kumpel kat stał nade mną przez cały lot. Nie szkodzi. Zniosę to.

Warto poświęcić kilka godzin w strachu w zamian za kurczący się czas we dwoje.

Nasz odrzutowiec ma ciemnozielone skrzydła, będące symbolem montforckich sił powietrznych. Strażnicy prowadzą mnie do wnętrza, gdzie znajdują się liczne fotele oraz dolny pokład biegnący wzdłuż kadłuba. Mogą się w nim zmieścić dodatkowi pasażerowie albo broń. Albo jedno i drugie. Mina mi rzednie, kiedy uświadamiam sobie, że ten samolot wyprodukowano w Montforcie i że z pewnością mają ich tu więcej. Ten dziwaczny górski kraj jest lepiej wyposażony, niż sądziliśmy, nawet po Corvium i zatoce Harbor. I mobilizuje siły.

Ktoś zapina mi pas, zaciskając go odrobinę zbyt mocno, a ja uświadamiam sobie, z czego śmiał się Davidson.

Odrzutowce na pasie startowym, otaczający je żołnierze – to dopiero początek.

– Ile tysięcy żołnierzy wkroczy do Archeonu? – pytam, a mój głos szybuje ponad zapełniającym się pokładem.

Nikt nic nie mówi, co samo w sobie jest odpowiedzią.

Po drugiej stronie odrzutowca zajmuje miejsce Mare, a obok niej siada Farley. Obie spoglądają na mnie ostrym jak krzemień wzrokiem, który w jednej chwili mógłby zapłonąć. Walczę z pokusą, by do nich pomachać.

Nagle ktoś staje przede mną, zasłaniając mi widok na obie kobiety. Wzdycham i powoli podnoszę wzrok. Mogłem się tego domyślić.

– Tylko spróbuj – mówi białowłosy Elektrykon.

Zamykam oczy i rozsiadam się w fotelu.

– Nie będę próbował – odpowiadam i staram się nie dać po sobie poznać, jak ciężko oddycha mi się w tych okropnych pasach.

Mężczyzna się nie rusza, nawet kiedy odrzutowiec wzbija się w powietrze. Nie otwieram więc oczu i w myślach analizuję swój ryzykowny plan. Raz po raz. Bez końca.

ROZDZIAŁ 32

EVANGELINE

Barrow odeszła co najmniej dwa tygodnie temu, tydzień temu mój narzeczony został koronowany na króla, a od kilku dni nie widziałam Elane. Wciąż jednak czuję pod palcami jej bladą, gładką i chłodną skórę. Ale ona sama znajduje się daleko, poza moim zasięgiem. Odesłano ją do Rowów, gdzie będzie bezpieczna.

Cał pozwoliłby mi ją tu zatrzymać, gdyby zgodził się na to mój ojciec. Mimo wszystko zawiązała się między nami nić porozumienia. Dziwne, kiedyś o tym marzyłam. O królu, który pozwoli mi żyć po swojemu i po swojemu rządzić. Dziś nie mogę liczyć na nic więcej i czuję się jak w więzieniu. Oboje znajdujemy się w potrzasku, odseparowani od tych, na których najbardziej nam zależy. On nie odzyska Mare, a ja Elane. Nie teraz, kiedy na horyzoncie majaczą lakelandzkie królowe szykujące inwazję. Nie zamierzam jej narażać tylko po to, żeby jeszcze przez kilka dni cieszyć się komfortem.

Moje komnaty w Pałacu Białego Ognia są przeznaczone dla królowej i czuć w nich obecność Iris Cygnet. Wszystko jest niebieskie, niebieskie, niebieskie – od zasłon po aksamitne dywany, a nawet kwiaty więdzące w nieprzyzwoicie licznych kryształowych wazonach. Im mniej sług, tym bardziej wydłuża się czas sprzątania apartamentów. Koniec końców, sama zrywam wszystkie zasłony. Stos kobaltowego jedwabiu wciąż piętrzy się w salonie obok mojej sypialni i zbiera kurz.

Dopiero na podłużnym balkonie, z którego rozciąga się widok na rzekę, rzucam z siebie widmo dalekiej księżniczki, która powróci, by nas wszystkich wymordować. Nawet tu, z twarzą zwróconą do słońca, nie mogę uciec od myśli o Wodniaczce z rodu Cygnet. Rzeka Capital płynie pod nami, dzieląc Archeon na

dwie części i meandrując do morza. Staram się nie zwracać uwagi na spokojny szum wody. Zaczynam zaplatać włosy, odgarniając z twarzy srebrne pasma. Ta prosta czynność wystarczy, by odciągnąć myśli. Im ciaśniejsze warkocze, tym większą czuję determinację.

Chcę dziś trochę potrenować, przećwiczyć strategię. Pobiegać na bieżni w koszarach, może posiłkować się z Ptolemeuszem, jeśli zechce. Żałuję, że nie ma tu Barrow. To dobra partnerka do ćwiczeń, godna rywalka. I wolę mieć do czynienia z nią niż z własną matką.

Dziwię się, że matka jeszcze tu nie wparowała, co ostatnio często jej się zdarza. Stara się mnie nakłonić do aktywności godnych królowej, jak sama je nazywa. Ja jednak nie mam dziś ochoty mamić i onieśmielać lordów dla jej własnych korzyści. Moi rodzice chcą, żebym przekabaciła kolejnych Srebrnych, zaskarbiła sobie lojalność, którą przysięgli Calowi. Odciągnęła od niego sojuszników, jak gdybym ratowała szczury z tonącego okrętu.

Rodzice chcą, żebym była taką królową dla Cala, jaką Iris była dla Mavena. Żebym była żmiją w jego łóżku, wilczycą u jego boku. Żebym zbierała siły i czekała na odpowiedni moment, by zaatakować. Choć nie Kocham Cala i nigdy go nie pokocham, nie czuję się z tym wszystkim dobrze.

Ale jeśli Anabel i Julian doprowadzą swoje intrygi do końca... Nie mam pojęcia, co stanie się ze mną.

Stoję w połowie mostu, który płonie z obu stron.

Most.

Opuszczam ręce, uwalniając z nich na wpół zapleciony warkocz, i przyglądam się olbrzymiej strukturze rozciągającej się nad rzeką. Przeciwnie część Archeonu połyskuje w świetle wschodzącego słońca – wiele budynków zdobią posagi drapieżnych ptaków ze stali i brązu. Wszystko jest takie, jakie być powinno. Roi się tu od ciężarówek i zagonionych mieszkańców. Na moście także panuje spory ruch, a pojazdy przemieszczają się po trzech poziomach konstrukcji. Jest ich mniej niż zazwyczaj, ale nikogo nie powinno to dziwić.

Zastanawiają mnie tylko podpory mostu i to, w jaki sposób opływa je woda. Robi to miarowym rytmem, ze stałą prędkością. Ale prąd, biała piana na falochronach u podstawy każdego słupa...

Rzeka płynie w niewłaściwą stronę. A jej poziom się podnosi. Przebiegam przez sypialnię i sąsiednie pomieszczenia, niczego nie widząc, dopóki nie docieram do apartamentu Ptolemeusza. Zamek w drzwiach ustępuje, a te niemal wypadają z zawiasów, kiedy wbiegam do środka. Wykrzykuję jego imię, ale prawie nie słyszę swojego głosu. Huczy mi w głowie i czuję zimny, kwaśny przypływ adrenaliny.

Mój brat wchodzi do salonu w niekompletnym stroju. Za jego plecami zauważam zmiętą pościel oraz granatowo-czarne ramię. Ręka porusza się i znika z pola widzenia, kiedy Wren Skonos sięga po ubrania.

– O co chodzi? – pyta Ptolemeusz, a jego oczy rozszerzają się w panice.

Chcę uciekać. Chcę krzyczeć. Chcę walczyć.

– Inwazja.

*

„Jak im się to udało? Przerzucili swoją armię, a my nic nie zauważyliśmy?”

Mój brat trzyma się u mego boku, ledwo za mną nadążając, kiedy biegniemy pałacowymi korytarzami. Galerie, salony, sale audiencyjne, a nawet balowe zlewają się w jedno. Może za kilka godzin nie będzie po nich śladu. Zostaną spalone, zatopione albo po prostu starte z powierzchni ziemi. Przez ułamek sekundy widzę zwłoki brata, połamane i porzucone na marmurowej posadzce, jego krew przypominającą zwierciadło. Mrugam i staram się odgonić tę myśl, jednak w ustach i tak czuję gorzki posmak żółci.

Zerkam na niego – żyje, oddycha, potężny w swojej zbroi – choćby po to, by przekonać się, że wciąż tu jest. Wren idzie za nami, w swoim stroju Uzdrowicielki. Mam nadzieję, że przez następne kilka godzin się nie rozdzielią. Gdybym mogła, związałabym ich razem.

– Obserwowaliśmy cytadele – mamrocze, żeby nie tracić koncentracji. – Wiedzieliśmy, że Lakelandczycy coś szykują, ale nie mieliśmy pojęcia, kiedy uderzą.

Głos Wren jest spokojny i opanowany, ale nie kojący.

– Musieli ruszyć na północ. Drogą lądową.

– Wraz ze Szkarłatną Gwardią z Lakelandii zniknęła większość naszych informatorów.

Ptolemeusz przeklina, kiedy skręcamy za róg i kierujemy się do sali tronowej.

Nasi rodzice jeszcze nas nie znaleźli, co może oznaczać, że są z królem i jego doradcami. Pewnie już wiedzą.

Strażnicy z domu Lerolan otwierają nam drzwi, śmiertelnościami dłońmi popychając ich długie lakierowane skrzydła. Razem wkraczamy do pomieszczenia, trzymając zwarty szyk, na wypadek gdyby Lakelandczycy zdołali już przeniknąć do miasta. Moja moc huczy, rozciągnięta tak szeroko, by schwytać zbłąkane kule. Liczę pociski w magazynkach strażników i trzymam je na skraju świadomości.

Na podwyższeniu, gdzie stoi tron Cala oraz krzesła jego wuja i babki, zebrali się członkowie rodzin królewskich. Rodzice już tu są, a ojciec, jak zwykle, ma na sobie zbroję. Światło słoneczne odbija się od niego przy najmniejszym ruchu, tak że Volvo niemal nas oślepia. Matka wydaje się bardziej stonowana, nie ma na sobie zbroi, ma za to broń. Larentia Viper chwilowo porzuciła ukochaną panterę, choć ta jest przecież sprawnym myśliwym. Teraz jednak u jej stóp siedzą dwa kudłate wilki o niespokojnych oczach oraz drgających uszach i pyskach. Trudno je ujarzmić, ale równie dobrze radzą sobie z tropieniem, jak z walką. Kiedy są z matką, nikt jej nie zaskoczy.

Julian Jacos i królowa Anabel osłaniają Cala. Ona jest bardziej przygotowana do walki niż jego wuj Pieśniarz. Małą, korpulentną sylwetkę wcisnęła w jaskrawopomarańczowy mundur opięty pancerzem. Jej dłonie są nagie – zdjęła nawet obrączkę. Julian nie jest tak dobrze chroniony. Ma cienie pod oczami, co sugeruje, że tej nocy nie spał. Stoi blisko siostrzeńca, zachowując odległość

zaledwie kilkunastu centymetrów. Trudno powiedzieć, kto tu kogo chroni.

Król Norty ma na sobie wypolerowaną czerwono-srebrną zbroję, nie wspominając o broni na jednym biodrze oraz połyskującym mieczu na drugim. Jego ramion nie zdobi peleryna. Tylko by mu przeszkadzała. Choć Cal dopiero niedawno stał się mężczyzną, mam wrażenie, że z dnia na dzień się zestarzał. I to nie z powodu nadciągającej bitwy. Wojna i rozlew krwi nie są mu obce. Jego serce jest przygniecione innym ciężarem, czymś, od czego nie potrafi go odciągnąć nawet najazd wroga. Podnosi posępną twarz i spogląda na mnie, jak się zbliżam.

– Ile mamy czasu? – pytam, nie siląc się na uprzejmości.

Cal odpowiada bez wahania.

– Siły powietrzne już tu lecą – mówi, zerkając na południe. – Na morzu szaleje sztorm, a burza coraz bardziej się do nas zbliża. Jestem gotów się założyć, że w jej oku znajduje się lakelandzka flota.

To taktyka, której sami użyliśmy w czasie bitwy w zatoce Harbor, tylko że wówczas mieliśmy mniej wojsk i byliśmy słabsi. Drzę na myśl o tym, jak może wyglądać inwazja przygotowana przez Wodniaczki, którymi dowodzi sama królowa Lakelandii. Znow mam wizję, jak obleczona w stal zapadam się coraz głębiej w ciemną toń wody, z której już nigdy nie wypłynę.

Staram się, by ten lęk nie przeniknął do mojego głosu.

– Jaki mają cel?

To najlepszy sposób, by walczyć i odeprzeć atak. Trzeba przewidzieć ruchy przeciwnika i oszacować, jak go powstrzymać.

Stojący za plecami Cala wuj przestępuje z nogi na nogę. Spuszcza wzrok i dotyka siostrzeńca w ramię.

– Ty nim jesteś, mój drogi. Jeśli cię pojną, wojna skończy się, zanim na dobre się zacznie.

Mój ojciec milczy, rozważając możliwe warianty. Co będzie dla niego oznaczało schwytanie albo śmierć Cala? Nie jesteśmy jeszcze małżeństwem. Królestwo Rowów nie zostało bezpowrotnie związane z Nortą, tak jak nie byliśmy

związani z Mavenem. Kiedy ostatnim razem wrogie siły zaatakowały Archeon, ród Samos był przygotowany. Uciekliśmy. Czy teraz ojciec zrobi to samo?

Zgrzytam zębami, a w dodatku do tego wszystkiego czuję nasilający się ból głowy.

– Pociąg Mavena wciąż jest sprawny – kontynuuje Julian.

W odpowiedzi Cal wyslizguje się spod jego palców.

– Możemy cię przynajmniej wywieźć z miasta – ciągnie.

Młody król blednie, a jego skóra nabiera koloru starej kości. Ta propozycja przyprawia go niemal o torsje.

– I oddać im stolicę?

Julian odpowiada błyskawicznie:

– Oczywiście, że nie. Będziemy jej bronić, a ty znajdziesz się z dala od niebezpieczeństwa, poza ich zasięgiem.

Riposta Cala jest równie szybka i dwa razy bardziej stanowcza. Mówi coś, czego można się było spodziewać:

– Nie ucieknę.

Jego wuj nie wydaje się zaskoczony. Mimo to niezrażony wytacza kolejne argumenty. Na próżno.

– Cal...

– Nie pozwolę, by inni walczyli, kiedy ja będę przebywał w kryjówce.

Stara królowa jest jeszcze bardziej kategoryczna i chwyta wnuka za nadgarstek. Obawiam się, że wywiąże się kłótnia, ale nic nie mogę na to poradzić. Nawet teraz, kiedy trwa wyścig z czasem.

– Nie jesteś już księciem ani generałem – zaczyna Anabel. – Jesteś królem i twoje bezpieczeństwo jest nieodzowne dla...

Tak jak wcześniej, Cal delikatnie wyswobadza nadgarstek z jej dłoni, odginając kolejne palce babki i odpychając jej rękę. W jego oczach tli się płomień.

– Porzucając to miasto, porzucę też nadzieję na to, że kiedykolwiek będę królem. Nie dajcie się oslepić lękowi.

Mam już dość tej absurdalnej wymiany zdań, więc cmokam i mówię coś oczywistego, choćby po to, żebyśmy przestali tracić cenny czas.

– Pozostałe Szlachetne Domy nie złożą przysięgi wierności królowi, który ucieknie. – Wykorzystując wiedzę z lekcji dworskiej etykiety, unoszę podbródek, żeby sprawiać wrażenie silnej. – A ci, którzy już to zrobili, stracą do niego szacunek.

– Dziękuję – mówi Cal powoli.

Wskazuję palcem okna wychodzące na klify.

– Rzeka zmieniła bieg i wzbiera. Jej poziom jest na tyle wysoki, by pozwolić największym okrętom dotrzeć aż tutaj.

Cal kiwa głową, wdzięczny za to, że wróciliśmy do tego tematu. Odsuwa się od krewnych i staje po tej samej stronie pomieszczenia co ja.

– Będą próbowali podzielić miasto na dwie części – mówi, spoglądając między moim milczącym ojcem a swoją babką. – Rozkazałem już, by wyrównać liczbę strażników po obu stronach stolicy i uzupełnić ich zastępy żołnierzami, którzy nam pozostali.

Ptolemeusz marszczy nos.

– Czy nie byłoby lepiej zebrać siły, umocnić plac Cezara i pałac? Zjednoczyć się?

Mój brat jest takim samym wojownikiem jak Cal, ale kiepski z niego strateg. Kieruje się brutalną siłą. Cal szybko wytyka mu błąd.

– Królowe Cygnet wyczują, która część miasta jest gorsza – oznajmia. – Jeśli obie będą w równym stopniu zabezpieczone, nie zapolują na tę słabszą. Wtedy my zatrzymamy je na rzece.

– Skoncentrujemy siły powietrzne nad miastem. – To nie sugestia, ale rozkaz. I nikt mi się nie sprzeciwia. Choć wisi nad nami wizja śmierci, czuję przypływ dumy. – Wykorzystamy broń, którą transportują na okrętach. Jeśli jeden z nich zatopimy w dole rzeki, znacznie ich spowolnimy. – Na moich ustach igra mroczny uśmiech. – Nawet Wodniaczki nie potrafią utrzymać podziurawionego statku na

powierzchni.

Kiedy Tyberiasz Calore się odzywa, nie ma w nim radości, a w oczach widać udrękę.

– Zamienimy rzekę w cmentarzysko.

Cmentarzysko dla obu rodzajów krwi, dla Srebrnych i Czerwonych. Dla Lakelandczyków i żołnierzy Piedmontu. Dla wrogów. Bo nimi właśnie są. Ludźmi bez twarzy i nazwisk. Wysłani, by nas zabić. To łatwe równanie, bo po jednej stronie znajdują się ci, których kocham. Mimo wszystko skręca mnie w żołądku, choć nigdy nikomu się do tego nie przyznam. Nawet Elane. Na jaki kolor zabarwi się rzeka po skończonej bitwie?

– Na łądzie będą mieli nad nami przewagę liczebną. – Cal zaczyna krążyć, a jego słowa są podszyte szaleństwem. To tak, jakby mówił do siebie, na naszych oczach układał plan bitwy. – A skutkami ich sztormu zajmie się większa część sił powietrznych.

Mój ojciec nie wypowiedział jeszcze ani słowa.

– Poza Srebrnymi będą mieli także Czerwonych żołnierzy – stwierdza Julian niemal ze skruchą.

Znów kłuje mnie w brzuchu i mam wrażenie, że Cal odczuwa ten sam niepokój. Waha się.

Anabel tylko prycha.

– Tym lepiej dla nas. Będą bardziej wystawieni na ciosy. I mniej groźni.

Pomiędzy najbliższymi doradcami Cala pojawia się wyraźny rozdźwięk. Julian powstrzymuje drwiący uśmiech, a charakterystyczny dla niego spokój nieco słabnie.

– Nie to miałem na myśli.

„Bardziej wystawieni na ciosy. Mniej groźni”. Anabel się nie myli, ale podaje niewłaściwe argumenty.

– Lakelandczycy nie złagodzili swojego stosunku do Czerwonych – zauważam. – W przeciwieństwie do Norty.

Stara królowa obrzuca mnie spojrzeniem o zabójczej mocy.

– I co z tego wynika?

Mówię powoli, jak gdybym wyjaśniała teorię walki dziecku. To rozkosznie ją irytuje.

– To, że Czerwoni Lakelandczyków mogą mieć mniejszą motywację do walki. Niewykluczone nawet, że będą chcieli przejść na stronę kraju, w którym czeka ich lepsze traktowanie.

Kobieta mruży oczy.

– Nie sądzę, żebyśmy mogli na to liczyć.

Wzruszam ramionami, unosząc stalowe epelety, i przywołuję na twarz wyćwiczony uśmiešek.

– Tak było w zatoce Harbor. Warto o tym pamiętać.

Nietrudno zgadnąć, co myślą Srebrni spoglądający na mnie wytrzeszczonymi oczyma. Nawet Ptolemeusz nie do końca rozumie, co chcę przez to powiedzieć. Tylko Cal i Julian wydają się otwarci, a ich twarze są jednocześnie rzeczowe i dziwnie zamyśłone. Zatrzymuję spojrzenie na Calu, a on patrzy na mnie stanowczo i ledwie zauważalnie pochyla głowę na znak, że się ze mną zgadza.

Oblizuje wargi i przystępuje do kolejnego etapu planowania.

– Nie dysponujemy żadnymi Teleporterami, ale gdyby udało nam się przerzucić was dwoje – wskazuje mnie i Ptolemeusza – na okręty wojenne, żebyście unieszkodliwili ich broń...

– Moje dzieci niczego takiego nie zrobią.

Głos Volvo jest cichy, ale dźwięczny i niemal wibruje w powietrzu. Czuję go w klatce piersiowej i w jednej chwili znów zamieniam się w małą dziewczynkę, która kuli się ze strachu przed władcym ojcem. Gotowa zrobić, co w jej mocy, by go uszczęśliwić, by obdarzył ją rzadkim uśmiechem lub jakimkolwiek dowodem miłości.

„Nie, Evangeline. Nie pozwól mu na to”.

Zaciskam pięści i wbijam paznokcie w wewnętrzną stronę dłoni. To pomaga mi

odzyskać równowagę. Ostry ból przypomina mi, kim jestem i że stoimy na krawędzi urwiska.

Cal wpatruje się w mojego ojca z jawną nienawiścią i mężczyźni wdają się w pojedynek na siłę woli. Matka w dalszym ciągu milczy, trzymając dłoń na łbie wilka. Żółte oczy zwierzęcia są utkwione w młodym królu i nawet na chwilę nie ześlizgują się z jego twarzy.

Rodzice wcale nie zamierzają walczyć ani pozwolić, by robiło to któreś z nas. Wtedy, w zatoce Harbor, chętnie posłali nas na pole bitwy. Zaryzykowali nasze życie. Dla zwycięstwa.

Sądzą, że losy tej bitwy zostały już przesądzone.

Uciekną.

Ojciec znów się odzywa, rozładowując napięcie:

– Moi żołnierze i strażnicy, krewni z domu Samos, pozostają do twoich usług, Tyberiaszu. Ale nie pozwolę ci ryzykować życia moich następców.

Cal opiera ręce na biodrach i stuka o nie kciukami.

– A co z tobą, królu Volvo? Ty również zamierzasz tylko się przyglądać?

Mrugam, wstrząśnięta. Cal właśnie nazwał króla Rowów tchórzem. Wilk matki drży, odzwierciedlając złość swojej pani.

Ojciec już opracował własny plan działania. Musiał. W przeciwnym razie nie puściłby tej insynuacji płazem. Opędza się od tego zarzutu machnięciem dłoni.

– Nie muszę płacić własną krwią za przysięgę wierności – odcina się. – Będziemy bronić placu. Jeśli Lakelandczycy uderzą w pałac, napotkają opór.

Cal zgrzyta zębami. Jeśli chce utrzymać tron, będzie musiał się uporać z tym nawykiem. Królowie powinni być bardziej powściągliwi.

Julian trzyma się blisko siostrzeńca, a jego wodniste oczy błyszczą, kiedy wpatruje się w mojego ojca.

Uśmiecha się łagodnie i bierze długi oddech. Spodziewam się, że ojciec spuści oczy. Zerwie kontakt wzrokowy. Odbierze Pieśniarzowi oręż. Ale w ten sposób przyznałby, że się boi. Nigdy by tego nie zrobił, nawet po to, by chronić własny

umysł.

To pojedynek.

– Czy to aby mądre, Julianie? – mruczy moja matka, a wilki u jej stóp zaczynają warczeć.

Julian tylko się uśmiecha. Napięcie pęka jak naprężona nić.

– Nie wiem, co Wasza Królewska Mość ma na myśli – odpowiada luźnym tonem. Brak w nim niepokojącej melodii czy aury władzy. – Cal, gdybym to ja zdołał dotrzeć do lakelandzkiej królowej, mógłbym pomóc – dodaje cicho. Nie robi tego na pokaz. Nie próbuje w ten sposób dać nam czegoś do zrozumienia. To szczerza propozycja.

Cal krzywi się z bólu. Odwraca się, zapominając o moich rodzicach.

– To co najmniej samobójstwo, Julianie – syczy. – Nie uda ci się do niej zbliżyć.

Stary Pieśniarz unosi brew.

– A jeśli mi się uda? To wszystko mogłoby się zakończyć.

– Nic się nie zakończy. – Cal lekceważąco macha ręką, a ja mam wrażenie, że w powietrzu czuć swąd. Król szeroko otwiera oczy, zdesperowany, zapominając o manierach. – Śpiewem nie wymażesz Cenry ani Iris. Nawet jeśli udałoby ci się je nakłonić, żeby same się utopiły albo zawróciły swoje wojska, powrócą. W Lakelandii czeka jeszcze jedna Cygnet.

– Zyskalibyśmy cenny czas.

Jego wuj ma rację, ale Cal nie chce o tym słyszeć.

– A jednocześnie kogoś cennego byśmy stracili.

Julian spuszcza oczy i się wycofuje.

– Jak sobie życzysz.

– Jakie to wszystko wzruszające – mamrocę mimo woli.

Mina mojego ukochanego brata świadczy o tym, że się ze mną zgadza. Jestem zaskoczona, że oczy nie wyskakują mu z orbit, tak nimi przewraca.

– Swoją drogą, wiemy, co nas tam czeka? – pytam.

Moja matka drwi. Podobnie jak ojciec, uważa, że losy tej bitwy są przesądzone. Straciliśmy już miasto.

– Cała potęga Lakelandii? Czerwone legiony wraz ze wszystkimi Srebrnymi, jakich uda im się pozyskać, nie wspominając o potężnych Wodniaczkach mających do swojej dyspozycji całą rzekę?

– A do tego pewnie też część sił Norty. – Stukam palcem o wargę.

Nie tylko mnie przeszło to przez myśl. Te fakty są zbyt oczywiste, by ich nie zauważyć. Sądząc po otaczających mnie zarumienionych twarzach, pozostali mają podobne podejrzenia.

– Szlachetne Domy, których nie było na twojej koronacji. Żaden z nich nie złożył przysięgi wierności. Żaden nie posłuchał twoich rozkazów.

Cał przełyka ślinę. Wysoko na jego policzkach kwitnie srebrny rumieniec.

– Nie, dopóki żyje Maven. Wciąż klęczą przed innym królem.

– Klęknęli przed inną królową – mówię.

Cał marszczy ciemne brwi.

– Sądysz, że Iris przeciągnęła na swoją stronę Nortańczyków?

– Byłaby głupia, gdyby choć nie spróbowała. – Wzruszam ramionami. – O Iris Cygnet można powiedzieć wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że jest głupia.

Ta sugestia unosi się nad nami, gęsta jak mgła, i doprawdy trudno ją zlekceważyć. Nawet ojciec wydaje się zaniepokojony prawdopodobieństwem tego, że w królestwie Norty dojdzie do kolejnego rozłamu, a kraj, którym pewnego dnia pragnie rządzić, znów będzie podzielony.

Anabel się porusza i wyraźnie widać, że jest zdenerwowana. Przesuwa dłonią po ciasno związanych siwych włosach, przyglądając i tak perfekcyjną fryzurę. Starsza kobieta mamrocze coś nosem.

– Nie sądziłam, że to możliwe, ale chyba brakuje mi tych brudasów Czerwonych.

– Na to jest już za późno – warczy Cał, a jego głos przypomina rozszalałą burzę.

Choć ojciec rzadko się wzdryga, teraz drży mu warga.

*

Oczywiście przygotowano plany. Taktykę i strategie pozwalające obronić stolicę przed inwazją. Po stuleciu wojny z Lakelandczykami chyba nikt nie sądzi, że jest inaczej. Ale bez względu na to, co królowie z rodu Calore wymyślili, by pokonać Wodniaczki Cygnet, opierali się na tym, co już nie istnieje. Nortańska armia w pełni sił. Zjednoczony kraj. Miasta techników pracujące z pełną wydajnością, produkujące elektryczność i amunicję. Cal nie może już na to wszystko liczyć.

Koszary i obiekty wojskowe przylegające do placu to teraz najbezpieczniejsze miejsce poza opadającymi spiralnie komorami Skarbnicy, ale nie mam ochoty zagrzebywać się pod ziemią, mając do dyspozycji jedynie rozklekotany pociąg. Moi rodzice chronią się w centrum dowództwa generalnego i nadzorują raporty przekazywane przez krążące nad miastem siły powietrzne. Podejrzewam, że król Volvo cieszy się teraz władzą pod nieobecność Cala, który szykuje się, by poprowadzić wojsko do ataku.

Mnie aż tak nie bawi wpatrywanie się w wydruki i niewyraźne zdjęcia, obserwowanie bitwy z daleka. Wolałabym zaufać własnym oczom. Nie mogę być teraz blisko rodziców. Nadciągająca armia i okręty ukryte za chmurnym horyzontem ułatwiają mi podjęcie decyzji.

Ptolemeusz siedzi obok mnie na schodkach dowództwa generalnego. Jego zbroja lekko się marszczy, dopasowując się do jego mięśni. Odchyła głowę i patrzy na zbierające się nad nami ciemne chmury. Z każdą chwilą ich pokrywa jest coraz grubsza. U jego ramienia siedzi Wren, z pustymi rękami, gotowa uzdrawiać.

– Będzie padać – oznajmia mój brat. – Lada chwila.

Wren spogląda w dal, na most Archeonu znajdujący się po drugiej stronie bram prowadzących na plac. Jego liczne łuki i dźwigary nikną we mgłę zasnuwającej miasto.

– Ciekawe, jak wysoki jest teraz poziom wody – szepcze.

Używam swoich mocy, by dotrzeć do floty, która szybko pokonuje dzielącą nas odległość. Ale wrogie statki są jeszcze daleko. Choć może to ja nie potrafię się skoncentrować.

Ojciec znów ucieknie. Zrobi to cały dom Samos. Porzuci Nortę na pastwę wroga i uchowa się jedynie królestwo Rowów, samotna wyspa otoczona wzburzonymi wodami królowych Cygnet.

W końcu i my padniemy ich ofiarą.

Królowa Cenra nie ma synów. Nikogo, komu mogłaby mnie sprzedać. Volvo Samos nie ma się już czym targować. Będzie musiał się poddać. I pewnie zginie z jej rąk. Tak jak zginął Salin. Oczywiście o ile przeżyje dzisiejszy dzień. Gdzie w tym wszystkim będę ja? Jeśli ojciec stoi przed taką samą wizją porażki jak mój narzeczony? „Wtedy ja... odzyskam wolność”.

– Kochasz mnie, Toli?

Wren i mój brat spoglądają na mnie badawczo. Ptolemeusz niemal parska śmiechem ze zdumienia.

– Oczywiście – odpowiada tak szybko, że aż niewyraźnie. Ściąga srebrne brwi, a na jego twarzy pojawia się coś w rodzaju gniewu. – Jak w ogóle możesz o to pytać?

Już to proste pytanie go obraża, rani. Ja czułabym się tak samo.

Ujmuję jego dłoń i mocno ściskam. Czuję nowo wyhodowane kości w kończynie, którą kilka miesięcy temu stracił.

– Odesłałam Elane z Rowów. Kiedy dotrzesz do domu, jej tam nie będzie.

Czerwone włosy, górski wiatr. To wszystko przypomina sen. „Czy to prawda? Czy stoję przed swoją szansą?”

– Eve, o czym ty mówisz? Gdzie...?

– Nic ci nie powiem, żebym nie musiała kłamać.

Podnoszę się powoli i staję na dziwnie drżących nogach. Jestem jak dziecko, które uczy się chodzić i po raz pierwszy stawia samodzielne kroki.

Ptolemeusz podrywa się wraz ze mną i pochyla tak, że patrzymy sobie w oczy.

Dzieli nas zaledwie kilka centymetrów. Zaciska dłonie na moich ramionach, ale nie dość mocno, by mnie zatrzymać, gdybym postanowiła odejść.

– Wejdę do środka. Muszę go o coś zapytać – szepczę. – Choć chyba znam odpowiedź.

– Eve...

Patrzę mu w oczy, takie same jak moje. Jak oczy naszego ojca. Poprosiłabym go o pomoc, ale nie chcę, by czuł presję, nie chcę wymagać, by opowiedział się po jednej ze stron. Kocham brata, a on mnie, jednak on kocha także naszych rodziców. Jest lepszym następcą tronu niż ja.

– Nie idź za mną.

Przyciągam go do siebie i mocno przytulam. Toli w zamyśleniu odpowiada mi uściskiem, ale zaczyna się jąkać, nie rozumie, co to wszystko oznacza.

Nie odwracam się, by spojrzeć w twarz brata, może po raz ostatni. To zbyt trudne. Może zginąć dziś lub jutro, albo za miesiąc, kiedy królowe Cygnet napadną na mój dom, by wytrzebić moją rodzinę. Chcę pamiętać jego uśmiech, a nie dezorientację.

W dowództwie generalnym panuje chaos. Srebrni oficerowie biegają po korytarzach i komnatach, raportując najnowsze doniesienia i ruchy wojsk. Okrętów Lakelandii, odrzutowców Piedmontu. Wszystko się zaciera.

Bez trudu znajduję rodziców. Wilki matki warują po obu stronach drzwi prowadzących do jednej z komnat komunikacyjnych – ich oczy są błyszczące i przenikliwe. Zwierzęta odwracają się do mnie, kiedy przechodzę, obojętne.

Zaśnieżone ekrany w głównej kwaterze Dowództwa wypełniają pomieszczenie migotliwym światłem. Tylko kilka z nich wciąż działa. To niezbyt dobry znak. Siły powietrzne musiały wpaść w sam środek burzy. Jeśli w ogóle jeszcze istnieją.

Volvo i Larentia są nieugięci i wyglądają jak lustrzane odbicia. Wyprostowani jak szpryce, bez mrugnięcia okiem zapoznają się z tragiczną sytuacją, w jakiej się znajdujemy. Na jednym z ekranów pojawia się pierwszy okręt wrogiej floty, okazały cień w obłoku mgły. Pozostałe powoli nabierają ostrości. Jest ich co

najmniej dwanaście, a za nimi płyną kolejne.

Nie pierwszy raz widzę to pomieszczenie. Nigdy nie było tu tak pusto. Szczałkowa grupa Srebrnych oficerów obsługuje ekrany i radiostacje, próbując nadać za zalewem informacji. Co jakiś czas do środka wpadają żołnierze, po czym wybiegają z najnowszymi meldunkami. Pewnie zanoszą je Calowi, gdziekolwiek teraz przebywa.

– Ojczy? – mówię jak dziecko, a on lekceważy mnie, jak gdybym rzeczywiście nim była.

– Nie teraz, Evangeline.

– Co będzie, kiedy wrócimy do domu?

Spogląda na mnie przez ramię, a na jego ustach pojawia się wredny uśmiešek. Ostrzygł srebrne włosy krócej niż zwykle, tuż przy skórze. Jego głowa przypomina teraz trupa czaszkę.

– W jaki sposób wygramy tę wojnę?

Pozwalam, by powtórzył to kłamstwo, i sztywnieję, kiedy wypowiada nonsensowne zdania. „Będiesz królową. Zapanuje pokój. Życie wróci na dawne tory”. Ani słowa prawdy.

– Co będzie ze mną? Jakie masz wobec mnie plany? – pytam od progu. Muszę się streszczać. – Kim każeś mi się stać tym razem?

Oboje wiedzą, o co pytam, ale żadne z nich nie potrafi odpowiedzieć. Nie w obecności nortańskich oficerów, choć jest ich tak niewielu. Do ostatniej chwili muszą podtrzymywać iluzję tego sojuszu.

– Jeśli zamierzacie uciec, ja też to zrobię – szepczę.

Król Rowów zaciska pięść, a metalowe przedmioty w pomieszczeniu reagują na jego gest. Kilka ekranów trzaska, a ich obudowy wyginają się od gniewu monarchy.

– Nigdzie się nie wybieramy, Evangeline – kłamie.

Matka próbuje innej taktyki i podchodzi do mnie. Jej ciemne skośne oczy rozszerzają się i próbują mi coś przekazać. Przypomina teraz szczeniaczka albo

niedźwiadka. Przykłada mi dłoń do twarzy jak uosobienie troskliwej matki.

– Jesteś nam potrzebna – mówi cicho. – Jesteś potrzebna naszej rodzinie, swojemu bratu...

Wycofuję się z powrotem na korytarz. Wabię ich. „Dwa razy w prawo i przez drzwi frontowe, na plac...”

– Pozwólcie mi odejść.

Ojciec przepycha się obok matki, niemal ją przewracając, żeby stanąć nade mną. W świetle jarzeniówek chromowana zbroja lśni oślepiającym blaskiem.

Wie, co mam na myśli i o co tak naprawdę proszę.

– Nie pozwolę ci na to – syczy. – Należysz do mnie, Evangeline. Jesteś moją córką. Musisz zostać przy nas. Masz wobec nas zobowiązania.

Jeszcze jeden krok w tył. Wilki zrywają się z podłogi.

– Nieprawda.

Ojciec rusza za mną jak cień, jak olbrzym.

– Kim będziesz bez naszego rodu? – warczy. – Nikim.

Wiedziałam, że to powie, i w tym momencie pęka ostatnia cienka nić. Mimowolnie czuję, jak w kącikach oczu zbierają mi się łzy. Nie wiem, czy popłyną. Towarzyszy mi tylko palący gniew.

– Już mnie nie potrzebujecie. Ani z żądzы władzy, ani z chciwości – sztydę mu prosto w twarz. – A mimo to nie zamierzacie dać mi wolności.

Mruga, a jego złość na krótką chwilę się rozwiewa. Moja sztuczka wydaje się działać. Jest moim ojcem i mimo wszystko go kocham. Choć traktuje mnie w taki sposób. Choć w imię miłości chce mnie trzymać w klatce, zniewoloną przez własny ród.

Wychowano mnie tak, bym stawiała dobro rodziny na pierwszym miejscu. „Lojalność wobec swoich”. Tym właśnie jest dla mnie Elane. Moją rodziną, kimś najbliższym.

– Nie będę cię już prosić o pozwolenie – szepczę, zaciskając pięść.

Nad naszymi głowami rozbłyskuje światło i spada w dół w postaci

druzgoczącego ciosu, który zaskakuje nawet ojca. Z ran na jego głowie tryska srebrna krew, Volvo chwieje się, oszołomiony. Nie zabijam go. Nie wyrządzam żadnych trwałych szkód. Nie stać mnie na to.

Nigdy tak szybko nie biegłam, nawet podczas walki. Bo też nigdy tak bardzo się nie bałam.

Wilki są ode mnie szybsze. Kąsają mnie po nogach, próbują powalić na ziemię. Atakuję je metalowymi naramiennikami, zamieniając zbroję w noże. Jeden wyje i skomli, kiedy rozcinam mu brzuch i wypływa z niego rubinowoczerwona krew. Drugi jest silniejszy, większy i rzuca się, by mnie przewrócić.

Próbuję odskoczyć, ale upadam na plecy, a wilk rzuca mi się do gardła. Czuję na piersi stukilogramowy ciężar. Wypuszczam resztki powietrza z płuc.

Kły zaciskają się na mojej szyi, ale się w nią nie wgryzają. Koniuszki zanurzają się w skórę na tyle, by ją posiniaczyć. By mnie przyszpilić.

Nad nami drżą lampki w metalowych osłonkach i zawiasy w drzwiach.

Nie mogę się ruszać ani nabrać tchu. Pokonałam całe dziesięć metrów.

– Nie rusz nawet palcem – nakazuje matka, trzymając się na krawędzi mojego pola widzenia.

Nade mną drży cielsko wilka, który wbija we mnie spojrzenie żółtych ślepi.

Ojciec zjawia się u jej boku niczym wściekła gradowa chmura. Jedną rękę trzyma na głowie, tamując krwawienie. Patrzy na mnie groźniej od wilka.

– Głupia dziewczucha – sapie. – I to po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiliśmy? Po tym, kogo z ciebie ulepiliśmy?

– Masz tylko jedną skazę – odpowiada matka. Cmoka z niezadowoleniem. Jak gdybym była jednym z jej pupilków, wytresowanym dla własnych potrzeb. To chyba właściwy opis. – Głębokie wynaturzenie.

Próbuję złapać oddech, ale wilcze zęby sprawiają, że z mojego gardła wydobywa się tylko zduszony szloch. Ścisną mnie w żołądku.

Mam ochotę błagać. „Pozwól mi odejść”.

On jednak nigdy na to nie pozwoli. Nie potrafi. Może to wina jego ojca i ojca

jego ojca. Nie wiem, dlaczego przychodzi mi na myśl Mare Barrow. Jej rodzice, którzy tak mocno ją tulili i tak serdecznie żegnali, kiedy opuszczaliśmy Montfort. Są nikim. To nieistotni ludzie, pozbawieni urody, intelektu i władzy. Zazdroszczę im tak bardzo, że zbiera mi się na mdłości.

– Proszę – udaje mi się wydusić.

Wilk nie odpuszcza. Ojciec zbliża się do mnie. Jego palce są splamione srebrną posoką. Macha dłonią i opryskuje mnie swoją krwią. Przypomina, co zrobiłam.

– Sam zaciągnę cię do Rowów.

Nie wątpię w ani jedno słowo. Wpatruję się w niego, walcząc o oddech, i przesuвам palcami po posadzce. Nawet moja własna zbroja mnie zdradza i na jego rozkaz roztapia się, po czym spływa z mojego ciała. Jestem naga, bezbronna. Wystawiona na ciosy. Do końca życia będę tkwiła w niewoli.

Nagle ojciec odrywa się ode mnie i szybuje do tyłu, a na jego twarzy maluje się zaskoczenie, tak dla niego nietypowe. Coś ciągnie go za chromowaną zbroję, którą jest pokryte całe jego ciało. Volvo rozbija się o najbliższą ścianę, uderzając o nią potylicą. Moja matka wrzeszczy, kiedy ojciec pada do przodu, a jago oczy odwracają się do wewnątrz czaszki.

Górującego nade mną wilka spotyka inny los.

Ostrze podrzyna mu gardło, a odcięta głowa szybuje w powietrzu i z obrzydliwym chlupotem spada kilkanaście metrów ode mnie. Czuję na twarzy rozbryzg świeżej szkarłatnej krwi.

Ani drgnę. Znajoma chłodna dłoń zaciska się na moim nadgarstku i szarpie.

– Dobrze nas wyszkoliliście – mówi Ptolemeusz i pomaga mi wstać.

Biegniemy oboje, ale tym razem się odwracam.

Matka pochyła się nad mężem, przeciągając dłońmi po jego ciele. Ojciec próbuje się podnieść, ale cios był tak silny, że się chwieje. Żyje.

– Żegnaj, Evangeline – mówi inny mężczyzna. Z sąsiedniego korytarza wychodzi Julian Jacos w towarzystwie Anabel, która porusza palcami.

Królowa nie obrzuca mnie nawet spojrzeniem i trzyma uniesione ręce. Tak

drobna kobieta o tak śmiercionośnej mocy.

– Uciekaj, Larentio.

Mam ochotę zakryć uszy, choć melodyjny głos Juliana nie zwraca się do mnie. Moc Pieśniarza eksploduje w powietrzu, wyraźna jak cukrowy posmak.

– Zapomnij o swoich dzieciach.

Jej kroki są pospieszne i przypominają tupot jej szcurzych szpiegów.

– Larentio! – bełkocze ojciec, który jest zbyt oszołomiony, by mówić. Potrafi jednak krzyczeć.

Zostawiam go Anabel i Julianowi. I temu, co przygotowali dla króla Rowów.

*

Świat jest zanurzony we mgle, która wisi nad placem w postaci szarej chmury – zbyt gęstej, by mogła powstać naturalnie. Dostrzegam zarys sylwetki oczekującej nas Wren, jej szczupłe ciało odcinające się na tle innych sylwetek tworzących zwarty szyk. To siły Cala, a sądząc po ilości cieni, może nawet cały legion.

Na nasz widok Wren macha ręką.

– Tędy! – woła, po czym wnika we mgłę i między żołnierzy.

Na skraju świadomości czuję ciężar, który rejestruję mimo olbrzymiej odległości. „Statki Lakelandczyków”. To muszą być oni. Nad nami słychać huk przelatujących tam i z powrotem odrzutowców. W oddali wyją i eksplodują pociski raketowe, a języki ognia ukazują się tam, gdzie zapewne znajduje się wroga flota. Jestem uwięziona w pułapce mgły, oślepiona. Mogę się tylko skoncentrować na Ptolemejuszu i Wren i trzymam się blisko nich, kiedy przedzieramy się przez maszerujące w miejscu wojska. Kilku żołnierzy obrzuca nas spojrzeniem, ale nie próbuje zatrzymać. Wkrótce budynek dowództwa generalnego zostaje w tyle, wchłonięty przez mgłę.

Przecinamy plac po przekątnej, kierując się do Skarbnicy. Przypominam sobie ślub Mavena i ogarnia mnie dziwnie znajome wrażenie. Wtedy plac także był polem bitwy, a on uciekł swoim pociągiem ewakuacyjnym. Już wtedy nie podobał

mi się ten wynalazek, ale staram się o tym nie myśleć. To najszybszy sposób. Najbezpieczniejszy. Zanim bitwa dobiegnie końca, będziemy już daleko za miastem.

A wtedy...

Nie mam czasu ani energii, by rozwijać tę myśl.

Po mgle przychodzi czas na deszcz, który opada na nas z nagłym sykiem. W kilka sekund przemakam do kości, a zalany ulewą plac staje się śliski. Musimy zwolnić, żeby nie połamać nóg. Na płynącej w dole rzece rozlega się huk przypominający uderzenie bębna, rytmiczny i rozedrgany. Ziemia usuwa mi się spod stóp.

Statki ostrzeliwują miasto, a ciężkie serie bombardują zarówno wschodnią, jak i zachodnią część Archeonu.

Wyciągam ręce do Ptolemejusza, moje dłonie ślizgają się po jego mokrej zbroi, aż w końcu udaje mi się znaleźć punkt zaczepienia. Przygotowuję się na nieunikniony wstrząs, kiedy ogień Lakelandczyków dotrze do tej części miasta.

Instynkt mnie nie mylił.

Pierwszy pocisk z jękiem przelatuje nad ledwie widocznymi bramami placu, których łuki wyłaniają się z gęstej mgły. Nie widzę, w co trafiają, ale sądząc po potężnym wybuchu za naszymi plecami, domyślam się, że celem był Pałac Białego Ognia. Siła uderzenia pozbawia równowagi kilku żołnierzy, którzy upadają na ziemię. Ptolemejusz i ja łapiemy równowagę, a Toli podtrzymuje Wren i mocno ją do siebie przyciska.

– Nie zatrzymujcie się! – rozkazuję, próbując przekrzyczeć wycie kolejnej serii, która eksploduje nieopodal centrum dowództwa generalnego.

Ktoś inny także wrzeszczy, wydając rozkazy zagłuszone przez wszechobecny huk. Głowski towarzyszy płomień, który wije się przez mgłę na czele legionów. Bez względu na to, jak motywującą przemowę przygotował Cal, teraz może sobie darować. Jest zbyt głośno, zbyt mokro, a jego żołnierze są zbyt zdekoncentrowani obecnością floty, która zapełniła już całą rzekę. Mimo to zaczynają maszerować

i rzucają się naprzód, wykonując jego polecenia. Prawdopodobnie kazał im ustawić się w szeregu wzdłuż klifów. Przypuścić atak na rzekę w dole.

Niespodziewanie zaczynamy maszerować razem z nimi.

Żołnierze przybierają jak fala i unoszą nas ze sobą. Próbuję się wyswobodzić spośród umundurowanych ciał, szukając wśród Srebrnych Ptolemeusza i Wren. Wciąż są blisko, ale z każdą chwilą się od siebie oddalamy. Staram się wyczuć miedziany pas brata i przywieram do metalu swoją mocą.

– Szybko! – krzyczę, próbując się przedrzeć przez tłum. Resztką mojej zbroi pozwala mi utorować sobie drogę, a zbroja Ptolemeusza jest jak latarnia morska. – Ruchy!

Kolejny wybuch rozlega się bliżej, zwałając się z nieba jak młot. To pocisk artyleryjski, nie raketowy. Mniejszy, niesterowany, ale równie śmiertelny. Choć zdążyliśmy się rozdzielić, Ptolemeusz i ja jednocześnie unosimy ręce, a nasza moc przenika powietrze słupem energii.

Przywieram do stalowej łuski i zaciskam zęby, starając się zatrzymać rozpędzony pocisk. Udaje nam się to i stękając, odrzucamy pocisk z powrotem we mgłę z nadzieją, że eksploduje w pobliżu jednego z lakelandzkich okrętów. Kilku Psychików z legionu Cala robi to samo, zbijając się w grupę, by razem odpierać atak. Jednak przez mgłę przenika zbyt wiele serii, które przelatują nad naszymi głowami.

Odrzutowce lawirują po niebie i ostrzeliwują flotę najdokładniej, jak potrafią, używając do tego wszystkich zasobów. Nie są same. Lakelandczycy przybyli z własnymi batalionami powietrznymi, a Piedmont dołożył kilka swoich. Huk okrętów i wrzask samolotów skutecznie zagłusza moje myśli. A nortańska broń wzmacnia bojową kakofonię. Wieże działowe nad nami wypluwają iskry i rozgrzane żelazo, rozbłyskując ogniem. Zazwyczaj są ukryte w ścianach budowli otaczających plac lub w dźwigarach mostu, ale nie dziś. Kilku Psychików stoi na wieżach i wykorzystując swoje moce, wyrzuca materiały wybuchowe z zabójczą precyzją.

To miasto wzniesiono tak, by przetrwało, i właśnie to próbuje zrobić.

Wiatr przybiera na sile, prawdopodobnie rozpętany przez Wietrznych. Dom Laris wciąż jest sprzymierzony z Calem, a jego przedstawiciele używają pełni swych mocy. Wyjący wichur przelatuje nad placem, wiejąc zza naszych pleców. Udaje mu się odepchnąć część dział, z których kilka ląduje w rzece, nie wyrządzając szkód, a część znika we mgle. Przymrużam oczy na bezlitosnym wietrze, nie spuszczając ich z Ptolemeusza i Wren, ale siła huraganu sprawia, że żołnierze sztywnieją i prawie miażdżą nam kości.

Zaciskam zęby i z trudem przedzieram się przez tłum wojska, prześlizgując się pod ich ramionami, przepychając obok karabinów i torsów. Każdy krok to męczarnia, utrudniana dodatkowo chłostaniem wiatru i deszczu oraz naporem ciał. Tłum pulsuje jak rzeka na dole, spieniona od przybierających fal. Zaciskam palce na nadgarstku Toliego i czuję pod nimi chłód metalu. Przyciąga mnie do siebie, tak że po chwili tkwię bezpiecznie u jego boku. W ten sam sposób trzyma Wren, obejmując nas obie za ramiona.

„Co dalej?”

Chcemy się wydostać z tłumy, ale żołnierze znajdują się w potrzasku, osaczeni przez mury i budynki placu, więc wszyscy musimy się kierować w stronę mostu. Nawet z oddali widzę Cala znajdującego się na podwyższeniu, jego czerwona zbroja wygląda jak krew. Stoi z boku otwartych bram, na kamiennej wieży działowej.

„Ten idiota zrobił z siebie cel”.

Przy odrobinie chęci dobry snajper mógłby go zdjąć z odległości kilometra.

Cał ryzykuje jednak ze względu na morale swoich żołnierzy i wykrzykuje słowa zachęty, kiedy oni nacierają na most. W jego stronę szybują kolejne pociski, ale król macha wtedy ręką, a one wybuchają w powietrzu, zanim udaje im się wyrządzić jakąkolwiek szkodę.

Na samym moście Srebrni żołnierze znikają we mgle. Domyślam się, dokąd zmierzają. Nawet teraz rytmiczne, przerażające dudnienie okrętowych dział

milknie. Próbuję nie wyobrażać sobie żołnierzy Norty walczących na pokładach statków, stawiających czoła potężde sił królowej Cenry i księcia Brackena.

„Gdyby udało nam się przerzucić was dwoje na okręty...”, przypominam sobie słowa Cala. Zalewa mnie fala wstydu. Nie zamierzam angażować się w tę walkę ani wchodzić do kolejnej rzeki. Nie, kiedy oni tam są.

To nasza szansa i musimy z niej skorzystać.

– Naprzód! – wrzeszczę z nadzieją, że Toli mnie usłyszy.

Skarbnica znajduje się teraz za naszymi plecami, a dzieląca nas odległość z każdą chwilą staje się coraz większa. Duszę się z powodu braku powietrza, bezwolna wobec nacierającej ciżby.

Nie zostało mi zbyt wiele zbroi – pozbawił mnie jej ojciec – ale to, co mam, formuje się wzdłuż mojego ramienia i spłaszcza, tworząc okrągłą tarczę. Ptolemeusz robi to samo i po chwili jego ramię także jest osłonięte gładkim okrągłym płatem metalu. Używamy ich jak taranów i przepychamy się przez ludzką falę dzięki naszym mocom i sile ciał. Idzie nam to powoli, ale sprawnie, aż w końcu udaje nam się utorować sobie przejście.

Drogę zastępuje nam ktoś w czerwonej zbroi, z kulą ognia unoszącą się nad dłonią.

Cal spogląda to na mnie, to na Toliego. Spodziewam się oskarżeń. Jego płomień słabnie pod naporem deszczu, ale nie gaśnie. Żołnierze otaczają go ochronnym kokonem.

Krople wody spływają mu po twarzy i parują na odsłoniętej skórze.

– Ilu ludzi zabieracie? – pyta cicho.

Mrużę oczy w deszczu i wskazuję gestem Wren i Ptolemeusza.

– Mam na myśli twojego ojca, Evangeline. Z iloma ucieknie? – Cal robi krok naprzód, nie zrywając kontaktu wzrokowego. – Muszę wiedzieć, kto mi zostanie.

Czuję ulgę. Kręcę głową, najpierw powoli, a potem coraz szybciej.

– Nie mam pojęcia – szepczę.

Twarz Cala się nie zmienia, ale przez chwilę mam wrażenie, że płomień w jego

dłoni rozbłyskuje światłem. Król przeskakuje wzrokiem pomiędzy mną a bratem, próbując rozszyfrować nasze zamiary. Pozwalam, by jego spojrzenie spowiło mnie jak deszcz, mgła i kłębiący się dym. Tyberiasz Calore nie jest już moją przyszłością.

Bez słowa odsuwa się na bok, a wraz z nim jego żołnierze. Możemy ruszyć po gładkich płytkach placu.

Przechodząc obok niego, czuję ciepło bijące z jego dłoni, która zawisa w pobliżu mojego ramienia. Chyba można to nazwać uściskiem. Cal zawsze był odmieńcem, różnił się od innych Srebrnych. Był dziwny i łagodny, podczas gdy nam kazano zachować brutalność i ostre krawędzie.

Zamiast go uściskać, łapię go za ramię. Przyciągam go do siebie na tyle blisko, by coś mu szepnąć. Evangeline Samos udzieli mu ostatniej rady, zanim zniknie. Będzie żyć bez korony, domu i rodowych barw. Stanie się kimś zupełnie nowym.

– Jeśli dla mnie nie jest za późno, ty też masz jeszcze szansę.

*

Zajmujemy miejsca w pociągu. Światła rozbłyskują, a silnik budzi się do życia. Dopiero wtedy zastanawiam się, dokąd prowadzą te tory.

Od Montfortu dzieli nas jeszcze długa droga.

ROZDZIAŁ 33

MARE

Nie przywykłam jeszcze do tych fioletowych włosów. Przynajmniej nie są tak krzykliwe jak włosy Elli. Pozwoliłam, by Gisa zafarbowała tylko końcówki. Odrostów nie ruszała. Nawijam zbłąkany kosmyk na palce i idąc, wpatruję się w jego nietypowy kolor. Choć wygląda dziwnie, przepełnia mnie duma. Należę do Elektrykonów i nie jestem sama.

Po pierwszym ataku na Archeon Maven i grupa jego wiernych doradców podjęła działania, by zasypać lub zalać system gigantycznych tuneli pod miastem. Skupili się przede wszystkim na stronie południowej, gdzie korytarzy było więcej. Prowadziły do ruin Naercey u ujścia rzeki Capital. Z początku Davidson sugerował, żebyśmy przypuścili atak z opuszczonego miasta, ale Farley i ja się nie zgodziłyśmy. Maven zniszczył także Miasto Ruin, pozbawiając Szkarłatną Gwardię twierdzy i zrównując z ziemią to, co z niej pozostało. Zainspirowany Gwardią, skonstruował własny tunel oraz pociąg ewakuacyjny. Znajdujemy się na tyle głęboko i już od tak wielu godzin przemierzamy podziemne korytarze, że choć nie mogę mieć stuprocentowej pewności, sądzę, iż zapewne w końcu natkniemy się na tory kolejowe.

Igła mojego wewnętrznego kompasu wiruje, bezskutecznie próbując namierzyć północ. Musimy polegać na informacjach wywiadu Gwardii i na tym, co wiedzą o siatce tuneli. I na Mawenie. Choć to idiotyczne, tylko on może nas doprowadzić w pobliże centrum miasta. Połączone siły Montfortu i Szkarłatnej Gwardii są zbyt liczne, by uderzyć z powietrza, wody lub lądu. Musimy przypuścić atak ze wszystkich stron.

Ja oczywiście utknęłam w podziemiach i od paru godzin wędruję, mając nad

sobą kilka ton ziemi i skał.

Na tle światła latarni widnieje wyrazista sylwetka Mavena. Chłopak wciąż ma na sobie prosty strój, który kazali mu włożyć Montfortczycy, kiedy zamknęli go w lochu. Sprane szare spodnie i koszulę, o wiele za obszerne. Wygląda na młodszego niż w rzeczywistości, chyba przez to, że jest potwornie wyniszczony i wychudzony.

Trzymam się z tyłu, a Farley pełni funkcję tarczy odgradzającej nas od siebie. Strażnicy pilnujący Mavena – Czerwoni i Nowi – również znajdują się w pobliżu. Są maksymalnie skoncentrowani, a dłonie opierają na kaburach. Jest tu też Tyton, który skupia całą energię na Mawenie. W razie jakichkolwiek kłopotów wszyscy są gotowi zareagować.

Ja także. Moje ciało wibruje jak przewód pod napięciem, nie od napędzającej mnie energii elektrycznej, ale z nerwów. Towarzyszą mi od wielu godzin, odkąd Maven wprowadził nas do tuneli przez właz serwisowy, kilka kilometrów na północ od granic miasta.

Za nami maszeruje armia. Tysiące ludzi podążają krętymi drogami przez ciemność, równym krokiem, który odbija się echem od ścian tuneli. Ich marsz przypomina bicie serca, a ja czuję pod żebrami jego rytmiczny puls.

Po prawej sunie Kilorn, który stara się zwolnić, dopasowując tempo do mojego. Zauważa, że się na niego gapię i przesyła mi nerwowy uśmiech.

Odpowiadam tym samym. W Nowym Mieście otarł się o śmierć. Pamiętam, co czułam, kiedy jego krew trysnęła mi na usta. To wspomnienie napełnia mnie paraliżującym strachem.

Stary przyjaciel nawet w półmroku odgaduje moje myśli. Trąca mnie w ramię.

– Musisz przyznać, że w walce o przetrwanie odniosłem już spore sukcesy.

– Miejmy nadzieję, że ta tendencja się utrzyma – mamroczę w odpowiedzi.

W takim samym stopniu martwię się o Farley, mimo jej umiejętności i sprytu. Choć na głos bym tego nie powiedziała.

Farley dowodzi połową sił lądowych – wszystkimi żołnierzami Szkarłatnej

Gwardii, a także dezertierami uzbieranymi w ciągu kilku ostatnich miesięcy trwania rebelii. Davidson stoi na czele drugiej połowy, choć kroczy pośród nas, pozwalając, by to Farley szła na przedzie.

Przed nami tunel się rozgałęzia. Jedna strona zwęża się i skręca ostro do góry, a ścieżka pnie się po kilku zbutwiałych stopniach, które od czasu do czasu zamieniają się w łagodne pagórki ubitego błota. Druga odnoga biegnie tak samo jak dotychczasowa trasa, szeroka i płaska, o nieznacznym nachyleniu.

Maven zwalnia przed rozwidleniem i kładzie ręce na biodrach. Mam wrażenie, że bawią go strażnicy, którzy podążają za nim krok w krok.

– Którędy? – pyta Farley szorstko.

Maven zerka na nią z tym swoim znajomym ironicznym uśmieszkiem. Cienie kładą się pod jego zapadniętymi policzkami i podkreślają błękit jego oczu, tak lodowaty, że aż jaskrawy. Nie odpowiada.

Farley ani przez chwilę się nie waha i zadaje mu cios w żuchwę. Srebrna krew tryska na dno tunelu i połyskuje w świetle latarni.

Zaciskam pięść. W innych okolicznościach pozwoliłabym, by Farley zrobiła z Mavena krwawą miazgę, ale teraz go potrzebujemy.

– Farley – syczę i od razu żałuję, że nie mogę tego cofnąć.

Przyjaciółka spogląda na mnie gniewnie, a Maven odsłania w uśmiechu zęby splamione srebrną posoką.

– W górę – mówi po prostu, wskazując stromą ścieżkę.

Nie tylko ja przeklinam pod nosem. Wąska trasa nie jest wymagająca, ale nas spowolni. Maven delectuje się tą perspektywą, co jakiś czas odwracając się do nas z wrednym uśmieszkiem. Musimy się poruszać trójkami, ramię w ramię, zamiast, jak dotąd, po dwanaście osób, i w ten sposób się pniemy. Obecność tak wielu podenerwowanych ciał wypełnia tunel nieznośną duchotą. Po szyi spływa mi strumyczek potu. Wolałabym, żebyśmy natarli na stolicę z pełną mocą, ale na razie to będzie musiało wystarczyć.

Niektóre stopnie są nierówne i zbyt wysokie, tak że zaczynam sobie pomagać

rękami. Kilorn obserwuje mnie i z trudem powstrzymuje śmiech. Potrafię wywołać burzę z piorunami, ale pokonanie wysokich schodów najwyraźniej przekracza moje możliwości.

Wspinaczka zajmuje nam najwyżej pół godziny, ale mam wrażenie, że spędziliśmy w półmroku cały dzień, pokonując kolejne metry we względnym milczeniu. Nawet Kilorn się nie odzywa. Świadomość naszego położenia unosi się nad długim korowodem żołnierzy jak chmura, skutecznie nas otrzeźwiając. Co zastaniemy, kiedy w końcu wydostaniemy się na powierzchnię?

Staram się nie patrzeć na Mavena, ale mimo woli koncentruję się na zarysie jego ciała. To instynkt. Nie zaufam mu w żadnych okolicznościach. Przewiduję, że wciśnie się do jakiejś szczeliny, zniknie, ucieknie. On jednak utrzymuje tempo i ani razu się nie potyka.

Ścieżka znów staje się płaska i biegnie szerszym tunelem o zaokrąglonych ścianach i kamiennych podporach. Powietrze jest tu chłodniejsze i na rozgrzanej skórze czuję dreszcze.

– Chyba wiecie, gdzie się znajdujemy – mówi Maven, a jego głos dociera do mnie echem. Jedną dłonią wskazuje środek tunelu.

Na dnie połyskują nowe szyny, które odbijają światło naszych latarni. Dotarliśmy do pociągu ewakuacyjnego.

Z trudem przełykam ślinę, bo czuję w gardle rosnący strach. Już niedługo. Sądząc po pomrukach, które odzywają się w naszych szeregach, wszyscy to wiedzą. Z tego miejsca połowa wojsk pod dowództwem Farley bez trudu dostanie się do Pałacu Białego Ognia, placu Cezara i klifów tworzących Zachodni Archeon. Pozostała część ruszy za premierem Davidsonem i generał Łabędź, dotrze na drugi brzeg pod korytem rzeki i dołączy do generał Komnaty, która jako ostatni członek Dowództwa wciąż działa w mieście. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, opanujemy obie strony Archeonu, zanim ktokolwiek zarejestruje naszą obecność. A lakelandzkie wojska znajdą się między młotem a kowadłem.

Jednak czy Cal będzie z nami walczył?

„Musi – myślę. – Nie ma wyboru”.

Naszym celem jest dopilnowanie, by miasto nie znalazło się w rękach Lakelandczyków.

Przynajmniej to może nam się udać. „To się może udać”.

Kilorn wyczuwa, że się niepokoję i dotyka mojego ramienia. Fala ciepła sprawia, że znów przechodzą mnie ciarki. Na skraju świadomości dostrzegam cień. Słyszę, jak huczy i brzęczy, słyszę jęk dalekiej elektryczności. O dziwo, nie nad nami, ale gdzieś z przodu. Jest coraz wyraźniejszy.

– Coś się zbliża! – krzyczę.

Tyton reaguje tak samo, a jego ciało sztywnieje.

– Cofnij się! – rozkazuje i popycha Mavena na ścianę.

Pozostali także się odsuwają, rejestrując nasilający się dźwięk.

Gdzieś z przodu zgrzyta lokomotywa, która nabiera tempa i prześlizguje się po torach. Zza łagodnego zakrętu wyłaniają się światła, rażące w porównaniu z naszymi latarniami, a ja muszę odwrócić głowę, by mnie nie oślepiły.

Natrafiam spojrzeniem na Mavena, który stoi bez ruchu. Nawet nie mruga.

Znajomy pociąg przemyka obok nas w smudze szarego metalu, zbyt szybko, by udało nam się rozpoznać twarze jego pasażerów. Mimo to Maven wpatruje się w błyskawicznie przesuwane się okna, a jego błękitne oczy robią się wielkie jak talerze. Jego twarz jest teraz bielsza niż włosy Tytona. Grdyka raz po raz podskakuje, a wargi zaciskają się, tworząc ledwie widoczną linię. Po chwili się reflektuje i opanowuje emocje, ale mnie to wystarczy.

Wiem, jak wygląda przestraszony Maven Calore, a teraz jest przerażony. I ma ku temu powody.

„Plan, który sobie ułożył, i nadzieja na ucieczkę zniknęły wraz z tym pociągiem”.

Maven orientuje się, że na niego patrzę i próbuję odczytać zmieniający się wyraz jego twarzy. Jego żuchwa nieco się zaciska, a wzrok przesuwa się po moim ciele, niespieszny jak pieszczota.

„Nie uciekniesz od tego, co zrobiłeś”, mam ochotę powiedzieć. Pojmuje to. Pociąg znika i opuszcza moją świadomość, a Maven zaciska powieki. To chyba pożegnanie.

*

Spiralna biel podziemnych komór Skarbnicy jest równie oślepiająca jak światła pociągu.

Tyton łapie Mavena za kark. Wykorzystuje swoją przewagę, by zwiększyć nasze tempo, zmuszając upadłego króla do coraz szybszego marszu, kiedy wspinamy się na kolejne poziomy Skarbnicy. W powietrzu niesie się szczęk metalu, kiedy żołnierze sprawdzają swoje zbroje i broń. Naładowane pistolety, noże w pełnej gotowości, zapięte guziki i sprzączki. Wciąż nie przywykłam do wagi pistoletu, który mam na biodrze, i przechylam się nieznacznie, żeby wyrównać ciężar. Wątpię, żebym musiała go użyć. W przeciwieństwie do Farley. Zdejmuje kurtkę i odrzuca ją na bok, tak że zostaje zdeptana setkami stóp. Brak czerwonego okrycia pozwala mi zobaczyć liczne paski i kabury krzyżujące się na jej plecach i biodrach, obwieszona sześcioma różnymi rodzajami broni i pasującą do nich amunicją, oraz krótkofalówkę. Widać także, ile ma noży. Diana Farley jest gotowa do walki.

Gdzieś z tyłu jedna z żołnerek Szkarłatnej Gwardii coś krzyczy, a jej głos odbija się i zniekształca. Nie rozumiem jej słów, ale zaczynają je skandować. Echo wznosi się jak grzmot i w końcu uświadamiam sobie, co słyszę.

– Powstaniemy! Czerwoni niczym świt!

Mimo lęku czuję, jak na moje usta wpełza szelmowski, dziki uśmiech.

– Powstaniemy! Czerwoni niczym świt!

Nasz okrzyk wojenny rozbrzmiewa w wijących się przejściach. Poruszamy się coraz szybciej, a Maven ledwie nadąża za Tytonem. Farley biegnie z taką samą prędkością jak on, długimi susami, zostawiając za sobą kolejne metry białego marmuru.

– Powstaniemy! Czerwoni niczym świt! – Głos Kilorna dołącza do pozostałych. – Powstaniemy! Czerwoni niczym świt!

Światła nad naszymi głowami migoczą w rytmie mojego serca. Odwracam się i spoglądam na żołnierzy w czerwonych i zielonych mundurach reprezentujących Szkarłatną Gwardię oraz Montfort. Różnią się rysami, odcieniem skóry i krwi, ale wszyscy wołają wstrząsającym unisonem. Niektórzy unoszą pięści lub broń, albo jedno i drugie, ale nikt nie milczy. Okrzyki zagłuszają mój własny głos.

– Powstaniemy! Czerwoni niczym świt!

Przywołuję błyskawice oraz grzmoty i mobilizuję wszystkie siły wypełniające moje ciało. Nie jestem generałem ani dowódcą. Muszę zadbać tylko o „górną strefę”, czyli o siebie, Kilorna i Farley, jeśli przyjaciółka mi na to pozwoli. Tylko na tyle mnie stać.

I o Cala, gdziekolwiek teraz przebywa. Pewnie stoi na czele wojska, tocząc przegraną walkę z potężniejszą armią. Broni miasta, które niemal na pewno zostanie zburzone.

Tyton pierwszy wychodzi przez ogromne wrota Skarbnicy i wyskakuje na siekący deszcz, trzymając Mavena za kołnierz. Młody książę ślizga się po mokrych płytach placu Cezara, ale Tyton go podtrzymuje. Idę za nimi. Nie zdziwiłabym się, gdyby Tyton tu i teraz zabił trzęsącego się na deszczu Mavena. Nie planowaliśmy tego, że upadły król przeżyje walkę. I właściwie już go nie potrzebujemy.

Moglibyśmy to zakończyć raz na zawsze.

Kuszą mnie obie perspektywy. Jak gdyby to do mnie należała decyzja.

Drugi Elektrykon nie zwalnia uścisku i przytrzymuje Mavena. Tyton nie jest tak porywczy jak my. Nie daje się ponieść wściekłości, nawet teraz, kiedy ma Mavena w garści. To dobry strażnik dla kogoś tak powszechnie nienawidzonego.

– Zrób to – cedzi Maven, pochylając głowę. Wyciąga białe ręce, a ja patrzę, jak jego palce drżą na deszczu. Tak samo jak ja wie, że to koniec jego drogi.

Zza naszych pleców wychodzi coraz więcej żołnierzy Farley, którzy zalewają plac, nie przestając skandować hasła Szkarłatnej Gwardii. Wypełniają przestrzeń

kolorem, a czerwone i zielone mundury widać wyraźnie nawet na tle mokrej mgły. Koncentruję uwagę na Mawenie, który stoi teraz zaledwie sto metrów od własnego pałacu. Nawet rytmiczne kanonady i eksplozje z trudem przenikają do mojej świadomości.

– Powiedziałem: zrób to – powtarza Maven z wściekłością. Próbuje sprowokować Tytona. Albo mnie.

Nad nami kłębią się burzowe chmury. Wyczuwam błyskawicę, jeszcze zanim przecina niebo fioletem i bielą. To symbol naszej obecności.

Niech Cal wie, że tu jesteśmy.

– Już na nic się wam nie przydam. – Deszcz spływa mu po twarzy, znacząc znajome ścieżki. – Miejcie to z głowy.

Powoli podnosi na mnie wzrok. Spodziewam się ujrzeć w nich smutek, rezygnację.

Widzę lodowaty gniew.

– Tyto... – zaczynam, ale nie udaje mi się nawet dokończyć imienia Elektrykona, kiedy uderza pocisk i eksploduje w pobliżu ozdobionych kolumnami murów Skarbnicy.

Siła wybuchu rzuca nas w bok i ciska o śliską nawierzchnię. Uderzam czaszką o płytki i przez chwilę widzę gwiazdy. Próbuję się podnieść, ale znowu upadam, zderzając się z równie oszołomionym Tytonem. Mężczyzna przytrzymuje mnie i przyciska do ziemi, a nad nami przepływa język ognia, przypalając powietrze dokładnie nad naszymi głowami.

– Maven! – wrzeszczę, a mój głos ginie w bitewnej zawierusze. Na tle huk karabinów, pocisków artyleryjskich i moździerzowych, wiatru i deszczu, równie dobrze mogłabym mówić szeptem.

Czuję, jak leżący pode mną Tyton tężeje i odpycha się na łokciach. Rozgląda się na wszystkie strony, szukając w tłumie szarej sylwetki i czarnych włosów.

Przetaczam się na kolana i przeklinam, a moje włosy się rozplatają. Powiewające na wietrze fioletowe kosmyki wydają się należeć do kogoś innego.

Kilorn ślizga się i zatrzymuje u mego boku, a jego twarz jest spocona i zarumieniona z wysiłku.

– Uciekł? – sapie, pomagając mi wstać.

Odzyskuję jasność myślenia i pewnie staję na nogach. Napinam mięśnie, aby w razie potrzeby uniknąć kolejnego płonącego ciosu. „Mogę sobie darować. To nie w jego stylu. Maven nie jest wojownikiem”.

– Uciekł – syczę.

Mam wybór. Mogę zacząć go szukać. Albo zadbać o to, żebyśmy doprowadzili do końca to, co zaczęliśmy. Utrzymać przyjaciół przy życiu.

W przypiływie determinacji odwracam się twarzą do bram prowadzących na plac i mającego w oddali mostu.

– Mamy dużo pracy.

Choć nad mostem wciąż wisi mgła, dostrzegam setki zapelniających go żołnierzy oraz unoszące się na wodzie okręty Lakelandczyków. Po niebie ścigają się odrzutowce, których żółte, fioletowe, czerwone, niebieskie i zielone skrzydła nadają im wygląd groźnych ptaków drapieżnych. Nie potrafię dojrzeć niczego, co znajduje się za rzeką. Druga połowa miasta jest poza zasięgiem naszego wzroku. Przynajmniej Farley i oficerowie mają ze sobą krótkofalówki. Powinni móc się porozumieć z Davidsonem, który przebywa na drugim brzegu.

Wyciągam ramię, łapię Tytona za nadgarstek i podciągam go na nogi. Jego twarz posępnieje, wykrzywiona w wyrazie obrzydzenia.

– Przepraszam – szepcze chyba. – Powinienem był go zabić, kiedy miałem szansę.

Odwracam się na pięcie i ruszam w stronę Farley.

– Witaj w klubie – mamrocę i posyłam w niebo kolejną wściekłą błyskawicę.

W odpowiedzi mgłę przecinają pulsujące niebieskie i zielone światła.

– Dostali się na drugi brzeg – stwierdza Kilorn, wskazując odległe rozbłyski. – Rafe i Ella. Armia Davidsona.

Choć Maven uciekł, mam ochotę się uśmiechnąć. Czuję mały przypiływ

triumfu.

– To już coś.

„Nawet więcej niż coś”.

Na placu Cezara mieści się ośrodek nortańskiego rządu – pałac, sądy, Skarbnica i dowództwo generalne – ale większa część stolicy rozciąga się na drugim brzegu rzeki. Nasza dzielnica jest więcej warta, ale Wschodni Archeon jest większy i zamieszkuje go więcej ludzi. Czerwoni i Srebrni. Nie zostawimy ich samych na pastwę Lakelandczyków, gdy armia Cala skupi się na pokonaniu floty wroga.

Farley wpatruje się w gardziel mostu, wyprostowana i spokojna, tak że wśród poruszających się wokół legionistów przypomina posąg. Jej podkomendni wywrzaskują rozkazy i polecają swoim żołnierzom ustawić się w ustalonym szyku. Połowa z nich tworzy mur zaporowy zwrócony w stronę Pałacu Białego Ognia i siedziby dowództwa generalnego, gdzie wciąż powinna się znajdować część Srebrnych Cala. Inni odwracają się w drugą stronę, twarzami do klifów i rzeki, lub tarasują koniec mostu.

Tym samym Cal znajdzie się w potrzasku nad wodą, unieruchomiony nad przepływającą pod mostem flotą. Docieramy na czas, a żołnierze Szkarłatnej Gwardii i Montfortu rozstępują się, żeby nas przepuścić. Tyton szybko zabiera się do pracy i spuszcza na statki oślepiająco białe kule prądu. Stalowe kolosy wydają się nieprzeniknione, nawet dla Żeleźców. Błękit huczy w chmurach, po czym jeden z piorunów Elli uderza w dziób okrętu, wywołując zgrzyt rozcinanego metalu. Mrużę oczy i spoglądam ponad urwiskiem klifu, na rzekę. Powinna się znajdować kilkaset metrów w dole, a jednak jest wyżej, niż zapamiętałam. Robi mi się sucho w ustach, kiedy uświadamiam sobie, że Lakelandczycy zapewne podnieśli poziom wody, by ich największe statki mogły dopłynąć aż tutaj.

– Rzeka wciąż przybiera – mówi Farley przez ramię, robiąc mi miejsce obok siebie. – Kiedy przyplyną, nie zdołamy uciec.

Przygryzam wargę i myślę o znajdujących się pod nami korytarzach.

– Zalało tunele?

Kiwa głową.

– Najprawdopodobniej. – Przenosi wzrok z rzeki na sylwetki na moście.

Dym splata się z mgłą, czarny na tle bieli i szarości.

– Dotarliśmy w ostatniej chwili.

Dołącza do nas Kilorn. Koncentruje się na moście, nie na wodzie. Uświadamiam sobie, że ze swojego punktu obserwacyjnego widzi, iż siły Cala nie bronią mostu, ale z niego atakują. Zwinnie przemykają wzdłuż pokładów statków wraz z Siłaczami, Niwecznikami Anabel i innymi Srebrnymi, którzy doskonale sobie radzą w bezpośrednich starciach. Największe postępy robią Mroźni z domu Gliacon. Używają swoich mocy do zamrażania. Jeden z mniejszych okrętów jest całkowicie skuty lodem, przymarznięty do wsporników mostu.

Wzdycham z ulgą, bo nie dostrzegam wśród statków języków ognia. To tylko zwyczajne wybuchy. Cala tam nie ma. Nie walczy sam na sam z całą flotą. Jeszcze nie.

– Jak myślicie: wie, że tu jesteśmy? – zastanawia się Kilorn, wciąż spoglądając na most.

Farley zaciska zęby. Kładzie dłoń na biodrze – nie na broni, ale na krótkofalówce.

– Cal wydaje się chwilowo nieco zbyt zaabsorbowany.

– Wie – mamroczę, a niebo przecina kolejna fioletowa błyskawica.

Powietrze jest gęste, jak gdyby chmury stworzyły zasłonę i skrywały toczącą się przed nami bitwę. Wzdrygam się, kiedy kolejna seria uderza w plac, a pociski wbijają się w skrzydło pałacu.

– Nie widzę Mavena – mówi Farley i przysuwa się do mnie.

Czuję na sobie ciężar jej błękitnego spojrzenia, czystego i jasnego nawet we mgle.

– Już po wszystkim?

Przygryzam wargę, niemal do krwi. Wolę czuć ostry ból niż wstyd. Przyjaciółka odczytuje moje wahanie, a jej twarz purpurowieje szybciej, niż można

by przypuszczać.

– Mare Barrow...

Trzask krótkofalówki każe jej urwać i nie pozwala się na mnie wydrzeć. Dziewczyna wyrywa urządzenie z futerału i warczy do głośnika:

– Generał Farley!

Głos po drugiej stronie nie należy do generała Dowództwa ani montforckiego oficera. Ani do Davidsona. Poznałabym go wszędzie, nawet przerywany ogniem artyleryjskim.

– Myślałem, że nie wrócić – mówi Cal, a jego głos wydaje się słaby i odległy, zniekształcony zakłóceniami: wygląda na to, że elektryczność przenikająca powietrze nie służy falom radiowym.

Brak mi tchu. Odrzynam wzrok od Farley i spoglądam na most. I rzeczywiście. Jeden z cieni zdaje się nabierać kształtu. Szerokie barki i znajomy pewny krok. Jest coraz bliżej. Stoję nieruchomo, wrosnięta w ziemię.

Farley uśmiecha się drwiąco.

– Miło, że znalazłeś dla nas czas.

– Tego wymaga uprzejmość – odpowiada.

Farley wzdycha i zwraca się w stronę sylwetki na moście, od której dzieli nas teraz zaledwie pięćdziesiąt metrów. Otoczony strażnikami Cal przystaje, a oni wraz z nim. Srebrni stoją w napięciu, z odbezpieczoną bronią, czekając na rozkaz. Król wita nas skinieniem głowy. Farley marszczy brwi, niepewna.

– Domyślałem się, że znasz sytuację – mówi.

– Tak – odpowiada Cal pośpiesznie.

Farley przygryza wargę.

– No i?

W krótkofalówce przez dłuższą chwilę słyhać tylko trzaski, ale w końcu król znów się odzywa.

– Mare?

Krótkofalówka trafia do mojej dłoni, zanim zdążę o nią poprosić.

– Jestem – mówię, patrząc mu w oczy nad wąwozem.

– Czy już za późno? – To pytanie zawiera zbyt wiele aluzji, by je zliczyć.

Fiolet, biel, zieleń i błękit rozświetlają chmury, przenikają przez mgłę i na moment nas oślepiają. Zaciskam powieki i uśmiecham się, czując przepływający przez moje ciało strumień energii.

Kiedy błyskawica znika, odpowiadam Calowi na wszystkie pytania.

– Nie. Nie jest za późno – mówię, po czym oddaję urządzenie Farley.

Dziewczyna nie powstrzymuje mnie, kiedy schodzę po schodach. Strażnicy Cala rozstępują się, kiedy się zbliżam i przechodzę przez połamane bramy zrujnowanego placu.

Stoi nieruchomy na skraju mostu w Archeonie. Tak jak wcześniej, pozwala, żebym to ja do niego przysłała. Chce, żebym to ja nadała tempo, wybrała kierunek, podjęła decyzję. Zostawia to wszystko mnie.

Poruszam się równym krokiem, nie zważając na rozlegające się pod nami eksplozje. Coś roztrzaskuje się z rykiem. Może jeden z okrętów wbił się w inny. Ledwie to zauważam.

Nasz uścisk jest krótki, o wiele za krótki, ale to mi wystarczy. Przylegam do Cala i nie odrywam się na tyle długo, na ile starcza mi śmiałości. Czuję na skórze ciepło, twarde łuki jego ciała. Pachnie dymem, krwią i potem. Krzyżuje ręce na moich plecach, trzyma mnie za ramiona i przyciąga do piersi.

– Mam dość koron – szepcze mi w czoło.

– W końcu – odpowiadam cicho.

Odsuwamy się od siebie jednocześnie i zapoznajemy się z sytuacją. Nie mamy czasu na nic innego, a ja z pewnością nie mam teraz siły myśleć o niczym więcej.

Cal znów unosi krótkofalówkę, jedną dłoń wciąż trzymając na moim ramieniu.

– Pani generał, z moich informacji wynika, że Volvo Samos i niektórzy jego żołnierze wciąż przebywają w dowództwie generalnym – oznajmia.

Spoglądam przez mgłę na ogromny budynek na skraju placu.

– Zabezpieczcie tyły – dodaje.

– Przyjęłam. Będziemy się pilnować – odpowiada Farley. – Coś jeszcze?

Farley już się rusza i wykrzykuje rozkazy do swoich poruczników, przekazując im polecenie Cala. Kilorn i Tyton pełnią funkcję jej strażników.

– Staramy się zatamować rzekę. Jeśli statkom nie uda się zawrócić...

– Nie zdołają uciec – kończę za niego, zerkając na gruzy po obu stronach miasta.

Pociski przelatują spiralnie nad naszymi głowami. Zostawiają za sobą dym przypominający czarny atrament na papierze, kiedy zakręcają łukiem i eksplodują.

Wygląda na to, że mimo ataku żołnierzy Cala oraz przelatujących odrzutowców flota Lakelandczyków nie odniosła zbyt wielkich szkód. Ella wypuszcza kolejną błyskawicę, ale fala wzmaga się z osłepiającą prędkością, przyjmując na siebie siłę uderzenia i osłaniając okręt. Woda rozbłyskuje upiornym światłem, po czym gaśnie i bez szwanku cofa się z powrotem do rzeki. To musi być dzieło królowej Cenry, może wspomaganej przez córkę. Nigdy dotąd nie widziałam tak spektakularnego pokazu sił, nawet u ludzi, którzy są w tym mistrzami.

Cal przygląda się walkom u mego boku, nieruchomy i posepny.

– Musimy zacząć zatapiać ich statki, ale rzeka zapewnia im doskonałą ochronę. Nie wiem, co jeszcze możemy zrobić, żeby miasto tak bardzo nie ucierpiało. – Przeklina, kiedy fala pochłania kolejną serię pocisków. – W końcu zabraknie im amunicji, prawda? – mówi kąśliwie.

Spoglądam na wrogie okręty, przesuwając wzrok po ich stalowych kadłubach.

– Wezwijcie Teleporterów. Przeniosą Niweczników z rodu Lerolan i Evangeline na statek. Niech zrobią w nich kilka dziur.

– Evangeline uciekła.

– Ale mówiłeś, że jej ojciec...

Z jakiegoś powodu Cal wydaje się dumny.

– Dostała szansę i postanowiła ją wykorzystać.

„Szansę, by uciec i o tym wszystkim zapomnieć”. Nie muszę wysilać wyobraźni, by wiedzieć, dokąd zbiegła. Ani z kim. Podobnie jak Cal, czuję

mieszaninę dumy i zaskoczenia.

– Pociąg – mamroczę z uśmiechem. „Brawo, Evangeline”, myślę.

Cal unosi brew.

– Co?

– Kiedy szliśmy tunelami, minął nas pociąg ewakuacyjny Mavena. To musiała być ona – wyjaśniam. Wypowiadając jego imię, czuję dziwne ukłucie. W ustach mam kwaśny smak. – Swoją drogą, on tu jest – wypluwam.

Temperatura powietrza podnosi się o kilka stopni. Wstrząśnięty Cal rozdziawia buzię.

– Maven?

Kiwam głową. Czuję gorąco na policzkach.

– To on przyprowadził nas do miasta. Żeby zrobić ci na złość.

Cal prycha i przesuwa dłonią po twarzy.

– Szkoda, że nie mogę mu podziękować – bełkocze i przywołuje na twarz krzywy uśmiech.

Ja przygryzam tylko wargę.

– Jak wygląda sytuacja?

– Wymknął się nam.

Cal spogląda na mnie z niedowierzaniem. Obok przelatuje kolejny wyjący pocisk.

– Masz dziwne wyczucie czasu, Mare. To nie pora na żarty.

Spuszczam wzrok. „Nie żartuję”. Bransoletka na jego nadgarstku krzesze iskry i zamienia je w kule ognia. Wściekły, zaskoczony i zniecierpliwiony, zrzuca płomienistą kulę z mostu, a ona z sykiem zatapia się we mgle.

– Jest gdzieś w mieście – warczy. – Fantastycznie.

– Opiekuj się Kilornem i Farley. Ja go znajdę – mówię pospiesznie, kładąc mu dłoń na ramieniu.

Stalowe płyty jego zbroi mają taką temperaturę, jak gdyby nagrzano je w piecu.

Cal delikatnie mnie odsuwa. Znów spogląda na plac i zgrzyta zębami.

– Nie, ja to zrobię.

Zawsze byłam od niego szybsza. Z łatwością wyswobadzam się z jego uścisku i zagradzam mu drogę na plac. Przykładam dłoń do jego piersi i przytrzymuję go na odległość ramienia.

– Masz co robić – mówię, wskazując brodą flotę pod nami.

– Trochę tego jest – przyznaje niechętnie.

– Ja to dokończę.

– Wiem.

Czuję ciepło jego zbroi, przykrywa moje palce swoimi. Nagle most ugina się pod nami, kiedy coś wbija się w niego kilkanaście razy, ze wszystkich stron. Z góry i z dołu. To pociski raketowe i artyleryjskie. Fala rozbija się o most, zalewa podpory i kładkę, na której stoimy. Pod ciężarem zbroi Cal traci równowagę i upada, a ja z trudem staram się zachować pion.

Tylko że nie ma już czegoś takiego jak pion.

Trzy poziomowy most w Archeonie, ogromna konstrukcja z kamienia i stali, wgina się do środka i chyli w dół. Nietrudno zgadnąć, czemu tak się dzieje. Rozlega się kolejna eksplozja i zasypuje nas deszcz odłamków, które spadają wraz ze środkowymi podporami mostu.

Cal próbuje się podnieść, chwytam go pod ramię. Gdybym mogła, wyciągnęłabym go stąd, ale w zbroi jest za ciężki.

– Pomocy! – wołam, rozglądając się za jego strażnikami.

Żołnierze z domu Lerolan, krewni jego babki, przypadają do Cala i dźwigają go na nogi. Ale most nie ułatwia nam sprawy, zaczyna się walić coraz szybciej, a jego rozpadowi towarzyszy potworny ryk.

Krzyczę, kiedy chodnik usuwa nam się spod nóg i spada na poziom znajdujący się dziesięć metrów pod nami. Upadam na bok i czuję, jak pękają mi żebra, a ból rozchodzi się po całym moim ciele. Syczę, próbuję się przeturlać i rozeznac w sytuacji. „Uciekaj z mostu, uciekaj z mostu”, słyszę w głowie.

Cal klęczy i wyciąga rękę. Nie po to, żeby mnie złapać, tylko żeby mnie

powstrzymać.

– Nie ruszaj się! – wrzeszczy, rozszerzając palce.

Zamieram w pół kroku, oplatając żebra ramieniem.

W jego oczach pojawia się lęk, od którego rozszerzają mu się źrenice.

Zamiast floty okrętów i ich dział prażących nas piekielnym ogniem słyszę coś przypominającego szept, ale znacznie gorszego.

Coś pęka. I się kruszy.

– Cal...

Wszystko pod nami się zapada.

ROZDZIAŁ 34

CAL

Lecę w dół jak kamień.

Ta bezużyteczna zbroja, która tylko mnie spowalniała, nie ochroni mnie przed upadkiem do rozszalałej wody z wysokości trzydziestu metrów. Nie ocali ani mnie, ani jej. Macham rękami w powietrzu, próbując się czegoś złapać, ale przez palce przelatuje mi jedynie mgła. Nie mogę nawet krzyczeć.

Razem z nami lecą gruzy, a ja przygotowuję się na uderzenie kawałkiem betonu. Może zmiążdży mnie, zanim utonę. Byłby to niewielki, ale cenny akt miłosierdzia.

Próbuję ją dojrzeć, nawet teraz, kiedy rzeka wzbiera, żeby mnie wchłonąć.

Ktoś chwyta mnie w pasie i ściska tak mocno, że powietrze ucieka mi z płuc. Widzę mroczki przed oczyma. Pewnie zaraz zemdleję.

Albo nie.

Wyję, kiedy rzeka i mgła oraz walący się most znikają, wchłonięte przez ciemność. Moje ciało się napina, a kiedy uderzam w coś twardego, przeczuwam, że moje kości rozpadną się na proch.

Ale niczego sobie nie łamię.

– Nie wiedziałem, że królowie potrafią tak wrzeszczeć.

Otwieram oczy i widzę stojącego nade mną Kilorna Warrena, którego bladą twarz zdobi przyjazny uśmiech. Wyciąga do mnie rękę, a ja ujmuję ją z wdzięcznością, pozwalając, by postawił mnie na nogi.

Ubrana w zielony mundur Teleporterka z Montfortu spogląda przed siebie, lekko dysząc. Jest drobna, prawie tak drobna jak Mare. Kiwa do mnie głową.

– Dziękuję – wzdygam i próbuję zrozumieć, jak to się stało, że przetrwałem.

Dziewczyna wzrusza ramionami.

– Wykonuję tylko polecenia.

– Czy kiedykolwiek do tego przywykniemy? – pyta Mare z odległości kilku metrów, wciąż na kolanach. Prycha, a jej twarz jest bladozielona.

Jej Teleporter, montforcki oficer z Arezzo, spogląda na nią z ironicznym uśmiechem.

– Wolałabyś alternatywę?

Mare przewraca oczami. Zerka na mnie i wyciąga dłoń, prosząc o pomoc. Kilorn staje po jednej stronie, a ja po drugiej i pomagamy jej się podnieść. Mare otrzepuje krwistoczerwony mundur Szkarłatnej Gwardii z kurzu, głównie po to, by się czymś zająć. Jest tak samo rozstrojona jak ja, choć nie chce tego po sobie pokazać. Pewnie nie da się przywyknąć do tego, że ktoś wyrywa cię ze szponów śmierci, bez względu na to, jak często się to zdarza.

– Ilu zginęło? – pyta, nie podnosząc wzroku.

Przygryzam wargę i się rozglądam. Nieopodal wraca do siebie kilku strażników z domu Lerolan. Ale Teleporterzy nie mogą uratować wszystkich, a mnie towarzyszyły na moście setki żołnierzy, jeszcze więcej znajdowało się pod nim. Świadomość tego, co się wydarzyło, przyprawia mnie o ból brzucha. Zaciskam zęby, rozglądam się i widzę, że znów stoimy na skraju placu, otoczeni wojskami Farley, które pospiesznie umacniają klif. W oddali majaczy złamany szkielet mostu w Archeonie, a pod nim bulgocze rzeka. Jeden z lakelandzkich okrętów został przygnieciony i zapada się pod ciężarem wspornika, który przewrócił się jak powalone drzewo. Nie podźwigną go nawet lakelandzkie królowe.

Przeciwległy kraniec mostu zasłania mgła, więc mogę mieć tylko nadzieję, że moje wojska do niego dotarły. Od początku cierpieliśmy na niedobór żołnierzy, ale każda śmierć to dla mnie dodatkowe brzemie. Już teraz mam wrażenie, że przygniata mnie do ziemi, a do końca bitwy jeszcze daleko.

Mare podchodzi, by stanąć obok mnie, i także przygląda się otaczającej nas

scenie. Na krótką chwilę splata palce z moimi, po czym niechętnie je cofa.

– Muszę go odnaleźć – szepcze.

Choć chciałbym jej w tym pomóc, po prostu nie mogę. Nie chcę zostawiać dowodzenia Bababel albo – noszącemu moje barwy – Julianowi. Żadne z nich nie jest odpowiednio przygotowane, by bronić Archeonu, zwłaszcza u boku Diany Farley.

– Idź – mówię do Mare, kładąc dłoń na jej plecach. Wzdycham głęboko i lekko ją popycham. „W stronę mojego brata. By go zabiła”. – Pozbądź się go.

To ja powinienem to zrobić. Powinienem być dość zdesperowany. Ale nie mogę znieść tej myśli. I ciężaru, który towarzyszyłby mi, gdybym go zabił. Nie małego Mavena. Kiedy Mare oddała się w towarzystwie Kilorna, zamykam oczy i biorę głęboki, rozedrgany wdech.

„Ile jeszcze razy będę musiał się z nim żegnać? Ile razy już go straciłem?”

– Rzeka! – wrzeszczy ktoś.

Odzyskuję koncentrację i pozwalam, by prowadził mnie instynkt. Przez lata trenowałem, by zostać wojownikiem i generałem, obserwować walkę zarówno z odległości kilkunastu centymetrów, jak i wielu kilometrów. Natychmiast próbuję sobie wyobrazić miasto przedzielone rzeką Capital, którą teraz zapełnia lakelandzka flota. Zostaliśmy odcięci od drugiego brzegu Archeonu, odizolowani, a wydostać nas stąd mogą tylko Teleporterzy. Ilu ich jest? Tego nie wiem. Ale z pewnością zbyt niewielu, gdyby Lakelandczycy postanowili skoncentrować się na klifach i zabezpieczających je wojskach.

Farley wciąż tkwi na stanowisku, przerzuciwszy przez ramię długą broń. Przyciska do oczu lornetkę i spogląda w dół, zastygła w bezruchu.

– Wciąż się podnosi? – pytam, stając obok niej, żeby mieć lepszy widok.

Podaje mi lornetkę, nie odrywając wzroku od wody.

– Coraz szybciej. Spójrz w dół rzeki – dodaje, wskazując kciukiem na południe.

Nie sposób nie zauważyć, co ma na myśli. Nadciągają grzywacze, które gwałtownie się rozpadają – Lakelandczycy zalewają rzekę falami z oceanu.

Porusza się miarowym prądem, zamieniając się w ścianę wody o wysokości sześciu metrów. Założę się, że poziom rzeki podniósł się dotąd o co najmniej dziesięć metrów, a to jeszcze nie koniec.

Mimo umocnień przygotowanych przez Szkarłatną Gwardię klify kruszą się, a kolejne kawałki skał odrywają, kiedy następna seria pocisków trafia do celu. Pochyliam się i unoszę ramię, by uniknąć deszczu odłamków. Farley tylko odwraca głowę.

– W koszarach Julian i Sara Skonos zorganizowali szpital polowy. Wezwijcie Biegaczy – instruuję, gdy w pobliżu klifów dostrzegam kilku żołnierzy o zakrwawionych twarzach.

– Co z Anabel? – pyta, siląc się na neutralny ton.

– Jest w dowództwie generalnym.

– Z Volvo?

Waham się i myślę o tym, co wyjawiała mi Evangeline przed koronacją. Że Julian i Anabel zamierzali go zabić. Wyeliminować Rowy z gry. A może nawet jego ciałem opłacić pokój. Jeśli taka jest jego cena, nie mam zamiaru nic robić.

– To możliwe – mówię tylko, po czym zmieniam temat. – Co planujesz? – Nie pamiętam, by Diana Farley zaatakowała, nie mając wcześniej żadnego pomysłu, a nawet asa w rękawie. Nie wspominając, że układała strategię z Davidsonem oraz całą Szkarłatną Gwardią. – Bo masz plan, prawda?

– Niewykluczone – odpowiada. – A ty?

– Próbujemy odciąć drogę okrętom, może nawet je uwięzić i zmusić Wodniaczki do zawieszenia broni, ale na wodzie są niepokonane.

– Doprawdy? – Farley spogląda na mnie spod przymrużonych powiek. – Wygląda na to, że wtedy, w zatoce Harbor, Iris napędziła ci stracha.

Staram się nie przypominać sobie o tym, jak ciężar wody wciągnął mnie pod powierzchnię – szybciej niż mogłem się spodziewać.

– Może i tak.

– W takim razie powinniśmy odpłacić im pięknym za nadobne.

– W porządku. Zabiorę kilku Niweczników i Teleporterów, żeby...

Jestem zaskoczony, kiedy lekceważąco macha ręką. Czuję przypływ gorąca, zdumiony jej gestem.

– Nie ma takiej potrzeby – mówi Farley, odwracając się do mnie plecami. Podnosi krótkofalówkę i kręci gałką, by znaleźć odpowiednią częstotliwość. – Premierze, co u was?

Z głośnika wydobywa się odpowiedź Davidsona w akompaniamencie ostrzału.

– Trzymamy się na pozycjach. Jacyś Piedmontczycy próbowali sforsować klify, ale nie spodziewali się, że nas tam zastaną. Odesłaliśmy ich z powrotem.

Wyobrażam sobie żołnierzy Piedmontu w fioletowo-złoty mundurach, spadających do rzeki. Rozerwanych na strzępy przez oddziały Nowych.

– A u was, generał Farley? – pyta Davidson.

Farley uśmiecha się szeroko.

– Jest tu ze mną rozsądniejszy z braci Calore, a Barrow poluje na tego drugiego.

– Premierze – mówię do krótkofalówki – kilkuset moich Srebrnych znajduje się na ruinach mostu i walczy na jednym z okrętów. Czy może ich pan osłaniać?

– Zrobię coś lepszego. Zabiorę ich z rzeki. Zaraz wyślę Teleporterów – odpowiada.

– Weź też moich – rzuca Farley. – Zbierz tylu, ilu dasz radę, zanim sytuacja stanie się gorąca.

Zerkam na nią zaniepokojony.

– Nadpływają kolejne statki?

Rozciąga usta w uśmiechu.

– Coś w tym stylu.

– To nie najlepsza pora na niespodzianki.

– Chyba zapomniałeś, na co nas stać. – Śmieje się. Dziwnie wygląda, roześmiana na tle wojny i destrukcji. – Musieliśmy zaczekać, aż poziom wody będzie dostatecznie wysoki. I na szczęście dla nas królowe Wodniaczki nam w tym pomogły.

Znów spoglądam na wodę i przypyływ, który rozbija się o statki, unosząc ich kadłuby, tak że znajdują się teraz u podnóży klifów. Jeszcze kilka takich fal i staniemy twarzą w twarz z nimi i z ich pociskami wycelowanymi prosto w nas. „Z mojej perspektywy nie wygląda to zbyt zachęcająco”.

Moja dezorientacja zdaje się bawić Farley.

– Cieszę się, że przyjąłeś nasz punkt widzenia, Cal.

– Jedyne słuszne – odpowiadam. – Tak powinno być.

Jej uśmiech niknie, ale nie zastępuje go niezadowolenie. Najwyżej zaskoczenie. Jej dotyk po raz pierwszy jest łagodny, pełen współczucia. Muska palcem moje ramię.

– Nigdy więcej monarchów, Calore.

– Nigdy więcej monarchów – powtarzam. Zamiast Farley, pocisków, okrętów, wody i krzyków rannych żołnierzy słyszę głos swojej matki. Głos, którym obdarzyłem ją w myślach.

„Cal nie będzie taki jak jego przodkowie”.

Chciała, żebym kroczył określoną drogą, tak samo jak mój ojciec. Chciała, żebym był inny, ale żebym pozostał królem.

Mam nadzieję, że byłaby dumna z mojego wyboru.

– *À propos* monarchów – mamrocze Farley. Jej postawa w jednej chwili się zmienia. Prostuje się i wskazuje postać kroczącą przez plac. – Czy to...?

Jego czarna peleryna trzepocze na wietrze, odsłaniając kończyny pokryte doskonałą lustrzaną zbroją. Stawia pewne i szybkie kroki, przedzierając się przez tłum, a żołnierze odskakują z drogi, żeby pozwolić mu przejść. Wchodzi na wałący się most.

– Volvo Samos – dyszę i zaciskam zęby.

Cokolwiek zamierza, źle się to dla nas skończy.

Nie zwalnia, choć kroczy po coraz bardziej niepewnym gruncie. Okręty wznoszące się wraz z poziomem wody znajdują się teraz niemal bezpośrednio pod nim. Samos jednak się nie zatrzymuje.

Nawet nad urwiskiem.

Volvo spada, a Farley wydaje zduszony okrzyk. Peleryna i zbroja króla Rowów odcinają się na tle mgły.

Odwracam się. Nie mogę patrzeć, jak mężczyzna rozbija się o stalowy kadłub.

Po przeciwnej stronie placu dostrzegam babcię, w mundurze płonącym czerwienią i pomarańczem, promieniejącą dumą. Wpatruje się we mnie zza walczących żołnierzy.

Stojący u jej boku Julian zwiesza głowę.

Chyba nigdy dotąd nikogo nie zabił.

ROZDZIAŁ 35

IRIS

– Jeszcze jeden przyływ i wysiadziemy na brzeg bezpośrednio ze statków – mamrocze matka, schodząc z mostku i stając na świeżym powietrzu.

Z nieba spada deszcz, a krople spływają po jej odsłoniętej twarzy. Podążam za nią, podobnie jak jej strażnicy. Jest uzbrojona po zęby, owinięta w czarnokobaltowy pancerz. Nie zamierzamy ryzykować. W każdej chwili mogłaby ją trafić jakaś zabłąkana kula, a tym samym zniweczyć naszą inwazję.

– Cierpliwości, matko – szepczę, niemal przyklejona do jej boku. – Nie uda im się dłużej odpierać naszego ataku.

Nie potrafię zrezygnować z nadziei. Tyberiasz Calore doprowadził swój kraj do ruiny, dopuszczając się zdrady nie tylko wobec swoich, ale i wobec Czerwonych. Utracił jakąkolwiek szansę na to, że zachowa tron, który odebrał swojemu przekłętemu bratu.

Archeon upadnie, i to wkrótce.

Spoglądam na klify po obu stronach rzeki, zanurzone w oparach dymu i mgły. Niebo od czasu do czasu przecinają błyskawice w przedziwnych barwach i przypomina mi się mój ślub. Tamtego dnia Czerwone dziwolągi i zdrajcy krwi z gór zaatakowali miasto, choć z mniejszym powodzeniem niż my teraz. Odmęty rzeki mruczą wokół nas, czule pieszcząc kadłuby naszych okrętów. Wyczuwam każdy ruch wody i łuk fal na tyle daleko, na ile sięgają moje moce.

Nad nami wznosi się zdewastowany most, który wciąż jeszcze się kruszy. Gruz wpada do wody, nie czyniąc szkód. Unoszę dłoń, a wzbierająca woda odbija spory kawałek betonu. Za nim leci kolejny, nieco zniekształcony. Koziółkuje

w powietrzu, połyskując metalicznie, i wygląda na to, że uderzy w pokład naszego statku.

Poruszam palcami w powietrzu, przywołując kolejną falę, ale matka łapie mnie za nadgarstek.

– Pozwól mu spaść – mówi, wbijając wzrok w postać.

Nie mam świadomości, że to ciało, dopóki nie uderza ono o pokład kilka metrów od nas, ze splątanymi kończynami i przepołowioną jak melon czaszką, z której wylewa się srebrnobiała zawartość. Lustrzana zbroja mężczyzny roztrzaskuje się tak samo jak jego kości, z których część od razu rozbija się na pył. Zdewastowane zwłoki należą do wysokiego mężczyzny, a po resztkach brody na jego zmiażdżonej twarzy można sądzić, że to ktoś starszy. Resztę jego ciała zakrywa czarna peleryna obrzeżona srebrną nicią.

„Znajome kolory”.

Nagle odgłosy boju cichną, odległe jak sen, a świat na skraju mego wzroku się rozmywa. Wszystko zawęża się do leżącego przed nami człowieka. Jego skroni nie zdobi korona. Nie ma już nawet twarzy.

– To koniec Volvo Samosa oraz królestwa Rowów – mówi matka, podchodząc do roztrzaskanych kości. Stąpa wzdłuż peleryny wroga i bez mrugnięcia okiem odchyła to, co zostało z jego czaszki.

Odwracam wzrok. Nie mogę na to patrzeć. Robi mi się niedobrze.

– Królowa Anabel dotzymała swojej części umowy... – Matka przygląda się zwłokom i cmoka z dezaprobatą. Jej ciemne oczy przesuwają się po martwym królu, sycą się nim. – Myśli, że w ten sposób ocali swoje miasto i wnuka.

Zbieram się na odwagę i zmuszam, by spojrzeć na Samosa. Znam widok krwi. Nie powinny mnie przerażać kolejne zwłoki. „To przez tego mężczyznę nie żyje mój ojciec, nasz kraj pozbawiono króla, a moją matkę męża”. W każdym calu zasługuje na taki los. A jest to los brutalny.

– Głupia kobieta – cedzę, myśląc o Anabel Lerolan i jej słabej próbie powstrzymania inwazji. „Nie uda się wam. Już otrzymaliście zapłatę”.

Usatysfakcjonowana matka cofa się, przestępując nad ciałem. Macha dłonią, a dwóch strażników rozpoczyna żmudny proces usuwania szczątków Samosa ze statku. Odciągają go, a na pokładzie zostaje smuga srebrnej krwi przypominającej farbę.

– Ludzie, których kochamy, czynią z nas głupców, moja droga – mówi matka beztrosko, zaciskając ręce przed sobą. Nie zatrzymując się, zerka na jednego z naszych poruczników. – Jednakowa koncentracja wojsk po obu stronach miasta. Postawmy na umocnienie sił.

Oficer kiwa głową i wchodzi z powrotem na mostek kapitański, skąd przekazuje rozkazy matki na inne okręty. Lakelandzkie i piedmonckie statki odpowiadają ostrzałem. Eksplozje rozlegają się wzdłuż brzegu rzeki, odrywając kawałki skał od klifów i niszcząc strukturę miasta. Po chwili nasi wrogowie odpowiadają ogniem z obu stron, ale robią to bez przekonania. Większość kul odbija się od stali lub tonie w odmętach fal.

Matka obserwuje to wszystko z posepnym uśmiechem.

– Rozbijcie ich linie, a kiedy poziom rzeki dostatecznie się podniesie, będziemy mieli łatwy dostęp. – Myśli o tysiącach żołnierzy czekających pod pokładami naszych statków, żeby napaść na tego, kto znajduje się na powierzchni.

Wiele porywisty wiatr, który niesie za sobą odgłos ryczących nad nami odrzutowców. Zaciskam zęby. Nortańskie siły powietrzne jako jedyne dają im poczucie przewagi nad nami, ponieważ flota powietrzna Piedmontu została nadszarpnięta, a nasza od samego początku była bardzo skromna. Możemy odpierać ich tylko za pomocą burzy i wykorzystywać nasze nieliczne odrzutowce, by odciągnąć ich uwagę od okrętów. Na razie nasza strategia wydaje się skuteczna.

Jeśli chodzi o żołnierzy Norty, których Tyberiasz lekkomyślnie na nas napuścił, nasze oddziały walczące na pokładzie doskonale sobie z nimi radzą. Choć atakują nas Siłacze i Zwinni, Wodniaki z domu Osanos posługują się rzeką dla własnych korzyści. Dla naszej korzyści.

Nawet teraz widzę, jak ich liczba maleje.

– Teleporterzy – warczę, patrząc, jak znikają nam z oczu kolejne dziwadła z Montfortu.

Zabierają ostatnich Nortańczyków i umieszczają ich wśród klifów, gdzie są stosunkowo bezpieczni.

– Wycofują się ze statków. – Odwracam się do matki, czując jednocześnie dumę i zawód: Nortańczycy boją się nas tak, że uciekają. – Zabierają tę garstkę, która im pozostała.

Królowa Lakelandii unosi podbródek, wygląda niezwykle władczo.

– Chcą z nich stworzyć ostatnią linię obrony. Świetnie.

Nachodzi mnie wizja mojej matki odważnie kroczącej przez plac Cezara. Wchodzi po schodach do pałacu, który kiedyś był moim więzieniem, aby zasiąść na tronie przejętym od domu Calore. Czy moja matka zostanie po tym wszystkim cesarzową? Czy będzie rządzić ziemią od jezior do mórz, od zamarznętej tundry do napromieniowanych granic Mielizny? „Nie wyprzedzaj faktów, Iris. Jeszcze nie zwyciężyliśmy”.

Próbuję się skupić na tym, co dzieje się tu i teraz. Pomagają mi w tym ostry swąd dymu i zapach krwi Samosa. Gwałtownie wciągam powietrze i pozwalam, by te wonie zawładnęły moimi zmysłami. Zabawne, ale sądziłam, że wypełniający mnie gniew zniknie i umrze wraz z królem Samosem. Ja jednak wciąż głęboko w piersi czuję, jak szarpie mnie za serce. Mój ojciec nie żyje i żaden tron ani żadna korona mi go nie przywrócą. Żadna zemsta nie zdoła wymazać tego bólu.

Biorę kolejny oddech i koncentruję wzrok na wzburzonych wodach rzeki. Ta wysłanniczka naszych bogów unosi wszystkie błogosławieństwa i przekleństwa. W innych okolicznościach to wrażenie działałoby na mnie kojąco. Świadomość, że znajduję się w pobliżu tak wielkiej mocy, uczy pokory. Nawet mnie. W tej chwili nie wyczuwam jednak żadnych znajomych bogów.

W wodzie pojawia się za to coś innego.

– Czujesz to? – Odwracam się gwałtownie do matki. Zbroja na moim ciele zaciska się i lada chwila mnie udusi, a wszystkie nerwy płoną ze strachu. „Co to

jest?... To coś w wodzie?”

Matka spogląda na mnie zaskoczona i bez trudu rejestruje mój niepokój. Jej oczy stają się szkliste, kiedy korzysta ze swojej mocy i przenika wody, żeby dowiedzieć się, co wprowadziło mnie w taki popłoch. Spoglądam bez tchu i czekam, aż powie, że to nic takiego. To tylko moja wyobraźnia. Dezorientacja. Błąd.

Jej spojrzenie wyostrza się, a oczy zwężają w szparki. Zamiast deszczu czuję teraz na kręgosłupie lodowate igiełki.

– Inny prąd? – syczy i pstryka palcami na jednego ze stojących w pobliżu oficerów.

Nortański zdrajca podbiega, blady i napięty. Mam wrażenie, że w niebieskim mundurze Lakelandczyków czuje się skrępowany.

– Osanos! – warczy do niego matka. – Czy twoje Wodniaki spowodowały kolejny przypływ...?

Mężczyzna drży w niskim pokłonie. Ani Osanos, ani jego liczna rodzina nie są tak utalentowani jak my, ale na swój sposób są potężni. Są nam też niezbędni.

– Nie wydałem takiego rozkazu, Wasza Wysokość.

Przygryzam wargę, a moja świadomość wciąż krąży wokół olbrzymiego czegoś, co porusza się w wodzie. Próbuję zepchnąć to z kursu, ale jest zbyt ciężkie.

– Wieloryb? – mamroczę, sama nie wierząc w to, co mówię.

Rozwścieczona matka kręci głową.

– To coś większego, cięższego – mówi. – I jest tego więcej.

Za naszymi plecami na mostku zbierają się oficerowie, zaskoczeni mruganiem kilkudziesięciu kontrolki i wyciem alarmów. Te dźwięki przeszywają mnie jak ostrze.

– Przygotować się na uderzenie! – krzyczy jeden z nich, sygnalizując, żebyśmy się ukryły.

Matka łapie mnie w pasie i przyciąga do siebie. Spoglądamy przerażone i czujemy, jak prąd pod nami przesuwają liczne przedmioty między naszymi

okrętami. To musi być jakaś mechaniczna nieznana nam broń.

Pierwszy atak uderza w środek naszej floty, a jeden z okrętów nagle się przechyla, przy akompaniamencie rozdieranego metalu. Coś wybucha tuż pod powierzchnią wody, która wytryskuje fontanną piany i odłamków. Statek Piedmontu staje w ogniu, a magazyny z prochem niszczą całą przednią część kadłuba. Podmucha gorąca parzy mnie, ale nie mogę się odwrócić, i przerażona patrzę, jak statek tonie w niecałą minutę, zatapiając wszystkich żołnierzy ukrytych pod pokładem.

Okręt flagowy drży pod nami i szczyka, kiedy coś wbija się w kadłub pod powierzchnią.

– Nacieraj, Iris, nacieraj – rozkazuje matka, wypuszczając mnie z objęć, by dostać się do burty. Pochyla się do przodu i rozpościera ramiona, a wody pod nami słuchają jej rozkazu i cofają się wielką falą.

Dołączam do niej i pozwalam swoim mocom działać. Nacieram i pcham, próbując usunąć to, co taranuje statek. To coś jest jednak ciężkie i ogromne, wyposażone we własny silnik.

Tak bardzo koncentrujemy się na tym, by ochronić okręt flagowy, że ledwie zauważam, iż pozostała część floty grzęźnie. Nie zważając na rozkazy, kilka statków z trudem próbuje zawrócić, płynąc przez spienioną rzekę wśród ogromnych stalowych kadłubów unoszących się na wodzie i opadających w dół. Na skroni czuję pot oraz krople deszczu, a na ustach sól. Piecze, pozbawiając mnie koncentracji.

– Matko – udaje mi się tylko wydusić.

Nie odpowiada mi i szarpie pazurami powietrze, jak gdyby potrafiła wyciągnąć tę nową broń z wody. Warczy lekko, ale wycie wiatru pochłania ten dźwięk.

Niebo znów błyska, przecięte niebieskim piorunem. Działam zbyt wolno, by go odeprzeć, więc trafia w sąsiedni statek, tak że na jego pokładzie skwierczą teraz usmażone ciała zalane wodą. Żołnierze krzyczą i wyskakują za burte, żeby uniknąć piekła, jakim byłoby porażenie prądem. Kolejni ludzie giną we wzburzonych

odmętach.

– Matko! – zaczynam krzyczeć.

Królowa klnie przez zaciśnięte zęby.

– Te Czerwone szuje mają łodzie podwodne. Łodzie i broń.

– Nie powstrzymamy ich, prawda?

Jej jasne oczy błyszczą, mimo burzy i nagłej odmiany losu. Bez ostrzeżenia opuszcza ręce.

– Ponieśliśmy zbyt wielkie straty. A i tak nie mamy gwarancji, że by się udało – mówi niewyraźnie, na wpół oszołomiona.

Próbuję nią potrząsnąć.

– Musimy się wspiąć po klifach i dostać na ląd. Wciąż możemy pokonać ich wojska i...

Strażnicy otaczają nas zwartym kręgiem, zwarci i gotowi zaatakować. Czekają, aż matka wyda rozkaz.

Królowa ich ignoruje i wpatruje się we mnie.

– Czy to się może udać? – mówi, a jej głos jest dziwnie łagodny i odległy. Jak gdyby przez cały ten czas spała, a teraz w końcu zbudziła się ze snu.

Klepie mnie w policzek zimną i mokrą dłonią. Spogląda w głąb statku. Odwracam się, podążam za jej wzrokiem i patrzę na resztki krwi Samosa ciemniejące na stalowym pokładzie. To ostatni dowód naszej zemsty. Nawet deszcz nie potrafi go zmazać. Nawet bogowie nie ulecą tego bólu.

Wzdrygam się, kiedy kolejny statek zostaje zaatakowany i przewraca się na burzę.

– Czy to koniec? – zastanawiam się na głos.

Matka spleta palce z moimi.

– Koniec? – Wzdycha, ściskając moją dłoń. – Tego nigdy nie można powiedzieć. Ale na razie zabieram stąd córkę, całą i zdrową.

Pierwszy raz spoglądam do tyłu, w dół rzeki. To droga ucieczki. Z trudem przełykam ślinę, zamroczona nagłym zwrotem, jaki nastąpił w tej bitwie. Czuję się

tak, jak gdyby ktoś rozpruł mi brzuch.

Ale poza śmiercią i porażką jest jeszcze jedno wyjście.

– Wracajmy do domu.

ROZDZIAŁ 36

MAVEN

Po tak wielu dniach, które spędziłem w niewoli, przyduszony przez Cichy Kamień i pozbawiony bransoletek, ogień przynosi mi większą ulgę niż łyk wody komuś, kogo trawi pragnienie. Pozwalam, by płomień wypełnił moje wnętrze, powolny jak pocałunek, i eksplodował na mojej skórze, potężny i na tyle rozwścieczony, by odepchnąć tego przeklętego Elektrykona. Mężczyzna i Mare upadają ciężko na twardą płytę placu.

Nie oglądam się, żeby na nią spojrzeć, zostawiając za sobą ścianę ognia, która pomaga mi zbiec. Kolejną kulę płomieni trzymam blisko, ściśniętą w zamkniętej dłoni, i całą energię wkładam w to, by nie zgasła. Nogi niosą mnie po placu. Nigdy tak szybko nie biegłem. Nie mogę się równać z Calem – brak mi zwinności i siły, ale strach dodaje mi śmiałości i wzmacnia koncentrację. Chaos panujący w Archeonie działa na moją korzyść, nie wspominając o tym, że pomaga mi też doskonała znajomość Pałacu Białego Ognia. Był moim domem i nie zapomniałem o tym.

Nagłe pojawienie się setek żołnierzy Szkarłatnej Gwardii dezorientuje wojska Cala, które wciąż szykują się do ataku na Lakelandczyków.

Mimo wszystko trzymam spuszczoną głowę, a czarne włosy opadają mi na twarz tak, by nikomu nie udało się mnie rozpoznać.

„Ci żołnierze należeli do mnie. Wciąż powinni mnie słuchać”.

Mój wewnętrzny monolog zamienia się w jej głos.

„Głupcy”, drwi matka. Czuję cień dotyku jej dłoni. Przesuwają się po moich ramionach, pilnując, bym trzymał się prosto. „Zastąpili cię tym nieszczęsnym,

bojaźliwym chłopcem. On położy kres tej dynastii. To koniec epoki”.

Nie myli się. Nigdy się nie myliła.

„Gdyby tylko ojciec mógł cię teraz ujrzeć, Cal. Zobaczyć, kim się stałeś i co uczyniłeś z jego królestwem”.

Ze wszystkich moich marzeń i smutków ten żal jest najgłębszy. Ojciec nie żyje, ale do śmierci kochał Cala, ufał mu, wierzył w jego wielkość i doskonałość. Zastanawiam się, czy nie powinienem zostawić spraw ich biegowi. Czy nie mogłem mu pokazać, jak wiele skaz ma jego idealny syn?

Ale matka miała swoje powody. Ona wiedziała najlepiej.

To po prostu jedna z dróg, której nie wybrałem. Martwa wersja przyszłości, jak ująłby to Jon.

Nieopodal wybucha kolejny pocisk i tak jak poprzednio, wykorzystuję eksplozję na własną korzyść. Wybuch nie robi mi krzywdy i pozwala uciec pod osłoną dymu i ognia. Nie mogę wrócić do tuneli pod Skarbnicą, bo wciąż roi się tam od Czerwonych szcurków. Ale do torów można dotrzeć też inną drogą, istnieją sposoby, by wydostać się z Archeonu niezauważonym. Przejścia, które znam najlepiej, znajdują się wewnątrz pałacu, więc pospiesznie kieruję się w stronę budowli.

„Cholerny pociąg”. Przeklinam tego, kto go ukradł, tego podstępного tchórza, który nim jedzie, cały i zdrowy. Ja przynajmniej wciąż mogę pokonać trasę pieszo. Przywykłem już do ciemności. Jaką różnicę zrobi mi kilka kilometrów w tę czy we w tę?

Żadną. Zawsze czułem spowijającą mnie ciemność, upartą jak plama. Podąża za mną wszędzie.

Dokąd właściwie się udam? Dokąd mogę się udać?

Jestem upadłym królem, mordercą, zdrajcą. Potworem dla każdego, kto ma oczy i choć odrobinę rozsądku. Zabiją mnie w Lakelandii, Montforcie, w moim własnym kraju. „Zasługuję na to – myślę, nie przestając biec. – Powinienem nie żyć już tysiąc razy, stracony na sto różnych sposobów, każdy bardziej bolesny od

poprzedniego”.

Myślę o Mare, którą porzuciłem leżącą na ziemi. O tym, czy udało jej się wstać i ruszyć w pościg. Myślę też o swoim bracie, który podjął się bohaterskiej walki, by ocalić miasto i bezprawnie przejęty tron. Prycham, kiedy wspinam się po stopniach Pałacu Białego Ognia, przelatując po znajomej posadzce. Ogień w mojej dłoni gaśnie i zamienia się w iskierkę, zanim udaje mi się go ożywić, pozwolić, by zajął całą rękę.

Wnętrze pałacu jest tak samo puste, jak wypełniony jest plac. Ci lordowie i dworzanie, którzy akurat nie walczą, muszą się znajdować w głębi pałacu, zabarykadowani w swoich pokojach. Niewykluczone, że oni także uciekli. Tak czy siak, w powietrzu niesie się tylko echo moich kroków, kiedy przechodzę przez hol wejściowy. Znam tę trasę tak dobrze jak bicie własnego serca.

Choć jest środek dnia, korytarze są ciemne i zimne, a okna zasnuwane mgłą i dymem. Elektryczność pojawia się i znika wraz z reakcjami sieci energetycznej na walki toczące się na zewnątrz, a światło włącza się i wyłącza bez możliwości do przewidzenia wzorca. „Świetnie”, myślę. W swoim szarym ubraniu wtopię się w pałacowe cienie. Robiłem to już jako chłopiec, kryjąc się we wnękach i za kotarami. Szpiegowałem i nasłuchiwałem, wtedy jeszcze nie na polecenie matki, ale napędzany własną ciekawością.

Cał towarzyszył mi w przespiegach, ilekroć pozwalał mu na to czas. Albo usprawiedliwiał mnie w czasie lekcji, mówiąc nauczycielom, że się rozchorowałem lub że zatrzymały mnie inne obowiązki. Aż dziw, że to wszystko pamiętam, choć odczuwane wówczas emocje, to, co musiało nas łączyć, niemal całkowicie zniknęły. Amputowane przez moją matkę. I nikomu już nigdy nie uda się sprawić, by odrosły.

„Próbował. Szukał. Chciał mnie ocalić”. Ta myśl przyprawia mnie o mdłości, więc ją od siebie odsuwam.

Drzwi do sali tronowej są cięższe, niż się spodziewałem. Zabawne, że sam nigdy ich nie otworzyłem. Zawsze stał tu strażnik albo wartownik, zazwyczaj Psychik. Czuję się słaby, kiedy wbijam się w jedno ze skrzydeł ramieniem

i uchylam je na tyle, by móc się przez nie prześlizgnąć.

Mój tron zniknął, a Cichy Kamień zabrano stąd w miejsce znane pewnie tylko Calowi. Fotel naszego ojca powrócił, piekielna konstrukcja z diamentowego szkła. Spoglądałam ironicznie na rozmigotane monstrum, symbol naszego ojca, jego rządów i tego wszystkiego, czego mu brakowało. Tron Cala otaczają inne krzesła, jedno przeznaczone dla Juliana Jacosa, drugie dla naszej babci. Na myśl o nich wykrzywiam usta. Bez nich Cal nigdy nie zaszedłby tak daleko. A ta żmija Iris nigdy by mnie nie wydała.

Mam nadzieję, że utopi się w rzece, uduszona przez własne moce.

A jeszcze lepiej, żeby spłonęła. Czy to nie taką właśnie karę wymierzają jej bogowie? Wieczne cierpienia zadawane przeciwnym żywiołem? Może Iris i Cal pozabijają się nawzajem. Ostatnio prawie im się to udało.

Cóż, mogę mieć tylko nadzieję.

Drzwi na lewo od tronu są mniejsze i prowadzą do prywatnych kwater króla, w tym do jego gabinetu, sali audiencyjnej i sali posiedzeń. Kiedy wchodzę do podłużnego pokoju, w którym ściany są pokryte regałami, światło znów gaśnie, pogrążając pomieszczenie w półmroku. Okna są tu wysokie i wychodzą na szare, puste podwórze. Mijam je szybko, licząc. „Jeden, dwa, trzy...”

Po czwartym oknie zatrzymuję się i liczę półki. „Trzy w górę...”

Na szczęście Cal nie miał czasu poprzekładać tu książek. W przeciwnym razie odkryłby mechanizm ukryty w skórzanym tomie dotyczącym wahań gospodarczych w ciągu ostatniej dekady.

Wysuwa się za najlżejszym pociągnięciem, tym samym uruchamiając mechanizm obrotowy za panelami z lakierowanego drewna. Cały regał otwiera się jak drzwi, odsłaniając wąską klatkę schodową wydrążoną w zewnętrznej ścianie.

Ogień płonący wokół mojej dłoni służy mi za pochodnię. Ruszam w dół, a regał za mną wraca na miejsce.

Ciemność jest gęsta od wilgoci, a powietrze pachnie stęchlizną. Mimo to biorę wdech i ostrożnie schodzę po stopniach. To stare schody dla służby i choć od

dawna nikt z nich nie korzysta, łączą się z innymi przejściami pod pałacem. Stamtąd mogę się dostać do Skarbnicy, dowództwa generalnego, sądów i każdego ważnego budynku wokół placu Cezara. Moi przodkowie wydrążyli te tunele na wypadek wojny lub oblężenia. Cieszę się, że zarówno oni, jak i ja wykazaliśmy się tak wielką przezornością.

Stopnie prowadzą do szerszego korytarza wykładanego nieociosanym kamieniem, a droga łagodnie opada. Z trudem posuwam się naprzód, a mój oddech staje się głębszy i zwalnia. Nad moją głową toczy się walka, ale mnie to już nie dotyczy. Jedyne osoby, które wiedzą o tych podziemnych przejściach, są teraz pochłonięte czymś innym.

Wygląda na to, że wyjdę z tego cało.

Nagle coś migocze w głębi korytarza. Przypomina odbicie płomienia, ale zniekształcone, falujące. Zwalniam i powłóczę nogami, tak by stłumić odgłos kroków. Biorę kolejny głęboki wdech i czuję zapach wody.

Zasrani Lakelandczycy.

Ścieżka przede mną opada i zanurza się w czarnej wodzie, której powierzchnia odbija moją płonąca dłoń. Mam ochotę przywalić pięścią w ścianę. Opanowuję się jednak i tylko klnę przez zaciśnięte zęby. Mimo wszystko stawiam kilka kroków naprzód i wkrótce woda sięga mi do kostek i przenika lodowatym chłodem. Robi się coraz głębiej. Rozwścieczony, wycofuję się i kopię w klepisko. Kilka grudek ziemi wpada do nieprzeniknionej toni. Przełykam kolejne przekleństwo i pospiesznie wycofuję się tą samą drogą.

Płonę z frustracji, a gorąco zalewa mi policzki. „Jeszcze jedno schody, jeszcze jeden tunel”, mówię do siebie, choć doskonale wiem, dokąd mnie one doprowadzą.

„Kolejne zalane przejście. Kolejna zatarasowana droga ucieczki”.

Mam wrażenie, że korytarz się zwęża i ściany napierają na mnie z obu stron. Przyspieszam kroku, raz po raz się potykając, a ogień w mojej dłoni dogasa. Przesuwam palcami po nierównej powierzchni kamiennych murów i znów docieram do schodów. Niemal wbiegam na górę i zaciągam się świeżym

powietrzem z sąsiedniej komnaty.

Jeśli nie zdołam dotrzeć do tuneli, będę musiał przedostać się przez mur. Znaleźć sposób, by się na niego wdrapać i zejść po drugiej stronie, a następnie ruszyć na zachód, omijając slumsy położone w górze rzeki, otaczające stolicę ogromnymi osiedlami. „Będę musiał jakoś zamaskować twarz”. Nie mogę się skupić, a moje myśli uciekają, sparaliżowane ze strachu. Muszę zająć się tym, co w tym momencie najważniejsze, i wydostać się z miasta, ale wszystko się zaciera. Potrzebuję jedzenia, mapy, zapasów. Z każdym kolejnym krokiem postawionym na powierzchni ziemi zbliżam się do niebezpieczeństwa. Jeśli Mare i mojemu bratu uda się przeżyć, wytropią mnie i zabiją.

Najpierw przetrząsam gabinet, na próżno szukając czegokolwiek, co może mi się przydać. A zwłaszcza bransoletek krzeszących iskry. Może Cal ma tu zapasową parę, ale nie znajduję niczego w licznych szufladach i przegródkach eleganckiego biurka, które kiedyś należało do mnie. Przez chwilę przyglądam się niezwykle ostremu nożowi do papieru. Podnoszę metalowy sztylecik, tak że jego ostrze łapie promień wątego światła. Macham ręką i rozszarpuję nożem portret ojca. Choć jego twarz jest teraz zniekształcona, wciąż ze mnie szydzi, a z poszarpanego płótna wwiercają się we mnie jego oczy. Nie mogę dłużej wpatrywać się w tę twarz, więc zaciskam palce na nożu i odwracam się plecami.

Obok znajduje się królewski apartament. Kopię w drzwi, niemal wyrywając je z zawiasów, i wpadam do środka. Zatrzymuję się, zdezorientowany. Zamiast luksusowych komnat godnych jedynie króla Norty zastaję pokoje pozbawione umeblowania, a nawet farby na ścianach. Nie ma tu zasłon ani dywanów. Jest tylko kilka środków czyszczących. Cal tu nie sypia. Nie zamierza tu mieszkać, dopóki będzie tu czuć moją obecność. „Tchórz”. Tym razem naprawdę uderzam pięścią w ścianę, a podrapane do krwi kłykcie zaczynają mnie piec. Nie mam pojęcia, którą komnatę wybrał. W skrzydłach mieszkalnych znajduje się kilkadziesiąt sypialni, a nie mam czasu ich wszystkich przeszukać. Będę musiał kraść, kiedy wydostanę się z miasta. Krzemień i stal potrafią krzesać ogień tak dobrze jak bransoletka. Zdobędę je. Jakoś.

Obraz przed moimi oczami się zaciera i zachodzi dziwną mgiełką, która pulsuje w rytmie mojego przyspieszonego tętna. Potrząsam głową, próbując się pozbyć tego wrażenia, ono jednak nie mija. Czuję ból w czaszce, przenikliwy do kości. Wciągam powietrze, starając się nabierać potężne hausty, aby się uspokoić. Podobnie jak w tunelu, ściany zdają się zbyt blisko i mam wrażenie, że zaciskają się wokół mnie. Zastanawiam się, czy okna roztrzaskają się i zasypią mnie odłamkami szkła, tnąc moje ciało na cienkie wstążki.

Wracając do sali tronowej, potykam się na schodach. „Nie masz wyboru, Mavenie”, mruczy do mnie matka, kiedy znów wślizguję się do pomieszczenia. Tylko na tyle mogę liczyć. Nigdy nie doradzała mi w kwestii odwrotu ani kapitulacji. Za życia Elara Merandus nigdy nie ustępowała i wpoila mi ten sam instynkt. Migrena przybiera na sile i oblepia moją czaszkę pajęczyną ostrego bólu.

Nade mną znów rozbłyskuje światło, tak jasne, że skwierczą żarówki. Przypływ elektryczności jest zbyt potężny.

Pękają jedna po drugiej, zasypując szkłem wypolerowaną podłogę. Udaje mi się odskoczyć, kiedy żarówka tuż nad moją głową rozpada się na kawałki.

Żarniki wciąż się palą, roziskrzone bielą. I fioletem.

Spokojna i groźna Mare Barrow stoi bez ruchu, a jej sylwetka wyraźnie odcina się na tle wąskiego przejścia. Bez mrugnięcia okiem wchodzi do środka i zamyka za sobą drzwi. Jesteśmy uwięzieni w środku. Oboje.

– To koniec, Mavenie – szepcze.

Tym razem rzucam się w przeciwną stronę pomieszczenia i wpadam do komnat zazwyczaj przeznaczonych dla królowej. Za swoich rządów wprowadziłem tu małe zmiany. Zmiany, które nie każdemu by się spodobały.

Mare jest ode mnie szybsza, ale podąża za mną ospale. Tropi mnie. Drażni się ze mną. Mogłaby mnie dopaść w każdej chwili. Usmażyć mnie za pomocą jednej dobrze wycelowanej błyskawicy.

„Świetnie – myślę. – Chodź tu do mnie, Barrow”.

Czuję ostrzegawcze klucie. Tępy ból, którego doświadczają wszyscy Srebrni

i Nowi. Muszę tylko otworzyć kolejne drzwi. To moja ostatnia szansa na przeżycie w miejscu, w którym tak wielu innych by zginęło.

„Nie zawiodę, matko”.

Odwracam się do Mare z szerokim uśmiechem i pozwalam, by patrzyła, jak zanurzam się coraz głębiej w ciemnej komnacie. Jest tu tylko jedno małe okno, z którego sączy się słabe światło. Rozjaśnia ciemne ściany, na których maluje się wzór szachownicy w odcieniach szarości i czerni. Szary odcień słabo połyskuje, ukazując wstążki płynnego srebra. „Krew Arvenów. Uciszej krew”.

Mare z wahaniem przystaje na progu, czując napór Cichego Kamienia. Patrzę, jak ją niszczy.

Jej twarz blednie, tak że w zimnym szarym świetle wygląda prawie jak Srebrna. Cofam się, coraz głębiej w mrok. Podchodzę do kolejnych drzwi. Do kolejnego przejścia. Do swojej szansy.

Nie powstrzymuje mnie.

Przełyka ślinę i pokonuje szarpiący nią strach. To ja zadałem jej tę ranę. Zakułem ją w łańcuchy, pozbawiłem mocy, kazałem żyć jak duchowi. Jeśli wejdzie do środka, będzie bezbronna. Pozbawiona tarczy. I gwarancji.

Nóż do papieru, który trzymam w dłoni, nagle staje się ciężki.

Mógłbym go wypuścić.

Porzucić sztylet i uciekać.

Mógłbym pozwolić jej żyć.

Albo ją zabić.

Wybór jest łatwy. A jednocześnie niezwykle trudny.

Nie uginam się.

Zaciskam palce na żelaznej rękojeści.

ROZDZIAŁ 37

MARE

To pomieszczenie-trumna. Kamienna krypta, która pochłonie mnie w całości. Czuję się martwa, nawet tu, na progu, niepewna, czy chcę stawić czoła temu miejscu i człowiekowi, który je wybudował.

Serce wali mi tak mocno, że Maven z pewnością je słyszy.

Przesuwa po mnie wzrokiem w sposób zbyt znajomy i zbyt intymny, mimo dzielącej nas odległości. Koncentruje się na moim gardle i tętnicy pulsującej strachem. Mam wrażenie, że zaraz obliże wargi. Na próżno zamykam i rozwieram pięść, próbując przywołać błyskawicę. Udaje mi się wyzwolić tylko słabe iskry, ciemnofioletowe, które gasną szybko, zduszone przez potężny Cichy Kamień.

W mrocznym świetle dostrzegam, że coś połyskuje mu w dłoniach. „Nóż”, myślę. Cienki i mały, ale wystarczająco ostry.

Sięgam do biodra po pistolet, który kazał mi zabrać Tyton. Ale kabura zniknęła, może wtedy, kiedy zapadł się most. Znów przełykam ślinę. Nie mam żadnej broni.

A Maven doskonale o tym wie.

Uśmiecha się nikczemnie, odsłaniając białe zęby.

– Nie spróbujesz mnie powstrzymać? – mówi, przechylając głowę jak ciekawski szczeniaczek.

Mam sucho w ustach.

– Nie zmuszaj mnie do tego, Mavencie – chrypię.

Maven tylko wzrusza ramionami. Jakimś cudem proste szare ubranie wygląda na nim teraz jak jedwab, futro i stal. Nie jest już królem, ale chyba nikt mu o tym nie powiedział.

– Do niczego cię nie zmuszam – oznajmia władczo. – Nie musisz tego znosić. Możesz sobie tam stać, a nawet zawrócić. Dla mnie to bez różnicy.

Wciągam kolejny wdech, tym razem głębszy. Zbyt bliskie wspomnienie Cichego Kamienia szarpie mnie za kręgosłup.

– Nie zmuszaj mnie do tego, bym zabiła cię w ten sposób – warczę, a mój głos brzmi groźnie i śmiercionośnie.

– Co zamierzasz zrobić? Gapić się na mnie? – odcina się kąśliwie. – Umieram ze strachu.

To bezczelny pokaz wymuszonej nonszalancji. Znam Mavena na tyle dobrze, by zobaczyć prawdę w jego słowach, prawdziwy strach wyglądający zza wytrenowanej zuchwałości. Jego wzrok wędruje i tym razem zatrzymuje się na moich stopach. Żeby mógł się poruszyć, kiedy ja to zrobię. Odskokzyć, kiedy się na niego rzucę.

Mimo trzymanego w dłoni sztyletu jemu także brakuje najważniejszej broni.

Pierwszy powolny krok stawiam bez dygotu, wślizgując się do lochu Cichego Kamienia.

– I słusznie.

Maven zatacza się do tyłu, zaskoczony, i niemal traci równowagę. Jednak szybko ją odzyskuje i poprawia chwyt na sztylecie, a ja ruszam w jego stronę. Cofa się, naśladując moje ruchy. Ten śmiercionośny taniec jest boleśnie powolny. Nie odrywamy od siebie wzroku. Nawet nie mrugamy. Czuję się tak, jak gdybym kroczyła po linie nad jamą wypełnioną wilkami, w każdej chwili gotowa runąć w dół. Jeden niewłaściwy krok i wbiją we mnie kły.

A może to ja jestem wilkiem. Widzę siebie w jego oczach. I jego matkę. I Calę. Widzę wszystko, co zrobiliśmy, by znaleźć się tutaj, w samym środku świata, który dla niego się kończy. Kłamałam i byłam okłamywana. Zdradzałam i byłam zdradzana. Krzywdziłam ludzi i tak wielu ludzi krzywdziło mnie. Zastanawiam się, co Maven dostrzega w moich oczach.

– To się nie skończy – mówi cichym, aksamitnym głosem, a mnie przypomina

się Julian i jego melodyjne moce. – Możesz zaciągnąć moje zwłoki na koniec świata, ale to i tak niczego nie zakończy.

– To samo dotyczy również mnie – stwierdzam, odsłaniając zęby.

Choć Maven stara się do tego nie dopuścić, przestrzeń między nami się zamyka. Jestem od niego sprawniejsza.

– Moja śmierć nie zatrzyma Czerwonego świtu – dodaję.

Uśmiecha się zgryźliwie.

– W takim razie wygląda na to, że oboje jesteśmy zbędni. Nikomu na nas nie zależy.

Wybucham śmiechem. Moje życie nigdy nie było tak cenne jak jego.

– Przywykłam do tego.

– Fajne włosy – szepcze Maven, wypełniając pustkę pomiędzy nami. Spogląda na płataninę brązu i fioletu opadającą na moje ramię.

Nic nie odpowiadam.

Mogłam się spodziewać, jaką kartę wyciągnie teraz z rękawa, ale i tak jestem niemile zaskoczona. Nie dlatego, że obraża mnie jego propozycja, ale dlatego, że pamiętam dziewczynę, która by ją przyjęła. Zdążyła zmądrzeć.

– Możemy jeszcze uciec. – Jego głos staje się głębszy. Pozwala, by to zdanie zawisło w powietrzu. – Razem.

Powinnam go wyśmiać. Przekręcić ostrze. Sprawić, by nasze ostatnie chwile wypełniło jego cierpienie. Zamiast tego czuję, jak gdzieś w głębi pęka mi kawałek serca z żalu po kimś, kto już nie wróci. Towarzyszy mi też ból jego starszego brata, który bezskutecznie próbował go odzyskać. Który nie zasłużył na to, co go teraz spotyka.

– Mawenie... – Wzdycham i kręcę głową, nie dowierzając, że może być taki ślepy. – Ostatniej osoby, która cię kocha, nie ma w tym pomieszczeniu. Znajduje się poza pałacem. A ty spaliłeś ten most na popiół.

Nieruchomieje, całkiem poblady. Nie poruszają się nawet jego lodowate oczy. Kiedy stawiam kolejny krok, tak że Maven znajduje się teraz na wyciągnięcie ręki,

zdaje się tego nie widzieć. Zaciskam dłoń w pięść i przygotowuję się do tego, co nastąpi.

Mruga powoli. Niczego w nim nie dostrzegam. Maven Calore jest pusty.

– Świetnie.

Wywija sztyletem z oszałamiającą prędkością i prawie podrzyna mi gardło. Odchylam się, żeby uniknąć ciosu. Chłopak naciera na mnie w milczeniu i tnie powietrze. Moje ciało wyprzedza umysł i instynktownie odpiesa atak. Jestem od niego szybsza i macham ramionami w rytmie jego ruchów. Łapię go za nadgarstki, zanim uda mu się skrzywdzić mnie tym maleńkim połyskującym kawałkiem ostrego metalu.

Sama dysponuję tylko pięściami i stopami. Koncentruję się na tym, by sztylet znajdował się jak najdalej od mojej twarzy, tak że z trudem udaje mi się zadać jakikolwiek cios. Pierwszy błąd popełniam, kiedy nie osłaniam pleców. Poruszamy się jednocześnie. Maven próbuje dźgnąć mnie w płuco i zostawia mi w boku podłużną, ale płytką ranę. Wylewa się z niej gorąca czerwona krew, przesycająca powietrze metalicznym zapachem.

W głębi serca spodziewam się, że mnie przeprosi. Tak naprawdę Maven nigdy nie napawał się moim cierpieniem. On jednak nie ma litości. Podobnie jak ja.

Ignorując rozlewający się po ciele ból, z całej siły uderzam go w gardło zaciśniętą pięścią. Maven dyszy, potyka się i upada na kolano. Atakuję raz jeszcze, tym razem kopiąc go w żuchwę. Siła uderzenia sprawia, że chłopak leci w bok. Spogląda na mnie oszołomiony i pluje srebrną krwią. Gdyby nie to, że ma przy sobie sztylet, wykorzystałabym okazję, żeby zacisnąć mu ręce na gardle i nie puszcząć, dopóki jego ciało nie zrobi się zimne.

Zamiast tego skaczę i przygniatam go swoim ciężarem, jednocześnie walcząc z palcami, które wciąż zaciskają się na rękojeści noża. Maven ryczy mimo rannej szczęki i próbuje mnie z siebie zrzucić.

Muszę użyć zębów.

Smak srebrnej krwi zatruwa mi usta, kiedy gryzę go w palce, docierając przez

mięśnie aż do kości. Z jego gardła wydobywa się skowyt. Dźwięk przenika mnie, wzmocniony działaniem Cichego Kamienia. Wszystko boli bardziej, niż powinno.

Nie przestaję i odrywam jego palce od noża, gryząc tam, gdzie muszę, by w końcu odebrać mu sztylet. Jest śliski od krwi, jego i mojej, srebrnej i czerwonej, która z każdą chwilą staje się coraz ciemniejsza.

Nagle jego druga dłoń łąduje na moim gardle i nie przestaje się zaciskać, odcinając mi dopływ powietrza. Maven jest ode mnie cięższy i używa swojej wagi, by przewrócić mnie na plecy. Wbija mi kolano w bark, unieruchamiając rękę, w której trzymam nóż. Drugą przytrzymuje mój obojczyk, tuż nad znamieniem, które mi wypalił. Czuję piekący ból i mam wrażenie, że moje kości pękają z dręczącą powolnością.

Teraz to ja krzyczę.

– Próbowałem, Mare – syczy, a jego zimny oddech owiewa mi twarz.

Wciąż staram się zaczerpnąć powietrza, ale krztuszę się i sapię. Moje pole widzenia się zawęża i wykwitają w nim ciemne plamy. Nad sobą widzę już tylko jego oczy. Zbyt błękitne, zbyt lodowate, nieludzko puste. To nie są oczy płomiennego księcia. To nie Maven Calore. Ten chłopak zniknął bezpowrotnie. Ten, kto się z niego narodził, nie zostanie pochowany razem z nim.

Boli mnie szyja, naczynia krwionośne pękają pod jego palcami, a skóra sinieje. Ledwie potrafię zebrać myśli, koncentrując je tylko na trzymanym w dłoni sztylcie. Znow próbuję podnieść ramię, ale ciężar Mavena mi to uniemożliwia.

Oczy zachodzą mi łzami, kiedy uświadamiam sobie, jak to się skończy. Bez błyskawic, bez burzy. Zginę jako Czerwona, jedna z tysięcy zmiażdżonych przez Srebrną koronę.

Palce Mavena na mojej szyi nie słabną. Jeśli to w ogóle możliwe, jeszcze bardziej się na niej zaciskają, miażdżąc mięśnie, aż mam wrażenie, że pęknie mi kręgosłup. Światło ciemnieje, a przed oczami pojawia się więcej plam przypominających czarną zgniliznę.

Ale Maven się nachyla. W ledwie zauważalny sposób zmienia pozycję. Dociska

mój złamany obojczyk, lekko uwalniając ramię.

Tyle mi wystarczy, by je wyswobodzić.

Nie myślę. Macham na oślep nożem, a jego oczy gasną.

Wydają się smutne i...

Pełne satysfakcji.

*

Zanim otworzę oczy, czuję w ustach spuchnięty język. Dziwnie jest się na czymś takim koncentrować, zwłaszcza w tych okolicznościach. Próbuję przełknąć ślinę, od czego nasila się ból w gardle. Wybuchą rozwścieczony, a mięśnie szyi wyją. Usztywniam się wobec bólu, przesuwając kończyny pod kocem na łóżku... Nie wiem, gdzie jestem.

– Daj Sarze czas. – Tuż przy uchu słyszę głos Kilorna. Pachnie potem i dymem. – Spróbuj się nie ruszać.

– Okej – chrypię, czemu towarzyszy jeszcze większy ból.

Śmieje się lekko.

– Mówić też ci nie wolno. Choć trudno ci będzie wytrzymać.

W innych okolicznościach bym mu przywaliała albo powiedziała, że cuchnie. Ale jestem osłabiona, więc zaciskam powieki i zęby, walcząc z bólem. Sara kręci się przy łóżku. Czuję na skórze jej dotyk, kiedy pracuje nad moim lewym bokiem.

Przykłada mi kojące dłonie do szyi, a ja uświadamiam sobie, że rana na żebrach musiała zniknąć. Już jej nie czuję.

Lekko odgina mi głowę, zmuszając, bym mimo bólu uniosła podbródek. Wzdrygam się i cicho syczę, a Kilorn kładzie mi dłoń na nadgarstku. Uzdrowiające moce Sary szybko usuwają dyskomfort, gromadząc się nad siniakami i opuchlizną.

– Struny głosowe nie są tak zniszczone, jak myślałam – mówi. Sara Skonos ma śliczny głos, dźwięczny jak dzwonek. Można by sądzić, że po tak wielu latach życia bez języka będzie chciała nadrobić straty, ale odzywa się rzadko, ostrożnie dobierając słowa. – Nietrudno będzie je naprawić.

– Nie spiesz się, Saro. Mamy czas – bąka Kilorn.

Gwałtownie otwieram oczy i spoglądam na niego gniewnie. Przyjaciel uśmiecha się do mnie szeroko. Światła nad nami są jasne, ale nie ostre, więc z pewnością nie są to szpitalne jarzeniówki. Mrugam, próbując ustalić, gdzie jestem. Nagle stwierdzam, że to nie szpital polowy ani koszary, ale jedna z pałacowych sypialni. Nic dziwnego, że łóżko jest takie miękkie, a pomieszczenie ciche.

Kilorn pozwala mi się rozejrzeć, dając mi tyle czasu, ile potrzebuję. Odwracam się i przekręcam nadgarstek, żeby złapać go za rękę.

– Widzę, że nie dałeś się zabić. – Gardło boli mnie już mniej, zostało lekkie kłucie. To zbyt mało, żeby mnie uciszyć.

– Chociaż bardzo się starałem – odpowiada Kilorn i lekko ściska moje palce. Na brudnej od krwi i sadzy skórze, tam, gdzie ocierał twarz, widać jasne smugi. Reszta jego ciała jest tak samo usmolona. Kilorn pasuje do pałacowej komnaty jak pięść do nosa. – Przede wszystkim trzymałem się z boku.

– W końcu – mamroczę.

Palce Sary wciąż tańczą po mojej szyi, zalewając ją kojącym ciepłem.

– Ktoś wbił ci do głowy trochę rozumu – dodaję.

Kilorn chichocze.

– Trochę to trwało.

Uśmiech i rozluźniona sylwetka, a nawet to, że jego ramiona zdają się pozbawione ciężaru i napięcia... mogą oznaczać tylko jedno.

– Domyślam się, że wygraliśmy. – Wzdycham, zbyt zaskoczona, by to analizować. Nie mam pojęcia, jak wygląda prawdziwe zwycięstwo.

– Nie do końca. – Kilorn pociera dłonią brudny policzek, rozmazując sadzę po całej twarzy.

„Idiota”, myślę serdecznie.

– Nurkownicy wystraszyły flotę, a Lakelandczycy odpłynęli na morze. Wydaje mi się, że szychy omawiają teraz warunki zawieszenia broni.

Próbuję usiąść, ale Sara lekko mnie przytrzymuje.

– A nie kapitulacji? – Jestem zmuszona patrzeć na Kilorna kątem oka.

Wzrusza ramionami.

– Może się tak skończyć. Ale mnie nikt nic nie mówi – stwierdza, mrugając żartobliwie.

– Zawieszenie broni to coś nietrwałego. – Zaciskam zęby, myśląc o tym, że Lakelandczycy powrócą za rok. – Nie pozwolą, żeby to...

– Czy choć przez chwilę możesz się cieszyć tym, że żyjesz? – Kilorn śmieje się, kręcąc głową. – Powinna cię ucieszyć wiadomość, że Czerwoni i Srebrni podjęli wspólny wysiłek, by posprzątać miasto. – Wypina pierś, dumny ze swojego raportu. – Cameron i jej ojciec także tu jadą. Wraz z Calem koordynują wypłacanie rekompensat dla pracowników.

„Rekompensaty dla pracowników”. „Godziwe płace”. Symboliczny gest, a może coś więcej. Nawet jeśli Cal nie jest już królem i nie ma władzy nad krajem. Wątpię, by miał cokolwiek do powiedzenia na temat tego, co stanie się ze Skarbnicą. I prawdę mówiąc, niewiele mnie to teraz obchodzi.

Kilorn o tym wie. Ale owija w bawełnę i nie mówi tego, czego chcę się dowiedzieć, próbując odciągnąć moje myśli.

Powoli przenoszę wzrok na pracującą Sarę. Z bliska pachnie jak świeżo wyprana pościel, a jej woń jest równie kojąca jak dotyk. Jej stalowoszare oczy koncentrują się na mojej szyi i kończą likwidować ostatnie zasinienia.

– Saro, czy znamy już liczbę ofiar? – pytam cicho.

Skrepowany Kilorn poprawia się na krześle przy moim łóżku i lekko odkasłuje. Nie powinien być zaskoczony tym pytaniem. Sara na pewno nie jest. Nie daje się wybić z rytmu.

– Nie zamartwiaj się tym – odpowiada Uzdrowicielka Ciała.

– Wszyscy żyją – dopowiada Kilorn pospiesznie. – Farley, Davidson, Cal.

Tego zdążyłam się domyślić. Gdyby którekolwiek zginęło, nie uśmiechałby się, a ja ocknęłabym się pośród większego chaosu. On doskonale wie, o co pytam.

O kogo.

– Gotowe – mówi Sara, ignorując moje pytania. Uśmiecha się do mnie powściągliwie i wycofuje od mojego łóżka. – Powinnaś teraz odpocząć. Potrzebujesz tego, Mare Barrow.

Kiwam głową i patrzę, jak się oddala, wychodzi z sypialni, powiewając srebrzystymi szatami. W przeciwieństwie do innych Uzdrowicieli, których pamiętam, nie nosi już munduru. Prawdopodobnie zniszczył się w czasie bitwy, kiedy zajmowała się tak wieloma zmarłymi i umierającymi. Drzwi zamykają się za nią delikatnie, zostawiając mnie i Kilorna pośród ciężkiej ciszy.

– Kilornie – mamroczę w końcu, lekko dźgając go palcami.

Spogląda ze zbolałą miną, jak podciągam się na poduszkach. Zawstydzony, zerka na mój zagojony bok. Choć rana zniknęła, jego twarz pochmurnieje.

Podobnie jak głos.

– Kiedy cię znaleźliśmy, wykrwawiałaś się na śmierć – szepcze, jakby nawet wspomnienie tamtej chwili było zbyt potworne, by przywołać je normalnym głosem. – Nie wiedzieliśmy, czy... czy Sara zdoła... – Jego głos cichnie, podszyty bólem, który znam aż za dobrze.

Ja również widziałam, jak Kilorn wykrwawia się na śmierć. Wtedy, w Nowym Mieście, prawie zginął. Chyba możemy uznać, że jesteśmy kwita. Dotykam żeber i pod fałdami czystej koszuli wyczuwam tylko nienaruszoną skórę. Wygląda na to, że rana była głębsza, niż sądziłam. Nie, żeby to miało teraz jakieś znaczenie.

– A... Maven? – Z trudem wypowiadam jego imię.

Kilorn wpatruje się we mnie z takim samym wyrazem twarzy. Wydłuża moje katusze i nie pozwala mi się domyślić odpowiedzi. Ta chwila trwa na tyle długo, że zaczynam się zastanawiać, jaką odpowiedź chciałabym usłyszeć. W jakiej przyszłości chciałabym żyć.

Kiedy spuszcza wzrok i spogląda na moje dłonie, koc i wszędzie, tylko nie na moją twarz, uświadamiam sobie, co chce przez to powiedzieć. Mięsień w jego policzku drga, kiedy chłopak zaciska zęby.

Coś się we mnie rozluźnia, jakby ktoś w końcu rozplątał ukryty w moim ciele supeł. Wzdycham i kładę się z powrotem na plecach. Zaciskam oczy i zalewa mnie fala emocji. Mogę tylko trwać, pozwalając, by świat wirował.

Maven nie żyje.

Czuję w równym stopniu wstyd i dumę, żal i ulgę. Przez chwilę mam wrażenie, że zwymiotuję. Ale mdłości mijają i znów otwieram oczy, by przekonać się, że wszystko znajduje się na swoim miejscu.

Kilorn czeka w milczeniu, choć cierpliwość nie jest jego mocną stroną. A właściwie nie była jeszcze rok temu. Kiedy był tylko rybakiem, kolejnym dzieckiem z Pali, bez przyszłości, żyjącym jedynie tym, co przyniesie kolejny dzień. Ja byłam taka sama.

– Gdzie jego ciało?

– Nie wiem – odpowiada i nie widzę, żeby kłamał.

Nie wiem, dlaczego miałby to robić.

Podobnie jak w przypadku Elary, muszę zobaczyć zwłoki. Chcę mieć pewność, że to naprawdę koniec. Ale z oczywistych względów wizja ujrzenia jego ciała przeraża mnie bardziej. Śmierć to lustro i boję się, że patrząc na niego... ujrzę siebie. Albo, co gorsza, zobaczę jego – człowieka, za którego go brałam.

– Czy Cal wie, co zrobiłam? – Głos mi się łamie, nasycony emocjami. Przyciskam dłoń do ust, żeby się uspokoić. Nie zamierzam po nim płakać. Nie ma mowy.

Kilorn tylko na mnie patrzy. Chciałabym, żeby mnie przytulił, złapał za rękę albo przyniósł coś słodkiego – coś, czym mogłabym napchać usta. On jednak odsuwa się, żeby wstać. Spogląda na mnie z tak głęboką litością, że przechodzą mnie ciarki. Nie oczekuję, że to zrozumie, i wcale tego nie chcę.

Tak jak wcześniej Sara, Kilorn podchodzi do drzwi, a ja mam wrażenie, że mnie porzuca.

– Kilornie... – protestuję, a on przekręca gałkę u drzwi.

Do pomieszczenia wchodzi ktoś inny. Cal wypełnia komnatę ciepłem, jak

gdyby na kominku nagle zapłonął trzaskający ogień. Jego błyszcząca czerwona zbroja zniknęła, zastąpiona prostym strojem. Ma na sobie niedopasowane kolorystycznie ubrania, z których żadne nie jest czarne ani szkarłatne. To już nie jego barwy. Kilorn wymyka się z pokoju, zostawiając nas samych.

Jeszcze zanim udaje mi się pomyśleć, czy Cal słyszał moje pytanie, on udziela odpowiedzi.

– Zrobiłaś tylko to, co musiałaś – mówi i siada niespiesznie na miejscu Kilorna. Ale trzyma dystans, pozwalając, by dzielące nas centymetry zamieniły się w ziejącą otchłań.

Nietrudno rozszyfrować jego motywy.

– Przepraszam.

Sylwetka Cala rozmazuje się, kiedy łzy napływają mi do oczu. „Zabiłam jego brata. Odebrałam mu go”. Zabiłam mordercę i kata. Złego człowieka, zwyrodniałego i złamanego. Mężczyznę, który zabiłby mnie, gdybym go nie powstrzymała. Zabiłby wszystkich, których kocham. Zabiłam chłopaka, którego zamieniono w monstrum. Chłopaka, dla którego nie było już szansy ani nadziei.

– Tak mi przykro, Cal...

Nachyla się do mnie i kładzie dłoń na kocu. Ostrożnie, tak żebym nie mogła jej dosięgnąć. Jedwab pod naszymi palcami, długi pas niebiesko-szarego haftu, jest gładki i zimny. Cal wpatruje się we wzór na tkaninie i bez słowa wodzi po nim palcami. Walczę z pokusą, by usiąść i dotknąć jego policzka, zmusić go, by spojrzał mi w oczy i powiedział to, co chce powiedzieć.

Oboje wiedzieliśmy, że tak się stanie. Wiedzieliśmy, że nie zdołamy już pomóc Mavenowi. To jednak nie koi bólu. A on cierpi bardziej niż ja.

– Co teraz? – szepcze, częściowo do siebie.

„A może się myliliśmy. Może można go było uratować. – Ta myśl przesywa mnie na wskroś i pierwsza łza spływa mi po policzku. – Może ja też jestem jedynie morderczynią”.

Pewne jest tylko jedno. Nigdy się tego nie dowiemy.

– Co teraz? – powtarzam, odwracając twarz.

Wpatruję się w okno, na niebo upstrzone obłokami mgły, przez którą przenika słabe światło gwiazd.

Minuty rozciągają się i mijają. Nie rozmawiamy. Nikt nie przychodzi mnie odwiedzić ani nie wzywa Cala. Zaczynam niemal pragnąć, żeby ktoś go stąd zabrał.

Jednak wtedy jego palce się poruszają i muskają moje. Ledwie się dotykamy.

Ale to wystarczy.

EPILOG

MARE

– Jesteś pewna, że nie chcesz wrócić i go zobaczyć?

Wpatruję się w Kilorna tak, jak gdyby właśnie wyhodował sobie drugą głowę. Jego propozycja jest tak absurdalna, że nawet nie mam ochoty odpowiadać. Ale on patrzy na mnie wyczekująco, niewinny jak dziecko. A przynajmniej na tyle niewinny, na ile potrafi. Kilorna nigdy nie można było określić tym przymiotnikiem, nawet kiedy byliśmy dziećmi.

Wpycha ręce do kieszeni montforckiego munduru i czeka na to, co powiem.

– Co zobaczyć? – pryham i wzruszam ramionami, gdy idziemy po płycie lotniska w Archeonie.

Chmury wiszą nisko nad horyzontem, zakrywając zachodzące słońce, a także dym, którego smugi wciąż unoszą się nad poszczególnymi rejonami miasta. Choć minął tydzień, nie ugaszono jeszcze wszystkich pożarów.

– Rozklekotany dom na słupach? Pewnie został splądrowany, o ile nie wprowadził się do niego ktoś inny – mamroczę, myśląc o dawnym domu w Palach. Dawno go nie widziałam i nie mam ochoty tam wracać. Już nigdy. Nie byłabym zaskoczona, gdyby budynek runął.

Niewykluczone, że Maven go zniszczył, żeby zrobić mi na złość. Kiedy jeszcze żył. Tak czy siak, nie mam ochoty się o tym przekonać.

– A co? Ty masz chęć wrócić do Palów?

Kilorn potrząsa głową. Idzie tak energicznie, że lada moment zacznie podskakiwać.

– Nie. Nie ma tam już nic, co byłoby dla mnie ważne.

– Pochlebstwami nic nie działałeś – odpowiadam.

Wydaje się dziwnie podekscytowany wizją powrotu do Montfortu.

– Co z Cameron? – dodaję, ścisząc głos.

Ostatnio Cameron wraz z rodzicami zajmuje się koordynacją miast techników. Najlepiej ze wszystkich znają dawne slumsy i wiedzą, jak je zrewitalizować.

– W jakim sensie? – Kilorn obrzuca mnie ironicznym uśmiechem i teraz to on wzrusza ramionami. Próbuje mnie zmylić. Na jego policzkach pojawia się delikatny rumieniec. – Mniej więcej za miesiąc przyjedzie do Montfortu z kontyngentem Czerwonych z Norty i grupą Nowych. Kiedy sytuacja nieco się unormuje.

– Żeby trenować?

Rumieniec zalewa mu teraz całą twarz.

– Jasne.

Nie udaje mi się powstrzymać uśmiechu.

„Muszę pamiętać, by potem mu podokuczać”, myślę, kiedy Farley zbliża się do nas w towarzystwie kilkorga generałów. Łabędź wita się z nami, pochylając głowę.

Odwzajemniam gest i wyciągam do niej rękę.

– Dziękuję, pani generał.

– Mów mi Addison – odpowiada kobieta z uśmiechem. – Przynajmniej na jakiś czas dajmy sobie spokój z tytułami.

Farley spogląda pomiędzy nami z udawaną irytacją.

– Szkoda, że ten odrzutowiec nie jest zasilany czczą gadaniną. W waszej obecności nigdy nie musielibyśmy go łądować – mówi ostro, choć jej oczy zdradzają, że to jeden z tych nielicznych dni, kiedy humor jej dopisuje.

Uśmiecham się i biorę ją pod ramię. Przywiera do mnie. To do niej niepodobne.

– Mówisz tak, jakby odrzutowiec można było naładować, Farley.

Przewraca oczami. Ona także, tak jak Kilorn i ja, jest gotowa lecieć do Montfortu. Mogę sobie tylko wyobrazić, jaka musi być podekscytowana wizją opuszczenia Norty i powrotu do córki. Clara rośnie jak na drożdżach, radosna

i bezpieczna. Nie pamięta tego, co zdarzyło się przed jej narodzinami.

Nie pamięta też ojca.

Kiedy myślę o Shadzie, nawet najpiękniejszy dzień przygasa, i teraz jest tak samo. Ale to wszystko boli jakby mniej. Wciąż towarzyszy mi dogłębne cierpienie, ale ból nie jest tak ostry. Nie odbiera mi już tchu.

– Chodźmy. – Farley pociąga mnie za sobą. – Im szybciej znajdziemy się na pokładzie, tym szybciej wystartujemy.

– Tak to działa? – gaszę ją złośliwie.

Przy odrzutowcu, którego silniki już pracują, stoi grupka osób czekających na nas i pozostałą część ludzi wylatujących dziś do Montfortu. Davidson powrócił do kraju kilka dni temu. Koordynację powierzył swoim urzędnikom, wśród których dostrzegam Tahira. Pewnie właśnie relacjonuje wszystko swojemu bratu, pozwalając, by premier Montfortu otrzymał informacje na temat odbudowy w czasie rzeczywistym.

Julian wyróżnia się na tle grupy. Ma na sobie nowy strój, chyba pierwszy raz od dawna. W świetle zachodzącego słońca ubrania połyskują złotą barwą, która kiedyś reprezentowała jego ród. Sara czeka u jego boku, podobnie jak Anabel. Bez korony strój starszej kobiety wydaje się niekompletny. Babcia Cala spogląda na mnie z jawną obojętnością.

– Pospiesz się, Barrow – przynagla Farley, dając znać Kilornowi, by wszedł z nią na pokład.

Moi przyjaciele mijają Srebrnych i pozdrawiają ich skinieniem głowy, pozwalając mi pożegnać się z nimi tak, jak tego potrzebuję.

Julianowi i Anabel nie towarzyszy Cal, ale nie oczekuję, że będzie stał z nimi w rzędzie. Czeka w głębi rękawa prowadzącego do samolotu, z dala od reszty Srebrnych.

Julian wyciąga do mnie ramiona, a ja mocno go przytulam, wdychając miłą woń pożółkłego papieru, która chyba na stałe wniknęła w jego skórę.

Po dłuższej chwili lekko mnie odsuwa.

– Nie przesadzajmy. Zobaczymy się najdalej za miesiąc.

Podobnie jak Cameron, Julian za kilka tygodni ma odwiedzić Montfort. Oficjalnie będzie emisariuszem Srebrnych z Norty. Ale spodziewam się, że większość czasu spędzi na przeczesywaniu archiwów udostępnionych mu przez Davidsona i wykorzysta czas, aby zbadać kwestię pojawienia się Nowych.

Uśmiecham się do dawnego nauczyciela i klepię go w ramię.

– Wątpię, żebyś z własnej woli oderwał się od papierzysk w montforckich kryptach, by się ze mną chociaż przywitać.

Stojąca u jego boku Sara podnosi głowę.

– Dopilnuję, by to zrobił – mówi cicho, biorąc Juliana pod ramię.

Anabel jest mniej wyrozumiała. Ostatni raz obrzuca mnie lodowatym spojrzeniem, po czym prychna, zde gustowana moją obecnością, i pospiesznie odchodzi. Nie mam do niej pretensji. W jej oczach wciąż jestem powodem, dla którego jej wnuk odrzucił swoją dynastię i koronę dla czegoś tak głupiego jak miłość do Czerwonej.

Nienawidzi mnie za to. Nawet jeśli to nieprawda.

– Anabel Lerolan nie rozumie, dlaczego to wszystko się dzieje, ale dostrzega w tym logikę. Otworzyłaś drzwi, których nie można już domknąć – mówi Julian cicho, obserwując, jak stara królowa wsiada do transportera. – Nawet gdyby chciała, nie udałoby jej się z powrotem osadzić Cala na tronie.

– A co z Rowami? Lakelandią? Piedmontem?

Julian przerywa mi, łagodnie kręcąc głową.

– Myślę, że na jakiś czas możemy przestać się tym martwić. – Delikatnie klepie mnie po dłoni. – Trwają zamieszki. Narodził się nowy ruch. Czerwoni tysiącami przedostają się do naszego kraju. Jedno jest pewne: tej lawiny już nic nie zatrzyma.

Zalewa mnie fala emocji. Jestem jednocześnie szczęśliwa i przerażona. „To nie przetrwa”, myślę znów, wierząc, że to prawdziwe słowa. Wzdycham i odsuwam je od siebie. Może to nie koniec, ale ja skończyłam. Na razie.

Jeszcze raz przywieram do Juliana.

– Dziękuję – szepczę.

Kiedy mężczyzna znów mnie od siebie odsuwa, jego oczy błyszczą.

– Cóż... dość tego. Moje ego i tak nadęło się do granic – bąka. – Nie trać na mnie więcej swojego cennego czasu – dodaje, lekko mnie popychając. W kierunku swojego siostrzeńca. – Idź.

Nie musi mnie dłużej namawiać, choć nerwy pustoszą moje wnętrze. Przetykam ślinę i z uśmiechem mijam resztę dygnitarzy z naszego nowo utworzonego sojuszu. Nikt mnie nie zatrzymuje, więc bez zakłóceń podchodzę do dawnego króla.

Cal wyczuwa, że się zbliżam.

– Chodźmy – mówi i od razu rusza.

Podążam za nim i staję w cieniu jednego ze skrzydeł naszego odrzutowca. W głębi pasa startowego silnik innego samolotu uruchamia się z rykiem, na tyle blisko, by uniemożliwić ciekawskim podsłuchanie naszej rozmowy.

– Poleciałbym z tobą, gdybym tylko mógł – mówi nagle, odwracając się do mnie i omiatając mnie rozpalonym spojrzeniem swoich złotawobrazowych oczu.

– Nie proszę cię o to – wypowiadam znajome słowa. Przerabialiśmy to już setki razy. – Musisz tu zostać, pomóc poskładać kraj. Na Zachodzie trzeba jeszcze wykonać ogromną pracę. W Cironie, Tiraksie... jeśli możemy coś zrobić... – Milknę, wyobrażając sobie te odległe kraje, obce i bezkresne. – Sądzę, że tak będzie lepiej.

– Lepiej? – warczy Cal, a powietrze wokół niego się rozgrzewa, więc łagodnie zakrywam jego nadgarstek dłonią. – Myślisz, że dla mnie odejście to lepsze rozwiązanie? Nie jestem już królem. Nie jestem nawet członkiem rodziny królewskiej. Jestem...

– Nie mów „nikim”, Cal. Nie jesteś nikim.

W jego oczach dostrzegam oskarżenie, a pod palcami czuję gorącą skórę. Trudno mi patrzeć na to, jak przeze mnie cierpi.

– Jestem tym, kim chcesz, żebym był – mówi w końcu zduszonym głosem.

Nagle paraliżuje mnie świadomość, że nie wiem, kiedy znów go zobaczę. Ale nie potrafię podnieść wzroku. To tylko wszystko utrudni.

– Nie udawaj, że zrezygnowałaś z korony, bo cię o to poprosiłam. Oboje wiemy, że to nieprawda. – „Zrobił to dla matki, dla siebie. Bo wie, że to właściwe”. – A ja się z tego cieszę – dodaję cicho, wciąż wpatrując się w nasze złęczone ręce.

Próbuje mnie do siebie przyciągnąć, ale ja nie chcę.

– Potrzebuję czasu, Cal. Tak jak ty.

Jego głos staje się tak niski, że równie dobrze mógłby być warkotem. Przechodzą mnie ciarki.

– To ja decyduję o tym, co jest mi potrzebne.

– W takim razie pozwól mi na to samo. – Instyktownie podnoszę wzrok i spoglądam na niego ostro.

Jest zaskoczony.

Choć nie czuję się silna, dobrze udaję.

– Pozwól mi dojść do tego, kim teraz jestem.

Nie Mareeną ani dziewczyną od błyskawic. Nie jestem nawet Mare Barrow. Po tym, co przeżyłam, stałam się kimś nowym. On także potrzebuje przestrzeni, bez względu na to, czy się do tego przyzna czy nie. Oboje potrzebujemy czasu, by wyleczyć rany. Odbudować się. Tak jak ten kraj.

Najgorsze i najlepsze w tym wszystkim jest to, że musimy tego dokonać osobno.

Między nami wciąż jest szczelina, przepaść. Nawet po śmierci Maven potrafi nas rozdzielić. Cal nigdy się do tego nie przyzna, ale tamtego dnia dostrzegłam w jego oczach żal. Smutek i milczące oskarżenie. Wciąż dręczy go to, że zabiłam jego brata. Mnie także.

Cal zagląda mi w oczy. Jego własne błyszczą w czerwieni zachodzącego słońca. Równie dobrze mogłyby płonąć.

Bez względu na to, czego szuka w moim spojrzeniu – słabości albo

jakiegokolwiek oznaki, że się łamię – nie udaje mu się tego znaleźć.

Przesuwa rozgrzaną dłonią po mojej szyi i zatrzymuje ją na linii szczęki, a palce zakłada za moje ucho. Jego skóra nie jest na tyle gorąca, by parzyć, nie tak jak skóra Mavena, która naznaczyła mnie na zawsze. Cał by tego nie zrobił, nawet gdybym go o to poprosiła.

– Jak długo? – szepcze.

– Nie wiem.

To prawda. Łatwo mi się do tego przyznać. Nie mam pojęcia, ile czasu będę potrzebowała, by poczuć się sobą albo tym, kim się stałam. Mam dopiero osiemnaście lat. Nie muszę się spieszyć.

Następne zdanie wypowiadam z trudem. Oddech więźnie mi w gardle.

– Nie będę prosić, żebyś na mnie zaczekał.

Jego wargi pospiesznie muskają moje. To pożegnanie.

Na tak długo, jak będzie to konieczne.

*

Rajska Dolina w pełni zasługuje na swoją nazwę. Ta rozległa równina ciągnie się na przestrzeni wielu kilometrów w niecce otoczonej górami. Rzeki i jeziora są tu nieskazitelnie czyste i osobliwe, zupełnie niepodobne do tych, które znam. Nie wspominając o tutejszej dzikiej przyrodzie. Nic dziwnego, że to właśnie tu wysłał nas Davidson, żebyśmy zaznali ciszy i spokoju. To miejsce wydaje się dziewicze, odizolowane od reszty świata.

Wychodzimy na szlak o świcie, trzymając się z dala od rozgrzanych do czerwoności pól gejzerów ciągnących się wzdłuż polany. Większość akwenów jest nieruchoma i płaska, ale wiruje tęczą kolorów. Są piękne, ale wystarczyłoby kilka sekund, by człowiek się w nich ugotował. Przynajmniej tak słyszałam. W oddali jedno z oczek wypływa wrzątek i obłoki pary wzbijają się wysoko w zamglone purpurowe niebo. Gwiazdy nikną, jedna po drugiej. Jest zimno, więc ciaśniej otulam się ciężkim wełnianym szalem. Nasze kroki rozbrzmiewają echem na

drewnianej kładce wybudowanej nad rdzawym korytem rzeki.

Rzucam ukradkowe spojrzenie na maszerującą równym krokiem Gisę. Zrobiła się ostatnio jeszcze smuklejsza, ciemnorude włosy zaplotła w długi warkocz. Kosz piknikowy zwisa luźno w jej ręce, lekko się kołysząc. Chciała zobaczyć wschód słońca nad wielkim źródłem. A czy młodszej siostrze się odmawia?

– Spójrz tylko na te kolory – szepcze, kiedy docieramy do celu.

Rzeczywiście, wielkie gorące źródło wygląda jak ze snu. Składa się kręgów, kolejno czerwonego, żółtego i zielonego, a jego środek ma najgłębszy, najbardziej intensywny odcień niebieskiego, jaki widziałam. Wydaje się nierealny.

Ostrzegano nas, żebyśmy nie uległy pokusie i nie zanurzyły nawet palca w wodzie pod nami. Nie mam najmniejszej ochoty wygotować sobie skóry do kości. Gisa krzyżuje nogi i siada na kładce. Wyciąga maleńki notatnik i zaczyna szkicować, od czasu do czasu notując coś na boku.

Zastanawiam się, jaką inspiracją nappełni ją to miejsce.

Ja mam ochotę coś zjeść, więc szperam w koszu i wyciągam z niego dwie jeszcze ciepłe bułeczki. To mama zapakowała nam prowiant na drogę.

– Tęsknisz za nim? – pyta nagle Gisa, nie podnosząc wzroku.

Zaskakuje mnie tak zadany pytanie. Może mieć na myśli kogokolwiek.

– Kilorn jest bezpieczny. Czeka w Ascendencie, a za kilka dni dołączy do niego Cameron.

Mojej siostrze nie przeszkadza to, że Kilorn jest z kimś innym. Ostatnio bardziej jej zależy na ładnej ekspedientce z miasta.

– Nie o nim mówię – przerywa mi znacząco, zirytowana moim unikiem.

– Nie? – Dramatycznie unoszę brwi, ale nie wydaje się rozbawiona. – Oczywiście, że za nim tęsknię. – Mam na myśli Cala. I Shade’a. Czuję także okrucieństwo tęsknoty za Mavenem.

Gisa więcej nie naciska.

Cisza syci mnie tak samo jak śniadanie. Tu łatwo jest zapomnieć. Zagubić się w innym wymiarze. Czerpię przyjemność z oddalenia, choć wciąż towarzyszą mi

typowe obawy. „Co teraz będzie?” Wciąż tego nie przemyślałam.

I jeszcze przez jakiś czas nie zamierzam się nad tym zastanawiać.

– Bizony – mówi Gisa cicho i podnosi rękę, by wskazać zwierzęta pasące się po drugiej stronie niecki.

Moje ciało się napręży, by w razie konieczności rzucić się do ucieczki. Jeśli jedna z tych bestii się zbliży, będę musiała wydostać stąd Gisę. Czuję pod skórą błyskawice, które w każdej chwili mogę wyzwolić. Ostatnio zdążyłam od tego odwyknąć. Odkąd wróciliśmy do Montfortu, nie ćwiczyłam ani nie brałam udziału w sparingach. Powtarzam sobie, że muszę odpocząć. Bree i Tramy wyzywają mnie od leniuchów.

Bizony znajdują się daleko, w odległości co najmniej pięćdziesięciu metrów, i niespiesznie odchodzą w przeciwnym kierunku. Stado jest niewielkie, ale imponujące. Liczy co najmniej dwanaście osobników, kudłatych i ciemnobrązowych, które – jak na tak olbrzymie i ciężkie stworzenia – poruszają się z zadziwiającą gracją. Pamiętam swoje ostatnie spotkanie z bizonami. Trudno je nazwać pokojowym.

Gisa pogrąży się w myślach i wraca do szkicowania.

– Przewodniczka od Davidsona powiedziała mi coś interesującego.

Premier był na tyle miły, że wysłał z nami do doliny kogoś, kto by nas oprowadził.

– Co takiego? – pytam, nie spuszczając stada z oczu. Jeśli się na nas rzucą, zareaguję.

Siostra nie przestaje paplać, nieświadoma, że po drugiej stronie zbiornika przechadza się potencjalne zagrożenie. W gruncie rzeczy cieszę się, że jest na tyle nieświadoma, by się nie bać.

– Powiedziała, że był czas, kiedy bizony prawie wymarły. Ludzie wybili tysiące, a może nawet miliony tych zwierząt, aż na całym kontynencie zostało zaledwie kilka osobników.

– To niemożliwe – prychnę. – Zamieszkują całą Rajską Dolinę i równiny.

– Powtarzam ci tylko to, co usłyszałam od przewodniczki – odpowiada Gisa, zirytowana moją reakcją. – Zna to miejsce od podszewki. To jej praca.

– Jak sobie chcesz. – Wzdycham. – Jak to się dalej potoczyło?

– Bizony wróciły. Trochę to trwało, ale wróciły.

Marszczę brwi, bo to stwierdzenie brzmi zbyt prosto.

– Jak?

– Dzięki ludziom – odpowiada zwyczajnie.

– Myślałam, że je zabijali...

– Owszem, ale coś się zmieniło – odpowiada, a jej głos staje się ostry. Chyba desperacko pragnie, żebym zrozumiała, o czym mówi. – Wydarzyło się coś tak potężnego, że... wszystko potoczyło się innym torem.

Nie wiem czemu, ale przypominam sobie coś, co dawno temu oznajmił mi Julian.

„Niszczymy. To cecha charakterystyczna rodzaju ludzkiego”.

Widziałam to na własne oczy. W Archeonie i zatoce Harbor, na każdym polu bitwy. Dowodzi tego sposób, w jaki traktowano i nadal traktuje się Czerwonych na całym kontynencie.

Ale świat się zmienia.

„Niszczymy, ale potrafimy także odbudowywać”.

Bizony odchodzą i powoli znikają pośród drzew na horyzoncie. Szukają nowych łąk, nieświadome obecności dwóch drobnych dziewczyn siedzących nad wodą.

Odrodziły się po rzezi. Z nami będzie tak samo.

Ruszamy w drogę powrotną do naszej chaty, pocąc się obficie w promieniach wschodzącego słońca. Gisa mówi o wszystkim, czego nauczyła się w ciągu poprzedniego tygodnia. Polubiła naszą przewodniczkę, podobnie jak Bree, tylko że on lubi ją w zupełnie inny sposób.

Jak zwykle w takich błogich chwilach, błądzę myślami. Cofam się w przeszłość i wybiegam w przyszłość. Za kilka tygodni wrócimy do stolicy Montfortu.

Zastanawiam się, do jakiego stopnia zmieni się świat. Już kiedy odjeżdżaliśmy, ledwie go poznawałam. Słyszałam, że jako gość honorowy premiera w Ascendencie zamieszkał nie kto inny, jak Evangeline Samos. Jakaś część mnie wciąż nienawidzi jej i jej rodziny za to wszystko, co nam odebrali. Ale uczę się radzić sobie z tym gniewem, trzymać go blisko, a jednocześnie nie pozwolić, by pochłonął mnie żywcem.

Niespiesznie przesuwam palcami po wetkniętych w ucho kamieniach, kolejno je nazywając. Pozwalają mi odzyskać równowagę. Różowy, czerwony, fioletowy, zielony. Bree, Tramy, Shade, Kilorn.

„Nie mogłam zostać”, myślę po raz tysięczny. Wciąż nie wiem, czy będzie na mnie czekał.

Może kiedy powrócę...

Muskam ostatni, najnowszy kolczyk. To jeszcze jeden czerwony kamień – czerwony jak ogień, czerwony jak moja krew.

„Powrócę”.

Podziękowania

Kiedy ludzie pytają, jak to jest ukończyć cykl książek, odpowiadam, że wciąż czekam, aż coś poczuję. Sądziłam, że po tym całym doświadczeniu będę się czuła otepiała, ale do głosu zaczyna dochodzić coś innego. To ulga. Ale i niepokój. Lęk. A przede wszystkim wdzięczność. Czuję tak niezwykłą wdzięczność, że sama nie do końca to rozumiem.

Na najgłębsze i najszczerze podziękowania zasługuje moja rodzina, która towarzyszyła mi na początku, w trakcie i na końcu tego całego procesu. Łatwo jest spojrzeć wstecz i wskazać chwile, które zmieniły moje życie, a Wy byliście ich integralną częścią. Dziękuję mamie, tacie i Andy'emu, rodzinie Aveyardów i Coyle'ów za wszystko, co dla mnie zrobili i co wciąż robią.

Nie będę uprawiać taniego sentymentalizmu i dziękować przyjaciółom – przede wszystkim dlatego, że by mnie wykpiłi. Dziękuję Morgan, Jen i Tori, które pilnują, bym nie straciła gruntu pod nogami. Dziękuję Bayan i Angeli, Natalie, Lauren i Alex. Dziękuję także innym, których jest zbyt wielu, by wymieniać ich z imienia. Od siedmiu lat chodzimy na tę samą imprezę i w ogóle mnie to nie dołuje.

Indy to pies, więc tego nie przeczyta, ale... dziękuję. Jesteś cudowna. Kocham Cię bardziej, niż pozwalają na to normy społeczne i granice zdrowia psychicznego.

Pisanie tej serii zajęło mi niemal sześć lat i było zajęciem, o jakim zawsze marzyłam. Te książki nie powstałyby bez grona wiernych kibiców. Dziękuję Christopherowi Cosmosowi, Pouyi Shahbazian i Suzie Townsend za to, że dostrzegli we mnie iskrę – niezamierzona gra słów – i pilnowali, by wszystko toczyło się zgodnie z planem. Dziękuję Jo Volpe, Kathleen Ortiz, Veronice Grijalvie, Sarze Stricker, Mii Roman, Danielle Barthel, Jackie Lindert, Cassandrze Baim, Hilary Pecheone i reszcie wybuchowej ekipy z agencji New Leaf Literary.

Jestem wdzięczna Sarze Scott, Maxowi Handelmanowi, Elizabeth Banks, Alison Small i wszystkim herosom z Universal Pictures oraz Brownstone Productions. Dziękuję za to, że pokochaliście te książki tak samo jak my. Ciepłe słowa należą się armii ludzi z HarperCollins i HarperTeen, którzy od tak wielu lat działają na wydawniczym froncie. Dziękuję nieustraszoną, niezwykle utalentowaną redaktorkom Kristen Pettit i Alice Jerman, a także Jen Klonsky, Kate Morgan Jackson, Ericie Sussman i wszystkim, którzy odcisnęli swoje piętno na manuskrypcie Aveyard. To dzięki Wam te książki są, jakie są. Dziękuję Ginie Rizzo, która towarzyszyła mi przez cztery lata festiwali, tras promujących serię, wywiadów (i na tak wielu lotniskach, że nie sposób ich zliczyć). Dziękuję Elizabeth Ward, Margot Wood, Elenie Yip, pracownikom Epic Reads i wszystkim geniuszom odpowiedzialnym za kampanie promujące *Czerwoną Królową*. Nie sądziłam, że będę miała piankowy miecz z tytułem mojej książki, a jednak... Podziękowania należą się oczywiście także Sarah Kaufman za to, że wytwór mojej wyobraźni przekształciła w najpiękniejsze i najbardziej kultowe okładki, jakie może sobie wyobrazić pisarz.

Mam ogromne szczęście, bo znalazłam przyjaciółki wśród innych pisarek. Wszystkie wspierałyście mnie na tej przedziwnej ścieżce kariery. Słowa miłości i wdzięczności kieruję do Patties, Susan Dennard, Alex Bracken i Leigh Bardugo – dzieliły się ze mną przyjaźnią, talentem i radą. Pomagały mi też urodzone gwiazdy: Renee Ahdieh i Sabaa Thair. Oraz promyk nadziei Veronica Roth. Dziękuję Brendanowi Reichsowi i Somanowi Chainaniemu za to, że mieli do mnie tyle cierpliwości. Jenny Han za to, że przeprowadziła mnie bez lęku przez cały ten proces. I Emmie Theriault, która pomogła tej serii powstać. Dziękuję Adamowi Silverze za to, że wypił ze mną ocean mimozy i nie uciekł. I Nicoli Yoon za niegasnącą życzliwość. Sarah Enni i Maurene Goo – moim światłom na wschód od autostrady 405. Dziękuję Morgan Matson za wsparcie. Dziękuję Margaret Stohl i Melissie de la Cruz, naszym mamom z YALL. I wszystkim, których pominęłam przez przypadek, ale których kocham równie mocno.

Nie byłoby mnie tu, gdyby nie moi nauczyciele. I to dosłownie, bo taki zawód

wykonują moi rodzice. Dziękuję systemowi szkół publicznych, który pomógł mi wyostać się z małego miasta i zamieszkać w metropolii. Dziękuję Uniwersytetowi Południowej Kalifornii i wykładowcom Wydziału Scenopisarstwa w School of Cinematic Arts, którzy dostrzegli coś w siedemnastoletniej dziewczynie z prowincji. Jeden z moich ulubionych profesorów powiedział mi kiedyś, że szczęście to taka okazja, którą człowiek jest gotowy wykorzystać, a pech – taka, której gotowy wykorzystać nie jest. Dziękuję Wam za tak wiele szczęścia.

Poza bliską mi grupą wspaniałych ludzi są jeszcze inni, którym także chciałabym podziękować. Dziękuję moim senatorkom Kamali Harris i Dianne Feinstein, a także członkowi Izby Reprezentantów Stanów Zjednoczonych Tedowi Lieu. Walczycie o nasze prawa mężniej niż jakikolwiek wojownik w moich książkach. Dziękuję prezydentowi Barackowi Obamie i Michelle Obamie za ich wdzięk i siłę. Dziękuję Hillary Rodham Clinton. Dziękuję Sierra Club i rdzennym plemionom za to, że nie boją się bronić pięknej, świętej i dzikiej ziemi Stanów Zjednoczonych. Dziękuję członkom naszego rządu za to, że wybierają swoich wyborców, a nie służbę korporacjom. Żołnierzom i ich rodzinom za ich bezgraniczne poświęcenie dla naszej ojczyzny. Dziękuję wszystkim, którzy nie boją się mówić prawdy bez względu na konsekwencje.

Dziękuję uczniom, którzy przeżyli strzelaninę w liceum Marjory Stoneman Douglas. Przekonania, które głosicie, mają niewyobrażalny wpływ na rzeczywistość.

Raz jeszcze dziękuję Morgan, Jen i Tori. Suzie Townsend. Mamie i tacie. Bardzo Was kocham. Bez Was by mnie tu nie było.

Dziękuję czytelnikom moich książek. Nie jestem w stanie wyrazić głębi swojego zachwytu i wdzięczności. Pozwólcie, że zacytuję o wiele wspanialszą ode mnie pisarkę: „Opowieść nie istnieje, dopóki nie pojawi się ktoś, kto zechce jej posłuchać”. Dziękuję, że słuchaliście. I że dzięki Wam moja podróż jeszcze się nie zakończyła.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

ROZDZIAŁ 1

ROZDZIAŁ 2

ROZDZIAŁ 3

ROZDZIAŁ 4

ROZDZIAŁ 5

ROZDZIAŁ 6

ROZDZIAŁ 7

ROZDZIAŁ 8

ROZDZIAŁ 9

ROZDZIAŁ 10

ROZDZIAŁ 11

ROZDZIAŁ 12

ROZDZIAŁ 13

ROZDZIAŁ 14

ROZDZIAŁ 15

ROZDZIAŁ 16

ROZDZIAŁ 17

ROZDZIAŁ 18

ROZDZIAŁ 19

ROZDZIAŁ 20

ROZDZIAŁ 21

ROZDZIAŁ 22

ROZDZIAŁ 23

ROZDZIAŁ 24

ROZDZIAŁ 25

ROZDZIAŁ 26

ROZDZIAŁ 27

ROZDZIAŁ 28

ROZDZIAŁ 29

ROZDZIAŁ 30

ROZDZIAŁ 31

ROZDZIAŁ 32

ROZDZIAŁ 33

ROZDZIAŁ 34

ROZDZIAŁ 35

ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37

EPILOG

Podziękowania

Karta redakcyjna

Tytuł oryginału: War Storm
Copyright © 2018 by Victoria Aveyard
Copyright © for the translation by Joanna Dziubińska,
Maria Borzobohata-Sawicka
Opieka redakcyjna: Natalia Karolak
Mapa: © & ™ 2017 Victoria Aveyard. All rights reserved.
Map illustrated by Amanda Persky
Adiustacja, korekta: d2d.pl
Jacket art © 2018 by John Dismukes
Jacket design by Sarah Nichole Kaufman
Adaptacja okładki na potrzeby polskiego wydania: Eliza Luty

ISBN 978-83-7515-605-8



OTWARTE

www.otwarte.eu

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o., ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek